

Majgull Axelsson

KWIETNIOWA CZAROWNICA

Przełożyła Halina Thylwe

Tytuł oryginału: Aprilhaxan

To całkowicie fikcyjna opowieść. W Yadstanie jest wprawdzie przychodnia zdrowia i szpital dla przewlekle chorych, a w Kirunie - Instytut Badań Przestrzeni Kosmicznej, ale nie są one tożsame z opisywanymi w książce. Postaci i wydarzenia wymyśliłam, choć nieco mi w tym pomógł Ray Bradbury, który kilkadziesiąt lat temu sprawił, że zaczęłam się zastanawiać nad kwietniowymi czarownicami.

Autorka

Fale i cząstki

*Neutrinos they are very small
They have no charge and have no mass
And do not interact at all
The earth is just a silly ball
To them, through which they simply pass
Like dustmaids down a drafty hall
Or photons through a sheet of glass.*

John Updike

- KIM TY JESTEŚ? - pyta moja siostra.

Jest od nich wrażliwsza, tylko ona przeczuwa moją obecność. Kiedy tak stoi z wyciągniętą szyją i wpatruje się w ogród, przypomina ptaka. Na białą koszulę nocną narzuciła podomkę, wydaje się nie zwracać uwagi na utrzymujące się przymrozki. Podomka jest rozchylona, koniec paska wsuniętego w jedną szlufkę leży na kuchennych schodkach; jak smukłe pióro ogonowe.

Przekręca głowę, nasłuchuje, czeka na odpowiedź. Po chwili powtarza pytanie, tym razem bojaźliwiej, piskliwszym głosem:

- Kim ty jesteś?

Oddech układa się w białe pióropusze. Do twarzy jej z tym. Jest eteryczna. Jak mgła. Myślałam tak już wtedy, kiedy zobaczyłam ją pierwszy raz. A było to wiele lat temu, w upalny dzień sierpniowy, na długo zanim trafiłam do domu opieki. Hubertsson zadbał o to, by mnie umieszczono w cieniu rozłożystego klonu tuż przed rozpoczęciem konferencji lekarzy zorganizowanej w szpitalu dla przewlekle chorych. I niby przypadkiem spotkał na parkingu Christinę Wulf, i niby przypadkiem zaproponował jej drogę na skróty, przez trawnik, tam gdzie siedziałam. Jej czółenka zapadały się w trawie i kiedy wyszli na zwirowany plac, zatrzymała się, żeby sprawdzić, czy do podeszew nie przywarły grudki ziemi. Wtedy zobaczyłam, że mimo upału jest w rajstopach. Elegancka bluzka, półdługa spódnica i rajstopy. W różnych odcieniach bieli i szarości.

- Twoja najstarsza siostra to taka dama, która myje ręce w chlorynie - powiedział Hubertsson, zanim mi ją pokazał.

Opis był trafny, acz powierzchowny. Kiedy ją zobaczyłam na własne oczy, wydała mi się tak ulotna w kolorze i formie, jakby prawa materii jej nie dotyczyły, jakby mogła przenikać przez zamknięte okna i drzwi. Miałam wrażenie, że pomocna dłoń Hubertssona, którą wyciągnął, żeby ją podtrzymać, przejdzie przez jej ramię.

Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego. Często zapominamy, że tak zwane prawa natury to jedynie nasz uproszczony pogląd na rzeczywistość, która jest zbyt skomplikowana, byśmy mogli ją w pełni zrozumieć. Choćby to, że żyjemy w obłoku cząstek pozbawionych masy - fotonów i neutrin - i że wszelka materia, z naszym ciałem włącznie, w większości składa się z próżni. Odległości między cząstkami atomów są równie duże jak odległości między gwiazdą i jej planetami. Powierzchni i gęstości nie tworzą zatem cząstki jako takie, ale łączące je pola elektromagnetyczne. Poza tym fizyka kwantowa uczy nas, że nie tylko cząstki stanowią najmniejszy element materii. Są nim również fale. Niektóre mogą się znajdować w kilku różnych miejscach jednocześnie. W ciągu jednej mikrosekundy elektron sprawdza swoje możliwe pozycje i w tym momencie wszystkie są równie rzeczywiste.

Czyli wszystko płynie. Jak wiadomo.

Z tego punktu widzenia nie jest niczym dziwnym, że niektórzy nie podlegają prawom fizyki. Kiedy jednak Hubertsson dotknął ramienia Christiny, która stała na jednej nodze, oglądając podeszwę, okazało się, że jej kontury są równie trwałe jak wszystkich innych ludzi. Jego dłoń zatrzymała się na jej ramieniu.

Z biegiem lat nic nie straciła na przezroczystości; nadal wygląda tak, jakby w każdej chwili mogła się rozpląnąć i zniknąć w jednej wielkiej kotłownianinie fal i cząstek.

To naturalnie tylko złudzenie. W gruncie rzeczy Christina jest solidnie zespoloną bryłą materii. Bardzo solidnie.

Teraz jej elektrony decydują się na zmianę pozycji. Christina mruga oczami, zapomina o mnie i

starannie otuliwszy się podomką, człapie w topniejącym śniegu ogrodowej alejki do skrzynki pocztowej.

List leży na samym dnie. Kiedy go dostrzega, przeszywa ją lęk, jakby przez ogród przeciągnął wiatr. Astrid, myśli, ale natychmiast sobie przypomina, że przecież Astrid nie żyje, nie żyje od trzech lat. Odczuwa ulgę. Wkłada poranne gazety pod pachę i obracając kopertę w dłoniach, wraca do domu. Nie patrzy pod nogi.

I dlatego potyka się o martwą mewę.

W tym samym momencie moja druga siostra otwiera oczy w pokoju hotelowym w Göteborgu i głęboko oddycha. Zawsze tak się budzi. Zanim sobie przypomni, kim jest i gdzie jest, przez sekundę odczuwa paniczny strach. Kiedy poranne przerażenie mija i jest gotowa znowu zapaść w sen, nagle się powstrzymuje i wyciąga ręce. Boże! Nie może się wylegiwać! Ten czwartek ma przecież poświęcić na chodzenie swoim własnym śladem. A walk down Memory Lane! Odbywała takie podróże wcześniej, ale od ostatniego razu upłynęło dużo czasu.

Margareta siada na łóżku i szuka papierosów. Pierwsze zaciągnięcie przyprawia ją o dreszcze, ma takie uczucie, jakby skórę od reszty ciała dzieliło kilka milimetrów. Patrzy na swoje ramiona. Są nagie, blade i szorstkie. Jej jedyna koszula nocna została u Claesa...

Jak na zagorzałego palacza przystało, Margareta niesamowicie dba o świeże powietrze. Oslania swoją nagość kocem, podchodzi do okna i otwiera je na oścież. Stojąc w chłodzie, patrzy na ołowiano-szare przedwiośnie.

W całej Szwecji, myśli, nie ma równie brzydkiego światła jak w Göteborgu. Zawsze się tak pociesza, ilekroć przygnębiają ją ciemności w jej mieście, w Kirunie. Mimo wszystko miała szczęście. Przypadek sprawił, że nie musi mieszkać pod metalicznym niebem Göteborga. Przypadek w Tanumie...

Margareta zaciąga się i wydmuchuje dym. Uśmiecha się. Dzisiaj będzie w Tanumie. Po raz pierwszy od przeszło dwudziestu lat wróci tam, gdzie zapadła decyzja o jej dorosłym życiu.

Skończyła wtedy dwadzieścia trzy lata i była prawie archeologiem. W upalne letnie miesiące kopała, przesiewała i pędzlowała piasek, żeby wydobyć na światło dzienne jeszcze jeden stary ryt, i cały czas drżała w pełnym napięcia oczekiwaniu. Powodem tych emocji był Fleming, duński profesor o niskim głosie i wąskich oczach. Margareta miała już, delikatnie mówiąc, pewne doświadczenie z mężczyznami w średnim wieku i teraz wykorzystywała wszystkie poznane wcześniej tricki i sztuczki. Kiedy na nią patrzył, spuszczała wzrok i szybko przeciągała dłońią po włosach; idąc, wypinała biust i kręciła biodrami; w czasie przerw na kawę cicho i perliście śmiała się z jego żartów.

Początkowo był raczej speszony niż zachwycony. Co prawda często szukał jej towarzystwa, uśmiechał się, kiedy ona się uśmiechała, ale nie przejmował inicjatywy. Coraz częściej natomiast - i nie na temat - mówił o żonie i dzieciach, o swoim wieku i obowiązkach. Ale Margareta nie dawała za wygraną. Im więcej Fleming znajdował wymówek, tym intensywniej patrzyła mu w oczy. Zdobędzie go!

Problem polegał na tym, że nie bardzo wiedziała, po co.

Prześpią się. To oczywiste. Wieczorami, leżąc w namiocie, często sobie wyobrażała, jak jedną ręką ujmie ją w tali, a drugą zacznie rozpinąć rozporek. Z drzeniem i nieporadnie, ale ona mu nie może, przeciwnie, mocno się do niego przytuli. A kiedy rozporek będzie odpięty, zabłądzi tam dłońią, obejmie jego członek, pulsujący i nabrzmiały pod białą bawełną slipków, po czym jej palce powędrują dalej, lekkie, uskrzydłone jak motyle.

Przespanie się z nim miało być tylko środkiem, nie celem. Margareta przeczuwała, że zadowoląby się pożądaniem Fleminga. Miała w sobie inną pustkę, którą musiała wypełnić i która, o czym była przekonana, wypełniłaby się później, już po wszystkim, kiedy będą leżeli we wrzosie, otuleni ciepłą nocą. Fleming powie albo zrobi coś takiego - nie wiedziała, co - co na zawsze wypełni każdy zakamarek jej ciała. I od tamtej chwili będzie żyła zaspokojona. Wypełniona.

W końcu stało się. Pewnego wieczoru Fleming ujął ją w tali jedną ręką, a drugą zaczął majstrować przy rozporku. Margareta dotknęła jego członka, opadła na wrzosy i jej tęsknota eksplodowała pożądaniem. Po chwili eksplodował Fleming. I tyle, i było po wszystkim, bo kiedy członek Fleminga zwiotczał, nie miał nic, czym mógłby ją wypełnić. Jego ciężar, który przed chwilą był jej pociechą i obietnicą, stał się nieznośnie przykry. Zrzuciła go z siebie i głęboko odetchnęła. Nie zareagował,

chrząknął tylko, zmienił pozycję i zasnął jak kamień w kwitnących wrzosach.

Do dzisiaj Margareta nie wie, dlaczego się podniosła i odeszła. Bardziej byłoby do niej podobne, gdyby została, zwinęła się w kłębek pod jego pachą i gdyby przez kilka miesięcy zadowolala się tymi okruchami, zamiast od razu marzyć o innych, nieco większych okruchach. Gorzki smak rozczarowania kazał jej włożyć szorty i odejść. Celowo poszła w przeciwną stronę, oddalając się od wykopalisk i obozowiska archeologów. Ku czemuś innemu...

- Dziewuszka! - mówi pocieszająco Margareta, stojąc w otwartym oknie dwadzieścia pięć lat później.

Wysuwa rękę spod koca w nieśmiałym geście, jakby chciała nią przebić czas i odnaleźć tę pustą dziewczynkę wędrującą po wrzosowiskach Tanumu. W tym samym momencie uświadamia sobie, co mówi ten gest o jej pojmowaniu rzeczywistości, więc go nie kończy, tylko gasi papierosa.

Margareta jest fizykiem i trochę się boi współczesnej fizyki. Czasami ma wrażenie, że czas, przestrzeń i materia rozkładają się na jej oczach, wtedy musi się zatrzymać, okiełznać wyobraźnię i wmawiać sobie, że z czysto ludzkiego punktu widzenia nic się nie zmieniło. Tutaj, na Ziemi, materia jest stała, a czas jest rzeką, która płynie przez świat od narodzin po kres życia. Tylko w teorii, mówi sobie, czas to iluzja. Dla człowieka istnieje naprawdę, dlatego próby rozciągania go, na przykład po to, żeby się pocieszać swoim o dwadzieścia lat młodszym wydaniem, można uznać za objaw czystego szaleństwa.

Z trzaskiem zamyka okno i zaciąga zasłony. Koc zsuwa się na podłogę. Margareta przeciąga się. Zaraz weźmie prysznic, zrobi się na bóstwo i pojedzie starym gruchotem Claesa do Tanumu, potem do Motali i wreszcie do Sztokholmu. Nudna konferencja w Göteborgu, którą jakoś przecierpiała, spełniła swoje zadanie. Przez cały tydzień nie będzie musiała oglądać Kiruny ani ślęczyć nad cholernym doktoratem!

Pod prysznicem wracają wspomnienia. Widzi Fleminga, jego spłoszony uśmiech następnego dnia i gorączkowe:

„Prawda, że było cudownie? I że tej nocy też będzie cudownie?” Na jesieni postara się, żeby być jej promotorem...

Starsza Margareta podnosi głowę i zamyka oczy. Młoda Margareta uśmiecha się w niej i pochyla nad swoją pracą.

- Niestety - mówi. - Niestety, Fleming. Nic z tego...

- Czemu?

Odwraca głowę i patrzy na niego.

- Skończyłam z archeologią. Na jesieni będę studiować fizykę. Tak zdecydowałam tej nocy.

Starsza Margareta śmieje się sucho na wspomnienie wyrazu jego twarzy.

Moja trzecia siostra leży na materacu i mruga powiekami. Nie rusza się.

Birgitta nie ma łóżka. Nie ma nawet prześcieradła, leży na brudnożółtym kauczuku. Rozrzuciła ramiona, z lewego kącika ust płynie strumyczek śliny...

Wygląda żałośnie. Jak ukrzyżowana klucha.

Mimo to myśli o swojej urodzie, pamięta czas, kiedy jako piętnastolatka była w Motali mlecznobiałą kopią Marilyn Monroe. Na podłodze obok niej leży Roger, cherlawy pokurcz o tłustych włosach i brudnoszarym zarostem. To przez niego Birgitta nie może zasnąć, to on popycha ją do wspomnień z czasów młodości. I niemal mu się to udaje. Widzi Doggena: wysiada z samochodu, zatrząskuje drzwiami i rozgląda się. Na parkingu jest cicho, z przenośnego adapteru słychać tylko Cliffa Richarda. Wszystkie spojrzenia kierują się na Doggena, pragnienia dziewcząt fruną ku niemu jak motyle, chłopcy milkną z beznadziei.

Birgitta wie, że on idzie do niej, jeszcze nie zrobił kroku, ale ona wie, że idzie właśnie do niej. Podchodzi, gwałtownym ruchem otwiera drzwi ich samochodu i chwytą ją za nadgarstek.

- Teraz jesteś moją dziewczyną - mówi.

Nic więcej. Tylko tyle.

Jak w filmie, myśli Birgitta po raz tysięczny w swoim życiu. Zupełnie jak w filmie. I film trwa; słyszy chóralną pieśń i smyczki, kiedy opiera ją o maskę samochodu, pochyla się i składa na jej ustach

pierwszy pocałunek...

Ale Roger kręci się przez sen, film się nagle kończy, taśma chrzęści i obraz znika. Odwraca głowę i patrzy na niego. Wyczuwa lekki odór amoniaku. Bładoniebieskie džinsy Rogera od rozporoka w dół znaczą ciemna, mokra plama...

Birgitta jest zmęczona, gdyby miała choć trochę siły, stoczyłaby się na tego robaka i udusiła ciężarem własnego ciała. Ale nie ma siły. Nie może nawet podnieść rąk, żeby zatkać sobie uszy i nie słyszeć jego głosu. Nie ma to zresztą większego znaczenia. Te słowa już padły, wryły się w jej mózg.

- Kurwa mać! - odzywa się Roger w jej pamięci i zakrywa dłonią jej twarz. - Kurwa mać. Jesteś taka brzydka, że chuj opada...

Birgitta mruga powiekami i oddycha głęboko, próbuje przywołać chóralną pieśń i smyczki, i duże dłonie Doggena, i mlecznobiałą kopię Marilyn Monroe. Ale film się urwał, szpula obraca się z trzaskiem, końcówka taśmy furkocze, wszystkie obrazy zniknęły.

Zaciska powieki w dwie czarne kreski i usiłuje odtworzyć miłe wspomnienia. Kiedy jej się to nie udaje, otwiera oczy i patrzy na Rogera. Dzisiaj wyrzuci tego sukinsyna. Raz na zawsze.

Dryfujące drewno

Jest wiosna - pomyślał Cecy. - Tej nocy zamieszkać w każdym żyjącym stworzeniu.

Ray Bradbury

TUŻ PRZED ŚWITEM na wszystkich korytarzach zmieniają się dźwięki; szepty personelu i ciche kroki zastępują donośne głosy i stukot obcasów. Poranna zmiana. Dzisiaj ma dyżur Kerstin Pierwsza. To się czuje, jeszcze zanim się pojawi, powietrze aż kipi energią. Na dyżurze Kerstin Drugiej stoi bez ruchu i pachnie kawą.

Jest środa. Może będę mogła się wykapać. Od ostatniej kąpieli minął cały tydzień i słodko-kwaśny zapaszek zaczyna być obrzydliwy. Przeszkadza mi w koncentracji. Mojemu węchowi nic nie dolega. Niestety.

Długo dmucham w ustnik, nad łóżkiem migocze monitor.

„Czy chcesz zapisać tekst? Tak? Nie?”

Krótkie puf. Tak, chcę zapisać. Komputer szumi, monitor gaśnie.

Dopiero teraz czuję zmęczenie. Pieką mnie oczy. Przez chwilę muszę poleżeć w ciemnościach. Poza tym lepiej udawać, że się śpi, gdyby Kerstin Pierwsza zdecydowała się na obchód. Jeśli się połapie, że przez całą noc nie zmrużyłam oka, wygłosi mi kazanie na temat znaczenia prawidłowego rytmu dobowego. Może też rozkazać swojej ekipie wychowawczej, żeby mnie przywiązała do wózka i zawiozła do świetlicy na któryś z tych odwiecznych, głupawych konkursów. Memory dla czterolatków. Albo bingo obrazkowe. Pierwszą nagrodą zawsze jest pomarańcza i odbierający ją zwycięzca ma się - w miarę możliwości - uśmiechnąć i nie ślinić. Dlatego ja nigdy nie wygrywam, bez względu na liczbę trafień. Kerstin Pierwsza fałszuje wyniki. Chodzi o to, że - jak powiada swoim zamerykanizowanym slangiem - pacjenci o niewłaściwym nastawieniu nie mogą wygrywać, ponieważ zostałaby zaprzepaszczona wartość terapeutyczna tych kretyńskich konkursów. Mój problem polega na tym, że udaję niezdolną do uśmiechu. Ślinię się i wykrzywiam, rozpaczam, że kąciki ust nie chcą się unieść, kiedy ekipa wychowawcza nęci mnie pomarańczą. Ja się nie uśmiecham. W ogóle. I Kerstin Pierwsza - która wie, że to nieprawda - jest za każdym razem potwornie wkurzona. Nie zdobywa się jednak na otwarte zarzuty, nie chce, żeby młodsze pielęgniarki dowiedziały się o tym, że raz jeden się do niej uśmiechnęłam.

To było miesiąc temu, mojego pierwszego dnia na oddziale. Przez kilka godzin słyszałam jej głos na korytarzu - albo radośnie paplała, albo czule pojękiwała - i dostałam gęziej skórki. Przypominał mi wiele innych głosów. Przerodził się w terkotliwą kakofonię, słyszałam i Karin z Zakładu dla Ułomnych, i pogodną Ruth, która chciała być matką zastępczą (ale nie czegoś takiego!), i Niemkę Trudi z neurologii, i jej następczynię, Berit, Annę i Veronicę. Wszystkie radośnie świergotały i wszystkie zachowywały się jak ulicznice. Uśmiechały się, gruchały i przymilały za pieniądze. Ale dłonie miały lodowate, a cena, jakiej żądały, była absurdalna. Piedestał.

W domu opieki pracowały dosyć obojętne pańce o ciepłych dłoniach i głosach, które za wiele

nie obiecywały. A kilka lat temu trafiło mi się prawdziwe mieszkanie i osobiści asystenci. To byli różni ludzie, młodzi mężczyźni i starsze kobiety broniące się w ten sposób przed bezrobociem, zmęczone matki bez wykształcenia i artyści w średnim wieku, którzy coraz mniej mieli nadziei na swój wielki przełom. Karmili mnie i ubierali, nie żądając w zamian ani podziękowań, ani miłości. Zachowywali niewzruszony spokój, jeśli zajęczałam lub napięłam któryś z mięśni, natychmiast mnie puszczały i starali się chwycić delikatniej. Ale teraz już się to skończyło. Ataki się nasiliły, za każdym razem byłam o krok od status epilepticus, czyli permanentnej epilepsji. Pewnego dnia stanął przy moim łóżku Hubertsson i nie patrząc na mnie, jakby się wstydził, powiedział, że dłużej tak być nie może. Asystenci to za mało, potrzebuję stałej opieki medycznej, przynajmniej przez kilka miesięcy, dopóki nie wypróbują nowego leku. Musiałam więc wrócić do tego samego szpitala dla przewlekle chorych, z którego mnie kiedyś wyrwał. I głos na korytarzu uprzytomnił mi, że panuje tu ktoś, kto w walce o dobro jest gotów połamać ludziom nogi.

Mimo to naprawdę się starałam. Na monitorze migotało uprzejme powitanie i kiedy Kerstin Pierwsza wkroczyła do mojego pokoju, już miałam się przedstawić, ale nie zdążyłam, bo pochyliła się nad łóżkiem i odsunęła monitor.

- Ty bidulko... - powiedziała, wyciągając rękę, żeby pogłaskać mnie po policzku.

Nie potrafię kontrolować spazmów, ale tym razem miałam szczęście. Głowa drgnęła i odskończyła w bok, tak jak zawsze, byłam pod właściwym kątem, żeby capnąć ją w palec. Capnęłam i ugryzłam. Wpiłam się zębami w jej kciuk, czułam, jak przeszywają białą skórę i sięgają kości, kiedy następny spazm szarpnął moją głowę, zmuszając do puszczenia palca. I wtedy się uśmiechnęłam. Ciepłym, szerokim i szczerym uśmiechem. Pierwszym i ostatnim, jakim obdarzyłam Kerstin Pierwszą.

Po kolejnym spazmie chwyciłam ustnik. Nie widziałam monitora - odsunęła go za daleko - ale zdołałam wydymuchać to, co miałam jej do powiedzenia.

- Nikt nie będzie mnie nazywał bidulką!

Pchnęła monitor, w pełnym wyrzutu geście lewą dłonią objęła kciuk prawej i pochlipując, wybiegła z pokoju. Przez sekundę upajałam się zwycięstwem, w chwilę później zobaczyłam tekst migoczący nad głową.

„Nikt nie będzie mnie nazywał bidulką!” Tak, na rany. Sam Arnold Schwarzenegger nie ująłby tego lepiej.

Trzeba to jednak powiedzieć. Żaden stan nie miał aż tylu określeń, każde dziesięciolecie odrzucało poprzednie, zużyte i gorzkie, szukając innego, przyjemniejszego. I tak z kaleki zrobił się ułomny, z ułomnego niedysponowany, niedysponowany zamienił się w upośledzonego, upośledzony w niesprawnego, niesprawny w inwalidę, by wreszcie inwalidę uznano za osobę niepełnosprawną.

W każdym z tych słów tli się jakaś obłąkana nadzieja. Też ją podzielałam - czemu nie. Nikt bardziej niż ja nie pragnie, żebyśmy pewnego pięknego dnia znaleźli magiczne słowo, słowo idealne, które wyleczy blizny w mózgu, zregeneruje rdzeń kręgowy i wskrzesi komórki nerwowe. Ale jeszcze go nie znaleźliśmy. A cóż innego złoży się na sumę wymyślonych dotąd określeń, jeśli nie to, co wyjęczała nad moją głowę Kerstin Pierwsza?

Czekając na słowo idealne, nie zgadzam się na obiecowe slogany. Ja wiem, czym jestem. Dryfującym drewnem. Odpryskiem wraku z innych czasów.

- Niech mnie szlag - powiedział pijany Hubertsson pewnej sylwestrowej nocy u mnie w mieszkaniu. - Jakby całe stulecie zmiażdżyło cię w uścisku.

Choć zapłonęły mi policzki, zostawiłam monitor w spokoju. Bo niby co miałam odpowiedzieć? Ach, najdroższy, traktuj mnie jak człowieka, nie jak pomnik? Tego się nie mówi. Zwłaszcza kiedy nogi są w wiecznej pozycji płodu, a głowa i ręce w spazmach, kiedy twarz wykrzywia grymas, a dłonie kołyszają się jak wodorosty. Wtedy wystrzega się słów miłości i udaje głuchego.

Ale ja słyszę. Widzę. Czuję. Widzę i słyszę, i czuję, mimo że to, co u innych tworzy sieć, u mnie jest miazgą. Tylko kilka cieniutkich nitek łączy moje prawdziwe ja z moim ciałem. Wydają trzy dźwięki: wzdycham z zadowolenia, jęczę, kiedy coś sprawia mi przykrość, i wyję jak zarzynane zwierzę, kiedy cierpię. Nad tym mam kontrolę. Mogę dmuchać w ustnik krótkie i długie „puf”, które zamieniają się w tekst na monitorze komputera. Mogę - acz z ogromnym wysiłkiem - ująć łyżkę lewą

ręką, włożyć ją do talerza i podnieść do ust. Mogę przeliść i żuć. I to wszystko.

Długo sobie wmawiałam, że ten chaos, który jest moim ciałem, to istota człowieczeństwa, jego jądro. Mam wolę i rozum, mam serce, które bije, płuca, które oddychają, i - co równie ważne - ludzki mózg wyposażony w przedziwne umiejętności, mnie samą przepelniające trwogą. Ale wszystkie te pokrzepiające slogany nie pomogły. W końcu musiałam przyznać, że tkwię w pajęczej sieci uwarunkowań, którą rozpiął nad światem Wielki Dowcipniś. W ostatnim miesiącu jeszcze bardziej się w tym utwierdziłam. Czasami myślę sobie, że Kerstin Pierwsza jest jego wysłańcem, że jest małym pajakiem Boga, owadem, który pewnego dnia spełźnie po pajęczynie, rozpuści moje wnętrzości swoją kwasową śliną, a potem je skonsumuje.

Tak. To byłoby logiczne. Ale na razie niemożliwe. Zostały mi dwa zadania.

Najpierw muszę się dowiedzieć, która siostra ukradła mi moje życie. Potem chcę odprowadzić do grobu mojego ukochanego.

Dopiero wtedy pozwolę się opróżnić.

Słyszę go. Nikt nie otwiera drzwi na oddział tak wolno, nikt tak niemrawo nie chodzi rano po korytarzach. Dzisiaj trochę się waha, może obawia się spotkania z Kerstin Pierwszą, która z uśmiechem zastąpi mu drogę.

Nazywa ją Ka Jeden. W odróżnieniu od Ka Dwa.

- Ona jest niesamowita - mówi. - Te opływowe kształty i białe płaszczyzny... Idę o zakład, że jest ulepiona z lodów waniliowych. Podgrzać ją, a straci i kolor, i kształt!

Już nie przepada za jedwabistą skórą i jędrnym ciałem. Może dlatego, że się starzeje. Ma coraz bardziej zmęczoną, pociągłą twarz, brwi rozrosły się i posiwały, podwójny podbródek nabrzmiał, powiększyły się worki pod oczami. Chodzi w poplamionych koszulach, spodnie wiszą na siedzeniu. Kilka młodszych pielęgniarek z ekipy Kerstin Pierwszej uważa, że jest obleśny. Sama Kerstin poprzestaje na zachowaniu dystansu. Jeśli Hubertsson podejdzie zbyt blisko, szybko się cofa i przesuwając dłonią po swoich długich włosach, jakby chciała uniknąć dotyku.

Ja nigdy bym się tak nie zachowała. Gdybym miała w pełni sprawne, waniliowobiałe ciało, często pozwałabym mu go dotykać. To jedyny człowiek, którego dotyk sprawia mi przyjemność. Może dlatego, że robi to bardzo rzadko. Bada mnie z obowiązku raz w miesiącu, zawsze w obecności pielęgniarki, zawsze bezosobowo, fachowo. Tylko wtedy, kiedy w ciągu jednego roku miałam cztery razy zapalenie płuc, pozwolił sobie na pieszczotę. Ujął moją głowę w dłonie i przytulił do siebie.

- Weź się w garść - powiedział. - Tym razem też nie umrzesz...

Sweter z owczej wełny pod białym fartuchem drapał mnie w policzek. Jego ciało pachniało migdałami...

No tak, to było jedenaście lat temu i już się nie powtórzyło.

Czasem - kiedy jesteśmy sami - siada na krawędzi mojego łóżka i przesuwając dłonią po kocu, najczęściej jednak trzyma się ode mnie z daleka i w ogóle na mnie nie patrzy. Wchodzi do głębokiej niszy okiennej, spleta dłoń na kolanie, mówiąc, wygląda przez okno, a kiedy mu odpowiadam, intensywnie wpatruje się w monitor. Dla niego jestem bardziej obecna w słowach niż w ciele.

To jemu zawdzięczam słowa. I nie tylko. Dał mi węch i smak, uczucie zimna i ciepła, imię mojej matki i zdjęcie sióstr. W Stowarzyszeniu Rzemiosł Artystycznych załatwił mi ręcznie tkane lniane prześcieradło, rewanżując się odczytem na temat profilaktycznego oddziaływania włókien rurkowych na tworzenie się odleżyn. W Rotary zdobył środki na zakup komputera, w Lions - telewizora i raz w roku zabiera mnie specjalnym samochodem przeznaczonym do przewozu inwalidów do Muzeum Techniki w Sztokholmie, żebym mogła posiedzieć w samotności w czarnej komorze kondensacyjnej i popatrzeć na taniec materii.

Wszystko dostałam od Hubertssona. Wszystko.

Byłam zmęczona, wykończona badaniami, kiedy piętnaście lat temu neurochirurgi z Linköpingu wreszcie się poddali i trafiłam na oddział dla przewlekle chorych w Yadstene. Żeby utrzymać mnie przy życiu, przez pierwsze tygodnie musieli mi aplikować kroplówkę. Rzadko otwierałam oczy i nie ruszałam się. Mimo że co dwie godziny mnie przewracano, już po paru dniach poczułam pączkujące i wykwitające na biodrach odleżyny. W tamtych czasach personelu nie brakowało. Ambitnego per-

sonelu. Jedna z pielęgniarek zdobyła stary egzemplarz „Ostgota-Correspondenten” i powiesiła wycinek na ścianie. Było tam moje zdjęcie; siedzę na wózku inwalidzkim w czapce maturzystki na łysawej lepe-
tynie. I podpis: „Heroizm maturzystki roku!”

- Spójrz - mówiły salowe, ilekroć odwracały mnie do ściany. - Pamiętasz? Jesteś zdolna, zdałaś maturę...

Wtedy mogłam jeszcze wydobyć z siebie kilka dźwięków przypominających ludzką mowę, ale na samą myśl o konieczności wykrzywania się, byłam wyczerpana. Niczego bardziej nie chciałam niż usunięcia tej koszmarnej pamiątki, nie miałam jednak siły tego powiedzieć.

W trzecim tygodniu mojego pobytu, w czwartek, pojawił się Hubertsson. Właśnie wrócił z urlopu. Wszedł do mojego pokoju, dostał od pielęgniarki moją anamnezę i zaczął chrząkać i pomruki-
wać. Nie otworzyłam oczu, żeby na niego spojrzeć. Lekarz jak lekarz, co tu jest do oglądania?

Zanim przystąpił do badania, pochylił się nad łóżkiem i zerknął na wycinek. Nie skomentował. Potem szorstkimi dłońmi dotykał, uciskał i badał moje ciało w taki sam sposób, w jaki go dotykały, uciskały i badały setki innych lekarzy. Dopiero kiedy ruszył do wyjścia, zrozumiałam, że jest inny.

- Zabierzemy stąd ten wycinek - powiedział do siostry, zatrzymując się w drzwiach. - Powieś go gdzie indziej, inni niech sobie na to patrzą, byle tylko ona nie musiała tego oglądać...

Tego samego dnia, po południu, przyszła salowa z rolką taśmy i wykonała jego polecenie. Kie-
dy skończyła, podała mi szklankę soku, który po raz pierwszy od trzech tygodni zdołałam wypić.

Dwa dni później Hubertsson zjawił się u mnie z opasłą teczką. Od razu podszedł do łóżka i chwycił moją lewą dłoń.

- Czy będziesz dzisiaj odpowiadać na pytania?

Popatrzyłam na niego apatycznie.

- No dobrze - powiedział i mocniej ścisnął mi dłoń. - Jeden uścisk oznacza „tak”, dwa - „nie”.

Znałam ten system. Pierwszy z pierwszych. Z Zakładu dla Ułomnych.

- Zostałaś gruntownie przebadana i zdiagnozowana. Może o tym wiesz. Ale czy wiesz o sobie coś więcej?

Zabrałam rękę. Nic mu do tego.

- Nie bocz się - powiedział. - Czy wiesz, gdzie się urodziłaś? I kto cię urodził? Tak czy nie?

Znowu chwycił moją dłoń, tym razem mocniej.

- No? Tak czy nie?

Poddałam się, zamknęłam oczy i dwa razy ścisnęłam jego rękę. Momentalnie mnie puścił, pod-
szedł do okna, usiadł w niszy i splótł dłonie na kolanie.

- A to ci dopiero - powiedział. - Leżysz tu sobie i rozmyślasz do upadłego o astronomii, fizyce
cząstek elementarnych i innych abstrakcjach... tak, tak, czytałem twoje prace!... a nie masz bladego
pojęcia o sobie...

Zamilkł i przeglądał teczkę. Patrzyłam na niego, nie widząc. Była późna jesień, zaczęło się
zmierzchać, na tle okna majaczyły jedynie jego kontury. Po chwili wstał i podszedł do łóżka.

- Jest powód, dla którego ułożyło ci się tak, a nie inaczej - stwierdził. - Zawsze jest jakiś powód
i wytłumaczenie. Mogę ci o tym powiedzieć. Oczywiście, jeśli chcesz.

Niezdarnie chwyciłam go za rękę i ścisnęłam, ile sił. Dwa razy.

- Dobrze, dobrze - uspokoił mnie. - Zrobisz, jak będziesz chciała. Jutro tu wrócę...

Mógłby dodać: „i każdego dnia do kresu czasu”.

Otwiera drzwi i na podłodze kładzie się wachlarz światła z korytarza.

- Dzień dobry pani - mówi jak zawsze, jak to ma w zwyczaju od piętnastu lat. - Jak leci?

- Ocaptain, mycaptain... - odpowiadam cytatem. Szczerzy zęby w uśmiechu i idzie do niszy
okiennej.

- Jeszcze nie umarłem. Co tam u sióstr?

Kiedy się usadowił, dmucham odpowiedź, która łypie na niego z monitora.

- Mają mniej więcej to, na co zasługują...

Śmieje się.

- Nie wątpię. Zwłaszcza teraz, kiedy biedaczki wpadły w twoje szpony...

Przez jakiś czas myślałam, że to on spełnia moje marzenia. Tak to nazywałam. Inne słowo - halucynacje - było zbyt niepokojące.

Pewnego wieczoru, tuż po naszym pierwszym spotkaniu, na parapecie usiadła mewa. Zwykła mewa pospolita o szarych skrzydłach i żółtych nogach. Ale był pochmurny, chłodny listopad i mewy powinny szybować gdzieś w okolicach Gibraltaru. Poza tym było rzeczą niemożliwą, żebym nagle opuściła swoje ciało i przeniknęła przez jej pierzastą skórę. Tymczasem tam się właśnie znalazłam, w białym jedwabnym puchu.

Początkowo nie zdawałam sobie sprawy, co się dzieje, kiedy się zanurzyłam w to cudo. Byłam zadyszana i zachwycona. Błony w jej wnętrzu połyskiwały jak macica perłowa, lśniła brunatna wątroba. Kości były wydrążone i kruche, jakby Wielki Dowcipniś chciał sobie z nich wystrugać fujarkę, ale się zmęczył i zamienił swoje dzieło w najbardziej wrzaskliwego, paskudnie skrzeczącego ptaka. Dopiero kiedy spojrzałam w dół, dotarło do mnie, gdzie jestem. Siedziałam w czarnym oku mewy.

Nigdy nie zapomnę swojego przerażenia i tego niesamowitego huków, z jakim wróciłam do własnego ciała. Wyłam. Rozdziawione usta wypływały guturalną papkę histerycznych samogłosek. Ktoś biegł korytarzem, stukwały obcasy, w sekundę później zadudniły inne kroki. Przed moim pokojem stanęły trzy kobiety w białych fartuchach i w tym samym momencie, w którym otworzyły drzwi, mewa odfrunęła.

Po tym wieczorze przyszły następne.

Najpierw okropnie się bałam. Na widok spacerującej po suficie muchy czym prędzej zamykałam oczy i mówiłam sobie, że muszę chronić rozum, bo nic wartościowszego nie posiadam. Czasami to pomagało, czasami nie. Ni stąd, ni zowąd wisiałam do góry nogami na suficie i przez pryzmatyczne musie oczy patrzyłam na setki żyjątek na łóżku. Błyskawicznie się puszczałam i z krzykiem wpadałam w swoje ciało.

- Śnią się jej koszmary - doniosły pielęgniarki podczas obchodu. - Budzi się noc w noc i krzyczy...

- Aha - powiedział Hubertsson. - Dobrze. Znakomicie.

Widząc ich miny, poprawił się i zaordynował mi łagodny środek uspokajający.

W tamtym okresie ciągle był przystojny, nie miał uroku starych ruin, jak teraz, po prostu był przystojny. I wykorzystywał to. W każdy czwartek jeździł do „Standard Hotell” w Nykoepingu, a następnego dnia mocno spóźniony wchodził do mojego pokoju z wyrazem zaspokojenia na twarzy. Dziewczęta na oddziale rzadko bywały nieczule na jego wdzięki, przeważnie patrzyły mu w oczy o minutę za długo. Kiedy mnie kąpały albo słały łóżko, prowadziły ciche rozmowy o nim i kobietach, które zdobył. Tak przynajmniej było na początku. Później zaczęło do nich docierać, że Hubertsson odwiedza mnie niemal codziennie, i znalazłam się w świecie ciszy. Zdumiewającej i dosyć krzywdzącej.

Ja też byłam zdumiona, nie bardzo rozumiałam, o co mu chodzi. Widziałam już co prawda interesujących się mną lekarzy, zwłaszcza w tym okresie, kiedy byłam zdolną idiotką, która miała zdawać maturę, ale żaden go nie przypominał. On po prostu przychodził. Dzień po dniu. Czasami w ogóle się nie odzywał, czasami mówił bez przerwy, godzinę albo dłużej. Poznałam jego poglądy, jego zapatrywania polityczne, jego zdanie na temat degradacji środowisk naukowych i ograniczeń wynikających z wadliwego systemu specjalizacji, rozmaite pikantne szczegóły z życia jego kolegów ze studiów i nie tylko. Ani trochę mnie to nie interesowało.

Czasami mnie straszyl. Przychodził wcześniej, zanim się rozwidniło, zanim się rozbudziłam, kiedy eksplodowały we mnie wspomnienia z dzieciństwa. I ogarniała mnie panika. Cień! Serce przestawało galopować, kiedy podchodził do niszy okiennej. Cień mojego dzieciństwa nigdy zbyt nie oddalał od łóżka, chciał być blisko tej bezsilności, która go podniecała. Hubertsson nigdy jednak nie pożałował mojej niemocy. Chciał czegoś innego, czego nikt inny nigdy nie pragnął.

Minęła zima, przyzwyczałam się, zapomniłam o jego pierwszej wizycie i pytaniach, które mi wtedy zadał. Ale pewnego kwietniowego poranka znowu przyszedł z opasłą teczką. Położył ją w nogach łóżka i chwycił mnie za lewą rękę.

- Twoja matka nazywa się Ellen Johansson - zaczął. Szarpnęłam ręką z największą złością, na jaką było mnie stać, ale on nie puszczał.

- Urodziłaś się na oddziale położniczym w Motali trzydziestego pierwszego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. Za minutę dwunasta.

Moje spazmy nasiliły się, zawsze tak się dzieje, kiedy jestem czymś poruszona. Zamknęłam oczy, żeby się od niego odciąć.

- Nigdy potem już nie rodziła. Ale masz trzy siostry.

Otworzyłam oczy, zauważył to i już wiedział, że połknęłam haczyk.

- To Ellen dała ci imię Desiree. Czyli „upragniona”...

Świdrowałam go wzrokiem. Lata temu zdałam sobie sprawę z ironii tego imienia.

- Wszystko wskazuje na to, że płód rozwijał się prawidłowo.

Wielkie dzięki. To prawdziwa pociecha.

- Ale we wczesnym niemowlęctwie miałaś żółtaczkę. Bardzo poważną. Wtedy jeszcze nie przetaczano krwi noworodkom. I stąd się wziął niedowład mózgu... - Przez chwilę ssał dolną wargę. - Poza tym w trakcie porodu doznałaś kilku uszkodzeń mózgu, które stały się przyczyną epilepsji i części porażań. Możliwe, że doszło również do niewielkiego wylewu... Ellen miała zdeformowaną miednicę, to efekt krzywicy, i rodziła przez trzydzieści godzin. W tamtych czasach praktycznie nikt nie robił cesarskiego cięcia...

Umarła przy porodzie? Nagle się ożywiłam. Potrząsnęłam ręką Hubertssona, sygnalizując, że chcę mu zadać parę pytań. Nie mówiłam od miesiący, odnalezienie głosu zajęło mi trochę czasu, w końcu wydałam z siebie kilka jęków i chrząknięć. Hubertsson pomyślał chyba, że te dźwięki i niespastyczne ruchy są wyrazem mojego protestu, bo chwycił mnie jeszcze mocniej i przycisnął rękę do poduszki.

- Twoja głowa była w kiepskim stanie, ale urodziłaś się w czepku... - powiedział z nosem w papierach.

I co z tego? Nie to chciałam wiedzieć. Byłam wściekła, tak wściekła i zdesperowana, że postanowiłam napluć mu w twarz. Nic z tego nie wyszło, źle oceniłam częstotliwość skurczów i płwocina wylądowała na ścianie. To jednak wystarczyło, żeby mnie puścił. Wyprostował się, cofnął o krok i spojrzał na mnie.

- Ja też się urodziłem w czepku - powiedział. - Chyba wiesz, że to oznacza szczęście? - Wykrzywił się w grymasie, który szybko zamienił w uśmiech. - Jesteśmy wyjątkowi. Wyjątkowo szczęśliwi.

Umilkł, odwrócił wzrok i patrząc w okno, powiedział tym samym, lekkim tonem:

- Właściwie nie powinienem ci tego mówić, ale znam twoją matkę. Ellen wynajmowała mi mieszkanie, a teraz jest moją pacjentką. A raczej tym, co z niej zostało...

- Hop-hop! - mówi. - Jesteś tam? Jak się czujesz?

Mrugam powiekami i wracam do dzisiejszego Hubertssona. Stoi w nogach łóżka, ciemna sylwetka na tle porannego brzasku przedwiośnia. Światło mu nie sprzyja, wysysa wszystkie kolory z twarzy, upodabniając ją do pergaminu. Szybko dmucham odpowiedź.

- Okej. A ty?

Pytanie na monitorze pozostaje bez odpowiedzi, więc pytam znowu.

- Ty! Co z twoimi badaniami?

Wzrusza ramionami.

- Nie nudź...

Nie rezygnuję, jestem niespokojna i dmucham tak szybko, że robię błąd.

- Mówię poważnie. Sprawdzaleś?

Wzdycha głęboko.

- Tak, sprawdzałem. Tego się mniej więcej można było spodziewać. Dlatego zdecydowałem...

- Dodatkowa insulina? Dzisiaj też?

- Mmm...

Porywczo przeciąga dłonią po twarzy i patrzy na mnie.

- Przestań.

Ani myślę przestać. Chwytam ustnik i pospiesznie dmucham:

- Może miałbyś lepsze wyniki, gdybyś tyle nie pił!

Nie wiem, co mnie napadło. Przez te wszystkie lata - nawet w sylwestra, kiedy się urznął do nieprzytomności w moim mieszkaniu - udawałam, że nie widzę jego ciągót do szukania ukojenia w alkoholu. Taki był warunek, pierwszy paragraf naszej niepisanej umowy. Mogę być dowcipna i bezczelna, ale nie mam prawa do poufałości i wścibstwa. Dlatego odczuwam dreszcz niepokoju; zламаłam zasadę, zostawi mnie! Ale on nie odchodzi. Osłupiały ze zdumienia, odwarkuje w odpowiedzi:

- Na miłość boską! Jak w starym małżeństwie...

Wchodzi do niszy okiennej. Wypada mi ustnik. Stare małżeństwo? Nigdy przedtem tak nie mówił. Nawet czegoś podobnego nie sugerował. Nie ukrywam, że trochę o tym fantazjowałam, marzyło mi się, żeby Wielki Dowcipniś zakradł się do szpitala w granatowej pelerynie i gwiazdzistym diademie - jak teatralny Zeus - i zaślubił mnie Hubertssonowi. Dotknąłby mnie swoją uzdrawiającą dłonią i moje nogi natychmiast by się wyprostowały i nabrały mięśni, ręce przestałyby dygotać, twarz by się wygładziła, nabrzmiałyby obwisłe, wysuszone piersi, rozkwitłyby jak lilie zwieńczone pięknymi małymi sutkami - jak poziomki na bitej śmietanie. Nędzne kosmyki na głowie zmieniłyby się w jednej chwili w burzę włosów. Na przykład kasztanowych. Wkładanie blond peruki na takie cudo byłoby przesadą. Kto wie, czy Hubertsson nie poczułby się tym wszystkim oszołomiony i nie uciekł na długo przed nocą poślubną. Ale ja bym go przecież nie chciała płoszyć, czekałabym na jego poranne odwiedziny, siedząc na łóżku w stroju panny młodej, olśniewająco piękna. Jak Kopciuszek.

- Z czego się śmiejesz?

Łapię ustnik i kłamię jak prawdziwa żona.

- Nie śmieję się.

Prycha i odwraca się do mnie plecami. Rozwidnia się, szara godzina świtu odeszła na dobre. Będzie chyba ładny dzień. Skrawek nieba, który majaczy za Hubertssonem, jest przejmująco niebieski. Ale zmiana światła nie pomaga. Jego twarz jest tak samo żółtoszara, a zmarszczki ciemniejsze niż kiedykolwiek. Coś mnie ściska w dołku, kiedy na niego patrzę. Mój mąż? Tak. Może. W pewnym sensie.

Niewiele wiem o małżeństwie - mogę się jedynie odwołać do kilku tysięcy powieści i bliżej nieokreślonej liczby seriali telewizyjnych - ale to, co przeczytałam i obejrzałam, pod wieloma względami przypomina nasz związek. Od piętnastu lat krążymy wokół siebie, ciągle po tych samych orbitach, jak para zagubionych elektronów o jednakowym ładunku, niezdolnych się połączyć ani rozdzielić. Rozmawiamy od wielu dni, tygodni, miesięcy i lat, przemilczamy jednak to wszystko, co nas najmocniej wypala. Często zanurzaliśmy się w moje dzieciństwo, podczas gdy jego ledwie musnęliśmy. Wiem więcej o jego pracy i pacjentach niż o krótkim małżeństwie, które dawno miał za sobą, kiedy się poznaliśmy. Zataczaliśmy równie szerokie koła wokół spraw dla mnie najważniejszych. Jego spojrzenie wcześniej przestrzegło mnie przed zwierzaniem się z moich umiejętności. Dlatego udaję, że to zabawa. Gram Szeherazadę, a on gra lekarza, który pozwala na to, by nietypowy pacjent umiał mu czas opowieściami. I tak się przed sobą chowamy w chińskich pudełkach rzekomego rozumu.

Czasami boleję nad tym, że Hubertsson przy całej swojej niezwykłości jest taki zwyczajny. Cierpi na teofobię; przeraża go sama myśl o tym wszystkim, czego nie rozumie. Dlatego nie przyjmuje do wiadomości niczego, co ma związek z materią i naturą wszechświata, dlatego ziewa, kiedy z zapałem zdaję mu relację z najnowszych osiągnięć fizyki cząstek elementarnych, dlatego się denerwuje, ilekroć bawię się w rozważania o tym, że kiedy wszechświat przestanie się rozrastać i zacznie kurczyć, czas będzie się cofał. Jego to nie bawi. Cieszy go co innego. Wymyślane przeze mnie opowieści o moich asystentach i personelu szpitalnym, tak wiarygodne, że znajdują potwierdzenie w rzeczywistości. Jego zdaniem, mam wyjątkową zdolność obserwacji. Czasami nazywa to intuicją. Nareszcie przestał się dąsać.

- Czy coś się stało tej nocy? - pyta.

Jest cień nadziei, że mi przebaczy. Skwapliwie chwytam ustnik.

- Tak. Zabiłam mewę.

Wygląda na zdziwionego.

- Po co?

Chciałabym powiedzieć prawdę. Że zabiłam, bo widziałam sny Christiny. Dmuchaając niepraw-

dziwą odpowiedź, mam ten obraz przed oczami. Widzę czarne okna w domu Christiny, mewa - a ja z nią, w jej oku - siada na parapecie sypialni. Sny unosiły się nad jej łóżkiem jak mgła. Początkowo były zamazane i niezrozumiałe, ale po chwili wszystko się wyostriżyło. Na wiśni siedziały trzy dziewczynki. Potem pojawiła się Ellen, niosła tacę z sokiem i patrzyła rozbawionym spojrzeniem znad okularów tkwiących na czubku nosa.

Tylko tyle. Ale mnie to wystarczyło.

Zawrzałam gniewem jak ukwiał, ciemnoczerwone jadowite macki wysunęły się do tej zdrayczyni, Ellen, i do tych cholemych złodziejek, Christiny, Margarety i Birgitty! Nagle mój gniew ogarnął cały świat, z mewą włącznie, poderwałam ją do lotu, kazałam jej z wrzaskiem zataczać szerokie koła, dopóki nie opadła z sił i nie zaczęła dygotać. Wtedy zmusiłam ją do pikowania. Z wysokiego wzgórza poszybowała prosto w ścianę willi mojej siostry przy Sanggatan.

Hubertsson uznałby to za czyste szaleństwo, więc odpowiadam jednym zdaniem:

- Bo mewa wszystko komplikowała...

Hubertsson marszczy czoło.

- Znowu masz pietra?

Milczę. Czarny monitor skłania go do opuszczenia niszy. Staje w nogach łóżka i patrzy na mnie spod zmrużonych powiek.

- Co? Boisz się? Tylko dlatego, że to o nie chodzi?

Moja ręka uderza w kratę łóżka w wyjątkowo silnym spazmie.

Widzi to i nie reaguje.

- Nie rozumiem - mówi. - Wszystko inne aż się z ciebie wylewa, ale ta historia zajmuje ci całe lata. Jeśli się boisz, to tym bardziej powinnaś to zrobić!

Chwytam ustnik.

- Jesteś psychiatrą?

Prycha w odpowiedzi, podchodzi do stołu i głaszcze czarną teczkę.

- Potrzebujesz więcej informacji?

Wydaję z siebie dźwięk, który powinien zabrzmieć jak „nie”. Nie potrzebuję więcej informacji. Pierwszy raz przyniósł tę teczkę kilka lat temu. Mnóstwo w niej kart choroby, zdjęć i wycinków prasowych o mojej matce i siostrach. Większość znam na pamięć.

- Co mówisz?

Łapię ustnik i dmucham.

- Nie. Nie potrzebuję. Tym razem wszystko będzie w porządku...

- Mogę przeczytać?

- Nie. Jeszcze nie. Dopiero jak skończę.

Odwraca się do mnie plecami, wkłada ręce do kieszeni i patrzy na obraz na ścianie - sztamkowy wytwór z IKEI. Jego reakcja mnie niepokoi, zmusza do działania. Dmucha z takim impetem, że ustnik wypełnia się śliną.

- Ty! Tym razem się nie poddam. Obiecuję.

Słyszysz, kiedy kończę dmuchać, odwraca się, czyta i uśmiecha. Przebaczył mi.

- Dobrze.

Zapada cisza, nasze oczy spotykają się. Dopiero teraz widzę, że czegoś mi brakuje, tego ulotnego błysku, który zawsze czaił się w jego spojrzeniu. Wiem, co to znaczy. Wie to każdy, kto spędził życie w szpitalu. Jest mało czasu.

Szczęki zaciskają się, gryzą ustnik. Głowa odskakuje gwałtownie, gumowa rurka rozciąga się w brudnożółtą kreskę. Hubertsson podchodzi do łóżka i ostrożnie wyjmuję mi ustnik. Jego skóra ciągle pachnie migdałami. A zapachy mają kolory. Cały pokój rozjaśnia poranna zorza.

O żadnych wykrętach nie może być już mowy. Muszę wziąć moje siostry w obroty. Ale jeszcze nie teraz. Teraz chcę zamknąć oczy i przez chwilę powdychać zapach migdałów.

Gdzie indziej

Przeszłe i przyszłe stożki światła w wypadku P. dzielą czasoprzestrzeń na trzy obszary (...).

Gdzie indziej jest obszar czasoprzestrzeni dla P., którego nie ma ani w przyszłym, ani w przeszłym stożku światła.

Stephen W. Hawking

LIST WYGLĄDA DZIWNIE, do niczego nie jest podobny. Ktoś wykorzystał używaną, rozciętą kopertę, zakleił ją taśmą i wpisał nazwisko Christiny obok poprzedniego, które przekreślił długopisem wyraźnymi pionowymi kreskami. Charakter pisma jest nienaturalny, przypomina kiepską podróbkę. Litery pochylają się w różne strony, niektóre są nabazgrane byle jak, inne mają wykwintne zawijasy. W prawym górnym rogu został ślad po znaczku, w lewym górnym rogu są aż trzy znaczki, przyklejone krzywo i nieostemplowane. Nie jest to więc zasługą poczty, że list znalazł się w skrzynce Christiny.

Astrid, myśli, i ziemia się pod nią kołysze, zanim sobie uświadomi, że Astrid przecież umarła, nie żyje od trzech lat. Jednocześnie czuje, że jej ciało nie dało się przekonać, chociaż zmusiła się, żeby ją zobaczyć i dotknąć dłońmi, które były jeszcze bielsze niż dłonie Astrid. Ale mięśnie, nogi i nerwy nie wierzą, reagują tak, jakby Astrid żyła. Czuje ucisk w krzyżu, ból promieniuje i opasuje jej biodra łożowaną obręczą.

Mimo że jest lekarzem - a może właśnie dlatego - Christina nie zna lepszego sposobu na ból niż zignorowanie go. Przesuwa okulary na czoło, pochyla się nad kopertą i próbuje odczytać nazwisko poprzedniego adresata. Siwe światło poranka jest zbyt słabe, pod niebieskimi kreskami rozróżnia tylko pojedyncze litery: A, E i S. Usiłuje rozerwać kopertę, ale i to się nie udaje. Taśma jest za gruba. Potrzebuje nożyczek.

To nie Astrid, myśli, idąc do domu, i odwraca kopertę. To Birgitta. Oczywiście, że Birgitta. A to znaczy, że będę musiała zadzwonić do Margarety, a Margareta zacznie się dąsać, bo nie widziałyśmy się od lat... Czy my naprawdę musimy udawać w nieskończoność, że jesteśmy siostrami?

Kiedy potyka się o martwego ptaka, zapomina o liście, wkłada go do kieszeni podomki, już o nim nie myśli. Cofa się o krok, widzi szarą błonę na czarnych oczach mewy i unosi górną wargę w grymasie obrzydzenia.

Przyciskając do piersi „Yadstena Tidning” i „Dagens Nyheter”, biegnie, kłapiąc kaloszami, do kuchennych drzwi. Erik kroci chleb, ma zaróżowione od golenia policzki i mokre, po kąpielu rudoblonde włosy. Patrzy na Christinę jasnoniebieskim spojrzeniem, kiedy ona zdejmuje buty i przez sekundę próbuje zobaczyć siebie jego oczami: popielate zmierzwiłone włosy, chuda, w pomiętej koszuli nocnej. Nastroszony wróbel. Szybko podciąga pasek podomki, który wlekła za sobą jak ogon, zawiązuje go i sili się na spokój i rzeczowość.

- W ogrodzie leży martwy ptak. Mewa...

Erik rusza do kuchennych drzwi, ciągle z nożem w ręku.

- Gdzie?

Wyciąga szyję i idzie na palcach, Christina staje za jego plecami, pod tym samym kątem. Czuje słaby zapach mydła i tłumi nagły impuls, żeby objąć Erika i zanurzyć się w tym zapachu. To by zaszło za daleko, myśli, nie mamy czasu.

Białego ptaka trudno zobaczyć z tej odległości, zwłaszcza na tle burego śniegu i lśniącego od wilgoci żwiru.

- Tam - mówi Christina, wyciągając rękę pod jego łokciem. - Koło bzu. Widzisz?

Tak, teraz widzi: nienaturalnie wykręcona głowa, rozrzucone skrzydła i na wpół otwarty dziób. Przytakuje w milczeniu i bierze plastikową torebkę.

W ogrodzie podnosi martwego ptaka przez plastik i zawiązuje.

- Ciężki - konstatuje, wchodząc do kuchni. - Chcesz zobaczyć? - Podnosi torebkę, waży mewę w dłoni i już formułuje swoją teorię. - Skręciła kark. Musiała wlecieć prosto na ścianę, wydawało mi się, że o wpół do piątej słyszałem jakiś głuchy odgłos, ale myślałem, że to wiatr... A ty coś słyszałaś?

Christina przecząco kręci głową. Erik patrzy na nią, po czym przenosi wzrok na mewę.

- Pewnie była chora, zdrowe ptaki nie wpadają na ściany... No tak, nie ma sensu trzymać jej tutaj. Wyrzucę ją do śmietnika przed domem...

Potem długo myje ręce pod strumieniem gorącej wody, dopóki się nie zaczerwieni i nie będzie

już widać jasnych piegów.

„Profesor Christiny”.

Tak Margareta mówi o Eriku. Mimo że Erik nie jest profesorem, od lat drepcze w miejscu na stanowisku docenta.

A jednak w określeniu Margarety coś jest. Erik wygląda jak karykatura profesora. Wąski w ramionach, blade, łysina okolona bujnym wianuszkiem rudych loków. Fryzura a la Einstein - śmieje się Margareta we wspomnieniu Christiny, ale tym razem Christina nie zamierza jej wtórować i zaciska usta.

Nie dlatego, że Erik zauważyłby jej uśmiech podczas ich wspólnego śniadania. Zagłębił się w lekturze „Dagens Nyheter”, po omacku, nie patrząc, sięga po masło. Niekiedy Christina odsuwała masło, obserwowała jego daremne wysiłki i mierzyła czas. Rekord wyniósł osiem minut. Dopiero po ośmiu minutach Erik oderwał się od gazety.

Mieszkali wtedy w Linköpingu. Nastoletnie córki-bliźniaczki, w najbardziej nieznośnym okresie swojego życia, siedziały przy stole naprzeciwko siebie - Asa obok mamy, a Tove obok taty - i w milczeniu przyglądały się wędrownice masła. Kiedy Erik podnosił wzrok znad gazety i patrzył zdezorientowany, Christina chichotała, Asa marszczyła czoło, a Tove prychała. Potem niemal jednocześnie się podnosiły, z ostentacją wsuwały krzesła pod stół i mówiły chórem:

- Rany, ale wy jesteście dziecinni!

Tak, myśli Christina. Może jesteście. Przynajmniej Erik. Erik jest dziecinnie w najlepszym tego słowa znaczeniu, bo ciągle jest ciekawy świata. Większość mężczyzn traci tę ciekawość we wczesnym okresie dojrzewania i poświęca resztę życia na jej zwalczanie. Ale nie Erik. On nie walczy po to, żeby wygrać, tylko po, żeby wiedzieć.

Teraz wyjeżdża. Na piętrze w sypialni leży otwarta walizka i czeka na ostatnią koszulę. Nie będzie go przez pięć miesięcy, pięć miesięcy Christina będzie sama. Po raz pierwszy, b przedtem zawsze zostawała z córkami. Ale teraz są już duże, uczą się w Uppsali i rzadko wpadają do Yadsteny.

Christina nie jest niezadowolona. Przeciwnie. Przybrała wprawdzie ponurą minę, kiedy Erik, pełen poczucia winy, poinformował ją, że jeszcze raz będzie musiał wyjechać w sprawie ważnego naukowego projektu, ale w głębi duszy się ucieszyła. Takie miłe łaskotanie złotej rybki radości, że będzie miała spokój.

Uśmiecha się do siebie na myśl o samotnych śniadaniach. Czarna kawa, świeży sok z pomarańczy, ciepłe bułeczki z cheddarem i jej ulubiona marmolada. Jak tylko wróci z lotniska, wyrzuci jego płatki owsiane i musli. Może pomyśli o kocie...

Ile razy marzy się jej spokój i swoboda, Erik na swój sposób to przeczuwa. Teraz opuszcza gazetę, patrzy na nią i mówi:

- Czy nie mogłabyś wziąć w maju paru tygodni urlopu i przyjechać do mnie?

Christina nieszczerze się uśmiecha. W maju, zamiast się pocić w jakimś ośrodku uniwersyteckim w Teksasie, ma zamiar siedzieć w ogrodzie i patrzeć na pierwsze pąki bzów.

- Może bym i mogła. Wszystko zależy od Hubertssona. Jeśli będę go musiała zastąpić, to się raczej nie uda...

Tyle mu wystarczy, żeby zrejterować, kiwa głową i podnosi gazetę. Choroba Hubertssona wyraźnie go peszy, nie chce tego słuchać. Lekarz, który lekceważy swoją cukrzycę, pije i fatalnie się odżywia, przyprawia o niepokój i konsternację myślących, rozsądnych ludzi. A Erik jest rozsądny.

Christina patrzy na jego zmarszczone czoło, kiedy czyta artykuł wstępny w „Dagens Nyheter”, i nie po raz pierwszy ogarnia ją wstydliva czułość. To mój mąż, myśli. Nawet więcej, mój wybawca i obrońca. Zawsze był dla mnie dobry, a mimo to chciałabym, żeby go nie było...

Impulsywnie się podnosi, podchodzi do niego i całuje w łysinę na czubku głowy.

- Już za tobą tęsknię - mówi.

Czuje jego wahanie. Erik na moment sztywnieje, potem wstaje, obejmuje ją i całuje: w szyję, policzki, uszy. Zawsze tak było, w zamian za jeden pocałunek jest pocałunkami obsypywana. W nadmiarze. Jej miłość tonie w powodzi jego miłości. Musi się przemóc i nie odsuwać go od siebie. Zmąciłoby to na całe miesiące spokój ich umysłu; żadne z nich nie zapamięta jej pocałunku, tylko jej niechęć.

Ale Erik już się opanował, już jej nie całuje, trzyma jedynie w objęciach i tak jest naprawdę dobrze.

- Też za tobą tęsknię - przyznaje i głaszcze ją po głowie. Christina uwalnia się z objęć, wkłada rękę do kieszeni i w tym momencie coś sobie przypomina. List! Ten dziwny list.

- Spójrz - mówi, wyjmując kopertę. - Leżał w skrzynce z porannymi gazetami.

Ale Erik już wrócił do „Dagens Nyheter” i obrzuca kopertę roztargnionym spojrzeniem.

- Od kogo?

Christina wzrusza ramionami i bierze nożyczki.

- Nie wiem...

Przytrzymuje dość grubą kopertę i starannie odcina milimetrowej szerokości pasek górnej krawędzi. List ma z pewnością wiele stron.

Ale kiedy wyjmuje zawartość koperty, myśli, że się pomyliła, że to nie list, tylko pakiecik owinięty w różową bibułę, kryjącą coś niedużego i cennego. Nic cennego się tam jednak nie kryje; rozwijając bibułę na kuchennym stole, odnosi wrażenie, że w środku nic nie ma. Dopiero po chwili dostrzega kilka linijek skreślonych ołówkiem. Litery nie mają więcej niż dwa milimetry.

Christina przysuwa lampę, ustawia pod odpowiednim kątem nad różową bibułą i czyta:

„Ja jestem tą upragnioną.

Ja jestem tą, która nie przyszła.

Ja jestem zapomnianą siostrą”.

A kilka centymetrów niżej tycimi bazgrołami:

„Ja też siedziałam na wiśni Cioci Ellen.

Choć nic nie zauważyłyście!

Ciocia Ellen, ciociaela, tarantela, tarantula!

Pająk czy taniec?

Pająk!”

- Ohyda! - mówi Christina godzinę później i wrzuca piąty bieg. - Chore, obrzydliwe, neurotyczne. Jakie tym razem szykuje przedstawienie? Myślałam, że to już koniec, że repertuar się wyczerpał. Była „Biedna Birgitta o złej reputacji” i „Niewinna Birgitta w szponach narkotyków”, by nie wspomnieć o całej serii inscenizacji na temat „Dzielna Birgitta przestaje ćpać, ale wskutek nieprzewidywanych komplikacji znowu się stacza”! Mam jej dosyć! I mam dosyć Margarety! Po co, do licha, te siostrzane zabawy z obcymi ludźmi, kiedy się dobija do pięćdziesiątki? Owszem, przez kilka lat mieszkałyśmy razem, ale nie liczyła się ani Margareta, ani Birgitta. Tylko Ciocia Ellen. Teraz nic mnie z nimi nie łączy. Nic a nic. Nada!Zero!

Erik kładzie dłoń na jej ramieniu.

- Jedziesz za szybko, uspokój się. Nie przejmuj się tym listem, po prostu go wyrzuć i włącz automatyczną sekretarkę, żebyś wiedziała, kto dzwoni. Prędzej czy później zrozumieją, że nic cię to nie obchodzi...

- Ha!- kwituje Christina. - Akurat! Birgitta miałyby zrozumieć takie finezje. Albo Margareta. Tu jest potrzebna ciężka artyleria. Żadna z nich nie wykazała się wyczuciem subtelności egzystencji...

Erik śmieje się. Christinie mija gniew, odwraca się do niego, rude włosy przeświecła słońce. Po szarym poranku nie ma śladu, niebo jest jasnoniebieskie, na czarnych wilgotnych polach skrzą się gdzieniegdzie plamy śniegu.

Wzięła dzień urlopu, żeby go zawieźć na Arlandę. Mają dużo czasu, do odlotu samolotu zostało kilka godzin. Christina redukuje bieg. Pośpiech jest bez sensu, przez ostatnie godziny mogą się nacieszyć sobą.

Ale Erik nie chce się cieszyć. Zaraz po wjeździe na autostradę, znudzony siedzeniem bez ruchu, pyta z rozdrażnieniem:

- Czy pod moją nieobecność planujesz jakieś wielkie zmiany w Postindustrialnym Raju?

Christina z westchnieniem powstrzymuje się od opryskliwej odpowiedzi. Od dwudziestu trzech lat musi znosić tę jego zrzędliwą zazdrość i nic bardziej jej nie irytuje. Długo wierzyła, że to tylko kwestia czasu. Nie sądziła jednak, że się skupi na domu.

Bo tak właśnie jest. Erik jest zazdrosny o ich dom. Mimo irytacji Christina musi przyznać, że

ma powody. Christina rzeczywiście kocha Postindustrialny Raj.

Kiedy dziewczynki wyjechały do Uppsali, Erik uznał, że dom w Linkópingu jest za duży i że on też może jeździć do pracy, tak jak ona przez całe lata kursowała między Linkópingiem i Yadsteną. Pokazała mu więc czerwony dom z XVIII wieku, ale okazało się, że Erik ma inne plany. Otóż chciałby mieszkać w bloku. W centrum Linkópingu było dużo ładnych mieszkań, schludnych i wygodnych, niedaleko uniwersyteckiego szpitala. Czy nie byłoby lepiej, gdyby Christina załatwiła sobie pracę w Linkópingu? Reforma statusu lekarza domowego stwarza przecież nowe możliwości... Przez całe ich małżeństwo Christina chodziła koło Erika na palcach, byle tylko go nie niepokoić ani niepotrzebnie nie irytować. Sprzeczki i podniesione głosy zawsze napawały ją lękiem. Wystarczyła jedna opryskliwa odpowiedź, a już czuła panikę. Dlatego się podporządkowywała i ulegała, z mieszanymi uczuciami lęku i obojętności. Skąd miałyby brać siłę na kłótnie o życiowe błahostki? Z wielkim trudem mobilizowała się do codziennego wstawania z łóżka, całą energię pochłaniało dźwiganie wielkiej tajemnicy, zatrzważającej i przykrej.

Wstydziała się. Jej uległość była czymś w rodzaju kłamstwa, sposobem manipulowania Erikiem, czego on wydawał się nie dostrzegać. Jak większość mężczyzn, miał klapki na oczach, uważał za rzecz całkowicie oczywistą, że ona zawsze chce tego samego co on. To przecież najrozsądniejsze pod słońcem.

Ale kupno starego domu przy Sangatan w Yadstanie odmieniło Christinę. Gdyby dano jej do wyboru: Erik albo dom - wybrałaby dom. I Erik chyba to sobie uświadomił. Widząc, jak Christina waży w dłoni klucz, przestał mówić o mieszkaniu w centrum Linkópingu i uznał swoją porażkę. W bezsilnym rewanżu pozwolił sobie jedynie na uwagę, że owszem, ewentualnie się tam przeniesie, ale nie znajdzie czasu na zajmowanie się remontem. Ma nadzieję, że ona to zrozumie i weźmie to na siebie.

I wzięła. Podczas gdy Erik chodził z kąta w kąt w ich mieszkaniu w Linkópingu, ona przez kilka miesięcy cały swój wolny czas poświęcała nowemu domowi. Zeskrobała olejną farbę, usunęła winylowe tapety, zdjęła zakurzone wykładziny, wycyklinowała podłogi, nadzorowała roboty hydrauliczne, elektryczne, stolarskie i dekarские, pomalowała drzwi i szafy temperą. Stopniowo przywracała domowi jego pierwotną świetność, z chaosu zaczęło się wyłaniać doskonałe połączenie starego rzemiosła i nowoczesnego komfortu. Ten dom był bardziej jej niż Erika. Wzięła go w posiadanie dzięki swojej pracy. Po raz pierwszy w życiu czuła, że coś naprawdę ma, i po raz pierwszy zrozumiała, jaką to daje przyjemność.

A to Erik wymyślił nazwę domu. Salon był już gotowy, tyle że jeszcze bez mebli, Christina rozpałała ogień w kaflowym piecu i otworzyła podwójne drzwiczki, żeby zobaczyć wspaniałą grę cieni na perłowoszarych ścianach. Erik był zaskoczony, zatrzymał się w progu i powiedział:

- Jakby się patrzyło w inne czasy...

Z rękami w kieszeniach zrobił trzy kroki w przód i stojąc na szerokich deskach podłogi, przyglądał się wszystkim detalom.

- Gratuluję, Christina - powiedział z uśmiechem. - Stworzyłaś postindustrialny raj. Wydaje się, jakby wiek dwudziesty nigdy nie istniał, jakby był jedynie niefortunnym nawiasem.

Jego żart odebrał jej pewność siebie. Niemal się zawstydziała, poczuła się jak nieokrzesana przyjaciółka pasera, jak pasożyt, który chełpi się skradzionymi klejnotami. Przez kilka tygodni zastanawiała się nad słowami Erika, próbując zrozumieć swoje przykre odczucia.

W zasadzie o swoim neurotycznym stosunku do tradycji wiedziała od dawna, to dlatego czuła niedosyt, wieczny głód, gorycz i zazdrość. Erik nie był w stanie tego pojąć. Wzruszał ramionami, słysząc po raz setny o najróżniejszych księżach i lekarzach, których geny miał w sobie, i wpadał w irytację z powodu wszystkich starych książek i plebańskich mebli, które on i jego siostry mieli pieczołowicie przechowywać. Po co mu te śmieci? Zajmuje się medycyną, a nie antykwarystwem, wie, kim jest i skąd się wziął, nie musi wlec za sobą tych staroci.

Nie rozumiał Christiny, która czuła się jak przedstawicielka rodu wszystkich pozbawionych pepowiny, ludzi anonimowych, którzy wylęgli się jak ptaki albo jaszczurki. Rozkładał ręce i zbywał ją banałami. Przecież wie, że jej matką była Astrid. Jeśli chce wiedzieć więcej, niech zajrzy do rejestru ewidencji ludności. I co z tego, że nie ma żadnych wspomnień sprzed siódmego roku życia? Pamięta

przecież szpital i dom dziecka, lata spędzone u Cioci Ellen, a potem u Astrid. Jeśli jej tego mało, wystarczy się zapoznać ze starymi raportami szpitalnymi i papierami z komisji opieki nad dziećmi...

- Ty nic nie rozumiesz - powiedziała kiedyś z rezygnacją. - Ja nie chcę swojej przeszłości. Chcę cudzej.

I to jej dał Postindustrialny Raj. Kupując dom, kupiła przeszłość i tradycję, posiadała ją jak wszyscy ci, którzy zdobywają coś na własność. Na drzwiach wejściowych widniała data: 1812, ale dom był starszy. Na zabytkowej etażerze w salonie leżał biuletyn Towarzystwa Miłośników Yadstény, w którym była informacja, że pierwszy dom na tej parceli stanął pod koniec XIV wieku. Więcej przeszłości ktoś przeszłości pozbawiony chyba nie może sobie kupić.

Miłość nie potrzebuje racjonalnych przesłanek. Christina kochała Postindustrialny Raj, ślepa i głucha na wszystko, co miało jakikolwiek związek ze zdrowym rozsądkiem. Kiedy była w domu sama, przyłapywała siebie na przedziwnych zachowaniach: przytulała policzek do szyby, głąskała ścianę albo przez bite dwadzieścia minut stała w kącie salonu i patrzyła, jak ciepłe światło zmierzchu kładzie się anielskim puchem na jasnych ścianach. Raz, obejmując drzwi, przycięła sobie palce. Kiedy tego samego dnia wieczorem Erik wrócił z pracy, miała wyrzuty sumienia, jakby spędziła popołudnie z kochankiem, jakby sińce na palcach były równie kompromitujące jak maliny na szyi. Erik to wyczuł. Zdecydowanie za mocno ścisnął jej palce, kiedy je bandażował.

Mój mąż, pomyślała jak zwykle i odruchowo pogłąskała go po policzku.

Mój mąż.

Asa i Tove czekają przed terminalem. Erik widzi je z daleka i wydaje okrzyk zdumienia. Christinę wzrusza jego reakcja. Nie spodziewał się, że córki przyjadą z Uppsali na Arlandę tylko po to, żeby się z nim pożegnać. Wysiadła z samochodu i zanim Christina zdąży wyłączyć silnik, obejmuje je. Stoją blisko siebie, jak piłkarze mobilizujący się przed meczem. Lisy, myśli Christina. Jak drużyna piłkarska Lisów. Albo członkowie Towarzystwa Rudowłosych na dorocznym mityngu. Dla mnie nie ma tam miejsca.

Starannie zamyka samochód i podchodzi do nich.

Następne godziny są dosyć gwarne i ruchliwe. Erik biegnie po odprawie do kiosku, dziewczynki zgłodniały i chcą zjeść lunch w „Sky City”. Ale do restauracji docierają godzinę później, bo po drodze muszą wejść do każdego sklepu. Erik, w napadzie nietypowej dla niego rozrzutności, z uśmiechem na ustach płaci za wszystko. Torebki? Oczywiście. Mullberry? Każdej po swetrze? Oczywiście, ręczna robota. Rękawiczki? A jakie to ma znaczenie w tym powszechnym wyścigu?

Później, kiedy samolot odleciał i dziewczęta wsiadły do autobusu, mocno zaciskając dłonie na wszystkich torbach z zakupami, Christina lekkim krokiem idzie na parking. Wystawia twarz na wiatr, włosy powiewają, przez sekundę ma wrażenie, że wzbija się w powietrze i pofrunie. Jest wolna. Całkowicie wolna. Nie musi się nigdzie spieszyć, nie musi gotować obiadu, nie czekają na nią dzieci ani pacjenci.

Po raz pierwszy od przeszło dwudziestu lat ma siebie dla siebie.

Wciska pedał gazu, silnik pomrukuje radośnie, i wolno wyjeżdża z parkingu.

Nagle chwyta ją tęsknota. Zatrzymuje się na kawę przy Nykópingsbro i kiedy opuszcza kafejkę, przypomina sobie szorstki policzek Erika na swoim i aksamitne policzki dziewczynek. Odczuwa to jak czysto fizyczny ból, nabrzmiały od krwi, uciskający przeponę: moja rodzina! Cztery godziny temu jedliśmy lunch i mówiliśmy jedno przez drugie, teraz jest cicho, jakby ich nigdy nie było... Chcę mieć ich tutaj, przy sobie, koło mnie!

Na parkingu oddycha głęboko. Ściemnia się, powietrze jest chłodne i wilgotne. Opodal pustego parkingu dla ciężarówek rośnie zagajnik, przypomina kohortę rzymskich żołnierzy czekających na rozkaz wymarszu. Ale rozkaz nie pada. Świat zamarł, jest bezwietrznie i spokojnie, przez chwilę nie słychać nawet szumu samochodów. Christina otula się peleryną i patrzy w niebo. Ma kolor bzu. Poza tym jest puste. Żadnych chmur, żadnych gwiazd, ani jednego samolotu.

Wszystko zniknęło, myśli. Już ich nie ma i mnie dla nich nie ma...

Jakiś mężczyzna przecina parking i jego spojrzenie dyscyplinuje ją, z przesadną gorliwością szuka w torebce kluczyków do samochodu. W środku zapala światło i przegląda się w lusterku wstecz-

nym. Kiedy się zegnali, Erik miał wilgotne oczy, Asa pociągała nosem, a Tove otwarcie płakała. Tylko ona nic nie czuła.

- Co ze mnie za jedna? - pyta głośno swojego odbicia w lusterku, po czym powtarza jeszcze głośniejszym głosem, jakby mówiła do pacjenta z wadą słuchu: - Co ze mnie za jedna?

Kilka godzin później podskakuje na kocich łbach Sanggatan. Postindustrialny Raj stoi w blasku samotnej latarni jak obietnica, pod dobrą opieką starej Czerwonej Wieży, wznoszącej się po drugiej stronie ulicy. Christina wysiada z samochodu i przez chwilę stoi nieruchomo, przekrzywia głowę, jakby nasłuchiwała. Miasto jest pogrążone w kompletnej ciszy. Nagle znad Yattem nadlatuje wiatr, szumi i śpiewa, przynosi z sobą zapach koniczyny i wiosny. Jakby się ułożył na jej plecach i popychał naprzód. Niechętnie podchodzi do skrzynki. Otwiera ją, pełna najgorszych przeczuć, ale na dnie jest tylko rachunek i ulotka reklamowa.

Przez chwilę spaceruje po ogrodzie. Zatrzymuje się koło krzaka bzu i przesuwa stopą po zwi-rze, jakby chciała pogrzebać wspomnienie o martwym ptaku. Nie widzi ognika papierosa, nie widzi, że na kuchennych schodkach ktoś siedzi i na nią patrzy. Dlatego podskakuje, słysząc szorstki głos:

- Cześć, Christina. Też dzisiaj dostałaś list?

NIECH MNIE KULE, ALE ONA wymuskana, myśli Margareta. Lodenowa peleryna i skórko-we rękawiczki! A pod tą elegancją ma na pewno apaszkę „Hermesa”... łańcuchy, koński łeb i cały ten kram. Rany!

Wstaje, gasi peta obcasem, rozciera go na miazgę. Potem wkłada list do kieszeni i z udawaną nonszalancją podchodzi do krzaka bzu. Christina ma na w pół otwarte usta, uniosła górną wargę i obna-żyła zęby.

- Przestraszyłam cię? Przepraszam, nie chciałam...

Christina podnosi rękę do kołnierza, zmrużonymi oczyma krótkowidza patrzy zza grubych szkieł.

- Margareta? To ty?

Zbyteczne pytanie, dobrze wie, kto to jest. Szorstki głos, przesadna nonszalancja, jakaś nie-przewidywalność - to nie może być nikt inny, tylko Margareta.

- Cześć! - mówi nieco jaśniejszym głosem. - Miło cię widzieć! Długo czekasz?

- Kilka godzin. Zaczęłam podejrzewać, że masz nocną zmianę.

- Oj, to na pewno zmarzłaś.

- Spokojnie, ubrałam się po norrlandzku. Było znakomicie...

Margareta oczywiście kłamie. Co prawda nie zmarzła - rzadko marznie, grzeje ją ciut za gruba warstwa tłuszczu - ale znakomicie jej nie było.

Na dobrą sprawę cały dzień był do bani, ta jej podróż w przeszłość. Podczas samotnych godzin spędzonych w ogrodzie Christiny musiała przyznać przed samą sobą, że niczego innego się nie spo-dziewała. Niektóre wspomnienia trzeba zostawić w spokoju, są delikatne jak pajęczyna, nie znoszą ani myśli, ani słów. Trzeba się zadowolić tym, że od czasu do czasu pojawią się w nagłym przebłysku świadomości.

Tak było w Tanumie: mokry od rosy, przezroczysty obraz majaczył na obrzeżach świadomości, poruszała się wtedy bardzo ostrożnie. Tylko raz próbowała go zwerbalizować. Kochali się z Claesem i potem, kiedy odpoczywali, zaczęła mu wyjaśniać, dlaczego wybrała fizykę. Szeptem, niepewnie opo-wiedziała mu o wędrownicy młodej Margarety przez wrzosowisko, o tym, że tuż przed wschodem słońca niebo przybrało jasnorożowy wrzosowy odcień, że niebo i ziemia połączyły się w jedno i światło po-ranka zgasiło Gwiazdę Polarną.

- Właśnie wchodziłam na wzgórze... Ze szczytu spojrzałam na wrzosowisko i zobaczyłam trzy białe czasze. Trzy anteny paraboliczne. Ale wtedy tego nie wiedziałam, wtedy mało kto wiedział, co to jest antena paraboliczna. Podejrzewałam, że mają coś wspólnego z kosmosem... I bardzo się ucieszy-łam! Byłam niesamowicie szczęśliwa... że po prostu były... duże... ładne...!

Claes, który leżał w milczeniu w jej objęciach, usiadł i postawił stopy na podłodze.

- Wielkie nieba! - powiedział z udawanym niepokojem. - I tylko dlatego chciałaś studiować?

Roześmiała się, też usiadła i spuściła stopy na sosnową podłogę. Szturchnęła go łokciem.

- Czy to nie twoje słowa, że lekki fioł nikomu nie wadzi?

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Jasne. Ale nie pierwszy lepszy fioł!

Nie była z siebie zadowolona. Dlaczego tak się rozgadała? Powinna była zacisnąć zęby i milczeć. Powinna była przyjąć do wiadomości, że czymś takim nie można się z nikim podzielić, nawet z najbliższym przyjacielem i kochankiem. Miało to coś wspólnego z duchem czasu, z lękiem Claesa przed tym, co wieczne.

Właściwie dałoby się opisać słowami jej odczucia, ale tych słów Claes - reprezentant nowoczesności - nie byłby w stanie zaakceptować. Gdyby powiedziała, że na widok anten mocniej zabiło jej serce, że zaczęła myśleć o morskich katastrofach i bezludnych wyspach, byłby zażenowany. A gdyby dodała, że było to przeżycie religijne, poczułby się niemile dotknięty. Rozumni ludzie nie miewają przeżyć religijnych. Nie w naszych czasach.

Ale tak właśnie było. Serce rzeczywiście zabiło jej mocniej i po raz pierwszy w życiu pomyślała o obecności Boga. Anteny były potężniejsze od katedr i ruin świątyń, które zwiedziła podczas studiów archeologicznych, i budziły większy szacunek. Poczuli się jak Robinson Crusoe; Robinson, który po latach czekania nareszcie zobaczył żagiel na horyzoncie.

- O, tak! - powiedziała głośno, nie bardzo wiedząc, co ma na myśli. - O, tak!

Wschodzące słońce przydało wrzosom głębszego odcienia, setki tysięcy kwiatów pozbyło się anemicznych nocnych barw i zajaśniało czystą purpurą, zaśniły złotem srebrzyste dotąd trawy i ogromne czaszki rozbłysły na moment wszystkimi kolorami tęczy. I nagle odkryła, że czaszki wcale nie są żaglami. Tylko głosem. Krzykiem tęsknoty do wszechświata. Tutaj jesteśmy! Tutaj jesteśmy! Zbawcie nas!

Dzisiaj nic już z tego nie zostało. Nawet wspomnienie. Dzisiaj zerwała pajęczynę. Nigdy więcej nie będzie wspominać młodej dziewczyny klęczącej we wrzosach, ze spojrzeniem utkwionym w antenach, bo to wspomnienie zakłóci pamięć innego obrazu: Kobieta w średnim wieku zatrzymuje samochód na poboczu i wysiada. Jej na wpół przymknięte powieki drżą, patrzy w dół, jakby chciała intensywniej odczuć czekającą rozkosz. Stała w dokładnie przemyślanym miejscu, przy drzwiach od strony pasażera, i dopiero wtedy otworzyła oczy, szeroko, jak najszerzej, żeby mogły się nasycić widokiem czas...

Ale się nie nasyciły. Margareta zamruwała powiekami i uświadomiła sobie, że choć wrzosy i anteny są takie jak dawniej - dla nich dwadzieścia pięć lat to zaledwie technienie - ona się zmieniła. W głowie tej innej Margarety dziesiątki tysięcy informacji skutecznie zatarły głęboki szacunek. Patrzyła na białe czaszki, daremnie usiłując przywołać wspomnienie katedr i ruin świątyń, morskich katastrof i białego żagla. Wiedziała, co widzi, dlatego nie było miejsca na wspomnienia. Krzyk do wszechświata? Trzy najzwyklejsze anteny paraboliczne do odbioru satelitarnego. Ostatecznie można by je uznać za uszy. Miała doznawać religijnych uniesień z powodu uszu? Oczy mogą być jak ogień, ale uszy są i będą banalnymi lejkami. Owszem, ważne i przydatne, i równie godne szacunku... jak nagniotki.

- Kretynka! - powiedziała głośno, kopiąc żwir na poboczu. - Idiotka! Pomyłona! Kapuściany łeb!

W głowie zakołatała myśl: A co by było, gdyby nie wybrała się tamtej nocy na przechadzkę? Pewnie od dawna miałaby tytuł doktora. Nad doktoratem z archeologii nie siedzi się dłużej niż pięć lat. Fizykom zajmuje to od dziesięciu do piętnastu. Archeolodzy wyjeżdżają na seminaria i konferencje do Grecji, wieczorami popijają wino i wdają się w romanse. Fizycy spędzają samotnie całe noce w jakichś chłodnawych barakach w Norrlandii i wgapiają się w swoje instrumenty. Przynajmniej tacy średnio zdolni fizycy jak Margareta, pozbawieni pewnego myślowego luzu, jaki cechuje prawdziwe talenty, które łądują w CERN-ie w Szwajcarii.

Tak, tak, myślała Margareta, wsiadając do samochodu i przyciskając pedał gazu, najwyższy czas sobie uzmysłowić, że żaden ze mnie talent...

Obszukała dłońmi fotel pasażera, znalazła papierosy i zapaliła. Dym załzawił jej oczy, zamruwała powiekami, łzy spłynęły. Ale widziała źle. Oczy znowu były wilgotne.

Z irytacją przesunęła palcem pod nosem. Czyżby naprawdę płakała? Ona, Margareta Johansson, która z wyrachowania uczyniła sztukę? Ale jeszcze nie wtedy. Nie płakała od piętnastu lat i nie zamierzała znowu zaczynać. W samochodzie było po prostu za dużo dymu... Opuściła szybę. Wiatr rozwiewał jej włosy, w oczach szklily się łzy.

No dobrze. Przed sobą mogła się przyznać, że jest odrobinę przygnębiona, od dosyć dawna jest odrobinę przygnębiona. Odkąd sobie uświadomiła, że wszystko w jej życiu jest połowiczne. Jest średnio sytuowanym półtalentem w średnim wieku z połową doktoratu. I ma połowiczne siostry. Czy jak je nazwać. Przez większą część roku jest pozbawiona połowy ciała, tej dolnej. Claes mieszkał w Sztokholmie, a ona w Kirunie. Poza tym od razu się zastrzegł, że może jej zaoferować tylko przyjaźń i łóżko. Połowiczny związek. Zgasiła papierosa i wykrzywiła się. Pewnie mogłaby się stać wielką atrakcją na rynku w Kiviku. Zobaczcie pół kobiety! Za jedyne pół ceny!

Pod Uddevallą przestała się nad sobą rozczulać. Zatrzymała się przed krzyżówką i spojrzała na mapę. Tak, musi jechać przez Jonköping, chociaż do Sztokholmu jest dużo krótsza droga. Ale ma jeszcze jeden przystanek na tej swojej Memory Lane.

Postanowiła nie odwiedzać Christiny w Yadstenie, mimo że znała na pamięć adres. Spokojnie ominie to zadowolone z siebie miasteczko z jego zadowoloną z siebie doktorunią i spokojnie dojedzie do Motali. Tam zapali świeczkę na grobie Cioci Ellen i zanim ruszy do Sztokholmu, dyskretnie rzuci okiem na stary dom. Nie musi się spieszyć - Claes wraca z Sarajewa za kilka dni - ale z przyjemnością po raz pierwszy pomieszka u niego sama. Nie dlatego, że chciałaby poznać jego tajemnice, ale gdyby jakaś szuflada albo szafa niechęć się wysunęła...

Zaparkowała przed „Złotą Wydrą”, zjadła lunch i przez pół godziny albo dłużej siedziała w pustym lokalu, wpatrując się w niebieskoszarą wodę jeziora Yattern. W końcu wróciła do samochodu. Przejechała kilkadziesiąt kilometrów i nagle stary fiat Claesa zazgrzytał i zadudnił jak, nie przymierzając, kolumna czołgów. Margareta zatrzymała się na bocznej drodze, obeszła samochód wkoło, żeby się zorientować, co nawaliło, nic jednak nie zauważyła. Kiedy znowu uruchomiła silnik, było jeszcze gorzej. Wolała nie wracać na autostradę i wolno potoczyła się przed siebie.

No i chcąc nie chcąc znalazła się w Yadstenie, w żółtym tempie przemierzała wąskie uliczki, dudniąc i grzechocząc. Naturalnie warsztat, do którego po pewnym czasie dotarła, nie mógł się podjąć szybkiej naprawy. Rura wydechowa była do wyrzucenia; może, przy odrobinie szczęścia, uda im się ściągnąć nową z Linkópingu.

- Jutro - powiedział szef warsztatu rozwlekłym óstgötskim dialektem. - Może go pani odebrać jutro po południu. Ale nie wcześniej.

Zestresowana, spocona Margareta poprawiła grzywkę.

- Czy to będzie dużo kosztować?

Szef uniósł cyklistówkę i spojrzął w bok.

- Możliwe. Nie wiem. Poczekamy, zobaczymy...

I kiedy wyszła z warsztatu na parking, za wycieraczką był list.

Roztrzęsiona i zdenerwowana, znalazła wreszcie dom Christiny. Nikt nie otwierał, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało. Kilka razy okrążyła dom, pukała do drzwi kuchennych i raz po raz naciskała dzwonek przy drzwiach wejściowych, by sobie w końcu uświadomić, że zachowuje się jak histeryczka. Przecież w domu mogło rzeczywiście nie być nikogo. Nie miała żadnych powodów podejrzewać Christiny o to, że się gdzieś przyczaiła, bo nie chce jej wpuścić. Nie było jej. Ot, co.

Lekko zadyszana, ale już spokojniejsza, usiadła na kuchennych schodkach i czekała. Początkowo obracała kopertę w dłoniach, przesuwając palcem po krawędzi, po chwili się rozluźniła, poczuła w mięśniach przyjemne ciepło, ręce z listem opadły; już go nie trzymała, leżał na kolanach.

To mogły być miłe chwile, gdyby jakiś natrętny głos raz po raz nie powtarzał przedostatniej linijki listu: „Co za wstyd! Co za wstyd! Nie chciał jej nikt!”

Tylko raz podczas długiego czekania Margareta wyprostowała nogę i przesunęła stopą po ogrodowej alejce. Mogłaby się założyć, że Christina co tydzień pieczołowicie ją zagrabia. Bo tak trzeba, tak je uczyła Ciocia Ellen. Zawsze w sobotę dziewczynki brały grabie, żeby spełnić swój obowiązek. Christinie przypadał odcinek od furtki do drzwi wejściowych, Margarecie niewielkie podwórko, a Birgitcie

- placyk za domem.

Gdyby Margarecie kiedykolwiek przyszło do głowy wyhaftować na makatce swoje życiowe credo, te soboty stałyby się punktem wyjścia. Napisałaby: „Jak sobie zgrabisz, tak będziesz żyć”. Bo tak było. Tak jak grabiły, tak żyły.

Ledwie Ciocia Ellen zniknęła z ich pola widzenia, Birgitta rzucała grabie w trawę, podkradała się pod dom i niewidoczna z kuchennego okna, siadała pod ścianą i patrząc spod grzywki ogryzała paznokcie. Do krwi.

Margareta gardziła nią za to. Ona nie chciała się wymigiwać, przeciwnie, zależało jej na tym, żeby podwórko ładnie wyglądało. Zamaszyście machała grabiami, rysowała kwiaty, konie cyrkowe i książniczki, po czym wybuchiała płaczem, widząc rezultaty. Wcale nie było widać, jak bardzo się stara! Nic a nic!

Tylko Christina grabiła, jak należy, pod jej grabiami żwir układał się w równiutkie pasemka. Najpierw robiła swoją część, potem Margarety, a na końcu Birgitty. Nigdy nie narzekała, trochę się tylko obawiała, że zostanie na tym przyłapana, i pracując w pośpiechu - dla siostr - rzucała lękliwe spojrzenia w stronę kuchennego okna. Chociaż... siostry jak siostry...

Margareta zmieniła pozycję, szukała w kieszeni papierosów. W ostatnich latach Christina opuściła przyłbicę, nie dawała znaku życia, nie miała czasu na spotkania. W czasie adwentu, ilekroć dzwonił telefon, Margareta z nadzieją podnosiła słuchawkę. Może Christina zaprosi ją, tak jak dawniej, na święta Bożego Narodzenia? Tymczasem dostała jedynie świąteczną kartkę z koronkami z Yadstény. „Od rodzi Wulf”. To był ostateczny dowód. Christina nie chciała jej jako siostry. „Co za wstyd! Co za wstyd! Nie chciał jej nikt!”

Nagle wszystko wydało jej się niedorzeczne. Po co tu siedzi? Drżącą ręką zapaliła papierosa. Dlaczego, u licha, narzuca się komuś, kto nie chce mieć z nią nic wspólnego? Margareta zawsze wolała odejść pierwsza, nie czekać, aż ktoś ją zostawi, powinna więc teraz wstać i poszukać jakiegoś hotelu. Machnie kartą kredytową, zje dobrą kolację - mocno już zgłodniała zamówi kieliszek wina, a potem wsunie się między czyste, wymaglowane prześcieradła...

A może wynajmą samochód i pojechać do Sztokholmu? Nie nie, nie zostawi przecież fiata w Yadstény, Claes byłby wściekły, gdyby go nie zobaczył na swoim miejscu. No i jest jeszcze ten cholerny list. Musi się komuś zwierzyć, a Christina jest - niestety - jedyną osobą, która coś z tego powinna zrozumieć. Coś się święci. Tylko trzy osoby wiedzą, co, w tym autorka. Ale do niej Margareta ani myśli się zwracać. Mogłoby się to zresztą źle skończyć, nigdy nie wiadomo, co wykombinuje taki rozmiękczony mózg.

A może jednak? Czy naprawdę jest się czym przejmować? Czy rąbnęta ćpunka z Motali jest w stanie cokolwiek zrobić Margarecie Johansson? Nie lepiej po prostu spuścić ten list w klozecie? Ten i wszystkie następne, jakie pewnie będzie dostawać przez najbliższe tygodnie? Czy da się zastraszyć?

- Nie - powiedziała na głos i zaczęła się podnosić.

Ma gdzieś te głupoty, pójdzie do najbliższego hotelu i wynajmie pokój. Birgitta może się pocałować. Christina też...

W tym momencie na ulicy przed domem zatrzymał się samochód. Margareta znieruchomiała. Za późno, żeby się ulotnić. Słuchała lekkich kroków siostry w ogrodzie. Dziwne, Christina stanęła przed krzakiem bzu i zaczęła rozcierać żwir nogą...

Margareta uświadomiła sobie, że jest niewidoczna, i to skłoniło ją do udratyzowania sytuacji. Usiadła na schodkach, zaciągnęła się głęboko i powiedziała ochryple:

- Cześć, Christina. Też dzisiaj dostałaś list?

Stoją naprzeciwko siebie w wyczekujących pozach. Christina nobliwie spłotła dłonie, Margareta szeroko rozstawiła nogi i wbiła ręce w kieszenie kurtki. Nagle odzyskała pewność siebie. Wieczne powietrze obmyło jej płuca i oczyściło krew, czuje się silna i czysta, jak po kąpielu.

- Przykro mi, że czekałaś - mówi Christina i rusza do drzwi kuchennych. - Odwiozłam Erika na Arlandę. Poleciał do Teksasu, zaprosili go do udziału w nowym projekcie, bardzo interesującym, chodzi o późne cięższe i...

Świetnie maskuje swoje niezadowolenie z wizyty nieproszonego gościa. Ma jasny, miły głos,

zupełnie inny niż ten, jaki Margareta pamięta z dzieciństwa. Przez pierwsze miesiące u Cioci Ellen Christina szeptała, czasami wydawało się, że syczy. Kiedy wreszcie zaczęła mówić, wyszło na jaw, że posługuje się jakimś przedziwnym dialektem, jakimś zniekształconym skanskim. Większość mieszkańców Skanii inaczej wymawia dyftongi i ma to swoje gardłowe „r”. Christina nie urodziła się w Skanii, jej „r” było całkiem normalne, ale nie potrafiła powiedzieć czysto ani jednej samogłoski. Wyjaśniło się to kilka lat później, kiedy Astrid o sinych palcach - wiedźma, która była matką Christiny - pojawiła się i zażądała oddania córki. Astrid mówiła identycznie. Tyle że wtedy Christina już władała dialektem óstgórskim i nie zamierzała go zmieniać. Schowała się za krzesłem Cioci Ellen i darła się wniebogłosy, kiedy Astrid chciała do niej podejść.

Christina otwiera kuchenne drzwi, wchodzi do środka i zapala światło. Margareta idzie za nią, zdejmując kurtkę i rozgląda się po kuchni. Logiczne, myśli. Superlodówka i superzamrażarka z drewnianymi drzwiczkami. Ale supernowoczesnej kuchenki nie dało się ukryć, pewnie dlatego na żelaznym piecyku stoi miedziana miska z nieśmiertelnikami. Żeby patrzeć w tamtą stronę... Rany! Nietrudno zgadnąć, co tu jest grane.

- Aha - mówi Margareta, wieszając kurtkę na oparciu krzesła. - Nowy dom. A raczej nowostary.

Christina stoi przez chwilę pośrodku kuchni, z palcami na guziku peleryny, jakby nie chciała się rozbierać i pokazywać swojej jedwabnej apaszki. Nie rozpinając peleryny, idzie do garderoby i rzuca przez ramię:

- Jeśli chcesz, możemy obejrzeć dom, tylko się rozbiore...

Ale Margareta ani myśli czekać w kuchni. W lustrze w hallu widzi, jak Christina pospiesznie zdejmując apaszkę, jakby to była jakaś wstydliva tajemnica, i wkłada ją do szuflady starej komody. Przesuwa dłonią po włosach i niżej... Pod żakietem majaczy sznur pereł, czyżby chciała go zdjąć? Nic z tego. W tym momencie Margareta staje w drzwiach garderoby, opiera się o futrynę i uśmiecha kwaśno.

- Ładne perły - mówi. - Dostałaś je od profesora?

W Christinie budzi się dawna, młodzięcza przekora, ruchem głowy daje do zrozumienia, że nie zamierza zdejmować pereł, bez względu na to, co Margareta o nich myśli.

- Tak - przyznaje, głaszcząc naszyjnik. - Są ładne. I stare. Od lat były w rodzinie Erika, dostałam je po teściowej...

Margareta unosi brwi.

- Po strachliwej Ingeborg? Umarła?

Christina przytakuje.

- Mmmm. W zeszłym roku.

Margareta przygląda się sobie i Christinie w lustrze. Nagle ogarnia ją zmęczenie. Dlaczego naśmiewa się z apaszki i pereł Christiny? Czy sama nie wygląda jak spod sztancy? Ma na sobie wszystko, czego wymaga konwencja od w miarę niekonwencjonalnej kobiety w średnim wieku. Czarne dżinsy, markowy płócienny żakiet, uczesanie na pazia, umalowane oczy, a na szyi korale, których oryginalność ledwo rekompensuje ich wątpliwą urodę: kilka ceramicznych paciorków na rzemykach. Co ona niby w ten sposób daje do zrozumienia? Christina odwraca się do niej.

- Jesteś zmęczona?

Margareta kiwa głową.

- Ostatnio nie śpię najlepiej...

- Dlaczego?

Margareta wzrusza ramionami.

- Nie wiem... Może jakieś przecucia.

Christina lekko się wykrzywia, w świetle pani doktor nie ma miejsca na przecucia. Nagle coś sobie przypomina.

- Mówiłaś coś o liście?

Margareta wyjmując list i chce go dać Christinie, ale Christina wsuwa ręce do kieszeni żakietu i pochyla się nad kopertą.

Jednocześnie podnoszą wzrok i patrzą sobie w oczy. Margareta szybko się odwraca. Guz w gardle, który tak długo próbowała ignorować, nabrzmiewa i pęka jak śluzowata bańka mydlana. Mocno zaciska usta, żeby powstrzymać płacz. Ale Christina to widzi.

- No, no - mówi, poklepując Margaretę po ramieniu - tylko spokojnie... Co ona takiego pisze, co cię tak wzburzyło?

Margareta jeszcze raz wyciąga list i tym razem Christina musi go wziąć. Obchodzi się z nim tak, jakby był zakażony, składa palce w pęsetkę, delikatnie wsuwa je w kopertę, wyjmując pomięty papier i ostrożnie kładzie na komodzie. Potem poprawia okulary, obrzuca Margaretę rezolutnym spojrzeniem i czyta tym swoim czystym, modulowanym głosem:

- „Trzy kobiety urodziły dzieci.

Aj, powiedziała Astrid, aj, powiedziała Ellen, aj, powiedziała Gertrud. Ajajajaj. Położna się odwróciła. Bęc-bęc-bęc-bęc!

Urodziło się czworo.

Jedno zostało na podłodze. Czyje jest to brzydkie dziecko?

Co za wstyd! Co za wstyd! Nie chciał jej nikt!

Co za wstyd! Co za wstyd! Ciebie nie chciał nikt!”

Przez chwilę jest cicho, nie patrzą na siebie. Christina przesuwając dłoń po liście. Chyba podjęła decyzję. Z szuflady komody wyjmując paczkę chusteczek higienicznych.

- Wytrzyj nos - mówi. - Zaraz coś zjemy...

Margareta wyciera nos i z chusteczką przy twarzy niewyraźnie mruczy:

- Mogłabym ją zabić! Wszystko przez nią. To całe cholerne życie to wina Birgitty!

Wiosna okazała się tylko cczą obietnicą. Jest ciemno, zima przypuściła swój ostatni atak. Zerwał się wiatr i sypnęło śniegiem, na parapecie bieli się zaspą. Margareta siedzi przy stole w kuchni i lekko drży. Rozkołysał się krzak i to muska szybę, to w nią uderza jak rozjuszony woźnica.

Margareta przeczytała list do Christiny i aż parsknęła z oburzenia. Może trochę przesadziła, to przecież tylko jakiś bełkot, ale miała uczucie, że oburzeniem pokryje łzy. Teraz daleko jej do płaczu. Co prawda ciągle trzyma w dłoni chusteczkę, ale guz w gardle zniknął i oczy są suche. Nie spuszcza wzroku z Christiny, która stoi przy zlewie i choć porusza się swobodnie pośród swoich lśniących sprzętów, wygląda jak intruz we własnym domu. Chodzi bardzo cicho, z ramionami blisko ciała, puszczać wodę, czym pręcej zmniejsza strumień, a tuż przed zamknięciem lodówki przytrzymuje drzwi, po czym - chyba całkowicie nieświadomie - bierze głęboki oddech i domyka je obiema rękami, bezgłośnie.

Światło w kuchni potęguje to przedziwne wrażenie. Pali się tylko lampa nad stołem. Wyrób Svenskt Tenn, myśli Margareta, kosztowała co najmniej dwa tysiące! Christina krząta się przy blacie w półmroku. To, co robi, zapowiada się obiecująco. Otworzyła butelkę wina, teraz odmraża w mikrofalówce chleb domowej roboty, na kuchence zmrożona bryła zamienia się w zupę.

- Może ci pomóc? - pyta Margareta. Christina patrzy na nią zdziwiona, jakby zapomniała o jej obecności. Szybko się jednak reflektuje.

- Nie, nie. Już prawie gotowe... Siedz.

- Mogę zapalić?

Christina wzrusza ramionami. Margareta zapala papierosa i pochyla się nad stołem z zapalniczką w pogotowiu.

- Zapalić świecę?

- Oczywiście - obojętnie odpowiada Christina. - Zapal...

Margareta poznaje ten świecznik. Jest z Peru. Sama go kupiła. Dobrze pamięta ten dzień. Późnym wieczorem siedziała na plaży w Limie. Kilka godzin wcześniej po raz pierwszy zobaczyła to dziecko, wychudzonego chłopca o czarnych oczach. Leżał z rękami na głowie, jak niemowlę, i wpatrywał się w nią, nie mrugając powiekami. Jego spojrzenie wyciszyło ją na parę godzin, w milczeniu poszła na plażę, usiadła w piasku i patrzyła na Ocean Spokojny. To logiczne, pomyślała. My, znajdy, stanowimy osobną nację, musimy sobie pomagać... Wracając do hotelu, uśmiechała się, przepelniona matczynym szczęściem, i kiedy spotkała na ulicy handlarza, który sprzedawał piękne, ręcznie malowa-

ne świeczniki, w przyływie nagłego szaleństwa kupiła aż pięć. Jeden długo zdobił nocną szafkę Cioci Ellen w szpitalu, drugi był na kuchennym stole w Yadstenu. Ale Bóg jeden wie, gdzie jest ten najładniejszy, ten, który postawiła na podłodze obok łóżka chłopca...

Christina stawia przed nią talerz parującej zupy. Margareta rozpoznaje ten kwaskowaty zapach.

- Czy to zupa Cioci Ellen? - pyta, biorąc łyżkę.

Po raz pierwszy tego wieczoru Christina się uśmiecha.

- Tak, w ostatnim roku dała mi mnóstwo przepisów... Na zrazy wołowe... i ciasto malinowe...

Margareta uśmiecha się łakomie znad łyżki.

- Ciasto malinowe! Też chcę przepis... Pamiętasz?

Więcej nie musi mówić, Christina śmieje się cicho i gruchająco; echo Cioci Ellen. Jej dłoń wibruje od śmiechu, kiedy nalewa wino.

- Dać się przyłapać z palcem w konfiturach. Kiepsko było z tobą! Szczerze mówiąc, byłam śmiertelnie przerażona...

Margareta odwzajemnia uśmiech.

- A żebyś wiedziała. Pioruny waliły gęsto...

Christina podaje koszyk z pieczywem, jest rozluźniona, pierwsze lody prawie zostały przełamane.

- Byłaś ostatnio na cmentarzu? - pyta Margareta, częstując się kromką ciepłego chleba.

Ledwie poczuje pod palcami jego konsystencję, już wie, że jest upieczony według przepisu Cioci Ellen.

Christina wzrusza ramionami.

- Byłam na Wszystkich Świętych. Cichaczem. Nie lubię jeździć do Motali...

Margareta nieruchomieje z łopatką do masła w ręku.

- Dlaczego? Natknęłaś się na nią?

- Nie, ale...

Christina patrzy w ścianę, gdzieś za plecami Margarety.

- No - przynagła Margareta - ale co?

- Czuję się tam obserwowana. Jakby wszyscy wiedzieli, kim Jestem, odkąd ukradła mi receptariusz. Musiałam się tam stawiać na przesłuchania. A potem byłam świadkiem w sądzie. Pisali o tym w gazetach, mówili w lokalnej rozgłośni radiowej, tak, fatalnie...

- Ale chyba nie wymienili twojego nazwiska?

Christina uśmiecha się krzywo.

- Co za różnica, i tak wszyscy o wszystkich wiedzą. Wiesz, co mi się przydarzyło w zeszłym roku na wiosnę? Robiłam zakupy w Motali i poszłam na lunch do nowej restauracji przy rynku, całkiem zwyczajny lokal, samoobsługa i tak dalej. I pojawia się właścicielka we własnej osobie, i zbiera talerze ze stołów. Kręci się koło mnie, brzęczy, hałasuje, aż na nią spojrzalam. A ona mnie pyta: „Przepraszam, ale czy to nie doktor Wulf z Yadstenu?” Nie mogłam zaprzeczyć... Wtedy wykrzywiła twarz w grymasie jakiegoś udawanego współczucia i mówi: „Chcieliśmy przyjąć siostrę pani doktor na etat pomywaczki, ludziom trzeba pomagać, ale nic z tego nie wyszło...”

- I co jej powiedziałaś? - pyta Margareta z wyrazem niesmaku.

- A co miałam powiedzieć? Miałam ją może zapytać, dlaczego nic z tego nie wyszło? Bo robiła striptiz na oczach klientów? Bo zaciągała ich do kuchni i gziła się z nimi? Bo szprycowała kartofle amfetaminą? Po prostu wstałam i powiedziałam prawdę. Że ja nie mam siostry!

Ostatnie słowa są jak uderzenie w twarz. Ale Christina chyba nie widzi, że Margaretę pieką policzki i że oblewają się czerwienią. Podnosi kieliszek i mówi:

- Na zdrowie...

Ale dłonie Margarety ciągle leżą na stole.

- Niestety - mówi zaskoczona, że głos jej nie zawiódł - zupełnie o tym zapomniałam. Nie mogę pić wina, bo jeszcze tej nocy wracam do Sztokholmu...

I nigdy więcej moja noga tu nie postanie, myśli. Nigdy, nigdy, nigdy! Masz to jak w banku, ty cholerna mieszczo!

Christina opuszcza kieliszek i patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Nie możesz jechać w nocy. Nie w taką pogodę... Poza tym nie masz samochodu.

Margareta zerka na okno. Wieje wiatr i sypie śnieg, ale do śnieżnej nawałnicy jeszcze daleko.

- Wynajmę - mówi. - Praca, sama rozumiesz. Pojutrze mam ważne zebranie w Instytucie Fizyki, muszę się przygotować...

- Ale przecież musimy porozmawiać - oponuje Christina. Spoważniała, może zaczyna do niej docierać, co powiedziała.

- Zdążymy porozmawiać w czasie kolacji...

Christina opuszcza wzrok i bierze głęboki oddech.

- Margareta... Tyle czasu się nie widziałyśmy. A jeśli cię poproszę?

Margareta patrzy na nią, ale Christina nie podnosi wzroku. Nerwowo zbiera okruszki z obrusa swoimi palcami - pesetami.

- Proszę! - mówi ze spuszczoną głową i wygląda na to, że naprawdę prosi.

Zalega cisza. Margareta ma gonitwę myśli. Na dobrą sprawę nie chce jechać jeszcze tej nocy, nie ma też ochoty zostać. Obydwa rozwiązania są równoznaczne z upokorzeniem. Nagle znajduje trzecie.

- No tak - konstatuje, chwytając kieliszek. - Chyba nic się nie stanie, jeśli pojedę jutro. Mogłabym pójść na grób Cioci Ellen. Tak dawno nikt tam nie położył kwiatów...

- Co z Birgittą? - pyta Christina po kolacji, kiedy przez jakiś czas siedziały w milczeniu przed kafłowym piecem w salonie. - Co zrobimy z Birgittą?

- Zabijemy ją - mówi Margareta i pociąga duży łyk likieru, Christina częstuje „Amaretto”. Pachnie migdałami i wydaje się łagodny, ale w sekundę po przełknięciu pali jak ogień. Teraz Margareta czuje się dobrze. Christina zaoferowała jej skrawek dobrego życia, na które ona nigdy nie znajdzie czasu. Wymaga to dbałości o szczegóły, a Margareta nigdy się tym nie przejmowała. Jako nastolatka chodziła w majtkach podciągniętych do połowy i w zmiętoszonej na biodrach halce, jakby nie mogła poświęcić dwudziestu sekund na poprawki. I tak to zostało. W wieku dorosłym zaczynała dzień od wypicia przy zlewku filiżanki rozpuszczalnej kawy. Parząc się w język, dosyć mętnie marzyła o prawdziwym śniadaniu przy nakrytym stole. Codziennie obiecywała sobie, że następnego dnia zacznie nowe, lepsze życie, rzuci palenie, będzie się gimnastykować, jeść śniadanie i zawiesi w kuchni zasłonki... Ale nie dzisiaj, bo dzisiaj ma za dużo pracy i jeśli nie zrobi tego natychmiast, to ją dogoni śmierć, a wtedy już niczego nie zrobi.

Christina nie pije likieru. Tak jak za młodu, chyba wystrzega się alkoholu. Przy kolacji pozwoliła sobie na kilka łyków wina. Teraz siedzi wyprostowana w fotelu, założyła nogę na nogę, czubkami palców rozcapierzonych dłoni trzyma filiżankę kawy, która wydaje się między nimi unosić. Pijąc, pochyla się i lekko muska wargami jej krawędź.

- Tak. - Margareta kładzie głowę na zagłówek fotela. - Myślę, że ją zabijemy...

Christina uśmiecha się.

- To na pewno ma swój urok. Ale za późno...

Margareta mruga powiekami.

- Na co za późno?

Christina popija kawę, uśmiech spelza z jej twarzy.

- Powinnyśmy były ją zabić zaraz po tym, co się stało z Ciocią Ellen. Wtedy by się nam udało, nikt by nas nie podejrzewał. Teraz nie, bo zbyt często składałyśmy na nią doniesienia na policji i o kilka razy za dużo zdawałyśmy relację jej kuratorowi... Policja wie, co o niej myślimy. Natychmiast by nas zatrzymali. Przynajmniej mnie.

Margareta śmieje się niepewnie i prostuje plecy.

- Ale ja żartowałam...

Szare oczy Christiny są czyste, patrzy na Margaretę, wypija łyżeczkę kawy i znowu się uśmiecha. Zwyczajnie i przyjaźnie.

- Ja też żartowałam... No, to co zrobimy?

Margareta zapala papierosa i wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Niewiele chyba można zrobić. Poza przewidzeniem następnego ruchu...

- To znaczy?

- Nie mam pojęcia... I to jest najgorsze. To może być cokolwiek. Zdechły kot na chodniku w przedpokoju. Udział w jakimś programie telewizyjnym pod tytułem „Wybacz mi”, „To jest ludzkie” albo coś w tym rodzaju.

Christina szybko wysuwa stopy ze swoich wymuskanych czółenek i siada na nich, przykrywając spódnicą.

- Ech!

- Albo kupa na twoim biurku w gabinecie...

- To już było. A ona się nie powtarza...

Margareta wzdycha, zamyka oczy i kontynuuje:

- Albo anonim na twój temat do „Yadstena Tidning”... Nic, co by się nadawało do publikacji, takie tam brednie. Albo niegroźny pożar... Chyba masz alarm przeciwpożarowy?

Christina w milczeniu kiwa głową. Margareta opróżnia kieliszek jednym haustem i głośno odstawia na stół. Zapada cisza. Christina zwija się na fotelu, stopy pod spódnicą, dłonie w rękawach żakietu.

- Ale to i tak nie jest najgorsze - odzywa się w końcu i patrzy na swoje kolano.

Margareta milczy. Wiem, myśli. Wiem. Najgorsze jest to, że ona zna wszystkie nasze czułe punkty. „Co za wstyd! Co za wstyd! Ciebie nie chciał nikt!”

- Czy mogę dostać jeszcze trochę likieru? - pyta, nie otwierając oczu.

Godzinę później siedzi apatycznie na łóżku w pokoju gościnnym. Jest zagracony meblami. Tutaj Christina poszła na całość, że głowa mała. Stare żelazne łóżko, stara komoda, stare krzesło i stare biurko. I imitacja starej tapety.

Margareta słyszy, jak Christina myje zęby w łazience. Pewnie zabytkową szczoteczką; ręczna robota z 1840 roku albo coś w tym stylu. I ani chybi używa kleju Karlssona, żeby w nocy nie otwierać ust, bo - nie daj Boże - coś jej się spontanicznie wypśnie...

Niewiele wyniknęło z ich rozmowy. Ale czego się spodziewała? Że Christina rozwiąże coś, co jest nie do rozwiązania? Albo zaproponuje siostrzaną współpracę komuś, kogo - na co wszystko wskazuje - traktuje jak kłopotliwą znajomą? Przyjazd tutaj był idiotyczną pomyłką. Ale jutro wyniesie się, stąd skoro świt. Czekać na samochód, przez kilka godzin pospaceruje sobie po mieście, tym razem udowodni, że czegoś się nauczyła. I żadnych kontaktów. Bez względu na to, co się stanie...

- Halo! - woła Christina na korytarzu. - Margareta! Łazienka jest już wolna...

Margareta bierze ręcznik i kosmetyczkę i już ma iść, kiedy dzwoni telefon. Nieruchomieje. W lustrze nad komodą widzi swoją twarz: zwężone oczy, zmarszczone czoło.

- Tak - mówi Christina do słuchawki. - Tak, ale...

Na chwilę zapada cisza.

- Tak, ale...

Znów ktoś jej przerwał, najwyraźniej mówi bez opamiętania.

- Czy jest źle?

Szum w słuchawce podnosi się o oktawę. Pacjent, myśli Margareta. To na pewno jeden z jej pacjentów.

- Tak. Wiem. Jestem lekarzem. Tak, tak. Dobrze, będziemy... Tak, tak.

Odkłada słuchawkę bez „dziękuję” i bez pożegnalnych formułek. Przez moment w domu jest kompletnie cicho, Margareta zamarła przed lustrem w pokoju gościnnym, a Christina pewnie stoi bez ruchu w korytarzu.

- Margareta - mówi w końcu Christina przytłumionym głosem. - Margareta?

Margareta wzdycha i wychodzi na korytarz z ręcznikiem i kosmetyczką w objęciach.

- To ona?

- Nie. Dzwonili z ośrodka pomocy dla kobiet w Motali...

- Czego chcieli?

Christina z westchnieniem przesuwą dłonią po włosach. Już nie wygląda tak nieskazitelnie; pod

podomką ma wymiętą koszulę nocną, włosy w nieładzie.

- Powiedzieli, że Birgitta została pobita. Bardzo poważnie. Leży w szpitalu i ich zdaniem powinniśmy przyjechać...

- Po co?

Christina wzdycha z rezygnacją.

- Bo jest umierająca - konstatuje sucho, rzeczowo.- Powiedzieli, że Birgitta umiera...

- PIJANICA! - KRZYCZY KTOŚ Z DALEKA. - Rzygasz do łóżka, pieprzony kurwiszonie...

Rzygasz? Łóżko?

Głos ginie w niewyraźnych pomrukach. Birgitta nie wie, kto krzyczał, i nie ma siły otworzyć oczu. Jeden czort. W każdym razie leży na jakimś łóżku... Na łóżku z brudnym prześcieradłem. Czarne tłuste ziarenka przywierają do palców, kiedy przesuwają po nim ręką. Napatrzyła się na takie ziarenka w tyłu wyrach, że rozpozna je z zamkniętymi oczami. To nadmiar brudu, który zwyczajnie nie ma się gdzie podziać. Zapach też poznaje: słodkawy odór tytoniu przemieszany z kwaskowatymi, piwnymi rzygowinami.

Tak. Głos miał rację. Pijaczka rzygnęła w wyro. Leży we własnych wymiocinach. Wysychają, lekko naciągając skórę policzka. Nie ma siły się przekręcić, może tylko nieskończenie wolno podnieść rękę i wsunąć je pod policzek. Gertrud powiedziała jej kiedyś, że w takiej pozycji wygląda jak aniołek z zakładki do książki. Jak prawdziwy aniołek.

Teraz znowu wszystko się uspokoiło, teraz może się zająć tym, co ją naprawdę interesuje. Snobkami.

Wędruje myślami po dobrze sobie znanym krajobrazie. Teren łowiecki. Z karabinem maszynowym pod pachą przemyka jak drapieżnik ze wzgórza na wzgórze. I trzask! - cała seria w Margaretę. I trzask! - cała seria w Christinę. Pociski przeszywają kolana, brzuch, piersi, gardła. Ha! Z tych cholerych małąp zostaje tylko farsz...

Birgitta nigdy nie ma dosyć polowania na snobki. Nawet wtedy, kiedy trzęsie ją na głodzie, kiedy jest naćpana albo nawalona jak stodoła. Ta zabawa to jej jedyna tajemnica; nie znalazła słów, żeby o niej opowiedzieć kumplom albo facetkom z socjału. Normalnie jest dosyć wygadana, potrafi rozmawiać z épunami w ich języku, a z facetkami z socjału po francusku.

W sądzie zasuwała tak, jakby czytała protokół. A co mogłaby powiedzieć w tej sprawie? Zapytana przyznaje, że osiem tysięcy sześćset siedemdziesiąt trzy razy zrobiła w myślach farsz z drogiej Margarety Johansson i drogiej Christiny Wulf. I co z tego? Nie jest to przecież karalna groźba. Nikomu nic nie powiedziała ani nie zrobiła.

Powracają mdłości i ból, jakby ktoś miażdżył jej wnętrzności tłuczkiem do kartofli. Kurczą się jelita, w żołądku pali. Ale tym razem zamiast normalnych rzygowin wypływa z niej coś kwaśnego, wodnistego. Cholerny świat. Niczego już nie toleruje. Kiedyś brała na poczekaniu dwie działki i wychylała całą flaszkę, i nic, czuła się świetnie. Teraz może się cieszyć, jeśli uda jej się nie rzygnąć po małym piwku.

Właśnie, piwo. Gdyby tylko miała piwo.

Ramię cięży jak kamień, dźwiga je z wielkim wysiłkiem i opiera na łóżku. Pojękuje, w głowie się kręci, jakby mózg leżał sobie luzem jak gąbka na rozkołysanych falach. Brzuch przeszywa skurcz, ale ona musi wstać, choćby miała przyplacić to życiem...

Już siedzi, jeszcze nie otworzyła oczu, jeszcze nie bardzo wie, gdzie góra, a gdzie dół. Na próbę zgina palce u nóg, dotykają chłodnej podłogi i jakiegoś materiału. Otwiera oczy i patrzy między rozchylone nogi. Pod stopami ma koszulę w zielony wzorek. Podłoga jest szara, tuż za piętą widzi ślad od przypalenia papierosem.

Powoli unosi głowę i rozgląda się. Nie jest u siebie. Z lewej strony są trzy okna; zajmują całą ścianę tego małego pokoju. Ktoś próbował zasłonić je kocem, ale koc się zsunął i wisi na jednym koniuszku. Przed kaloryferem leży przewrócona lampa. Świeci się. Jest chyba noc. Albo wczesny ranek.

Czyja to chałupa?

Wygląda jak wszystkie inne, swojsko i anonimowo. Meble z socjału: koślawy stół z plamami

po papierosach i szklankach, łóżko - to, na którym siedzi - dwa materace na podłodze i dwa taborety, jeden stoi, drugi leży.

Powietrze jest gęste od dymu i ludzkich wyciewów. Musiała być odjazdowa impreza; w popielnicze góra petów, na stole od cholery butelek, puszek i kieliszków. Birgitta ostrożnie się pochyla, potrząsa najbliższą puszką. Sporo zostało, prawie połowa. Łapczywie chwyta puszkę obiema rękami i pije, tłuczek do kartofli atakuje od dołu, próbuje przenicować żołądek, ale ona się nie daje, siada prosto, zamyka oczy i powstrzymuje mdłości. Kiedy skurcze mijają, szybko opróżnia puszkę małymi łykami. I otwiera oczy. Lampa na podłodze świeci jaśniej, wyostrzyły się kontury. Teraz widzi, że nie jest tu sama. Pod ścianami śpią jacyś ludzie. Cztery osoby... nie, pięć. Nie ma wśród nich Rogera. W najdalszym kącie siedzi młoda blondyna i szeroko otwartymi oczami tępo patrzy przed siebie. Dziwnie wygląda, jakby wyskoczyła z jakiejś bajki. Ma chudą szyję i okrągłą głowę. Księżniczka Różyczka zleciała z obrazka...

Birgitta wspiera się na łóżku i podnosi z jękiem. Znowu tu jest ta koszmarna starucha, która coraz częściej kieruje jej myślami i ruchami. Uśmiecha się szydlerczo. Zawsze mówiła, że umrze młodo i będzie ładnym trupem.

Jeden czort. Teraz musi do klopa. Na miękkich kolanach, zataczając się, wychodzi do małego przedpokoju. Drzwi do ubikacji stoją otworem, w środku pali się światło, w lustrze patrzy na nią jej odbicie: zmrużone oczy, sine wargi, skołtunione włosy.

Pijanica.

Tłusta pijanica. Tak obleśna, że...

Czuje piekący wstyd, ale już do tego przywykła, umie sobie z tym radzić. Siada na klozecie, zatapia twarz w dłoniach i przez chwilę przestaje istnieć.

Nagle ktoś łapie ją za włosy i potrząsa. Ból jest czysty, wyraźny i szczypie. Niemal przyjemny.

- Aj! - mówi niewyraźnym, rozbudzonym głosem. - Co ci odbiło?

- Spadaj, zgredko. Chcę się odlać...

Nad nią stoi duży mężczyzna o chrapliwym głosie i podwójnym podbródku. Jest silny i wie, czego chce. Podnosi ją za włosy i wyrzuca do przedpokoju. Birgitta ląduje w stercie ubrań na podłodze.

- Pierdolony zasraniec! - krzyczy.

Mężczyzna nie reaguje. Rozkraczył się przed klozetem i dla pewności oparł o ścianę. Może nie usłyszał. Wygląda jak śnięta ryba, jak ktoś, kto orbituje w swoim świecie. Dlaczego ona go nie rozpoznaje? To na pewno jakiś stary ćpun, a co jak co, ale wszystkich starych motalskich ćpunów zna na pamięć. Tak przynajmniej myślała. Bo tego widzi pierwszy raz w życiu...

Stary ćpun zaczyna gadać do ściany, mamroce długą litanię z tym samym śniętym spojrzeniem. Cichy monotonny dźwięk, który po chwili narasta i Birgitta rozróżnia pojedyncze słowa.

- ...zabić wszystkie obleśne baby, zawiązać na supeł wszystkie pierdzielone ćpunka, niech się poduszają w swoich cuchnących cipach... Cipcipach, cip-cip, cipcipach...

W sekundę Birgitta wie wszystko; niejedną raz słyszała takie teksty i dobrze wie, co będzie potem. Grzebie w stercie ubrań, szukając swojej pikowanej kurtki, znajduje ją prawie od razu, wkłada do połowy i pełźnie do drzwi. W tym momencie mężczyzna wychodzi z klopa. Widząc jej pośpiech, postanawia jej pomóc. Dopada drzwi jednym susem, otwiera je z hukiem i podnosi ją za włosy. Birgitta wisi na włosach, ma wrażenie, że skóra odrywa się od czaszki, ślepnie, jedyne, co widzi, to rozżarzony do białości ból. Ale w sekundę jest już po wszystkim. Mężczyzna puszcza ją i daje kopa w tyłek bosą stopą. Niezbyt mocno, chodzi tylko o to, żeby wylądowała na klatce.

- Kurwiszon - mówi zwyczajnym tonem. - Spadaj!

Birgitta dobrze wie, co powinna zrobić, żeby jej nie uderzył. Patrzy w posadzkę i wycofuje się na czworakach, jak najdalej od niego. Gdyby tu były schody, zniknęłaby równie szybko jak wąż w wysokiej trawie, ale schodów nie ma... Ogarnia ją panika. Nie ma schodów! Po chwili dostrzega windę. Polecą tam, jak tylko stary ćpun zatrzaski drzwi.

Kilka minut później jest na podwórzu, drzwi za jej plecami zamykają się. Świta. W nocy padał śnieg, ciągle jest bardzo zimno. Birgitta drży i szczelniej otula się kurtką. Nagle jej wzrok pada na stopy. Są na nich czarne czółenka, których nigdy przedtem nie widziała. Duże czarne czółenka. Jakby je

podpieprzyła Myszcze Minnie.

Wolno podnosi głowę i rozgląda się. Kompletnie obce podwórze. Stoi przed jakimś szarym wieżowcem, po drugiej stronie trawnika widzi trzypiętrowe bloki. Świeżo odnowione. Ktoś chciał ożywić szary beton i pomalował go na jasny róż. Wygląda to idiotycznie. Grzecznutko.

Birgitta kręci głową i kolebiąc się na cienkich obcasach, przecina trawnik i plac zabaw. Cały czas się rozgląda, szuka jakiegoś szczegółu, który pomógłby się jej zorientować, gdzie ona właściwie jest. Ale niczego takiego nie znajduje. Są tutaj tylko domy. Duże i małe, szare i różowe. A pomiędzy nimi rośnie kilka zmęczonych zimą krzaków, straszą opustoszałe parkingi, zaspasy brudnego śniegu i nijakie graffiti.

Gdzie ona jest?

Stoi pośrodku parkingu i wolno się obraca. Wszystko jest tu obce, niczego nie poznaje. Jest zimno, policzki pieką, traci czucie w palcach. Nic dziwnego. Przemokły jej nogi! Nagle widzi siebie na wózku inwalidzkim, z amputowanymi stopami. To kuszący i przerażający obraz. Widzi pełne poczucia winy snobki stojące w drzwiach sali szpitalnej. One w ciepłych paltach, ona w białej koszuli nocnej z kołnierzykiem elegancko wyłożonym na jasnoniebieski szlafrok. Świeżo umyte włosy są tak samo jasne i pachnące jak w młodości. Najpierw ich nie zauważy, postoją sobie w drzwiach, walcząc ze łzami, potem wolno podniesie głowę i popatrzy na nie dużymi czarnymi oczami...

E tam. Odsuwa ten obraz i jeszcze raz się obraca. To idiotyczne. Nie ma bladego pojęcia, gdzie jest, sterczy w cudzych butach i zamarza na śmierć centymetr po centymetrze... Gdyby chociaż miała piwo. Musi dotrzeć do domu. Ma u siebie od cholery skrytek i w którejś na pewno jest piwo.

W oddali słyszy dźwięk silnika, jeden jedyny samochód sunie o świcie. Birgitta obejmuje się ramionami i rusza w tamtym kierunku, niekończące się, odpicowane betonowe rudery, trawniki i place zabaw. Teraz przynajmniej wie, co robi: obejmuje się, żeby utrzymać ciepło, i idzie szybkim krokiem. Jak dojdzie do jakiejś ulicy, na pewno się połapie, gdzie jest. Mieszka w Motali od urodzenia, nie ma takiej ulicy, której by nie знаła, bez względu na to, czy jest nawalona, czy nie... A kiedy się już zorientuje, gdzie jest, pójdzie do domu i napije się piwa. I uśnie. Jak trzeba. W swoim łóżku. Przez moment widzi to tak wyraźnie, że zamyka oczy i niemal zasypia...

Cholera! Czy ona już nigdy się nie pozbędzie tych przeklętych filmów, które bez przerwy wyświetlają się w jej głowie? Są groźne i czarodziejskie i unicestwiają rzeczywistość. Nic nigdy nie będzie takie jak w marzeniach, dlatego trzeba wrzucić; wszystko, czego się najgoręcej pragnie, do małego czarnego worka, ukryć gdzieś w otchłaniach mózgu i za żadne skarby świata nie otwierać. Nauczyła się tego w dzieciństwie. Tysiące razy widziała, jak się przenosi od Babsztyla Ellen do Gertrud. I co? Gertrud umarła. Potem, kiedy była starsza, tak intensywnie wyobrażała sobie swoje rodzinne szczęście z Doggenem, że dzisiaj lepiej pamięta marzenie niż rzeczywistość. Mieli się wprowadzić do nowiutkiego trzypokojowego mieszkania, w kuchennym oknie miały wisieć zasłonki z falbankami. I co z tego wyszło? Opalany drewnem piec, zimna woda i wychodek. Potem Doggen zwiął, a jej odebrali dziecko. Musi się wziąć w garść, nie może teraz myśleć o swoim domu, bo nigdy do niego nie wróci. A jak będzie myślała o spaniu, to w tym życiu nigdy już nie zaśnie. „Myśl, co robisz”, powtarzał Babsztyl. I to nawet miało sens. Jedyne sensowne słowa, jakie ta żmija z siebie wydusiła przez te wszystkie lata... Podchodzi do ulicy. Czuje nagle mrowienie, kiedy sobie uświadamia, że jej nie poznaje. Szeroka, dużo szersza niż którakolwiek z ulic w Motali, po dwa pasy w każdym kierunku, między nimi wysepki. Po przeciwnej stronie widać jakieś nowe osiedle; szare wieżowce, w oknach ciemno. W życiu ich nie widziała.

Co to, do cholery, ma być? Gdzie ona jest?

Zamyka oczy i bierze głęboki oddech, otwiera oczy i próbuje myśleć o tym, co robi. Birgitta Fredriksson stoi na trawniku w przemoczonych, cudzych butach i w swojej pikowanej kurtce. Nie wie, gdzie jest ani jak tutaj trafiła, ale wie, że jeśli zasunie suwak, to będzie mniej marzła. Nie jest to jednak wykonalne, bo palce zdążyły zeszytywnieć z zimna.

Na wprost jest chodnik z plackami zamrożonego śniegu. Żeby się tam dostać, musi sforsować zaspę. Śnieg skrzypi, kilka zlodowaciałych grudek wpada do czółenek. Ale ma to już z głowy. Już jest na chodniku. Kilka metrów dalej stoi jakaś kobieta i patrzy na nią. Birgitta poprawia włosy, stara się

wyglądać jak zwykła pani Svensson w drodze do pracy. Wkłada ręce do kieszeni, żeby nimi nie machać jak ćpun, i drobnymi kroczkami podchodzi do kobiety. Aha. To przystanek autobusowy.

- Przepraszam... - zaczyna i natychmiast sobie uświadamia, że straszliwie chrypi.

Odchrząkuje i wmawia sobie, że nawet pani Svensson może chrypieć bladym świtem.

- Przepraszam, zablądziłam... Czy mogłaby mi pani powiedzieć, gdzie ja jestem?

Kobieta jest cudzoziemką, ma krótkie czarne włosy i cieniutkie paletko opinające tyłek. Wpatruje się w Birgittę brązowymi oczami i robi jakąś dziwną minę, która może znaczyć: „Nie bij mnie, grubasie!”, „Odwal się, nie mówię po szwedzku” albo „Mnie tu nie ma, ciebie też”.

- Słuchaj no, ty...

Birgitta sili się na uśmiech i w tym samym momencie przypomina sobie, że się zdradza. Żadna pani Svensson nie chodzi z dziurami po wybitych zębach. Wystarczy, że się uśmiechnie, i od razu wiadomo, kim jest - ćpunką, która na stare lata przekwalifikowała się na pijaczkę... Zamyka usta, gasząc uśmiech.

Nadjeżdża autobus. Coś tu nie gra. Po kilku sekundach uświadamia sobie, co. Na tabliczce jest nazwa ostatniego przystanku.

Vrinnevi? Przecież to w Norrkópingu...

I Birgitta już wie, gdzie jest.

Kierowca, pozwalając silnikowi mrużyć na wolnych obrotach, uparcie powtarza to samo:

- Ten, kto nie płaci, nie jedzie. Żadnych wyjątków.

Birgitta chwyta się drążka przy drzwiach i żebrze.

- Bądź człowiekiem, do cholery! Jest zimno... Wyślę pieniądze, przysięgam! Dasz mi adres i jak tylko wrócę do domu, wyślę szmal do twojej pieprzonej firmy autobusowej... Proszę!

Kierowca patrzy przed siebie.

- Ale... - Birgitta nie daje za wygraną. - Do cholery... Bądź człowiekiem!

- Proszę zejść ze stopnia - mówi kierowca, ciągle patrząc przed siebie. - Autobus odjeżdża i chcę zamknąć drzwi.

Drzwi posykują, ale nic się nie dzieje. Birgitta nie zamierza się poddać tak łatwo.

- Bądź człowiekiem, co... Jakiś sukinsyn podwędził mi portfel, ale w domu mam pieniądze, i obiecuję, że na pewno je wyślę. Najpierw muszę tylko pojechać na policję i zgłosić kradzież... Ty! Do cholery!

- Proszę wyjść! Zamykam!

Ale kierowca nie ma odwagi zamknąć drzwi. Birgitta wchodzi na następny stopień.

- Słuchaj, nie usiądę, postoję w przejściu i przytrzymam się drążka... I wyślę pieniądze! Przysięgam!

- Wyjść! - powtarza kierowca.

Wyprostował plecy, zacisnął wargi. Birgitta wchodzi jeszcze wyżej. Teraz stoi tuż obok niego.

- Posłuchaj - mówi, próbując się uśmiechać z zamkniętymi ustami. - Nie mógłbyś tak w drodze wyjątku, ten jeden jedyny raz, pomóc dziewczynie...

- Dziewczyna! - prychnął ktoś za jej plecami.

Birgitta odwraca się. Z przodu siedzą dwie nastolatki. Jedna wetknęła sobie szalik w usta, żeby stłumić chichot, druga zasłania usta dłońmi. Żadna nie podnosi wzroku. Birgitta obrzuca je taksującym spojrzeniem i pokazuje im plecy. Nie ma nic gorszego jak rozchichotane nastolatki. Przypominają jej młodość. Kiedyś to ona śmiała się ze wszystkich i wszystkiego. Teraz nie ma jednak czasu na bolesne rozpamiętywanie.

- Wyjść! - mówi kierowca.

- Czeka, chyba mam jakieś drobniaki w kieszeniach. Wszystkiego mi nie zabrał ten złodziej... Jedź, na pewno coś ubieram... Jedź, coś wykombinuję! Widzisz, mam koronę i... pięćdziesiąt óre... Ile chcesz?

Kierowca wyłącza silnik i wstaje. To jej nie peszy, facet jest chuderlawy, jak Roger. Typowy maminsynek, który udaje ważniaka, bo rządzi tą kupą złomu.

- Możesz pojechać następnym autobusem - mówi. - Wyjść!

Birgitta dalej grzebie w kieszeniach.

- Jedź!

- Niedostłyszysz? Powiedziałem: wyjdź!

Nastolatki prychną. Nagle z tyłu odzywa się jakiś mężczyzna przytłumionym, ale wyraźnym głosem:

- Wyrzuć ją, bo się spóźnimy.

- Właśnie - wtóruje mu inny głos. - Jedziemy do pracy i nie możemy czekać w nieskończoność...

- Zamknijcie się! - mówi Birgitta. - Zamknijcie się! To nie wasz interes...

Birgitta wkłada rękę do tylnej kieszeni dżinsów i wyczuwa coś pod palcami. Banknot? Tak, jasne. Jak jest nawalona, właśnie tam chowa swoje ostatnie grosze. Na sekundę zapomina, że musi się wystrzegać marzeń: już widzi swój triumf, kiedy rzuci temu gogusiowi stówę. Ale patrząc na to, co trzyma w ręku, uświadamia sobie, że znowu stało się to samo, że marzenie przesłoniło rzeczywistość. To nie jest banknot stukoronowy, tylko list. Dziwaczny, krótki list.

- Pieprzone gestapo! - krzyczy, wytaczając się na chodnik.

Na moment traci równowagę, ale się nie przewraca, i czym prędzej chce wejść do autobusu. Kierowca jest jednak szybszy. Drzwi zamykają się z pogardliwym sykiem, Birgitta nie ma się czego chwycić. Autobus rusza, pasażerowie śledzą zza żółtych szyb jej bezsilne gesty.

- Pieprzone gestapo! - powtarza i częstuje kopniakiem tylne koło. - Pieprzona hitlerowska świnią! Złóż doniesienie o pobiciu...

Zanim skończyła, autobus zdążył odjechać. Birgitta widzi znikające w oddali czerwone światła.

Dopiero kiedy przeszła spory kawałek, uświadamia sobie, że ciągle trzyma w ręku ten dziwaczny list. Dotknęła nim policzka, wycierając smarki dłonią. Cieknie jej z nosa i oczu, nie wie, czy to z zimna, czy naprawdę płacze.

Zatrzymuje się pod latarnią i przygląda się kopercie. Jest stara, używana. Obok przekreślonego nazwiska poprzedniego adresata widnieje: „Panna Birgitta Fredriksson”. Panna! Co to za osioł nazywa ją panną?

Zesztywniałymi palcami rozrywa kopertę. Na widok małej żółtej kartki rozpala się w niej szaleńcza nadzieja: Recepta. Ktoś wysłał jej receptę. Może na sobril albo - o Boże, tak! - na rohypnol. Ręce tak jej się trzęsą, że w końcu musi sobie pomóc zębami, żeby rozłożyć żółtą kartkę.

To rzeczywiście recepta. Nawet jest na niej pieczętka: „Christina Wulf, lek. med.”. I dobrze jej znany tekst, napisany czerwonym flamastrem dużymi niezdatnymi literami: „Gdyby się Birgitta było Skórą cipę by się wyłożyło I jeździło wzdłuż i wszerz I pieprzyło, ile chcesz”.

A niżej mniejszymi literami:

„I ona tak zrobiła!

Zrobiła!

Ach, zrobiła!”

Szpony szarpia żołądek. Ból ją zaskakuje. Pochyla się i krzyżuje ramiona na przeponie.

Po pewnym czasie nie bardzo wie, dokąd właściwie idzie. Całą wieczność maszeruje tą samą ulicą, szary beton z lat sześćdziesiątych ustąpił miejsca żółtym czynszówkom z lat pięćdziesiątych i mieszczańskim willom. W kilku oknach kamienic pali się światło, w willach jest jeszcze ciemno.

Birgitta szuka domu Babsztyla Ellen, już nie wie, jakie to czasy, wie tylko, że za stanikiem ma list z tą obrzydliwą starą rymowanką. Pomięty papier ociera skórę, drapie, podsyca jej gniew.

Ellen i snobki! Ścierwa! Teraz naprawdę je zabije, dosyć fantazjowania, jej cierpliwość już się skończyła. Kłamstwa i oszczerstwa. Doniesienia na policję i wredne zeznania. Nawet wtedy, kiedy była na dobrej drodze, kiedy się w końcu pozbierała i chciała zmienić swoje życie, przesładowały ją fałszywymi oskarżeniami. Zawsze ją niszczyły, nigdy w niczym nie pomogły. A wszystko z powodu cholemej zazdrości. Są tak samo zazdrosne dzisiaj, jak wówczas, gdy zobaczyły ją po raz pierwszy. Christina miała na wpół obłąkaną Astrid, matkę, która chciała podpalić własne dziecko! A Margareta nie miała matki. Znaleźli ją w pralni. Co to, do cholery, za matka, która zostawia noworodka w pralni? Gówniane matki. Tylko ona jedna miała Gertrud! I ani snobki, ani Ellen nie mogły tego znieść. Babsz-

tyl Ellen chciał być jedyny, najważniejszy i najlepszy. Mistrzyni Szwecji w matkowaniu! Uprzejme dzięki. Jakby się nie wiedziało, jak się sprawy mają...

Birgitta pociąga nosem i chwiejnie schodzi z chodnika. Jest śliski i oblodzony, gdy tymczasem na jezdni samochody wyjeżdżyły w śnieżnej brei czarne koleiny, tak suche, że nawet gładkie skórzane podeszwy Myszki Minnie mają jakiś punkt oparcia. Kopie złodowaciałą grudkę żwiru. Jest duża i twarda, większa i twardsza od pięści Doggena, który miał największe pięści, jakie kiedykolwiek widziała u faceta. Doggen! To drugi powód ich cholernej zazdrości. W życiu nie zapomni miny Margarety ani jej pozieleniałej z zazdrości twarzy. Bo Doggen wybrał Birgittę! Były tam wszystkie motalskie dziewczyny, które ewentualnie mogły wchodzić w grę - czyli nie Christina i nie inne glisty - i każda marzyła o tym, co spotkało tylko ją. Tak jest. Żadnej innej tak się nie poszczęściło. Tylko jej. Birgittie.

Zatrzymuje się pośrodku jezdni i rozpamiętuje. Yaramobaden, lata sześćdziesiąte, błękitny czerwcowy zmrok. Ona, Margareta, Mały Lars i Loa słuchają w samochodzie najnowszej płyty Cliffa Richarda, kiedy na parkingu pojawia się Doggen. Zajeżdża czerwonym chryslerem, z ogromnymi spojlerami i dyskoteką świateł. Przez minutę siedzi za kierownicą - silnik mruży na wolnych obrotach - i pozwala się oglądać. Może wie, że jest zabójczo przystojny, może wie, że połyskują jego czarne włosy, a nylonowa koszula pod skórzaną kurtką lśni taką samą bielą jak czoło.

Ale to nie jego uroda rajcuje najbardziej. To świadomość tego, jak jest niebezpieczny - kradzież samochodów, parę lat w poprawczaku, jeden sezon w objazdowym wesołym miasteczku - unosi się nad parkingiem niczym wyrafinowane perfumy, zmuszając dziewczęta do przymknięcia powiek i zwilżenia warg.

- Doggen - mówi Mały Lars z ostrym vibrato i pochyla się, żeby przekręcić kluczyk w stacyjce nowej Anglii swojego taty.

Mały Lars jest podobny do samochodu ojca. Kanciasty w najmniej oczekiwanych miejscach.

- Nie - protestuje Birgitta. - Nie zapalaj.

Mały Lars jest posłuszny. Od dziewiętnastu lat słucha ojca, od ośmiu nauczyciela, a od czterech - majstra w Luxorze. Teraz słucha Birgitty, po raz pierwszy i ostatni.

Doggen wysiada z samochodu, zamyka drzwi i rozgląda się. Na parkingu jest cicho, słychać tylko Cliffa Richarda. Spojrzenia wszystkich skupiają się na nim, marzenia dziewcząt fruną ku niemu jak motyle, chłopcy milkną.

Birgitta wie, że Doggen idzie do niej, mimo że jeszcze nie zrobił kroku, wie, że idzie właśnie do niej. Mały Lars też to wie. Na jego czole perli się pot, nic nie mówi, zdejmuje tylko gramofon z jej kolan i kładzie na swoich. W tym momencie Doggen otwiera drzwi ich samochodu i chwytą Birgittę za nadgarstek.

- Teraz jesteś moją dziewczyną - mówi.

Tylko tyle. Nic więcej.

Jak w filmie, myśli Birgitta. Zupełnie jak w filmie... Kiedy Doggen wyciąga ją z samochodu, wydaje jej się, że słyszy chóralną pieśń i smyczki, dźwięki przybierają na sile, radosne crescendo, on opiera ją o maskę Anglii, przechyla i całuje. Birgitta widzi, że Mały Lars zamyka oczy, za nim majaczy zielona twarz Margarety: zwężone oczy, obnażone zęby. Wygląda jak zwierzę, myśli Birgitta i odwraca wzrok. Język Doggena smakuje piwem, pierwszy raz czuje jego zapach i smak. Inni znają jedynie smak toya i papierosów „John Silver”.

Nie trzyma jej za rękę, nigdy nie będzie trzymał, tylko chwytą za nadgarstek jak klawisz, a ona drepcze za nim ochoczo do czerwonego chryslera. Sadowi się na fotelu, on zapala silnik i naciska jakiś guzik. Dach się rozsuwa i ląduje z tyłu. To kabriolet! Ogarnia ją radość. Siedzi w kabriolecticie z największym twardzielem w całej Motali. To, co przecierpiała w tym mieście, staje się nagle całkiem znosne. Był w tym jakiś sens. A ten sens - to właśnie ta chwila...

Doggen musi przejechać przez cały parking, żeby zawrócić. Dla Birgitty jest to jazda triumfalna. Została wybrana. Wyróżniona. Królowa Yaramobaden łaskawie pozwala się oglądać przez niewybrane. Już kiedy mają opuścić parking, rozlega się przenikliwy chłopiący głos:

- Gdyby się Birgittą było...

Nigdy nie zapomni szyderczego śmiechu, chociaż wcale nie jest pewna, czy rzeczywiście go

słyszała. Jest za to pewna spojrzenia Doggena i jego pytania:

- Co to, kurde, było?

- Ech, nic takiego...

Bo niby co ma powiedzieć? Że to rymowanka, która ją prześladowa, odkąd skończyła trzynaście lat? Że wypisywali ją na ścianach w toalecie i wyrzynali w budkach telefonicznych? Że wykrzykują ją na boisku szkolnym i nucają za jej plecami, od kiedy zaczęła pracować w Luxorze? Tego przecież nie powie, bo wtedy byłoby już po wszystkim. I tak się dowie w swoim czasie...

- Wspaniały samochód - mówi, przesuwając dłonią obiciu fotela.

I on się do niej uśmiecha.

Za jej plecami piszcza hamulce i warczy silnik. Birgitta lekko się odwraca i pokazuje gestem: „spokojnie”. Kierowca raz po raz wciska pedał gazu. Birgitta postanawia go olać i z przesadną powolnością sunie po czarnej tasiemce asfaltu, kopiąc przed sobą złodowaciałą grudkę żwiru. Nic nie słyszy. Niech sobie gazuje, ile wlezie, ona i tak go nie usłyszy.

Po lewej stronie stoi biała willa. Dom Babsztyła Ellen też był biały. Może to ten sam, chociaż wygląda trochę inaczej. Ale Ellen mogła coś zmienić, posadziła jakieś krzaki i poprzenosiła okna, żeby zmylić Birgittę. To byłoby nawet do niej podobne. Ktoś zapala światło w kuchni, widać poruszający się cień. To na pewno ona. Jak zwykle kolebie się między stołem i kuchenką, pod podomką dyndają obwisłe cycki. Jak grube wełniane rękawice... Obłeśny babsztyl!

Może by i poszła do tego białego domu, gdyby kierowca nie położył ręki na klaksonie i nie zagrąbił. Ale trąbi: trzy ostrzegawcze sygnały. Birgitta nieruchomieje, zamienia się w bryłę lodu.

- Stul pysk! - krzyczy, jakby samochód był żywą istotą i mógł ją słyszeć.

Stoi do niego plecami i jej krzyk dociera nie tam, gdzie trzeba.

- Stul pysk! Zostaw mnie w spokoju!

Samochód znów trąbi. Birgitta wykonuje pół obrotu, zatacza się, ale błyskawicznie odzyskuje równowagę i widzi trzy samochody, wgapiające się w nią reflektorami. Pierwszy turla się w jej stronę z groźnym pomrukiem, kierowca opuszcza szybę i wystawia głowę.

- Co ty wyprawiasz?! - krzyczy. - Wejdz na chodnik, kobieto!

Jedno spojrzenie i Birgitta już wie, co to za jeden. Lśniący samochód i świeżo ostrzyżone włosy, okulary, przenikliwy głos, biała koszula i krawat. Snob.

Birgitta nie znosi snobów. Dlatego bez namysłu podnosi grudkę żwiru i celnym rzutem znad głowy trafia go w twarz. Facet wrzeszczy, silnik gaśnie, wyje klakson.

Ciszę poranka zakłóca nagle mnóstwo dźwięków. Ktoś krzyczy, klakson wyje, dwa inne samochody hamują, otwierają się drzwi, wyskakuje dwóch mężczyzn, drzwi zamykają się z trzaskiem, szczeka pies, sekundę później z białego domu wyłania się siwy staruszek. Powoli, niepewnie schodzi ze schodków, przytrzymując się obiema rękami poręczy, i chyba nie zdaje sobie sprawy, że jest bosy. Birgitta stoi jak słup soli pośrodku ulicy i bacznie się wszystkiemu przygląda. Kiedy bosonogi starzec stawia gołą stopę na ogrodowej alejce, przytomnieje i zaczyna się wycofywać. Birgitta biegnie. Zanim dziadek dobrnął do chodnika, jest poza zasięgiem jego wzroku. Zdążył ją jednak zobaczyć. On i inni. Jeśli - rzecz jasna - potrafią patrzeć.

Nie ma tu żadnych kryjówek. Przydomowe ogródki są za małe, krzaki gołe i rozcapierzone. Podwórko za czynszówką jest duże i puste, ale nigdzie nie widać choćby szopy na rowery... Birgitta słyszy własne kroki, zadyszany oddech i daleki dźwięk syren. Tak szybko? Czy to możliwe, że gliny już jadą?

Daremnie szarpie za klamkę, wciska jedną kombinację cyfr po drugiej na czarnych skrzynkach domofonów - dzieje się tylko tyle, że zapala się czerwona lampka. Syreny są coraz bliżej, musi biec dalej, musi zniknąć...

Znajdują ją na piwnicznych schodach, zjechała po śliskich stopniach, raniąc sobie ręce, i skręciła nogę. Przez kilka minut waliła w drzwi do piwnicy, w końcu zdjęła czólenko Myszki Minnie, żeby obcasem zbić w nich szybę. Nie udało się, nawet nie było rysy. Solidne, hartowane szkło.

Kiedy syreny nagle umilkły, poddała się, usiadła ciężko na zimnym betonie i narzuciła kurtkę na głowę. I tak siedziała, dopóki czerwony na twarzy, młody policjant nie wychylił się przez poręcz

dwa metry wyżej.

- Jest tutaj! - krzyczy. - Znalazłem ją...

W jego dialekcie rodem z Norrkópingu słychać krągłe samogłoski, jego wilczur szczeka triumfalnie.

Birgitta klnie. I to jak! Oberwie się wszystkim aniołom w niebie i wszystkim diabłom w piekle. Teraz opuściły ją nawet kolory. Włosy wiszą w brudnoszarych strąkach, skóra jest blada i porowata, jedynie wargi mają ciemniejszy odcień.

Cóż. Bywa i tak. Nawet w wypadku niegdysiejszej mleczno-białej kopii Marilyn Monroe.

Za to młodemu policjantowi niczego nie brakuje. Jest jak z plakatu: niebieskooki muskularny blondyn o pastelowej, brzoskwiniowej cerze. Takich mężczyzn dawniej nie było, są wytworem postmodernizmu, należą do schyłku wieku. Najłatwiej ich poznać po szerokich dolnych szczękach i umięśnionej szyi. Właściwie to dosyć dziwne. W dzisiejszych czasach młodzi mężczyźni nie potrzebują ani okazałych szczęk, ani stalowych mięśni. Byłoby logiczniej, gdyby zbledli i zmarnieli, gdyby zamiast się rozrastać jak dęby, skurczyli się do rozmiarów wiotkich konwali.

Birgitta też ma przyzwoicie rozwinięte mięśnie szczęki, ale z całkiem innego powodu. Od przeszło dwudziestu lat jej zęby bez przerwy przeżuwały amfę. Ale teraz w jej głowie panuje cisza. Nie zostało jej zbyt dużo zębów, poza tym przerzuciła się na inne środki. Udaje, że to był jej wybór, że świadomie skończyła z amfetaminą, bo napatrzyła się na śmierć ludzi takich jak ona. Ale, szczerze mówiąc, to nie Birgitta skończyła z amfą, tylko amfa z nią. Przestała działać, na pocieszenie został alkohol. To dlatego węższy wrażliwy nos Tego z Plakatu, kiedy schodzi po betonowych schodach. Bo od Birgitty zalatuje. Nie różami i nie jaśminem.

Siedzi skulona z kurtką na głowie i ani myśli się ruszyć, mimo że Ten z Plakatu raz po raz każe jej wstać. Dopiero kiedy chwytą ją za ramię i wlecze po schodach, przytomnieje. Klnie, pluje, wrzeszczy, że bije się niewinną kobietę, i wymierza kopniaka wilczurowi. Pies obnaża zęby i szykuje się do ataku, ale Ten z Plakatu powstrzymuje go jednym chrząknięciem. Tu chodzi o godność. Nikt mu potem nie powie, że do pomocy w ujęciu bluźniącej pijaczki potrzebował psa. Z takimi sam sobie poradzi.

Birgitta natomiast nigdy nie pojęła wagi pielęgnowania własnej godności. Szukała upokorzeń, jakby ich łaknęła. Nie ma takiego sklepu w Motali, z którego nic by nie ukradła i nie została na tym przyłapana, ani takiej ulicy, gdzie - po wrzaskach i szarpaninie - nie zatrzymałaby jej policja, ani takiego zakładu opiekuńczego, w którym by jej nie nakryto na kłam-, stwach. Widziałam ją, jak wymiotuje do kosza na śmieci na rynku - naturalnie w sobotnie przedpołudnie, kiedy wszędzie jest pełno ludzi - a potem tępym spojrzeniem patrzy na spływającą po nogach rzadką sraczkę. Widziałam, jak zasikana, urżnięta w trupa siedzi późnym wieczorem w śnieżnej zaspie, a wokół niej krąży banda naśmiewających się wyrostków. Widziałam, jak rozkłada nogi przed jednym mężczyzną po drugim; nawet przed Rogerem, który zasłaniał jej twarz dłonią, żeby tylko na nią nie patrzeć. I zawsze widziałam jej pychę, niepojętą dumę z własnego upadku...

Ranny kierowca stoi na chodniku w otoczeniu niewielkiej grupki ludzi. Trzyma rękę na oku, na policzku czerwieni się strużka krwi. Inni kierowcy, którzy ustawili się przy nim jak ochroniarze, pobladli na twarzach, wpatrują się w Birgittę wytrzeszczonymi oczami. Jest z nimi starszy policjant, obecny i nieobecny zarazem. Może to anioł, mały anioł stróż, który Wldział tak dużo, że teraz nie widzi nic.

Bosonogi starzec ma już buty na nogach. Z podniesioną ręką stoi obok nieobecnego policjanta, kiedy Ten z Plakatu to popycha, to ciągnie Birgittę przez ulicę.

- To ona! - woła, wymachując dłonią upstrzoną brązowymi plamkami. - To ona! Widziałem ją!

Ten z Plakatu nie wytrzymuje, wychowano go w szacunku dla starszych, i zadaje jej cios w kark, tak mocny, że Birgitta nie jest w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Dopiero wtedy uświadamia sobie, że ona też nie jest młoda.

- Stul pysk, dziadu! - rutynowo replikuje Birgitta.

Christina i Margareta też zamilkły, w ciszy wracają do Yadstény. Moje siostry są jak naczynia połączone. Kiedy jedna jest zła albo obrażona, druga z niepokojem jej schlebia, prosi i uśmiecha się tylko po to, żeby przybrać obcesowy ton, kiedy ta pierwsza w końcu daje się udobruchać. Zawsze takie

były, przynajmniej dopóki w pobliżu nie pojawiła się Birgitta. Wtedy stawały się zabójczo zgodne. Naprawdę zabójczo.

Ale teraz, w splotałym świetle świtu, osiągnęły coś na kształt poziomej milczącej równowagi. Noc była pełna słów, rozmawiały bez przerwy, najpierw szeptem, kiedy myślały, że jadą do umierającej, potem, na miejscu, rzeczowo i cicho, wreszcie ostro i nieufnie, kiedy się okazało, że wśród nowo przyjętych pacjentów nie ma Birgitty Fredriksson. Christina była bardziej wzburzona, jej powściągliwość szybko się ulotniła, z wściekłością przeszukiwała szpital, głośno stukając obcasami, przemierzała oddział za oddziałem, a jej głos przjął tak surowy i władczy ton, że jedna z salowych aż się jej ukłoniła ze strachu. A kiedy Christina się zmieniała, zmienia się i Margareta. Jej pewność siebie i opanowanie odplynęły w siną dal, dreptała za Christiną w swoich modnych trzewikach i paplała nerwowo:

- Tutaj jej nie ma, chodźmy, chodź już...

Ale Christina była niewzruszona, systematycznie przepatrywała każdy oddział w dużym szarym gmachu, od pediatrii po geriatrię. Kiedy w końcu - po przeszło godzinnej bieganinie po korytarzach - poddała się i zjechały windą na parter, była biała z wściekłości. Miała tego po dziurki w nosie. Teraz zrobi wszystko, żeby Birgittę zamknęli raz na zawsze, i osobiście wyrzuci klucz.

- Bywają przypadki beznadziejne - powiedziała, otwierając drzwi wyjściowe. - Trzeba to tylko przyjąć do wiadomości. Niektórym nie można pomóc... To obciążenie genetyczne. Ona jest dokładnie taka jak jej matka. Beznadziejna!

Zimny wiatr targał Margarecie włosy, kiedy potykając się, szła przed siebie i szukała po kieszeniach papierosów.

- Jezu, Christina. Kto jak kto, ale ty powinnaś być ostrożna z genetyką...

Christina odwróciła się i świdrowała ją ciemnym spojrzeniem. Odzyskała kolory, nawet jej nieciekawie blond włosy wydawały się połyskiwać w świetle latarni.

- Chodzi ci o Astrid?! Że ja miałabym być taka jak Astrid?! Ech! Miałam też ojca.

Margareta osłoniła dłonią płomień i zapaliła papierosa.

- Ona też miała.

- Miała. Jakiegoś starego pijaka. Następny beznadziejny przypadek.

- A co ty wiesz o swoim ojcu? - spytała Margareta. - Albo ja. Ja nawet nie wiem, kim była moja mama. Co ktoś taki jak my może wiedzieć o genach?

- Wystarczająco dużo. Nasze życie jest najlepszym dowodem. Wkurza mnie ten twój fałszywy humanitaryzm... Najpierw na nią psioczysz, ale potem brakuje ci odwagi i konsekwencji. Mówisz: „Zabić ją”, a jak przychodzi co do czego, to: „Och, jaka biedna Birgitta”. Już to widziałam. Nie zapominaj.

Margareta dmuchnęła jej w twarz pióropuszem dymu.

- Więc myślisz, że jedynie swoim wyjątkowym genom zawdzięczasz przyzwoite życie? I nie ma to nic wspólnego z tym, że byłaś ulubienicą Cioci Ellen?

Christina prychnęła.

- Ulubienicą? Ja? To ciebie faworyzowała! Czarująca, miła Margareta. Ja byłam tylko zdolna, a kiedy nie byłam zdolna, byłam nikim. Nie istniałam. Nie zapominaj, że Birgitta też mieszkała u Cioci Eilen... I czasami była bardziej lubiana ode mnie. Na przykład wtedy, kiedy zaczęła pracować w Luxorze. To było coś. Prawdziwa praca w prawdziwej fabryce. O niebo lepsza niż moje wyróżnienia i wspaniałe oceny.

Margareta wyciągnęła rękę, chciała dotknąć ramienia Christiny, ale Christina odsunęła się gwałtownie. Dopiero wtedy Margareta zdała sobie sprawę, jak bardzo jest wzburzona.

- Naprawdę nie rozumiesz? - powiedziała, ścisząc głos. - Twoje sukcesy ją przerażały. Były jej obce. Praca w fabryce była dla niej czymś normalnym, wiedziała, co to takiego. Pragnęła dla nas zwyczajnego życia. Zwyczajnej pracy, zwyczajnego mężczyzny i zwyczajnych dzieci... I ty to masz. Masz wszystko, czego ona dla ciebie chciała, tyle że dużo, dużo więcej.

Christina odwróciła się do niej plecami i ruszyła na parking.

- Zgaś papierosa - powiedziała. - Zgaś, bo nie pojedziemy.

Margareta w biegu dopalała papierosa.

- Gdzie jedziemy?
- Oczywiście do ośrodka pomocy dla kobiet. Wyjaśnimy to raz na zawsze. Jezu. Jakby cokolwiek kiedykolwiek dało się wyjaśnić.

Ekspedycje karne

Jestem benandante, albowiem cztery razy do roku, w czterech temperach, wychodzę nocną porą, by wraz innymi skrycie walczyć duchem, podczas gdy powłoką cielesną na miejscu pozostaje...

Licytator Battista Moduco
przed inkwizycją w Cividale
27 czerwca 1580 roku
NO. DOBRZE.

Nareszcie wzięłam siostry w obroty. Są tam, gdzie chcę.

Christina, szara ze zmęczenia, siedzi w samochodzie przed motalskim ośrodkiem pomocy dla kobiet, skąd właśnie wychodzi Margareta. Starannie zamyka drzwi, sprawdza, czy aby na pewno się zatrzasnęły - na klatce roi się od ostrzeżeń przed nabuzowanymi adrenaliną samcami - i zapala swojego nieodłącznego papierosa. Christina otwiera drzwi samochodu, dając do zrozumienia, że jest gotowa znieść dym, byle tylko się dowiedzieć, co powiedzieli.

- Nie dzwoniły - mówi Margareta i sadwiąc się na fotelu, kręci głową. - Są tam tylko trzy dziewczyny, jedna to ochotniczka, a dwie nie miały innego wyjścia i musiały szukać schronienia w ośrodku. Przysięgają, że nie dzwoniły...

- Wierzysz im?

- Jasne. Ta ochotniczka odciągnęła mnie na bok i powiedziała, że Birgitta nie ma tam prawa wstępu. Parę razy zniszczyła im sprzęt...

- Boże - bezbarwnym głosem kwituje Christina i zapala silnik. - Udało jej się nawet załatwić zakaz wstępu do ośrodka pomocy dla kobiet... Sprytnie.

- I co teraz? - pyta Margareta.

- Śniadanie. Za parę godzin zaczynam pracę...

- Śniadanko - szczebiocze radośnie jak papużka młodsza pielęgniarka. - Zsiadłe mleko czy kaszka, Desiree?

Pytanie jest czysto formalne. Wie, że chcę zsiadłe mleko. Nie dlatego, że jest smaczne, owsianka z musem jabłkowym jest lepsza, ale kiedy poranną zmianą zawiaduje Kerstin Pierwsza, nie mogę jeść kaszy sama. Rozlewam na pościel, więc trzeba mnie karmić. I mając do wyboru zsiadłe mleko pite przez rurkę albo bliski kontakt z ekipą wychowawczą, wybieram mleko. Zawsze.

Nie wiem, jak się nazywa ta dziewczyna, jeszcze nie zdążyłam poznać imion wszystkich sióstr, w każdym razie zwraca się do mnie tak, jakbyśmy się przyjaźniły od kolebki. Desiree to, Desiree tamto. Kerstin Pierwsza wpaja swoim podwładnym, że pacjenci chętniej współpracują, jeśli mówi się do nich po imieniu. Wyszła za mąż za sprzedawcę.

Bezimienna stawia tacę na szafce i szczebioce dalej:

- Pozwolisz, że wstrząsnę ci poduszkę, Desiree? I podniesiemy zagłówek, żebyś mogła porządnie usiąść. I żeby ci się nic nie wylało. Bo chyba masz ochotę na kawę, prawda? Dziewczęta mówią, że prawdziwa z ciebie kawiara! Hahaha... Czy już się widziałas z doktorem Hubertssonem? Czy zostawić filiżankę i dla niego?

Złam nogę, myślę. Albo się powieś.

Z przyjemnością przeniknęłabym do jej głowy i zmusiła ją, żeby wyrznęła tyłkiem o podłogę. Nie mam jednak na to czasu i nie stać mnie na ryzykowne ekspedycje karne.

Dawniej było inaczej. Tamtego lata, kiedy odkryłam swoje zdolności, niczego nieświadoma podejmowałam każde ryzyko i złaźniona przeżyć, nie przejmowałam się ludźmi. Pastor szpitalny i terapeuta, pielęgniarze i lekarze, przypadkowi goście i zasmuceni krewni - widziałam w nich jedynie potencjalnych nosicieli. Mocno podekscytowana, wyciągałam ich na ulicę tylko po to, żeby natychmiast znaleźć sobie innych, lepszych nosicieli. Dotąd byłam praktycznie nikim, teraz chciałam być wszystkim naraz. Bez przerwy zmieniałam postać: rano byłam dziewczyną w sandałkach na wysokich

obcasach i wiatr łagodnie muskał mi szyję, w południe byłam młodym mężczyzną, siedziałam nad jeziorem Yatterem i piasek przesypywał się przez moje palce, o zmierzchu byłam kobietą w średnim wieku, która pochyla się nad niebieskimi ostróżkami i wypełnia ich zapachem każdy zakamarek mózgu.

Dużo się wtedy nauczyłam. Dowiedziałam się, czym jest pocałunek, jak taniec potrafi rozpalic najbardziej oziębłe podbrzusze i co się czuje, dotykając ustami meszku na główce niemowlęcia...

Między innymi.

Ale pod jesień, kiedy dni stały się krótsze i drzewa przypominały czarne ryty na tle nieba, wszystko się zmieniło. Poznałam benandanti, zaczęłam słuchać ich przestroóg i sama zauważyłam, że moje wycieczki mają swoją cenę. Po każdej byłam coraz bardziej zmęczona, czasami przez kilka godzin leżałam półprzytomna. Ale pełna wrażeń, więc przyjmowałam to ze spokojem. Znowu zainteresowałam się ludźmi na oddziale. Wpełzałam w pielęgniarzy, aż wreszcie nauczyłam się wystrzegać tych najsympatyczniejszych, którzy pochylali się nad moim łóżkiem z najmiłym z najmiłszych uśmiechów.

Psychopaci. Potencjalni mordercy. Wszyscy. Cała zgraja.

- Co to za życie? - poszeptywali w pokoju dla personelu i na korytarzach. - Nie mówi i nie chodzi...

- No i ta głowa...

- Jezu, wygląda jak stwór z kosmosu... Za pierwszym razem naprawdę się przestraszyłam.

- A te odleżyny... Wczoraj widziałam jej biodra... Hubertsson coś bredzi o lnianym prześcieradle. Jakby to miało pomóc...

- Ona na pewno cierpi...

- Jasne. To nieludzkie. Leży tak i podryguje od trzydziestu lat, czy ma tak leżeć przez następne trzydzieści? Albo i dłużej. Byłoby dla niej lepiej, gdyby umarła.

Tej jesieni wzrosła liczba nieszczęśliwych wypadków. A to się ktoś potknął na schodach i złamał nogę, a to ktoś się sparzył wrzątkiem, ktoś inny odurzył się moimi lekami na epilepsję, jeszcze ktoś inny obciął sobie opuszkę palca, krojąc chleb.

I tak dalej.

Fakt, byłam surowa, ale mimo to uważam, że kary były zasłużone. Karałam wyłącznie fałszywe współczucie, takie, które jest ludzkie jedynie werbalnie, bo nie rodzi się z serca. Milczące kobiety i spokojne dziewczęta zostawiałam w spokoju. Pogodziłam się nawet z ich niezdarnymi dowodami czułości. Mogły mierzwić mi włosy i głaskać po policzku, nie atakowałam ich. Warunkiem było ich milczenie. Prawdziwa dobroć nie potrzebuje słów. Przejawia się w czynach.

Dlatego nie cierpię tej bezimiennej, która stawia śniadanie na mojej szafce. Ma usta tak pełne słów, że aż ściekają jej po brodzie, jak ślina. A przecież wiem, że kiedy stąd wyjdzie, powie jak inne: „Po co ona żyje? To bez sensu...”

Chcę być dobrze zrozumiana. Nie chodzi o to, że ona życzy mi śmierci, sama jej sobie czasami życzy. Nie mogę znieść jej arogancji, tego, że w tak oczywisty sposób uważa moje życie za mniej sensowne od swojego. Bo jakież to wielki sens ma jej życie? Że spłodzi kilkoro dzieci? Że lata całe spędza przed telewizorem u boku nabzdyczonego męża? Że chodzi po kocich łbach Vadstenu i robi zakupy?

Zaniemówiłaby, gdybym ją o to spytała. Wszyscy tak zwani pełnosprawni - nawet Hubertsson - mają bowiem niesamowitą łatwość mówienia o tym, co bezsensowne, i niesamowitą trudność mówienia o tym, co sensowne. Już samo to pojęcie sprawia, że zachowują się jak żołnierze Armii Zbawienia w burdelu. Są zażenowani i podekscytowani, czerwienią się i przewracają oczami.

Podobno jest to wina Isaaca Newtona. Jego mechaniczny obraz świata sprawił, że pojęcie sensu stało się całkowicie obce człowiekowi Zachodu. No pewnie. Bo jeśli wszechświat to mechanizm, a człowiek - przypadkowy mikroby, sens jest wyłącznie czymś kłopotliwym. W takim wszechświecie mikroby biologicznie niedoskonałe - takie jak ja - są odrzucane. Mechanizm działa sobie dalej bez nich. Może nawet sprawniej. Czyli ich istnienie jest bardziej bezsensowne niż istnienie mikroby biologicznie doskonałych.

Obecnie wiemy jednak, że Newton zaledwie musnął powierzchnię rzeczywistości. Wszechświat nie jest niezmienną maszyną, jest sercem. Żyjącym sercem, które się rozciąga i kurczy, rozrasta w nie-

skończoność i maleje do niepojętych rozmiarów. I tak jak każde inne serce, kryje w sobie mnóstwo tajemnic i niespodzianek, zmian i przeobrażeń. Tylko jedno się nie zmienia - liczba, masa i energia. To, co raz istniało, zawsze będzie istnieć, tyle że w nowej postaci.

Każda cząstka niedoskonałej bryły, jaką jest moje ciało, byłaby więc tak samo wieczna jak wszechświat. Ale czymś wyjątkowym dla tego właśnie skupiska cząstek jest jego wiedza o tym, że istnieje.

Mam świadomość. Pod tym względem nie różnię się od otaczających mnie ludzi, tych, którzy chodzą i mówią. Jestem przekonana, że sens tkwi w świadomości. Nic nie wiem o jego formie i treści - czy jest równaniem, czy wierszem, piosenką czy bajką - wiem jednak, że istnieje. Gdzieś.

Dlatego ośmielałam się twierdzić, że moje życie ma taki sam sens jak życie tej bezimiennej, która kroi teraz moją kanapkę na kawałki wielkości znaczków pocztowych. Ba, jestem do tego stopnia zarozumiała, że pozwolę sobie na konstatację, że moje życie ma więcej sensu. Bo ona będzie zawsze tam, gdzie jest. Nigdy gdzie indziej.

Tymczasem ja mogę być tam, gdzie mnie nie ma. Jak elektron przed kwantowym skokiem. I jak elektron zostawiam po sobie ślad. Nawet tam, gdzie nie byłam.

Kwietniowa czarownica, mówią benandanti. Jesteś prawie taka jak my, ale nie jesteś jedną z nas. Mój nosiciel - mewa albo sroka, wrona albo kruk - rozkłada skrzydła i dyga w ironicznym ukłonie. Wiem. Ja jestem prawie taka jak oni, ale nie jestem jedną z nich.

Niektórzy mi zazdroszczą. Więcej potrafię i mogę się poruszać po większych przestrzeniach. Ale to jest sprawiedliwe. Benandanti są pełnosprawni, żyją całkiem normalnie w normalnym świecie i na ogół opuszczają swoje ciała tylko podczas świąt, cztery razy w roku. Niektórzy nie wiedzą, kim są. Kiedy budzą się następnego dnia po zmianie pory roku, po całonocnej wędrówce w Procesji Zmarłych, mają jedynie mgliste wspomnienia białych twarzy i siwych cieni. Wmawiają sobie, że to był sen.

Co innego kwietniowa czarownica. Ona wie, kim jest. A kiedy już pozna swoje umiejętności, może przemieszczać się w czasie i przestrzeni, może się ukryć w kropli wody i w owadach z taką samą łatwością, z jaką bierze w posiadanie ludzi. Nie ma jednak własnego życia. Jej ciało jest słabe, niedoskonałe, nieruchome.

Nie ma nas zbyt wiele. Prawdę mówiąc, nigdy nie spotkałam drugiej. Cztery razy w roku sumiennie uczestniczę w Procesji Zmarłych, licząc na poznanie kogoś podobnego do mnie, ale na razie bez skutku. Rynek w Yadstanie roi się od najróżniejszych postaci, nigdy się tam jednak nie pojawiła druga kwietniowa czarownica. Musiałam się zadowalać benandanti, lęklivymi drobnomieszczanami świata cieni.

Choć czasem i drobnomieszczanie bywają przydatni. Dzięki nim jestem teraz ostrożniejsza. Nauczyli mnie, że jeśli ktoś zacznie mówić do opuszczonego przez nas ciała, to nigdy już do niego nie wrócimy. Zostaniemy bezkształtnymi cieniami, które będą odzyskiwać swój kształt jedynie podczas Procesji Zmarłych.

W moim mieszkaniu nic mi nie groziło, miałam spokój, dopóki sama nie poprosiłam o pomoc. Kiedy czułam się senna, asystenci cicho zamykali drzwi do sypialni i pozwalali mi spać. Tutaj jest inaczej. Tutaj zawsze ktoś może do mnie zajrzeć. A nic nie wydaje się bardziej prowokować ekipy wychowawczej Kerstin Pierwszej niż drzemka pacjenta w ciągu dnia. Do takiego pacjenta trzeba mówić...

Za dnia muszę więc pilnować swojego ciała, zadowalając się obserwacją na odległość. Ewentualnie mogę sobie pozwolić na krótką wycieczkę, na przykład pochwycić ptaka w locie i zmusić go, żeby jak najszybciej dostarczył komuś list.

Ale mam noce. Przynajmniej dopóki jestem sama w pokoju. Noce i różne nocne zmiany. Nawet wtedy zachowuję ostrożność. Na początku zmiany przeważnie daję personelowi spokój, bo ma wtedy dużo pracy i trudno nim kierować. Nigdy o nic nie proszę i zanim się gdzieś ulotnię z mewą albo sroką, pozwalam się ułożyć do snu i zgasić światło. Mewy są najlepsze, szerokoskrzydłe i gibkie, czego nie da się powiedzieć o srokach. Poza tym brak im wrażliwości, wydają się nie zauważać, że na ich świadomość nakłada się inna. Sroki natomiast ogarnia niepokój, boją się tego, co nagle przeczuwają w sobie. Prawie jak ludzie.

Tak więc nie chcę straszyć siostr z nocnej zmiany. Rzadko je wykorzystuję, jeśli już, to podczas

pustych godzin, między drugą a trzecią, kiedy pacjenci głęboko śpią, kiedy nic im się nie śni, i pielęgniarki mogą sobie rozmyślać do woli w pokoju dla personelu. Starannie rozdzielam względy, moja świadomość wolno przepływa raz przez jedną, raz przez drugą. Szeptę słowa pociechy smutnym, zysłałam malownicze sny młodym, śpiewam o kojących wodach niespokojnym. Dopiero kiedy wszystkie są na granicy snu i jawy, jedna z nich spełnia moje polecenia.

Kilka tygodni temu poleciłam Agnecie napisać maczkiem list na różowej bibułce, zanieść go do mojego pokoju i wsunąć pod podszewkę poduszki. Następnej nocy Marie-Louise napisała drugi list i zrobiła to samo. Parę dni później blada Ylva odszukała żółty receptariusz i postawiła na nim pieczętkę doktor Wulf. Kiedy szeptalam rymowanek o Birgitcie, zdjęło ją takie obrzydzenie, że wypadł jej z ręki czerwony flamaster. Musiałam powiększyć własne ja, całkowicie ją wypełnić, żeby go podniosła i niezdarnie, pod moje dyktando, pisała dalej. Nazajutrz rano byłam tak wyczerpana, że nie miałam siły odpowiadać na pytania Hubertssona. Ale w nocy udało mi się skłonić czarnooką Tuę do znalezienia i zaadresowania trzech używanych kopert. Wczoraj, kiedy lawina ruszyła, wniknęłam w Lenę w dyżurce, zmusiłam do zamknięcia drzwi, wykręcenia numeru telefonu i podszycia się pod personel metalicznego ośrodka pomocy dla kobiet...

A wszystko to z myślą o Hubertssonie, który dawno temu zażyczył sobie opowieści o moich siostrach.

Jednak bez względu na to, ile Hubertsson dla mnie znaczy, nie mogę mu dać tego, czego chce, nie dając jednocześnie tego, czego nie chce. Opowieści o okruchach życia, które zostały dla mnie.

Początek opowieści dostałam w prezencie od Hubertssona. - Ty jesteś ostatnią ofiarą ostatniego prawdziwego głodu powiedział kiedyś.

Można na to spojrzeć i tak. Opowieść o nas dotyczy również tych, którzy żyli przed nami.

Moja historia zaczyna się ponad trzydzieści lat przed moim urodzeniem. Jest listopad, tuż po zakończeniu pierwszej wojny światowej. W pokoju z żelaznym piecykiem w Norrköpingu, siedzi mała dziewczynka i płacze.

- Tylko nie rzepa, mamó... - mówi przez nos, ze ściśniętym gardłem. - Nie rzepa!

Matka nie odpowiada, pochyla się i dokłada jeszcze jedno polano. Nim zamknie drzwiczki, żeby ogień porządnie się rozpałił, widzi skrzącą się korę brzożową.

Wszystko w twarzy dziewczynki jest wilgotne i błagalne oczy, usta, broda. Wszystko w jej matce jest suche i zamknięte - zaciśnięte usta, zaciśnięte dłonie, nieprzychylne plecy.

- Mamó, proszę, tylko nie rzepa...

Matka zdławiła współczucie, już nie pamięta, dlaczego płacz dziewczynki tak ją dręczy. Kiedy córka otwiera usta, żeby jeszcze raz poprosić, odwraca się i patrzy jej prosto w oczy. Mała zamyka usta, bo choć nie skończyła czterech lat, dobrze wie, co znaczy spojrzenie matki. Że będzie jeszcze gorzej.

- Jest tylko rzepa - mówi matka.

Dziewczynka milczy, kiedy matka osusza jej łzy fartuszkami. Materiał jest miękki, tylko dłoń stwardniała od nieustannego prania.

Później, kiedy jesień dojrzeje do zimy i rzeczywiście jest gorzej, dziewczynka już nie płacze. Głód wżera się w jej ciało, atakuje miękki szkielet i deformuje go, kości się wykrzywają, tam gdzie żebra łączą się z chrząstkami, tworzą się różańce krzywicze, miednica ukradkiem zmienia kształt.

Dziewczynka dźwiga zmęczenie jak garb. Rano, kiedy matka wychodzi do fabryki i zostawia ją samą przy ciepłym piecyku, kładzie się na kanapie. Nie bawi się, zapomniała jak smakuje owsianka i mleko. Pewnego dnia wspomnienie wraca. Wsuwa dłoń na samo dno kanapy i wodzi po nim palcem. Nagle wyczuwa coś twardego. Okruszki chrupkiego chleba. Kiedyś, dawno temu, leżała na tej samej kanapie i jadła chrupki chleb. Ślini palec, znów wkłada rękę w czeluść kanapy, okruszki przywierają. Poznaje ten smak, mimo że jest taka mała, orzechowy smak prażonego chrupkiego chleba. I w tym momencie, całkiem nieoczekiwanie i z niewiadomych powodów, zaczyna jej lecieć krew z nosa.

Dziewczynka będzie krwawić przez resztę życia. Ścianki naczyń krwionośnych stały się delikatne jak bańki mydlane. Wystarczy podmuch wiatru, żeby pękły. Z biegiem lat nic się nie poprawi. Jej organizm wydaje się nie wierzyć, że okres głodu minął, że matka zastawia stół kartoflami, wieprzowi-

ną, sosem cebulowym, gruboziarnistym chlebem i pachnącymi jabłkami, że ona sama rośnie i potrafi już upiec pszenny chleb z dużą ilością masła, i robić zsiadłe mleko, gęste i sycące. Mimo to krwawi, a jej szkielet został raz na zawsze zdeformowany.

W tym właśnie krwawiącym ciele zaczynam swoje życie, przenikam grubą śluzówkę macicy, wczepiam się, unoszę i rozwijam w spokojnych wodach płodowych, słyszę jej śpiew i śmiech.

Lekarz, który ją bada przed porodem, nic nie wie ani o pokoju z żelaznym piecykiem, ani o głodzie i ma w nosie parametry jej miednicy. Przez trzydzieści godzin moją głowę ugniatają zdeformowane kości, przez trzydzieści godzin męczymy się, bo stary głód zamyka drogę nowemu życiu. Dopiero kiedy jesteśmy bliskie śmierci, usypiają ją i nacinają.

- Co się urodziło? - pyta Ellen po wybudzeniu.

I co mają jej powiedzieć? Co tu w ogóle jest do powiedzenia?

Położna odwraca się do niej plecami i milczy. Wszyscy milczą.

A ja wyciągam rękę przez czas i szepczę:

- Dryfujące drewno. Urodziłaś kawałek dryfującego drewna, mamó.

Ale może oszczędzę Hubertssonowi tych szczegółów. On wszystko już wie o kruchych naczyniach krwionośnych Ellen i jej zdefektowanym kośćcu. Przecież to on się nią opiekował, nie ja.

Ode mnie Hubertsson oczekuje czegoś zupełnie innego: pełnej opowieści. Chce poznać koniec historii, która zaczęła się pewnego czerwcowego dnia przeszło trzydzieści lat temu, kiedy zobaczył swoją gospodynię porażoną wylewem.

Raz po raz opowiadał o reakcji trzech dziewcząt. O tym, jak Christina stała w drzwiach, przyciskając do ust zaciśnięte dłonie, jak Margareta siedziała koło Ellen i trzymała ją za rękę, jak Birgitta przywarła do ściany i jęczała: Nie moja wina, nie moja wina...”

Pojechał z Ellen karetką. Kiedy wrócił późnym wieczorem dom był pusty, na drzwiach wisiała kartka z informacją, że dziewczynkami zajęła się opieka społeczna.

Od tamtej pory mógł śledzić ich losy wyłącznie na odległość. Christina jest wprawdzie jego koleżanką, ale zachowuje dystans. Owszem, chętnie mówi o swojej pracy, od czasu do czasu zaprasza go na kolację, ale ilekroć Hubertsson napomknie o Ellen, Christina milknie i odwraca wzrok.

- Ciekaw jestem - mówi czasami - ciekaw jestem, co się stało, zanim wróciłem do domu...

I pewnego dnia byłam tak głupia, że powiedziałam:

- Napiszę ci o tym.

Niemal od razu pożałowałam tych słów.

Hubertsson myśli, że zwlekam i ciągle zaczynam pisać od nowa, bo się boję. Ale tak nie jest. Nie boję się moich sióstr, nie chcę się tylko zanadto z nimi spoufalać. Z nikim nie chcę się zanadto spoufalać. No, może z wyjątkiem Hubertssona.

Najgorsze w tym wszystkim - biorąc pod uwagę uwarunkowania - jest to, że nie mogę się bronić. Przez blisko pięćdziesiąt lat obcy ludzie bez przerwy mnie obmacywali: myli mi włosy, smarowali maściami, czyścili zęby i obcinali paznokcie, zmieniali brudne pieluchy i wyrzucali zakrwawione podpaski. I to, co w dzieciństwie sprawiało mi przyjemność, a w młodości było w miarę znośne, teraz jest udręką; jakby każda dłoń wypalała w moim ciele dziurę i jakby przez te dziury wyciekało moje ja. Niedługo stanę się workiem chrzęszczących kości, cała reszta spłynie na linoleum i wytrą ją sprzątaczkę.

Moje sekretne zdolności powinny mi umożliwiać coś wręcz przeciwnego. Kwietniowa czarownica potrafi zamienić „ja” nosiciela w cieniutką błonę na białych ściankach czaszki i wykorzystywać ciało do własnych celów. Tymczasem ja zbyt często się gubię w cudzych głowach, wnikać w nie i pozwalam się wchłonać. Śmieję się i płaczę, kocham i nienawidzę na ich warunkach, nie na moich. Rozpuszczam się w nosicielach. Ale ja tak nie chcę. To nie tak ma być.

Dlatego ostatnio wybieram wyłącznie zwierzęta i nieznanomych. Tam mogę się utrzymać na powierzchni, tam nie grozi mi utonięcie. Z tego powodu wystrzegam się wszystkich, którzy na dobre albo złe coś znaczą w moim życiu: Kerstin Pierwszej i Hubertssona, i moich sióstr. Nigdy w świecie. Za żadne skarby.

Jedna z nich żyje tym życiem, które mnie było pisane. Dlatego tak jak Hubertssonowi zależy mi

na tym, żeby się dowiedzieć, co się wydarzyło pewnego dnia przed laty, chcę wiedzieć, która to z nich. Tylko wiedzieć. Nie przeżywać. Widzieć i nie czuć.

Obiecałam Hubertssonowi odpowiedź, a obietnica jest obietnicą. Stąd moja obecność w kilku miejscach naraz. Siedzę na łóżku, rezolutnie sięgam po kawałek kanapki z cętkowaną kiełbasą, unoszę się pod sufitem celi Birgitty w komisariacie w Norrkópingu i stoję na schodach Postindustrialnego Raju, patrząc, jak Christina szuka kluczy w torebce. Margareta stoi za nią i przygryza wargę.

- Tylko wezmę prysznic - mówi - i znikam...

Christina jest zanadto zmęczona po nieprzespanej nocy, żeby udawać gościnność. Wzrusza ramionami.

- No, może bym się z godzinkę przespała. - W głosie Margarety pobrzmiewa prośba. - Jeśli oczywiście nie masz nic przeciwko temu. Samochód odbieram wczesnym popołudniem...

Christina znowu wzrusza ramionami i otwiera drzwi. Jej milczenie niepokoi Margarete.

- Jak będziesz brała prysznic i szykowała się do pracy, mogę zrobić śniadanie.

Christina starannie wiesza pelerynę. Margareta rzuca kurtkę na stary kufer. - Tak, tak zrobimy - mówi głośno. - Ja się zajmę śniadaniem, a ty się doprowadzisz do porządku..! Co chcesz, herbatę czy kawę?

- Kawę - odpowiada wreszcie Christina, przyglądając się swojej szarej twarzy w lustrze w przedpokoju. - Czarną kawę...

Birgitta leży z otwartymi ustami na pochyłej podłodze w celi dla pijaków. Śpi, ale nie śni, nawet we śnie wie, że trzeba się wystrzegać marzeń.

Nikt jej nie przesłuchał. Kiedy odmówiła podania nazwiska, wrzucili ją do celi bez żadnych dalszych formalności. Nie krzyczała, nie kłęła. Położyła się na boku i wsunęła dłonie pod policzek. Jak aniołek. Jak prawdziwy aniołek.

Jezu. I dla kogoś takiego mnie porzuciła...

Tak było. Ellen mnie porzuciła. Trzy zdrowe dziewczynki trafiły na początku lat pięćdziesiątych do dobrego domu w Motali, dlatego że nieco wcześniej spastyczne i epileptyczne dziecko z porażeniem mózgowym zostało umieszczone w Zakładzie dla Ułomnych. I zapomniane.

Z czysto praktycznego punktu widzenia była to słuszna decyzja; szczęście trzech dziewczynek kosztem nieszczęścia jednej. A Ellen żyła w praktycznych czasach, niechętnych cierpieniu i ułomnościom. W pierwszym okresie budowy Domu Ludowego robiono porządki w każdym kącie, upychając wariatów i kaleki po najróżniejszych instytucjach. Białe fartuchy lekarzy pachniały wiatrem i wodą, dzień w dzień szorowano podłogi szarym mydłem, na korytarzach było tak cicho, że z odległości kilku metrów można było usłyszeć szelest wykrochmalonych mundurów pielęgniarek. Jedynie porzucone dzieci zakłócały idyllę; śliniące się, ślepe wodogłowia, jęczące tłumoczki o szpotawych stopach i kwilące garbate potworki, wrzeszczący i dukający epileptycy i spastycy.

Pod wieloma względami Ellen była dzieckiem swoich czasów; jako jedna z pierwszych w Szwecji opiekunek domowych zasilila szeregi brygad higienicznych. W obawie przed koniecznością pracy w fabryce włókienniczej uciekla z Norrkopingu do Motali, gdzie ubrana w coś na kształt pielęgniarzkiego mundurka, codziennie przemierzała ulice rowerem i gotowała samotnym starszkom, myła dzieci chorych rodziców i wycierała im nosy, dbała o to, by roztrzęsione świeżo upieczone matki nie pogrążały się w poporodowych depresjach i nie zaniedbywały swoich obowiązków.

W ocenie komisji do spraw socjalnych i komisji opieki nad dziećmi Ellen była prawdziwą perłą. Pogodna i sumienna, schludna i zadbana, kompetentna i uczciwa. No i dobrze gotowała. Dlatego nikt się specjalnie nie zdziwił, kiedy zaczął się do niej na swój niezdarny sposób zalecać Hugo Johanson, pierwszy w historii Motali pracownik budowlany, który został radnym. Byli dla siebie stworzeni: porządni i godni zaufania, rzetelni i pracowici. I dobrze, że owdowiały Hugo był dwadzieścia lat starszy, mógł bowiem zaoferować swojej młodej żonie prawdziwy dom.

Gdzieś w papierach Hubertssona jest zdjęcie Hugona, retuszowana fotografia z lat czterdziestych przedstawiająca mężczyznę w średnim wieku o starych oczach i gładkiej, wygolonej twarzy. Nie bardzo mogę go sobie wyobrazić jako mojego ojca, jego oczy nic mi nie mówią.

Może to normalne. W końcu Hugo okazał się jedynie dawcą spermy. Kiedy Ellen leżała na po-

rodówce, on był na innym oddziale i walczył z rakiem.

Zamieram z kanapką przy ustach i nasłuchuję. Na korytarzu postukują niezwykle efektywnie obcasy ekipy wychowawczej. Ale ciszej niż zwykle. Tak to brzmi, kiedy stan któregoś z pacjentów poważnie się pogarsza.

Ciekawe, którego.

Nie znam tu wielu pacjentów. Prawdę mówiąc, unikam ich. Przeważnie są to ludzie starzy, których obecność mnie męczy. Z kilku powodów. Parę dni temu, kiedy jedna z podwładnych Kerstin Drugiej wiozła mnie korytarzem, zobaczyłam starca siedzącego samotnie w stołówce. Na jego widok zaparło mi dech, dziewczyna za moimi plecami zatrzymała się w pół kroku. Na moment połączyły się nasze spojrzenia: dziewczyny, starca i moje.

Siedział przywiązany do wózka inwalidzkiego, tak jak ja, ale górny rzemień się poluzował i głowa wyśladowała na stole. Sztuczna szczęka wysunęła się, ręce dyndały bezradnie. Nie był w stanie ich podnieść, żeby się wesprzeć i usiąść prosto. Ostra krawędź stołu boleśnie wrzynąca się w ramiona.

Nic nie powiedział, nawet nie jęknął, tylko wolno uniósł brwi. W tej sekundzie czas ruszył z miejsca. Dziewczyna podniosła ręce do ust.

- O, Boże! - wykrzyknęła. - Nie!

Byłam jej wdzięczna, że poprzestała na tym okrzyku, że była jedną z tych dziewcząt Kerstin Drugiej, które traktują pacjentów jak niemowlęta. Szybko do niego podeszła i pomogła mu usiąść.

- Chcesz się położyć, Folke? - spytała.

Zamknął oczy i skinął głową. Nagle bardzo chciałam wstać, chwycić go silnymi ramionami, wyrwać z tej upokarzającej sytuacji... Tymczasem mogłam tylko odwrócić wzrok, kiedy obok mnie przejeżdżał, tak jak inni tysiące razy odwracali wzrok na mój widok.

Może to Folke postanowił umrzeć.

Tak właśnie robią najsilniejsi starcy. Postanawiają umrzeć. Nie od nich, rzecz jasna, zależy, jakie im się przytrafią choroby, ale jak się przytrafią, wydają się mieć wpływ na własną śmierć. Po prostu odpuszczają. Pewnego dnia otwierają dłoń zaciśniętą na linie życia i spadają.

Ja nadal mocno trzymam się liny. Głównie z powodu moich siostr i Hubertssona, ale także dlatego, że wiem, co czeka umierających przedwcześnie. Folke niczego nie musi się obawiać. Jego życie jest spełnione, nigdy nie będzie musiał iść w Procesji Zmarłych.

Trzaskają drzwi, otwiera je biodrem dziewczyna o głosie papużki.

- Zjadłaś śniadanie, Desiree?

Chwytam ustnik i dmucham.

- Tak. Chcę się dzisiaj wykąpać. Można?

Czyta tekst na monitorze i na jej twarzy pojawia się wyraz wahania. Wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Spytałem...

- Od ostatniego razu minął ponad tydzień.

Próbuje mnie pokonać milczeniem. Żądam, więc jestem rozpieszczona. Pacjenci, którzy mieli asystentów i własne mieszkania, uchodzą za rozpieszczonych. Zwłaszcza ja, bo stoi za mną Hubertsson. Tacy jak ja uważają, że o wszystkim mogą decydować sami. Nawet o tym, kiedy i jak często będą się kąpać. Nie obchodzi ich przeciążenie personelu ani konieczność oszczędzania w służbie zdrowia.

Nie wypuszczam ustnika.

- Muszę się dzisiaj wykąpać. Śmierzę. Poza tym, jak się nief wykąpię parę razy w tygodniu, dostaję odleżyn. Wiecie o tym...

Opuszczając pokój z tacą w ręku, już nie szczebiocze jak papużka, obniżyła głos o całą oktawę.

- No przecież spytałem! Powiedziałam!

Natychmiast to zgłosi Kerstin Pierwszej. A Kerstin Pierwsza będzie zwlekać z odpowiedzią.

Lekko się uśmiecham i uzbrajam w cierpliwość.

W Postindustrialnym Raju Christina siada przy kuchennym stole i tłumi westchnienie. Więc tak wygląda jej pierwsze samotne śniadanie, o którym marzyła. Nie ma jej ulubionej marmolady, cheddara ani bułeczek. Nie mówiąc o ciszy i spokoju.

Jajko wygląda dziwnie; musiało pęknąć podczas gotowania, bo białko wypłynęło na ze-

wnątrz, jakby miało wściekliznę. Poza tym Margareta w przypływie nadgorliwości zdążyła, wrzucić do tosteru osiem kromek chleba. Leżą w koszyku zimne i lekko zwęglone.

- Wolę opiekąć chleb bezpośrednio przed jedzeniem - mówi Christina z lekkim uśmiechem.

Margareta wzrusza ramionami. Kiedy przygotowywała śniadanie, straciła dobry humor i teraz ma gdzieś tę zakamuflowaną krytykę jej talentów kulinarnych.

- Zostaniesz, żeby się trochę przespać? - pyta Christina, roztopiając cienką warstewkę masła na gorącym toście.

Masło roi się od czarnych kropek. Margareta przed chwilą posmarowała swoją lekko zwęgloną kromkę. Obie patrzą na dropiate masło.

- Tak - odpowiada w końcu Margareta. - Jeśli można. Wyjdę mniej więcej w porze lunchu.

Christina poważnie kiwa głową.

- Zostawię ci klucz. Jak zamkniesz drzwi, wrzuc go do jednej z muszli...

Margareta wykrzywia się.

- Tych, które leżą przy kuchennych schodkach?

- Tak. Kupiłam je kilka lat temu, kiedy byliśmy z Erikiem na Bali... To cud, że się nie stłukły.

Margareta prychnęła.

- To one są prawdziwe?

Christina podnosi wzrok, wyraźnie zdumiona pytaniem.

- Oczywiście, że są prawdziwe.

Margareta szczyrzy zęby i sięga po papierosa. Niedojedzona kanapka leży na talerzyku.

- Aha - mówi i pstryka zapalniczką. - A ja myślałam, że są z plastiku...

I w chwili kiedy Christina powinna spochmurnieć, dzwoni telefon. Musi przyjechać do szpitala dla przewlekle chorych. Natychmiast.

Kerstin Pierwsza zjawia się nadszpiewanie szybko. Ma sandały na miękkich podszewkach, dlatego jej nie słyszę. Nagle skrzypnięcie drzwi - i już jest.

U pięknych kobiet zdumiewa to, że właściwie są pozbawione twarzy. Wystarczy się przyjrzeć tym z reklam. Najl piękniejsza z najpiękniejszych ma zamiast wyrazistych rysów parę niewyrazistych oczu i zarys ust.

Podobnie jest z Kerstin Pierwszą. Jej nos, policzki i brodę skutecznie zdominowały błyszczące oczy i doskonale wykrojone usta. Teraz marszczy wspaniałe łuki brwi i wpija wilgotne spojrzenie w moje nędzne ciało.

- Znowu masz odleżyny?

Chwytam ustnik.

- Nie. Jeszcze nie.

- Powiedziałaś Ulrice, że masz odleżyny.

- Jakiej Ulrice?

- Młodszej pielęgniarki, która przyniosła ci śniadanie. Twierdziła, że masz odleżyny...

- Nic podobnego. Powiedziałam, że będę miała odleżyny, jeśli się nie wykapię.

- Nie mamy dzisiaj personelu, żeby się tym zajął.

- Ale ja się nie kąpałam od tygodnia!

- Przykro mi. To nie moja wina, że brakuje nam funduszy. Ale postaram się, żebyś była dzisiaj w świetlicy. Wiesz przecież, że wózek to najlepsze lekarstwo na odleżyny. Będzie obrazkowe bingo. I występ chóru.

Moje spazmy przybierają na sile, głowa odskakuje w bok, z trudem udaje mi się utrzymać ustnik i wydmuchać swój protest.

- Nie chcę grać w obrazkowe bingo. Nie chcę słuchać chóru. Chcę się wykapać!

Kerstin Pierwsza cierpliwie czeka, aż skończę.

- Na pewno ci się spodoba - mówi z uśmiechem. - Kto wie, może dzisiaj wygrasz pomarańczę?

Poza tym musimy tutaj trochę posprzątać. Przyda ci się zmiana powietrza.

Ustnik wypada mi z ust, muszę walczyć ze spazmami, żeby go chwycić. Kerstin Pierwsza się nie spieszy, sympatycznie uśmiechnięta patrzy, jak otwieram i zamykam usta. Kiedy w końcu łapie

ustnik zębami, starcza mi siły tylko na dwa słowa.

- Zmiana powietrza?

Kerstin Pierwsza uśmiecha się jeszcze sympatyczniej.

- Tak. Przeniesiemy cię do innej pacjentki. To chyba miłe, prawda?

- Nie!

Kerstin Pierwsza pochyla się, żeby mnie przykryć, i mówi nieco głębszym głosem:

- Jaka szkoda, a myślałam, że w towarzystwie będzie ci raźniej.

Prostuje plecy i krzyżuje ręce na piersiach.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Nic jednak nie mogę zrobić, musimy cię przenieść, żeby Folke miał osobny pokój. Jest w ciężkim stanie, jedźcie do niego cała rodzina. On będzie u ciebie, a ty się przeniesiesz do Marysi.

Przygryzam ustnik, chociaż wiem, że spazmy mogą spowodować zerwanie rurki. Wtedy byłabym pozbawiona słów do czasu pojawienia się Kerstin Drugiej. Albo aż do jutrzejszej porannej wizyty Hubertssona. Ogarnia mnie panika. Mimo to nie puszczam ustnika.

- Do kogo? - dmucham.

Kerstin Pierwsza rzuca okiem na monitor i idzie do drzwi. Zatrzymuje się z ręką na klamce, drugą ręką macha do mnie.

- Marysia, no, wiesz. Ta z zespołem Downa. Jest miłutka jak wszyscy mongoloidzi! Są jak sól ziemi. Zawsze rozkoszni i uroczy. Możesz się od niej dużo nauczyć!

Widzę dwie błyskawice, niespastychny skurcz przeszywa ciało. Zamykam oczy. Ciemności na horyzoncie. Nadchodzi burza, jedyne, co mogę zrobić, to oddać się we władanie jej sił.

Blizniak pasożyt

... i powiedziałeś do siebie w łazience:

Nie jestem najukochańszym dzieckiem.

Kochanie, kiedy przychodzi co do czego

i światło gaśnie, i wpełza mgła,

i siedzimy w okaleczonym ciele

pod kocem albo w płonącym samochodzie,

i wydobywają się czerwone płomienie,

i zapala się asfalt koło głowy

albo podłoga, albo poduszka,

nikt nim nie jest

albo wszyscy jesteśmy.

Margaret Atwood

- SZPITAL DLA PRZEWLEKLE CHORYCH? - dziwi się Margareta. - Myślałam, że pracujesz w przychodni.

Christina krąży po kuchni, szukając kluczy. Jest już w pelerynie.

- Bo pracuję. Ale jako lekarz domowy mam też pacjentów w szpitalu...

Znajduje klucze na blacie koło kuchenki i usiłuje zdjąć z kółka ten do kuchennych drzwi. Palce nie chcą jej słuchać, przezroczysta skóra czerwienieje.

- Daj mi to - mówi Margareta, która ciągle siedzi przy stole. - Sama zdejmę...

Christina zapina pelerynę, czekając, aż Margareta skończy. Trwa to zaledwie chwilę.

- Proszę!

Margareta podaje jej pęk kluczy. Klucz do kuchni leży na stole. Przez moment obie na niego patrzą i słyszą głos Cioci Ellen: „Żadnych kluczy na stole! To przynosi nieszczęście!” Margareta chwyciła klucz i z uśmiechem wkłada do kieszeni spodni.

- No tak - mówi Christina i już nie sprawia wrażenia zagonionej, raczej niezdecydowanej. - Tak. No to wszystkiego dobrego. I do usłyszenia...

Margareta lekko się wykrzywia.

- Do usłyszenia. I wszystkiego dobrego.

- Pojedziesz na cmentarz?

Margareta kiwa głową.

- Jeśli zdążę przed zmrokiem...

- A Birgitta?

- E! Pewnie tym razem już się nabawiła...

Na moment zalega cisza. Christina odchrząkuje.

- No tak. No to do usłyszenia. Muszę pędzić...

Wydaje się, że chce podejść do Margarety, żeby ją uścisnąć, ale Margareta ją powstrzymuje, wydmuchując w jej stronę chmurę dymu.

- Erik - mówi głośno Christina i przekręca kluczyk w stacyjce.

Często wymawia jego imię, kiedy jest sama; nie dlatego, że tęskni, ale dlatego, że myśląc o nim, znajduje w nim oparcie. A właśnie teraz potrzebuje oparcia. Jakby wydarzenia ostatnich godzin rozsunęły kotarę - stalowoszarą aksamitną kotarę, a może żelazną kurtynę - i odsłoniły przeszłość. Pragnąc wyjazdu Erika, zapomniała, że to on obsługuje kurtynę, to on pomaga jej żyć, tak jakby przeszłość nie istniała, umarła: i kiedy nie ma go w pobliżu, ta przeszłość zaczyna ożywać, poruszać się, oddychać.

Ale tym razem się nie podda. Nie jest dzieckiem ani nastolatką; przeszłość jest przeszłością. Dzisiejsza Christina Wulf nie ma nic wspólnego z tym, co było. Urodziła się na uniwersytecie w Lundzie, pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy koło zębate dziejów na moment się zacięło i wymieniono w nim jeden z trybików. Ktoś wtoczył do akademika jajo i po kilku godzinach krucha skorupka zaczęła pękać. O północy rzecz się dokonała: z jaja wyszła młoda kobieta. Od samego początku była tym, kim miała być: poważną studentką, świadomą, codziennie siadającą przy biurku i punktualnie o ósmej rano otwierającą podręczniki. Tylko sporadycznie zamykała je przed popołudniem, żeby na jasnyniebieskim papierze napisać list do przybranej matki, którą spotkała w innym życiu. Treść była zawsze ta sama: „Wszystko dobrze, odkładam pieniądze, przyjadę do Ciebie na Boże Narodzenie”. Rzadko dostawała odpowiedzi. Inne listy, które do niej przychodziły, przeważnie opatrzone stemplem „Norrköping”, gniotła i wyrzucała do kosza, nie czytając. Nic nie wiedziała o Norrköpingu. Urodziła się i mieszkała w Lund.

Można sobie wybrać życie, myślała. Nie trzeba brać tego, co się dostaje.

Teraz od dawna jest dorosła, dokonała wyboru i mieszka w Yadstene, ma obowiązki, spoczywa na niej odpowiedzialność, nie ma czasu ani ochoty grzebać się w przeszłości. Jeszcze raz przekręca kluczyk w stacyjce. Silnik odpowiada mało entuzjastycznym kaszlem. Na desce zapalają się dwie lampki: wskaźnik poziomu oleju i wskaźnik ładowania akumulatora. Christina przesuwając dłoń po włosach, spocila się, zaparowały jej okulary.

- Tylko spokojnie - mówi głośno i zmusza się do zamknięcia oczu.

Ponownie przekręca kluczyk. I staje się cud: silnik mruczy przyjaźnie. Zerka na zegarek. Dzwonili siedem minut temu. Osiem zajmie dojazd. Zdąży.

Christina oczywiście wie, że Folke umrze. Nie może mu pomóc. Wywiązało się zapalenie płuc, które jest wybawieniem dla wszystkich pacjentów z demencją starczą. Wprawdzie Folke nie cierpi na demencję, ale ma po prostu dosyć starości. Kiedy zaczęły go opuszczać siły, świadomie wyłączył wszystkie zmysły, nie chciał widzieć, słyszeć, mówić. Christina nic tu nie zdołała. Może mu jedynie życzyć szczęśliwej podróży.

Na dobrą sprawę nie musi jechać do szpitala, mogła zaordynować morfinę przez telefon i skończyć śniadanie. Tak robią inni lekarze. Ale nie Christina. Wie, że przez cały dzień musiałaby się opędać od pełnych poczucia winy fantazji o bolesnej śmierci Folke. Dlatego się boi, że nie zdąży na czas. Boi się spojrzeć jego rodziny i pielęgniarki oddziałowej, która do niej zadzwoniła. Mówią na nią Kerstin Pierwsza. Kerstin Pierwsza chyba coś podejrzewa, chyba się domyśla, że Christina źle się czuje w swoim zawodzie.

Bo tak jest. Christina źle się czuje w swoim zawodzie. Źle wybrała. Od dawna o tym wie. Właściwie od tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Erika.

Nie przyszła na jego wykład dobrowolnie. Piegowaty doktorant, nienawykły do publicznych wystąpień, początkowo był zdenerwowany, błędził spojrzeniem po sali i często robił pauzy, potem jednak zamilowanie do przedmiotu wzięło górę i trema zniknęła. *slgenesis cordis!* Niezwykle rzadki przypadek, jeden na trzydzieści pięć tysięcy ciąż...

Christina słuchała jednym uchem, nic z tego, co mówił, nie wydało jej się ważne. Interesujące, owszem, ale mało istotne dla świeżo upieczonego lekarza. Poza tym odzwyczaiła się od siedzenia bez ruchu, w ostatnich miesiącach biegała od pacjenta do pacjenta, z dyżuru do stałych zajęć, z pokoju przyjęć w szpitalu do przychodni, ze szpitala dla przewlekle chorych do domu starców.

W pierwszym roku pracy stopniowo przestawała się dziwić że jej się udało, że ona, Christina Martinsson, naprawdę ma dyplom lekarza. Kiedy zobaczyła swoje odbicie w czarnej szybie - szara, niepozorna kobieta w białym fartuchu i ze słuchawką w kieszeni - już się nie dziwiła, przeciwnie, mogła spojrzeć na siebie z lekką ironią. No, no! Idzie pani doktor.

Ale chwile triumfu były coraz radsze. Zaczęła sobie zdawać sprawę z własnej naiwności. Rok za rokiem tonęła w książkach, zaangażowana, świadoma celu. Lektury towarzyszyły jej w snach, budziła się w środku nocy, przejęta do głębi losem jakiegoś urojonego pacjenta. Ale tak być powinno. Rano strząsała z siebie resztki snu i brała się za bary z kolejną porcją wiedzy. Następnego dnia, myślała, obudzę się i będę lekarzem, i wszystko się zmieni. Przede wszystkim ona sama. To, co w niej mętne i płynne, okrzepnie i nabierze wyrazu, zleje się w monolit, solidny i trwały jak betonowy filar.

Ale kiedy nadszedł ten dzień, cud się nie zdarzył. Minał rok i nie zaszła w niej żadna zmiana. Christina zaczęła sobie uświadamiać, że dopiero teraz - po jedenastu latach studiów i praktyki - stoi przed wyborem zawodu. Musiała zostać lekarzem, zanim była w stanie podjąć decyzję, czy naprawdę chce nim zostać.

Ale dlaczego? Dlaczego to było takie ważne?

Oczywiście z powodu Astrid. I z powodu Ellen.

Została lekarzem ze względu na swoje matki.

Christina spuściła głowę i zapomniała o młodym wykładowcy. Tak, tak było. Ani Astrid, ani Ellen nie wierzyły, żeby kiedykolwiek mogła tego dokonać. Ellen była pełna wątpliwości i niepokoju, kiedy Christina powiedziała jej, że zamierza studiować medycynę. Astrid otwarcie z niej szydziła. Ledwie Christina ośmieliła się o tym wspomnieć, pogardliwie mruknęła, że pycha zwiastuje klęskę. W świecie Astrid lekarze - wszyscy lekarze - posiadali tajemną władzę i w ich obecności zamieniała się w małą zalęknioną kobietkę, która przymilnie się uśmiecha i trzyma język za zębami. Taką Christina chciała ją widzieć. Nie inną. Tylko taką.

Ten zawód był ucieczką, próbą uwolnienia się. Ale od Astrid nigdy się nie uwolniła. Matka zasiała w niej nasionko wstrętu, które w czasie studiów niepostrzeżenie się ukorzeniło by rozkwitnąć w pierwszym roku pracy. Codziennie musiała ukrywać obrzydzenie do paradujących przed nią ciał; owłosione uda, ciastowate brzuchy, dyndające piersi, pomarszczone pupy starców, cuchnące rany, śmierdzące podbrzusza.

Ciało jest karą. Ale lekarza to nie dotyczy, czysty i nietknięty unosi się nad niedoskonałością innych, nie dosięgną go żadne procesy rozkładu...

Christina jeszcze raz patrzy na młodego wykładowcę. Będzie leczyć dalej. Z powodu unoszenia się. I dla Cioci Ellen, która uśmiechnęła się zniekształconym chorobą uśmiechem i z wysiłkiem położyła ręce na dłoni Christiny, kiedy Christina po raz pierwszy stanęła przy jej szpitalnym łóżku w białym fartuchu i ze słuchawką na szyi. Młody wykładowca nieporadnie poruszał się na podium, opuścił ekran i przygotowywał rzutnik. Christina wyprostowała się, jak poczuwająca się do winy uczennica, i udawała zainteresowanie. Światło na sali zgasło, na ekranie pojawił się pierwszy slajd. Placenta. Wypełniona metylenem, niebieska kosmówka. Pałeczka wykładowcy przesuwiała się w poszukiwaniu tętnicy.

- Etiologia nie jest jasna, ale według jednej z teorii we wczesnej fazie ciąży dochodzi do deformacji naczyń, skutkiem czego słabszy bliźniak otrzymuje zużytą krew za pośrednictwem *timbulicalus...* Dociera ona najpierw do dolnej części ciała, dlatego - jak zobaczymy - ta część jest bardziej rozwinięta...

Nacisnął guzik i na ekranie pojawił się kolejny slajd, przyjęty przez audytorium z niemym

osłupieniem. Christina pomyślała, że źle widzi, zamrugła oczami i poprawiła okulary, a potem zasłoniła usta dłonią. Bardzo nieprofesjonalny gest. Zmusiła rękę do zajęcia odpowiedniej pozycji, na kolanach i odwróciła kartkę w zeszycie, jakby się szykowała do zrobienia ważnych notatek, ale nic nie napisała.

Slajd przedstawiał ciało z pępownią i wyrostkami zamiast nóg. Noworodek pozbawiony głowy i rąk, różowa bryłka mięsa. Bez wątpienia człowiek, a raczej połowa człowieka. Tam gdzie powinna być szyja i głowa, była jedynie lekka wypukłość. Wykładowca milczał, pozwalając, by ten obraz zapadł im w pamięć.

- W literaturze przedmiotu - podjął po chwili - nazywa się to acardiac monster, monstrum bez serca, co w zasadzie jest słuszne, ponieważ rzeczywiście nie ma serca, wolałbym jednak unikać określeń, które niosą w sobie posmak... eee... sensacji...

Nacisnął guzik, kolejny slajd przedstawiał to samo stworzenie, ale pod innym kątem. Teraz można było dostrzec fałdkę skóry pomiędzy wyrostkami. Paleczka wykładowcy zatrzymała się na niej.

- Zdeformowany płód i płód zdrowy są zawsze jednej płci. To najczęściej dziewczynki. Dlaczego - nie wiadomo. Śmiertelność płodów pasożytów jest wysoka, ponieważ w miarę rozwoju ciąży rośnie zapotrzebowanie na krew, co może im przysparzać poważnych trudności...

Wiele lat później, kiedy ich bliźniaczki zaczęły chodzić do szkoły, Christina doszła do wniosku, że musiała źle zrozumieć Erika. Którejś nocy odruchowo nim potrząsnęła, mimo że jego sen zawsze był rzeczą świętą.

- Erik! - szepnęła w ciemnościach sypialni. - Erik!

Po dłuższej chwili odchrząknął i poruszył się.

- Posłuchaj! Chcę cię tylko o coś spytać...

Otworzył oczy i odwrócił się do niej.

- O co chodzi?

- Pamiętasz ten wykład, kiedy się poznaliśmy? O tym monstrum bez serca? Pamiętasz?

Naciągnął kołdrę na ramię i zamknął oczy.

- Mmmm. A co?

- Mówiłeś o bliźniaku pasożycie, prawda? Ale którego bliźniaka miałeś na myśli? Tego zdrowego? Czy tego drugiego?

Pokrył irytację śmiechem.

- Boże, Christina, co za pytanie w środku nocy... Oczywiście, że zdrowego. Wskazuje na to sama nazwa, płód pasożytujący pompuje krew w płód kaleki, zakłócając jego procesy życiowe...

- Aha... Dziękuję. Śpij...

Chwycił jej dłoń i lekko ścisnął.

- Dlaczego pytasz?

- Po prostu zaczęłam się zastanawiać nad samym słowem. Byłam przekonana, że chodzi o ten drugi płód...

Już w półśnie zapytał z uprzejmym zainteresowaniem:

- Dlaczego?

Christina zabrała rękę, wsunęła się głębiej pod kołdrę i mocno zacisnęła oczy, żeby odpędzić przykre wspomnienie.

- Ech... Sama nie wiem...

- Śpij dobrze - powiedział.

- Ty też.

Astrid drażnił ich sposób rozmawiania ze sobą, to, że mówią „dziękuję” i „proszę”, „śpij dobrze” i „poczęstuj się”. Kiedy niezaproszona przyszła do nich po raz pierwszy i ostatni, wygarnęła, co o tym myśli.

- Puszczycie się - oświadczyła swoim ułomnym skanskim. - Mówicie jak nadęte bufony. Nie możecie powiedzieć wprost, o co wam chodzi, musicie się wygłupiać? Przecież jesteście małżeństwem i chyba możecie gadać po ludzku.

Christina spodziewała się podobnego ataku, od lat przygotowywała odpowiedź. Miała ją na

podorzędziu, ciętą i ostrą, a mimo to milczała. Sznurując usta, zabrała matce sprzed nosa niedopitą kawę, wyprostowała się i podeszła do zlewu.

- Te, paniusiu! - wrzasnęła Astrid. - Jeszcze nie skończyłam!

Christina zamarła, po czym - z filiżanką w dłoni - wolno się odwróciła i taksowała matkę spojrzeniem. Astrid wymachiwała sinymi rękami.

- Bądź tak cholernie miła i przynieś filiżankę. I popielniczkę!

- Nie możesz tu palić. Erik tego nie lubi...

- Aha - powiedziała Astrid, zapalając papierosa. - Jego Anielska Kość rozkazała... Można przecież otworzyć okno.

Jej obwisłe piersi zakołysały się jak pustawe worki, kiedy się pochyliła nad kuchennym stołem. Długo i demonstracyjnie manipulowała przy haczykach, wreszcie otworzyła okno na oścież i lekko posapując, niezdarnie opadła na krzesło. Zaciągnęła się głęboko, z wyraźną przyjemnością, i władczo zastukała palcem w stół, tam gdzie przed chwilą była filiżanka. Christina postawiła ją przed nią z impetem i wzięła głęboki wdech. Jej głos musi zabrzmieć pewnie.

- Wydzieranie się na ludzi nie jest uczciwsze od uprzejmego zwracania się do nich. Ale ty zawsze uważałaś, że istnieje tylko jedno prawdziwe uczucie. Złość.

Christina nie doceniła jednak przeciwnika. Astrid obrzuciła ją piorunującym spojrzeniem, które zamieniło jej replikę w kupkę popiołu.

- Pocałuj mnie gdzieś! - powiedziała. - Gadasz jak w tym pieprzonym szwedzkim szlagierze, wiesz o tym? „Słoweczka miłości! Mów je, mów z uśmieeeeechem”!

Christina stała przy stole, wyprostowana, sztywna, czuła ten sam, stary lęk. Astrid z szybkością gada chwyciła ją sinymi palcami za nadgarstek, ścisnęła i wykręciła, nie mocno, tylko tyle, żeby zabolalo. Oddychała cicho i zniżając głos, wyraźnie wycodziła:

- Nie będziesz mi tu zadzierać nosa, malutka. W życiu nie zostałąbyś elegancką panią doktor, gdybym ja ci na to nie pozwoliła...

W tym momencie Erik otworzył drzwi wejściowe. Zawołał: „Halo!” W przedpokoju zachrzęściły wieszaki.

Wiesza kurtkę, pomyślała Christina.

Astrid ścisnęła ją mocniej. Coś pacnęło o podłogę.

Teraz zdejmuję buty. Proszę, przyjdź zaraz!

Szeleścił papier, Erik przeglądał pocztę. Astrid wykręcała jej nadgarstek i obserwowała reakcję. Błyszczące oczy. Ani śladu oporu. Christina zbuntowała się tylko raz i to, co się potem stało, skutecznie ją oduczyło jakichkolwiek sprzeciwów.

- Halo! - powtórzył Erik. - Halo, jest tu ktoś?

Skierował się do kuchni. Christina zamrugnęła powiekami i spojrzała matce w oczy. Astrid prychnęła pogardliwie, popatrzyła w bok i odepchnęła jej rękę w dziecięco złośliwym geście.

- Cześć! - powiedział Erik z uśmiechem, stając w drzwiach.

Niczego nie zauważył.

Astrid szybko zgasiła papierosa, potarła dłonią czoło i odwróciła wzrok. Christina patrzyła to na Astrid, triumfalnie mrużąc oczy, to na Erika, lśniącem, roześmianym spojrzeniem.

- Cześć! - Podeszła do niego z otwartymi ramionami. - Nie słyszałam, kiedy wszedłeś...

Mój mąż, pomyślała i zatonęła w jego objęciach. Mam męża.

Nigdy mu nie powiedziała, że jest pierwszym i jedynym mężczyzną, jedynym, jakiego kiedykolwiek całowała. Kiedy przysiadł się do niej na kolacji podczas pierwszej konferencji, w której brała udział, była napięta i sztywna, a kiedy kilka tygodni później zadzwonił, żeby zaprosić ją do teatru, zgodziła się i w chwilę później zwymiotowała. Nie dlatego, że był odpychający, przeciwnie, ale wydało jej się czymś nie do pomyślenia, że jakiś mężczyzna w ogóle zwrócił na nią uwagę.

Tamtej wiosny chodzili na kolacje, koncerty i do teatru. A jej błona dziewicza stawała się coraz grubsza i coraz bardziej łykowata. Dziesięć lat wcześniej byłoby to do przyjęcia, pięć lat wcześniej - odrobinę komiczne, ale teraz przynosiło jej to prawdziwy wstyd. Bo nastały nowe czasy i blisko trzydziestoletnia dziewica uchodziła za osobę zdefektowaną.

W przeddzień wieczoru świętojańskiego rozpląkała się, wkładając do nowej skórzanej walizki starannie wyprasowane letnie ubrania. Co z tego, że jej najładniejsza bawełniana sukienka pachnie wiatrem i wodą? Co z tego, że wypolerowane paznokcie lśnią jak macica perłowa i że ma nową, szalenie twarzową fryzurę? Wiedziała, że to się stanie właśnie teraz, inaczej Erik nie zaprosiłby jej na sobótki do letniego domu swoich rodziców na archipelagu Świętej Anny. Wiele była gotowa znieść: protekcyjną uprzejmość klasy średniej wobec parweniuszki, zawoalowane pytania siostr Erika o jej rodzinę i uniesione brwi rodziców na jej krótkie odpowiedzi. Wiedziała, że Erik stanie po jej stronie, często się nabijał z lęklwych pytań matki o „kłopotliwe pochodzenie Christiny”. Ale czy zaakceptuje jej dziewictwo? Czy się spłoszy i wycofa? Albo odwróci od niej z pogardą?

Później miała wrażenie, że to jej ciało podjęło decyzję. Prawa ręka nagle się wyprostowała, dłoń opuściła roletę, stopy zaprowadziły ją do komody, prawa ręka chwyciła lusterko, lewa rozpięła spódnicę, jedna ręka odsunęła walizkę, druga ściągnęła z niej majtki. Prawa noga podniosła się sama, stopa oparła się o krawędź łóżka, palec wskazujący, środkowy i serdeczny ułożyły się w narzędzie chirurgiczne. Oczy pozwoliły jej nie patrzeć.

Potem wzięła lusterko i dokonała oględzin. Jakby badała podbrzusze obcej kobiety. Wszystko wskazywało na to, że jest to osoba o pewnym - niezbyt dużym - doświadczeniu seksualnym. Nie krwawiła mocno. Wystarczy się podmyć, żeby zatrzeć wszystkie ślady.

Idąc do łazienki, obejrzała palce prawej dłoni. Wokół paznokci i w zgięciach stawów była krew. Zachwiała się z obrzydzenia. Bliska utraty równowagi, oparła się o ścianę, dobrnęła do łazienki, zamknęła drzwi, w ciemnościach wymacała kran i splukiwała palce pod zimną wodą tak długo, aż straciła w nich czucie.

A następnego dnia rano, kiedy Erik przyjechał po nią samochodem, zbiegła po schodach z uczuciem ulgi. Był śliczny dzień: niebo nad Yadsteną przypominało błękitną szatę Najświętszej Marii Panny, w słońcu połyskiwały liście brzoź.

- Ależ ty jesteś zadowolona - powiedział podejrzliwie Erik, kiedy się witali na chodniku przed domem. - Czy coś się stało?

Christina czym prędzej okiełznała szeroki uśmiech.

- Nie - odparła swoim zwykłym, powściągliwym tonem. - Po prostu jestem w dobrym humorze, nic więcej...

Bo mam mężczyznę, pomyślała po raz pierwszy w życiu. Zapłaciłam swoją cenę i mam mężczyznę!

U Cioci Ellen nikt nigdy na to nie liczył, że Christina będzie miała mężczyznę. Nawet ona sama. Jako nastolatka dźwigała swoją kobiecość z cierpieniem i co jakiś czas próbowała jej się pozbyć. Tylko ją dopadały mdłości i bóle, tylko ona raz w miesiącu tarzała się po podłodze, a potem, drząc z zimna, leżała pod dwoma kocami, z butelką gorącej wody, podczas gdy Margareta i Birgitta tapirowały swoje kopy siana i wyruszały na podbój świata.

To był koszmar. Leżąc w ciepłe letnie wieczory i rozgrzewając lodowate dłonie butelką wrzątku w grubej skarpecie, którą Ciocia Ellen wkładała do łóżka, Christina zamykała oczy i usiłowała wspominać lepsze czasy: egzamin w pierwszej klasie, pierwsze wyróżnienie, ciepłe niedzielne poranki w kuchni, kiedy masło rozpuszczało się na gorących bułeczkach Cioci Ellen, ciche zabawy na wiśni.

Bycie małą dziewczynką w domu Cioci Ellen było bardzo proste. Proste i przesycone spokojem. Wystarczyło jedynie jeść, słuchać i pozwalać się sobą opiekować. W tej kolejności. Nic nie przysparzało Christinie najmniejszych problemów, jej podniebieniu dogadzały wszystkie potrawy Cioci Ellen, warunek posłuszeństwa był zrozumiały, a opieka - czystą przyjemnością. Birgitta z wrzaskiem protestowała, ilekroć Ciocia Ellen myła jej brudną twarz przed kolacją, Christina nadstawiała się z rozkoszą, kiedy była jej kolej. Birgitta narzekała, że Ciocia Ellen ma twardą i szorstką rękę, Christinie się to podobało. W domu dziecka ich opiekunka była bardzo delikatna. Jak tylko przychodziła, Christina dostawała ataku hysterii; krzyczała tak długo, aż opiekunka traciła cierpliwość i delikatność. Dopiero wtedy Christina pozwalała się umyć. Ale na wszelki wypadek krzyczała dalej.

Poza tym nie zapamiętała dużo więcej z domu dziecka. Był tam pokój z wysokimi oknami, w rzędzie stały łóżka. W jej wspomnieniu wszystko było białe: ściany, łóżka, światło przesiewające się

przez liście brzoź. Czasami pojawiały się inne obrazy i po sekundzie znikwały. Chłopiec obejmuje jednonogiego misia. Dziewczynka w palcie i w zimowych butach patrzy na Christinę i wychodzi. Bardzo mała dziewczynka płacze, bo zabrali jej kocyk: „Mój kocyk, mój kocyk, gdzie jest mój kocyk?!” Wspomnienia bez pointy, niezrozumiałe, bez adresu i kontekstu, nie do opowiedzenia. Podobnie było ze szpitalem. Zapamiętała tylko usypiające szeptki i białe palce, wciskające tłok w strzykawkę. Aha, i pacjentkę z sali ogólnej, gdzie ją po pewnym czasie przeniesiono. Gruba staruszka, która bez przerwy mówiła i bez przerwy była w ruchu, chodziła od łóżka do łóżka, komentowała stan innych pacjentów. A zwłaszcza poparzonej pięciolatki.

Najgorsze było pragnienie. Zastrzyki przeciwbólowe uśmierzały cierpienia, nie było jednak żadnego lekarstwa na pragnienie. Kroplówka powinna pomóc, stwierdziły istoty w bieli, gdzieś na obrzeżach rzeczywistości, ale kroplówka nie pomagała. Język puchł i pokrywał się lepkiem śluzem, pękały wargi, gardło się zaciskało, każdy oddech świszczął. Jej pragnienie zaczęło męczyć tych, którzy widzieli jej mękę, i po pewnym czasie postawili przy jej łóżku miskę z wodą i gaziki. Teraz mogła sobie robić kompresy. Ale raz po raz pochylały się nad nią istoty w bieli i ostrzegwały: „Zwilżaj wargi, nie ssij. Rób, co chcesz, tylko nie ssij!”

Oczywiście, że ssiała. Ale bardzo dyskretnie, żeby nikt nie zauważył. Chwytała gazik zdrową ręką i przesuwiała po ustach tak jak jej kazały pielęgniarki, tyle że ukradkiem rozchyłała wargi, wysuwała język i chciwie wpijała się we włókna tkanin; język zamieniał się nagle w żywe stworzenie, w łakome zwierzątko obdarzone własną wolą, które zmuszało ją do wysysania każdej kropli.

W sekundę później wyciekało z niej coś żółtego i cuchnącego, skręcała się w skurczach, rany znowu paliły ogniem. A kiedy otwierała oczy, przy jej łóżku stała gruba staruszka.

- Widziałam - mówiła, podnosząc palec do góry. - Ssałaś. To twoja wina.

Christina zamykała usta, dławiąc płacz.

- Tak, tak - mówiła stara kobieta. - Widziałam. Wiem, że to twoja wina.

I jakiś piskliwy głos w niej potwierdzał:

- Słyszysz, bachorze! To twoja wina! Wszystko dzieje się z twojej winy!

ZASKRZYPIAŁA za nimi furтка.

- Chodź - powiedziała siostra Inga i wyciągnęła rękę do Christiny.

Miała modre rękawiczki w identycznym odcieniu jak palto. Christina była w jasnobrązowym paltociku i groszkowych rękawicach z jednym palcem. Wiedziała, że jest brzydko ubrana, bo podczas długiej ciszy wszystkie kolory nagle się wyostrzyły, kłuły w oczy, uwierały. Gdyby wiedziała, jak zamienić świat na czarny, biały i szary - jak na fotografii - na pewno by to zrobiła.

- No, chodź. Nie wstydź się - powiedziała siostra Inga i chwyciła ją za rękę. - To moja bratowa. Jest bardzo miła...

Ale dłoń Christiny wysunęła się z jej dłoni, była tak miękka, nie dała się pochwycić. Dziewczynka stała jak wmurowana na ogrodowej alejce i wydawało się, że nic do niej nie dociera. Bo teraz się to stało, teraz weszła w swoją fotografię. Ten ogród w każdym szczególe przypominał czarno-biały świat, który sobie wymyśliła. Wszystko się zgadzało: półmrok i siwa mgiełka, czarne drzewa owocowe na tle szarego nieba, topniejący szron na trawie. To był ogród dla takich dziewczynek jak ona. Ogród dla zimowych księżniczek.

Siostra Inga jeszcze raz chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą.

- No, chodźże! Nie ma się czego bać...

Schody wejściowe były ogromne. Kamienne. Zupełnie inne niż drewniane schodki prowadzące na werandę w domu dziecka. Te się nie trzęsły, kiedy się na nich postawiło stopę, były nieruchome i masywne, jak góra, która czeka, by ją zdobyć. Poza tym ktoś je przed chwilą zamiótł; na resztkach śniegu widniały ślady szczotki.

Siostra Inga zadzwoniła do drzwi, po czym od razu je otworzyła i wpuściła Christinę do małego hallu. Tu też wszystko z kamienia: szarego i lśniącego na podłodze, jasnozielonego i porowatego na ścianach. Jak w szpitalu, małym kamiennym szpitalu.

Siostra Inga szybko ściągnęła śniegowce, które chroniły jej eleganckie buty na obcasach przed

niezdecydowaną zimą, i szybko pomogła Christinie zdjąć kalosze. Potem mocno zapukała w brązowe drzwi i otworzyła je.

- Halo! - zawołała. - Halo... Czy jest ktoś w domu?

Christina usłyszała odgłosy dochodzące z mieszkania i przeszły ją ciarki. Sygnał czasu w radiu, skwierczenie czegoś na patelni. Znała je na pamięć z wyłożonej białymi kafelkami kuchni domu dziecka i serdecznie ich nie znosiła. Kojarzyły się z niepokojem i pośpiechem. Były tak samo nieprzyjemne, jak grudkowate mleko w proszku w metalowym kubku.

Ale tutaj ktoś natychmiast wyłączył radio i zdjął patelnię z ognia, tutaj było miejsce dla ludzkich głosów.

- Ona prawie nic nie je - poinformowała siostra Inga. Odgarnęła Christinie kosmyk włosów z twarzy, rozpięła zapinkę i zapięła ją ponownie.

- I nie mówi. Nie wydaje żadnych dźwięków, no, chyba że płacze...

Kobieta po drugiej stronie stołu patrzyła przez sekundę w szare oczy Christiny.

- Tak, tak - powiedziała. - Wystarczająco dużo mówi się na tym świecie...

Dziewczynka, która siedziała koło niej, przytuliła policzek do jej ramienia.

- Ty mówisz, Ciociu Ellen. Ty mówisz przez cały czas...

Ellen złapała ją za nos.

- Oj - powiedziała. - Nos Margarety znowu się wściubił!

Dziewczynka zachichotała i wypila duży łyk mleka. Potem zjadła jedenaście klopsików. Christina liczyła. Jedenaście! A mimo to w półmisku na blacie ciągle leżała góra klopsików. Christina zjadła jednego, po czym jak zawsze odłożyła widelec i szykowała się na odpieranie próśb i gróźb siostry Ingi. Ustąpiła tylko w jednym: wypila prawie całą szklankę mleka. To było prawdziwe mleko, to się czuło, nie ten gruzelkowy proszek zmieszany z wodą z kranu.

- Mam nadzieję, że to nie kłopot - powiedziała siostra Inga. - Że się tak nagle zjawiłyśmy. Na Boże Narodzenie została tylko czwórka dzieci, więc pomyśleliśmy, że weźmiemy je do siebie i zamkniemy zakład. Kierownik wziął dwoje, Birgitta i ja po jednym... Inaczej nie mielibyśmy w tym roku prawdziwych świąt.

Przerwała i przesunęła dłonią po czole Christiny.

- A ona jest bardzo grzeczna, nie będzie z nią problemów...

Ellen lekko się uśmiechnęła. Siedziała przy stole w kwiecistym fartuchu, jej białe ramiona ciężko spoczywały na blacie.

- Żaden kłopot - powiedziała. - Najmniejszy...

Później, tego samego dnia, Christina siedziała sama w dużym pokoju Cioci Ellen. Szorstka narzuta na kanapie drapała ją w udo, nie miała na sobie długich wełnianych majtek, które zasłoniłyby przerwę między zwykłymi majtkami i pończochami.

W domu było cicho. Siostra Inga i Margareta pojechały na targ po choinkę, chciały, żeby pojechała z nimi, ale ona uparcie kręciła głową i przelewała się przez ręce, tak że siostra Inga w ogóle nie mogła jej ubrać.

- Niech zostanie - zdecydowała w końcu Ciocia Ellen i po licznych obiekcjach i tłumaczeniach siostra Inga się zgodziła.

Christina siedziała wyprostowana na kanapie i rozglądała się. Podobał jej się ten pokój, kolory pasowały do siebie, nie kłóciły się i nie krzyczały. Jasnożółte zasłonki nie gryzły się z głęboką szarością kanapy, złoty odcień dywanu bawił się z brązem szafki. Nad szafką wisiał duży obraz przedstawiający złoty las. To było kuszące. Może mogłaby tam wejść i zostać dla odmiany jesienną księżniczką... Wołała jednak siedzieć w tym pokoju, w tym domu, w tej ciszy, którą wydawało się potęgować stanowcze tykanie ściennego zegara.

Nagle w łuku drzwi stanęła Ciocia Ellen, ciągle w swoim kwiecistym fartuchu. Okolona ciemnymi włosami twarz była szeroka, czworokątna. Skrzyżowała białe ramiona na pełnych piersiach, okulary zsunęły się na czubek nosa, z jednej dziurki wystawał kłaczek waty.

- Cukierka? - spytała, spoglądając znad okularów, i wyjęła z kieszeni torebkę. - Jedwabne poduszeczki - dodała, jakby to miało cokolwiek wyjaśnić, i usiadła na fotelu koło kanapy.

Christina pochyliła się i zajrzała do torebki. Cukierki rzeczywiście wyglądały jak jedwabne poduszeczki. Mieniły się jasnymi jedwabnymi barwami. Różowe, liliowe, błękitne.

- Proszę - powiedziała Ciocia Ellen, potrząsając torebką.

Christina złożyła kciuk i palec wskazujący w pęsetkę i ostrożnie wsunęła dłoń do środka. Poduszeczki trochę się lepiły, niektóre były posklejane, musiała je delikatnie rozdzielić, żeby wybrać najładniejszą. Jasnoliliową.

- Weź więcej - zachęcała Ciocia Ellen. - Jest przecież wigilia Wigilii...

Christina jeszcze raz wsunęła dłoń i wyjęła dużą bryłkę. Cztery lepkie jedwabne poduszeczki. Wstrzymała oddech i wpatrywała się w Ciocię Ellen. Czy będzie na nią krzyżeć?

Ale Ciocia Ellen nie krzyczała, nawet nie spojrzała na bryłkę, zamknęła torebkę i włożyła ją do kieszeni. Potem usiadła wygodniej w fotelu i nie odrywała wzroku od obrazu. Przez chwilę mogłoby się wydawać, że też się zastanawia, czy nie wejść do lasu jesiennej księżniczki.

- Tak, tak - powiedziała z westchnieniem. - Nie zawsze jest łatwo.

W tym momencie pękła krucha skorupka jedwabnej poduszeczki i Christina poczuła rozplywającą się na języku kremową słodycz.

Oczywiście. Teraz sobie przypomniwała. Tak smakuje czekolada.

Na dworze się ściemniło, w domu zaległ mrok. Nie będzie białych świąt Bożego Narodzenia, poranna śnieżna mgiełka szybko zamieniła się w deszcz. To bez znaczenia, Wigilia nie ucieknie, a czekając na nią, równie dobrze można siedzieć w dużym pokoju Cioci Ellen i patrzeć na krople spływające po czarnej szybie.

Nic nie mówiła. Dlatego była niezwykła. Christina nigdy jeszcze nie spotkała dorosłej osoby, która potrafiłaby tak długo milczeć. Wszyscy byli zawsze pochłonięci rozmową, nie mieli czasu na myślenie, a ta kobieta po prostu siedziała z na wpół otwartymi ustami i zatkałą dziurką w nosie. Nie spała: jej szare oczy były otwarte, spojrzenie czyste i jasne.

Nagle w hallu dał się słyszeć śmiech siostry Ingi i głos Margarety. Drzwi do mieszkania otworzyły się i wbiegła Margareta, w rozpiętym palcie i grubych skarpetkach. Ciocia Ellen oparła się dłońmi o poręcz fotela, wstała, wyciągnęła ręce do Margarety i zdjęła z niej palto. Potem się roześmiała i zmierzwiła jej włosy.

Christina patrzyła w okno, obserwowała kroplę deszczu ześlizgującą się po gładkiej powierzchni szyby. I wtedy coś przyszło jej do głowy, coś zdumiewającego; wszystko byłoby inaczej, gdybym umiała mówić.

To się zdarzyło po raz pierwszy. Nigdy dotąd tak nie myślała.

Ale głos nie wrócił od razu tylko dlatego, że tego chciała. Tak jak kiedyś zniknął, bo tego chciała. Tak to już jest.

Margareta wydawała się nie zauważać, że Christina nie mówi. Cały dom rozbrzmiewał jej słowami, wyskakiwały z jej ust jak kulki rtęci, turlały się po podłodze i błyskawicznie ginęły w jakimś kącie.

Kiedy choinka była ubrana, Margareta oprowadziła Christinę po mieszkaniu. Nareszcie zobaczy wszystko: ciemną piwnicę z pralnią w kolorze szarego cementu, jasnozieloną łazienkę, kamienne schodki, górny hall i brązowe drzwi do wynajmowanych pokoi na piętrze. I oczywiście strych, najważniejsze z pomieszczeń. Christina wzięła głęboki oddech i wsunęła głowę przez otwór w suficie. Ładnie tam pachniało. Kurzem, trocinami i drewnem.

- To zamiast domku zabaw - wyjaśniła Margareta, podchodząc do dziecięcych mebelków pod szczytowym oknem. - Wujek Hugo miał zbudować domek zabaw, ale umarł, zanim się do tego zabrał... Zdążył jednak zrobić meble.

Margareta i Christina zamieniły się nagle w olbrzymki. Meble były dla nich za małe, pupy nie mieściły się na krzeselkach, nie mogły wsunąć nóg pod stół.

- On to zrobił dla jakiegoś niemowlaka - powiedziała Margareta. - Ale teraz są moje...

Chwilę później wróciły do mieszkania. Ciocia Ellen miała cztery pokoje. Margareta nadała im nazwy: duży pokój, mały pokój, jadalny pokój i pusty pokój.

Pusty pokój wcale nie był pusty, stało tam łóżko i komoda. Margareta uchyliła drzwi.

- To jest właściwie mój pokój - powiedziała, nie puszczając klamki. - Dostanę go później. Kiedy zacznę chodzić do szkoły... Teraz śpię u Cioci Ellen. W małym pokoju.

Christina skrzywiła się. Ona nie chciałaby spać w jednym łóżku z kimś dorosłym.

- Oczywiście nie w jednym łóżku - zastrzegła się Margareta, jakby czytała w jej myślach. - Mam taką podwójną otomanę, jedno łóżko wysuwa się spod drugiego...

W małym pokoju nie było nawet śladu obecności Margarety. Podwójna otomana, fotel, bielizniarka, pudełko z przyborami do szycia i żadnej zabawki ani książki z bajkami. W domu dziecka każdy miał swoją szafkę, w której trzymał ubrania i różne inne rzeczy. Tutaj było inaczej, ubrania Margarety wisiały w garderobie Cioci Ellen. Widziała to na własne oczy, kiedy Margareta oprowadzała ją po domu; duże i małe sukienki na tym samym drążku - jeden wielki groch z kapustą.

Ale Margarecie groch z kapustą nie przeszkadzał, nie martwiła się też, że nie ma swoich rzeczy w małym pokoju. Pomknęła do kuchni i otworzyła kolejne drzwi.

- Szafa gospodarza! - zawołała. - Tutaj są moje zabawki.

Christina zrobiła krok naprzód i ostrożnie zajrzała do środka. To wcale nie była szafa, tylko mała komórka, pod sufitem wisiała biała kula, na podłodze leżał stary szmaciak. Poczula ostry, dobrze znany zapach. Tak pachniało w domu dziecka, kiedy lśniły posadzki. Pasta do podłóg.

Chwilę później wiedziała, że lubi szafę gospodarza, usiadła w niej i ścieliła lalczynie łóżko Margarety, podczas gdy dwie kobiety krzątały się w kuchni. Ciocia Ellen już zrobiła klopsiki, w czarnym żeliwnym garnku pichciło się teraz coś innego. Pachniało kapustą i octem.

Jedzenie nie było jeszcze gotowe, kiedy przyszła pora iść do łóżka. Christina i Margareta dostały po talerzu serdelków i klopsików, Ellen mieszała coś w garnku, a siostra Inga robiła musztardę. Obracała na kolanach miskę z kulą, która turlała się po ziarenkach gorczycy i miażdżyła je. Miała załzawione oczy.

- To prawdziwa kula armatnia - wyjaśniła przez nos. - Hugo i ja dostaliśmy ją od babci. I używamy jej tylko w wigilię Wigilii, taka tradycja...

Ciocia Ellen uśmiechnęła się swoim krzywym uśmiechem i sięgnęła po chusteczkę do nosa.

- Wytrzymaj nos - powiedziała, chichocząc. - Bo nakapiesz do musztardy...

Christinę fascynował śmiech Cioci Ellen, stale się z niej wydobywał, jakby zamieszkał w jej gardle gołąbek, który gruchał z zadowolenia, zanim ułożył się w gniazdku. Tak ją pochłonął obraz gołąbka, że bez zastanowienia zjadła wszystko, co było na talerzu: trzy serdelki, cztery klopsiki i prawie całą kanapkę z żółtym serem. Przelykała ostatni kęs, kiedy nagle chwyciły ją mdłości. Otworzyła usta, na wpół przeżuty chleb spadł na talerz. Usłyszała w sobie obcy głos: „Ty rozwydrzony bachorze! Wypłuwasz jedzenie?!”

Zamknęła oczy i czekała na ogień. Ale nie zapłonął. Po raz pierwszy głosowi nie towarzyszył piekący ból blizn. Odczekała sekundę, ostrożnie uniosła powieki i zerknęła. Siostra Inga ocierała łzy chusteczką, nic nie widziała. Margareta wpatrywała się w Christinę z otwartymi ustami, ale milczała. A Ciocia Ellen delikatnie pogłaskała ją po głowie, drugą ręką chowając do kieszeni fartucha na wpół przeżuty kęs.

Siostra Inga wytarła nos i podniosła wzrok.

- Coś podobnego! - powiedziała. - Zdaje się, że Christina wszystko zjadła!

I tak się zakończył jej pierwszy dzień u Cioci Ellen.

W Wigilię po południu zaczęła się zjeżdżać rodzina. Pierwsza pojawiła się matka Cioci Ellen, Selma, koścista staruszka w eleganckiej sukience, czarnej i gładkiej, kontrastującej z jej białą pomarszczoną twarzą. Wzięła Margaretę pod brodę, popatrzyła obojętnie, po czym bez słowa odwróciła się do Christiny.

- Nowa?

Siostra Inga dygnęła za plecami Christiny.

- Nie, nie. Jest z domu dziecka, w którym pracuję, spędzimy tutaj święta...

Selma wzruszyła ramionami.

- Aha. Tak, tak. Lubię dzieci, pod warunkiem, że się przyzwoicie zachowują. Jeśli nie, mogą się wynosić, gdzie pieprz rośnie...

Siostra Inga otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie rozbrzmiały w hallu nowe głosy. I weszły główne postaci. Najważniejsi goście.

Stig stanął w drzwiach i otworzył ramiona, sekundę później Gunnar zrobił dokładnie to samo za jego plecami. Pod rozpiętymi paltami mieli lekko pożółkłe koszule z modnego nylonu. Ich tubalne głosy wypełniły cały dom.

- Jesteśmy! - zadudnił Stig.

- Wesołych świąt! - zagrział Gunnar. Za nimi tłoczyli się ich najbliżsi: żona Stiga, Bitte, żona Gunnara, Anita, i pięciu synów uczesanych na mokro, noszących modne wówczas, nijakie imiona - Bosse, Kjelle, Lasse, Olle i Ante.

- Witajcie - powiedziała Ciocia Ellen.

Christina powędrowała ku niej spojrzeniem. Ciocia Ellen nie tylko zamieniła fartuch na szarą elegancką sukienkę z koronkowym kołnierzykiem, ale i głos, dostosowując go do koloru i fasonu sukienki. Siostra Inga też była odmieniona, ale inaczej. Poczzerwieniała z podniecenia, wyciągnęła rękę do Stiga.

- Miło cię widzieć, braciszku...

Stig uścisnął jej dłoń i zaczął zdejmować palto.

- Ciebie też. Jak leci?

- Dobrze. A jak tam u ciebie? Co w gminie?

Stig szybko poprawił klapy marynarki i wygładził garnitur.

- W październiku zostałem przewodniczącym komisji do spraw opieki nad dziećmi. Nie słyszałaś o tym?

Siostra Inga położyła dłoń na ustach i przemiana się dokonała. Nie była już panią z domu dziecka, tylko małą dziewczynką.

- Coś takiego! Naprawdę...? To świetnie...

Stig objął Gunnara ramieniem i pchnął w stronę siostry.

- A tutaj widzisz przyszłego szefa zakładowej organizacji związkowej w Luxorze. Niedługo wyjeżdża na trzymiesięczny kurs na Run, a potem w try miga zostanie rzecznikiem, przekonasz się...

- E tam - powiedział Gunnar i szturchnął brata. - To na pewno trochę potrwa, zanim będę tak samo wygadany jak ty...

- Akurat - zaproponował Stig. - Jak cię znam, to zleci raz dwa...

- Ach - powiedziała z zapartym tchem siostra Inga - jaka szkoda, że Hugo tego nie doczekał. Byłby bardzo zadowolony.

Christina nigdy nie zapomni pierwszej Wigilii w domu Cioci Ellen. Mimo że nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, nic, co miałoby się nie powtórzyć podczas wszystkich następnych Wigilii i przyjęć rodzinnych. Pojawiały się i błyskawicznie znikwały niesamowite ilości jedzenia: śledzie i pokusa Janssona* [*pokusa Janssona - zapiekanka ziemniaczana z sardelą.], żeberka i nóżki w galarecie, klopsiki i serdelki, sery i pasztety, szynka i czerwona kapusta. Napój słodowy i pilzner krążyły wśród dorosłych, a coraz bardziej spocony Stig - już bez marynarki i z przekrzywionym krawatem - nalewał sznapsa. Przy dziecięcym stole przed każdym stała butelka wigilijnego soku. Christina nic nie mogła przełknąć, ale miała na talerzu jednego klopsika i jednego serdelka: jako alibi. Nie było to jednak potrzebne. Na pierwszym przyjęciu w domu Cioci Ellen nikt nie zwracał na nią uwagi. Bardzo jej to odpowiadało. Mogła patrzeć, nie będąc widzianą, i słuchać bez zobowiązań. Poza tym nawet gdyby umiała mówić, nikt by jej nie usłyszał. Jak mała dziewczynka mogłaby zagłuszyć grzmoty dobywające się z gardeł hałaśliwej rodziny? Zamknęła oczy i słuchała. Przy stole dla dorosłych Gunnar opowiadał coś ochryplym, przepitym głosem, Selma śmiała się przenikliwie i gdaczące, potem przyłączył się Stig, huknął pięścią w stół i ze świstem łapiąc oddech, kwiczał jak zarzynana świnia - kwi, kwi, kwiii! - a Bitte, Anita i Inga wybuchały perlistym śmiechem, który unosił się pod sufit niczym stadko jaskółek. Chłopcy też rechotali, chociaż nie mieli pojęcia, co tak ubawiło dorosłych. Na sekundę ten potworny zgiełk zagłuszył piskliwy głos Margarety:

- O co chodzi? Powiedźcie! Co on powiedział?

Brakowało jedynie gołębiego gruchania Cioci Ellen, mimo że tam była. Christina otworzyła

oczy i zobaczyła ją w drzwiach, stała i przyglądała się gościom. Mimo woli spojrzenie Christiny powędrowało ku Indze, Anicie i Bitte, ku ich kolorowym sukienkom, lśniącem włosom i błyszczącym oczom. Ze swoją kwadratową twarzą i w szarej sukience Ciocia Ellen wyglądała inaczej.

Odchrząknęła, próbując przekrzyczeć hałas.

- Halo! Halo! Bądźcie tak mili i przejdźcie do dużego pokoju...

Wrzeszcząc i chichocząc, Stig i Gunnar - dwaj niewątpliwi liderzy - wstali i objawszy się ramionami, jak jeden czworonożny, lekko zataczający się stwór podeszli do Cioci Ellen. Stali teraz razem, we troje, jak mur, wdowa po Hugonie i jego młodszy bracia. Wspólnota. Jedność. Rodzina.

- Najlepsze jedzenie na świecie - powiedział Stig. Gunnar potwierdził z pijacką powagą:

- Aaaaaabsolutnie! Nie ma lepszego...

Ciocia Ellen roześmiała się.

- Aha. Dziękuję. Zapraszam teraz na kawę i coś słodkiego...

Powiedziała to swoim zwyczajnym tonem, ciepło, zdecydowanie i przyjaźnie, tylko ktoś, kto bacznie ją obserwował, mógł zauważyć leciutkie drżenie jej górnej wargi. Dziwne. Jakby to ona była gościem w tym domu.

PRZEZ CAŁE SWOJE DOROSŁE życie Christina zastanawiała się, jak doszło do pertraktacji, potajemnych pertraktacji, które przecież musiały się odbyć w domu Cioci Ellen w czasie tych pierwszych świąt Bożego Narodzenia. Kiedy skręca na przyszpitalny parking, to odwieczne pytanie znowu ożywa: Z czyjej inicjatywy? Cioci Ellen? Siostry Ingi? A może Stiga?

Pragnęłaby, żeby to był pomysł Cioci Ellen, która szepnęła na ucho szwagrowi, że chce mieć tę milczącą, chudą dziewczynkę o popielatych włosach. Ale pewnie tak nie było. Ciocia Ellen wystrzegając się proszenia rodziny Hugona o cokolwiek. Czuła, że w ich mniemaniu już dostała zbyt dużo, ponieważ jej małżeństwo z Hugonem trwało za krótko, żeby mogła rościć sobie prawa do jego domu i polisy ubezpieczeniowej.

I nie wyszło to chyba od siostry Ingi. Była stanowczo zbyt młoda i zapatrzona w siebie, żeby poważnie myśleć o innych. Nigdy w niczym autentycznie nie uczestniczyła, jakby jedną połową cały czas przebywała gdzie indziej. Niekiedy kompletnie się zapominała, robiła kilka rozmarzonych, tanecznych kroków w takt muzyki, którą słyszała tylko ona, i jej szeroka spódnica unosiła się jak suknia balowa.

Tak, to pewnie Stig zdecydował o przenosinach Christiny, tak jak kilka lat później zdecydował o losach Birgitty.

- Stig Szczupaczy Pysk - chichoce Birgitta we wspomnieniu Christiny.

Christina parkuje między dwoma samochodami personelu szpitalnego i uśmiecha się. Jak mogła zapomnieć o przezwisku, jakie Birgitta ukuła dla najbardziej prominentnego szwagra Cioci Ellen? Ale teraz pamięta, pamięta nawet piskliwy śmiech Margarety, kiedy Birgitta wypowiedziała je po raz pierwszy. Ona sama uśmiechnęła się z zamkniętymi ustami. Nigdy nie miała odwagi śmiać się głośno, ilekroć Birgitta wymyślała przezwiska, jakby podejrzewała, że i dla niej znalazła coś szyderczego.

Szczupaczy Pysk czy nie, bez Stiga i jego służbowych decyzji Christina wylądowałaby gdzie indziej. Przypuszczalnie w jakiejś dysydenckiej rodzinie w Smalandii albo w lichej chłopskiej zagrodzie na Östgötaslätten. Taki był przeważnie los dzieci z domów dziecka w latach pięćdziesiątych. Jeśli w ogóle przydzielono im jakąś rodzinę zastępczą. Niektóre mieszkaly tam przez cały czas, dopóki się po nich nie zgłosili ich rodzice, szumięci albo gruźlicy.

Astrid zaliczała się do szurniętych i gdyby nie Stig, zabrałaby swoją córkę, gdy ta miała dwanaście lat. I Christina zapłaciłaby za to najwyższą cenę. Jest o tym święcie przekonana. Bo dopiero po przenosinach do Cioci Ellen obudziła się w niej chęć do życia. Można więc powiedzieć, że Stig Szczupaczy Pysk uratował ją od śmierci.

- Na odrobinę śmiechu pewnie sobie zasłużył - mówi głośno, odpinając pas w samochodzie - ale przede wszystkim zasłużył na szacunek...

Z biegiem lat przestał być taki prawy. Nieco patetyczny w swoich dążeniach do zdobycia lepszej pozycji i większych zaszczytów niż jego zmarły brat, nigdy sobie nie uświadomił, że jest swoim

własnym wrogiem. Za dużo pił, za dużo mówił, zanadto był skory do wielkich gestów, żeby kiedykolwiek dorównać Hugonowi.

Ofiarowanie Cioci Ellen dziecka w podzięcie za pyszne jedzenie w czasie świąt było w jego stylu. Wdowy zostawały matkami zastępczymi tylko w wyjątkowych wypadkach, ale dla Stiga Szczupaczego Pyska, który przewodniczył komisji do spraw opieki nad dziećmi, nie stanowiło to najmniejszego problemu. Niewielu mężczyzn w Motali mogłoby sobie na coś podobnego pozwolić. Stig Szczupaczy Pysk, wbrew temu, co mówił o kolektywie i solidarności, miał niebywałą skłonność do podejmowania jednostkowych i nieodwracalnych decyzji. Dopiero kiedy Ellen leżała na wpół sparaliżowana w szpitalu w Yadstanie i Christina zamieszkała z Astrid w betonowym bloku w Norrkópingu, po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że z nią mogło być tak samo jak z Birgittą. Że Ciocia Ellen wcale jej nie chciała, ale czuła się w obowiązku zaspokoić życzenie Stiga. To by się nawet zgadzało. Ciocia Ellen często kwitowała westchnieniem decyzje Szczupaczego Pyska, nigdy jednak otwarcie ich nie podważała.

Ta myśl tak ją przytłoczyła i oszołomiła, że mimowolnie pochyliła się nad talerzem i wypluła kawałek na wpół przeżutej mortadeli. Na dolnej wardze zawisła na moment nitka śliny. Astrid, która siedziała naprzeciwko niej przy kuchennym stole, popatrzyła na nią znad starego numeru „Hemmetts Journal”.

- Cholera jasna - powiedziała spokojnie, podnosząc sine palce, żeby wyjąć z ust papierosa. - Czasami jesteś cholernie odrażająca, wiesz o tym?

Christina kręci głową, chce odpędzić wspomnienie Astrid, ale kurtyna jest rozsunięta, nie daje się zaciągnąć. Teraz widzi Margaretę. Stoi na schodkach w sukience i w kaloszach, kiedy za plecami Christiny znowu skrzypi czarna futka. Margareta marznie, obejmuje się gołymi ramionami i kołysze.

- Chodź, Christina! No, chodź! Będziemy mieszkać w pustym pokoju! Ciocia Ellen już go przygotowała, ale ja nie mogę się tam przenieść bez ciebie. No, chodź! Szybko!

Ale Christina nie słuchała, nawet nie spojrzała w jej stronę. Był luty, późne popołudnie, słońce ukośnie oświetlało ogród. Ogród miał kolory, mimo że do wiosny i pierwszych pąków było jeszcze daleko. Czarno-biały obraz zamienił się w akwarelę, na której zeszloroczne liście przykrywały trawę brązowymi strupami. Siostra Inga zaśmiała się z Margarety i zaczęła rozpinąć palto.

- Ale ci się spieszy...

Margareta zignorowała ją.

- No, chodź, Christina! Chodź!

Kilka minut później Christina mogła się przekonać na własne oczy, że pusty pokój rzeczywiście wyglądał inaczej. Pod ścianami stały dwa łóżka, a pod oknem mały stolik. Komody nie było. Na moment Christina zadrżała na myśl o bałaganie w garderobie. Czy jej ubrania też będą się tam gniotły, wisząc między sukienkami Margarety i Cioci Ellen?

- Czy mogę się teraz przenieść, Ciociu Ellen? Christina już jest, teraz mogę się przenieść...

Ciocia Ellen zaśmiała się swoim gołęmbim śmiechem.

- Od kilku dni całkiem oszalała, nie potrafi sobie miejsca znaleźć...

- Christina też - powiedziała siostra Inga, kiwając głową. - Też była bardzo niecierpliwa.

Christina odwróciła się i popatrzyła jej w twarz. Dlaczego ona kłamie?

Już po kilku dniach ubrania Christiny pachniały inaczej. To była mieszanina najróżniejszych zapachów, które codziennie rano, kiedy się ubierała, próbowała rozróżnić. Mocne mydło. Pieczeń. Kwaśny odór ciała. Talk „Christel”. Zapachy Cioci Ellen.

Nie wiedziała, dlaczego trafiła do Cioci Ellen ani jak długo u niej zostanie. Wiedziała tylko to, że pewnego dnia siostra Inga wzięła do prania wszystkie jej rzeczy i dzień później starannie je zapakowała do nowiutkiej walizki. Potem pół go-

BRAK

156

talerz i szklankę po mleku do zlewu i grzecznie dygała, dziękując za jedzenie. Robiła to ze szczyptą chłodnego wyrachowania. Wiedziała, że kiedy otrzyma pochwałę, Margareta będzie wrzeszczeć jeszcze głośniej.

Najniewinniej w świecie jeszcze raz podchodziła do zlewu, wkładała sztućce do miski, splukiwała gorącą wodą wyskrobany do czysta talerz, po czym się odwracała i lekko dygała.

- Zdolna z ciebie dziewczynka, Christina - nieco zmęczonym głosem mówiła Ciocia Ellen. - Bardzo zdolna.

No i proszę. Efekt murowany. Margareta darła się w objęciach Cioci Ellen jak opętana i wierzała jak małe dziecko.

Że też ona z nami wytrzymała przez te pierwsze tygodnie, myśli Christina. Zaciąga ręczny hamulec i przygląda się sobie we wstecznym lusterku. Po długiej, nieprzespanej nocy jest blada, ale też nikt się nie spodziewa, że Christina Wulf nagle nabierze kolorów. Wie, jak o niej mówią. Bezbarwna. Typowy kwiat na tapecie. By nie wspomnieć o przezwisku, które Birgitta w końcu splodziła w swojej mózgownicy. Glista. Margareta też się wtedy roześmiała.

- Taka jestem - mówi Christina do swojego odbicia w lusterku. - Glista Christina Wulf, take it or leave it!

Już się nie spieszy. Wolno idzie przez parking, jakby chciała odsunąć w czasie to, co nieuniknione. Nie lubi szpitala dla przewlekle chorych. Chociaż ilekroć starzy ludzie zaczynają płakać i mówią o umieralni, zawsze protestuje i pociesza. Tak nie wolno na to patrzeć, perswaduje. Absolutnie nie. Drzwi do tego budynku zamykają się i otwierają, chodzi tu przede wszystkim o rehabilitację. W gruncie rzeczy wie tak samo dobrze jak pacjenci, że prawda wygląda inaczej. Szpital dla przewlekle chorych jest umieralnią i tylko ci, którzy urodzili się pod szczęśliwą gwiazdą, mają szansę stąd wyjść.

Nie ta jednak etykieta sprawia, że Christina nie lubi szpitala dla przewlekle chorych. Powodem jest jego szpetota. Personel, któremu dano wolną rękę, najwyraźniej boi się pustki, tak jak natura wystrzega się próżni. Ładny budynek z lat czterdziestych, o jasnożółtych tynkach i zgrabnych proporcjach, zamieniono w olbrzymi lokal rekreacyjny, przyozdabiając go sosnowymi półeczkami, różowymi sztucznymi kwiatami, tandetnymi świecznikami i obrazami z płaczącymi dziećmi. Aha, i sentencjami o szczęściu i matczynej miłości w plastikowych ramkach. Z powodu tych upiększeń spospolicial nie tylko budynek, ale i ludzie. Dlaczego ktoś taki jak Folke - stary ogrodnik, który przez całe życie wyczarowywał z nasion kwiaty - musi umierać w otoczeniu plastikowych pelargonii? Czy nie byłoby lepiej zanieść go do lasu albo do kościoła, żeby w ostatnich godzinach mógł się cieszyć tym, co czyni życie znośnym: kolorami nieba i urodą świata?

Erik i córki żartowali sobie z jej przeczulenia na punkcie wrażeń wzrokowych.

- Mama jest estetką, dziewczynki - mawiał Erik i przewracał oczami. - Niech sobie będzie.

Oczywiście. Tak było. Pobyt u Cioci Ellen zrobił z niej estetkę. Kiedy powiedziała o tym Erikowi, uśmiechnął się krzywo i zmienił temat. Chyba wiedziała, co myślał. Że dobry smak wymaga wykształcenia, a Cioci Ellen w najwyższym stopniu go brakowało. Mówił o niej „prosta kobieta”. „Christina dorastała u prostej kobiety”...

Ta jego protekcyjność nieodmiennie wprawiała ją w osłupienie. Uważał Ciocię Ellen za kogoś gorszego od swojej matki. Płochliwa Ingeborg wychowywała się na plebanii, a nie w klitce z żelaznym piecykiem w Norrköpingu, chodziła na pensję, kiedy Ellen zarabiała jako pomoc domowa, popijała herbatę z angielskiej porcelany, podczas gdy Ellen piła kawę z fajansu z Gustavsberga. I dlatego była w oczach Erika lepsza i prawdziwsza niż Ellen. Tymczasem płochliwa Ingeborg nic nie wiedziała o pięknie, miała jedynie te przymioty, jakich od niej oczekiwano, przez całe życie postępowała, myślała i czuła zgodnie z oczekiwaniami innych. Posłuszny człowiek.

Christina naturalnie zdawała sobie sprawę, że pogarda Erika bierze się z jego niewiedzy, że nigdy tak naprawdę nie poznał ani jednej osoby, której przyszło żyć w nędzy. Uwagi, że nie wszystkim jest równie łatwo, budziły w nim irytację. Ludzie z odrobiną inicjatywy zawsze sobie poradzą, ale innymi trzeba się jakoś zająć. Christina nie przypominała mu o tym zbyt często. Słowa więzły jej w gardle. Nie potrafiła powiedzieć, co dla niej znaczyła Ciocia Ellen, nie znalazła takich słów, które Erik by zaakceptował. Poza tym jedną z przyczyn tej niemożności była wdzięczność. Jak wyglądałoby jej życie bez Erika i jego rodziny? To dzięki nim stała się prawdziwym człowiekiem.

Dlatego nigdy nie powiedziała Erikowi, jak bardzo jej przykro, że dla niego „prosty” to tyle, co „prostacki”. Jak miałyby go przekonać, że „prosty” kojarzy się jej z czymś zupełnie innym, że chodzi o

troskę, która była stale obecna w domu Cioci Ellen? Wszystko miało tam swój urok i znaczenie: mallowane lniane obrusy, które sama tkła, ozdobne ścierki, jedna do szklanek, jedna do talerzy, złote ranciki na filiżankach do kawy, które dostała w prezencie ślubnym. Poza tym Ciocia Ellen była minimalistką. Na oknie w kuchni stała samotna pelargonja, jedna, ale za to widoczna. Kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych kobiety pokroju Bitte i Anity zaczęły przystrajać mieszkania falbaniastymi zasłonami i kwiecistymi abażurami, Ciocia Ellen nie uległa tej modzie i została przy jednobarw-

BRAK

a mimo to nigdy się nie spieszyła, ciągle nuciła i zawsze miała czas na swój gołębi śmiech, jeśli było się z czego śmiać. Teraz śmiała się nie tylko z Margarety. Kiedy Christina ssała kosmyk włosów, chichotała i odgarniała mokre pasemko z jej twarzy.

- To chyba nie jest smaczne, głuptasie... r:li i.-«”;" by},-, ważnym słowem. Christina wiedziała, że „4]a., ale nie ma to większego znaczenia. Robienie „-” Cioci Ellen nie było niczym groźnym.

Zrozumiała to, słysząc radosny chichot Margarety, kiedy Ciocia Ellen strofowała ją za niechlujne ścielenie łóżka. Nie miała jednak całkowitej pewności, czy to dotyczy wszystkich głuptasów. Z Margaretą było trochę inaczej, więc na wszelki wypadek słała swoje łóżko porządnie.

Tylko raz Ciocia Ellen posadziła ją na kolanach, tak jak ciągle sadzała Margaretę, ale kiedy poczuła, że Christina sztywnieje, natychmiast ją puściła. Potem chwilę przy niej stała, odpięła zapinkę, zgarnęła kosmyk, który się zawsze spod niej wyslizgiwał, zapięła i przyjaźnie poklepała po pupie. Od tamtej pory dotykała Christiny tylko wtedy, kiedy myła jej twarz i ręce, czesała, pomagała włożyć palto. Mimo że Christina była już duża i mogła to zrobić sama, nie protestowała, chętnie zamieniała się w malutkie dziecko. A w zimnej łazience w piwnicy pozwalała nawet Cioci Ellen dotykać swoich blizn. Rany się całkowicie zagoiły i rzadko jej dokuczały. Przypominały o nich tylko duże plamy cieniutkiej różowej skóry. Christina prawie o wszystkim zapomniała.

Ciocia Ellen nie przejmowała się tym, że Christina nie mówi, nie kręciła głową ani nie rozmawiała o tym z innymi, tak jak to robiły opiekunki w domu dziecka. Po prostu zostawiła ją w spokoju. Wpatrywała się tylko swoimi szarymi oczami w jej usta, żeby się zorientować, czy wargi układają się w słowo „tak” lub „nie”. I to wszystko. A kiedy zaczęły się z nich wydobywać krótkie dźwięki, nie komentowała tego.

W wieczór świętojański cała rodzina przyszła na śledzia i sznapsa. Christina kroїła szczypiorek. Z wysuniętym językiem, niezwykle starannie, żeby wszystkie kawałeczki były jednakowej długości. Siostra Inga przyglądała się temu, stojąc tuż za nią.

- To nadzwyczajne, jak ona wspaniale kroї - skwitowała po chwili.

- Dziękuję - powiedziała Christina i dygnęła. Siostra Inga odwróciła się i spojrzała na Ciocię Ellen.

- Słyszałaś? Ona mówi! Ona umie mówić!

Ciocia Ellen nawet nie podniosła wzroku znad stołu, gdzie wykładała na szklany półmisek file-ty śledziowe.

- No pewnie, że umie mówić - odparła. - Przecież na jesieni pójdzie do szkoły...

Tamto lato, myśli Christina, wbiegając po schodach szpitala, tamto lato było ukoronowaniem wszystkich poprzednich. Nie dlatego, że było wyjątkowo ładne. Przeciwnie, w połowie czerwca zaczęło padać i padało bez przerwy przez sześć tygodni. Nie miało to żadnego znaczenia. Christina lubiła deszcz, był jak mur odgradzający dom Cioci Ellen od reszty świata. Rano w kuchni panowała całkowita cisza. Ciocia Ellen obrzucała marynarki, dziewczynki siedziały przy stole i rysowały. Od czasu do czasu Christina podnosiła głowę i wsłuchiwała się w pełne skupienia milczenie. Słyszała jedynie zacinający o szyby deszcz.

Mimo takiej pogody powinny jednak zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Każdego popołudnia Ciocia Ellen wyjmowała płaszcze przeciwdeszczowe i kalosze i wysyłała dziewczynki do ogrodu. Przez chwilę kuliły się na schodkach, a potem wybiegały na deszcz. Pewnego dnia zrobiły za krzakami porzeczek ślimaczą krainę. Christina zbierała ślimaki, a Margareta wytyczała im dróżki i budowała domki w wilgotnej ziemi. Raz pojechały na wycieczkę do Yadstény. Torba Cioci Ellen ugięła się pod ciężarem dwóch termosów - w jednym była kawa, w drugim czekolada - dwunastu kanapek, trzech

ciastek cynamonowych i sześciu jabłek. Zjadły prawie wszystko, siedząc na mokrej ławce w parku nad brzegiem Yattern, potem, rozbawione, ruszyły do zamku. Kiedy obok nich przejechała na rowerze zakonnica, której czarny welon trzepotał na wietrze jak krucze skrzydła, spoważniały i umilkły. Ciocia Ellen też.

Dla Christiny Yadstena nigdy nie była miastem zakonnicek, tylko miastem bladych kobiet. Od razu zwróciła na to uwagę, zaraz po wyjściu ze stacji, kiedy szły w stronę zamku, i później, na Storgatan. Zadzieriała głowę i patrzyła w twarze przechodniom. Tak. Zgadzało się. W Yadstanie wszystkie kobiety były blade. Podobało jej się to, wyobrażała sobie, że mają ciche, szepczące głosy. Natychmiast powzięła decyzję. Jak będzie duża, przeprowadzi się do takiego miasta, w którym ludzie mówią do siebie szeptem...

Ciocia Ellen wybrała się do Yadstenu w określonym celu. Chciała kupić nowy wzór koronki. To było poważne zadanie. Chodziła od sklepu do sklepu, oglądała próbki i papierowe szablony. Wreszcie się zdecydowała. Z ciężkim sercem, bo wzory były drogie. Stanowczo za drogie jak na coś, co miało stanowić jedynie czystą przyjemność i na dobrą sprawę nie było potrzebne.

W robieniu koronek Christina odniosła swoje pierwsze zwycięstwo nad Margaretą. Triumfowała. Ledwie Ciocia Ellen wzięła poduszkę do koronek, Christina stanęła za nią i patrzyła. Początkowo nie mogła się w tym połapać. Kiedy Ciocia Ellen machała klockami tam i z powrotem, miała wrażenie, jakby nad poduszką dosyć chaotycznie latały ważki. Szybko jednak dostrzegła w tych ruchach pewien układ i wyciągając rękę nad ramieniem Cioci Ellen, potrafiła wskazać ten klocek, który miał być użyty w następnej kolejności. Wtedy Ciocia Ellen przyniosła ze strychu starą poduszkę i pomogła jej zacząć własną koronkę. W ciemne sierpniowe wieczory siedziały naprzeciwko siebie przy dużym stole w pokoju jadalnym i robiły centymetr po centymetrze. Mama ważka i jej duża córka. A w kuchni urzędowała młodsza siostra ważki i marudziła, że nie może do nich przyjść ze swoimi akwarelami. Dobrze jej tak.

Teraz Christina nie ma czasu o tym myśleć. Pokonuje po dwa stopnie schodów, żeby jak najszybciej włożyć biały fartuch. Od telefonu minęło szesnaście minut. Byle tylko Folke wytrzymał...

Kerstin Pierwsza siedzi przy stole w pokoju pielęgniarek. Ilekroć Christina ją widzi, zawsze doznaje lekkiego szoku. Jest przeraźliwie perfekcyjna, doskonała w każdym calu: od perłowych paznokci po złote blond włosy.

- Cześć! - mówi Christina z przesadną poufałością. - Już jestem. Czy Folke w dalszym ciągu leży w dwójce?

Kerstin Pierwsza wlepią w Christinę duże niebieskie oczy i zwleka z odpowiedzią, podkreślając w ten sposób swój dystans. Zawsze okazuje lekki krytycyzm wobec wszystkich lekarzy w tym szpitalu. To już zasada.

- Na razie tak - odpowiada. - Ale przygotowujemy dla niego inny pokój. Jest duże zagęszczenie, ale jakoś się to załatwi. To znaczy, na pewno się załatwi. Niektórym będzie po prostu trochę ciasniej.

Christina kiwa głową i bierze kartę z rąk Kerstin Pierwszej.

- Nowy antybiotyk? - pyta Kerstin Pierwsza, unosząc brwi. Christina wzdycha. Zaaplikowała już trzy różne środki, po których nie było żadnej poprawy. Czwarty też nie pomoże.

- Chyba nie - mówi krótko i odwraca się.

Śmierć ma nieprzyjemny oddech. Christina czuje kwaśny zapach już na korytarzu. W pokoju Folke wystarczy jej jedno spojrzenie, by wiedzieć, że to koniec. Dolna szczęka opuszczona, czarna czeluść otwartych ust, na chorobliwie obrzękłych policzkach napięta pergaminowa skóra. Nic nie zrobi. Dla zachowania pozorów wkłada słuchawkę i opukuje mu klatkę piersiową. Jest tak, jak myślała: głucho, stłumione dźwięki. Mniejsza wydolność oddechowa, w lewym płucu słyszalne szmery. Tylko serce Folke ciągle bije, wprowadzie słabo i nierówno, ale z determinacją. Niepotrzebnie się spieszyła. Jeszcze przez wiele godzin jego serce będzie walczyć z tym, co nieuniknione.

Po drugiej stronie łóżka stoi siwowłosa kobieta i trzyma opuchniętą dłoń Folke. Na moment Christina truchleje. Nie ma nic gorszego, niż informować zapłakane żony i dorosłe dzieci z wilgotnymi oczami, że już czas przerwać leczenie.

- Wyjdźmy na korytarz - mówi półgłosem.

Ale kobieta nie reaguje, mruga powiekami, po pomarszczonych policzkach płyną łzy. Christina się waha. Może nie usłyszała?

- Proszę, wyjdźmy na korytarz...

Kobieta kręci głową.

- Nie chcę go zostawiać...

- Ale chciałabym coś wyjaśnić.

- Nie trzeba. Ja wiem.

Christina milknie. Umieranie ma swoją liturgię, Christina zna wszystkie rytualne frazy na pamięć - niestety, nic nie możemy zrobić, ale dołożymy wszelkich starań, żeby nie cierpiał - i kiedy nie może ich wypowiedzieć, czuje się jak sparaliżowana. Patrzy na płaczącą żonę Folke i bezwiednie wzdycha. Co za dzień czeka tę kobietę. Przez piętnaście, może dwadzieścia godzin będzie trzymać go za rękę i patrzeć na kolejne fazy umierania. Pragnienie. Boleści. Duszności. Rzęzenie. Życie powinno się opuszczać z łatwością - przez otwarte, zachęcające do wyjścia drzwi... Współczuje tej kobiecie i po trosze zazdrości. Jej smutek jest taki oczywisty. Ona nigdy nie umiała tak płakać, nawet wtedy, kiedy po piętnastu latach pobytu na oddziale dla przewlekle chorych Ciocia Ellen odeszła na zawsze. Margareta umiała. Pochyliła się nad zmarłą, objęła ją i plamiąc białą szpitalną koszulę rozmazany tuszem do rzęs, mamrotała nic nieznaczące słowa pocieszenia:

- Będzie dobrze, Ellen, będzie dobrze, wszystko się ułoży...

Christina była wściekła. Jakby tonąca we łzach Margareta ukradła jej własny smutek. Wypadła z pokoju, pognęła schodami w dół i pobiegła do dużego klonu rosnącego na trawniku przed szpitalem. Była zima, ale miała to gdzieś, brnęła po kolana w śniegu, który wdzierał się do czółenek, zamieniając stopy w sople lodu, i kiedy wreszcie doszła, rzuciła się na drzewo z pięściami i kopniakami.

- Kurwa mać! - zakląła po raz pierwszy od wielu lat. - Kurwa twoja mać!

Później tego samego dnia, kiedy zabrano ciało Cioci Ellen, poszły z Margareta do przychodni i usiadły w gabinecie Christiny. Grzejąc dłonie nad kubkami gorącej herbaty, Christina - po długim milczeniu - zapytała:

- Czy myślisz, że można żyć bez miłości? Czy można jakoś przeżyć?

Margareta wytarła nos dłonią.

- Jasne, że można - powiedziała. - Nie ma innego wyjścia.

Dopiero wtedy Christina się rozplakała. Nie dlatego, że Ciocia Ellen umarła, ale dlatego, że Margareta tak dużo zdążyła zapomnieć.

W końcu wypowiada kilka rutynowych formułek i wychodzi na korytarz. Musi porozmawiać z Kerstin Pierwszą o bilansowaniu płynów w organizmie i o morfinie. Czasami ma wrażenie, że Kerstin Pierwsza nie kwapi się do uśmierzenia bólu, kiedy w pobliżu nie ma lekarzy. Spotkała się już z takimi pielęgniarkami; w obliczu cudzej śmierci ogarniało je poczucie wszechwładzy. Już jako świeżo upieczony lekarz widziała pewną pobożną starszą pielęgniarkę oddziałową, która syczała nad łóżkiem cierpiącego starca:

- Naprawdę chcesz stanąć przed Bogiem z trucizną w ciele?

Ale Kerstin Pierwszą na pewno powodują inne motywy, nigdy nie wyglądała na szczególnie wierzącą.

Christina opiera się o futrynę w pokoju pielęgniarek i chrząka. Kerstin Pierwsza podnosi wzrok znad papierów. Zanim któraś z nich zdąży się odezwać, wbiega młodsza pielęgniarka.

- Szybko! - mówi. - Atak w szóstce! Gorszy niż zwykle!

- Maria? - pyta Kerstin Pierwsza.

- Nie, Desiree.

Kerstin Pierwsza wolno się podnosi i wygładza dłonią białą tunikę, pomarszczoną od siedzenia. Zagniecenia znikają jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, tunika wygląda jak nowa. Christina przygląda się zafascynowana, wreszcie uświadamia sobie, że powinna coś zrobić. Nie wie, o kim mówi, nawet nazwiska własnych pacjentów słabo kojarzy z ich twarzami.

- Jestem wam potrzebna? - pyta.

- Nie sędzę - odpowiada Kerstin Pierwsza.

KIEDY CHRISTINA WCHODZI do przychodni, czuje słaby zapach kawy. W pokoju lunchowym siedzi Hubertsson i czyta „Dagens Nyheter”.

- Cześć! Wczesnie dzisiaj przyszedłeś.

- Zawsze wczesnie przychodzę - odpowiada Hubertsson, nie podnosząc wzroku znad gazety. - Nie wiedziałas?

Nie, nie wiedziała. Bo niby skąd? Prawda jest taka, że Christina stara się unikać Hubertssona. Nie robi tego świadomie, raczej instynktownie, jej instynkt obejmuje wszystkich, którzy ją poznali, zanim została lekarzem w przychodni w Yadstenu. Hubertsson wynajmował mieszkanie w domu Cioci Ellen, kiedy Christina miała czternaście lat, widział ją więc jako uczennicę szkoły średniej. Nosiła wtedy spódniczkę w szkocką kratę i budrysówkę, jak wszystkie inne dziewczęta, nigdy jednak nie udało jej się całkowicie do nich upodobnić. Jej budrysówka miała drewniane kołki zamiast kościanych, a krata nie była ciemnoniebieska, tylko czerwona. Ciocia Ellen uszyła jej budrysówkę i spódniczkę, ale to Christina wybrała materiał i kołki. Nawet gdyby dokonała właściwego wyboru, i tak zostałaby na tym samym miejscu w hierarchii klasowej. Najniżej. Była tam razem z dwiema innymi dziewczętami, równie nieciekawymi i płaskimi jak deska, do których reszta prawie się nie odzywała. Z tego powodu i one ze sobą nie rozmawiały. Wracając ze szkoły do domu, Christina bez przerwy pochrząkiwała, żeby nikt nie usłyszał jej zardzewiałego, nieużywanego głosu. Nie zawsze się to udawało. Jej „dzień dobry” zabrzmiało skrzekliwie, kiedy pewnego popołudnia zastała Ciocię Ellen w towarzystwie nowego lokatora. Siedzieli w dużym pokoju i pili kawę w najładniejszych filiżankach. Ciocia Ellen była spocona, kłaczek waty w jej nosie mocno poczerwieniał. Zawsze leciała jej krew, kiedy się denerwowała.

- To lekarz - szepnęła chwilę później, zamknąwszy drzwi za Hubertssonem.

Christina poważnie skinęła głową. Słyszały go, jak wchodzi po schodach do sublokatorskiego mieszkania, otwiera drzwi i wnosi walizki. Christina przyglądała się Cioci Ellen. Jej podszyta zdenerwowaniem uprzejmość świadczyła o szacunku, jakiego Christina nigdy dotąd u niej nie widziała. Była zdumiona. Cioci Ellen nie imponowało akademickie wykształcenie, w jej oczach pobłyskiwała raczej lekka pogarda, ilekroć Christina z nabożeństwem w głosie opowiadała o swoich szkolnych profesorach. Zdaniem Cioci Ellen, nadmiar wiedzy nie jest niczym pożytecznym. Można od tego zwariować, sama słyszała o kilku nauczycielach, którym się to przytrafiło. Ale ta reguła nie dotyczyła lekarzy. Ich wiedza zasługiwała na szacunek, nie budziła wątpliwości. I chociaż z czasem Hubertsson stał się ich przyjacielem, Ciocia Ellen z trudem się powstrzymywała, żeby nie dygnąć, kiedy się pojawiał.

Był wtedy świeżo po rozwodzie. Dlatego załatwił sobie pracę w Yadstenu i mieszkanie w Motali, daleko od Göteborga, gdzie przedtem mieszkał i pracował. Ciocia Ellen słowem o tym nie wspominała, wywęszyła to - rzecz jasna - Birgitta.

Hubertsson nigdy się ponownie nie ożenił. A szkoda, bo potrzebował żony. Zwłaszcza teraz, kiedy był stary i chory.

- Czy i dla mnie jest kawa? - pyta Christina.

- Jasne - mówi Hubertsson i przewraca stronę w gazecie. - Siadaj.

Ale Christina podchodzi najpierw do lodówki. Ma tam masło i żółty ser, może znajdzie się kawałek chleba. Niestety.

- Mogę wyżebrać trochę chleba?

Hubertsson kładzie gazetę na stole.

- Pewnie. Bierz...

- A mówiąc poważnie?

Hubertsson śmieje się.

- Z tyłu jest bagietka. Poczęstuj się.

Patrzy na Christinę, kiedy ta kroi kruszącą się bułkę.

- Co się stało, że przybiegłaś do pracy z sercem w gardle? I bez śniadania.

- Szpital - lakonicznie odpowiada Christina i siada przy stole. - A śniadanie jadłam. Tyle że nie było zbyt udane.

- Ach, tak. A to dlaczego? Przypaliłaś płatki śniadaniowe?

- Margareta - mówi Christina i gryzie kanapkę, żeby nic nie dodawać.

Hubertsson pochyla się, jest wyraźnie zainteresowany.

- Twoja siostra? Jest tutaj?

Christina spokojnie przeżuwa.

- Moja przybrana siostra.

Hubertsson uśmiecha się krzywo.

- Naturalnie - przytakuje i podnosi gazetę. - Twoja przybrana siostra.

Christina marszczy czoło, podejrzewając, że znowu będzie głądził o starych czasach. Ale Hubertsson nic nie mówi, przegląda gazetę. Ciekawe, czy widzi cokolwiek innego prócz tytułów. Biorąc pod uwagę to, że od lat nic nie robił ze swoją cukrzycą, powinien być na wpół ślepy. Bo sprawy tak się mają, że Hubertsson jest w gorszym stanie niż większość jego pacjentów. Poza tym dzisiaj wygląda dużo gorzej. Jest szary. Christina dotyka jego ramienia.

- Jak właściwie z tobą jest? - pyta. - Dobrze się czujesz?

Hubertsson podnosi wzrok, wstaje i powłócząc nogami, idzie do drzwi.

- Czuję się świetnie - rzuca przez ramię. - Pierwszorzędnie. Prześwietnie. Wspaniale. Coś jeszcze? Czy mogę już w spokoju przeczytać gazetę?

Christina krzywi się. Zgorzkniały staruch.

Przed południem praca pozwoliła jej zapomnieć o Hubertssonie i siostrach, jedynie dziwna słabość w łokciach przypomina o długiej nieprzespanej nocy. Dzisiaj pracuje z przyjemnością, nie dlatego, że kocha swój zawód bardziej niż dotychczas, ale dlatego, że rutyna, powtarzanie po raz tysięczny tych samych słów i fraz, daje jej poczucie bezpieczeństwa. Poza tym ma proste i oczywiste przypadki: lekki niezbyt żołądka, paciorkowce, uczulony pięciolatek, który nigdy nie będzie mógł jeść pomarańczy. Nie są to objawy wskazujące, że ma do czynienia na przykład z tumorem. Kiedy wchodzi następny pacjent, ogarnia ją jeszcze większy spokój. Wystarczy jej jedno spojrzenie na jego opuchnięte powieki, żeby wiedzieć, co mu dolega. Zapalenie spojówek.

Mimo to dokładnie go bada. Zanim chłopiec położy się na kozetce, gasi ostre górne światło, żeby nie sprawiało mu bólu. Budzi się w niej pewien rodzaj czułości. Młody pacjent jest szczupły i wąski w ramionach jak Erik, na brodzie roi się od zainfekowanych pryszczycy. Żaden zabawowy typ. W niczym nie przypomina kipiących testosteronem nastoletnich samców, których Asa i Tove przyprowadzały kiedyś do domu.

- Przepiszę ci maść - mówi po badaniu. - Myślę, że przez parę dni powinieneś zostać w domu...

Zazwyczaj Christina niechętnie wypisuje zwolnienia. Urzędnicy z Kasy Chorych prowadzą statystykę wystawiania zwolnień przez lekarzy i jeśli któryś z nich jest zbyt hojny, ryzykuje naganę. Ale nie w wypadku tego młodzieńczego chłopca. Cała jego nieszczęśliwa postać świadczy o tym, że przez kilka dni powinien odpocząć od świata.

Siada na kozetce i macha nogami. Christina już ma wstać ze lśniącego metalowego taboretu, żeby wypisać receptę, ale się powstrzymuje.

- Czy coś jeszcze? - pyta.

Chłopiec milczy, spuszcza głowę i wzdycha.

- Słyszysz? - mówi miękko Christina. - Czy jest jeszcze coś?

Chłopiec podnosi wzrok i patrzy na nią czerwonymi szparkami oczu. Rzęsy są lepkie od ropy.

- Dlaczego człowiek musi żyć? - pyta po chwili ochryplym głosem.

Christina opuszcza ręce na kolana i bezwiednie je rozkłada. Nie wiem, mówi ten gest. A usta milczą.

- Czy pani to wie? Jako lekarz? Czy wie pani, dlaczego człowiek musi żyć?

Christina nagle odczuwa zmęczenie, które sprawia, wszystkie rutynowe frazy odpływają.

- Nie - odpowiada z westchnieniem. - Nie wiem. Ja po prostu żyję.

On ciągle siedzi w tej samej pozycji, na palcach białej skarpetki ma małą dziurkę.

- A jak się nie chce żyć, to co wtedy?

- Nie chcesz żyć?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie chcę.

Wtedy Christina robi coś, czego nie powinna, wyciąga rękę i głaszcze chłopca po głowie. Bardzo chciałaby go pocieszyć... Kiedy nagle dzwoni telefon, odruchowo się podnosi, żeby odebrać. W sekundę później uświadamia sobie swój błąd i ogarnia ją złość.

- Christina Wulf. Słucham?

Głos w słuchawce jest cienki i spłoszony. Młodsza pielęgniarka wie, że nie wolno przeszkadzać lekarzom, kiedy mają pacjentów.

- Ja bardzo przepraszam, ale dzwonią z policji i mówią, że to ważne... Nie mogłam się ich pozbyć...

Christina zerka na chłopca; siedzi w tej samej pozycji, ale już nie macha nogami.

- Dobrze. Połącz mnie z nimi.

W słuchawce coś pstryka i odzywa się inny głos. Kobieta.

- Halo? Czy to doktor Wulf?

- Tak.

- Dzwonię z policji w Norrköpingu. Mamy tu kogoś, kto podał pani nazwisko...

Christina się niecierpliwi. Który to z nielicznej grupy alkoholików wyprawił się z Yadstenu do Norrköpingu i wylądował w ciupie? I co ona ma z tym wspólnego?

- Nazywa się Birgitta Fredriksson...

Christina przerywa.

- Została pobita?

- Nie. Raczej odwrotnie...

- Jak to, odwrotnie?

- To ona jest podejrzana o pobicie. Zatrzymaliśmy ją dzisiaj rano. Nie możemy jednak dłużej jej tu trzymać, musimy ją wypuścić. Chodzi o to, że nie ma pieniędzy na bilet do Motali, i mówi, że pani mogłaby za nią poręczyć. Czy gdybyśmy jej pożyczyli na autobus, może nam pani zagwarantować zwrot pieniędzy? Zgadza się pani? Jest pani przecież jej siostrą.

Gdzieś w tle słychać dobrze jej znany głos.

- Powiedz, do cholery, że musi się zgodzić! Powiedz, że to jej zasrany obowiązek...

W Christinie narasta gniew i błyskawicznie rozpala się do białości; biała gorączka przesłania oczy, biała gorączka płonie w gardle. Nigdy w życiu!

- Halo! - woła policjantka. - Halo, doktor Wulf?! Jest tam pani?

Christina łapie oddech.

- Tak, jestem. - Jej głos brzmi jak stal. - Ale niestety nie mogę pomóc. To nieporozumienie. Ja nie mam siostry.

- Ale ona mówi...

- Ona kłamie.

- Ona ma receptę z pani nazwiskiem.

Lekki niepokój wspina się po kręgosłupie Christiny.

- Wypisaną receptę?

- Nie, nie, jest na niej dosyć paskudna rymowanka. I pieczętka z pani nazwiskiem. „Christina Wulf, Przychodnia w Yadstenu”... To chyba pani, prawda?

Christina przesuwa dłonią po włosach, domyśla się, co to za rymowanka, nigdy jej nie zapomni. Ale nie ma zamiaru brać udziału w tej grze. Za nic.

- Nie ma w tym nic dziwnego. Jeśli zajrzycie do waszych kartotek, to bez trudu się zorientujecie, że parę lat temu ta właśnie osoba ukradła mój receptariusz. Była za to sądzona.

Policjantka waha się, można niemal usłyszeć, jak się drapie w głowę.

- Aha, to tak wygląda... No to nie wiem, co zrobimy.

- Zwróćcie się do opieki społecznej.

W słuchawce trzeszczy, policjantka z Norrköpingu wydaje okrzyk zaskoczenia i nagle w uchu Christiny rozbrzmiewa dobrze jej znany głos. Tak donośny, że wibruje błona bębenkowa.

- Posłuchaj no, ty pieprzona zarazo - wrzeszczy Birgitta. - Przez całe życie wyjeżdżałaś na mnie z mordą, ale teraz musisz się za mną wstawić. Anonimy, co?! Czegoś takiego się po tobie nie spodziewałam. Kurwa mać! Kurwa mać! To podłe, jesteś parszywie wredna...

Christina z trzaskiem odkłada słuchawkę i chowa twarz w dłoniach. Wszystko w niej nasiąka wodą i płynie, czuje się jak nadmuchiwana zabawka, z której nagle i raz na zawsze uszło powietrze. Siedzi dobrą minutę, słyszy tykanie zegarka, dopiero cichy odgłos skłania ją do podniesienia oczu. Rany boskie! Chłopiec. Zapomniała o chłopcu.

Okręca się na krześle i głęboko oddycha.

- Przepraszam, to nie powinno mieć miejsca. Na czym skończyliśmy?

Chłopiec patrzy na nią czarnymi kreskami oczu.

- Miała pani wypisać receptę.

- Ale...

Zsuwa się z kozetki i nagle mówi jak dorosły mężczyzna.

- Maść do oczu. Skończyliśmy na maści...

Po wyjściu chłopca Christina siedzi w półmroku, nie ma siły się podnieść i zapalić światła. Następny pacjent musi poczekać, potrzebna jej teraz chwila spokoju, żeby opadły emocje. Odwraca krzesło do okna i po chwili widzi chłopca. Idzie przez parking. Martwi ją jego przygarbiona sylwetka. Opuścił ramiona, ręce wiszą luźno, pochylił głowę. Pewnie marznie, brnąc w śnieżnej brei, nie zapiął kurtki, nie ma rękawic ani szalika. Jej pamięć przywołuje jedną z formułek przerabianych na studiach: „Czy zachodzi ryzyko samobójstwa?” Tak. Zachodzi ryzyko samobójstwa.

I nagle widzi, jak jego życie splata się z jej życiem, jakie to wszystko trudne, skomplikowane i nie do zniesienia. Czy fakt, że w dzieciństwie była bita, a potem umieszczona w rodzinie zastępczej, nie prowadzi w konsekwencji do tego, że czterdzieści lat później pewien chłopiec wraca do domu i popełnia samobójstwo? Gdyby w życiu Christiny nie było Birgitty, nie zadzwoniłby telefon na jej biurku, kiedy chłopiec zaczynał się otwierać, i doprowadziłaby rozmowę do końca.

- Gdyby nie gdyby - słyszy szyderczy głos Astrid.

Astrid. Właśnie. To jej wina, to przez nią życie Christiny wygląda tak, a nie inaczej. Nawet po śmierci potrafi rozdrapywać swoimi brudnymi paznokciami cudze rany. Nie zastanawiając się, Christina wysuwa najniższą, szufladę biurka i wyjmuje beżową kopertę. Jest lekko pomięta, leży tu od lat.

Erik nie wie o jej istnieniu, nie wie, że przeszło piętnaście lat temu zrobiła to, co jej wielokrotnie doradzał. Zdobyła karty choroby z okresu swojego pobytu w szpitalu. Mało tego, postarała się również o raport straży pożarnej, policyjny protokół postępowania przygotowawczego i - posiłkując się swoim autorytetem lekarza tudzież pewną liczbą półprawd - kartę choroby Astrid ze szpitala Świętej Brygidy w Yadstentie.

Na wierzchu są jej dane. Przysuwa poźółkły arkusz papieru bliżej lampy na biurku i po raz któryś z rzędu czyta dobrze jej znane zdania: „Pięcioletnia dziewczynka. Przywieziona karetką o 22.25. Nieprzytomna. Na brzuchu, klatce piersiowej, lewym ramieniu i prawej dłoni oparzenia II i III stopnia...”

Nie może w to uwierzyć. Ilekroć przegląda te papiery, ma tyle samo wątpliwości; to niemożliwe, po prostu niemożliwe. A przecież doskonale wie, że każde słowo jest prawdą, choćby dlatego, że ciągle ma blizny. W niektórych miejscach jej skóra zawsze będzie cieńsza i bardziej połyskliwa niż w innych - na brzuchu, klatce piersiowej, lewym ramieniu i prawej dłoni.

Oprócz tego jest protokół postępowania przygotowawczego i zeznanie Petterssonów, sąsiadów, których nie pamięta, tak jak nie pamięta mieszkania, w którym mieszkała z Astrid, ani domu przy St Persgatan w Norrköpingu. Mimo to wydaje jej się, że słyszy óstgötski dialekt pani Pettersson, kiedy przegląda protokół przesłuchania.

„Tak, przywykło się do krzyku tej małej, ale najczęściej tylko płakała... Tym razem tak się darła, że strach było słuchać...” Podsumowanie na pierwszej stronie protokołu postępowania przygotowawczego zawiera dalsze szczegóły.

„Małżonkowie Elsa i Oskar Pettersson zeznają, że w dniu 23 marca 1955 roku o godzinie 21.30 poczuli ostry zapach dymu. Pani Pettersson wyszła na klatkę schodową i stwierdziła, że zapach wydo-

bywa się z sąsiedniego mieszkania. Poprosiła męża o zawiadomienie straży pożarnej, a sama nacisnęła klamkę do mieszkania sąsiadów i stwierdziła, że drzwi są otwarte. Najpierw pobiegła do kuchni, potem do dużego pokoju, ale nie znalazła ani źródła ognia, ani lokatorki, panny Astrid Martinsson. Kiedy chciała się dostać do mniejszego pokoju, stwierdziła, że drzwi są zamknięte i klucz jest na zewnątrz. Otworzyła i weszła do środka. Palilo się dziecinne łóżeczko. Pani Pettersson zaczęła gasić ogień chodnikiem. Wtedy pojawiła się Astrid Martinsson i dwa razy pchnęła ją nożem kuchennym w plecy. W chwilę później do pokoju wszedł pan Pettersson. Kiedy usiłował rozbroić pannę Martinsson, doszło do szamotaniny, w której wyniku spadła na podłogę lampa naftowa, i znowu wybuchnął ogień. Pani Pettersson ugasiła go chodnikiem, a pan Pettersson obezwładnił pannę Martinsson...”

Christina wkłada papiery do koperty. Właściwie nie musi ich czytać, zna to na pamięć. Zwłaszcza zeznania Astrid. Początkowo twierdziła, że ogień spowodowała dziewczynka, przewracając lampę naftową. Kiedy się dowiaduje, że według informacji pracowników pogotowia ratunkowego dziewczynka była przywiązana do szczebli łóżeczka i trzeba ją było odciąć, staje się agresywna.

Przy wszystkich diagnozach postawionych Astrid w szpitalu Świętej Brygidy są na marginesach znaki zapytania. Psychoza endogenna? Schizofrenia paranoidalna? Psychoza maniakalno-depresyjna? Psychopatia? Leczenie też miało dosyć labilny przebieg. W ciągu siedmiu lat stosowano pasy i kąpiele, sulfazinę i isofen, elektrowstrząsy i wstrząsy insulinowe, by wreszcie zaaplikować cudowny środek tamtych lat - hibernał.

Christina wie wszystko, ale nic nie pamięta. Dziwne, że wiedziała, nie pamiętając, już jako dziecko, już wtedy, kiedy Astrid przyszła, do domu Cioci Ellen i zażądała zwrotu córki.

Był zimny dzień styczniowy, jeden z takich dni, kiedy powietrze drapie w płuca, a ostre białe światło oślepia. Ale w kuchni było ciepło i ładnie pachniało, Ciocia Ellen piekła bułeczki. Christina i Margareta miały ferie, całe przedpołudnie bawiły się na śniegu, teraz siedziały przy stole i czekały, aż im wyschną spodnie narciarskie. W karmniku za oknem wylądował zziębnięty wróbel, wyjadł niemrawo ostatnie okruszki chleba, a potem się nastroszył i znieruchomiał.

- Czy możemy mu dać bułeczkę? - spytała Margareta. Ciocia Ellen pochyliła się, żeby wyjąć blachę z pieca. Zamiast ścierek ochronnych używała rogów fartuszka.

- Nie - powiedziała. - Nie świeżo upieczoną. Ale zostały dwie bułeczki z zeszłego tygodnia. Są w pojemniku na chleb... Możesz je wziąć.

Dziewczynki poderwały się jednocześnie. Wydawało się, że Margareta będzie pierwsza, zrobiła dwa susy i zaczęła się ślizgać na linoleum. Ale Ciocia Ellen wyciągnęła rękę i zatrzymała ją.

- Posłuchaj, głuptasie, nie możesz się bez przerwy ślizgać, bo porobisz dziury w skarpetach. Idź porządnie...

Tyle wystarczyło, żeby Christina uzyskała przewagę. Kiedy Ciocia Ellen puściła Margaretę, już zdążyła wyjąć z pojemnika dwie czerstwe bułki i trzymając je w rękach, uśmiechała się triumfalnie.

- Ciociu Ellen! - zajęczała Margareta. Ciocia Ellen bez patrzenia wiedziała, o co chodzi, dobrze je знаła. Odwrócona do dziewczynek plecami powiedziała:

- Każda po jednej. I żadnych awantur.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

Do końca życia Christina będzie pamiętać, że czas jest pojęciem względnym, że jedna chwila równa się wieczności. W głowie rozbłysnął obraz: kamień z pluskiem wpada do czarnej wody, na powierzchni tworzą się duże kręgi. Taki jest czas. Kamień to terażniejszość, kręgi - przeszłość i przyszłość. Wiedziała o wszystkim, co było, i o wszystkim, co będzie, a mimo to nie była w stanie pamiętać przeszłości jako przyszłości. W ciągu jednego oddechu przemknęło jej przez głowę mnóstwo myśli. Kto to taki, kto nie dzwoni, tylko od razu puka? Dlaczego nie usłyszały trzasku drzwi wejściowych, zanim rozległo się pukanie? Dlaczego mam gęsią skórę na ramionach?

Ciocia Ellen i Margareta zachowywały się tak, jakby to było całkowicie normalne, że ktoś puka do drzwi. Margareta chwyciła czerstwą bułkę i podeszła do okna, Ciocia Ellen wytarła ręce w fartuszek i poszła otworzyć drzwi.

Głos w przedpokoju brzmiał dziwnie, ni to skański, ni to nieskański. Nie pozwolił na to, żeby Ciocia Ellen się przywitała, i powiedział:

- Zabieram ją.

Głos Cioci Ellen stał się nagle ostry.

- Kogo? O co chodzi?

- Ona jest moja. Zabieram ją.

Coś huknęło. Christina zamknęła oczy. Wiedziała, że przewrócił się stół pod półeczką z telefonem. Krew z nosa, pomyślała. Teraz Cioci Ellen znowu poleci krew z nosa. I rzeczywiście, kiedy w sekundę później Ciocia Ellen stanęła w drzwiach, przytykała rąbek fartuszka do prawej dziurki. Szybko dała znak Christinie: zmiataj!

Dopiero później Christina pomyślała, że powinna się była schować w szafie gospodarczej, ale wtedy w ogóle jej to nie przyszło do głowy. Szafa przestała się już liczyć, Christina chodziła do czwartej klasy, a Margareta do trzeciej, były za duże, żeby się w niej całymi dniami bawić. Szafa gospodarcza stała się tylko szafą gospodarczą, był tam odkurzacz, wiadro i szmata do podłogi, na haku obok wypchanych kieszeni wisiała ściereczka do kurzu. Christina pomogła Cioci Ellen wyhaftować na kieszeniach różne słowa, które przypominały wyliczankę albo piosenkę: „worki, sznurki, korki, rachunki”. Coś się stało z jej oczami, wyostrzyły się kontury. Widziała nagle każdy szczegół, dotychczas oczywisty, więc niezauważalny. Brązowe linoleum. Wzór na ceracie. Wróbel za oknem. Zamrażam cię spojrzeniem, pomyślała Christina. Nie ruszysz się bez mojego przyzwolenia.

Ale sama się ruszyła bez własnego przyzwolenia, natychmiast znalazła się przy stole. Nie pamięta, skąd się tam wzięła, nie pamięta, jak odsunęła krzesło Cioci Ellen i ustawiła się za nim. A jednak tam była, za krzesłem Cioci Ellen, przyciśnięta plecami do ściany.

- Gdzie ona jest? - zapytał obcy głos w przedpokoju.

Ciocia Ellen opuściła fartuszek; krew wokół dziurki w nosie ułożyła się w czerwony kwiatek. Odwróciła się twarzą do przedpokoju.

- Dostyc tego! - powiedziała swoim najostrzejszym głosem. - O co chodzi?! Dlaczego pani się tu wdziera?!

Ciocia Ellen używała takiego tonu tylko w wyjątkowych sytuacjach, ale kiedy już to robiła, cały świat stawał na baczność. Nie tylko dziewczynki. Christina widziała, jak wtedy reagował sklepikarz albo sublokator. Ale nie ta kobieta. Christina to czuła. I rzeczywiście, wyciągnęła rękę i odepchnęła Ciocię Ellen. I stała tam. Astrid.

Wyglądała jak wiedźma. Może dlatego, że była wysoka, chuda, przygarbiona i miała spiczasty nos. A może z powodu dziwnego ubrania. Miała na sobie czarny płaszcz przeciwdeszczowy i zydwestkę. W styczniu! Zydwestkę włożyła tyłem naprzód, dłuższa część runda opadała jak daszek i przesłaniała oczy.

- Chrisstiina! - wyszczała, jakby nie chciała się pozbyć ani jednej sylaby tego imienia. - Moja dziewczuuuuuuska!

Astrid otworzyła ramiona i zrobiła dwa kroki w przód. Ktoś krzyknął, może Christina, chyba ona, chociaż nie poczuła, kiedy ten przeraźliwy dźwięk opuszczał jej gardło.

- Nie wierz im - powiedziała Astrid. - To wszystko kłamstwo...

Christina zobaczyła kącikiem oka rozdziawione usta Margarety, która stała po drugiej stronie stołu. Ciągle z bułką w ręku. A w drzwiach tkwiła nieruchomo Ciocia Ellen. Gdyby nie strużka sączącej się krwi, wyglądałaby jak swoja własna fotografia. Christina otworzyła usta, tym razem czuła w sobie przeraźliwy, rozedrgany krzyk.

- Nie krzycz - szybko, niemal zadyszana, powiedziała Astrid. - Nie krzycz, bo wszystko to jedno wielkie kłamstwo. Wszystko zmyślili. Było nam dobrze, Christina...

Patrzyła spod zydwestki rozbieranymi oczami, jakby skóra Christiny była zbyt śliska i nie mogły sobie znaleźć oparcia. Ramiona miała rozwarłe, dłonie drżały lekko, wyjątkowo białe palce wydawały się sine.

Christina dowiedziała się na studiach, że drżenia to pierwszy skutek uboczny zażywania hibernalu. Drugi - to skoki ciśnienia, trzeci - wrażliwość na światło, czwarty - niekontrolowane grymasy, piąty - skoki temperatury. Z medycznego punktu widzenia wytłumaczenie było proste, ale wtedy wyglądało to jak czary i rzucanie uroków.

Przez kuchenne okno wpadł biały promień słońca, musnął Astrid, potem zaczął się powiększać i dotknął stojącej w drzwiach Ellen. Mimowolnie zamrużyła powiekami i ten odruch chyba ją obudził, bo wzięła głęboki oddech, jednym susem znalazła się w kuchni, wyminęła Astrid i podnosząc ramiona, zasłoniła Christine. Astrid próbowała złapać swoją córkę, ale się spóźniła, jej sine palce młóciły powietrze. Na twarzy pojawił się straszliwy grymas. Uniosła górną wargę, obnażając zęby i dziąsła, wywalila język i przesunęła nim po brodzie, prawe oko zamknęło się i otworzyło. W chwilę później zachwiała się, kolana się pod nią ugięły, straciła przytomność i runęła na podłogę.

Potem, kiedy Ciocia Ellen zadzwoniła do Stiga i pielęgniarki ze szpitala Świętej Brygidy zabrali Astrid z jej pierwszej przepustki, wszystko się zmieniło. Jakby Astrid, wchodząc do domu Cioci Ellen, coś zniszczyła; szklaną ścianę, lodowy mur albo wielką bańkę mydlaną. Wszystkie dźwięki się wyostrzyły. Samochody zaczęły przejeżdżać pod domem z wyciem, zimowy wiatr szarpał dachówką, cichy dotąd poprzednik Hubertssona hałaśliwie wchodził po schodach. Podobnie było z powietrzem, w całym domu natychmiast zrobiło się chłodno i wilgotno. Christina wiecznie marzła, musiała wkładać gruby sweter i dwie pary skarpet. Zesztywniałe z zimna palce odmawiały posłuszeństwa. Zniecierpliwiona, odkładała ręczne robótki, kiedy jej haft zaczynał przypominać wyszywankę Margarety: był nieudolny i dziecinny. Nie mogła sobie znaleźć miejsca, już nie siedziała wieczorami obok Cioci Ellen, nie słuchała radia, snuła się apatycznie po domu, przeszkadzała Margarecie, która prawie zawsze leżała na łóżku w pustym pokoju i czytała książki, albo chodziła od jednego okna do drugiego, zbierała suche liście z kwiatów i przeglądała się w ciemnych oknach. Czasami ćwiczyła hart ducha. Jak by się czuła, gdyby do szyby przywarła nagle blada chuda twarz? Jak by się czuła, gdyby Ciocia Ellen umarła? Jak by się czuła, gdyby pewnego dnia musiała opuścić dom Cioci Ellen? Czarna dziura. Tak by się czuła. Tak się czuła.

Ciocia Ellen też się zmieniła po wizycie Astrid. Coraz częściej podnosiła wzrok znad robótki i patrzyła na Christine. Bez uśmiechu, w milczeniu. Poza tym wprowadziła nowe zwyczaje. Dziewczynki nie mogły odbierać telefonu ani wychodzić do skrzynki po pocztę. Robiła to sama. Niektóre listy otwierała już w ogrodzie, mimo że ciągle była mroźna zima. Christina widziała to z okna w kuchni. Marszcząc czoło, Ciocia Ellen rozrywała kopertę, przebiegała oczami list, a potem od razu szła do kosza i wyrzucała go.

Tylko Margareta była taka jak dawniej. Jakby nie zauważyła żadnych zmian ani nagłych tajemnic. Przy każdej nadarzającej się okazji łąsała się do Cioci Ellen jak łaknący pieszcot kot i zamęczała Christine, streszczając z najdrobniejszymi szczegółami każdą przeczytaną książkę. Chyba wcale nie zwróciła uwagi na coraz częstsze wizyty Stiga Szczupaczego Pyska i na to, że przychodził wtedy, kiedy musiały kłaść się do łóżek.

Ale Christina widziała wszystko. Co wieczór leżała w pustym pokoju z szeroko otwartymi oczami i wsłuchiwała się w jego głos dobiegający z kuchni. Mówił bez przerwy. Ciocia Ellen na ogół milczała. Namawianie. Tak to musiało być. Stig Szczupaczy Pysk do czegoś Ciocię Ellen namawiał, a ona nie chciała. Któregoś wieczoru Christina poczuła wzbierającą falę mdłości; musiała coś zrobić, cokolwiek, byle się dowiedzieć, o co chodzi. Ostrożnie postawiła boscie stopy na podłodze, wstała i bezszelestnie wyszła dohallu.

- Tutaj potrzeba rozwiązania przyszłościowego. - Stig Szczupaczy Pysk siorbnał, co świadczyło o tym, że Ciocia Ellen poczęstowała go kawą. - A dom dziecka nie jest rozwiązaniem przyszłościowym. Nie w tym wypadku.

Christina wstrzymała oddech. Ma być odesłana? Nagle zachciało jej się siusiu. Chociaż powstrzymywała się z całych sił, po lewym udzie popłynął strumyczek. Wbiegła do toalety, ale już nie zdążyła zamknąć za sobą drzwi.

Ciągle były otwarte, kiedy minutę później Ciocia Ellen i Stig Szczupaczy Pysk wyszli do hallu, żeby zobaczyć, co się tam dzieje. Christina ze wstydu zamknęła oczy. Nie chciała, żeby ją widzieli na sedesie z zadartą flanelową koszulą nocną, nie mogła się jednak podnieść i zamknąć drzwi, bo zasikałaby podłogę.

- Nie śpisz? - zdziwiła się Ciocia Ellen.

Za jej plecami majaczyła uśmiechnięta twarz Stiga.

- Posłuchaj, Margareta - odezwał się Stig. - Co byś powiedziała na jeszcze jedną siostrę?
- To jest Christina - poprawiła go Ciocia Ellen.

JUŻ NASTĘPNEGO DNIA BIRGITTA stanęła na progu domu Cioci Ellen.

Christina nie mogła się zdecydować, czy jest ładna, czy brzydka, na swój sposób była i ładna, i brzydka. Miała kręcone blond włosy, okrągłe oczy i usta w ciup. Górna warga bardzo wyraźnie przypominała łuk Amora. Gdyby nie kluchowate ciało, wyglądałaby jak lalka. Miała proste nogi, jak kołki, bez najmniejszych krzywizn, wydęty brzuch i szerokie, kanciaste dłonie. Szyja była szara, ciemniejsza niż twarz. Pod nosem połyskiwał mały zielony strumyczek, a od ogryzania paznokci opuszki palców były tak mocno zaczerwienione i opuchnięte, że niemal się czuło, jak bardzo są obolałe.

- Ja chcę do mamy - powiedziała Birgitta. Replika była dziecinna, ale nie głos. Niski, głuchy, prawie męski.

- Tak, tak - zgodziła się pani z komisji do spraw opieki nad dziećmi, która ją przyprowadziła. - Przecież wiesz, że mama musi odpocząć.

- Beze mnie nie odpocznie. To ja się nią opiekuję...

Pani z komisji uśmiechnęła się apatycznie i pochyliła, żeby rozpiąć jej kurtkę.

- Tak, dziewczuszko, wiem, że tak myślisz. Ale tym razem twoja mama musi porządnie wypocząć i dlatego poprosiła nas, żebyśmy się tobą przez pewien czas zajęli...

Birgitta obrzuciła ją nieufnym spojrzeniem i przeciągnęła palcem pod nosem. Pani z komisji cofnęła rękę, co Birgitta wykorzystała i natychmiast zapięła dopiero co odpięty guzik. Na moment w przedpokoju Cioci Ellen zaległa cisza. Wszystkie wpatrywały się w guzik: Margareta, Christina, pani z komisji i Ciocia Ellen. Birgitta przyjrzała się kolejno każdej z nich, wędrowała wzrokiem od twarzy do twarzy. Dokonawszy oględzin, zamknęła oczy i wypuściła powietrze, co zabrzmiało jak głębokie westchnienie. Zupełnie bezwiednie Christina i Margareta też westchnęły, przez chwilę mogło się wydawać, że whallu Cioci Ellen zaszumił wiatr.

Sekundę później Birgitta otworzyła oczy. Coś błysnęło w jej spojrzeniu, odwróciła się i rzuciła do drzwi.

Christina słyszy pukanie, ostrożne puk-puk-puk, ma wrażenie, że to zmarznięty wróbel z karmnika Cioci Ellen wylądował na korytarzu przychodni. Ale jej ciało jest rozsądniejsze, od razu aranżuje stosowne alibi. Jednym ruchem odsuwa lampę na biurku i obraca krzesło do komputera; właśnie wpisuje dane do karty choroby.

- Proszę - mówi swoim najbardziej powściągliwym tonem.

- Przepraszam, Christina...

To Helena, jedna z pielęgniarek.

- Za chwilę będę mogła przyjąć następnego pacjenta - mówi Christina, nie odrywając oczu od monitora.

- Nie, nie, to nie to... Masz tylko pięć minut spóźnienia...

Christina obraca się na krzesło.

- A co?

- Chodzi o Hubertssona...

- Co mu jest?

- Zachowuje się bardzo dziwnie. Dzwonili ze szpitala, jeden z jego pacjentów dostał wyjątkowo silnego ataku epilepsji...

- I?

- A Hubertsson... Nie ma z nim kontaktu...

Christina przesuwając okulary na miejsce.

- Pił?

Helena czuje się niezręcznie, jest niekwestionowanym obrońcą Hubertssona w przychodni, zachowuje się jak kwoka, gotowa znieść wszystkie jego kaprysy i humory wyłącznie dla samej przyjemności rozpostarcia nad nim swoich białych skrzydeł, ilekroć Hubertsson źle się poczuje.

- Nie, chyba nie. Tylko nie bardzo można się z nim porozumieć.

Christina wstaje i wkłada ręce do kieszeni fartucha. Ogarnia ją irytacja. Nie po raz pierwszy Helena uważa, że Hubertsson jest dziwny, ale uparcie odrzuca teorię Christiny, że na jego dziwność ma wpływ butelka whisky, którą gdzieś chowa. Chyba że jest wyjątkowo uczulony na bezcukrowe dropsy. Niemal zawsze kiedy, zdaniem Heleny, jest bardzo dziwny, zalatuje od niego mieszaniną alkoholu i mentolu. I wtedy Christina ma na głowie nie tylko swoich, ale i jego pacjentów.

- Gdzie on jest?

- W gabinecie.

Idąc przez poczekalnię, Christina dokonuje szybkich obliczeń. Siedzą tam trzy osoby, jedna do niej, dwie do Hubertssona, czyli o lunchu nie ma dzisiaj mowy.

Drzwi do gabinetu Hubertssona są uchylone. Tak jak Christina zgasił światło i tak jak ona siedzi twarzą do okna. Nie patrzy jednak na parking, tylko na żółtą fasadę szpitala. Christina dotyka oparcia krzesła, obraca je, a potem się pochyla i patrzy mu w oczy.

- Co ci jest?

Hubertsson ma poszarzałą twarz i wilgotne czoło, wygląda gorzej niż rano. Christina mówi głębiej.

- Dobrze się czujesz?

Hubertsson zamiast odpowiedzi zbywa ją gestem.

- Piłeś?

Lekko kręci głową, błędzi spojrzeniem. Christina nachyla się i wącha. Nic, żadnego zapachu: ani whisky, ani mentolu, ani przetrawionego alkoholu.

- Jadłeś coś dzisiaj?

Wydaje krótki dźwięk, który może znaczyć wszystko. Christina kładzie mu rękę na czole. Jest mokre od potu.

- A insulina? Wziąłeś insulinę?

Mruczy niewyraźnie, powieki drżą. Już wie, co mu jest. Hipoglikemia. Trochę ją to dziwi. Mimo że Hubertsson nie stosuje się do zaleceń, jakich udziela swoim pacjentom chorym na cukrzycę, na ogół świetnie sobie radzi z chwilowymi spadkami stężenia glukozy. Nie rusza się bez garści kostek cukru, które nosi w kieszeni spodni.

- Szybko - rzuca Christina przez ramię do Heleny. - Glukoza B. Przygotuj zastrzyk z glukozy...

Czuje, że Helenie ulżyło. To typowe niemal dla wszystkich pielęgniarek. Nic nie daje im większego poczucia bezpieczeństwa. Przygotowując zastrzyk, nie muszą podejmować decyzji. Christina pobiera próbkę krwi. Kładzie dużą dłoń Hubertssona w swojej, nakłuwa opuszkę palca i przyciska pasek testowy. I natychmiast ma odpowiedź: ekstremalnie niski poziom cukru.

Pracują cicho, w skupieniu, nie patrzą na siebie i nie rozmawiają. Helena pochyla się nad Hubertssonem, zsuwa z niego fartuch, podwija prawy rękaw koszuli i zawiązuje opaskę uciskową tuż nad łokciem. Christina uciska palcami zagięcie łokcia, żeby uwydatnić żyły. Hubertsson oddycha z ulgą, czując, że igła jest na swoim miejscu, a kiedy Christina powoli dociska tłok, otwiera oczy i mówi bardzo wyraźnie:

- Desiree.

- Birgitta, Margareta i Christina - powiedziała pani z komisji do spraw opieki nad dziećmi i zaśmiała się gdacząco.

- Brakuje tylko Desiree, a byłyby wszystkie księżniczki w komplecie...

- Desiree sra, gdzie chce - skwitowała Birgitta.

Jak tylko pani z komisji ściągnęła ją ze schodków, usiadła w kuchni na podłodze i nie dała się stamtąd ruszyć. Christinę zdjął lęk; ta nowa dziewczynka powinna wiedzieć, że jest za duża, żeby siedzieć na podłodze. No i nie powinna mówić brzydkich słów jak małe dziecko. Powinna usiąść przy stole, wypić sok i zjeść bułkę, tak jak Christina i Margareta.

- Desiree sra, gdzie chce - powtórzyła Birgitta. - Panna Kupa i Cipa, księżna Sraczka von Bałaś...

Margareta zachichotała. Christina spojrzała na Ciocię Ellen: biała twarz, powiększone źrenice i dużo głębsze zmarszczki wokół oczu, jakby wymalowała sobie czarne pajęczyny. Siedziała bez ruchu i

patrzyła na Birgittę. Christina wiedziała, że ta nowa dziewczynka musi czuć jej spojrzenie, inaczej być nie mogło, a mimo to nie podniosła głowy. Zajmowała pół podłogi. W pończosze na kolanie miała dziurę, niebieskoszary sweter był na nią za mały, bez przerwy obciągała rękawy, jakby chciała je wydłużyć.

Pani z komisji popatrzyła na Ciocię Ellen, potem położyła dłoń na szyi i powiedziała:

- Skończ już z tymi głupotami, Birgitta.

- Hrabina Sraczka von Kupa...

Margareta znowu zachichotała. Birgitta podniosła głowę i obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem; na moment w kącikach jej ust pojawił się uśmiech. Pani z komisji podniosła się i stanęła koło niej.

- Wstań, Birgitta. Usiądź przy stole i wypij sok, tak jak dziewczynki!

Ale Birgitta opuściła głowę i znów patrzyła w podłogę.

- Ja nie piję żółtego soku.

Pani z komisji cofnęła się o krok i zwiesiła ręce, jakby nie wiedziała, co ma robić.

- Dlaczego?

- Bo żółty sok smakuje jak szczyny!

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Siedząca dotąd bez ruchu Ciocia Ellen wstała, podeszła do Birgitty i postawiła ją na nogi. Birgitta zwiotczała, kołysała się w ramionach Cioci Ellen jak szmaciana lalka.

- Jedno sobie zapamiętaj - bardzo cicho powiedziała Ciocia Ellen. - Te wyrazy, które przed chwilą wypaplałaś, nie podobają mi się. A w tym domu to ja decyduję! Żebyś wiedziała.

Podniosła Birgittę, posadziła na krześle przy krótszym boku stołu, wzięła szklankę, która długo czekała na Birgittę, i napełniła żółtym sokiem.

- Pij! - poleciła, krzyżując ręce na piersiach. Margareta zaśmiała się głośno, jak zwykle wydała się niczego nie rozumieć.

- To sok pomarańczowy! - powiedziała. - Ciocia Ellen sama go zrobiła ze skórek pomarańczowych. Zbierałyśmy te skórki przez całą jesień...

Christina milczała. Nie odrywając oczu od twarzy nowej dziewczynki, podniosła szklankę i opróżniła ją kilkoma dużymi łykami. Birgitta nie poszła za jej przykładem. Zastygła w bezruchu, gapiała się na żółtą ciecz. Ciocia Ellen nachyliła się nad nią. - Pij - powiedziała cicho i wyraźnie. - Po prostu pij... Tykał kuchenny zegar, mała czerwona wskazówka sekundnika przesuwiała się po tarczy. Kiedy dobiegła do dwunastej, Birgitta chwyciła szklankę, a kiedy była na szóstce, wypijała. I zaczęły się nowe czasy.

Hubertsson mruga powiekami i potrząsa głową jak obudzony niedźwiedź, kiedy Christina i Helena prowadzą go do kozetki.

- Teraz przez chwilę odpocznij - mówi Christina. - Za kwadrans jeszcze raz zbadamy krew i wtedy się okaże, czy trzeba cię będzie wysłać do Motali...

Hubertsson coś mruczy, dopiero po paru sekundach Christina rozumie, co. - Szpital dla przewlekłe chorych.

Tak, oczywiście, dzwonił stamtąd. Helena przykrywa Hubertssona żółtym kocem i z przesadną troskliwością go wygładza.

- Kto dzwonił ze szpitala? - pyta Christina.

- Kerstin Pierwsza - mówi Helena.

- Dobrze, oddzwonię.

Korzysta z telefonu Hubertssona. Czekając, aż ktoś odbierze, przebiera zadbanymi palcami o nienagannie wyszlifowanych paznokciach po podkładce na biurku. Wreszcie Kerstin Pierwsza podnosi słuchawkę i odzywa się głosem czystym jak kryształ.

- Zadzwoniliśmy, bo Hubertsson prosił, żeby go zawsze zawiadamiać, kiedy ten pacjent ma atak - wyjaśnia Kerstin Pierwsza. - Tym razem były dwa ataki, ten drugi wyjątkowo długi. Pierwszy trwał siedem minut, drugi, po półgodzinnej przerwie, blisko czterdzieści pięć minut...

Christina przygryza wargę. Napad czterdziestopięciominutowy jest na granicy stanu padaczkowego.

- Czy napady minęły?

- Mmmm. Podałam doodbytniczo cztery porcje stesolidu, po dziesięć miligramów. Christina wciąga powietrze. Jak ona śmie! Taka dawka powaliłaby konia.

- Ile waży pacjent?

- Około czterdziestu kilo...

Christina kurczowo zaciska dłoń. Kerstin Pierwsza jest chyba szalona!

- To mężczyzna czy kobieta?

- Kobieta. Wiesz, pupilka Hubertssona.

Nie, nie wie.

- Czy to Hubertsson zalecił taką dawkę?

Kerstin Pierwsza wzdycha zniecierpliwiona.

- Nie, zwykle przy takich długich napadach przychodzi tu i daje jej kroplówkę, ale dzisiaj nigdzie nie mogłam go znaleźć... Nie musisz się obawiać, ona niejedno przetrzyma. Nie rusza się, nie mówi, cierpi na porażenie mózgowe, epilepsję i niedowład spastyczny, ale nie umiera. Ma przeszło czterdzieści pięć lat, całe życie przeleżała w szpitalu i, jak powiedziałam, nie umiera.

Christinie zaschło w ustach.

- Przyjdę.

Kerstin Pierwsza wzdycha.

- Nie ma potrzeby, codziennie ma ataki, czasami kilka razy dziennie. Przeważnie tylko dzwoni do Hubertssona, potem ona przez kilka godzin śpi. Uwielbia spać, więc nie narzeka.

Christina odchrząkuje.

- Tak czy inaczej, przyjdę.

Niemal słyszysz, jak Kerstin Pierwsza wzrusza ramionami.

- Jeśli w czasie pracy nie masz nic innego do roboty, to proszę bardzo.

Tym razem Christina zacisnęła zęby i przygotowała się na szok, ale i tak na widok Kerstin Pierwszej zapiera jej dech. Prowadzi pacjenta korytarzem i wygląda jak reklama szamponu; długie blond włosy skrzą się jak tysiące gwiazd. Spodnie i marynarka lśnią bielą, skarpetki są puchate i miękkie, białe sandały wyglądają jak nowe, jakby przed chwilą zostały wyjęte z pudełka. Ta skończona doskonałość nie robi wrażenia na kobiecie idącej obok. To Maria, pacjentka Christiny. Jej cienkie, rzadkie włosy nie błyszczą, jest w spranym dresie i w kapciach z przydeptanymi piętami. Maria ma zespół Downa, epilepsję i uśmiech jak prośba o ułaskawienie.

- Dzień dobry, Mario - mówi Christina, mimo że rozsadza ją niecierpliwość. Wie jednak, że Maria może potem cierpieć całymi tygodniami, jeśli się z nią nie przywita.

- Jak się dzisiaj czujesz?

- Nie za dobrze - odpowiada Maria i kręci głową. - Nie za dobrze...

Christina zatrzymuje się. Maria nigdy się na nic nie skarży, zwykle rozjaśnia się w uśmiechu i zapewnia aż do utraty przytomności, że wszystko jest precudownie.

- Co się stało?

- Nie mogę być z aniołami - mówi Maria i zwiesza głowę.

- No, no. - Kerstin Pierwsza poklepuje Marię po ręku. - Przecież wiesz, że to tylko na jakiś czas...

Pokój Marii jest świątynią. Jeśli resztę szpitala uznać za jeden wielki lokal rekreacyjny, to pokój Marii jest świątynią. Świątynią naiwności. Udekorowała go aniołami. Na parapecie tłoczą się kanclaste porcelanowe cheruby, pod sufitem wiszą serafiny, ściany - od podłogi po sufit - pokrywają kolorowe aniołki z zakładką do książek i z pism ilustrowanych. Maria przykleja je do ściany, czasami używa kleju Karlssona. Kierowniczka szpitala, kobieta praktyczna, która nie marzy o raj, lekko się peszy, ilekroć mówi się o pokoju Marii. Podobno miewa koszmarnie sny, podszyte strachem o to, co się stanie, kiedy dowiedzą się o wszystkim urzędnicy z gminy. Nigdy jednak nie próbowała odbierać Marii aniołów. Wie, że tylko one trzymają ją przy życiu. Kiedy się budzi po swoich odwiecznych atakach, zawsze się nerwowo rozgląda i stwierdziwszy, że nadal jest wśród aniołów, uspokaja się.

- Dlaczego Maria nie może być u siebie? - pyta Christina, ale nie patrzy na Kerstin Pierwszą;

łaskoczący lęk zmusza ją do spojrzenia na Marię.

- Niestety, nie mamy innego wyjścia - odpowiada Kerstin Pierwsza. - Folke potrzebował osobnego pokoju, a nie mogliśmy go przecież położyć między tymi wszystkimi aniołami. Dlatego przenieśliśmy tam ulubienicę Hubertssona. Ona teraz śpi, nie powinno się jej przez jakiś czas budzić, więc uznaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli Maria posiedzi kilka godzin w świetlicy...

Maria próbuje uśmiechnąć się błagalnie do Christiny, ale bez powodzenia. Opuszcza kąciki ust, wygląda płaczliwie. Christina przesuwając dłonią po grzywce, znowu zaczyna odczuwać zmęczenie. Co za dzień! A nie ma jeszcze dwunastej...

- Czy nie można tego załatwić inaczej? - pyta zrezygnowana.

- Nie, nie można. Poza tym dzisiaj jest obrazkowe bingo, będzie bardzo przyjemnie.

Coś muska jej głowę, kiedy wchodzi do pokoju Marii. Instynktownie podnosi rękę, jakby się broniła przed atakującym ptakiem, i przez ułamek sekundy widzi martwą mewę na ogrodowej alejce. Ale to nie ptasie skrzydło dotyka jej włosów, tylko miękkie włóczkowe stopy aniołka. Tuż przy drzwiach wisi najnowsze dzieło Marii; półmetrowy anioł ma głowę ze staniolu, loki z żółtej taśmy klejącej, a tułów ze starego ręcznika z napisem „WŁASNOŚĆ WOJEWÓDZKIEGO SAMORZĄDU TERYTORIALNEGO”. Ten sam napis widnieje na tekturowych skrzydłach. Zapasy Marii, czyli kartony i kolorowe skrzydła, chyba się już kończą, i pewnie dlatego wyprosiła stare rzeczy sprzed komunalizacji szpitala.

Setki aniołów na ścianach absorbują światło i w pokoju jest ciemniej, niż być powinno. Gdzie indziej jest środek dnia, u Marii i aniołów panuje wieczny półmrok. Ale pokój nie wygląda tak jak zwykle. Stół nie stoi już pod oknem, nożyczki, pióra, rolki taśmy i pocięte czasopisma leżą na jednej kupce.

Pod oknem jest teraz łóżko drugiej pacjentki. Jej rzeczy wyglądają skromnie w porównaniu ze skarbami Marii. W nogach łóżka leży teczka i książki, nad wezłowiem, na metalowym statywie stoi komputer, z którego wychodzi żółta rurka z ustnikiem. Christina natychmiast sobie przypomina, że słyszała o tej pacjentce, słyszała o kobiecie, która się porozumiewa za pośrednictwem komputera. Teraz na monitorze nie ma słów, pacjentka przebywa poza słowami, ale ekran dobrze sobie radzi w pokoju Marii. Są na nim tysiące gwiazd. Na ich widok Christinie kręci się w głowie, przez chwilę ma wrażenie, że z prędkością światła pokonuje wszechświat. Mruga powiekami i patrzy na kartę choroby. „Desiree Johansson, 491231-4082; porażenie mózgowe, spastyczność, ciężka epilepsja”.

Kobieta przypomina nieopierzone pisklę. Jest tak krucha, że na materacu nie powinna zostawiać żadnych śladów, i tak chuda, że widać przez skórę każdą kość i żyłkę. Palce jednej dłoni są wykrzywione, wygięte jak pazury. Leży w dziwnej pozycji płodu, na plecach, z podciągniętymi i skrzyżowanymi nogami. Ma sercowatą twarz, ostry, spiczasty podbródek i niemal przezroczyste powieki, z niebieskimi naczynkami, których układ przywodzi na myśl delte.

A więc to jest ta ulubienica Hubertssona...

Dłonie Christiny drżą lekko, kiedy wkłada słuchawkę i pochyla się nad pacjentką. Jeszcze raz patrzy w kartę choroby. Tak, ta kobieta ma codzienne napady, zwłaszcza te w ostatnich latach znacznie pogorszyły stan jej mózgu. Ale teraz chyba śpi spokojnie, serce bije miarowo jak zegar w dużym pokoju Cioci Ellen, oddech jest równy, bez przydźwięków. Christina chowa słuchawkę do kieszeni i sprawdza tonus rąk i nóg. Też wydaje się w normie - nie wyczuwa napięć. Na koniec bardzo delikatnie rozchyła wargi pacjentki i oświetla jamę ustną małą lampką. Nie, nie ugryzła się w język ani w policzki. Biorąc pod uwagę jej stan, wszystko wydaje się w porządku. Christina gasi lampkę i patrzy na śpiącą kobietę. Biedactwo...

Kobieta podryguje i otwiera oczy, przez sekundę Christina widzi jej błękitne spojrzenie, potem powieki wolno opadają. Christina cofa się o krok, mocno bije jej serce. Kilka oddechów i pacjentka znów śpi spokojnie, a serce Christiny wraca do swojego normalnego, acz lekko wylęknionego pikania.

Przykrywa kobietę pasiastą kołdrą, jedna z książek leżących w nogach łóżka spada na podłogę. Podnosi ją i widząc tytuł, marszczy brwi. Sny Einsteina. Przegląda pozostałe książki. Kwark i jaguar Murraya Gell-Manna, Złote jabłka Słońca Raya Bradbury'ego, Benandanti - dobrzy czarodzieje Carla Ginzburga, Czarownice i procesy czarownic Brora Gadeliusa i zaczytany egzemplarz Stephena Haw-

kinga Kosmos - rys historyczny.

Wzrusza ramionami. Współczesna fizyka to dziedzina Margaret, jej nigdy nie wciągnęła. Od wykładów Margaret na temat materii i antymaterii, Wielkiego Wybuchu i ekspansji wszechświata, kwarków, kwantów i całej reszty zawsze bolała ją głowa. Sporo w tym mętniactwa, a za mętniactwem Christina nie przepada.

Układa książki w elegancką stertę i kładzie na szafce. To wzruszające, że egzemplarz Stephena Hawkinga był tyle razy czytany. Ktoś taki jak ona pewnie go traktuje jak boga. Ciekawe, czego zazdrości mu najbardziej. Jego mózgu czy sławy? A może po prostu afer miłosnych?

Kiedy chwilę później idzie przez parking, czuje się dużo lepiej. Chłodne powietrze przyjemnie orzeźwia, obcasy stukają wesoło na wilgotnym asfalcie. Bezwiednie podnosi włosy i rzeński wiatr znad Vattern pieści jej szyję. Nagle ma nieprzepatą ochotę rozłożyć ramiona i obrócić się wkoło. Ale lekarz przy zdrowych zmysłach raczej nie powinien stawać na środku parkingu i dawać upustu swojej radości tylko dlatego, że niebo jest niebieskie, słońce żółte i lśniące, a w pąkach kasztanowca najpewniej burzą się soki. To inne powietrze tak ją rozwesela. Jutro jest przecież wiosenne zrównanie dnia z nocą.

W domu Cioci Ellen zmianom pór roku towarzyszyło dużo obrządków i rytuałów. W dniu świętej Walpurgii zdejmowało się ze strychu letnie ubrania, a piętnastego września znowu się je cho- wało. Niezależnie od pogody. Jeśli narzekały, że jest za ciepło albo za zimno, Ciocia Ellen mówiła: „Wiosną trzeba się pocić, a jesienią marznąć!”

Christina uśmiecha się. Ciocia Ellen była dosyć zabawna z tymi swoimi staroświeckimi prze- konaniami. Na przykład święcie wierzyła, że w latach pięćdziesiątych wszystkie dziewczynki noszą w szkole fartuszki, tak jak to było za jej czasów w latach dwudziestych. Dlatego Christina poszła na roz- poczęcie roku w kraciastej bawelnianej sukience i haftowanym fartuszk. Na szczęście, Ciocia Ellen potrafiła się dostosować. Kiedy szła z Christiną za rękę, patrzyła, jak są ubrane inne dziewczynki, a potem po prostu się nachyliła, rozwiązała jej fartuszek i schowała do torebki. Trochę szkoda, bo był ładny. Na bawecie ścięciem krzyżykowym był wyhaftowany monogram Christiny, a na samym dole, na lamówce, miał ptaszki. Leży teraz w plastikowym worku w Postindustrialnym Raju razem z innymi rzeczami, jakie udało jej się kupić na aukcji po śmierci Cioci Ellen. Ile razy otwiera któryś ze starannie zaklejonych taśmą worków, wydaje jej się, że czuje zapach Cioci Ellen: mocne mydło i talk marki „Christel”. Za każdym razem zapach jest słabszy, dlatego rzadko je otwiera.

Ale lubi o nich myśleć. Wiedzieć, że tam są. Że są jej. Tylko jej.

Christina musiała odstąpić Birgittie dużo więcej miejsca w pustym pokoju niż Margareta. Mar- garetta zawsze wszystko robiła na łóżku - czytała i rysowała, bawiła się lalkami i odrabiała lekcje - Christina natomiast używała łóżka wyłącznie do spania. Kiedy rysowała i odrabiała lekcje, siadała przy stole pod oknem. Teraz pod oknem stanęło trzecie łóżko, a stół Ciocia Ellen wyniosła do hallu. Ale w hallu było za ciemno, a przy stole w pokoju jadalnym też nie mogła siedzieć, bo już trzeciego dnia Bir- gitta stłukła tam porcelanową figurkę i żadna z dziewczynek nie miała prawa wstępu do pokoju jadal- nego. Został stół w kuchni. Ale i w kuchni nie było jak dawniej. Kiedy siedziała tam Margareta i Bir- gitta, Christina nie mogła się skupić. Bez przerwy paplały, chichotały i szeptały sobie jakieś sekrety.

Z chwilą pojawienia się Birgitty w domu nigdy nie było prawdziwego spokoju. Jakby ktoś ją naelektryzował, bez przerwy iskrzyła, zbliżenie się do niej groziło porażeniem. Kiedy dzwonił telefon, zrywała słuchawkę z widełek i krzyczała „halo!”, zanim Ciocia Ellen zdążyła się odwrócić, a kiedy ktoś dzwonił do drzwi, wylatywała na schodki jak furia. Nigdy nie siedziała spokojnie, żeby poczytać - jak Margareta - albo zająć się robótką, jak Ciocia Ellen i Christina. Bawiła się chaotycznie i hałaśliwie, a kiedy się nie bawiła, wszczyniała awantury. Miała w nosie zasady i zakazy Cioci Ellen. Pewnego dnia otworzyła furtkę i wyjechała na szosę rowerem Cioci Ellen. Innego dnia uciekła i po wielu godzinach poszukiwań Ciocia Ellen znalazła ją na ulicy w środku miasta, tam gdzie kiedyś mieszkała. Jeszcze innego dnia ukradła z domowej kasy cztery korony. I kiedy Ciocia Ellen nie pozwoliła jej za karę przez dwa dni wychodzić z pustego pokoju, wywaliła język i krzyknęła:

- Nie jesteś moją mamą, przeklęta babo! Nie będziesz mi rozkazywać!

Christina zatkała uszy i zacisnęła oczy. Ciocia Ellen tego nie zauważyła, była zajęta wciąga- niem wierzgającej i wrzeszczącej Birgitty do pustego pokoju. Kiedy zamknęła za nią drzwi i wróciła do

kuchni, pod nosem miała pełno krwi. Idąc do zlewu, przelotnie zerknęła na Christinę, która ciągle siedziała nieruchomo przy kuchennym stole, i burknęła:

- Czemu tak siedzisz? Takie straszne to chyba nie było!

Ale kiedy chwilę później Christina klęczała przed muszlą klozetową i wymiotowała, Ciocia Ellen znów była sobą. Jedną rękę trzymała na jej czole, a drugą głaskała ją po plecach.

- Wszystko będzie dobrze - szepnęła. - Wszystko znowu będzie dobrze...

Ale tym razem Ciocia Ellen się pomyliła. Nic nie było dobrze. Pierwszej wiosny wszyscy mieli dosyć Birgitty. Z Margareta na przyczepkę ganiała po domu i po ogrodzie, zdobywając metr kwadratowy za metrem. Margareta na przemian śmiała się i drętwiała ze strachu, była przerażona i zachwycona. Nic już nie było jak dawniej. Strych stał się kryjówką czarownicy, piwnica miastem duchów, a ogród niebezpieczną dżunglą. Kiedy wieczorami miały kłaść się do łóżek, Margareta wybuchała płaczem jak małe dziecko. Ciocia Ellen nie mogła gasić światła, nie mogła też zostawiać ich samych, musiała siedzieć na łóżku Margarety i trzymać ją za rękę, dopóki nie usnęła.

Cioci Ellen codziennie leciała krew z nosa. Kiedy dziewczynki wracały po południu ze szkoły, coraz częściej zastawały ją w dużym pokoju. Siedziała w fotelu z zamkniętymi oczami i otwartymi ustami, kłaczki waty w obu dziurkach były czerwone od krwi. Poduszka do koronek leżała bezużytecznie na stole w pokoju jadalnym. A pewnego dnia podała im na obiad puree ziemniaczane, które zawsze miała w pogardzie. Mimo to ledwie wtedy zdążyła wykończyć marynarki. W przeddzień ich odbioru pracowała do drugiej w nocy.

Najgorsze jednak było to, że Ciocia Ellen nie patrzyła już na Christinę tak jak dawniej. Owszem, uśmiechała się i dziękowała, kiedy Christina pomagała jej zmywać, odpytywała ją z lekcji i liczyła kratki w jej hafcie, ale ledwie Christina się od niej oddaliła, Ciocia Ellen traktowała ją tak, jakby nie istniała. Już nie śledziła jej wzrokiem, a gdyby śledziła, to i owo by zobaczyła. Na przykład jej proste plecy. Bo teraz Christina stale musiała się mieć na baczności.

Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Birgitta właśnie ją wybrała sobie na wroga. Ale tak było. Od samego początku oczy Birgitty zwęzły się, ilekroć patrzyła na Christinę. Tydzień później Christina znalazła swoją lalkę bez rąk i nóg, w następnym tygodniu brakowało jednej kartki w książce wypożyczonej z biblioteki. Dosyć szybko zaczęła unikać zabaw w ogrodzie, bo ni stąd, ni zowąd mogła oberwać pięścią w plecy, upaść na twarz i zrobić dziurę w pończosze. Najgorzej było wtedy, kiedy ucierpiała tylko pończocha. Ciocia Ellen bardzo się gniewała i mówiła, że pończochy nie rosną na drzewie. Christina nigdy nie odważyła się wspomnieć o kuksańcach, bo Birgitta zawsze się kręciła w pobliżu i jej oczy były jeszcze bardziej zwięzione. Poza tym Ciocia Ellen miała zasady. Między innymi nie tolerowała zwalania winy na kogoś innego. Za dziurę w pończosze odpowiadał ten, kto miał pończochę na nodze. Było lepiej, kiedy ucierpiałoby i kolano, wtedy dostawało się plaster, bułkę i kilka słów pociechy.

Wszystko stało się nieco łatwiejsze, odkąd Birgitta spacyfikowała wiśnię. Wiśnia od lat rosła sobie w ogrodzie Cioci Ellen i kusiła śmiałków. Christina i Margareta dawały się skusić, ale żadnej nie starczyło odwagi, żeby się wdrapać na sam czubek. Zadawały się najniższymi konarami. Birgitta się odważyła. Sapiąc i postępując, przenosiła swoje kluchowate ciało z gałęzi na gałąź, coraz wyżej i wyżej, nie przejmując się tym, że kora rysuje na jej udach długie czerwone krechy. Margareta ruszyła kiedyś za nią, ale dotarła tylko do połowy drzewa, usiadła i kurczowo trzymała się pnia. Christina nawet nie próbowała. Wchodziła na najniższą gałąź, zadzierała głowę, niemal ją sobie wykręcając, i wypatrywała Birgitty i Margarety.

- Uważajcie! - wołała.

Ale Birgitta nie uważała. Śmiała się ochryple, chwyciła gałąź nad głową obiema rękami i wstała. Christina zamykała oczy. Nie wiedziała, czy w nadziei, czy z obawy, że Birgitta spadnie. W nadziei. Miała nadzieję, że spadnie. Ale kiedy otwierała oczy, Birgitta siedziała na gałęzi.

Odwaga Birgitty sprawiła, że Ciocia Ellen w końcu ją zaakceptowała. W pierwszych miesiącach ani razu się nie roześmiała, kiedy Birgitta powiedziała albo zrobiła coś śmiesznego, przeciwnie, była ostra i stanowcza, ledwie Birgitta pojawiała się w zasięgu jej wzroku. Kiedy jednak tego czerwonego wieczoru wyszła do ogrodu i zobaczyła na drzewie trzy dziewczynki, jak trzy owoce, jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Rany boskie! - zawołała, mrużąc oczy znad okularów.

- Nieźle, Birgitta! - błyskawicznie postawiła tacę na trawie, aż zabrzęczały szklanki. - Posiedźcie jeszcze chwilę, pójdę po aparat fotograficzny.

Udało jej się zmieścić w kadrze i drzewo, i trzy dziewczynki. To było dobre zdjęcie, tak dobre, że Ciocia Ellen kazała je powiększyć i pokolorować. Ale fotograf się pomylił. Sukienkę Birgitty pomalował na różowo, a Christiny na zielono. Tymczasem powinno być na odwrót. Birgitta bardzo się ucieszyła z tej zamiany i w dniu, w którym oprawiona w ramkę fotografia stanęła na bielizniarce Cioci Ellen, uznała, że różowy kolor jest jej i tylko jej.

- Od tej chwili wszystko, co różowe, jest moje - oświadczyła, kiedy tego samego dnia leżały wieczorem w łóżkach w pustym pokoju.

- A wszystko, co żółte, jest moje - powiedziała Margareta. - Bo mam żółtą sukienkę na zdjęciu.

Christina odwróciła się do ściany. Słyszała ich oddechy, czekały, aż coś powie. Przez kilka minut było cicho, w końcu Margareta nie mogła dłużej wytrzymać napięcia.

- A ty, Christina? - szepnęła. - Zielony czy niebieski? A może czerwony?

Christina milczała. Jedynym kolorem, jaki naprawdę lubiła, był różowy.

HELENA CZEKA NA CHRISTINĘ w drzwiach przychodni.

- Jednego pacjenta Hubertssona przesunęłam na inny dzień - mówi. - Ale drugiego musisz przyjąć. Masz pół godziny spóźnienia...

- Ilu pacjentów ma Hubertsson dzisiaj po południu?

- Sześciu. Właśnie do nich dzwoniemy i próbujemy przełożyć terminy.

Christina wślizguje się do szatni i zdejmuje zimowe buty.

- A jak Hubertsson?

- Przed chwilą zrobiłam mu test. Poziom cukru rośnie. Teraz śpi.

- Dobrze. Poczekamy.

- Dzwoniła twoja siostra.

Christina wstrzymuje oddech.

- Moja siostra?

- Mmmm. Chciała się pożegnać, ale jej wyjaśniłam, że masz dzisiaj mnóstwo pracy, więc powiedziała, że zadzwoni, jak dojedzie do Sztokholmu.

Christina oddycha swobodniej. Prawie zapomniała, że rano zostawiła Margarete w Postindustrialnym Raju.

- I prosiła pozdrowić Hubertssona - mówi Helena z uśmiechem. - Podobno znacie go od dzieciństwa.

Christina lekko się wykrzywia i poprawia fartuch. Jak zwykle Margareta powiedziała za dużo.

- Owszem - przytakuje. - Znamy.

- Coś podobnego. Nie miałam o tym pojęcia.

Właściwie Christina nie jest zdziwiona, że Margareta przekazała pozdrowienia dla Hubertssona. Na pewno dobrze go wspomina. To była jej pierwsza miłość. Miała niespełna czternaście lat, kiedy przestała się łączyć do Cioci Ellen i zaczęła się stroszyć, ilekroć Hubertsson pojawiał się na horyzoncie, czyli codziennie podczas kolacji. Po półrocznym zamieszkiwaniu w domu Cioci Ellen zaniechał wszelkich prób usamodzielnienia się.

- Jeszcze jedna konserwa i nabawię się skorbutu - stwierdził, oferując Cioci Ellen przyzwoitą sumę w zamian za jeden posiłek dziennie.

Gdyby chciała mu pracować i sprzątać, mogłaby zarobić dwa razy tyle. Ciocia Ellen nie zastanawiała się długo. Przecież miała czas. Christina i Margareta chodziły do szkoły średniej i późno wracały, Birgitta pracowała w Luxorze i wracała jeszcze później. Poza tym potrzebowała pieniędzy. Dom wymagał coraz większych funduszy, a obrzucanie marynarek nie było już tak opłacalne jak dawniej. Coraz więcej kosztowało utrzymanie dziewcząt. Zasilenie domowej kasy było miłe widziane. Propozycja Hubertssona wiązała się jednak z pewnymi inwestycjami. Pan doktor nie mógł przecież jeść na ceracie. I pewnego dnia Ciocia Ellen pojechała na zakupy aż do Linkópingu. W Motali nie było bowiem marko-

wych obrusów Violi Grasten, najlepszych, zdaniem wszystkich pań ze Stowarzyszenia Rzemiosł Artystycznych, w którym Ciocia Ellen się udzielała. W Linköpingu kupiła też lakier do kuchennych krzeseł, materiał na serwetki i na zasłonki, i pięć sosnowych obrączek do serwetek.

Z serwetkami był pewien kłopot. W latach czterdziestych Ciocia Ellen, zanim została opiekunką domową, pracowała przez rok w rodzinie architekta, gdzie dowiedziała się niejednego o symbolicznym znaczeniu serwetek. Rodzina architekta była nowoczesna, dlatego w dni powszednie Ciocia Ellen siedziała razem z nimi przy stole i tak jak wszyscy dostawała raz w tygodniu lnianą serwetkę. Różnicę między państwem a służbą podkreślano niezwykle subtelnie: członkowie rodziny mieli obrączki, natomiast serwetka Cioci Ellen leżała na talerzu złożona na dwoje.

W domu Cioci Ellen w ogóle nie było serwetek. Jeśli ktoś się upačkał, szedł się umyć do toalety, i tyle. Na Boże Narodzenie, w sobótki i podczas innych rodzinnych przyjęć Ciocia Ellen wyjmowała cienkie papierowe serwetki, ale głównie dla oczu. Teraz trzeba to było zmienić, bo Hubertsson na pewno się przyzwyczaił do serwetek w obrączkach. A jak by to wyglądało, gdyby tylko on wymachiwał przy stole serwetką?

Christina i Ciocia Ellen całą sobotę i niedzielę sprzątały kuchnię. Wyszlifowały i polakierowały krzesła, obszyły serwetki i powiesiły zasłonki. Birgitta parskała pogardliwie, patrząc na ich zmagania, po czym postawiła kołnierz zamszowej kurtki i wypuściła się na sobotnie szaleństwo. Margareta sterczała w drzwiach i miała swoje zdanie w każdej sprawie, ale poza tym nie było z niej żadnego pożytku. W końcu Ciocia Ellen miała tego po dziurki w nosie i kazała jej okręcać obrączki włóczką, każdą w innym kolorze, żeby można je było odróżnić. Naturalnie dla Birgitty wybrała różowy, dla siebie żółty, Christinie trafił się biały, Cioci Ellen jasnoniebieski, a obrączkę Hubertssona owinęła wąską jedwabną wstążeczką w kolorze jaskrawej czerwieni i zawiązała na kokardkę.

Jej policzki też były jaskrawoczerwone, kiedy Hubertsson zszedł w niedzielę wieczorem na pierwszą kolację w kuchni Cioci Ellen.

- Będziesz siedział u szczytu - zuchwale oznajmiła Margareta, zaznaczając tym samym, że nie jest już małą dziewczynką, która musi dygać i mówić do niego „wujku”.

Hubertsson przyglądał się jej z rozbawieniem. Nie był tak głupi, żeby się nie połapać, dlaczego jej oczy lśnią jak świeżo polakierowane krzesła. Nie był jednak ani trochę zainteresowany młodziutką jagnięciną. Wolał pieczony udziec wołowy, sypkie kartofle, marchewkę z groszkiem, kwaskowatą galaretkę i kwaszony ogórek. A do tego ciemny sos śmietanowy którego zapach - octu i anchois, liścia bobkowego i czarnego pieprzu - już od godziny przenikał wszystkie zakamarki domu.

I siedzieli z serwetkami na kolanach przy stole Cioci Ellen, i jedli w milczeniu. Birgitta z modną fryzurą a la kopa siana, z umalowanymi na czarno oczami, Margareta z końskim ogonem i wypiekami na twarzy, Christina w nowych okularach zsuniętych do połowy nosa, Hubertsson z łokiem na czole i spięta Ciocia Ellen z zarumienionymi od gotowania policzkami. Rozluźniła się dopiero wtedy, kiedy Hubertsson nałożył sobie trzecią porcję.

- Przepraszam - powiedział. - Zazwyczaj tyle nie jem. Ale to takie smaczne!

Wtedy wszyscy się roześmiali. Nawet Birgitta.

W tamtych latach Birgitta nie śmiała się zbyt często. Co prawda po śmierci matki jej dziecinne rozkaprysenie minęło, ale kiedy wypłakała cały swój smutek, nie stała się taka jak inni. Już nie krzyczała ani się z nikim nie biła, unosiła tylko górną wargę w grymasie absolutnej pogardy.

W siódmej klasie, pod koniec semestru wiosennego, podjęła nieodwołalną decyzję i była niewzruszona jak głaz. Każdego wieczoru, siedząc przy kuchennym stole, powtarzała w kółko jedno i to samo: Nie pójdzie do ósmej klasy! To przecież nie jest obowiązkowe, jak chce, może zrezygnować. Poza tym wujek Gunnar obiecał, że załatwi jej pracę w Luxorze. Prychała na argumenty Cioci Ellen, że praca w fabryce nie jest zbyt przyjemna. Przyjemna? A kto, kurde, zaszuwa dla przyjemności? Pracuje się po to, żeby zarabiać. A w Luxorze nawet czternastoletnie dziewczęta mogą niezłe zarobić.

Christinę dziwił szacunek Cioci Ellen dla pracy Birgitty. Ważniejsze stało się teraz przygotowanie jej śniadania na następny dzień niż odpytywanie z lekcji Christiny i Margarety. Mimo że Christina była od Birgitty trzy miesiące starsza, a Margareta tylko jedenaście miesięcy młodsza, Birgitta uchodziła za dorosłą, a one ciągle były traktowane jak dziewczynki.

Ciocia Ellen nie miała nic przeciwko stylowi ubierania się Birgitty. Chętnie wyjmowała maszynę do szycia, kiedy Birgitta chciała zwięzić kolejną parę dżinsów albo spódnicę. W końcu jej spódnice były takie obcisłe, że odznaczał się wzgórek łonowy. Bardzo jej się to podobało, co dało się zauważyć po jej zadowolonej minie, kiedy się przeglądała w lustrze w hallu. O to jej właśnie chodziło. Wydatne piersi, wypięta pupa i dwuznaczny trójkąt.

Dużo czasu poświęcała włosom. Tapirowała je, lakierowała, zmieniała fryzury. Mimo to zawsze wyglądała tak samo: szopa na głowie, usta pomalowane na białą, a oczy na czarno. Panienska raggare* [*raggare - młodzi chłopcy, pasjonaci dużych, najczęściej amerykańskich samochodów, preferujący dość luzacki styl życia (przyp. tłum.)], nie żadna trusia, która boi się zaszaleć.

Według Christiny Birgitta była odrażająca. Obłeśne białe cielsko i wiecznie półprzymknięte powieki, żeby nie wspomnieć o rozsiewanym przez nią kwaskowatym odorze, który przenikał pusty pokój, nawet wtedy, kiedy jej w nim nie było. Ale według Christiny większość ludzi była odrażająca. Hubertsson miał obrzydliwe palce, Stig Szczupaczy Pysk obrzydliwe usta. Czasami nawet Ciocia Ellen wydawała jej się nieco odrażająca. Na przykład kiedy szykowała śniadanie, krzątając się w koszuli nocnej i podomce, w kuchni unosił się lekko zjełczały zapaszek. Z tego powodu Christina zmieniła swoje zwyczaje. Siadała do śniadania umyta, ubrana i uczesana, a kiedy smród stawał się nie do zniesienia, podnosiła dłoń do ust i wdychała zapach mydła. Łaskotał ją w nos.

Wzasadzie tylko Margareta nie była odrażająca. Nawet wtedy, kiedy Birgitta próbowała ją do siebie upodobnić. Mimo tapirowania, lakierowania i malowania nigdy nie przerobiła jej na dobre. Po półgodzinie Margareta wyglądała jak podtopiony szop prac; tapirowane włosy opadały, pomadka była zlizana, a tusz rozmazany. Ciocia Ellen śmiała się z niej i wysyłała do łazienki. „Głuptas!”

Czasami Margareta wychodziła z Birgittą na imprezy. W sobotnie wieczory sterczały przed lustrem, a Ciocia Ellen stawała w drzwiach kuchni i patrzyła na nie znad okularów. Rzadko się odzywała, nigdy ich nie napominała i rzadko krytykowała. Wydawało się, że się poddała, jakby uznała, że nie ma prawa wypowiadać się o czymś tak nowym i niepojętym jak styl życia nastolatków.

Nigdy nie było mowy o tym, żeby Christina chodziła razem z nimi. Tak zdecydowała Birgitta, której otwarta wrogość wobec Christiny zamieniła się w obojętność i pogardę. Po prostu wyrzuciła Christinę ze świadomości, nigdy się do niej pierwsza nie odzywała, nie licząc szyderczych komentarzy, i sporadycznie odpowiadała na pytania. Poza tym miała zarezerwowane tylko dla niej szczególne spojrzenie: obrzucała ją wzrokiem i mrugała powiekami. „Glista - mówiły jej oczy - niech ci się przypadkiem nie zdaje, że cię nie widzę!”

Christina dobrze jednak wiedziała, co Birgitta wyprawia. Margareta nie potrafiła utrzymać języka za zębami. Kiedy codziennie rano szły do szkoły, opowiadała Christinie o wszystkim, z czego zwierzała jej się Birgitta. Początkowo chichotała, z błyskiem w oczach szepcząc imię chłopaka, który zdjął Birgittie stanik, i przezwisko innego, który włożył jej rękę w majtki, ale później, z upływem miesięcy, jej chichot był coraz bardziej nienaturalny, aż w końcu zniknął raz na zawsze. Było to pewnego dnia rano, kiedy weszła do budki telefonicznej i pokazała Christinie nabazgraną w środku rymowankę. Christina poprawiła okulary i głośno przeczytała pierwszą linijkę:

- „Gdyby się Birgittą było...”

- Cicho! - przerwała jej Margareta i zakryła usta dłonią.

Christina wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami. To całkiem oczywiste, że zamilkłaby w tej samej sekundzie, w której zdałaby sobie sprawę, co tam jest dalej napisane. Jak Margareta mogła przypuszczać, że takie ohydne słowa przejdą jej przez usta?

Drżącą ręką zaczęła szukać w torbie piórnika, wyjęła swój najładniejszy długopis - ten, którego używała wyłącznie do przepisywania wypracowań na czysto - i zamazała rymowankę. Napisał ją jakiś idiota, nie miał pojęcia o ortografii!

Margareta rozplakała się. Oparta o budkę telefoniczną, łkała jak dziecko. Potem powoli osunęła się na ziemię. Mówiła niewyraźnie, ale nie mogła już dłużej milczeć, teraz musiała powiedzieć najgorsze.

- W szkole mówią, że w sobotę spała z trzema chłopakami... A jak ją spytałam, czy to prawda, to powiedziała, że nie pamięta, bo była pijana. I śmiała się!

Christinę zdjęła panika. Przycisnęła długopis do ściany i przekreśliła bazgroły jeszcze jedną kreską, chociaż wiedziała, że to nie ma sensu. Tych słów nigdy się nie usunie. Przenigdy.

Poraziła ją ta myśl i zapadła w jej świadomość jak kamień. Od początku wiedziała, że kiedyś do tego dojdzie. I doszło.

Do katastrofy.

Helena stoi w korytarzu, kiedy Christina wypuszcza czwartego pacjenta.

- Co z Hubertssonem? - pyta przyciszonym głosem.

- W porządku - równie cicho odpowiada Helena. - Właśnie byłam po kanapki. Dla ciebie też kupiłam... Chodź!

Christina rzuca okiem na wiszącą przy drzwiach skrzynkę z kartami choroby pacjentów. W poczekalni siedzą dwie osoby.

- Zdążę?

- Jasne. Musisz coś zjeść... Chodź.

Hubertsson usiadł za biurkiem, ale odwrócił się do niego plecami. Christina nigdy przedtem nie zwracała uwagi na monitor, dopiero teraz widzi, że są na nim tysiące gwiazd. Unosi brwi. Kerstin Pierwsza może rna rację, nazywając tę pacjentkę jego ulubienicą.

- Zajrzałam do Desiree Johansson - mówi tytułem próby.

Ale Hubertsson nie reaguje, zaprzęta go torebka, którą przyniosła Helena. Kanapka z szynką chyba mu odpowiada, ale na wodę mineralną się krzywi.

- Nie mogłaś kupić piwa? - pyta.

Helena uśmiecha się do niego pobłaźliwie, jak do małego upartego chłopca.

- Nie, na jakiś czas koniec z piwem.

- A nie mógłbym przynajmniej dostać kawy?

- Właśnie miałam zrobić - mówi Helena i radośnie uśmiechnięta wychodzi.

Christina wbija zęby w kanapkę, żeby powstrzymać grymas. Tysiące razy widywała pielęgniarki rozpieszczające lekarzy i za każdym razem ogarniała ją bezsilna irytacja. Chociaż jeśli chodzi o Helenę, ma dużo mniej do tego powodów. Helena nie odmawia jak inne przynoszenia kart choroby i wyników badań kobietom lekarzom i nie uwija się jak w ukropie, dogadzając lekarzom rodzaju męskiego. Ale wobec Hubertssona zachowuje się wręcz śmiesznie.

Hubertsson wydaje się traktować usłużność Heleny jak coś absolutnie oczywistego. Zadowolony, odchyła się na krześle i pociąga łyk wody mineralnej.

- Jak się czujesz? - pyta Christina.

Hubertsson wykrzywia się w uśmiechu i odstawia butelkę.

- Świetnie. Jak siedemnastolatek.

- Jeśli już, to mocno podupadły siedemnastolatek...

Hubertsson szczyrzy zęby i zmienia temat.

- Podobno dzwoniła Margareta i prosiła, żeby mnie szczególnie pozdrowić. Jak długo zostanie w mieście?

Christina wypija łyk ze swojej butelki, żeby nie odpowiadać od razu. W ostatnich miesiącach Hubertsson jest nieznośny, przy każdej okazji próbuje sprowadzić rozmowę na temat Margarety, Birgitty i Cioci Ellen. Robi to celowo, wie, że ją to denerwuje.

- Już jej nie ma, była tylko przejazdem - kwituje krótko. - Jak już mówiłam, zajrzałam do twojej pacjentki, Desiree Johansson. Kerstin Pierwsza zaaplikowała jej cztery dziesięciomiligramowe dawki stesolidu...

Ale Hubertsson jej nie słyszy, siedzi nieruchomo i patrzy w okno. Christina śledzi jego spojrzenie. Na parapecie przycupnął ptak. To mewa. Wpatruje się w Hubertssona, po czym eleganckim ruchem wysuwa jedną nogę przed drugą, pochyla głowę i bardzo wolno rozkłada skrzydła. Są ogromne, przesłaniają niemal połowę okna. To wygląda jak ukłon. A nawet więcej, jak rewerencja.

- No nie... - zaczyna Christina.

Jej głos wydaje się przenikać przez szybę, bo mewa wzdryga się i odlatuje. Christina podchodzi do okna i patrzy na ptaka, który krąży teraz nad parkingiem.

- Dziwne - mówi. - A wczoraj... Czy mewy nie są ptakami wędrownymi?

- Nie wszystkie - odpowiada Helena, stawiając tacę z kawą na biurku Hubertssona. - Niektóre zimują. Bo co?

Christina zerka na Hubertssona, już nie siedzi nieruchomo, okręca się na krześle i sięga po kawę.

- Na parapecie była mewa i dziwnie się zachowywała. A wczoraj znaleźliśmy martwą mewę w ogrodzie...

Hubertsson zamiera z filiżanką w ręku.

- Naprawdę?

- Mmm. Skręciła kark. Erik mówi, że wleciała na ścianę.

Helena śmieje się.

- Może to jakieś zbiorowe szaleństwo. Trzeba by zawiadomić ornitologów.

Helena nie widzi zastygłej w grymasie niedowierzania twarzy Hubertssona. Ale Christina widzi. Zdumiewające, jak bardzo jej przypomina Ciocię Ellen. Tak właśnie wyglądała, kiedy Christina po kilku dniach wahania powiedziała, co wie o Birgicie. Jej twarz była równie szara, kiedy dzień później leżała na podłodze w dużym pokoju i nie mogła się ruszyć ani odezwać.

„Dziewczętami zajęła się komisja do spraw opieki nad dziećmi”, napisał Stig Szczupaczy Pysk na kartce, którą przypiął pinezkami do drzwi Hubertssona.

Blade i oniemiałe, stały w hallu Cioci Ellen. Na kuchni ciągle pichciły się gołąbki, rozsiewając miły zapach, stół był już nakryty do kolacji, ale nikomu nie przyszło do głowy, żeby go uprzątnąć i schować gołąbki do lodówki.

- Macie wszystko, czego wam trzeba? - służbowo spytał Stig. - Szczoteczki do zębów? Koszule nocne? Książki?

Milczały. Margareta skinęła głową.

Na dworze padał pierwszy tej zimy śnieg, siwy zmierzch zamienił ogród w czarno-białą fotografię.

- Na razie będziecie u mnie - powiedział Stig, zamykając drzwi wejściowe. - Zostaniecie przez kilka dni, dopóki się nie dowiemy, jak to długo potrwa.

Bitte pościeliła im w bawialni, w ciemnym małym pokoju w piwnicy nowo wybudowanej willi. Stig położył tam tapety w zielone wodorosty, a Bitte ozdobiła ściany niebieskimi talerzykami z Rörstrandu. Z niepokojem spojrzała na Birgittę, która zamasyżuje zdjęła sweter, i powiedziała:

- Kolekcjonerskie talerze są bardzo drogie. Gdybyście mogły o tym pamiętać...

Przy kuchennym stole było ciasno. Nastoletni chłopcy Bitte - bo to byli praktycznie tylko jej chłopcy - zajmowali dużo miejsca, zwłaszcza ich ogromne ręce i długie nogi. Christina i Margareta tłoczyły się u szczytu stołu, Birgitta i Bitte naprzeciwko.

- Zabrali ją do Linkópingu? - zaniepokoiła się Bitte, przełykając mleko. - To znaczy, że źle z nią.

- Nieee - zaprzeczył Stig i spojrzał na Christinę. - Niekoniecznie. W Linkópingu są najlepsi lekarze. Specjaliści. Postawią ją na nogi dużo szybciej niż ci z Motali.

Bitte pokręciła głową.

- A wylew...

Stig energicznie odstawił szklankę mleka.

- Jeszcze nie wiemy, czy to był wylew.

- Ale Hubertsson mówił...

- Hubertsson! - pogardliwie prychnął Stig i wytarł usta dłonią.

Trzy tygodnie później, w niedzielę, otworzył drzwi swojego nowego volvo amazona i kazał się dziewczynom pospieszyć. Christina usiadła z tyłu, z dużym hibiskusem Cioci Ellen na kolanach. Kiedy po tygodniu poszła do domu Cioci Ellen żeby posprzątać i podlać kwiaty, był suchy i stracił połowę liści. Teraz się jakoś pobierał i wypuścił nawet trzy pąki. Christina chciała, żeby Ciocia Ellen je zobaczyła. Margareta usiadła obok, przyciskając do piersi ich zdjęcie na wiśni. Birgitta jechała z przodu, z pustymi rękami.

Nie rozmawiały ze sobą. W ostatnich tygodniach prawie nie zamieniły słowa. Margareta milczała rano, kiedy szły razem do szkoły, milczała wieczorem. Nawet nie czytała. Po sumiennym odrobieniu lekcji kładła się na dmuchanym materacu w bawialni i patrzyła, w sufit.

Christina była bardziej aktywna. Po siedmiu dniach zaczęła codziennie jeździć do domu Cioci Ellen, wyjmowała pocztę i sortowała ją, podlewała kwiaty i ścierała kurze. Czasami brała odkurzaczy, nie dlatego, że było to konieczne, po prostu ten dźwięk ją uspokajał. Nie zaglądała do Hubertssona, kładła jego pocztę na najniższym stopniu schodów i bezgłośnie zamykała za sobą drzwi.

Birgitty prawie wcale nie widywała. Wychodziła do fabryki wcześniej rano i nigdy nie wracała na kolację. Ale każdej nocy Christina się budziła, kiedy Birgitta, trzymając w ręku swoje za ciasne buty, schodziła po schodach do bawialni. Może czuła, że chłopcy Bitte wstydzą się jej. Zalotne uśmiechy i łakome spojrzenia zniknęły z ich twarzy w tym samym dniu, w którym kolega Kjelle wyszeptał rytmowaną. Krążyła teraz po całej Motali. Jakby dostała skrzydeł.

Stig obejrzał je od stóp do głów, kiedy wysiadały z samochodu przed szpitalem w Linkópingu. - Gotowe? - spytał jak w wojsku.

Margareta skinęła głową, Christina szepnęła „tak”, a Birgitta zrobiła krok w tył.

- Ja nie chcę - powiedziała.

- Tylko bez wygłupów - skomentował Stig i zamknął samochód.

Birgitta pokręciła głową, aż zatrzęsa się jej szopa włosów.

- Ale ja nie chcę!

Stig chwycił ją za ramię.

- Przestań pleść bzdury! - powiedział ostrzej.

Birgitta uwolniła się jednym szarpnięciem, tak gwałtownie, że wypadła jej spinka przytrzymująca białą grzywkę. Okręciła się i pobięła tak szybko, jak jej na to pozwalała wąska spódnica i buty na obcasie. W połowie parkingu odwróciła się i krzyknęła przeraźliwie:

- Nie chcę! Głuchy jesteś, pieprzony zgredzie!

Stig wzruszył ramionami i włożył kluczyki samochodowe do kieszeni marynarki.

- A niech sobie biegnie. Dziwka.

- Wyglądasz jak pirat - powiedziała Margareta, śmiejąc się przez łzy.

Ciocia Ellen uśmiechnęła się swoim nowym uśmiechem i położyła drżącą lewą dłoń na czarnej łacie zakrywającej jej prawe oko.

- Ona nie może mrugać - wyjaśniła kobieta na sąsiednim łóżku. - Dlatego musi mieć łatę. Żeby oko nie wyschło.

Przez moment Christina miała wrażenie, że to ta sama kobieta, która dziesięć lat wcześniej kręciła się koło jej szpitalnego łóżka. Odwróciła się i popatrzyła na nią wrogo. Kobieta natychmiast wstała i poczłapała do drzwi. Naturalnie nie była to ta sama kobieta, ale dobrze, że sobie poszła. Wystarczy, że gapily się na nich cztery inne pacjentki.

Ciocia Ellen ciągle nie mogła mówić. Kiedy próbowała, na wargach pojawiała się spieniona ślina. Ale Christina i Margareta ją rozumiały. Margareta usiadła na skraju łóżka i położyła dłoń Cioci Ellen na swoim policzku. Christina uklękła i położyła głowę na poduszce.

Żadna z nich nic nie powiedziała. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Tego samego dnia wieczorem zebrali się w salonie Stiga. Stig stał przy stole z podwiniętymi rękawami, dziewczęta siedziały na nowej kwiecistej kanapie, Christina z lewej, Birgitta z prawej, Margareta - jak amortyzator - pośrodku. Stig nie miał odwagi na nie spojrzeć, nie odrywał oczu od papierów komisji do spraw opieki nad dziećmi, które leżały w trzech białych kupkach na stole, i szukał w kieszonce na piersiach papierosów i zapalniczki. Wyjęcie z paczki papierosa i zapalenie go zajęło mu wieczność.

- No tak - zaczął i wydmuchał chmurę dymu. - Teraz, kiedy ją widziałyście, chyba same rozumiecie... - Zrobił krótką pauzę, ciągle patrząc w stół. - Komisja załatwiła małą jedynekę dla Birgitty i nową rodzinę zastępczą dla Margarety. A Christina przeprowadzi się do swojej mamy do Norrkópingu.

KILKA GODZIN PÓŹNIEJ, kiedy białe przedwiośnie otula się różowym jedwabiem popołu-

dnia, Christina widzi Hubertssona. Maszeruje przez parking w starym palcie, z teczką w ręku. A więc idzie do domu, bo ilekroć odwiedza swoich pacjentów w szpitalu, nigdy nie wkłada wierzchniego ubrania. Helena pewnie go przekonała. Nie kieruje się jednak w stronę swojego starego volvo...

Christina patrzy na zegarek, ciągle ma duże spóźnienie, mimo że uwija się jak w ukropie. Następny pacjent urodził się w 1958 roku. Dobrze. Mężczyźni w tym wieku nie bywają zanadto gadatliwi.

Już ma się podnieść i poprosić go z poczekalni do gabinetu, kiedy raz jeszcze patrzy wokno. Hubertsson się zatrzymał. Stoi twarzą do przychodni i najwyraźniej z kimś rozmawia. Christina uśmiecha się. Pewnie Helena nie spuszczała go z oczu i teraz go strofuje, że nie idzie od razu do samochodu...

Ale Hubertsson nie lubi być strofowany, marszczy krzaczaste brwi, coś mówi, po czym ze złością się odwraca i rusza w kierunku szpitala. Christina słyszy trzask zamykanego okna w pokoju pielęgniarek. Hubertsson też słyszy i macha teczką na pożegnanie.

Widziała już ten gest. Trzydzieści lat temu.

Było to pewnego sobotniego popołudnia, kiedy we wszystkich szwedzkich miastach zalega cisza, kiedy sklepy są pozamykane i ludzie siedzą w domach. Nad Norrkópingiem zapadał wilgotny zmierzch, w czarnych domach zapalały się światła, uliczne latarnie wieńczyły aureole.

Christina zamknęła za sobą drzwi i stojąc na schodach, powoli wkładała rękawice. Nie spieszyła się. Nigdy się nie spieszyła do domu po swojej dorywczej, weekendowej pracy w szpitalu.

Między rękawem budrysówki a rękawiczką była przerwa. Przez ostatni rok, kiedy mieszkała w Norrkópingu, urosła kilka centymetrów i większość ubrań była przyciasna i zniszczona. Najgorzej było z bielizną. Przebijając się na gimnastyce chowała się za drzwiami, żeby nikt nie zobaczył jej dziurawych majtek i zszarzałego ze starości biustonosza.

Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby poprosić Astrid o pieniądze, co miesiąc odkładała z pensji dwadzieścia koron, dwa szare banknoty, które wsuwała za obwolutę podręcznika do matematyki. Dużo czasu upłynie, zanim uszłada na nową budrysówkę. Chociaż może to i dobrze. Nie wiadomo, jak zareagowałaby Astrid, widząc nagle w przedpokoju nowe ubranie. Tymczasem Christina musi podciągać rękawice albo głęboko wsuwać ręce do kieszeni. Ale stanik może kupić już w przyszłym tygodniu. I kilka par majtek. Tego Astrid nie zobaczy.

Podniosła kaptur, żeby osłonić włosy przed deszczem, i ze spuszczoną głową ruszyła po lśniącym asfalcie dziedzińca ku Sódra Promenaden. Na przystanek podjechał tramwaj, przez moment zastanawiała się, czy nie pozwolić sobie na kupno biletu. Nie. Był za drogi, a podróż zbyt krótka. Spacerem będzie w domu dopiero za godzinę.

I wtedy go zobaczyła. Nie od razu zdała sobie sprawę, co widzi, przez chwilę świat lekko się odsunął na bok, jakby dostał szturchańca, a potem przepeliła ją radość. To on! To naprawdę on wysiadł z tramwaju przed szpitalem w Norrkópingu! - Hubertsson! - zawołała. - Hubertsson!

Prześliznął się po niej spojrzeniem, wydawało mu się, że się przesłyszał, i zamierzał iść dalej. Christinę ogarnęła panika, bez chwili wahania dogoniła go i złapała za ramię. - Nie poznajesz mnie? To ja. Christina!

Cofnął się o krok i patrzył na nią.

- Tak, rzeczywiście. To ty.

- Co u Cioci Ellen? - wydukała.

Lekko się skrzywił.

- Bez zmian.

- Czy dostała moje listy?

- Tak.

- Czy zostanie w twoim szpitalu?

- To nie jest mój szpital. Ale chyba tak.

- Czy można ją odwiedzić?

- Oczywiście, że można. A co u ciebie?

Christina wzruszyła ramionami.

- Aha - powiedział Hubertsson. - Aha.

Przez moment milczał, potem odchrząknął i zniecierpliwiony, uniósł ramiona.

- Spieszę się, umówiłem się z kolegą... Wszystkiego dobrego.

Christina kiwnęła głową, radość ją opuściła, stała bez ruchu, rozczarowana. Jakby Hubertsson swoją obojętnością zerwał ostatnią nić łączącą ją z przeszłością. Ale może uda się ją zawiązać. Gdyby na przykład zrezygnowała z bielizny. Ta myśl ją ożywiła.

- Hubertsson! - zawołała głośno. Odwrócił się i zrobił kilka kroków w tył.

- Ile kosztuje pociąg do Ydsteny? - spytała.

- Trzydzieści dwie korony!

Okręcił się i pomachał jej teczką na pożegnanie.

I tyle. Jakby nie istniała.

Chociaż nie było to nic nowego. Odkąd przyjechała do Norrkópingu, nikt jej nie dostrzegł, chyba że ktoś na nią przypadkiem wpadł. Jakby się stała szklaną figurką. Nie licząc nauczycieli, rozmawiała tylko z trzema osobami: Astrid, Margaretą i siostrą Elsie.

Siostra Elsie chyba ją nawet lubiła. W soboty przed południem, w przerwach na kawę, zawsze wypytywała ją o wyniki ostatnich klasówek i kiedy Christina mogła się pochwalić kolejnym celującym, z zadowolenia tak mocno kiwała głową, że aż się trząsał jej podwójny podbródek.

Nie zawsze jednak była równie zadowolona. Czasami brała Christinę pod brodę i patrzyła jej w twarz. Czy na pewno dobrze się odżywia? Czy śpi dostatecznie długo? Zdrowa nastolatka powinna mieć różowe policzki, a nie sińce pod oczami. Oczywiście bardzo jest dzielna, że uczy się i pracuje, na pewno matka ma w niej dużą podporę, ale czy naprawdę stać ją na taki wysiłek? Czy nie powinna poświęcić sobót i niedziel na wypoczynek, czy nie powinna trochę pobyć na świeżym powietrzu? Christina zawsze czuła zażenowanie, ilekroć siostra Elsie brała ją pod brodę. Jakby jej biała twarz kłamała. Praca była jej jedynym wyczynkiem. W szpitalu nie musiała się mieć na baczności, wystarczyło dygać i wykonywać polecenia. Ale, rzecz jasna, nie mogła tego powiedzieć.

Tak jak nie mogła powiedzieć, że wypoczywała w towarzystwie siostry Elsie; napięte mięśnie szyi rozluźniały się, kiedy słyszała jej głos i czuła unoszący się wokół jej pulchnego ciała zapach mydła i wody różanej. Pod jasnoniebieskim fartuchem nosiła gorset, była łagodna i opanowana. Christina chciała być taka jak ona, tymczasem z każdym dniem coraz bardziej się upodobiła do lodowych rzeźb, twardych z wierzchu, brejowatych i płynnych w środku.

Czasami fantazjowała, że siostra Elsie zaproponuje jej wspólne mieszkanie w szeregowcu na obrzeżach Sódra Promenaden. Christina miałaby tam swój pokój wyłożony różanymi tapetami. Co wieczór odrabiałaby lekcje przy brązowym sekretarzyku z XIX wieku, siostra Elsie parzyłaby w kuchni herbatę, a potem siedziałyby w saloniku i słuchały słuchowiska... Ale oczywiście siostra Elsie nigdy jej tego nie zaproponowała. Christina mieszkała przecież z mamą i miała z nią mieszkać nadal. Wszystkie dziewczęta z gimnazjum mieszkały ze swoimi rodzicami.

Pewnego dnia dostrzegła niesmak na twarzy siostry Elsie, kiedy inne pielęgniarki mówiły o Hageby, i od tamtej pory bardzo dokładnie oglądała kauczukowe podeszwy swoich butów, zanim weszła na teren szpitala. Nie mogło na nich być śladu gliny. Bo po upapranych gliną butach można było poznać mieszkańców najnowszego osiedla w Norrkópingu. Mimo że od wprowadzenia się pierwszych lokatorów minął rok, ciągle był tam jeden wielki plac budowy.

Astrid była jednym z pierwszych lokatorów. Czekala na mieszkanie wiele lat, aż w końcu dostała swoją dwójkę na najwyższym piętrze szarego betonowego wieżowca. Po roku wciąż wychwalała nowe lokum i przeklinała rudere, którą opuściła. Christina wystrzegala się powiedzenia czegokolwiek, co Astrid mogłaby uznać za krytykę mieszkania lub gli niastego otoczenia, a kiedy była poza domem, równie starannie wystrzegala się podawania swojego adresu. Na razie takie ryzyko nie istniało, nikt jej nie pytał, gdzie mieszka.

W klasie nie miała przyjaciół, co było całkiem naturalne. Wszyscy znali się od lat, a ona była nowa. Poza tym nie bardzo miała siłę szukać przyjaciół. Na przerwach wychodziła na boisko z książką i gdzieś na uboczu przygotowywała się do następnej lekcji. Widywała tam inne, równie blade dziewczęta, ale rozmawianie z nimi było ponad jej siły.

Margaretą zjawiała się po pierwszych feriach zimowych. Christina nawet nie zdążyła się zdi-

wić, kiedy rzuciła się na nią na boisku i zalała potokiem słów. Czy Christina wie, że Ciocia Ellen jest w szpitalu Hubertssona w Yadstenie? Margareta była u niej na tydzień przed wprowadzeniem się do nowej rodziny zastępczej w Norrkópingu. Teraz jest jedynaczką. Ma swój pokój i mnóstwo ciuchów. Czy Christina mogłaby ją któregoś dnia odwiedzić? Christina nie odpowiedziała, bo akurat zabrzmiał dzwonek na lekcję, a kiedy zobaczyła ją następnym razem, Margareta stała w palarni i flirtowała ze starszymi chłopcami. Nie ponowiła już zaproszenia i natykając się na siebie w korytarzu, zamieniały jedynie parę słów. Nie miały sobie dużo do powiedzenia. Może dlatego, że Christina wołała o wielu sprawach milczeć, może dlatego, że Margaretę zbyt zaprzętało przeobrażanie się w idealną nastolatkę. Już po miesiącu wyglądała jak z najnowszego numeru „Bild-Journalen”. Aż się nie chciało wierzyć, że niespełna rok temu pozwalała z siebie robić panienkę raggare. Teraz czesała się na pazia i miała szalik do kolan. Christina była niczym. Pomijając, rzecz jasna, to, że była kujonem.

W pierwszych tygodniach pobytu u Astrid Christina podjęła trzy zobowiązania. Po pierwsze - bez względu na cenę zda maturę, po drugie - nie będzie myśleć o tym, co było, i po trzecie - nie będzie płakać.

Trzecie zobowiązanie, które wynikało z dwóch poprzednich, było najtrudniejsze. Czasami miała wrażenie, że jest jak pies Pawłowa, o czym uczyła się w szkole. Nie odczuwała smutku, najczęściej nic nie czuła, a mimo to każdego popołudnia, kiedy otwierała drzwi mieszkania Astrid, jej oczy wypełniały się łzami. Jakby miała w sobie maszynkę do płaczu. Zamykała drzwi, jej ciałem wstrząsał płacz, z oczu płynęły łzy, usta wydawały jakiś nieartykułowany ryk. Na próżno próbowała się oszukiwać, porządnie wieszając budrysówkę, i tak miała uczucie, że stoi obok siebie i patrzy na własne dłonie, które wypuszczają budrysówkę. Spokojnie i z opanowaniem pochylała się i podnosiła ją z podłogi, podczas gdy usta bez przerwy płakały i jęczały, wyły i wrzeszczały.

- Dlaczego się odzywałaś? - biadoliła maszynka do płaczu. - Dlaczego nie siedziałaś cicho?

I co miała odpowiedzieć? Nic. To, co się stało, to się nie odstanie.

Płacz zniknął równie nagle i niewytłumaczalnie, jak się pojawiał, maszynka się zacięła i milkła. Pochlipując, brała głęboki oddech i patrzyła na zegarek. Maszynka była punktualna jak zwykle. Za dwadzieścia minut miała przyjść Astrid. Spłukiwała twarz zimną wodą i zabierała się do obierania kartofli. Kiedy jedna brązowa bulwa za drugą białeły w jej dłoniach, przysięgała sobie, że nie będzie płakać. To absolutna konieczność, równie logiczna jak liczby w matematyce. Bo jeśli nie przestanie płakać, nie zdąży porządnie odrobić lekcji, a jeśli nie odrobi lekcji, będzie miała gorsze oceny, a jeśli będzie miała gorsze oceny, Astrid zmusi ją do przerywania nauki i kto wie, czy nie każe jej pracować w fabryce włókienniczej.

Wszystko, tylko nie to.

W miesiąc po jej przyjeździe do Norrkópingu, na okres ferii zimowych, Astrid załatwiła jej pracę w fabryce. Uważała, że to zaszczyt. Tylko dlatego, że była tak ceniona przez brygadzystów i kolegów, jej córka mogła dostać pożądaną przez wielu rodzinę. W dodatku w tkalni.

Fabryka była całym światem Astrid. Codziennie po powrocie z pracy siadała ciężko na krześle w kuchni i rozcierając opuchnięte stopy, opowiadała ze szczegółami, co się wydarzyło. Te nabzdyczone pindy od wkładania szpulek żądały dwudziestu pięciu óre więcej od tkaczek. Fiński kretyń z magazynu przędzy zmiądzzył sobie nogę drzwiami, dobrze mu tak, oferma! Birgit zostanie babcią, chociaż ma dopiero trzydzieści cztery lata. Ale to wcale nie jest dziwne, bo i ona, i córka zawsze się puszczały, Maud i Monkan mówią to samo...

Maud i Birgit, Monkan i Barbro... Imiona wlatywały i wylatywały, Christina nie wiedziała, kto jest kto, ale na podstawie opowieści Astrid dosyć szybko wyrobiła sobie zdanie o fabryce. Była najnowocześniejsza w całej Szwecji. Czyli powinna błyszczeć stalą, na lśniącym parkiecie powinny stać supernowoczesne, w pełni zautomatyzowane maszyny, dzięki czemu ogromne hale powinny ziać pustką.

Rzeczywistość okazała się bolesna. Kiedy brygadzista otworzył drzwi do tkalni, gdzie Christina miała sprzątać, poczuła się tak, jakby ktoś uderzył ją w twarz, jakby oberwała po uszach. W środku było ciemno i brzydko! Straszły jasnozielone maszyny, zniszczony parkiet wyglądał jak po nalocie. Ale najgorszy był hałas. Głuchy pomruk, który słyszała zaraz po przekroczeniu bramy fabryki, w tkalni

zamieniał się w ryk przypominający wycie wściekłej bestii albo wrzask szaleńca. Oszłomił ją i poraził. Kierat, pomyślała, i to była jej ostatnia myśl. Jak w kieracie...

Dlatego przed wakacjami drżącą ręką wykręciła numer do działu kadr w szpitalu. Kilka prostych pytań - i załatwione. Była mile widziana następnego dnia po zakończeniu roku szkolnego albo nawet tego samego. Potrzebowali salowych.

Do tej pory między nią a Astrid panowało coś w rodzaju zawieszenia broni. Christina wprowadziła się pewnej niedzieli, Astrid przyjęła ją kawą, drożdżówką i niepewnym uśmiechem, ale kilka godzin później jej głos stał się ostrzejszy. Kiedy przyszła pora na rozłożenie kanapy w dużym pokoju, Christina pospieszyła z zapewnieniem, że sama się tym zajmie, że to żaden problem. Zanim zaczęła, otworzyła na oścież drzwi balkonowe, stanęła w nich i głęboko oddychała, oczyszczając płuca z papierosowego dymu. Tliła się w niej nadzieja. Może to nie będzie takie straszne, może Stig Szczupaczy Pysk miał rację, kiedy widząc jej lęk, zmarszczył czoło i powiedział, że jest pełna uprzedzeń. A potem wygłosił kazanie. Czy Christina nie wie, że psychicznie chorzy stanowczo za długo byli traktowani jak ludzie marginesu? Ale teraz jest inaczej, takie choroby nie są już nieuleczalne ani wstydliwe, można je skutecznie zwalczać, inne jest również nastawienie społeczne. Poza tym mama Christiny stanowi znakomity przykład zmian na lepsze, jakie się w ostatnim czasie dokonały. Jest mianowicie zupełnie zdrowa i w pełni zdolna do opieki nad córką i do jej utrzymania. Christina nie ma powodu do obaw. To, co się stało w kuchni Cioci Ellen, kiedy Christina miała jedenaście lat, było wynikiem choroby, która dawno została wyleczona. To się już nigdy nie powtórzy, Stig Szczupaczy Pysk daje na to stu-procentową gwarancję.

Christina rozłożyła kanapę, wyjątkowo brzydką, brudnobrazową i ciężką jak czołg. Wszystkie meble w pokoju były ciężkie i brudnobrazowe. Poza tym Astrid chyba nie lubiła kątów prostych. Nigdzie nie było widać spotykających się ścian, meble stały w poprzek i zasłaniały je, jak jakąś wstydliwą tajemnicę. Na tekowej półce przy drzwiach balkonowych zebrała się gruba warstwa kurzu... Jutro, kiedy wróci ze szkoły, poodkurza, może wtedy Astrid nieco złagodnieje.

Kładąc prześcieradło, usłyszała, że Astrid wychodzi z łazienki. Pewnie musnął ją podmuch chłodnego wieczornego powietrza, bo w sekundę później - w staniku i w majtkach - stanęła w drzwiach pokoju.

- Co ty, do cholery, wyprawiasz? - warknęła, wpatrując się w Christinę.

Christina mocniej ścisnęła prześcieradło.

- Ściele.

- Nie zalewaj. Po co otworzyłaś drzwi na balkon?

- Żeby wywietrzyć...

- Co wywietrzyć? Jest zima, wyziębisz całe mieszkanie.

Astrid podeszła do drzwi, zamknęła je z hukiem i opuściła żaluzje. Odwróciła się do Christiny, mrużąc powieki.

- Czy jesteś z tych, co to lubią się obnażać? - spytała stłumionym głosem.

Christina błędziła spojrzeniem, kolana chciały się pod nią ugiąć, ale je powstrzymała.

- Jasne, że tak. - Astrid wyszczerzyła zęby w uśmiechu. - Jesteś z tych, co lubią się rozbierać przy oknie i pokazywać cycki pierwszemu lepszemu staruchowi, jaki się napatoczy...

Christina otworzyła usta, żeby wyjaśnić, że ciągle jest ubrana, że opuściłaby żaluzje zaraz po pościeleniu kanapy i że nikt nie mógł zajrzeć do mieszkania na dwunastym piętrze, ale nie wydobyła z siebie ani słowa. Jej ciało podjęło decyzję. Słowa nic by tu nie dały.

- Przestań się gapić - powiedziała Astrid. - Kładź się. I zapamiętaj, że ja nie toleruję żadnych kurewskich fasonów. Jak chcesz u mnie mieszkać, to musisz się zachowywać po ludzku.

Mimo to przez pierwsze miesiące Astrid zachowywała się w miarę normalnie, może tylko była odrobinę nieprzewidywalna. Wstawała rano na dźwięk budzika, parzyła kawę, myła się, budziła Christinę i robiła śniadanie. Wieczorami siadała przed telewizorem w dużym pokoju, a Christina odrabiała lekcje w kuchni. Czasami wydawała jej polecenia. Chciała kawy, wody do wymoczenia nóg albo papierosów i Christina pędem przynosiła dzbanek, plastikową miskę z wodą albo leciała do kiosku. Ale nigdy nie zostawała w dużym pokoju. Zaspokoiwszy życzenie Astrid, mruzczała coś o lekcjach i wypra-

cowaniach i wracała do kuchni.

Dłuższe rozmowy z Astrid były nieco ryzykowne. Nigdy nie wiedziała, które słowo lub temat rozpali jej oczy chłodnym błyskiem, który niechybnie zmusi Christinę do spuszczenia wzroku i zamilknięcia. Nie mogło się jej na przykład wypsnąć słowo „idiotyczny”, nawet gdyby jeden z nauczycieli, którymi Astrid gardziła, rzeczywiście zrobił coś idiotycznego. Nie mogła też napomknąć o Cioci Ellen ani o Motali, nie mogła pytać o prywatne życie Astrid ani o tego mężczyznę, który zrobił jej dziecko. Poza tym absolutnie nie wchodziły w grę rozmowy o lekach, pożarach i małych dzieciach.

Zachowanie milczenia wcale nie było takie trudne. Znacznie trudniej było utwierdzić Astrid w przeświadczeniu, że nie jest krytykowana. Jeśli w jej obecności Christina zbyt często odkurzała albo opróżniała popielniczki, nie wytrzymała. Raz wyrzuciła pety i fusy po kawie na dywan, innym razem wepchnęła jej w usta swoje majtki, bo Christina miała czelność podnieść je z podłogi w przedpokoju. Ale to były wyjątki. Najczęściej tylko się piekliła. Wystarczyło jednak, żeby się głośniej odezwała, a Christina natychmiast bledła i wypuszczała z rąk ścierkę albo rurę odkurzacza. Zawieszenie broni skończyło się, kiedy Christina odważyła się wreszcie powiedzieć, że sama sobie załatwiła pracę. Nie w fabryce.

Pierwsza awantura trwała dłużej niż zwykle. No tak, wybierając szpital, Christina wzgardziła fabryką, ale Astrid potrafiła się zrewanżować. Z nawiązką. Krążyła po pokoju, paliła jednego papierosa za drugim i mówiła. Praca w szpitalu to zajęcie dla pańienek i Christina jest taką pańienką... Rozpieszczoną i cholernie nadętą. Ale niech sobie zapamięta, że żarcie i mieszkanie kosztuje. Dlatego musi za siebie płacić tyle samo, ile płaciła podczas ferii, niezależnie od tego, ile zarobi za wynoszenie nocników. Astrid bynajmniej nie stać na spełnianie jej wydumanych zachcianek. W odróżnieniu od tej tam Ellen, jej nikt nie daje pieniędzy za opiekę nad Christiną. Jeśli Christinie to nie w smak, to fora ze dwóra. Ona, Astrid, od czternastego roku życia utrzymywała się sama, Christiną skończyła szkołę realną, na co Astrid nigdy nie mogła sobie pozwolić, mimo że była najlepsza w klasie, ba, najlepsza w całej szkole. Christina i tak nie zda matury, to jakieś idiotyczne fanaberie, które wbiła jej do głowy ta pieprzona Ellen, podobnie jak naopowiadała jej mnóstwo kłamstw o Astrid. Czy Christina jest tak cholernie głupia, czy Christina myśli, że Astrid nic nie rozumie? Tak, jest głupia. Głupia i leniwa. Bo sto razy wygodniej siedzieć na tyłku w szkolnej ławce, jak jakiś bachor z wyższych sfer, niż wziąć się do uczciwej pracy i przestać żyć na cudzy koszt...

Fiolet nieba za oknem ściemniał. Christina siedziała w dużym pokoju, wyprostowana, ze splecionymi dłońmi, i miała wrażenie, że się w nim zatapia. Stado czarnych ptaków frunęło na zachód, po chwili wszystkie jednocześnie zmieniły kierunek. Kiedy znowu popatrzyła na Astrid, po raz pierwszy nie czuła lęku. Długie kościste ciało nie było podobne do jej ciała, długa szczeka i lekko garbaty nos w niczym nie przypominały jej szczęki i nosa. I zaświtała jej pewna myśl. To nie jest moja matka. Nawet nie jesteśmy ze sobą spokrewnione. To jakieś śmieszne nieporozumienie. Astrid zeszywniała.

- Co się tak gapisz? Czy ty w ogóle słuchasz, co mówię?

Zacisnęła drżące dłonie w pięści i podsunęła Christinie pod nos. W lewym kąciu ust zebrala się ślina.

- Czy słyszałaś chociaż jedno słowo z tego, co powiedziałam? Nie mam zamiaru dłużej cię utrzymywać!

Christiną odsunęła ją na bok i wstała, nagle całkowicie spokojna.

- Ile chcesz?

Zaciśnięte dłonie Astrid otworzyły się i opadły.

- Co?

- Ile chcesz?

- O co ci chodzi?

- Ile mam ci płacić miesięcznie?

Astrid rozdziawiła usta. Christiną dokonała szybkiej kalkulacji, zawsze dobrze liczyła w pamięci.

- Za trzy tygodnie w czasie ferii dostałaś sto dwadzieścia pięć koron. Czyli miesięcznie za jeźdzenie i mieszkanie sto sześćdziesiąt sześć koron. Tyle będę mogła ci płacić w wakacje i jeszcze mi

zostanie dwadzieścia pięć koron. Jesienią dostaniesz na mnie za semestr bezzwrotny dodatek na naukę, czterysta dwadzieścia pięć koron, czyli będę ci dłużna dwieście trzydzieści dziewięć koron za semestr, co daje miesięcznie pięćdziesiąt dziewięć koron i... zaraz... zaraz... i siedemdziesiąt pięć óre. Postaram się, żebyś tyle dostawała.

Christiną wyszła do kuchni, odkręciła kran i wyjęła szklanę z szafki. Co za uczucie! Jej mózg był równie jasny i chłodny jak woda, która leciała do szklanki. Ależ była spragniona, niesamowicie...

Podniosła szklanę do ust i w tym momencie Astrid ją kopnęła. Szklanka wypadła jej z ręki na zielony pasiasty chodnik, potoczyła się na linoleum, zawahała i wturlała pod stół.

- Jedno sobie zapamiętaj - warknęła Astrid, przebierając sinymi palcami, żeby chwycić Christinę za włosy. - Zawsze oddaję, jak ktoś mnie kopie w dupę...

Christiną zamknęła oczy i wyłączyła myśli. To się musiało już kiedyś stać. Bo dlaczego czułaby w ustach smak krwi?

Christina zamyka drzwi za ostatnim w tym dniu pacjentem, gasi górne oświetlenie i siada na krześle. Musi dać odpocząć oczom, są bardzo zmęczone. Całe ciało jest zmęczone długą, nieprzespaną noc przetacza się przez nią jak ogromna fala...

Odchyła się, wyciąga ręce, przygląda się rozczapierzonym palcom w popołudniowym świetle wpadającym przez okno. Są proste i ładne, nic nie wskazuje na to, że były w pięciu miejscach złamane, dwa złamania na lewej dłoni i trzy na prawej, i same się zrosły. Nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki nie znalazła się w Lund. Na zajęciach położyła dłonie pod aparatem rentgenowskim i kiedy klisze zostały pokazane studentom, na sali rozległ się szmer zainteresowania. Nie zdołała się wykręcić od badania gęstości kości, przy czym obstawał docent, ale kiedy wyniki okazały się pozytywne, mogła się uporać z jego pytaniami. Nie miała pojęcia, kiedy i jak doszło do tych złamań. Może się którejs zimy pośliznęła i upadła na dłonie. Aha, złamania powstały przy różnych okazjach? Bardzo dziwne. Ból? Nie, nie pamięta, żeby kiedykolwiek dokuczał jej ból palców...

Na wspomnienie bólu czuje pieczenie w oczach. Palce to był zawsze finałowy numer Astrid. Ze łzami euforii, z pianą na ustach przewracała Christinę na podłogę i przyciskając jej piersi kolanem, siłą prostowała jeden z palców zaciśniętej kurczowo dłoni. Na sekundę w mieszkaniu zalegała cisza, Astrid unosiła głowę i węszyła, a Christina wstrzymywała oddech, próbując zawczasu stłumić krzyk...

Ale nie ostatnim razem, nie w przeddzień matury. Wtedy krzyczała, głośno i przeraźliwie.

- Rób, co chcesz! I tak zostanę lekarzem! Cokolwiek zrobisz!

- Pieprzone, zarozumiałe ścierwo - szepnęła Astrid. - Nabzdyczone gównu! Nie będziesz żadnym lekarzem, wylądujesz w domu wariatów!

Mocniej ścisnęła serdeczny palec i przesunęła w tył. Christinę przeszył ostry, palący ból. Mimo to zdołała wydusić:

- Chciałabyś! Ale to nie jest dziedziczne...

Teraz to się stanie. W następnym momencie. Zacisnęła wargi. Gdyby wydała najmniejszy dźwięk, coś jeszcze mogłoby w niej pęknąć.

Astrid nie wygra. Astrid nigdy nie wygra.

Christina opuszcza dłonie. Już dosyć, nie chce tych wspomnień.

- Tęsknię za domem - mówi półgłosem i uśmiecha się do siebie.

Nie musi tęsknić, do Postindustrialnego Raju nie jest daleko. Wystarczy się tylko podnieść i włożyć pelerynę. Może zostawić samochód na parkingu i zrobić sobie spacer po Yadstene w niebieskim zmroku. A kiedy przyjdzie do domu, rozpali ogień w kaflowym piecu, zarzuci szal na ramiona i usiądzie w fotelu z filiżanką herbaty i z książką. W ciszy będzie mogła myśleć, że świat wokół niej opustoszał, a ona jest tak bezpieczna, jak tylko może być bezpieczny ostatni człowiek na Ziemi...

Tak myśli. Ale nie wstaje i nie wkłada peleryny, siedzi dalej na krześle przy biurku.

I tak będzie siedzieć, dopóki nie zadzwoni telefon.

Uśmiech upośledzony umysłowo

Jedyne, co mamy, to siebie nawzajem

Nawzajem

Nawzajem

Nawzajem

Jesteśmy podwójnym krzykiem.

Lars Forssell

NIE CHCĘ SIĘ OBUDZIĆ. Nie chcę wiedzieć.

Ataki coraz częściej pozbawiają mnie kolejnych umiejętności. Epilepsja jest jak jesienna wichura, a ja jestem samotnym drzewem. Trzęsie mną i szarpie, liść po liściu spada na ziemię. Niedługo zostaną tylko nagie gałęzie.

W zeszłym tygodniu straciłam czucie w prawej stopie. Nie chcę wiedzieć, co straciłam dzisiaj.

Poza tym to nie jesień. Jutro jest wiosenne zrównanie dnia z nocą; pierwszy dzień wiosny i ostatni zimy.

Benandanti odczuwają to jak swędzenie całego ciała. Wiercą się, pracując w swoich nudnych bankach i sklepach, nie myślą o debecie i kredycie, tylko o koprze włoskim i sorgo, błędzą spojrzeniem i nie słyszą, co się do nich mówi. Chcieliby być gdzie indziej, wiedzą, że przedwcześnie umarli już się szykują do nocnej procesji.

Inni - tacy jak Hubertsson i Christina, Margareta i Birgitta - nie mają o tym pojęcia. Większość ludzi w ogóle nie pamięta o wiosennym zrównaniu dnia z nocą, a z tych, którzy pamiętają, mało kto wie, że kiedyś dzień ten świętowano. Co roku, odkąd Tiamat i Marduk byli bogami Babilonii, zima i wiosna toczyły z sobą walkę. U Eskimosów mężczyzna urodzony w zimie walczył z mężczyzną urodzonym w lecie, w Szwecji organizowano turnieje pomiędzy hrabią zimy i hrabią lata, w Niemczech biczowano mężczyzn i zwierzęta gałęziami, na których zawiązały się pierwsze pąki. Ale prawdziwa walka odbywała się w ukryciu. Od wieków podczas wiosennego zrównania dnia z nocą benandanti potykali się potajemnie z czarownicami. Najpierw we Włoszech, później na Dalekiej Północy. Na południu, uzbrojeni w łodygi kopru włoskiego, bili się z czarownicami uzbrojonymi w łodygi sorgo, na północy gałęzie z pąkami krzyżowały się z gałęziami świerczyny. Wszędzie jednak chodziło o to samo, o przyszłe plony. Benandanti bronili ludzi przed głodem.

Ja noszę tajemne znaki czarownic, stigma diaboli; nie umiem płakać. Nigdy nie umiałam. Mimo to - jak dezterter - przyłączam się co roku do benandanti. Ale nie ma to większego znaczenia. Dzisiaj jest krucho z innymi czarownicami, które mogłyby mnie oskarżyć. W ogóle jest krucho z czarownicami. Dlatego święta benandanti zmieniły swój charakter. Obecnie są oni przede wszystkim kimś w rodzaju przodowników chóru podczas odbywających się cztery razy w roku Procesji Zmarłych. Nikt nie zwraca uwagi na czarnego ptaka, który nad nimi krąży i przypomina o głodzie. To nie jest takie dziwne. Benandanti, jak wszyscy im współcześni, zapomnieli o głodzie. Nie wiedzą, że ma długie ręce, że może je wyciągnąć w okresie sytości i porządnie dać się we znaki.

Ale ja wiem. Dlatego przypominam. Dlatego będę przypominać tej nocy.

Ale na razie nie mogę się podnieść. Kerstin Pierwsza wpakowała we mnie tyle stesolidu, że leżę w swoim cieple jak głaz. Serce bije wolno, z każdym uderzeniem drży klatka piersiowa.

W tym samym rytmie drżą myśli, niedługo nie będę mogła ich zatrzymać...

W tym stanie mogę tylko widzieć moje siostry na odległość, nie mogę nimi powodować. Ale nic nie szkodzi, opowieść sama się napędza, toczy się poza moją wolą i intencjami.

Margareta właśnie coś sobie uświadomiła i jest spłoszona. Szczęka zębami przed lustrem w łazience Postindustrialnego Raju i okręca się ręcznikiem kąpielowym. Nie najlepiej jej to wychodzi, niezdarnie przebiera palcami, ręcznik się zsuwa, raz po raz musi się po niego schylać. Jak zwykle się spieszy. Gdyby się porządnie wytarła, mniej by marzła i łatwiej byłoby się jej owinąć. Nie ma jednak czasu, przytrzymuje ręcznik palcami, wypada do hallu i boso zbiega ze schodów, zostawiając po sobie mokre ślady. Christina nie będzie zadowolona, nie lubi takich plam. Ba, nawet się przestraszy. Co prawda będzie sobie wmawiać, że to ślady Margarety, że to logiczne następstwo odwiedzin niechlujnego gościa, ale bez powodzenia. Przez kilka tygodni będzie słyszała ostrzegawczy głos: Uważaj! Może wcale nie jesteś w domu sama, może ktoś albo coś czai się w jakimś zakamarku, ktoś albo coś, co lubi się bawić zapałkami... Biedna Christina! Przez kilka tygodni nie zazna normalnego snu. Ona, która chciała tylko odrobiny spokoju.

Birgitta ma gdzieś spokój. Ledwie wyszła z celi, doprowadziła do łez aspirantkę ze szkoły policyjnej, po kryjomu zadzwoniła z pustego gabinetu i zakradła się do pokoju personelu, gdzie została przyłapaną na kradzieży kawy, czym rozjuszyła dwóch młodych policjantów.

Wywleczona z aresztu, odmawia opuszczenia budynku i wpada do recepcji na parterze. Tam, wymachując rękami, hałaśliwie informuje zmęczone ofiary przestępstw, które czekają na złożenie doniesienia, że komisariat w Norrkópingu niczym się nie różni od pierwszej lepszej piwnicy na gestapo i że ona zamierza oskarżyć co najmniej siedmiu pracowników za bezzasadne stosowanie przemocy.

A jak. Dzisiaj jest w formie. No, może tylko nie najlepiej kojarzy, bo niezbyt fortunnie wybrała sobie audytorium. Ludzie którym właśnie wybito szyby, wyniesiono stereo albo ukradziono samochód, nie są na ogół skłonni do sympatyzowania z wrzaskliwymi kobietami w średnim wieku, których twarz i słownictwo świadczą o tym, że z niejednego pieca chleb jadły. Birgitta nie widzi, że z błyskiem w oku podchodzi do niej z tyłu dwóch wyjątkowo wymuskanych młodych policjantów. Ma się wynosić! Pijanica.

Kerstin Pierwsza mocno uderza mnie w policzek, zmuszając, żebym spojrzała jej w oczy. Lśnią jak kamienie szlachetne.

- No - mówi i zdejmuję plastikowe rękawice. - A teraz zmienimy prześcieradło, łóżko jest mokre, i włożymy suchą koszulę nocną...

- Koszulę, nie zwykłe ubranie? - pyta nieśmiało Ulrika.

- Nie, nie teraz. Dostała tyle stesolidu, że będzie bardzo długo spała...

Nie mam jeszcze odwagi, żeby sprawdzić swoje umiejętności, ale poruszam ustami, dając do zrozumienia, że chcę coś powiedzieć. Kerstin Pierwsza ignoruje to. Może myśli, że znowu zażądam kąpieli. Zamiast podać mi ustnik, jedną ręką głaszcze mnie po czole, a drugą odsuwa komputer. Ustnik na żółtym wężu wisi poza moim zasięgiem. Nic nie powiem, dopóki mi na to nie pozwolą.

Dopiero teraz widzę ściany. Mrugam powiekami. Nie, to nieprawda. To nie może być prawda.

- Patrz - mówi Ulrika. - Zobaczyła anioły...

Kerstin Pierwsza marszczy czoło.

- Nie wolno mówić o pacjentach, trzeba mówić do nich. Słuch bywa do końca nienaganny.

Słyszę doskonale i ona o tym wie. A mimo to krzyczy mi do ucha:

- Widzisz anioły, staruszek?! To anioły Marii! Jesteś w jej pokoju! Prawda, że ładny? I Maria jest taka milutka, na pewno będzie wam dobrze razem... - Podnosi głowę i woła: - Mario, chodź tutaj, przywitaj się z Desiree.

Nie widzę tego, ale słyszę, że Maria jest posłuszna. Kiedy Kerstin Pierwsza wykrzyczała swój zawołany rozkaz, upuszcza na podłogę jakiś metalowy przedmiot, szura krzesłem i pojawia się w polu mojego widzenia. Przez moment wydaje mi się, że ją poznaję, ale natychmiast sobie uświadamiam, że to niemożliwe. Ta Maria ma szare oczy, bez żółtych i brązowych błysków, jakie czaiły się w spojrzeniu Tygryskiej Marii.

- Nie przywitasz się z Desiree? - pyta Kerstin Pierwsza.

- Cześć, Desiree - mówi Maria i błagalnie się uśmiecha.

Przez lata patrzyłam na taki uśmiech. Dobrze go znam. To dla ludzi upośledzonych umysłowo jedyna obrona przed światem. Uśmiech pokutnika, uśmiech żebraka.

W ostatnim okresie Tygrysia Maria uśmiechała się bez przerwy.

Ja wcześniej zrezygnowałam z uśmiechu. Myślałam, że jeśli nie będę się uśmiechać w taki sposób, to świat nie uzna mnie za upośledzoną umysłowo. Po prostu tylko tak wyglądam. Nadzieja okazała się płonna. Już na samym początku ordynator raz na zawsze zawyrokował, że mam tak poważny stopień upośledzenia, że nie warto się nawet do mnie odzywać. I powtarzał tę diagnozę raz w tygodniu, na każdym obchodzie w Zakładzie dla Ułomnych. Miałam prawie dwanaście lat na mojej szafce leżała sterta książek. Ale, jego zdaniem, tylko je przeglądałam. To mechaniczne odruchy, czyste naśladownictwo.

- Grunewald i inni mogą sobie fantazjować, że każdy idiota może zostać profesorem - powiedział i zrobił krótką pauzę.

- Ale czasami fakty mówią same za siebie. Takie dzieci trzeba karmić trzy razy dziennie i myć

dwa razy dziennie, i to wszystko. Nic więcej nie można zrobić.

Stojąca przy nim pielęgniarka oddziałowa kiwała głową i udawała, że notuje. Zawsze udawała. Wszyscy widzieli, że macha piórem w odległości kilku milimetrów od karty choroby, tylko Redelius wydawał się tego nie zauważać. Przeciwnie, ruchy pióra wyraźnie mu schlebiały. Od czasu do czasu przerywał, żeby zdążyła wszystko zanotować.

- Jako szef kliniki - kontynuował wolno i wyraźnie - odpowiadam nie tylko za pacjentów, ale także... - Pauza. - ...za naszych mocodawców, czyli podatników. - Długa pauza. - Należy sobie zdawać sprawę, że lepiej spożytkować nasze podatki na rzecz dzieci i młodzieży, którzy mają przyszłość... - Pauza. - ...niż na stworzenia, które ewentualnie uda się doprowadzić w rozwoju do poziomu szympan-
sa... - Znowu pauza. - Jak to tutaj.

I tyle. Potem podszedł do Tygrysię Marii, która leżała na baczność na sąsiednim łóżku. Miała wtedy trzynaście lat i co nieco zaczynała rozumieć. Tego dnia była przywiązana. Redelius popatrzył na rzemienie.

- Czy Maria była niegrzeczna?

Pielęgniarka oddziałowa przycisnęła kartę choroby do piersi.

- Próbowała uciec.

Redelius pokręcił głową, jakby go ogarnął wielki smutek.

- Maria! Maria! Maria! Coś ty zrobiła?

Tygrysia Maria wybuchnęła płaczem. Wyła jak małe dziecko, w jednej chwili była mokra, po policzkach płynęły łzy, czoło zrosił pot, na brodzie błyszczała ślina. Chciałam wyjaśnić, że Tygrysia Maria nie miała zamiaru uciekać. Mama przysłała jej na urodziny pięciokoronowy banknot i Tygrysia Maria wybierała się do kiosku, żeby nam wszystkim kupić słodczyce. Zapomniała, że nie można wychodzić bez pytania, ale czy zapominanie nie jest rzeczą ludzką? Zwłaszcza kiedy się ma trzynaście lat, zespół Downa i zaburzenia pamięci spowodowane setkami napadów epilepsji. Poza tym Maria nigdy by nie uciekła, z kalekim biodrem była w stanie przejść, nie odpoczywając, nie więcej niż paręset metrów. Nie wiedzieli o tym? Zapomnieli? Chciałam wyjaśnić, ale nie wyjaśniłam, bo przeszkodziły mi silne spazmy. Można mnie było jako tako zrozumieć tylko wtedy, kiedy byłam absolutnie spokojna, i jeśli osoba słuchająca mogła mi poświęcić trochę czasu. Wydobyłam z siebie jedynie kilka nieartykułowanych dźwięków i spienioną ślinę. Redelius nie zauważył spazmów, patrzył na Tygrysię Marię i głęboko westchnął.

- Kiedy to się stało?

Pielęgniarka oddziałowa opuściła pióro.

- Wczoraj - odparła z powagą.

- I co zdecydowałyście wspólnie z kierowniczką?

- Trzy dni w łóżku i dwa w pokoju.

Redelius skinął głową.

- Słyszysz, Mario? Reguły są po to, żeby ich przestrzegać. Mam nadzieję, że czegoś cię to nauczy.

- Ta-ak! - zaszlochała Tygrysia Maria i uśmiechnęła się przez łzy żebraczym uśmiechem. - Nauczy, na pewno na-au-czy..

Zamknęłam oczy, potwornie rozeźlona na Tygrysię Marię.

Byłyśmy cztery na sali: Tygrysia Maria, ja, Elsegerd i Agneta. Miałyśmy swoje łóżka, swoje komódki, jeden stół i dwa krzesła. Przed oknem rósł rozłożysty dąb, za drzwiami był długi korytarz i ośmioro brązowych drzwi. Piętro wyżej i piętro niżej były identyczne korytarze. Na końcu każdego korytarza mieściły się nieduże pokoje pielęgniarek. Nie wolno było tam wchodzić; jeśli któreś dziecko czegoś potrzebowało, musiało zapukać i poczekać, aż siostra otworzy drzwi. Nie miało to jednak większego znaczenia, bo i tak wielu z nas nie wyszłoby nawet za próg. Każdy był mniej lub bardziej upośledzony ruchowo.

W naszym pokoju wszystkie cztery, oprócz innych ułomności, miałyśmy epilepsję. Dlatego dzień i noc musiałyśmy nosić kaski. Nie były to prawdziwe kaski, tylko coś w rodzaju watowanych czapek zapinanych pod brodą. Elsegerd i Agneta traktowały je jak znienawidzone piętno, ja i Tygrysia

Maria zachowywałyśmy spokój. I tak byłyśmy pariaskami.

Wśród dzieci w Zakładzie dla Ułomnych obowiązywała bowiem ścisła hierarchia. Najwyżej sytuowali się najbardziej sprawni, najniżej ci z upośledzeniami ruchowymi i umysłowymi. Dla zdrowych psychicznie nie było nic ważniejszego nad wyraźne dystansowanie się od idiotów. Najzwyczajniejsza przezorność. Wiedzieli, że za bramą zakładu wszyscy mogą być wzięci za idiotów, a to było groźne, ponieważ ktoś postrzegany jako idiota przejawia skłonności do wczuwania się w tę rolę. A epilepsja jest przecież jakimś rodzajem zaburzenia umysłowego. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie się w równych odstępach czasu tarzał po podłodze, toczył piany i sikał pod siebie. Gdyby nie epilepsja, Elsegerd i Agneta byłyby wysoko w hierarchii. Elsegerd miała szpotawą stopę i chodziła o lasce, Agneta miała przepuklinę oponowo-rdzeniową i siedziała wprawdzie na wózku inwalidzkim, ale kompensowała to wielkim urokiem. Spod watanego kasku spływała burza białych loków, a kiedy jej lalczyną twarz rozjaśniał melancholijny uśmiech, wszyscy mieli łzy w oczach. Na Boże Narodzenie, ilekroć śpiewała „Pomaluję cały świat, mamusiu...”, nawet Redelius wykrzywił się w niemym grymasie wzruszenia.

Agneta miała mamę z prawdziwego zdarzenia. Bardzo oddaną mamę. Jak tylko miała wolne dni w szkole, przychodziła po Agnetę i objeżdżały wszystkie sklepy w Sztokholmie. Wieczorem Agneta wracała z mnóstwem reklamówek i pakietów. Czy chcemy zobaczyć? Nowa bluzka! Nowe puzzle! Mydło pachnące jak perfumy! Wszystkie ferie mogła spędzać u mamy, w willi na Svartsjölundet albo w letnim domu na Singó. Jakby była uczennicą mieszkającą w internacie.

Elsegerd i Tygrysia Maria też miały mamy, ale mniej szczęścia niż Agneta. Rodzice Elsegerd pracowali jako misjonarze w Afryce i przyjeżdżali do kraju raz na trzy lata, a mama Tygryskiej Marii była wdową z czwórką dzieci, mieszkała w Yilhelminie i nie mogła przyjeżdżać nawet raz na trzy lata. Za to co tydzień pisała do Tygryskiej Marii kilka słów na pocztówkach, które siostry czytały głośno w czasie lunchu. Potem Tygrysia Maria wkładała je do kartonu po butach i kiedy Elsegerd i Agneta odrabiały lekcje, przysuwała sobie krzesło do mojego łóżka i rozkładała wszystkie pocztówki na kołdrze. Która najbardziej mi się podoba? Ta zimowa? Czy z zachodem słońca nad jeziorem Malgomaj? Zawsze wybierałam zimową, ale głos decydujący należał do Tygryskiej Marii, a ona nieodmiennie wolała zachód słońca nad Malgomajem.

Kiedy dziewczęta odrobiły lekcje, przychodziła moja kolej na naukę. Elsegerd była moją nauczycielką, Agneta podpórką do trzymania pióra, a Tygrysia Maria wielbicielek. Potrzebowałam ich wszystkich, zwłaszcza Tygryskiej Marii. Wszystko zaczęło się jako zabawa, którą wymyśliła Elsegerd, bo już w pierwszej klasie postanowiła zostać w przyszłości nauczycielką. Stół zamieniał się w katedrę, a krzesła w szkolne ławki. Najpierw jej uczennicami były Agneta i Tygrysia Maria ale szybko im się to znudziło. Agneta wszystko już umiała a Tygrysia Maria z niczym nie nadążała. Chichotały, plotły trzy po trzy, wołały się bawić w co innego i wychodziły. Wtedy Elsegerd, nie mając nic lepszego do roboty, zaczęła uczyć mnie. Aż się zaślinałam z zapału. Na niczym nie zależało mi bardziej niż na poznaniu tych małych znaczków w książkach. To musiało być jak słuchanie radia oczami, a słuchanie radia sprawiało mi prawdziwą przyjemność.

- A - zaczęła Elsegerd, wymachując czytanką. - Ala ma kota!

- Eeeh - powiedziałam.

- Źle. No, spróbuj: A. A!

- Ehhh!

- Tak! Już lepiej. Jasne, że możesz się tego nauczyć. Ala! Ala ma kota!

- Aach!

- Dobrze! Masz jedną gwiazdkę. To jest M. Możesz powiedzieć: M?

- Eeem!

- Bardzo dobrze! Masz jeszcze jedną gwiazdkę, Desiree. Dzisiaj to już wszystko. Teraz zaśpiewamy psalm i będziemy się modlić!

- Eeem!

- Oczywiście, że będziemy, tylko złe dziewczynki nie chcą się modlić!

Złożyła moje oporne dłonie, spłótła mi palce i błyskawicznie odklepała „Ojczy nasz”, zanim

spazmy rozłączyły mi ręce.

- Amen! - zakończyła, zdyszana.

- Ehm! - powtórzyłam, wywołując szeroki uśmiech na jej bladej buzi.

- Ach! - powiedziała. - Masz jeszcze jedną gwiazdkę!

Potem przyszedł czas na podstawową edukację. Była to droga usiana gwiazdkami Elsegerd. Dosyć szybko Agneta przyłączyła się do nas i pomagała mi trzymać pióro, a Tygrysia Maria leżała na łóżku i zachwycała się moimi postęпами w nauce. Po czytankach zajęliśmy się tabliczką mnożenia, spenetrowaliśmy świat przyrody, ponazywałyśmy ptaki i drzewa, których nigdy nie widziałam, wstrzymałyśmy oddech razem z Gustawem Wazą, kiedy się chował w sianie, i wspólnie odwiedziłyśmy wszystkie prowincje i okręgi. Elsegerd była znakomitym pedagogiem, czasami nawet przesadnie znakomitym. Tak barwnie i sugestywnie opowiadała o Waldemarze Atterdagu i Chrystianie Tyrannie, że Tygrysia Maria dostała alergii na punkcie Duńczyków. Wpadła w prawdziwą panikę, kiedy Redeliusa, który wyjechał służbowo do Ameryki, miał na trzy miesiące zastąpić duński lekarz.

Nazywał się Preben. Wprawił nas w zdumienie, bo wszedł do pokoju sam, bez świty pielęgniarek i salowych, i zachowywał się jak gość. Chodził od łóżka do łóżka, witał się i podawał rękę. Ale przy łóżku Tygryskiej Marii rozejrzał się, speszony. Gdzie się podział czwarty dzieciak?

Dziewczynki natychmiast postanowiły jej bronić. Elsegerd przykuśtykała do Prebena, dygnęła i dosyć mętnie przeprosiła w imieniu Tygryskiej Marii, a Agneta użyła całego swojego wdzięku i z promiennym uśmiechem wyjaśniła, że Tygrysia Maria leży pod łóżkiem, bo się boi.

- Boi się doktora? - spytał Preben z niewyraźnym akcentem.

- Nie - odparła Agneta. - Ona się boi Duńczyków...

Preben wydawał się zaskoczony, szybko się jednak opanował, klęknął i zajrzał pod łóżko.

- Dzień dobry - powiedział ostrożnie. Tygrysia Maria krzyknęła i zatkała uszy dłońmi.

- Dlaczego się boisz Duńczyków? - spytał.

Tygrysia Maria krzyknęła jeszcze głośniejsze. Zaniepokojona Elsegerd podeszła do drzwi i starannie je zamknęła. Preben był wyraźnie zbity z tropu.

- Dlaczego zamykasz?

Elsegerd się wystraszyła i nie odpowiedziała. Agneta przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się swoim najmiłszym uśmiechem.

- Żeby kierowniczka i siostra nie usłyszały, jak Maria krzyczy...

- Aha - odparł Preben i usiadł na podłodze, krzyżując nogi. - A czy mogłabyś mi wytłumaczyć, dlaczego Maria boi się Duńczyków?

- Waldemar Atterdag - powiedziała Agneta.

- Chrystian Tyrann - dodała Elsegerd. Preben zarechotał, wstał, otrzepał swój biały fartuch i usiadł na łóżku Tygryskiej Marii.

- Waldemar Atterdag - zaczął. - Wiecie, co znaczy to imię?

Wiedziałyśmy wszystkie, nawet Tygrysia Maria.

- Waldemar Znowu Dzień - odpowiedziała Elsegerd, wolno siadając na swoim łóżku..

- No właśnie - przytaknął Preben. - A otrzymał to imię dlatego, że uwolnił Danię z ciemności nocy...

Rozpoznałyśmy melodię jego głosu. W taki sposób panie opowiadały w radiu bajki.

Preben okazał się lepszym pedagogiem niż Elsegerd. Przez pół godziny siedział na łóżku Tygryskiej Marii i opowiadał o tym, jak Waldemar Atterdag dzięki zmyślnemu podstępowi i sile oręża bronił Danii, ściśniętej pomiędzy ziemiami króla Szwecji Magnusa i dynastią Holstein-Gottorp. Potem w pokoju zaległa cisza. Zobaczyłam na podłodze rękę Tygryskiej Marii. Już nie zatykała uszu, słuchała równie zachłannie jak my. A kiedy kilka dni później Preben przyszedł do nas na cotygodniowy, rutynowy obchód - tym razem w towarzystwie świty Redeliusa - Tygrysia Maria grzecznie leżała w łóżku, na baczność, zgodnie z instrukcjami pielęgniarki oddziałowej.

- Cześć! - przywitał ją Preben, zatrzymując się przy jej łóżku. - Wiesz, kim jestem?

Maria opuściła wzrok i uśmiechnęła się pokutniczo.

- Duńczykiem...

Pielęgniarka oddziałowa nabrała powietrza, żeby natychmiast udzielić jej nagany, ale Preben powstrzymał ją gestem.

- Ale czy wiesz, jak się nazywam?

- Mmmm - wymruczała Maria. - Waldemar Atterdag...

Maria miała rację. Preben był Waldemarem Atterdagiem. Przyniósł nam światło, on pierwszy pozwolił nam uwierzyć, że nie wszystko musi być po staremu. Zalecił Elsegerd konsultacje z nauczycielem w sprawie wyboru kierunku nauki i przyszłego zawodu, skierował Agnetę na gimnastykę rehabilitacyjną, wzmacniającą muskulaturę nóg, i załatwił nową elegancką sukienkę dla Tygryskiej Marii. Tygrysia Maria całymi latami chodziła w cudzych sukienkach i bluzkach, zniszczonych i spranych. Teraz wparadowywała na niedzielne msze do kaplicy niczym panna młoda. Sunęła, zachwycona, w ciemnoniebieskiej bawełnianej kreacji z hartowanym kołnierzykiem. Ale to ja dostałam najwspanialszy prezent: skierowanie do logopedy w szpitalu karolińskim.

Miałam wtedy trzynaście lat i chociaż odkąd pamiętałam zawsze mieszkałam w Sztokholmie, nigdy nie widziałam miasta. Inne dzieci co najmniej raz w roku jeździły na wycieczkę, ale nie ja i nie Tygrysia Maria. To miało się z celem, bo i tak byśmy nie wiedziały, co widzimy.

A teraz mogłam pojechać do szpitala sama. Taksówką. Nigdy tego nie zapomnę. Pielęgniarka ubrała mnie w sukienkę Agnety, w której chodziła, mając siedem lat, zniosła po schodach i ulokowała na tylnym siedzeniu samochodu. Dojechaliśmy do budynku z czerwonej cegły i taksówkarz zaniósł mnie do logopedy. Doktor Nilsson była bardzo elegancka. Buty na wysokich obcasach, postawiony kołnierzyk koszulowej bluzki, wiśniowa pomadka, wiśniowy lakier na paznokciach, modnie uczesane, tapirowane włosy. Najbardziej mnie jednak fascynował jej uśmiech. Nie rozciągała kącików ust, tylko je ścigała, układała wargi w kółko, a pod nosem robiły się trzy ukośne kreski. Jakby miała wąsy, jakby była małą wesołą myszką z komiksu.

Wkrótce miałam się przekonać, że w mysim przebraniu czaiła się lwica. Lwica ryczała, zmuszała mnie do wymawiania słów nie do wymówienia, musiały brzmieć czysto, bez żadnych rżężeń i jęków! Kiedy Redelius wrócił z Ameryki i znowu chciał zadbać o pieniądze podatników, Lwica okazała się znacznie surowsza wobec moich zwierzchników niż wobec mnie. Najpierw wydała serię długich pomruków, a potem zaryczała i Redelius się poddał. Nadal miałam raz w tygodniu jeździć do szpitala i ćwiczyć wymowę. Mogło się to wiązać z tym, że mężem pani Nilsson był jeden z wybitnych neurochirurgów, który pracował w szpitalu karolińskim. A Redelius, jak każdy człowiek o autorytarnych zapędach, był w głębi duszy psem. Na widok silniejszego kładł się na grzbiet i obnażał gardło.

Nic nie było dla Redeliusa takie samo. Wyjeżdżał do Ameryki jako król swojego królestwa, a po powrocie stał się nędznym dyktatorem u schyłku władzy. Jakby jego zastępca zrobił dziurę w przyzakładowym murze, przez którą wpadało światło, powietrze i nowe myśli. Być może ta dziura nie była wyłączną zasługą Prebena. Inni też przy niej dłubali. Dziennikarz radiowy w ciepłych słowach opowiedział o naszym życiu, dzięki czemu ludzie zwątpili w konieczność stawiania na pierwszym miejscu żelaznej dyscypliny i uczestnictwa w nabożeństwach. Kilkoro rodziców odważyło się nawet to i owo skrytykować. Czy naprawdę trzeba kształcić wszystkie upośledzone ruchowo dzieci na wikliniarzy i intrologatorów? Czy trzeba je umieszczać w zakładzie, żeby tam mogły chodzić do szkoły? Czy nie byłoby taniej i lepiej wybudować podjazdy w normalnych szkołach i pozwolić dzieciom mieszkać z rodzicami? W gabinecie wyłożonym orzechową boazerią minister do spraw socjalnych pocierał brodę i myślał: Teraz, kiedy Dom Ludowy już stoi, przyszedł chyba odpowiedni moment, żeby przeznaczyć trochę pieniędzy na tych, którzy są na szarym końcu, na upośledzonych umysłowo?

Byłyśmy wtedy nastolatkami i z zadowoleniem obserwowaliśmy chmurę przesłaniającą czoło Redeliusa. Wiedziałyśmy, jak tej chmurze na imię. Karl Grunewald i przyszła ustawa o opiece nad upośledzonymi umysłowo. Nawet Tygrysia Maria i ja miałyśmy prawo chodzić do szkoły! Tygryskiej Marii nie wolno już było przywiązywać do łóżka ani wkładać kaftana bezpieczeństwa, kiedy tęskniła za domem.

Bardzo się cieszyłyśmy! Ściany w naszej sali zostały pomalowane na najbardziej żółty ze wszystkich żółtych kolorów, a pokój pielęgniarek przerobiono na świetlicę. Stowarzyszenie Rodziców zażądało dotacji na zakup telewizora i nakłoniło kierowniczkę do przesunięcia godziny ciszy nocnej.

Wszyscy powyżej dziesiątego roku życia mogli być na nogach do dziewiętej! Na parterze urządzono pokój zabaw dla najmłodszych, w którym znalazły się tak zwane pedagogiczne zabawki w kolorze żółtym, niebieskim i zielonym. W czwartki siedmiolatki rozbrajały się do majtek i przez godzinę mogły rozrabiać do woli w specjalnym pomieszczeniu, gdzie były najróżniejsze puszki z farbami. Potem opiekunka ustawiała je pod prysznicem i myła. Na utyskiwania kierowniczkę odpowiadała, że to żaden kłopot. Farby są wodne, dzieciaki i tak trzeba przecież kąpać, a wózki inwalidzkie na pewno nie ucierpią z powodu paru kropel wody!

Dla nas, starszych, czymś nowym była biblioteka. Bibliotekarka miała na imię Barbro i pokazywała w uśmiechu duże białe zęby, ilekroć zbieraliśmy się w świetlicy, gdzie czytała nam bajki. Po tem zawsze chwilę zostawała, żeby porozmawiać z największymi molami książkowymi, i z tajemniczym uśmiechem coś nam pożyczała. Agnecie - Pippi Pończoszanę, Elsegerd Kulla-Gullę, a mnie - porozumiewawczo przy tym mrugając - Skarb pana Arnego i Woźnicę śmierci.

Ale trudno się było skupić, żeby poczytać w spokoju. W zakładzie zrobiło się rojno i gwarno. Rodzice i rodzeństwo przychodzili, kiedy im się podobało. Ci, którzy kilka lat temu grzecznie się kłaniali i dygali, teraz prychnęli pogardliwie, słysząc uwagi kierowniczkę i pielęgniarek na temat konieczności respektowania określonych pór wizyt. Czy matka nie ma prawa zobaczyć się z własnym dzieckiem, kiedy tylko zechce? Czy to jest więzienie? Czy nie ma tu nikogo, kto dysponowałby elementarną wiedzą o potrzebach dziecka? Światło wpadało do naszych sal.

Nikt nie myślał o tym, że tam, gdzie najjaśniej, zalegają najczarniejsze cienie.

Jeden oddech. Tak to się zaczęło.

Trzy dziewczynki spały tak głęboko, że nie było już słychać ich oddechów. Leżałam z otwartymi oczami i patrzyłam w ciemność. To były moje najlepsze godziny, wyłącznie moje. Myśli szybowały swobodnie, nie zakłócały ich rozmowy dziewcząt ani rutynowe zajęcia pielęgniarek.

Myślałam o Stefanie. Był rok ode mnie starszy i mieszkał piętro wyżej, tuż nade mną. Jego łóżko stało dokładnie nad moim. Tak powiedziała Agneta, która tam była. Ja nie widziałam ani jego pokoju, ani korytarza, ale codziennie, kiedy nas wywożono do parku, widywałam Stefana. Miał blond włosy i oliwkową cerę, wyglądał tak, jakby go ktoś zanurzył w złocie. Mimo niesfornej długiej grzywki można było dostrzec pięknie zarysowane, jaskółcze brwi.

Stefan pisał wiersze. Wszyscy o tym wiedzieli, tak jak wszyscy wiedzieli, że pewnego dnia w introligatorni w przypływie nietajonej rozpaczy podniósł kulę i z krzykiem zmiotł ze stołu arkusze papieru, klej i nici. Kiedy nauczyciel i najbardziej sprawni ruchowo uczniowie uciekli, zablokował drzwi laską kolegi i nie chciał ich otworzyć. Nie pomogły nawet apele Redeliusa, który groził mu na poły zapomnianą karą, czyli kaftanem bezpieczeństwa i skórzanymi pasami. Po przeszło godzinie stróż musiał wejść przez okno. Wtedy Stefan już nie krzyczał, siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

W Stefanie kochały się wszystkie dziewczęta. Bez wyjątku. Nie miałam żadnych złudzeń, że kiedykolwiek się do mnie odezwie, ale lubiłam o nim myśleć. Czasami marzyłam. Pod rozłożystym dębem nasze wózki stały obok siebie i Stefan czytał mi swój najnowszy wiersz, mnie dedykowany, jego dłoń szukała mojej dłoni, w koronie drzewa szumił wiatr...

I w jednej z takich chwil usłyszałam to po raz pierwszy. Czyjś oddech.

Nie słyszałam skrzypienia drzwi, kroków na linoleum żadnego najdrobniejszego dźwięku, jaki powstaje na przykład wtedy, kiedy rękaw koszuli ociera się o ubranie. Słyszałam tylko głęboki oddech. Niemal jak westchnienie.

Mimo ciemności można było jednak rozróżnić cienie i kontury. Nic się nie poruszało, a jednak nie miałam wątpliwości, że widzę kontury jakiegoś stworzenia. Bardzo czujnego stworzenia.

Jakby wyczuwało moje spojrzenie, jakby wiedziało, że nie śpię. Ale się nie spieszyło, przeciwnie, postąpiło krok naprzód i jego oddech znowu stał się słyszalny. Był ciężki. Dyszący.

Teraz nie tylko ja nie spałam. Elsegerd zaszeleściła prześcieradłem, z łóżka Agnety dobiegł krótki, przytłumiony dźwięk. Jedynie Tygrysia Maria spała dalej, ale już nie tak głęboko. Przekręciła się we śnie, jej oddech świadczył o tym, że pomału się budzi.

Cień chciał, żebyśmy się zbudziły. Szepczącym krokiem chodził od łóżka do łóżka, jakby się zamierzał upewnić, czy wszystkie będziemy widzieć i słyszeć to, co się za chwilę stanie po raz pierw-

szy, a co będzie się potem powtarzać każdej nocy przez wiele miesięcy. Zatrzymał się przy łóżku Elsegerd, podszedł do łóżka Agnety, w końcu stanął obok mojego. Położył rękę na poręczy i potrząsnął, posłanie zdrząło. To była groźba. Ostrzeżenie. Nie miałam odwagi się ruszyć, ale patrzyłam spod zmrużonych powiek, chciałam zobaczyć jak najwięcej. Niestety, nie było tam żadnej twarzy, przede mną stał cień.

Po chwili odwrócił się do mnie plecami i podszedł do Tygryskiej Marii.

- O, Mario - wyszeptał w ciemnościach, unosząc rękę jak do błogosławieństwa. - Mój aniele, mój tygrysi kwiatuśku! Moja kurwo! Moja śluzowata piczko!

Kiedy drzwi się zamknęły i umilkły na korytarzu szepejące kroki, leżałyśmy w milczeniu, wpatrując się w ciemność. Z łóżka Agnety dobiegały jęki. Ostre, przenikliwe, przebijały mi bębenki, przekłuwały głowę jak igła, w końcu stały się nie do zniesienia. Zatykałam uszy dłońmi, ale na krótko, spazmy je odrzucały, dźwięk ranił mnie dalej. Nagle zrozumiałam, że i ja wydaję z siebie taki sam, przenikliwy dźwięk, że wtóruję Agnecie.

Wreszcie Elsegerd zdobyła się na rzecz niesłychaną. Złamała najsurowszy zakaz: zapaliła światło. Wymacała kulę i wstała z łóżka. Groziły za to straszliwe kary. Nocą, kiedy w zakładzie nie było żadnych odwiedzających, nadal obowiązywały stare zasady.

Nigdy tego nie zapomnę. Wsparta na kuli, odgarnęła z czoła popielatozłocistą grzywkę. Nagle była piękna. Biała twarz, czarne głębokie oczy. Nie mówiąc słowa, pokuśtykała do łóżka Tygryskiej Marii, ściągnęła z niej pogniecioną kołdrę, wstrząsnęła nią, odwróciła i położyła z powrotem.

Wyciągnęłam szyję i spojrzałam na Tygrysią Marię. Leżała nieruchomo, sztywne jak lalka, i z uśmiechem wpatrywała się w sufit.

Pewnego dnia, wiele lat później, kiedy miałam swoje mieszkanie w domu opieki, w moich drzwiach stanęła nagle jakaś nieznajoma kobieta. Była w cynamonowym palcie. Pamiętam, że zdumiał mnie ten kolor. Nigdy nie myślałam, że brązy mogą tak jaśnieć. Jej palto płonęło, nie mogłam się zorientować, kto w nim jest.

- Cześć, Desiree - powiedziała. - Nie poznajesz mnie?

Zamrugałam pytająco. Elsegerd? Podeszła bliżej.

- Chyba mnie pamiętasz...

Nadal kulała, ale wystarczała jej zwykła laska.

- Leżałyśmy na jednej sali w Zakładzie dla Ułomnych...

Oślupiałam. W życiu bym nie pomyślała, że jeszcze kiedyś zobaczę Elsegerd albo Agnetę. Rozstawałyśmy się raz na zawsze, bo przecież ktoś taki jak my o niczym nie mógł decydować. Agneta odeszła przed śmiercią Tygryskiej Marii, Elsegerd niedługo potem. Nawet nie była na pogrzebie. Mimo zbyt młodego wieku miała podjąć naukę na prawdziwym uniwersytecie ludowym. Przez ostatnie dni to płakała, to się śmiała, cieszyła się na czekającą ją wolność i rozpaczała z powodu śmierci Tygryskiej Marii.

A teraz siedziała w moim salonie, na jasnym fotelu, który niedawno kupiłam właśnie z myślą o moich gościach. Chociaż miałam mieszkanie od pięciu lat, słowo „moje” ciągle sprawiało mi przyjemność. Moje mieszkanie. Mój fotel. Moi goście.

- O - powiedziała Elsegerd, rozglądając się po pokoju. - Jak tu u ciebie ładnie. Tak jasno!

Był świetlisty dzień zimowy, w promieniach słońca na parkiecie figlowały drobinki kurzu i bardziej niż zwykle mogłam się cieszyć kolorami moich zasłonek. Często się wtedy cieszyłam, że je mam, niekiedy podejrzewałam, że je fetyszuję. Zasłonkowa fetyszystka. Ale wszystko inne też było ładne: jasny brzoźowy stół, czerwona kanapa, regały uginające się pod ciężarem książek. I ręcznie robiony szmaciak, który udało mi się tanio kupić dzięki znajomościom Hubertssona w Stowarzyszeniu Rzemiosł Artystycznych.

Tak mnie pochłonęło chwalenie się moim salonem, że w pierwszej chwili nie zwróciłam uwagi na ubranie Elsegerd, kiedy już zdjęła palto. A kiedy zwróciłam, zatkało mnie. Czarna koszula i biała koloratka. Szybko sięgnęłam po ustnik, wtedy miałam jeszcze sprawną dłoń, i dmuchnęłam:

- Jesteś pastorem?

Elsegerd spuściła wzrok i dziewczęcym ruchem wygładziła spódnice.

- Mmmm. W zeszłym roku przyjąłm święcenia... Dlatego jestem w Yadstanie. Na konferencji ekumenicznej. Ale dzisiaj wagaruję. Ze względu na ciebie.

Wyciągnęłam rękę i dotknęłam jej dłoni.

- Cieszę się, że przyszedłaś.

Rzuciła pospieszne spojrzenie na monitor i uśmiechnęła się.

- Też się cieszę. Pomyślałam, że możemy uczcić twoje zaległe urodziny, i kupiłam napoleonki...

Zaśmiałam się.

- Pamiętałaś? Pamiętałaś, że zawsze za nimi przepadałam?

- Mmm. Mama Agnety była bardzo miła, urządzać nam przyjęcia urodzinowe cztery razy w roku...

- A pamiętasz, jak Tygrysia Maria poprosiła o książeczkę koronę?

Oczy Elsegerd zaśniły i popatrzyła w bok.

- Zrobić kawy? - spytała. - Czy sama sobie poradzisz?

Włączyłam silnik w moim wózku i wjechałam do kuchni.

Dopiero kilka godzin później, o zmierzchu, Elsegerd była w stanie mówić o Tygrysięj Marii.

- Myślę o niej każdego dnia - powiedziała, przebiegając palcami po spódnicy. - Że to była moja wina...

Zostawiłam monitor w spokoju.

- Bo ty nie mogłaś nic zrobić, nie mogłaś nic powiedzieć... A Agneta była zbyt wåtła, nie można było tego od niej wymagać. Ale ja mogłam zrobić więcej... Byłam najstarsza i najzdrowsza, powinnam była zrozumieć, że ona umrze...

Na monitorze zamigotały słowa pocieszenia.

- Przecież próbowałaś. Wiem, że rozmawiałaś z kierowniczką, chociaż nigdy nam o tym nie wspomniałaś.

Elsegerd wykrzywiła się.

- Powiedziała, że mam sprośną wyobraźnię. Dajesz wiarę?! Wiedziała, że Tygrysia Maria przestała mówić, a potem przestała jeść, że chodziła tam i z powrotem i śmiała się... A ona na to, że ja mam sprośną wyobraźnię!

Westchnęłam tak gęboko, że słowa wylądowały na samym dole.

- Tak to właśnie jest. Nie tacy jak my decydują, co jest prawdą...

Elsegerd pociągnęła nosem.

- Ale ja powinnam była zrobić to samo co Stefan. Zablokować drzwi, żeby ten stwór nie mógł wejść, i krzyczeć tak długo, aż musiałyby przyjść pielęgniarka...

- Nic by to nie dało. On siedziała najczęściej z najmłodszymi, na parterze. Nawet gdyby usłyszała i przybiegła, on zdążyłby uciec i nikt by nam nie uwierzył.

Elsegerd pochylila się i chwyciła moją dłoń.

- Ale ty to wiesz, prawda? Pamiętasz, co zrobił?

Nigdy nie miałyśmy odwagi o tym mówić. Milczałyśmy, milczałyśmy, milczałyśmy.

- Pamiętam.

Elsegerd odetchnęła z ulgą, jej twarz lśniła srebrzystą bielą w świetle zmierzchu.

- Dziękuję.

Zabrałam rękę.

- Za co tu dziękować.

Nie odpowiedziała. Po chwili usunęłam te słowa z monitora. Wiedziałam, za co mi dziękuje.

Długo siedziałyśmy w milczeniu i wspominałyśmy Tygrysięj Marię.

Idzie. Słyszę jego kroki na schodach, coś mruczy pod nosem. Ale nie chcę, żeby tu przyszedł. Jeszcze nie. Najpierw muszę dokonać inwentaryzacji swoich umiejętności.

Ale kiedy uchyla drzwi i wchodzi do pokoju, zmęczenie ustępuje, jak fala odpływu sunie ku pełnemu morzu, odsłaniając pas plaży. Otwieram oczy.

- Gdzieś ty, do cholery, wylądowała? W królestwie niebieskim?

Hubertsson stoi pośrodku pokoju i macha ręką, żeby zdjąć z głowy anielską szatę.

Poruszam wargami, co oznacza, że chcę mówić. Hubertsson podchodzi do łóżka, przysuwa komputer i wkłada mi ustnik.

- Jakim cudem nie śpisz? - pyta. - Po czterech dawkach stesolidu powinnaś być do niczego co najmniej dobrą...

Z trudem dmucham odpowiedź:

- Ty też nie wyglądasz najlepiej. Jak się czujesz?

- Miałem mały kryzys. Ale to nic poważnego. Zjem porządny lunch, a potem pójdę do domu i odpocznę.

Chciałabym powiedzieć: „Uważaj na siebie. Nie pij wina do lunchu i co godzinę sprawdzaj poziom cukru we krwi!” Ale jestem ostrożna, pierwszy paragraf mówi wyraźnie: żadnych poufałości. Dlatego dmucham tylko jedno słowo:

- To dobrze.

- Postanowiłem zajrzeć do ciebie na chwilę. Po stesolidzie...

- Christina tu była.

Hubertsson patrzy na monitor.

- Tak, wiem. Powiedziała mi o tym. Wydawało jej się że śpisz...

Nie mówię, że obudziła mnie jej myśl: Biedactwo... Zapłaci za to. Prędzej czy później.

- Byłam na wpół obudzona.

Hubertsson chrząka i patrzy w bok.

- Czasami tak się składa, że... Wczoraj znalazła martwą mewę. W swoim ogrodzie.

Patrzę na niego. Nie ma odwagi spojrzeć mi w oczy, ujmuje mnie za nadgarstek, wpatruje się w zegarek i liczy uderzenia serca. To niezwykle, normalnie puls mierzą mi pielęgniarki.

Jego uchwyt jest delikatny jak muśnięcie motyla, ma ciepłe palce.

- Hmmm - odzywa się chwilę później, puszczać nadgarstek. - Jesteś zmęczona, prawda?

Krótkie puf.

- Tak.

- Porozmawiam sobie z Ka Pierwszą. Tym razem przesadziła... Cztery dawki stesolidu!

Nie odpowiadam. Nie mam siły. Fala wraca na brzeg. Hubertsson rozgląda się, szuka jakiegoś miejsca, gdzie mógłby usiąść. W tym pokoju wnękę okienną zastawia moje łóżko. Stoi przy mnie niezdecydowany i błądzi wzrokiem po ścianach oblepionych tysiącami aniołów. Idę za jego spojrzeniem i mimo ogarniającego mnie zmęczenia, uświadamiam sobie, że widziałam jedynie nikłą część skarbów Marii. Anioły tłoczą się i rozpychają, cheruby zerkają przez ramię serafinom, ogromne strzeliste skrzydła uderzają o mniejsze, zaokrąglone, wokół krążą pulchniutkie dzieci, trzepoczą połyskliwymi wzrostkami...

- To głupie - mówi Hubertsson.

Ma rację. To jest głupie. Ale chwilę później cieszy mnie to szaleństwo Marii. Bo gdyby na ścianach nie roilo się od aniołów wyciętych z zakładek do książek, Hubertsson nie byłby oszołomiony. A gdyby nie był oszołomiony, na pewno nie przesunąłby mojej ręki, żeby zrobić sobie miejsce na moim łóżku i na pewno by jej nie trzymał w swojej.

Jajko w gniazdku. Perła w muszli.

Moja dłoń w jego dłoni. Zawsze tam będzie.

Tylko ignoranci wierzą, jak święty Augustyn, że czas jest rzeką. My, inni, wiemy, że to raczej delta, że się rozgałęzia, szuka nowych dróg i znowu się łączy, żeby znaleźć tysiące kolejnych ujść. Niekiedy burzy się jak wodospad, niekiedy nieruchomieje, tworzy kałuże, obok których przepływa woda czasu, a one nigdy już się nie poruszają...

To jest taka chwila. Kałuża. Zanurzam się w niej. W takiej wodzie chcę pozostać. Na zawsze.

Nigdy przedtem nie trzymał mojej dłoni.

No, może raz. Ale nie jestem pewna, czy wydarzyło się to na jawie, we śnie, czy w marzeniu. Jeśli na jawie, to dawno temu, na długo przed remontem szpitala dla przewlekle chorych i na długo przed moją przeprowadzką do domu opieki. Może było to tego dnia, kiedy wymienił jej imię i nazwi-

sko. Nie wiem. Nie pamiętam.

Ale pamiętam, że niósł mnie brudnozółtym korytarzem. Migwały plafony; blade gwiazdy, które straciły nadzieję na przeniknięcie ciemności. W ramionach Hubertssona mogłam się z nimi bawić, tak jak w dzieciństwie bawiłam się ze światłem. Zamykałam oczy, światło stawało się czerwone, po czym szybko mrugałam i kiedy wszystko zaczynało migotać, mocno zaciskałam powieki, dopóki wspomnienie światła nie rozbłysło zielenią...

Hubertsson był wtedy zdrowy. Zdrowy i silny. Szedł różnym krokiem, jakbym nic nie ważyła, niemal zbiegał ze mną wąskimi schodami, które dzieliły mój oddział od jej oddziału. Po drodze spotkał się tylko salową. Na jej spłoszony uśmiech Hubertsson skinął głową, nie zwolnił kroku ani nie zadał sobie trudu, żeby wyjaśnić, dlaczego przenosi pacjenta na inny oddział. Kiedy później myślałam o jej minie, chciało mi się śmiać i ogarnęło mnie uczucie triumfu. Miały nad czym główkować, ona i jej koleżanki. Przez resztę dnia plotkom i najróżniejszym spekulacjom nie było końca! Ale wtedy patrzyłam na nią, nie widząc.

Wieki minęły, zanim Hubertsson stanął wreszcie przed jakimiś drzwiami.

- Wiem, że ona słyszy - powiedział. - I wydaje mi się, że widzi. Więc postaraj się być cicho.

Nagle zdjął mnie strach. Moja lewa ręka chwyciła wyłóg jego fartucha, szarpała nim i ciągnęła, a głowę wykrzywiały spazmy. Właściwie nie chciałam jej widzieć! Co to zmieni? Pozbyła się mnie, tak jak się pozbywa stłuczonej szklanki, zostawiła na pastwę Redeliusa i Zakładu dla Ułomnych, skąd później przekazano mnie neurologom. Niczego się już nie cofnie, czas nie ma dziur, przez które można się prześliznąć i uznać to, co było, za niebyłe...

Chciałam to wyjaśnić Hubertssonowi, zbyt jednak byłam podniecona, żeby mógł właściwie zinterpretować moje pomruki.

- Pst! - uciszył mnie i łokciem otworzył drzwi. Dobrze mi znany pokój. Taki sam jak mój. Siwe światło poranka, jasnozielone ściany, pomarańczowe zasłony z syntetycznego włókna - wspomnienie przebrzmiałej mody, wyświechtany fotel, obok stolik, nieśmiertelna szafka nocna, własność wojewódzkiego samorządu terytorialnego, pasiasta poszwa i żółty koc.

Nie, jednak nie. Kiedy przyjrzałam się dokładniej, okazało się, że wiele rzeczy u mnie nie było. Na stoliku stał świecznik, a na parapecie - fotografie. Na jednej, zrobionej z lotu ptaka, był biały piętrowy dom z prześlicznym ogrodem, z drugiej i trzeciej, w pozłacanych ramkach, patrzyły dziewczynki w białych czapkach maturzystek - jedna poważna, druga uśmiechnięta - a czwarta, przypuszczalnie kolorowane powiększenie czarno-białego zdjęcia z pierwszej połowy lat sześćdziesiątych, przedstawiała trzy dziewczynki siedzące na wiśni. Miały blad różowe twarze, sukienki w kolorach różowym, żółtym i zielonym, tylko szare, bezbarwne liście przypominały o oryginale.

Hubertsson zrobił kilka kroków. Zamknęłam oczy i odwróciłam głowę. Czułam na policzku jego ciepły oddech.

- Spokojnie - wyszeptał. - Śpi...

Najpierw zobaczyłam jej dłonie. Biała, niemal błękitna skóra, błyszcząco owalnie spiłowana, wypolerowane paznokcie. Ktoś zadał sobie fatygę i zsunął skórki, odsłaniając półksiężyc. Zdziwiłam się, w moim wypadku szpitalny manikiur ograniczał się do zwykłego obcinania paznokci. Czyli prosto. Otaczano ją zatem szczególną opieką.

Ciekawość przemogła strach i popatrzyłam na jej twarz. Była tak samo biała jak dłonie, zdumiewająco gładkie policzki znaczyła fioletowa siatka popękanych naczynek. Włosy, anielskie włosy starej kobiety, były cienkie, białe i kręcone.

- Wylew - szepnęła Hubertsson. - Jest tu od czternastu lat. Jednostronny paraliż. Teraz ma zapalenie płuc.

Leżała z otwartymi ustami, jak ludzie tuż przed śmiercią. Nie słyszałam jednak jej oddechu. W pokoju panował bezruch: tylko jej klatka piersiowa unosiła się wolno i wolno opadała.

Potem, kiedy znowu byłam w swoim łóżku, Hubertsson zamknął moją dłoń w swoich dłoniach. Jak w skorupce jajka. I po raz pierwszy zdobyłam się na odwagę, i zadałam pytanie, o czym wcześniej nawet się nie ośmieliłam pomyśleć. Mówiłam bardzo wyraźnie, każde słowo brzmiało dźwięcznie i czysto.

- Dlaczego ona mnie porzuciła?

Hubertsson milczał.

Ale on nie był z tych, którzy zostawiają pytania bez odpowiedzi. Następnego dnia odpowiednio się przygotował. Tymczasem mnie już przeszło i o niczym nie chciałam wiedzieć. Syknęłam na niego, powiedziałam, że nie zamierzam wysłuchiwać tych głupot, i demonstracyjnie - acz z miernym skutkiem - zatkałam sobie uszy.

Zaczął od czasów. Czasów, w jakich żyła Ellen.

- Pytasz, dlaczego. Dlaczego cię porzuciła. Dlatego, że tak właśnie postępowano w latach pięćdziesiątych. O odstępstwach nie było nawet mowy. Lekarze nie robili żadnych wyjątków. Kiedy pracowałam w Göteborgu, ciągle spotykałam starych konowałów, którzy uważali, że ułomne ciało jest tożsame z ułomną duszą. Ordynator z mojej kliniki radził rodzicom zostawiać kalekie dzieci i zapomnieć o nich. Wystarczyła szpotawa stopa...

Umilkł i zmarszczył czoło.

- Nie wiem, jak on myślał, czy naprawdę uważał, że wszystkie dzieci ze szpotawymi stopami są upośledzone umysłowo, czy tylko zakłócały jego poczucie harmonii. Był zwolennikiem ładu i porządku, podejrzewam, że nagłe pojawienie się na ulicach ludzi kalekich, zdeformowanych, uznalby za przykry dysonans, przejaw chaosu. Lepiej trzymać ich w zamknięciu. Tam przynajmniej długo nie pożyją...

Hubertsson odwrócił się do mnie. Czym prędzej pokazałam mu język, co zadowoliło jego zmysł obserwacji; zdał sobie sprawę, że - mimo gwałtownych spazmów - zrobiłam to celowo.

- Becz sobie, becz - powiedział. - Ale jeśli nie zrozumiesz tamtych czasów, nigdy nie zrozumiesz Ellen. Niech ci się nie zdaje, że wszystko wiesz, byłaś za mała, żeby widzieć te wszystkie ukłony, dygania, przypochebianie się i umizgi ludzi stojących najniżej w hierarchii, i pogardę tych, którzy byli na jej szczycie... W służbie zdrowia było chyba najgorzej. Czasami myślę, że gorzej niż w wojsku.

Stał w nogach mojego łóżka, z pliku starych kart choroby wyjął jakiś papier i uderzając weń palcami, powiedział podniesionym głosem:

- Twój sędzia nazywał się Zimmerman i był neurologiem. Zbadał cię w trzecim tygodniu życia i nie miał cienia wątpliwości. Tutaj jest wszystko, czarno na białym. Charakter twoich uszkodzeń wskazuje jakiegokolwiek możliwości uczenia się... Nigdy nie opanujesz podstawowych umiejętności, takich jak przeżuwanie czy koncentracja spojrzenia. Można przypuszczać, że w jego ocenie nie będziesz zdolna do odczuwania emocji. - Rzucił papier na łóżko i odchrząknął. - Nie rozmawiałem o tym z Ellen. Ona nawet się nie domyśla, że wiem o tobie. Teraz jest już za późno, jest bardzo chora. O ile wiem, przez te wszystkie lata nikomu o tobie nie wspomniała. Ludzie oczywiście wiedzieli, że urodziła dziecko, ale nie mam pojęcia, co im powiedziała. Że umarłaś albo coś w tym rodzaju... Wtedy nie mówiło się zbyt dużo o takich sprawach, najlepiej było zapomnieć i żyć dalej. - Ściszył głos. - Musisz pamiętać że Hugo miał raka i zmarł w trzy miesiące po twoim urodzeniu. Ellen cały czas przy nim siedziała, z jej karty wynika, że wstała z łóżka już następnego dnia po porodzie. To było odważne posunięcie. W tamtych czasach wszystkie świeżo upieczone matki musiały leżeć spokojnie co najmniej przez tydzień, żeby uniknąć ewentualnych zakrzepów. Ty zostałam przewieziona do Sztokholmu. Z powodu epilepsji i porażenia mózgowego wymagałaś opieki. To oczywiste. Nie wiem, czy wiesz, ale przez pierwsze dwa lata byłaś w szpitalu dziecięcym.

Spojrzał na mnie niewidzącym spojrzeniem. Wszystko jedno. Nie zamierzałam dać po sobie poznać, że jest to jeszcze jeden puzzel układanki, która ani trochę mnie nie bawi.

- Licho wie, czy w ogóle cię widziała. Może przez szybę. Chociaż wątpię, bardzo byli wtedy gorliwi w odbieraniu dzieci rodzicom... Zwłaszcza, jeśli coś poszło nie tak. - Odwrócił się do okna i patrzył w szare niebo. - Jeśli się zastanawiasz, dlaczego nigdy cię nie odwiedziła, znajdziesz odpowiedź w listach, które Zimmerman do niej pisał. Mam tu kopie. Chcesz zobaczyć?

Wysapałam odpowiedź:

- Nie!

Lekko się przygarbił.

- Tak, rozumiem. Nie ma tu zbyt wiele do czytania... To tylko rozmaite warianty tej samej

śpiewki. Na to dziecko nie warto stawiać. Nie nauczy się chodzić, mówić ani myśleć.

Nagle przypomniałam sobie Redeliusa. Szympan. Hiy hey, we're The Monkeys...

Hubertsson wydawał się marzyć, ręce, którymi gestykulował, opadły luźno. Przez chwilę stał bez ruchu.

- No tak - podjął, mrugając powiekami. - W każdym razie nie ma tutaj listów Ellen, ale wygląda na to, że dosyć często pisała do Zimmermana. Zimmerman absolutnie nie wyraża zgody na opiekowanie się tobą w domu i stanowczo odradza odwiedzanie ciebie. Twierdzi, że byłby to dla niej zbyt duży wstrząs. A dla ciebie nie miałyby to najmniejszego znaczenia. Nic ci nie brakowało, co cztery godziny dostawałaś jedzenie i regularnie zmieniano ci pieluchy...

Chciałam wtrącić, że miała przecież swoje prawa. Nikt nie mógł jej zabronić spotkań ze mną. Powinna była sobie uświadomić, że ma określone obowiązki, powinna była pamiętać, że - pomijając wszystkie moje ułomności - jestem jej dzieckiem i że jestem człowiekiem. Nie miałam jednak siły dłużej rozmawiać i zamknęłam oczy. To była informacja dla Hubertssona, żeby zamilkł. Nic z tego. Mówił dalej, uderzając palcem w parapet.

- Zimmerman uważał, że masz dobrą opiekę i że Ellen i jej mąż powinni myśleć o przyszłości i postarać się o drugie dziecko... - Roześmiał się. - Ten głupi kretyń zapomniał, że była wdową!

Milczał przez chwilę, z jego reakcji wynikało, że niedługo musi wyjść.

- Tak - powiedział na koniec. - I najprawdopodobniej dlatego w domu Ellen pojawiła się Margareta...

Czuję się tak zmęczona, że nie wiem, czy moja dłoń jest jeszcze w dłoni Hubertssona. Nieważne. Ważne, że tam była.

Ja ciągle jestem w wodzie. Zielonej i przejrzystej. I widzę na odległość. Widzę Margarete.

Uśmiecha się, siedząc w starym samochodzie Claesa i słuchając jego głosu w radiu. Nic nie cieszy jej bardziej niż możliwość przemieszczania się z jednego miejsca w drugie i przekonanie, że nikt jej nie dogoni. Teraz cieszy się w dwójnasób kilometr za kilometrem oddala się od Christiny - szumięta idiotka! - i jest coraz bliżej Norrkopingu i Birgitty. Nareszcie zrozumiała, jak się sprawy mają, i spełni dobry uczynek. Tak, moja najmłodsza siostra jest prawdziwym skautem.

Birgicie nie w głowie żadne dobre uczynki, człapie w za dużych czółenkach Norra Promenaden i kombinuje, jak by się tu dostać do Motali. Autobus odpada, ale są przecież pociągi. Niejeden raz pokonywała dużo dłuższe trasy, siedząc w toalecie... Najpierw jednak musi zajarać, a ma przy sobie tylko półtorej korony. Niby skąd wytrzaśnie szlugi bez szmalu? Co? Czy ktoś' mógłby na to odpowiedzieć?

Ich kręgi spotykają się, powoli podążają ku sobie. Wszystko toczy się tak, jak powinno. Mogę się zanurzyć głębiej w mojej wodzie.

Tonę!

Woda wypełnia mi krtąń, przelewa się, wydobywa się ustami, spływa po szyi i piersiach. Kaszlę, ale nie otwieram oczu, koncentruję się na jednym, odkaszlnąć, złapać powietrze... Ratunku, tonę!

Ktoś błyskawicznie mnie podnosi, tak szybko, że głowa opada w przód.

- O, Boże! - mówi ktoś półgłosem. - Chciałam jej tylko podać trochę soku... Nie wiedziałam...

- To nie twoja wina - uspokaja Kerstin Pierwsza. - Pomóż mi ją pochylić!

Moja głowa wisi bezwładnie, nawet nie próbuję nią sterować. Już wiem, co straciłam, ile mnie kosztował ostatni napad. Nie mogę przełykać. Nigdy nie będę mogła przełykać.

Wiśniowa księżniczka

Kładź swą dłoń na mojej jeśli chcesz

Ale ja nie z tych co zostają by w miłości się nurzać po kres

Jam jest z tych co są i znikają

O wędrówce pieśń uwodzi mnie

Już za młodu wzburzyła mi krew

Jam jest z tych co przechodzą we mgle

Kładź swą dłoń na mojej jeśli chcesz

Hjalmar Gullberg

LEDWIE ZAMKNEŁY SIĘ DRZWI ZA CHRISTINĄ, Margareta gasi papierosa, odchyła się na krzesło i przeciąga. Najlepiej od razu sprzątnąć ze stołu. Żeby Jej Wysokość nie dostała zawału, gdyby przypadkiem wróciła wcześniej i zastała na stole brudne talerze i sztucce.

Zawsze dziwiło ją to, że Christina, która tak skrupulatnie opanowała rytuały i obyczaje wykształconego mieszczaństwa, nie pojęła, że sprzątanie nie ma zbyt wysokich notowań. Co innego dbałość o higienę i czyste ubrania. Wymyte ciało, wyprane ciuchy i nieład w mieszkaniu - to jest to. Wy-sprzątane wszystkie kąty stanowiły świadectwo drobnomieszczańskiej pedanterii. Albo jeszcze gorzej: proletariackiego prostactwa. Tylko ten, kto ma coś do ukrycia, przesadnie dba o czystość.

Pod tym względem ma przewagę nad Christina, lepiej sobie przyswoiła styl życia tej klasy, do której obie obecnie należą. W jej mieszkaniu w Kirunie panuje permanentny bałagan. Nie ma to jednak znaczenia, bo ci, co do niej wpadają, to fizycy, którzy uśmiechają się wyrozumiale, ilekroć się standardowo usprawiedliwia: - Entropia rośnie. Zwłaszcza u mnie w domu.

Chętnie jednak mieszkałaby tak jak Christina. Przez kryształowo czyste szyby wpada poranne światło, szerokie deski kuchennej podłogi lśnią aksamitną bielą, a na szmaciaku widać najdrobniejszy niuans. Ale ileż to wymaga zachodu! Poza tym to dzięki Erikowi - zwłaszcza jego odziedziczonym pieniądzom - Christina mogła wszystko tak urządzić. Margareta woli trzymać swoich narzeczonych na dystans, nawet jeśli mają wypchane portfele. Kłopot z większością mężczyzn polega na tym, że w ich mniemaniu są najważniejsi nie tylko w swoim życiu, ale także w życiu kobiety. A Margareta nie chce być postacią drugoplanową.

Teraz trochę się rozejrzy po domu. Wczoraj widziała w salonie interesującą szafkę. Wyglądała jak ołtarz: biały obrus, cynowe świeczniki i stara fotografia młodej, puciołowej Ellen. Można przypuszczać, że szafka kryje tajemnice. Intrygujące tajemnice.

Margareta wyciera mokre od zmywania dłonie w dżinsy i otwiera drzwi do salonu. Cicho skrzypią. Do kuchni zagląda poranne słońce, ale tutaj ciągle jest szarówka. Stoi przez chwilę przy drzwiach, rozgląda się, wolno kręci głową. Teraz widzi to, czego nie zauważyła wczoraj. Christina zrobiła z salonu sanktuarium świętej Ellen. Ktoś wtajemniczony wszędzie zobaczy jej relikwie: mały koronkowy obrus, szklana salaterka na owoce, która stała na stole w dużym pokoju, rdzawoczerwone książki z lat czterdziestych, dzieła zebrane Martina Andersena Nexa, by nie wspomnieć o ikonie w srebrnej ramce. Czyli o fotografii.

Ale Ellen nie potrzebuje świątyni. Nie była świętą, miała po prostu niezwykle talent macierzyński. Potrafiła też warczeć na dziewczęta takim tonem, że mleko się ścinało i muchy padały z wrażenia. Poza tym była skąpa. Bloki rysunkowe i kredki dostawały jak z łaski, w prezencie gwiazdkowym albo na urodziny, przez resztę roku rysowały ołówkiem na starych torebkach i papierze pakowym. Ale jakoś to było. Gorzej rzecz się miała z jej zazdrością. Czasami w jej oczach pojawiały się trujące zielone błyski. Chodziło o jedno. O szkołę. Błyski były wyjątkowo wyraźne, kiedy Christina czekała na decyzję o przyjęciu do gimnazjum. Miała wtedy dwanaście lat i sprawiała wrażenie osoby czekającej na wyrok śmierci. Codziennie rano, blada i zdeterminowana, ustawiała się tuż przy drzwiach, kiedy Ciocia Ellen wychodziła po pocztę. Z upływem dni stawała się coraz mniejsza i chudsza. Jakby długi okres oczekiwania wysysał z niej wszystkie soki, jakby wkrótce miała już nie wstać z łóżka.

Kiedy wiadomość nareszcie przyszła, Ciocia Ellen od razu w ogrodzie otworzyła kopertę i przekroczyła próg domu z listem w dłoniach.

- No i jak? - szeptem zapytała Christina.

Ciocia Ellen z powagą popatrzyła na ścianę, nad jej głową.

- Niestety... Nie dostałaś się...

Twarz Christiny zszarzała na popiół. Wydawało się, że za chwilę zemdleje. Cofnęła się kilka kroków i usiadła na stołku koło półeczki z telefonem.

- Wiedziałam! - powiedziała.

Ciocia Ellen roześmiała się i pomachała listem.

- Ja tylko żartowałam. Oczywiście, że się dostałaś. Z twoimi ocenami.

Christina ciągle siedziała na stołku i nie była w stanie się cieszyć.

Teraz, po latach, Margareta potrafi zrozumieć tę zazdrość Cioci Ellen, ale jej nie akceptuje. Bo nawet jeśli bolała nad tym, że urodziła się w takich czasach, kiedy nieślubne dziecko tkaczki nie miało co marzyć o szkole i seminarium nauczycielskim, powinna być na tyle dojrzała, żeby nie zazdrościć dziewczynkom tego, czego sama nie dostała.

Christina wyparła ten epizod ze świadomości. Pewnego dnia Margareta przypomniała jej o tym w rozmowie telefonicznej. Christina podniosła głos i zarzuciła jej kłamstwo. Kłamstwo i oszczerstwo! Ciocia Ellen była jedyną osobą, która ofiarowała im wszystko, co najlepsze! Potem rzuciła słuchawkę i zerwała ich dyplomatyczne kontakty. Margareta miesiącami musiała się łasić i przymilać, żeby wrócić do łask.

Margareta krzywi się. Czy pamiętanie Cioci Ellen takiej, jaka była, jest oszczerstwem? Czy to znaczy, że mniej ją kocha? Nie. Margareta nie miała lepszej mamy od Cioci Ellen - ze wszystkimi jej wadami i zaletami. Nawet jeśli konkurencja nie była zbyt duża...

Ołtarzyk Cioci Ellen to stara wiejska szafka. Z przodu jest wymalowany rok: 1815. Żeby otworzyć toporne drzwiczki, musi przekręcić kluczyk trzy razy, i kiedy w końcu się to udaje, jest rozczarowana. Na górnej półce leży kilka zaklejonych taśmą plastikowych worków, a na samym dole brązowa papierowa torba. To wszystko. Mało czy dużo, musi to przejrzeć.

Siada na podłodze i wyjmuje worki. Wie, co w nich jest. Robótki Cioci Ellen. Christina bardzo starannie wybrała je na aukcji, nie ma tu nawet jednej setnej tego, co zrobiła Ciocia Ellen, ale to, co wybrała, jest znakomite. Boi się otworzyć pierwszy worek, żeby niechcący nie uszkodzić zawartości. W środku jest koronka z ptasim motywem na niebieskim aksamicie. Margareta uśmiecha się. Ciocia Ellen z trudem ukrywała swój triumf, kiedy członkinie Stowarzyszenia Rzemiosł Artystycznych zaczęły mówić o pokazywaniu tej koronki na wystawach i w muzeach. Rzeczywiście jest imponująca, prawdziwe arcydzieło, rezultat wielu miesięcy żmudnych obliczeń. Obrusy z mereżką też pamięta, wyhaftowanie jednego zajmowało jej dwa miesiące. A to? Tego nie zna. Kraciasty dziewczęcy fartuszek z lamówką w ptaszki i z monogramem „CM”. Christina Martinsson. Dziwne. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek widziała w nim Christinę. A tutaj... - no nie, coś takiego! - niemowlęca koszulka z cieniuteńkiego batystu. To chyba jej własna, tylko ona była w domu Cioci Ellen od małości...

Ostrożnie odkleja taśmę i wyjmuje koszulkę. Jest nie większa od jej dłoni. Czy naprawdę była taka mała? Jak właściwie wygląda czteromiesięczne dziecko?

Margareta kładzie koszulkę na plastikowym worku na podłodze. Ręcznie uszyta, boki ścięciem za igłą, falbanki na okrętkę, na marszczonym kołnierzyku białe hafty. Tyle pracy poświęca się jedynie dla wyjątkowo upragnionego dziecka. No, proszę. Ktoś rzeczywiście chciał mieć Margarete.

- Myślę, że jakiś dobry anioł zobaczył moją samotność i smutek - powiedziała Ciocia Ellen, kiedy Margareta była jedynym dzieckiem w domu - i tak długo potrząsał chmurką, aż spadłaś i wylądowałaś u mnie...

- Czy zrobiłam dziurę w dachu? - spytała Margareta.

- Nie. Bardzo przezornie usiadłaś na wiśni. Któregoś dnia poszłam nazrywać wiśni i znalazłam cię na gałęzi.

- Czy trochę zjadłam?

- Trochę? Bardzo dużo. Zawsze miałaś straszliwy apetyt. Pod drzewem leżało mnóstwo pestek. W tamtym roku nie zrobiłam soku, nie miałam z czego. Ale miałam ciebie.

Margareta miała wtedy pięć lat i choć wiedziała, że to bajka, wtuliła się jeszcze mocniej w Ciocię Ellen i roześmiała, zadowolona.

Wysuwając język, starannie składa koszulkę. Cieszy się, że Christina ją ma. W jej szafce będzie bezpieczna, a kiedy Christina umrze, na pewno się o nią zatroszczy jedna z córek. Oszczędzanie i przechowywanie przedmiotów z myślą o potomkach jest w tej rodzinie czymś absolutnie normalnym. I kiedy to skupisko znanych i nieznanymi częstokładających się obecnie na Margaretę Johansson pewnego dnia się rozsypie i przekształci w tysiące innych skupisk, koszulka zostanie jako dowód jej istnienia. Nagrobek z batystu.

Ech! Siedzi tu i się roztkliwia... Nie ma czasu na sentymenty, musi odłożyć worki na swoje miejsce. Jeśli Christina się zorientuje, że Margareta grzebała w szafce, nie omieszka okazać jej swojej

lodowatej wściekłości. A tego Margareta nie chce. Wystarczy jej zwyczajna powściągliwość Christiny.

Z uśmiechem sięga po torbę na dolnej półce. Ledwie ją muska, uśmiech gaśnie. Otwiera i zagłada. Tak. Nie pomyliła się. W środku jest czapka maturzystki. Czapka Christiny.

Nigdy nie przypuszczała, że Christina będzie chciała ją zatrzymać.

SAMOCHODY UMAJONE BRZEZINĄ, ZABAWNE NAPISY. Hurgot i wrzask.

Margareta stała w tłumie na szkolnym dziedzińcu i próbowała zobaczyć choćby kawałek schodów i głównego wejścia. Niestety. Była za niska. Może gdyby miała buty na wysokich obcasach... Nawet gdyby miała, nie mogłaby się w nich pokazać. Margot uważnie śledziła modę nastolatków i wiedziała, że wysokie obcasy absolutnie nie są modne. Teraz tylko Dooriski chodzą na wysokich obcasach. A ty chyba nie chcesz być Dooris, Małgoniu?

Nie. Nie chciała być żadną Doris. Przeważnie podobały jej się ubrania, które kupowała Margot: krótkie spódniczki, buty na niskim obcasie, białe krótkie botki i sukienki w opartowskie wzory. A jeśli coś jej się nie podobało, też to nosiła. Dla świętego spokoju.

Dzisiaj miała na sobie prostą minisukienkę w kolorze pomarańczy i białe buty bez palców. Była booska! Faaantastyyczna! Chłopcy będą przed nią spadać jak liście osiki... Margareta zachichotała. Wkurzały ją te idiotyczne porównania Margot. Mówiła na przykład, że słońce leje jak z cebra, a podłoga jest śliska jak wąż.

Nieważne. Teraz ma kilka godzin dla siebie, Margot byłaby wręcz zawiedziona, gdyby wróciła zbyt wcześnie. Dostała pięćdziesiąt koron na kwiaty - „Kup dla wszystkich kumpli z klas maturalnych, Małgoniu, o nikim nie zapomnij!” - i Margot spodziewała się, że dzięki tej inwestycji Margareta będzie chodziła z jednego przyjęcia na drugie przynajmniej do północy.

Tymczasem Margareta postanowiła uczcić tylko jedną maturzystkę. Christinę. Był to rodzaj pokuty. Wystarczająco długo miała wyrzuty sumienia z powodu siostry. Odkąd mieszkały w Norrköpingu, ani razu się nie umówiły, wymieniały się jedynie na korytarzu zdawkowymi informacjami o Cioci Ellen. Christina spotkała kiedyś Hubertssona przed szpitalem, Margareta - w tajemnicy przed Margot - dzwoniła do niego raz w miesiącu. Tylko o tym rozmawiały. Ani słowa o sobie nic o Birgittie. To było takie ciche porozumienie.

Christina nie wyglądała zdrowo. Od roku nie wyglądała zdrowo. Błada jak duch, z podkrążonymi oczyma, na każdej przerwie stawała gdzieś na uboczu i wkuwała. Margareta trzymała się wydzielonego miejsca dla palaczy, gdzie zawsze było głośno i wesoło. Czasami zerknęła na Christinę, ale ta nigdy na nią nie spojrzała. Jakby poza książkami świata nie widziała, jakby do niej nie docierało, że dziedziniec szkolny oferuje mnóstwo ewentualnych przygód. Chociaż już w domu Cioci Ellen żyła w swoim świecie. Nigdy nie opuszczała ogrodu, nie chodziła na plac zabaw jak Birgitta i Margareta, latem nie kąpała się w Yramonie, zimą nie zaglądała do biblioteki ani nie udzielała się, jak Margareta, w skautowskiej drużynie Młodych Orłów, nigdy nie miała przyjaciółki. Niczym mniejsza i bledsza kopia Cioci Ellen siedziała nad koronkami i haftami. Ciocia Ellen chyba miała jej trochę dosyć...

Ale teraz Margareta uczci maturę Christiny. Kupiła trzy żółte róże, które zawiesi jej na szyi, i tomik wierszy zebranych Karin Boye, który jej uroczyste wręczy na przyjęciu. Nie wiedziała, gdzie Christina mieszka, ale może przecież o to spytać, dając jej kwiaty...

Ciekawe, gdzie jest jej mama? Margareta rozejrzała się. Na pewno rozpozna tę wiedźmę, jej wizyta w domu Cioci Ellen pozostawiła niezatarte wrażenie. Ale na dziedzińcu były takie tłumy, że nie mogła jej dostrzec.

Tłum drgnął. Idą! Z daleka dały się słyszeć przenikliwe głosy śpiewające maturalną piosenkę, na chwilę przyłączyła się do nich samotna trąbka, po czym rozległy się okrzyki radości.

Maturzyści wypadli na dziedziniec, tłum się rozstąpił, pozwalając im przedelfować.

Margareta zawsze była podatna na tego typu atmosferę, teraz znalazła się nagle w pierwszym rzędzie i podskakiwała, zachwycona. Ale z niej idiotka! Dlaczego nie kupiła więcej kwiatów! Tam był Anders, ten z ogromnymi uszami, musi go przynajmniej uściskać. A tam jest Leif! I Carina, w najładniejszym maturalnym stroju, jaki w życiu widziała! Cmok, cmok, cześć, cześć, gratulacje, gratulacje!

Spocona i zaczerwieniona, uwolniła się wreszcie z objęć Andersa i rozejrzała. Gdzie Christina?

Czyżby już odjechała jednym z samochodów przystrojonych gałązkami brzeziny?

Nie. Jest! To chyba Christina pewnym krokiem przemierza dziedziniec? Zacięta i blada jak zwykle, chociaż nie zachowywała się tak jak zwykle. Podniosła lewą rękę, jak tarczę, kładła ją na plecach kompletnie obcych ludzi i odsuwała ich na bok, przeciskała się między szczęśliwymi matkami i wiwatującymi maturzystami, odepchnęła łokciem jakąś starszą kobietę... Co jej się stało? Zwariowała?

- Christina! - krzyknęła Margareta, biegnąc do niej. - Gratuluję! Gratuluję!

Christina zatrzymała się na chwilę, opuściła rękę i ruszyła przed siebie. Margareta dopadła ją tuż przed furtką.

- Poczekaj, Christina! Poczekaj!

Christina odwróciła się i patrzyła na nią niewidzącym wzrokiem, potem zamrugowała i znowu stała się sobą. Margareta zawiesiła jej kwiaty na szyi, kołysały się samotnie na białej bluzce, jednej z tych, jakie można było kupić w „Hennes & Mauritz” za 9.90. Prosta biała spódnica kosztowała chyba tyle samo. Na nogach miała stare czółenka, które pewnie na tę okazję zostały pomalowane na białe. Nie najlepiej to wyszło, farba popękała w załamaniach, obnażając oryginalny kolor. Brązowy. Christina śledziła jej spojrzenie, przez chwilę obie wpatrywały się w czółenka. Margareta się spieszyła.

- Gratuluję - powtórzyła, podnosząc wzrok. - I powodzenia.

- Dziękuję.

- Gdzie się bawisz?

Christina roześmiała się, zabrzmiało to jak chrząknięcie. Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ obok nich stanęła nagle niska, pulchna kobieta.

- Christina! - powiedziała. - Tu jesteś! Gratuluję, drogie dziecko!

Policzki Christiny nabrały koloru, dygnęła i z wdziękiem pochyliła głowę, żeby kobieta mogła zawiesić jej na szyi bukiet konwalii.

- A gdzie twoja mama, kochanie? Chciałabym się z nią przywitać. W takim dniu na pewno jest z ciebie dumna...

Christina znów dygnęła.

- Nie mogła przyjść, siostrze Elsie. W nocy zachorowała.

Pulchna kobieta podniosła dłoń do ust.

- Ojej, co za pech! Akurat dzisiaj. Ale to chyba nic poważnego?

Christina dygnęła. Dygała bodaj za każdym razem, kiedy zwracała się do tej kobiety.

- Nie, chyba nie. Wczoraj wieczorem miała wysoką gorączkę. Czterdzieści jeden i dwie kreski.

Dlatego, niestety, musiałyśmy odwołać przyjęcie...

Siostra Elsie zmarszczyła czoło.

- Czterdzieści jeden i dwie kreski? Hmm. Jeśli nie spadnie, musisz dopilnować, żeby obejrzał ją lekarz.

Christina dygnęła.

- Tak zrobię. I ogromnie dziękuję, że pani przyszła.

Siostra Elsie poklepała ją po policzku.

- Nie ma za co dziękować, malutka. Przyjemnie jest wiedzieć, że ciągle są przyzwoite dziewczęta.

Christina ruszyła w tym samym momencie, w którym siostra Elsie zniknęła z pola widzenia. Margareta pospieszyła za nią.

- Szkoda, że twoja mama zachorowała. Musisz wracać do domu, czy możemy pójść gdzieś na kawę? Ja stawiam, mam pieniądze...

- Ona nie jest chora.

- Co? -

- Astrid nie jest chora, jest w pracy. Tylko tak powiedziałam.

- I robisz przyjęcie?

- Nie.

Szła dużymi krokami. Margareta prawie biegła, żeby nadążyć.

- To co? Pójdziemy na kawę, żeby to uczcić?

- Nie. Nie mogę.

- Dlaczego?

- Nie zdążę. Spieszę się na pociąg.

Skręciła w Drottninggatan. Duże palce wysunęły się Margarecie z butów, musiała się oprzeć o ścianę, żeby to poprawić, i kiedy znów ruszyła, Christina była pół przecznicy przed nią, musiała podbiec, żeby ją dogonić. Palce znowu się wysunęły.

- Poczekaj - wydyszała. - Jaki pociąg? Dokąd jedziesz?

- Do Yadstény - odparła Christina. - Dostałam pracę w szpitalu, w którym jest Ciocia Ellen.

Christina musiała wszystko przygotować tego samego dnia rano. Jej walizka była w skrytce na dworcu, bilet miała w bezpiecznym miejscu, w zamykanej na suwak przegródce portfela. Uspokoila się nieco, kiedy wyjęła walizkę, od razu postawiła ją między nogami i rzuciła okiem na dworcowy zegar.

- Mamy trochę czasu - powiedziała. - Pociąg odjeżdża za pół godziny.

Mimo to chciała natychmiast iść na peron. Podnosząc walizkę, wykrzywiła się lekko, ale nie zgodziła się, żeby Margareta pomogła jej nieść, przekładała ją tylko z ręki do ręki. Usiadły na ławce i patrzyły na tory.

- Jestem wolna - powiedziała Christina.

- Co?

- Nie, nic...

- Gdzie będziesz mieszkać? W szpitalu?

Christina roześmiała się.

- Nie, u zakonnicy. Jest tam bardzo tanio. A za pomoc w kuchni można dostać rabat...

Margareta wahała się.

- Jesteś religijna?

Christina znowu się roześmiała, jakby po wyjściu na peron wstąpiło w nią nowe życie.

- Nie, nie jestem. Ale potrzebuję trochę ciszy i spokoju. I klasztor chyba jest właściwym miejscem.

- A co na to twoja mama?

- Astrid? Nic nie wie.

- Nie wie, dokąd jedziesz? A jeśli zaczną cię szukać? Nie jesteś przecież pełnoletnia.

Christina wzruszyła ramionami.

- Wątpię. Musiałyby pójść na policję, a na to się nie zdobędzie. Poza tym moja nieobecność tylko ją ucieszy.

- Tak myślisz?

- Tak. Może zafunduje sobie kota. I wrzuci go do wirówki.

Margareta zaczęła błądzić myślami, nachyliła się, popatrzyła na palce u nóg, lśniły świńskim różem na tle białych butów. Idiotycznie. Idiotyczne buty.

- Czy jest aż tak źle? - zapytała na koniec.

- Tak - powiedziała Christina. - Jest źle.

Została na peronie do odjazdu pociągu. Christina wychyliła się przez okno w swoim przedziale, jej włosy rozwiewał wiatr, i wymachiwała czapką maturzystki, jakby wypila za dużo szampana. Margareta powściągliwie odwzajemniła gest pożegnania. Czula ogarniający ją niepokój, jakby pod skórą rozpełzły się błonkówki, jakby się wgryzały tuż pod sercem, jakby po jej ramionach spacerowały tłuste muchy, jakby z każdego zakamarka jej ciała wylaziły pająki, żeby zebrać się w krtani. Oddychała z trudem.

W dworcowej kasie rozmięła koronę na cztery dwudziestopięćdziesiątki i stanęła w kolejce do kabiny telefonicznej. Kiedy wreszcie weszła do środka, była tak zdenerwowana, że ledwie udało jej się trafić monetą w otwór.

Odebrała kobieta. Margareta posłużyła się swoim najbardziej dziecinnym głosem.

- Dzień dobry, nazywam się Margareta Johansson. Chodzę do drugiej be. Czy mogłabym rozmawiać z adiunktem Andre?

- Chwileczkę! - Kobieta przykryła słuchawkę dłonią i zawołała: - Bertiiii! Telefon! To twój

uczeń! Podeszedł niemal od razu.

- Halo! - odezwał się z lekką irytacją w głosie.

- To ja.

Wstrzymał oddech.

- Oszalałaś?! - syknął. - Dlaczego dzwonisz tutaj?

- Proszę - szepnęła Margareta, wpatrując się w perforowaną ściankę przed sobą i rozdłubując palcem lekko już zniszczony otwór. - Nie złość się! Bardzo tęsknię... Czy nie możemy się spotkać dzisiaj wieczorem?

Wracając do domu tuż po północy, wymyśliła kuzyna ze Sztokholmu. Spotkała go u Andersa... nie, u Rasmusa, bo Margot nie wiedziała, kto to jest... Kuzyn miał na imię Peter i był ciut za idealny, żeby był prawdziwy. Blondyn z bitelsofską grzywką, niebieskooki i opalony. Grał w tenisa. Tata prowadził firmę samochodową, a on sam chciał zostać adwokatem. Znak Zodiaku: Skorpion. Ulubiony kolor: niebieski.

Margot kupiła to natychmiast. Siedziała na pękatej kanapie, pod różowym szlafrokiem miała gorset, a na głowie frotowy ręcznik w tym samym odcieniu co szlafrok.

- Pocałował cię? - spytała, kładąc swoją małą, pulchną dłoń na dłoni Margarety.

Margareta powstrzymała się przed zabraniem ręki.

- Nie. Oczywiście próbował, ale się nie zgodziłam. Pocałował mnie tylko w policzek...

- To dobrze. Nie trzeba zbyt łatwo ulegać. Spotkacie się znowu?

Margareta skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Mmm. Jutro wieczorem idziemy do kina, a po południu obiecałam pokazać mu miasto.

Margot uniosła ramiona i zagruchała z zachwytu.

- Wspaniale! Co na siebie włożysz?

Margareta westchnęła w głębi duszy, była zmęczona, skołowana, bolał ją brzuch, ale cóż, za wikt i opierunek trzeba płacić.

- Nie wiem - odpowiedziała, przekrzywiając głowę. - Myślałam, że ty mi pomożesz coś wybrać.

Margot zachichotała.

- Teraz?

Margareta skinęła głową.

Cicho weszły po schodach, Margareta z białymi butami w ręku, Margot w różowych frotowych kapciach. Ile ona miała kapci frotte? Różowe, jasnoniebieskie, turkusowe, czerwone... I do każdej pary szlafrok w tym samym kolorze. Musiało konweniować. To ważne. Ci, którzy tego nie rozumieli, nie mieli klasy.

Pokój Margarety konweniował. Czasami wydawało jej się, że i ona jest jedynie elementem wyposażenia, detalem, który wieńczył dzieło. Pokój dla dziewczynki wymaga dziewczynki. Na rok przed pojawieniem się Margarety Margot kupiła w Londynie zasłonki, tapety i narzutę. Po prostu nie mogła się oprzeć! Pomyśleć tylko: identyczne róże na ścianie, na zasłonce i narzucie. Takie cuda można było znaleźć tylko w Londynie, nigdy w tym ponurym socjalistycznym kraju. Przez całe życie Margot chciała mieć córkę, uroczą nastolatkę, która mieszkałaby w pokoju z kwiecistymi tapetami. Więc kiedy zobaczyła tę tapetę, uznała, że już czas. Wszystko odbyło się niesłychanie sprawnie. Pracownikowi komisji do spraw opieki nad dziećmi wystarczył jeden rzut oka na willę, by dojść do wniosku, że jest to idealny dom zastępczy. Prawdziwy raj dla dziewczynki. Siły wyższe też miały w tym swój udział. Każdy ma swojego anioła stróża i stróż Margot był niezwykle aktywny. Nazywał się Astor. Czy mówiła o tym?

Weszły na piętro. Regularne pomruki, które słyszały, nagle ucichły. Margot znieruchomiała.

- Pst! - powiedziała, kładąc palec na ustach.

Zamarły na sekundę, Henry znów zaczął chrapać i Margot zachichotała.

- Myślałam, że się obudził... A tego przecież nie chcemy.

Margareta uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- My, dziewczęta, musimy mieć trochę czasu dla siebie - powiedziała Margot i otworzyła drzwi do pokoju Margarety.

- Zaraz zobaczymy, kruszynko, co ty tam masz w szafie...

Po półgodzinie stanęła na niczym. Margareta wkładała jedną sukienkę po drugiej i okręcała się przed lustrem. Margot wsparła głowę na rękę i była coraz bardziej zmartwiona.

- Nie - stwierdziła. - To się nie nadaje. Jutro z samego rana musimy pójść do miasta... W nowym butik na Drottninggatan widziałam śliczne sukienki, żółte i zielone. Butik? Czy tak się to wymawia?

Margareta skinęła głową i uśmiechnęła się. Uśmiech miał osłodzić jej obiekcje.

- Jutro rano idę do szkoły...

- E, tam - skwitowała Margot, machając ręką. - Napiszę ci usprawiedliwienie. Poza tym to nie potrwa długo, zdążysz na późniejsze lekcje...

- Ale jutro kończymy wcześniej, jest sobota.

- Wszystko jedno. Za poważnie to traktujesz, dziewczynki właściwie nie muszą mieć matury. I nie mów Peterowi, że wybrałaś fakultet matematyczno-przyrodniczy, bo się wystraszy. Już ci mówiłam, że chłopcy nie lubią zanadto inteligentnych dziewcząt.

Margareta nie zdążyła odpowiedzieć, bo otworzyły się drzwi. W progu stanął Henry. Spodnie jego pasiastej piżamy wypychał potężny wzwód.

- Przyjdiesz, Margit?

Margot podniosła się, poirytowana.

- Mam na imię Margot. Margot, nie Margit! Czy tak trudno to zapamiętać...

Pospiesznie przejrzała się w lustrze, zwilżyła wargi i przygotowała się do posłuszeństwa.

Margareta szybko umyła zęby, wróciła do swojego pokoju i zatkała uszy. Nic to nie dało. Henry miał hałaśliwe nawyki w łóżku. Jego jęki przenikały przez ściany.

Teraz już wiedziała, że wata w uszach to za mało. Żeby go nie słyszeć, musiała dodatkowo przyciskać palcami podwinięte do góry płatki uszu. Wtedy mogła się położyć i udawać, że nic szczególnego się nie dzieje.

Kłopot polegał na tym, że w takiej pozycji nie mogła zasnąć. U Cioci Ellen zawsze zasypiała na plecach, z ręką pod głowę. W parę minut. Teraz długo leżała z otwartymi oczami. Fatalnie. Znacznie bardziej lubiła swoje sny niż myśli, a nie śpiąc, nie mogła nie myśleć. Noc za nocą wytaczała sobie proces sądowy. Kim jest Margareta Johansson? Czym jest? Osobą o wstydliwych tajemnicach. Podwójnym graczem. Kłamczuchą. Hipokrytką.

A jednak nie widziała innego wyjścia, nie miała pojęcia, jak w tym domu przeżyć bez kłamstw. Gdyby zaczęła mówić prawdę, skończyłaby tak samo jak kłopotliwy pudel, którego Margot kazała uśpić w zeszłym roku. Oczywiście nie zaprowadziłaby jej do weterynarza - to byłoby całkowicie pozbawione stylu - ale z całą pewnością odesłałaby ją tam, skąd przyszła. I Bóg jeden wie, jak by wyglądał jej kolejny dom zastępczy. O kolejnej szkole nie wspominając.

Właściwie nie myślała o Margot źle. Czasami ją irytowała, ale najczęściej jej współczuła. Była nieco śmieszna w tych swoich wiecznie konwenujących i niedobrze na niej leżących ubraniach. Nigdy nie pokazywała swoich prawdziwych włosów, jeśli nie miała na głowie peruki, okręcała ją rącznikami. Nie była jednak łysa, czasami spod turbanu wymykały się cienkie kosmyki. Chyba po prostu nie chciała pokazywać włosów tak jak nie pokazywała swojego ciała. Ani razu nie zdjęła gorsetu, nosiła go nawet pod szlafrokiem, kiedy udawała małe, słodkie kobieciątko, przeciągające się na kanapie po kąpielu w pianie. Ubiegłego lata chodziła w peruce, gorsecie i nylonowych pończochach mimo trzydziestostopniowych upałów. Wtedy właśnie Margareta zrozumiała, że Margot się wstydzi. Bo po cóż miałyby tak się zasłaniać.

Ciocia Ellen niczego nie ukrywała i nigdy nie nosiła pończoch latem. Siadała w ogrodzie i wystawiała nogi do słońca, nie przejmując się zylakami. Ale o tym Margareta nie myślała, wołała nie myśleć o Cioci Ellen, zwłaszcza kiedy była sama. W szkole jakoś się to udawało, w kawiarni z koleżankami z klasy też, ale nie wtedy, kiedy była sama. Czyja to wina? Dlaczego wszystko się potoczyło tak, a nie inaczej? O tym też wołała nie myśleć.

Margot nie lubiła słuchać o Cioci Ellen. Najczęściej Margareta nie mogła nawet napomknąć, że jest przybranym dzieckiem. Margot chciała udawać, że łączą je prawdziwe więzy pokrewieństwa. Za-

życzyła sobie, żeby Margareta zwracała, się do niej per mamcia, ale kiedy się zorientowała, jak drętwo i nienaturalnie to brzmi, zadowolona się „Margot”. Wielu nowoczesnych rodziców pozwalało, by dzieci mówiły im po imieniu. Czytała o tym w „Vecko-Revyn”. A może w „Femina. Albo w „Damernas Varld”.

Pisma kobiece były jedynymi przyjaciółkami Margot. W ich towarzystwie spędzała czas, kiedy Margareta była w szkole, a Henry w firmie. Przy kolacji można się było domyślić, który tygodnik miała danego dnia w ręku. Jeśli „Svensk Damtidning”, wszystko było „zachwycające”, jeśli „Damernas Varld” - „szykowne”, a odkąd, wraz z pojawieniem się Margarety, zaczęła prenumerować „Bild-Journalen” i „Vecko-Revyn”, życie stało się na kilka miesięcy „supercool” albo „przesłodkie”.

Henry nie widział nic nagannego w tym, że żona żyje w świecie marzeń. Czasami kręcił głową i mówił, że jest szalona, najczęściej jednak na wszystko jej pozwalał. Kiedy domagała się od niego kilkuset koron - co robiła niemal codziennie - wyjmował portfel i rozbawiony mruczał coś o kobiecych fanaberiach. Margareta podejrzewała, że ją też uważa za jedno z szaleństw Margot. Ot, kosztowny kaprys w takim samym stylu jak kupno futra albo dywanu. Żeby żonusia miała się czym zająć i żeby nie była zanadto narowista. On nigdy nie okazał jej zainteresowania, nawet przez sekundę nie potraktował jej jak przybranej córki, ledwie się z nią witał. Miał swoją firmę, ze zwykłego warsztatu stolarskiego stworzył prawdziwą fabrykę mebli, w której zatrudniał przeszło trzystu pracowników. Stać go było na zwariowaną żonę i rozpieszczane przez nią, przybrane dziecko, ale nie miał, rzecz jasna, czasu na poświęcanie im uwagi. Nie licząc nocy, kiedy to Margit - albo Margot, bo tak się teraz nazywała - musiała się wywiązywać z jedynego obowiązku, z jakiego kobieta jest w stanie wywiązać się naprawdę dobrze.

Tak. W takim domu można było tylko kłamać. W zamian za utrzymanie Margot żądała zaufania, odpowiedniego rodzaju zaufania. Margareta miała urzeczywistniać świat tygodników i dlatego musiała wymyślać idealnych chłopców i dosyć niewinne romanse. Pewnie, że była w tym jakaś boska sprawiedliwość, to była kara. Pleciuga musiała milczeć, nie mogła już mówić wszystkiego, co ślina na język przyniesie.

Zaczęła się uczyć tego i owego o świecie, o czym wcześniej nie miała pojęcia. Na przykład tego, że za wszystko trzeba płacić, nic nie ma za darmo. Więc się dostosowała, stała się zabawką i lalką do przebierania. Przynajmniej do matury. Jeśli jazda Margot niepotrzebnie się martwiła, jej oceny i szkolne sukcesy raczej nie odstraszą ewentualnych zalotników.

Na dobrą sprawę nie chciała zalotników. Nie chciała nawet mieć chłopaka. Od każdego zalatywało jakimś zatęchłym zapaszkiem pożądania. Przerazały ją te wyziewy i odrzucały. Ale nie do końca. Beztrosko flirtowała, stojąc na przerwach w miejscu wydzielonym dla palaczy, strzelała oczami, rzucała cięte repliki, ale kiedy któryś z chłopców chciał ją objąć, sprytnie się wyślizgiwała. Pragnęła mężczyzny. Dużego mężczyzny, żeby przesłaniał połowę nieba...

Ostrożnie zdjęła rękę z ucha. Już? Tak. Henry chrapał, nareszcie mogła się położyć na plecach.

Odwracając się, poczuła lekki ból podbrzusza. Westchnęła. Nic za darmo. Tyle ją kosztował duży mężczyzna. Który przesłaniał połowę nieba.

Andre. Tak się do niego zwracała. Po nazwisku. Nie umiała się zdobyć na mówienie mu „Ber-til”. Takie imię było dobre dla kujonów i księgowych, ale kompletnie nedoręczne dla kochanka.

Bo on był jej kochankiem. Miała siedemnaście lat i prawdziwego kochanka.

Nie bardzo wiedziała, czy powinna się tego wstydzić, czy się tym chlępić. Kiedy siedziała z przyjaciółkami w jakiejś kawiarni i plotkowała, na samą myśl o nim w jej oczach mogły się nagle pojawić łzy upokorzenia - Stary dziad! Rany boskie, śpi ze starcem! - ale ilekroć widziała go na szkolnym korytarzu, krew napływała jej do policzków i musiała ukrywać swoją radość. Tam idzie mój kochanek! Tylko my dwoje o tym wiemy, nikt inny.

To dobrze, że nie uczył w jej klasie. Tylko raz - wkrótce po jej przyjeździe do Norrkópingu - miał u nich zastępstwo. I wtedy się to zaczęło, w tym samym momencie, w którym uderzył zniszczoną teczką o katedrę i powiedział:

- Czołem, smarkacze. Siadajcie i bądźcie cicho.

Zaszurały krzesła, pojawiły się uśmiechy, zapanował nastrój oczekiwania. Andre. Wiadomo, co

to za jeden.

- Nowa uczennica? - powiedział, sprawdzając listę obecności. - Margareta Johansson. Gdzie jesteś?

Pomachała ręką. Wstał i ruszył między ławkami, z dłońmi głęboko w kieszeniach flanelowych spodni. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał ciemne, gęste włosy. Przypominał jej amerykańskiego aktora, jakżeż on się nazywa... Dean Martin. Jasne. Hubertsson też był trochę podobny do Deana Martina.

- Z Motali? Czy w Motali ma się jakieś pojęcie o geografii?

Klasa zachichotała. Margarecie się to spodobało, to był życzliwy chichot. Uśmiechnęła się.

- O, tak. Nawet spore.

Usiadł na krawędzi jej ławki, jego udo było kilka centymetrów od jej ręki.

- Tak mówisz. W takim razie chyba potrafisz wymieniwać rzeki w Hallandii.

Klasa znowu zachichotała. Margareta cofnęła rękę i wyrecytowała starą rymowanekę, którą zapamiętała z podstawówki.

- Lagan, Yiskan, Atran, Niskan...

Wszyscy ryknęli śmiechem. Margareta zamrugała oczami. Aż takie śmieszne to chyba nie było? Andre odczekał, dopóki się nie uspokoili, i z lekkim uśmiechem powiedział:

- Bardzo dobrze. - Wstał. - Zwłaszcza Niskan.

- Oj! Nissan... - szepnęła Margareta i podniosła dłoń do ust.

Od tamtej pory zawsze się do niej uśmiechał, ile razy spotykali się na korytarzu. Margareta odwzajemniała uśmiech, ale za każdym razem coraz wstydliej. Ten błysk w jego oczach... Mocniej przyciskała książki do piersi i czym prędzej uciekała.

- Dlaczego się czerwienisz? - zapytała ją koleżanka z ławki, kiedy weszła do klasy.

- Ja się czerwienię?

- Ech! Nie zgrywaj się...

Przez całe wakacje o nim fantazjowała. Tak często i intensywnie, że w końcu zaczął się jej śnić. To były dziwne sny. Noc w noc mocowali się z sobą na szkolnym dziedzińcu, dyszeli, sapali, stękali i jęczeli.

Ona nie chciała się mocować z Andre. Chciała, żeby ją pocałował.

Pilnował ich na pierwszym szkolnym balu w semestrze jesiennym. Komitet uczniowski wybrał go na męża zaufania. Było czymś zupełnie naturalnym, że tego wieczoru kilka razy z sobą rozmawiali, a raz chwycił ją nawet za rękę, kiedy przechodziła obok. To, że poprosił ją do tańca, można było uznać za gest uprzejmości wobec komitetu uczniowskiego, który reprezentowała. Albo za żart, jedno z typowych zagrań Andre. Kiedy ją objął w talii, na sali gimnastycznej pojawiły się uśmiechy. Patrzcie! Andre tańczy z Margaretą!

Zachowywał dystans, nie przyciskał jej ani nie przytulał, pewnie prowadził ją po parkiecie, nie odrywając od niej wzroku. Zmrużył oczy, kiedy przypadkiem musnęła brzuchem jego podbrzusze, rozchylił wargi i na moment załśniły jego zęby. Sprawiało jej przyjemność, że na nią patrzy, bardziej jednak absorbowały ją jego dłonie: lewa, spleciona z jej dłonią, prawa, na jej plecach. Były naprawdę ogromne. Cała mogłaby się zmieścić w jednej, zwinąć w kłębek i zasnąć. Chciała, żeby ją wziął na rękę, mocno przytulił i obracał wkoło.

Podziękował za taniec, dotknął policzkiem jej policzka, poczuła prąd w całym ciele, speszzyła się i nie usłyszała, co jej szepnął.

- Przepraszam - wydukała, wpatrując się w swoje ramię. Przeszły ją ciarki. Jakby marzła. Pochylił się nad nią i powtórzył:

- Jesteś małą diabolicą. Prawda?

Po ostatnim tańcu włożył płaszcz, ale nie wyszedł, zwlekał blisko godzinę, podczas gdy Margareta i inni reprezentanci komitetu uczniowskiego sprząтали salę. Ustawił się w otwartych drzwiach i wychodzący uczniowie musieli się schylać pod jego ramieniem.

Wreszcie została tylko Margareta. Stała w sali gimnastycznej, złożyła ręce na łonie. Miała nadzieję, że jest urocza, po raz pierwszy w życiu zależało jej na tym.

On oparł się o futrynę i patrzył na nią.

- Chodź tutaj - powiedział.

Teraz to się stanie, pomyślała i wysunęła jedną nogę naprzód. Teraz to się stanie. To jest rzeczywiste. Kiedy w nią wszedł, wzywał Boga.

Potem razem szli przez dziedziniec, on pierwszy - dużymi krokami, ona za nim - potykając się i na w pół biegnąc. Zanim przekreślił kluczyk w stacyjce, zapalił papierosa, w świetle zapalniczki na jego twarzy igrały cienie.

- Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś dziewczyną?

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po papierosa.

- Bolało?

Pokręciła głową. Nie, nie bolało. Było jej wspaniale. Ale inaczej niż jemu, nawet przez sekundę nie korciło jej, żeby kogokolwiek wzywać. Chciała zostać w swojej ciszy. Kiedy nic nie mówiła, była zamknięta, otulona, wsobna. To, co się stało, było poza słowami, i dopóki milczała, czuła dotyk jego ciała, dopóki nie otwierała ust, czuła jego smak.

- Odpowiedz! Sprawilem ci ból?

Położyła dłoń na jego dłoni, nagle bardzo chciała znać język migowy, jakim się posługują ludzie głusi. Nie wiedziała jednak, co jej palce mogłyby w tej sytuacji powiedzieć.

- ZASRANIEC!

Ze łzami w oczach Margareta chowa czapkę maturzystki do papierowej torby i wkłada ją do szafki. Do tej pory, ilekroć myśli o Andre, ogarnia ją wściekłość. Gdyby tu był, dałaby mu w twarz! Gdyby... I komu? Trupowi albo starcowi stojącemu nad grobem. W jakimś domu starców. Ale może mu przynajmniej życzyć podagry. Ewentualnie jakiejś innej starczej przypadłości. Bolesnej.

Wykorzystał ją. To prawda, że ochoczo rzuciła mu się w ramiona, że zakradała się do szatni dla nauczycieli i wsuwała liściki do kieszeni jego płaszcza, to prawda, że dzień w dzień wystawała przed szkołą i czekała na niego, ale przecież nie miała jeszcze siedemnastu lat. A on miał ile? Czterdzieści. Albo czterdzieści pięć. Nauczyciel, ojciec trojga dzieci. Wiedział, że ona nie ma rodziców i mieszka w rodzinie zastępczej, wiedział, że ogryza paznokcie i czasami ma katar żołądka. Powinien był zrozumieć, że chciała jedynie być zauważona. A co jej dał? Szybki kurs, jak zostać Lolitą.

Dotarło to do niej dopiero wtedy, kiedy przekroczyła czterdziestkę. Ponad dwadzieścia lat czuła się koszmarnie, ponieważ różniła się swoją seksualnością od innych kobiet, ukrywała się z tym, krążyła w cieniu innych małżeństw, budowała swoje związki na zdradzie, kłamstwie i pozorach. Co z tego, że się szczerzyła do swojego odbicia w lustrze i dowcipkowała, że złe dziewczęta wcale nie są najgorsze? W głębi duszy była przekonana o własnej bezwartościowości. To Andre ją zniszczył, to on jej wpoił, że w zamian za każde przyjazne słowo musi rozkładać nogi. Seks za czułość. Seks za okazanie zainteresowania. Za prawo do istnienia ktoś taki jak Margareta Johansson musi płacić seksem.

Gdyby Andre zostawił ją w spokoju, może spotkałaby chłopca w swoim wieku, jakiegoś okularnika z przyszczatą twarzą i spoconymi dłońmi. Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej. Wtedy mogliby się kochać, zamiast tylko z sobą kopulować, mogliby się kłócić i godzić, zasypiać w swoich ramionach, ufać sobie.

Z trzaskiem zamyka drzwi szafki. Co takiego powiedziała Moa Martinsson? „Ufać mężczyźnie? Żeby za to oberwać?” Teraz schowa klucz i weźmie prysznic. I zapomni, że go kochała, że nigdy nie kochała innego mężczyzny, nie myśląc o Andre.

O tym zasańcu.

Kiedy wchodzi po schodach, dzwoni telefon. Zatrzymuje się w pół kroku, nie bardzo wiedząc, gdzie ma odebrać, na górce czy na dole. Za późno się decyduje, w przedpokoju włącza się automatyczna sekretarka i Margareta słyszy formalny głos Christiny. Schodzi. Może to Christina. Jeśli tak, musi podnieść słuchawkę.

Tak, to jej siostra, poznaje po kilku słowach. Tyle że to ta zła siostra.

- Ty pieprzona, nadęta cipo - bełkoce Birgitta. - Że też możesz być tak kurewsko podła! Żeby odmawiać człowiekowi pieniędzy na bilet autobusowy! I jak można pisać takie listy? Co?! Co ty, kur-

wa, masz pod sufitem?! Ale strzeż się...

Margareta odruchowo podnosi słuchawkę, każdą komórką ciała czuje, że będzie tego żałować. Mimo to odbiera.

- Halo? Birgitta?

Na sekundę zapada, cisza.

- Margareta...? - mówi Birgitta. - Czy to Margareta?

- Tak.

- Jezu. Myślałam, że siedzisz w tym swoim Japońskim piekle. Albo w Afryce.

- W Afryce?

- No. Przecież jakiś czas pracowałam w Afryce...

- Nie, w Ameryce Łacińskiej. Byłam tam tylko przez trzy miesiące. Dawno temu.

- Jedna cholera. Co robisz u glisty?

Powinnaś to wiedzieć, myśli Margareta. Ale zatrzymuje to dla siebie. Ogarnia ją lęk. „Co za wstyd! Co za wstyd! Ciebie nie chciał nikt!”

- Jestem przejazdem - mówi krótko.

Miałyby ochotę powiedzieć coś zupełnie innego. „Dzięki za list i za nieprzespaną noc, kochana siostrzyczko. Ale nie zapominaj, że siedzimy w tej samej łodzi. Ciebie też nikt nie chce. Nawet twoja mamunia”.

- Masz samochód?

- Tak, ale...

- Super. Mogłabyś po mnie przyjechać? Jestem załatwiona na amen.

Aha, już lecę, myśli Margareta, po czym słyszy swoje słowa:

- Zaraz, a gdzie ty jesteś?

- W Norrköpingu.

- W Norrköpingu? Co tam robisz?

- To długa historia. O tym potem. Ile czasu zajmie ci dojazd do Norrköpingu? Godzinę? Za godzinę czekam przed komisariatem...

- Moment! - woła Margareta, ale jest już za późno. Birgitta odłożyła słuchawkę.

I co tu robić? Margareta uśmiecha się z rezygnacją do swojego odbicia w lustrze łazienki. Co ma zrobić dobrze wychowana kobieta, kiedy jej siostra jest w potrzebie?

Mieć to w dupie. I tyle.

Od razu czuje się nie w porządku. Ale Birgitta jest dorosła, powinna się była nauczyć, że nie może wyłącznie rozkazywać. I jeśli się jakoś dostała do Norrköpingu, to na pewno się stamtąd jakoś wydostanie.

Najwyraźniej powiększyła swój rewir. Utrzymywały ze sobą sporadyczne kontakty, przez ostatnie dziesięć lat najczęściej siedziała na miejscu, czyli w Motali. Chociaż całkiem możliwe, że to kolejne ogniwo w łańcuchu ciągłego udawania. Birgitta nie domyśla się, że Margareta wie o jej krótkich wycieczkach. Na przykład do Yadstenu, żeby podrzucić na biurko Christiny torebkę z kupą i zwędzić receptariusz. Albo kilka miesięcy temu do Hinseberga. Ale ilekroć wybiera się do zakładu, dzwoni do Margarety i obwieszcza radosną nowinę: tym razem definitywnie kończy z piciem i ćpaniem. Absolutnie definitywnie.

Przez pierwsze lata po wylewie Cioci Ellen Birgitta często jeździła do Norrköpingu. Margareta widziała ją na własne oczy w Saltangen, kiedy któregoś wieczoru szukali z Andre ustronnego miejsca na parking.

- Zatrzymaj się! - powiedziała, kładąc rękę na jego dłoni. Odruchowo zahamował, ale po chwili znowu wcisnął gaz.

- Nie tutaj. Nie wiesz, gdzie jesteśmy?

Pewnie, że wiedziała. Byli w ostatnich slumsach w Norrköpingu, może w ogóle w ostatnich slumsach w Szwecji. Wychodki na podwórku, zimna woda, odrzucone półsieroty, ludzie, którzy nigdy nie zaznali dobrodziejstw Domu Ludowego. Wieczorami ulicami Saltangen wolno sunęły lśniące limuzyny, w których siedzieli bacznie się rozglądający mężczyźni, uciekający od zbyt dobrze zorganizowa-

nego życia.

Birgitta stała pod latarnią w klasycznej pozie. Bo to chyba ona? Tak. Bez dwóch zdań. Margareta poznała nawet jej starą zamszową kurtkę. Była rozpięta, pod spodem miała białą obcisłą bluzkę. Birgitta wydorosłała. Ona też.

- Zaczekaj - powiedziała Margareta. - Ja ją znam...
- Kogo? - zdziwił się Andre i znów zahamował. - Tę pod latarnią?
- To moja siostra.
- Ty nie masz siostry.
- Mam. W pewnym sensie. Cofnij, chciałabym z nią porozmawiać.
- Wykluczone - powiedział Andre. - Przecież to kurwa.

Woda pod prysznicem jest za ciepła, cudowna, ale ją rozleniwia, myśli stają się ociężałe, przeczyste. Nawet nie ma siły się namydlić, stoi tylko z zadartą głową. Może przed czekającą ją podróżą do Sztokholmu powinna się przespać. Godzinę albo dwie. A potem odbierze samochód. Ciekawe, ile zapłaci za naprawę. Ile jej zostało z pensji? Pewnie niewiele. Jak zwykle była wierna starej zasadzie: najlepiej wszystko przepuścić, żeby się nie zmarnowało.

Odwraca się, podnosi włosy, woda spływa po szyi. Nie martwią jej pieniądze. Pod tym względem zawsze czuła się bezpiecznie. Jest jak gąsienica jedwabnika. Jeśli nitka się kończy, trzeba wysnuć ciut więcej. Może wysmażyć artykuł o zorzy polarnej albo burzach magnetycznych do jakiegoś dodatku niedzielnego (oczywiście pod pseudonimem), albo wziąć kilka godzin zastępstwa w gimnazjum. Zawsze coś się załatwi. Poza tym połowę kosztów pokryje Claes. To rozsądny układ. Nie mówiąc o tym, że będzie miał z tego więcej pożytku niż ona. Ciekawe, czy dzwonił z Sarajewa, czy na ługowej komodzie w jego mieszkaniu na Söder świeci lampka automatycznej sekretarki? Ma taką nadzieję. Lubi słuchać jego głosu na automatycznej sekretarce...

Nagle eksploduje w niej przytłaczająca myśl. Skąd Birgitta wiedziała, że jest od wczoraj w Yadstanie? Sama nie miała pojęcia, że tu będzie. I skąd wiedziała, do którego warsztatu pojedzie? Jakim cudem mogła się tam przyczaić, żeby podrzucić list, kiedy Margareta była zajęta rozmową z szefem?

To kompletnie niezrozumiałe. Zagadka. Dlaczego nie pomyślała o tym wcześniej?

Woda jest nagle lodowata. Margareta obejmuje się ramionami. Marznie.

MARGARETA NIE LUBI ZAGADEK. Ale nauczyła się z nimi żyć.

Została znaleziona w pralni w Motali, jednej z wielu, jakie były w tamtych czasach. Mieściła się w szczycie kamienicy zbudowanej w latach czterdziestych, cementowymi schodami schodziło się od strony podwórza do białych przeszklonych drzwi. W środku pod jedną ścianą stał staroświecki kocioł do prania bielizny, a pod drugą - pralka bębnowa z nierdzewnej stali. Podłoga była wyłożona kafelkami, z kranu, jak pręgowana żmija, dyndał czerwony wąż. Wszystko to wie, wszystko pamięta, bo na tydzień przed maturą uwolniła się od Margot jakimś kłamstwem i pojechała tam.

Był początek lata, bardzo ciepłego lata. Drzwi do pralni stały otworem, na podwórzu kołysały się na sznurze białe prześcieradła, a w piaskownicy obok bawiły się dzieci. Margareta zeszła wolno po schodach, zatrzymała się w drzwiach i zajrzała do środka. W unoszących się oparach zobaczyła jedynie własny cień na białych kafelkach podłogi.

- O co chodzi?

Z mgieł wyłoniła się kobieta. Duża i gruba. Miała na sobie fartuch i gumowe buty, a na głowie szalik zawiązany w węzeł. Na czole perlił się pot. Margareta wyciągnęła do niej rękę i na wszelki wypadek dygnęła. Kobieta wpatrywała się w nią przez moment, po czym wytarła rękę o fartuch i podała ją.

- O co chodzi? - powtórzyła.

Margarecie nagle odjęło mowę. Jak miała to wyjaśnić?

- Chciałabym popatrzeć - powiedziała w końcu.

- Popatrzeć? Na co?

- Na pralnię.

Kobieta zmarszczyła czoło i wzięła się pod boki.

- Popatrzeć na pralnię? A co to za głupoty? Idź stąd!

- Ale...

Kobieta zamachała rękami.

- No! Wynocha, idź sobie!

Margareta chwiejnie się cofnęła, uderzyła o schody i upadła. W ostatniej chwili chwyciła się poręczy, ale mimo to porządnie sobie stłukła kość ogonową. Nie mogła zapanować nad bólem, łzy napłynęły jej do oczu i rozpłakała się, głośno i żałośnie jak małe dziecko. Nie była w stanie się powstrzymać, nagle płakała z powodu wszystkiego, z powodu wylewu Cioci Ellen, z powodu Andre, który jej nie kochał, z powodu lęków Christiny i grzechów Birgitty, z powodu nieszczęsnej Margot i jej konwenujących ubrań. Ale przede wszystkim płakała nad sobą. Że jest samiuteńka na świecie i nawet nie może wejść do pralni.

Kobieta się wystraszyła.

- Zrobiłaś sobie coś?

Margareta odwróciła się do niej.

- Ja ch-chcia-a-łam tylko popatrzeć - zachlipała. - Na pralnię. Bo tutaj mnie znaleźli...

- Znaleźli cię? To ty jesteś ta znajda?

Nazywała się Gunhild i skończyła sześćdziesiąt lat. Była wdową, zatrzymała dwupokojowe mieszkanie, do którego wprowadzili się z Eskilem zaraz po wojnie. Krążyła między blatem przy zlewku i stołem kuchennym, stawiając na nim kawę, bułeczki i siedem rodzajów ciastek. Niech Margareta ze chce się poczęstować tą odrobiną, na jaką ją stać. Cieszy się, że może ją u siebie gościć, często się zastanawiała, jak potoczyło się jej życie.

To nie Gunhild ją znalazła, tylko Svensson, dozorca. Umarł dawno temu. Margareta leżała na tamtej kozetce, Svensson przyniósł ją do nich, bo tylko oni, to znaczy Gunhild i Eskil, mieli telefon. Ale długo nie została. Policja przyjechała w ciągu piętnastu minut, a po godzinie przyszła kobieta z komisji do spraw opieki nad dziećmi. Przyniosła butelkę ze smoczkiem i czyste pieluszki. Całe szczęście, bo Margareta strasznie krzyczała.

- Jak byłam ubrana?

Gunhild zastanawiała się.

- Właściwie nie byłaś ubrana. Owinęła cię w szmatę, a dokładniej, w jeden z moich starych ręczników. Miałaś pępowinę, wyglądało to bardzo dziwnie... Ale cię umyła, nie byłaś pokrwawiona ani lepka, nic takiego.

Margareta zamoczyła trzecie ciastko w kawie i szykowała się do najważniejszego pytania.

- Czy pani wie, kim ona była?

Gunhild opadła na krzesło i skrzyżowała ramiona na okazałej przeponie. W kuchni był cień, było tu chłodniej niż na dworze, a mimo to na jej czole lśniły kropelki potu.

- Nie, nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Margareta zajrzała do filiżanki, w kawie pływało kilka okruszków.

- Ale co pani sobie pomyślała? Czy podejrzewała pani kogoś z tego domu?

- Nie - odparła Gunhild. - Plotkowało się, owszem, ale o nikim od nas...

- Szczerze?

Gunhild chyba zrozumiała wagę pytania. Położyła ręce na stole i popatrzyła Margarecie w oczy.

- Tak. Szczerze.

Przez chwilę było cicho. Z kranu kapało, jakby biło serce, jakby ktoś słuchał ich w ukryciu i wstrzymywał oddech, ale nie mógł zatrzymać swojego serca. Margareta zaczęła mieszać łyżeczką w kawie, żeby zagłuszyć te rytmiczne uderzenia.

- Czy ona urodziła mnie w pralni?

Gunhild wyglądała na udręczoną.

- Nie wiem, nikt tego nie wiedział... Mogła cię tam urodzić, a potem wszystko pomyć. Na posadzce była woda, bo pamiętam, że Svensson zostawił u nas w dużym pokoju mokre ślady. Musiałam

po nim froterować podłogę.

Margareta od razu go zobaczyła: szczupły, niski mężczyzna w kombinezonie pośrodku dużego pokoju Gunhild. Skąd wie, że był szczupły? Po prostu wie i już. Ale nic poza tym, nie miała pojęcia, czy słońce było w kuchni, czy w pokoju.

- Która to była godzina?

- Eskil akurat wyszedł do pracy. Czyli rano.

- Jak ona się dostała do pralni?

Gunhild wahała się, ciastko, które właśnie miała zjeść, odłożyła z powrotem na kwiecisty talerzyk.

- Nie wiem. Ale może o tym gdzieś napisali... Ale ja jestem głupia, zapomniałam o wycinkach! Częstuj się, zaraz je przyniosę.

Margareta została sama w cienistej kuchni. Okno było uchylone, na podwórku bawiły się dzieci. Ich głosy brzmiały dziwnie orzeźwiająco w tym upale, orzeźwiająco i świetliście. Z kranu ciekło.

- Mam!

Gunhild wtoczyła się do kuchni z albumem w objęciach, pulchnym ramieniem zmiotła z ceraty kilka okruszków, przysunęła krzesło bliżej Margarety i usiadła.

- Zaraz zobaczymy - powiedziała, otwierając duży brązowy album. - To album Eskila, najwięcej wycinków jest o piłce nożnej. Eskil kolegował się w szkole z Góstą Lófgrenem.

Margareta skinęła głową. Wyrosła w Motali i nie mogła nie wiedzieć, kim był Gosta Lófgren. Nawet Ciocia Ellen wiedziała. Gunhild szybko przerzuciła wycinki o jego drodze do kadry narodowej.

- Jest - powiedziała na koniec, wskazując nagłówek pulchnym palcem.

„NOWORODEK W PRALNI”.

Margarecie nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że mogli o niej pisać w gazetach. Dopiero teraz zrozumiała, że to rzeczywiście było wielkie wydarzenie. Ale, rzecz jasna, nie tak wielkie jak sukcesy motalskiej drużyny piłkarskiej AIF w rozgrywkach ligowych. „Expressen” zamieścił nawet jej zdjęcie: poważny noworodek wpatrujący się w aparat fotograficzny. I tytuł: „MAMO, GDZIE JESTEŚ?” „Kvalls-Posten” prezentował podobny styl. Margareta odwróciła wzrok, zawstydzona. „Óstgöta-Correspondenten”, „Motala Tidning” i „Dagens Nyheter” były mniej sentymentalne i kliwne, ale one też pisały o tym metrami.

Apatycznie przeglądała wycinki, patrzyła na nagłówki, nie czytała dokładnie. Nagle pożałowała, że tu przysłała. Ani w notkach prasowych, ani w pralni nie było żadnych odpowiedzi. Pochyliła się nad zdjęciem dozorca. Vilhelm Svensson rzeczywiście był niski i szczupły. Przez chwilę poczuła jego zapach. Tytoniu i potu.

Powolnym ruchem Gunhild dołała sobie kawy, też wydawała się nagle zmęczona. Może nie tak sobie wyobrażała to spotkanie.

- Powinnaś przebaczyć - powiedziała. - Ona chyba nie miała innego wyjścia. Teraz jest inaczej, ale w tamtych czasach urodzenie nieślubnego dziecka było hańbą. Wielką hańbą.

Mieszała kawę łyżeczką, obserwując tworzące się kręgi, i powtórzyła:

- Wielką hańbą...

Margareta nie czuła się najlepiej, kontynuując swoją podróż. Ciastka Gunhild pęczniały w brzuchu, nad równiną stało ciężkie, upalne powietrze, przez otwarte okna autobusu wlatywały spaliny i dusiły ją.

Ciocia Ellen była zaskoczona jej wizytą. Wyciągnęła do niej rękę i uśmiechnęła się krzywym uśmiechem. Mogła mówić, ale bardzo wolno i bełkotliwie, odzywała się rzadko, wołała pokazywać, o co jej chodzi. Przesunęła ręką po czole. Dokuczał jej upał.

Spacer z Ciocią Ellen po Yadstene był dla Margarety czymś nowym. Odkąd zamieszkała u Margot, tylko dwa razy udało jej się wyłudzić pieniądze na bilet i za każdym razem leżał śnieg. Teraz wózek inwalidzki bez przeszkód toczył się po chodniku, mogły sobie zrobić długi spacer, dużo dłuższy, niż Margareta początkowo myślała. Wolno pokonywały ulice. Margareta zatrzymywała się przed każdym sklepem z robótkami ręcznymi, Ciocia Ellen pochylała się i oglądała koronki, potem lekko wzdychała i zrezygnowana, machała swoją sprawną ręką. W mieście było tak cicho, że Margareta od-

ruchowo zniżyła głos i mówiła półszepem. Jakby Ciocia Ellen zasnęła i nie wolno jej było budzić. Rozmawiały o błahostkach. O upale, o Hubertssonie, o tym, że Christina za tydzień przyjedzie z Lundu do Yadsteny, żeby w czasie wakacji znów pracować w szpitalu dla przewlekle chorych.

Park był wyludniony, turyści jeszcze nie zjechali. Pod rosnącymi drzewami zalegały miękkie zielonkawe cienie, jak cień wznosił się zamek na obrzeżach parku, w świeżo skoszonej trawie połyskiwało słońce. Margareta zablokowała wózek Cioci Ellen i usiadła na ławce. Przez dłuższą, chwilę siedziały w milczeniu i patrzyły na wody jeziora Yattern, wdychały zapach trawy i słuchały krzyku mew.

- Byłam dzisiaj w Motali - powiedziała Margareta. - W tej pralni.

Ciocia Ellen wykręciła głowę i spojrzała na nią. Margareta patrzyła na wodę. Jej myśli poszybowały gdzie indziej, jak zawsze, kiedy miała coś ważnego do powiedzenia. Wydawało mi się, że niebieska woda to bajka, pomyślała. Najczęściej jest szara. Ale dzisiaj jest rzeczywiście niebieska. Atramentowoniebieska.

- To dziwne - podjęła po chwili. - Kiedy mieszkaliśmy w Motali, ani razu nie miałam ochoty tam pójść. Mimo że wiedziałam, gdzie jest ta ulica i który to dom. Ale jakbym w to nie wierzyła. To było nierzeczywiste. Łatwiej było mi uwierzyć, że naprawdę znalazłaś mnie na wiśni...

Ciocia Ellen uśmiechnęła się przelotnie. Margareta spuściła wzrok i patrzyła na swoje dłonie.

- Wiesz, co myślałam, kiedy byłam mała? Myślałam, że jesteś moją prawdziwą mamą i że to przede mną ukrywasz.

Ciocia Ellen wyciągnęła rękę. Margareta uściśnęła ją.

- Tak czułam. Dlatego nie zastanawiałam się nad tamtą, po prostu jej nie było. Zaczęłam o niej myśleć dopiero po przyjeździe do Norrkópingu, dopiero wtedy dotarło do mnie, że mówiłaś prawdę. Że jestem znajdą.

Ciocia Ellen uściśnęła jej dłoń, Margareta szybko się uwolniła i wyjęła papierosy z torebki. Lekko się pochylała, zapaliła i rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię.

- Margot by umarła, gdyby mnie zobaczyła - powiedziała, wydmuchując dym. - Eleganckie panienki nie palą na dworze...

Ciocia Ellen wzruszyła ramionami i odwróciła się do jeziora. Śledziła spojrzeniem mewę, która opadła na migotliwą wodę, by w sekundę później unieść się wysoko z połyskującą jak klejnot rybą w dziobie.

- Dlaczego ona mnie zostawiła? - zapytała nagle Margareta, wyrzucając na wpół wypalonego papierosa. - Wiesz to? Czy wiesz, jak można zostawić nowo narodzone dziecko?

Ciocia Ellen milczała. Siedziała nieruchomo na wózku i wpatrywała się w ptaka.

- Nie - powiedziała z westchnieniem Margareta. - Skąd mogłabyś wiedzieć.

Fizyka, stała się dla niej pociechą. Znacznie większą niż archeologia.

To bardzo ludzkie, myślała na początku studiów. Nic nie wiemy o naszym pochodzeniu. Bóg zostawił nas w pralni i zwiął.

Nie była tak głupia, żeby mówić to głośno. Wkrótce zdała sobie sprawę, że konwencja obowiązująca w naukach przyrodniczych nakazuje pewną powściągliwość wobec mikro - i makrokosmosu. Nie wolno się zapędzać w egzystencjalne obszary tej królowej nauk, dopóki nie zostanie się geniuszem. Od zwyczajnych, tuzinkowych fizyków wymagano umiaru w myślach, słowach i w uczynkach. Inaczej groziło przeniesienie na fakultet filozoficzny albo - okropność! - teologiczny. Ta zasada ciągle obowiązuje. Przeciętny doktorant gdzieś na obrzeżu świata nie może myśleć o Bogu, to zastrzeżone dla takich jak Albert Einstein czy Stephen Hawking. Chociaż nie do końca. W stosunku Hawkinga do Boga jest zbyt wiele próżności i zadufania, by mógł zaskarbić sobie prawdziwy szacunek wśród kolegów, Einstein natomiast jawi się niekiedy jak ostrzeżenie. Powiedział między innymi, że Bóg nie gra w kości. Oczywiście, że gra. Jeśli istnieje, jest notorycznym graczem. Udowodniła to fizyka kwantowa. Materia znajduje się w stanie permanentnej niestabilności, nie jest pewna, czy składa się z fal, czy z cząstek.

Decyduje o tym ogląd obserwującego. Niektóre cząstki mogą się ponadto znajdować w różnych miejscach naraz, co z kolei potwierdzałoby prawdziwość teorii o istnieniu kilku wszechświatów. Upraszcza ją, powiada ona, że zdolność cząstek do obecności w różnych miejscach jednocześnie

świadczy o stałym rozszczepianiu się rzeczywistości. Czyli - mówiąc inaczej - o tym, że wszechświat rozrasta się w wyniku podziału.

Bóg kpi sobie z nas, myśli czasami Margareta. Bawi się i przekomarza z nami. Ale jesteśmy na jego tropie, nie pomogą mu nowe podstępny ani mistyfikacje. Obnażymy jego dzieło stworzenia, dotrzemy do brakującej części antymaterii, do każdego najmniejszego pozytronu, określimy ciężar neutrina, żeby przestał szydzić z naszych prób zważenia wszechświata i nie udawał, że brakuje mu masy, uwięzimy cząstki Higgsa w puszczy i szyderczo się zaśmiejemy, kiedy będziemy nią potrząsać. Nas nie nabierze.

Ale takie myśli zachowuje dla siebie. Potulnie spędza dni przed monitorem, zajmując się swoimi burzami magnetycznymi. Ten obszar rzeczywistości potrafi ogarnąć uczuciem i rozumem. O innych rzeczach - tych mistycznych - się nie wypowiada.

Często jednak nurtuje ją pytanie, czy fizycy potrafią się dostatecznie zmobilizować, żeby nie tylko rzeczywistość wymierzyć, ale także ją zrozumieć. Na przykład czwartą siłę. Grawitację. Margareta, podobnie jak inni, wie, jak ją opisać i oszacować, ale nie ma pojęcia, czym ona właściwie jest. Nie jest w tym osamotniona. Nikt chyba tego nie wie. Tyle że wyłącznie ona jedna wydaje się nad tym zastanawiać. Rozgląda się czasem po stołówce Instytutu Badań Przestrzeni Kosmicznej w Kirunie i myśli: Teraz to zrobię, wstanę i zapytam. Oczyma wyobraźni widzi, jak wszyscy odkładają sztuce i zalega cisza.

- Przepraszam, że przeszkadzam w lunchu - powiedziałaaby - ale chciałabym wiedzieć, czy ktoś jeszcze oprócz mnie uważa, że grawitacja jest Bogiem? Albo przynajmniej dłońmi Boga?

Stokrotne dzięki. Już to widzi. Jakiś zniecierpliwiony kolega chwytą ją za kołnierz i ciska w śnieżną zaspę. Margareta Johansson won! Pożegnaj się z posadą po napisaniu pracy doktorskiej. Jeśli w ogóle powstanie jakiś doktorat. Skończy się to raczej błyskawiczną interwencją pogotowia psychiatrycznego.

Dlatego Margareta spokojnie siedzi na krześle, pije mleko o niskiej zawartości tłuszczu i przeżuwa klopsiki wołowe. Tylko sporadycznie zamyka oczy i oddaje się tęsknocie. Chciałaby mieć kogoś. Przyjaciela. Dziecko. Siostrę. Kogoś, kto by podzielał jej zdziwienie.

SZKODA JEJ CZASU na szukanie szlafroka, owinięta ręcznikiem, dygocząc, zbiega ze schodów i wilgotnymi dłońmi obszukuje kieszenie kurtki. Kwit jest wprawdzie pomięty, ale udaje jej się odczytać numer telefonu. Wykręca go, szcękając zębami.

- Halo - mówi, panując nad głosem. - Wczoraj zostawiłam u was fiata. Czy mogę go odebrać? Tak? Wspaniale. Będę za dziesięć minut.

Gdzie jest książka telefoniczna? Wysuwa szuflady komody. Cholera. Pełno tu jedwabnych apaszek i kaszmirowych chustek, ale ani śladu książki telefonicznej. Musi zadzwonić do informacji. Potrzebny jej numer radio taxi i przychodni, w której pracuje Christina.

Potem pokonuje schody trzema susami, żeby się jak najszybciej ubrać i opuścić ten dom wariatów.

Christina jest równie obłąkana jak jej matka. To nie ulega kwestii.

Kiedy wrzuciła już swoje rzeczy do torby i zaciągnęła suwak, oddycha głęboko. Rozmawiając z Christiną musi być opanowana i obojętna, musi jej podziękować i pożegnać się na całkowitym luzie, jakby niczego się nie domyślała i nic nie rozumiała.

- Czy mogę prosić doktor Wulf?

- Tutaj jej nie ma - odpowiada zmęczony głos. - Łączę z pielęgniarką.

Nie ma? A jeśli jedzie do domu?

- Siostra Helena, słucham!

Dziarski typ.

- Chciałabym rozmawiać z Christiną Wulf. Ale chyba jej nie ma.

- Niestety. W czym mogę pomóc? Zapisać panią?

- Nie, nie, jestem jej siostrą, chciałam podziękować za gościnę i pożegnać się przed wyjazdem.

Ton siostry Heleny łagodnieje, staje się poufniejszy.

- Ach, tak. Szkoda, że Christiny nie ma... Poszła do szpitala.
- A czy mogłaby jej pani przekazać, że dzwoniłam? I że się odezwę ze Sztokholmu?
- Dobrze, przekażę.

Margareta już ma zakończyć rozmowę, kiedy coś sobie przypomina.

- Hubertsson też chyba u was pracuje, prawda?

Siostra Helena odchrząkuje.

- Owszem, ale też nie może w tej chwili podejść do telefonu.

- Proszę go ode mnie pozdrowić. Od Margarety. Jestem młodszą siostrą Christiny. Nie widzieliśmy się od lat, ale powinien mnie pamiętać.

Helena nie ukrywa zainteresowania.

- Więc pani i Christina od dawna znacie Hubertssona?

Margareta uśmiecha się. No tak, to typowe, że ani Christina, ani Hubertsson nie zająknęli się o tym, jak dobrze się znają. Z przyjemnością przekłuje balon tej zatechłej tajemnicy.

- Oczywiście. Mieszkał u nas przez kilka lat...

- Coś takiego - mówi Helena w rozmarzeniu.

Margareta sumiennie wrzuca klucz do muszli i wychodzi. Woli poczekać na taksówkę przed domem, na wypadek gdyby ni stąd, ni zowąd pojawiła się właścicielka.

Obląkana. Totalnie szurnięta. Całkowicie pokręcona.

Przypuszczalnie Birgitta nie podrzuciła jej kupy na biurko. Może wcale nie ukradła receptariusza... A już na pewno nie ma dosyć pieniędzy, dyscypliny i wytrwałości, żeby przeprowadzić tak skomplikowaną operację, której Margareta padła ofiarą. Za to Christina ma.

Musiała poświęcić mnóstwo czasu na tę zabawę. Najpierw musiała się dowiedzieć o wyjeździe Margarety do Göteborga, potem musiała tam pojechać i śledzić ją. A kiedy Margareta zatrzymała się na kawę i podziwiała widoki „Pod Złotą Wydrą”, wczłogała się pod samochód i majstrowała przy rurze wydechowej...

Na tę myśl parska tłumionym śmiechem. Śmieszne! Christina w swojej lodenowej pelerynie i starannie zawiązanej jedwabnej apaszcze stawia torebkę na asfalcie parkingu, kładzie się na brzuchu, wpełza pod samochód, pracowicie się odwraca na plecy i majstruje przy podwoziu...

Absurd. Niemożliwe. Choćby dlatego, że Christina ubrudziłaby sobie ręce. A tego chronicznie nie znosi. To ją przyprawia o chorobę. Dosłownie. W takich sytuacjach wymiotuje.

A może to jej samej grozi szaleństwo.

Wszystko jedno. Tak czy inaczej, chce stąd odjechać. Jak najszybciej.

Zaufanie. Wiara. Otucha. Poleganie na kimś. Pewność. Ochrona. Bezpieczeństwo. Słowa.

Może coś one i znaczą w innym wszechświecie.

Gdyby była rozumniejszą szesnastolatką - albo rozumniejszym człowiekiem - nigdy by się tak nie stało. Gdyby hamowała i kontrolowała swój niepokój, gdyby milczała, gdyby nie otworzyła drzwi do tej budki telefonicznej, wszystko byłoby po staremu.

Ciocia Ellen nadal mieszkałaby u siebie w Motali. Może raz w tygodniu potrzebowałaby kogoś z gminy do pomocy w domu, a kto by do niej przychodził, jeśli nie Birgitta. Bo Birgitta naturalnie by się opamiętała, poznałaby Billa albo Leifa, albo Kennetha, który byłby na przykład przyzwoitym mechanikiem samochodowym albo murarzem. I kiedy urodziłaby mu dwójkę dzieci - rzecz jasna, chłopców, mc innego w wypadku Birgitty nie wchodziłoby w grę - nie wróciłaby do fabryki, zostałaby przez kilka lat w swoim trzypokojowym mieszkaniu, wycierała dzieciakom nosy, gotowała im kaszkę, opłakiwała swoją matkę i swoje iluzje, odpoczywała i zbierała siły, a Bill, Leif albo Kenneth pracowałby po godzinach, żeby zarobić na mały domek, o jakim marzyli. I kiedy by go wreszcie kupili, Birgitta zaczęłaby pracować jako opiekunka domowa - oczywiście w niepełnym wymiarze godzin - żeby szybciej mogli spłacić odsetki i raty. Chodziłaby wyprostowana, dawny wstyd poszedłby w niepamięć, rozluźniona i uśmiechnięta jeździłaby rowerem po ulicach Motali, tak jak kiedyś jeździła Ciocia Ellen. Oto pedałuje Birgitta Fredriksson (czy jak tam by się nazywała), aż gwizdzą koła! Przyzwoita żona przyzwoitego robotnika. Całkiem zwyczajny człowiek.

A gdyby Ciocia Ellen gorzej się poczuła - miałaby wtedy przeszło osiemdziesiąt lat - Birgitta

zadzwończyła do starszej siostry Christiny. Lekarza. Christina wsiadła po pracy w swój mały samochód, przyjechała do Cioci Ellen, zmierzyła jej ciśnienie, sprawdziła lekarstwa i zaleciła spokój. Po jej wyjściu Ciocia Ellen naturalnie zadzwoniła do Margarety i mruknęła nieco buńczucznie, że oczywiście wybierze się na doroczne zebranie towarzystwa emerytów bez względu na to, co powiedziała Christina. A Margareta by się roześmiała i radośnie poparła ten wywrotowy plan.

Na święta Bożego Narodzenia wszystkie zebrałyby się w domu Cioci Ellen. Birgitta przysłaby z Billem, Leifem albo Kennethem i z synami, dwoma dużymi chłopcami o dłoniach jak patelnie i śmiejących się oczach. Objęliby i uścisnęli swoją pulchną mamę, zwracaliby się do Cioci Ellen „babciu” i opowiadali jej o rozmaitych ciekawostkach technicznych ze swojego warsztatu, w którym znaleźli niesamowicie bezpieczne i pewne zajęcie. Bo chłopcy Birgitty czuliby się bezpiecznie, byłiby uodpornieni na bezrobocie dzięki wykształceniu, ich firma po prostu by sobie bez nich nie poradziła.

Tak samo jak przed laty nakryliby dla młodzieży osobny stół w pokoju jadalnym, przy którym po jednej stronie siedzieliby synowie Birgitty, po drugiej dziewczynki Christiny, Asa i Tove - bo choć profesor ma swoje minusy, Margareta nigdy nie chciałaby usunąć z życia Christiny ani jego, ani córek - a u szczytu byłoby miejsce dla piątego dziecka. Jej dziecka.

To byłby ten chłopiec, którego widziała w domu dziecka w Limie. Poprzez Margaretę i jej syna Ciocia Ellen stałaby się pramatką przeogromnej rodziny sierot, które pokolenie za pokoleniem otwierałyby swoje ramiona, żeby przygarnąć inne niechciane dzieci. Ale on nie byłby ani trochę niechciany. Siedziałby przy świątecznym stole Cioci Ellen - miedzianoskóry Indianin, piękny i tajemniczy jak andyjska baśń - i przyglądałby się swoim kuzynom czarnymi oczami, z przyczajonym uśmiechem na poważnej twarzy. W trakcie kolacji pochwyciłby spojrzenie Margarety, wznosił sok do toastu i powiedział:

- Por la vida, staruszko!

Margareta uśmiechnęła się, podniosła swój kieliszek i przepiła. Por la vida! Za życie, za otuchę i wiarę, która mieszkała w domu Cioci Ellen.

Taksówka się spóźnia. Margareta siada na schodkach Post-industrialnego Raju i wspiera brodę na dłoniach. Co ze mną jest nie tak? - myśli. - Co jest nie tak z nami trzema? Dlaczego zawsze jesteśmy skłonne podejrzewać się o wszystko, co najgorsze? Jak to się stało, że jesteśmy tak potwornie podstępne i nieufne?

Powinno być inaczej. Dorastałyśmy w spokojnych czasach, kiedy każdy wschód słońca zwiastował zwycięstwo nad dniem poprzednim. To, co złe, już się stało, przeszłość była przetrawiona i przecierpiana, czekały wyłącznie jasne, pogodne poranki... O tym się wiedziało. Wszyscy wiedzieli.

Ale może ufnąć to nic innego jak naiwność, może mają rację cynicy, którzy dzisiaj władają światem, twierdząc, że naiwność jest głupia z natury. Nawet jeśli Margareta była naiwną dziewczynką, która w naiwnych czasach czuła się jak ryba w wodzie, nie usprawiedliwia to jej zachowania. Pokazanie Christinie rymowanki w budce telefonicznej świadczyło o jej głupocie. I tępcie. Niemal debilizmie.

Była nie tylko naiwna. Już wtedy wiedziała, że świat zaludniają cienie. Parę majaczyło na jego obrzeżach i znikало, jak jej biologiczna matka i matka Birgitty, inne czekały na stosowną chwilę, jak matka Christiny. Czasami cienie pojawiały się także na twarzy Cioci Ellen. Kiedy myślała, że nikt jej nie widzi, siadała przy kuchennym stole z twarzą w dłoniach, na której później były ślady krwi i łez.

Nie tylko w domu Cioci Ellen czaiły się cienie. Koleżanka z klasy opowiadała kiedyś z przebiegami lęku w oczach o miejscu, które nazywało się Auschwitz. Jej mama leżała tam przez dwa dni przed komorą gazową, czekając na śmierć, a trzeciego dnia uratował ją biały autobus. Inna koleżanka, Susanne, otworzyła któregoś popołudnia bielizniarkę i zdradziła Margarecie tajemnicę. Pod sterłą białych poszewek leżało zdjęcie małej dziewczynki z zamkniętymi oczami, w różowym sweterku z Angery.

- To moja siostra - szepnęła Susanne. - Nazywa się Daisy.

Margareta popatrzyła na zdjęcie i szepcem spytała:

- Dlaczego ma zamknięte oczy?

- Jest ślepa.

Margarecie zakręciło się w głowie. Szukała jakichś słów pociechy.

- Ale jest urocza. Przeurocza.

- Była. Już nie jest - szepnęła Susanne i schowała zdjęcie pod poszewki. - Ma wodogłowie.

- Co to takiego?

- Ma w głowie pełno wody i głowa bez przerwy rośnie... Odwiedziliśmy ją trzy lata temu i miała głowę jak balon. Nie mogła siedzieć, taka była ciężka.

- Czy ona nigdy nie wróci do domu?

Susanne zamknęła drzwiczki bieliźniarki na klucz. I zaczęła mówić normalnie, jakby nie było już powodu szeptać. Były przecież same w domu, rodzice Susanne wyszli, a rodzeństwa nie miała.

- Nie. To niemożliwe. Już jej nawet nie odwiedzamy.

- Dlaczego?

- Bo strasznie krzyczy. Krzyczy przez kilka dni po naszym odjeździe.

Potem Margareta pojechała do domu, cisnęła rower na ogrodową alejkę i wpadła do mieszkania. Ciocia Ellen zbeształa ją za takie zachowanie, ale kiedy Margareta opowiedziała o Daisy, zamilkła i odwróciła się plecami.

O cieniach nie wolno było mówić. Powinny zniknąć z nastaniem przyszłości.

Dopiero jako osoba dorosła zrozumiała, że Christina i Birgitta nigdy nie podzielały jej nadziei, nie podzielały jej wiary w przyszłość. Może dlatego, że cienie ich dzieciństwa były gorsze od jej cieni. Uświadomiła to sobie kilka lat temu, kiedy zadzwoniła do Christiny, żeby się dowiedzieć, jaką Birgittie wymierzono karę za kradzież receptariusza i związane z tym fałszerstwa. Christina z nietajoną radością poinformowała, że Birgittę odesłano do Hinseberga. Margareta była rozczarowana. Liczyła, że skończy się na kuratorze i zakładzie odwykowym.

- Dom Ludowy murszeje - powiedziała.

- Jakby się było czym przejmować - skwitowała Christina.

Słyszając ton jej głosu, Margareta wyobraziła sobie wieżowiec. Betonowoszary wieżowiec na gliniastym polu. Taki był Dom Ludowy Christiny. Przypuszczała, że i Birgitta widziała go w takich samych, szarych barwach. Dla niej był pewnie posępnym pokojem w socjalu. Tylko Margareta ma inne wyobrażenia. Dla niej to biały dom w zielonym ogrodzie, dom, w którym mogły bezpiecznie dorastać nawet porzucone dzieci. Industrialny raj.

- Wsiada pani czy nie?

Taksówkarz jest zirytowany. Pochyla się nad fotelem pasażera i odkręca szybę. Pewnie przejechał całą Sanggatan i zawrócił, a ona tego nie zauważyła.

Wyszczersza się w uśmiechu.

- Przepraszam. Rozmarzyłam się...

Dziesięć lat temu taki uśmiech i takie słowa na pewno by go rozmiękczyły, wyłączyłyby silnik, wysiadł z samochodu, wziął jej torbę i otworzyłby przednie drzwi, żeby na pewno usiadła tuż obok niego. Ale teraz patrzy zniecierpliwiony przez na wpół otwartą szybę i nie reaguje, kiedy Margareta taszczy ciężki bagaż. Nie ma zastrzeżeń, kiedy siada z tyłu. Margareta lekko się uśmiecha. Nie grała wprawdzie w jednej drużynie z Birgittą, ale jednak całymi latami przedzierała się przez gęste zarośla męskich spojrzeń i męskich rąk. To dosyć przyjemne uczucie, że ma to już za sobą, że nareszcie jest wokół mnóstwo wolnej przestrzeni, że może się swobodnie poruszać, nie ryzykując zahaczenia spódnicy o zarośla, nawet jeśli musi sama dźwigać swoje torby i być traktowana opryskliwie przez skwaszonych taksówkarzy. Już nie musi mieć się na baczności, może siedzieć, stać i chodzić, jak chce, nie powodując żadnych nagłych eksplozji testosteronu. Może dla Birgitty nie było to tak proste i bezbolesne...

Ledwie zaczyna myśleć o Birgittie, podejmuje decyzję. Tak. Pojedzie do Norrkópingu. Mimo wszystko. I odwiezie Birgittę do Motali.

Bo Margareta nie boi się ani śmierci, ani diabła, ani swoich sióstr.

Wyjeżdżając z warsztatu, rzuca spojrzenie na zegarek na desce rozdzielczej. Jeśli się postara, spóźni się tylko pół godziny.

W taki dzień jak ten aż się prosi, żeby docisnąć gaz do dechy. Mknąć rzadko uczęszczaną szosą

do Motali, odkręcić szyby i pozwolić wiatrowi czochrać włosy. Nad nią jasne, błękitne niebo, pod nią wilgotna, czekająca ziemia.

Prawą dłonią przekręca gałkę radia i śmieje się, zaskoczona. W samochodzie rozlega się głos Claesa. Siedzi w starym fiacie Claesa i słucha jego głosu! Donosi jak zawsze tym samym staccato: szczególna intonacja, która wydaje się wspólna dla wszystkich korespondentów zagranicznych. Dopiero po chwili dociera do niej, co on mówi. W górach Bośni odkryto kolejny masowy grób, czterdzieści cztery ciała, przypuszczalnie mężczyźni i chłopcy...

Zwalnia, szuka papierosów. Czterdzieści cztery ciała. Widzi puste oczodoły i nagie, wyszczerzone czaszki. I Claesa, który stoi w ciężkich buciorach w grobie, z mikrofonem tuż pod nosem.

Będzie w domu w sobotę wieczorem, obiecała, że go odbierze z Arlandy. Potem pojedą na kolację, jak zwykle zamówił stolik w osiedlowej restauracji. Manipulując sztucami, będzie coś opowiadał, niczego na dobrą sprawę nie mówiąc. Claes nigdy o niczym nie opowiada. Wypełnia pustkę między nimi słowami. Ale nie mówi nic naprawdę ważnego. Nic prawdziwego.

Ona też nie mówi nic autentycznie ważnego i prawdziwego. Nie wie, jak by na to zareagował. On też nie wie, jak ona by zareagowała.

Pocieszają się, ale sobie nie ufają. Ani przez chwilę.

Kiedy Margareta zaczynała pracę w Instytucie Badań Przestrzeni Kosmicznej, doszły ją słuchy, że jeden z kolegów chodzi do kościoła. Nie afszował się tym. Klął i psioczył gorzej niż inni, a ilekroć dwa razy do roku jeździł na Svalbard, żeby sprawdzić swoje instrumenty, zawsze wszyscy musieli wiedzieć, że weźmie do plecaka butelkę whisky.

Na domiar wszystkiego nazywał się Viking.

Początkowo Margareta traktowała go z pewną rezerwą. Z wierzącymi jest jak z trubadurami i recytatorami, nigdy nie wiadomo, kiedy będą nieprzyjemni. Mimo tych zahamowań korciło ją, żeby poznać go nieco bliżej. Zaletą ludzi nieprzyjemnych bywa to, że można w ich towarzystwie opuścić gardę i pozwolić sobie na podobne zachowanie.

Pewnego wieczoru dała się skusić i przyszła na przyjęcie zorganizowane w instytucie z okazji pięćdziesiątych urodzin jednego z pracowników. Nakryto długi stół w sali jadalnej i wieczorem były tańce. Ledwie zaczęła się obracać pierwsza taśma magnetofonowa, Margareta pospieszyła na górę do gabinetu, jakby nagle przypomniało jej się coś bardzo ważnego, co musi dokończyć. Tymczasem poszła po palto. Miała dosyć tłumu ludzi na przyjęciu, przez chwilę chciała pobyć sama i rozkoszując się papierosem, oddać się rozmyśleniom na dachu laboratorium.

W gabinecie narzuciła na siebie pikowane palto, nie zaciągnęła suwaka i nie włożyła botków. Lubiła swoje stopy w wąskich czółenkach, łatwo mogła sobie wyobrazić, że jest kimś innym, że pod fasadą kryje się inne, doskonalsze życie.

Na dach można było wyjść bez problemu. Wystarczyło pokonać wąskie schodki i otworzyć drzwi. To wszystko. Dach musiał być dostępny, ponieważ były na nim plastikowe banie, duże i brzydkie, osłaniające wiecznie wycelowane w niebo kamery i instrumenty pomiarowe.

Kiedy otworzyła drzwi, zobaczyła zorzę polarną. Ogromną, na pół nieba, w kolorze, który знаła tylko ze słyszenia. Zazwyczaj zorza jest biała lub niebieska, ale tego wieczoru sunęły po niebie ciemnofioletowe smugi, pojawiały się i znikwały, płaty purpury powiewały jak suszące się na sznurku prześcieradła. Niebo przeglądało się w ziemi. Śnieg przybrał barwę bzu.

- Och - westchnęła Margareta, jednocześnie oczarowana i zawiedziona.

Po paru latach mieszkania w Kirunie jeszcze nie zwalczyła swojej irracjonalnej tęsknoty za tym, żeby usłyszeć zorzę polarną. Tańcowi elektronów słonecznych powinna towarzyszyć muzyka, draperie zorzy powinny się przemieszczać do wtóru smyczków, padającym na nią promieniom korony powinny przygrywać kotły i trąbki, a w finale widowiska powinna zabrzmieć na niebie cicha anielska pieśń fletu.

Naturalnie zorzy polamej nie można usłyszeć, nawet takiej fioletowej. Kolor brał się stąd, że elektrony z dużą prędkością przeniknęły głęboko do atmosfery. Nurkujące elektrony czy nie - fioletowa jedwabna draperia była cudem. A naoczny świadek cudu musi wstrzymać oddech, położyć rękę na piersi, patrzeć w niebo i radować się całym sercem, w ciszy, nie wydając najmniejszego dźwięku...

E, tam. Opuściła rękę i wygrzebała z kieszeni papierosy. Jeśli oglądanie cudu ma się odbywać w ciszy, na całej planecie powinno być jak makiem zasiał. Bo czym jest ta nasza bombka choinkowa, jeśli nie cudem? Zapomnianym cudem, hałaśliwym i brudnym, pełnym oszustw i trywialności, popsutych plastikowych kaczek i nieaktualnych kalendarzy, puszczejących oczka rajstop i powyciąganych akrylowych swetrów, resztek jedzenia i śmierdzących ścierek do naczyń. A może powinniśmy być wdzięczni tym rozpraszającym uwagę śmieciom, pomyślała Margareta. Bo gdybyśmy bez przerwy pamiętali o tym, że żyjemy w cudzie, może chodzilibyśmy tak jak wróżki z filmu Disneya, śmiertelnie poważni, wyprostowani, w pelerynach, ciągle wzdychający z zachwytu nad najmniejszym listkiem brzozy i źdźbłem trawy. Czy to byłoby zabawne? Wątpiła.

Pochyliła się, żeby zapalić papierosa. W tym momencie otworzyły się drzwi. Popchnięta, zatoczyła się. W drzwiach pojawiła się kwadratowa twarz Vikinga.

- Oj - powiedział. - Przepraszam.

Margareta odzyskała równowagę.

- Nic się nie stało. Wchodź, mamy dzisiaj wielki show.

- Widzę. - Viking przesunął dłonią po twarzy. - Wspaniały. Był tylko w koszuli. Z podwiniętymi rękawami.

- Nie zimno ci? - spytała Margareta.

- Nie. Muszę się ochłodzić. W środku jest dosyć gorąco, ludzie zaczynają się rozkręcać...

- Dostaniesz zapalenia płuc.

Viking wyszczerzył się w uśmiechu i zerknął na nią z ukosa.

- Nic nie szkodzi. Wierzę w życie po życiu.

Margareta zachichotała, zażenowana, objęła się ramionami i kilka razy tupnęła, żeby wrócić do czucia w palcach.

- Jak widzisz, ja mam palto...

- Ale nie masz ciepłych butów.

- No tak, niektórych nigdy się nie przekona. Nawet co do temperatury.

Przez chwilę milczeli. Nad ich głowami pyszniła się zorza polarna.

- Czy wiara jest czymś przyjemnym? - spytała Margareta. - Czy ułatwia życie?

Viking westchnął lekko i skrzyżował ramiona na piersiach.

- Prawidłowa odpowiedź brzmi „nie”. Wiara nie jest używką ani środkiem zaradczym, ułatwiającym życie.

Margareta czekała naciąg dalszy, ale się nie doczekała.

- A jaka jest prawdziwa odpowiedź? - przynagliła go. - Ta nieprawidłowa?

- Prawdziwa odpowiedź brzmi „tak”. Wiara jest rzeczą przyjemną. Upraszcza życie. Umożliwia dostęp do innego języka. - Popatrzył jej w oczy spod zmrużonych powiek. - Czy dobrze mi się zdaje, że jesteś zagubioną humanistką?

Margareta roześmiała się.

- Tak. Chyba tak. Bardziej zagubioną niż humanistką, jeśli rozumiesz, co mam na myśli...

- Nie. Jak to się stało, że zajęłaś się fizyką?

Margareta zaciągnęła się głęboko. Powiedzieć czy nie? Nie. Mogłaby sobie wyobrazić, że śpi z Vikingiem, gdyby to było konieczne, ale za nic nie mogłaby mu opowiedzieć o antenach w Tanumie. Są pewne granice.

- Ach, sam wiesz, jak to było w latach siedemdziesiątych ~ zaczęła. - Mało kto chciał studiować fizykę, wszyscy nastawiali się na socjologię. Instytuty nauk przyrodniczych przyjmowały każdego, kto się przypadkiem znalazł w pobliżu... I ja chyba jestem jedną z tych w pobliżu. Właściwie myślałam o archeologii.

Oparła się o ścianę i zgasła papierosa czółenkiem. Przez chwilę popiół odcinał się czarną plamą na jasnej skórze podeszwy, po czym opadł w śnieg.

- Grawitacja - zachichotała Margareta. - Ciągle ta grawitacja...

Viking uniósł pytająco brwi. Margareta wyprostowała się, włożyła ręce do kieszeni, wtuliła brodę w kołnierz.

- Czy dobrze mi się zdaje, że odbyłeś klasową podróż? - spytała.

Uśmiechnął się przelotnie.

- Tak. Ojciec był drwalem. A ty?

- Też. Mama była opiekunką domową. Zanim została gospodynią domową.

- Aha. Czy ta podróż czegoś cię nauczyła?

- Tego i owego - odparła Margareta z krzywym uśmiechem. - Tego, co dostaliśmy, i czego nie dostaliśmy.

Viking zabił dłonie, jego oddech ułożył się w biały pióropusz.

- Masz na myśli pewność siebie? Tę ogólną emanację, że człowiek sam jest normą, a wszyscy inni to wyjątki? Tego nam brakuje. Podobnie jak przekonania, że urodzeni w dobrobycie zasłużyli sobie na to, podczas gdy cała reszta zasłużyła sobie na życie w nędzy.

Margareta skrzywiła się.

- Nie wspominałeś o zaletach. O wolności. My jesteśmy wolni, oni nigdy nie będą.

Viking wsunął ręce pod pachy. Marzył, zapomniał o zorzy polarnej.

- Może i tak.

- Widać to zwłaszcza u kobiet - powiedziała Margareta. - Przykro na to patrzeć...

Viking zaczął podskakiwać w miejscu.

- To znaczy?

- Są niesamowicie dobrze wychowane. Nigdy nie podnoszą głosu. Nigdy się nie śmieją z otwartymi ustami. Nie biegną. Nie wspinają się. Nie fantazjują. Siedzą z zaciśniętymi kolanami i mają nadzieję, że nikomu nie zawadzają. Jakby były na wpół umarłe.

Viking zamyślił się i skakał dalej.

- Tak, pewnie masz rację - przyznał. - Ale to chyba dotyczy także mężczyzn. Klasa średnia wymaga uniformizacji. Podobnie jak robotnicy.

Margareta przyłączyła się do podskoków, zmarzła, ale nie chciała jeszcze wchodzić do środka. Przyjemnie było choć raz porozmawiać z uczciwym człowiekiem. Ich stopy rytmicznie uderzały o dach.

- Ale my, klasowi podróżni, jesteśmy wolni - powiedziała. - Wszędzie jesteśmy inni. To nasze aktywa.

Viking westchnął, z ust wydobył się obłoczek pary.

- Nie wiem. Przynależność do czegoś oczywistego, niewymagającego refleksji bywa przyjemna.

Margareta zamknęła oczy i zastanawiała się.

- Nie - stwierdziła na koniec. - Przyjemniej jest nigdzie nie należeć.

- Więc nie widzisz żadnych wad? Tylko wolność?

Margareta przestała skakać, mocno objęła się ramionami. Viking też przestał, oddychał ciężko.

- Nie, widzę jedną wadę - powiedziała Margareta. - Ale nie potrafię ocenić, czy to dotyczy spraw czysto indywidualnych, czy jest wynikiem klasowej podróży. Nie ma we mnie ufności. Nikomu nie ufam.

Viking wpatrywał się w nią przez chwilę i też się objął ramionami.

- Ufność? Chyba nie ma żadnych powodów do ufności.

- Ty też nikomu nie ufasz?

Viking otworzył drzwi i gestem zaprosił ją do ciepłego wnętrza.

- Ufam Bogu - powiedział. - Ale ludziom? Niby z jakiej racji? Ludzie są zdolni do wszystkiego.

KOMISARIAT POLICJI w Norrköpingu stoi jak wykrzyknik przy Norra Promenaden. Margareta widzi go z daleka, musi jednak dwa razy objechać rondo, żeby się połapać, gdzie powinna skręcić i zaparkować.

Norrköping wygląda po staremu. Powietrze ma nadal odcień mosiądzu, ulicami suną ze zgrzytem tramwaje, ludzie są tak samo zagonieni jak przed trzydziestu laty. Margareta lubi to miasto. Nie ma w nim nic z rozdętego przekonania o wyższości moralnej, co ją czasami doprowadza do obłędu w

Kirunie. Może powinna wyrzucić doktorat do kosza i przenieść się tutaj, wykorzystać pedagogiczne wykształcenie, zatrudnić się w gimnazjum i postarać o kochanka. Na przykład chłopca o szorstkich policzkach, głęboko wrośniętego w ziemię Östergötlandii. To byłoby coś. Albo tak jak Hubertsson chodziłaby w każdy czwartek na potańcówki do „Standard Hoteli”. A w każdy piątek szczerzyłyby się w uśmiechu. Tak jak on.

Ale niestety, nic z tego. Wychowanka Cioci Ellen nie wyrzuci doktoratu do kosza, musi dokończyć to, co zaczęła. Z pracą doktorską Margarety jest jak z serwetkami, które kiedyś haftowała. Choć z góry wiedziała, że rezultat będzie oplakany, musiała dobrać do końca. Tak postanowiła Ciocia Ellen. Albo Bóg. Albo szkolnictwo wyższe.

Zatrzaszkuje drzwi samochodu, zamyka je na kluczyk i rozgląda się. Przed komisariatem nikogo nie ma. Może Birgitta czeka w środku. Wyjmuje z torebki szczołkę i szybko przeciąga po włosach, poprawia kurtkę, przesuwając językiem po zębach. W komisariacie trzeba wyglądać schludnie, zwłaszcza w towarzystwie osoby pokroju Birgitty. Margareta trochę się boi urzędów. Uważa co prawda, że komisariaty policji i biura socjalne powinny istnieć i pomagać ludziom w potrzebie, ale sama starannie się wystrzega jakichkolwiek z nimi kontaktów. Podejrzewa, że policjanci i pracownicy socjalni są jak borsuki: wbijają zęby i nie puszcza, dopóki nie usłyszą chrzęstu kości.

W przedsiönku, za drzwiami, też nikogo nie ma. Margareta patrzy na zegarek; przyjechała szybciej, niż myślała, spóźniła się tylko dwadzieścia minut. Birgitta powinna mieć trochę oleju w głowie i poczekać. Może czeka w recepcji...

W recepcji jest dużo ludzi. Zmęczeni obywatele stoją, siedzą, każdy z numerkiem w ręku, jak na poczcie. Margareta bierze numerki i tłumy jęć. Siedemdziesiąt trzy. A jest obsługiwany pięćdziesiąty pierwszy. Poczeka tu sobie pół dnia.

Rozgląda się. Ostatnio widziała Birgittę kilka lat temu, mogła jej od razu nie rozpoznać. Nie, nikt z obecnych ani trochę jej nie przypomina. To na ogół ludzie spokojni i dobrze wychowani, tylko jedna osoba cicho klnie pod nosem. To mogłaby być Birgitta, gdyby nie płęć. Inkryminowany osobnik jest mężczyzną: ma zarost i tatuaż. Jeśli chodzi o siostrę, Margareta uwierzyłaby niemal we wszystko z wyjątkiem zmiany płci. Birgitta zawsze cieszyła się z tego, że jest kobietą. Nagle rozumie.

Aha. Znowu to samo. Dwa razy w ciągu doby dała się nabrać i pojechała tam, gdzie Birgitty nie ma. Ale tym razem jest inaczej niż wczoraj. Christina mogła zmyślić treść rozmowy telefonicznej, jeśli z jakiegoś kompletnie niezrozumiałego powodu zachciało jej się przez pół nocy ganiać z oddziału na oddział w motalskim szpitalu, ale dzisiaj Margareta osobiście rozmawiała z Birgittą. To był na pewno jej głos. Christina za nic by go nie podrobiła.

Wszystko jedno. Teraz zabawa skończona. Ktokolwiek się bawi, musi się obyć bez niej. Margareta zgniata numerki i wrzuca do kosza. Pojedzie do Sztokholmu. Natychmiast.

Raptownie się okręca i zderza z policjantem. Odruchowo kładzie mu rękę na ramieniu. Policjant się odwraca. Jest bardzo młody. Policzki ma tak gładkie jak koszulę, jakby ktoś po nich przeciągnął żelazkiem.

- Przepraszam - mówi Margareta - mam jedno pytanie...

- Tak?

Starannie dobiera słowa, żeby mogło się wydawać, że jest kuratorem albo referentem do spraw socjalnych.

- Mam stąd zabrać pewną osobę z Motali. Została zatrzymana dzisiaj rano. Birgitta Fredriksson.

- Tak?

- Nie mogę jej znaleźć. Podobno miała czekać na zewnątrz, ale tam jej nie ma.

Świeżo wyprasowany marszczy czoło.

- Jak ona wygląda?

Margareta zastanawia się. Jak Birgitta teraz wygląda?

- Ma około pięćdziesięciu lat. Dosyć potężna. Nieco hałaśliwa.

Policjant uśmiecha się krzywo.

- Chyba wiem, o kogo pani chodzi. Wynieśliśmy ją przed chwilą.

Pod Margareta uginają się kolana. Czuje ulgę. Birgitta tu była, a więc jej nie nabrała. Unosi

brwi i patrzy pytająco na świeżo wyprasowanego.

- Wynieśliście?

Policjant się wypręża.

- Hałasowała i poprosiliśmy ją o opuszczenie lokalu. Wyprowadziłem ją z kolegą.

Margareta pociera czoło, może sobie wyobrazić, jak to wyglądało. Zabawnie.

- Czy widział pan, dokąd poszła?

- W kierunku Norra Promenaden. Na dworzec.

Zanim zaparkuje, dwa razy stoi na czerwonym świetle. Jest zniecierpliwiona, nagle jej się spieszy, nagle odszukanie Birgitty i zawieszenie jej do Motali staje się niesamowicie ważne.

Zaczyna od dworca, systematycznie go przepatruje. W poczekalni nic. W kolejce do kasy nic. I ani śladu Birgitty na peronie. Nie odjechała, bo w ciągu ostatnich dwóch godzin nie było żadnego pociągu do Motali. W dworcowej toalecie też jej nie ma. Sądząc z zielonych oznakowań, wszystkie kabiny są wolne. No tak, ale przecież Birgitta w życiu nie wydałaby na coś takiego pięciu koron. Lepiej sprawdzić.

Jakaś nastolatka na dziesięciocentymetrowych platformach przygląda się podejrzliwie, kiedy Margareta chodzi od drzwi do drzwi, wrzuca pięć koron do każdego zamka i otwiera tylko po to, żeby je natychmiast zamknąć. Nie ma Birgitty. Są tylko zwoje papieru toaletowego na podłodze.

Wychodzi z dworca, rozgląda się. Może powinna zajrzeć do parku po drugiej stronie Norra Promenaden. Kiedyś zbierali się tam menele. Jeśli to nic nie da, pojedzie do Saltangen. Nie ma pojęcia, czy Saltangen jest tym, czym było przed laty, ale dość dobrze zna Birgittę i wie, że lubi wracać do starych miejsc.

Wchodząc do Parku Karola Jana, rzuca spojrzenie na „Standard Hotell”. Teraz to zupełnie inny hotel, nie mogłaby tam pójść w tej samej sprawie co Hubertsson i wrócić zaspokojona. Nieważne. Kopie żwir alejki i maszeruje dalej. Na ławce siedzi grupka pijaczków. Margareta mruży swoje krótkowzroczne oczy. Chyba sami mężczyźni, choć z doświadczenia wie, że chłopcy i stare kobiety są z daleka ładując do siebie podobni. Ale nie tym razem. Kiedy podchodzi bliżej, okazuje się, że na ławce siedzi trzech niechlujnych mężczyzn w średnim wieku. Raczą się jednym piwem. Może widzieli Birgittę, może wiedzą, gdzie jej szukać... Nie będzie ich pytać. Nie dlatego, że się boi, ale dlatego, że się potem ich nie pozbędzie. Obchodzi ich szerokim łukiem i idzie dalej.

Kilka minut później siada na szerokim stopniu nabrzeża, na tyłach starej restauracji „Strand”, pierwszego nocnego klubu w Norrköpingu, i patrzy w kierunku Motali. Tutaj czuje się jak u siebie, często siadała na tych stopniach z koleżankami i patrzyły na wodę. Raz była w „Strandzie” na imprezie maturalnej. Andre też był. Z żoną.

Margareta krzywi się i szuka papierosów w torebce. Zastraniec! Jakby mu odwaliło. Prowadził Margaretę po parkiecie, a jego żona sama siedziała przy stoliku, otwierając i zamykając swoją wyjściową torebkę. Ależ z niej była idiotka! Uśmiechnięta i szczęśliwa, wilgotna i gotowa, ledwie na nią spojrział.

Wieje wiatr. Kiedy przytrzymuje włosy ręką, żeby ich nie przypalić, nie ma czym osłonić zapalniczki, płomień migoce przez ułamek sekundy i gaśnie. Ale włosy są ważniejsze. Pochyla głowę i pstryka, pstryka, pstryka...

- Aha, więc przyjechałaś - słyszy za swoimi plecami. - Niech to cholera. Poczęstujesz papierosem?

Bycie młodszą siostrą Birgitty było równoznaczne z byciem jej szmacianą lalką, którą się rzuca gdzie popadnie i która nigdy nie wie, gdzie wylądować. Spokojna zabawa w ogrodzie Cioci Ellen mogła się nagle zamienić w horror. Krzaki porzeczek udające ściany sklepu mleczarskiego stawały się na przykład półkami w aptece i Margareta, pochylając się nad krzesłem - ladą, z uśmiechem witała chorego klienta; kulawego, chowającego prawą rękę w kaftanie.

- Jestem profesorem - powiedziała Birgitta. - Takim nie najmądrzejszym. I przychodzę spytać, czy macie jad żmii...

- Jad żmii?

- Tak. A ty mówisz, że nie macie.

Margareta przechyliła głowę i dygnęła.

- Niestety, nie mamy jadu żmii.

Twarz Birgitty wykrzywił przerażający grymas, wyszarpnęła rękę z kaftana i potrząsnęła Margarecie przed nosem małym słoikiem.

- Ha-ha! No to będziecie mieli. Bo mam tu na sprzedaż młode żmije!

Margareta cofnęła się, poczuła mdłości. Nie widziała, co jest w słoiku, ale wystarczyła sama myśl o czymś wężowatym i szarym.

- Nie!

Birgitta roześmiała się, odrzuciła głowę do tyłu, teraz naprawdę była szalonym profesorem.

- Nie?! No to teraz jestem zła. Macie kupić moje żmije! Zapłacicie mi tysiąc koron, bo jak nie, to je wypuszczę!

Margareta podniosła ręce, jakby się chciała obronić przed własnym strachem.

- Nie!

- Nie?! Tak się zezłościłam, że otworzę słoik i wypuszczę żmije!

Margareta krzyknęła. Tak przeraźliwie, że wypłoszyła ptaki na wiśni. Wzbiły się w niebo jak cień. Widziała żmije wypadające ze słoika. Szare cętkowane paskudztwa wiły się na ladzie, kilka zsunęło się w trawę, pełzło do niej, jedna wdrapała się na stopę i owinęła wokół kostki... Margareta pochyliła się, zamachała rękami, nie miała odwagi tego czegoś dotknąć.

- Nie! - wrzasnęła. - Przestań! Nie! Nie!

- Nie drzyj się - powiedziała Birgitta. - A teraz zobaczymy, kto się najwyżej wdrapie na wiśnię.

Słoik stał na krześle. Był pusty. Od początku był pusty.

Margareta obejmuje kolana dłońmi i przygląda się Birgittie, kiedy ta zapala papierosa. Birgitta reaguje szybkim spojrzeniem. Czai się w nim ostrzeżenie. Wiem, jak wyglądam. Ale powiesz o tym jedno słowo, to się nogami nakryjesz!

Jej podwójny podbródek przypomina sflaczały worek, pod oczami sińce, wargi spierzchnięte i popękane, matowe, pamiętające trwałą włosy zasłaniają pół twarzy. Uda ma tak grube, że od wewnątrz przetarły się dzinsy. Pikowaną kurtkę znaczą dziury, koło kieszeni wystaje biały syntetyczny wypełniacz, rękaw na ramieniu jest rozdarty. Czerwony materiał pokrywa warstwa brudu, jakby ktoś sprayem przydał kurtce szarobrązowego odcienia.

- Cholera, aleś się guzdrała - mówi Birgitta. - Nie mogłam się doczekać i poszłam.

- Samochód był w warsztacie - wyjaśnia Margareta. - Trochę to potrwało, zanim go odebrałam.

Ale Birgitta nie słucha.

- Gliniarze w tym mieście są porąbani...

- Aha.

- Nie można tu spokojnie iść ulicą... Nie byłam wstawiona, ani trochę, a i tak mnie zgarnęli. Nic nie zrobiłam. Nic a nic.

- Ale skąd się wzięłaś w Norrköpingu? Jak tu wylądowałaś?

Birgitta głęboko się zaciąga i trzepocze rzęsami.

- Było jakieś przyjęcie. Dokładnie nie pamiętam, bo wczoraj byłam trochę zmęczona... Ale byłam na imprezie.

Dziury w pamięci, myśli Margareta. Niedługo będziesz miała mózg jak szwajcarski ser, siostrzyczko. I wiesz o tym.

- Nie pamiętasz?

Birgitta zerka na nią z ukosa i sili się na zuchowaty ton.

- Wiesz, kurde, jak to jest. Impreza była cholernie ostra...

Na próżno próbuje rozciągnąć usta w wyniosłym uśmiechu. Potem odwraca głowę, patrzy na wodę, kilka razy szybko mruga.

Margareta obejmuje ją i przytula, Birgitta kładzie głowę na jej ramieniu.

Jeden jedyny raz Margareta mimo zakazu odebrała telefon. To było w rok po wprowadzeniu się Birgitty do domu Cioci Ellen. Późny zimowy wieczór, czwartek.

W każdy czwartek dziewczynki się kąpały. W szlafrokach kąpielowych schodziły gęsiego do

piwnicy i kiedy Ciocia Ellen szorowała jedną, dwie pozostałe siedziały na drewnianej kratce i czekały na swoją kolej.

Ale tego czwartkowego wieczoru Margareta miała gorączkę, nie mogła się kąpać, siedziała na łóżku w pustym pokoju i czytała jedną z książek Enid Blython. I zadzwonił telefon.

Nasłuchiwała. Ciocia Ellen złościła się, ilekroć Birgitta lekceważyła zakaz, co zresztą robiła notorycznie, i pędziła do telefonu, ledwie zdążył zadzwonić. Kiedy Ciocia Ellen zmywała albo miała brudne ręce, Birgitta zawsze była pierwsza. I zawsze była karcona.

Margareta wahała się. Odebrać czy nie? Czy zakaz obowiązuje nawet wtedy, kiedy Cioci Ellen nie ma? Nie, na pewno nie. Ktoś musi podnieść słuchawkę, a teraz tylko ona jedna może to zrobić. Szybko wciągnęła grube skarpety - jak się miało gorączkę, za chodzenie bosą groziła kara śmierci - i poczłapała do przedpokoju.

- Halo? - powiedziała do czarnej słuchawki.

Słuchawka była ogromna, musiała ją trzymać obiema rękami.

- Kochaniutka - zachlipał jakiś głos - co za szczęście, że to ty odebrałaś... Tak się bałam, że trafię na tego potwora, który bez przerwy się na mnie wydziera...

- Halo - powtórzyła Margareta. - Kto mówi?

Kobieta w słuchawce pociągnęła nosem.

- Nie poznajesz, staruszko? Już mnie nie poznajesz? To twoja mamunia, twoja słodka mamusia. Dzwonię ostatni raz... - Głos był teraz zawodzący. - Tak, staruszk, mama dzwoni ostatni raz, bo za chwilę mama umrze! Wszystko już gotowe. Mam tu przed sobą na stole duży słoik tabletek nasennych i nóż... Połknę wszystkie tabletki, a potem przetnę sobie żyły, rozumiesz! Uuumrę! Uuumrę, bo nie mogę być z moją dziewczynką! Wtedy się przekonają ci, co nas rozdzielili i nawet nie pozwalają, żebyś przychodziła mamie pomóc... Wtedy popamiętają! I pożałują!

Gorączka zakołysała podłogą, Margareta musiała się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść.

- Kto mówi? - powtórzyła. - Halo! Kto mówi?

W jednej sekundzie chlupanie zamieniło się w rozjuszony syk.

- Przestań się wygłupiać, Birgitta! Dobrze wiesz, kto mówi!

- Ale... to nie Birgitta. Ja jestem Margareta.

Obcy głos nagle się uspokoił i oprzytomniał.

- No, jeśli tak...Aha.

Trzasnęło w słuchawce. Mama Birgitty rozłączyła się.

- No nie - mówi Birgitta i uwalnia się z objęć Margarety. - Od siedzenia tutaj można sobie tyłek odmrozić...

Oczywiście. Margareta wstaje i wykręca się, żeby sprawdzić czy nie przemokła jej kozuchowa kurtka.

- Jadłaś lunch? - pyta, prostując plecy. Birgitta wyszczerza się.

- Lunch? Nie jadam lunchu. Nie jadam też kolacji. A dzisiaj nic nie jadłam.

- Pójdziemy coś zjeść?

Birgitta krzywi się z obrzydzenia.

- Nie, nie jestem głodna...

- Ale ja jestem. Możemy wziąć pizzę. Albo coś innego.

Birgitta wzrusza ramionami i tłustymi palcami wyłuskuje papierosa z paczki. Dopiero po sekundzie Margareta sobie uświadamia, że to jej papierosy. Birgitta bezczelnie je przywłaszczyła, język jej ciała nie pozostawia cienia wątpliwości, że teraz są tylko jej i jeśli ktokolwiek będzie sobie do nich rościł jakiegokolwiek prawa, narazi się na wybuch świętego oburzenia. Margareta tchórzy. I jest z tego powodu zła. Dlaczego stoi jak głupia, zamiast zażądać zwrotu papierosów? Odwraca się do Birgitty plecami, wkłada ręce do kieszeni i rusza ku Drottninggatan. Birgitta truchta za nią, chwije się.

- Cholera - mówi, doganiając Margarete. - Te buty nie są najpewniejsze.

Margareta idzie za jej spojrzeniem. Birgitta ma na nogach czarne czółenka: wykoślawione, przydeptane i zdecydowanie za duże. Margareta porusza palcami; w ciepłych i dosyć modnych, sznurowanych botkach są bezpieczne, choć nieco sztywne. Cóż, ciągle jest zima.

- Jasne, że możemy coś zjeść - kontynuuje Birgitta. - Ale ty stawiasz. Ja nie mam ani grosza.

Birgitta kręci nosem na restaurację przy Drottninggatan. Nie lubi spaghetti, jest lepkie i wstrętne. Ale akceptuje coś w rodzaju pizzerii, ba, wydaje się nawet zadowolona, kiedy wchodzi do środka.

- Super - mówi, przebiegając wzrokiem półki z alkoholem za ladą.

Margareta ściąga górną wargę. I tak długo wytrzymała. Zwykle wystarczy jej kwadrans w towarzystwie Birgitty, żeby zaczęła sznurować usta jak, nie przymierzając, kopia Christiny. A teraz minęło niemal trzydzieści minut.

- Tylko coś zjemy. Nic poza tym.

Birgitta unosi ręce.

- Czy ja coś mówiłam? Jeśli tak, przepraszam. Bardzo przepraszam.

Siadają przy oknie. W lokalu jest pustawo, ale kelnerowi się nie spieszy z podaniem menu. Birgitta przygląda mu się z aprobatą. Jest młody, ciemny, ma na sobie śnieżnobiałą koszulę. Odwzajemnia się Birgittie pobłażliwym spojrzeniem, a potem składa dłonie z tyłu i patrzy na ulicę.

- Tak? - mówi po chwili przynaglając.

- Chciałybyśmy najpierw zapoznać się z menu - odpowiada Margareta, przybierając zarozumiały belferski ton. - Więc niech pan będzie uprzejmy wrócić za kilka minut.

- A na razie przynieś dwa piwa - dodaje Birgitta. - Żebyśmy się mogły czegoś napić, zanim coś wybierzemy.

Margareta odkłada menu i wzdycha.

POWINNA SIĘ BYŁA CZEGOŚ NAUCZYĆ. Miała dostatecznie dużo napadów filantropii, żeby zrozumieć, że Birgitta nie pozwoli sobie pomóc bezkarnie. Powinna była to sobie uświadomić już za pierwszym razem. Ale wtedy szukała Birgitty po to, żeby pomóc sobie.

Margot przestała się nią interesować w kilka tygodni po maturze. Wypatrzyła podupadły dworek nad Braviken - Czternaście pokoi! Freski na suficie! Kort tenisowy! - i kiedy Margareta nie chciała zrezygnować ze swoich planów studiowania archeologii w Göteborgu, żeby zostać bladawą panią z dworku, Margot nie miała jej już nic do powiedzenia. Wprawdzie nadal nakrywała stół do kolacji na trzy osoby, ale dosyć sztywno i mechanicznie przesuwiała w jej kierunku mleko albo sól. Teraz skupiła się wyłącznie na Henrym. Jej tęsknota za dworkiem była niczym promień lasera, wycelowany w jego czoło.

Henry, choć wygłaszał długie i rehotliwe kazania na temat kiepskiego rozeznaniu kobiet w interesach, nie był zły. Z drugiej strony, wyjaśniał, nawet ślepej kurze trafia się ziarno i ta ruina mogłaby się stać niczego sobie inwestycją pod warunkiem, że Margit nie będzie szaleć podczas renowacji. On sam skontaktuje się z firmą budowlaną, Margit może ewentualnie zdecydować o kolorze tapet, i to wszystko. Margot skwapliwie kiwała głową. Oczywiście! Ale czy mogłaby zarezerwować dla nich wycieczkę do Londynu? W sierpniu? Poszłaby do tego wspaniałego sklepu z tapetami na Oxford Street, a Henry posiedziałby w swoim ulubionym pubie na Soho. Henry łaskawie się zgodził i Margot sploła w zachwycie swoje pulchne dłonie. Cudownie!

I tak się złożyło, że Margareta, pakując swoje rzeczy na wyjazd do Göteborga, była w domu sama. Wahanie spowolniło jej przygotowania, nie bardzo wiedziała, co zrobić z prezentami, które dostała od Margot i Henry'ego. Trzy Wigilie, dwa razy urodziny i matura zapełniły po brzegi jej szkatułkę na biżuterię. Czy te klejnoty były naprawdę jej, czy mogła nimi dysponować? I w co miała się spakować? Przyszła do tego domu z jedną małą walizką, w której zmieści się zaledwie jedna trzecia jej garderoby. I z czego będzie żyła w Göteborgu? Miną tygodnie, zanim dostanie pożyczkę na studia.

Na trzeci dzień nie miała już nic do jedzenia. Patrząc na ostatnią kanapkę, uznała klejnoty za swoją własność. Naczytała się dostatecznie dużo powieści, żeby mieć pojęcie o lombardzie, i wiedziała, gdzie go znaleźć. Przypadkiem zobaczyła szyld pewnego wiosennego popołudnia, kiedy miała się rzekomo spotkać z wymarzoną księżniczką i włóczyła się wąskimi uliczkami koło ratusza.

Wchodząc do lombardu, wyobrażała sobie, że wkracza w świat powieści. Lata sześćdziesiąte odpłynęły, był początek XX wieku, ona cierpiała na gruźlicę, zamiast minispódniczki i drewniaków miała na sobie workowatą sukienkę i buty zapinane na guziczki. Mężczyzna za ladą pochodził z tego

samego okresu. Zgarbiony, w wyświechtanym czarnym garniturze, o białych palcach, jakby nigdy nie opuszczał tego brudnobrązowego lokalu i widział jedynie światło brudnożółtej lampy. W milczeniu oszacował wartość złotego zegarka, perłowych kolczyków i naszyjnika, które postanowiła poświęcić. I podał swoją cenę: trzysta dwadzieścia pięć koron. Niezły majątek. Margareta skinęła głową i sięgnęła po pióro. Wyimaginowana gruźlica zniknęła, serce zabiło żywiej w młodym zdrowym ciele, które niebawem zawojuje świat.

Kupiła w Domusie dwie walizki i wsiadła do tramwaju. Włosy rozwiewał wpadający przez opuszczone szyby wiatr. Wyskoczyła z tramwaju i pobiegła do willi z meksykańskiej cegły, pokonała schody na piętro trzema susami i rzuciła walizki na łóżko. Nareszcie wolna!

Po spakowaniu walizek pozwoliła sobie na ukłon w stronę przeszłości. Zadzwoiła do Andre, choć wiedziała, że wyjechał na urlop z żoną i dziećmi. Przez dłuższą chwilę mocno przyciskała słuchawkę do ucha, okręcając sznur na palcu, słuchała sygnałów i wyobrażała sobie, jak niosą się echem w pustym domu. Potem wolno odłożyła słuchawkę i chwyciła walizki.

Pojedzie na stację natychmiast. Nieważne, że nie zajrzała do rozkładu odjazdów pociągów. Prędzej czy później coś przyjedzie.

W semestrze jesiennym napisała do Margot i Henry'ego, ale nie dostała odpowiedzi. Cisza ją zaniepokoiła, dlatego w drugim liście była nieco wylewniejsza i bardziej przymilna. Podziękowała za lata spędzone w ich domu i z entuzjazmem opowiedziała o swoim nowym życiu. Nie dostała wprawdzie pokoju w akademiku, ale znalazła małe lokum w śródmieściu, niedaleko Heden. Góteborg to przyjemne miasto, choć często pada deszcz i wieją silne wiatry. Na studiach idzie jej dobrze. Ma nadzieję, że zda swój pierwszy egzamin przed świętami Bożego Narodzenia. Naturalnie musiała dorzucić małe kłamstewko o nowych przyjaciółach, zwłaszcza tych rodzaju męskiego.

Pisała też inne listy, krótsze i prawdziwsze, ale nigdy do końca szczerze. Nie wspomniała na przykład o dziurze w dołku podsercowym, nie potrafiła tego nazwać. Dlatego pisała do Andre o miłości, do Cioci Ellen o samotności, do Christiny o studiach, a do Birgitty o lęku przed założeniem rodziny i o tęsknocie za rodziną. Przez kilka miesięcy od nikogo nie otrzymała odpowiedzi. Aż tu pewnego grudniowego popołudnia zastała na komodzie w przedpokoju widokówkę. Właśnie wróciła z wykładu. Właścicielka mieszkania uśmiechnęła się, widząc jej podniecenie, i nie była w stanie ukryć, że już to czytała. Nieważne. Margareta przebiegła wzrokiem kilka linijek i uśmiechnęła się z ulgą. Nie musi spędzać świąt Bożego Narodzenia w wynajmowanym pokoju. Christina wybiera się w tym czasie do Yadstény. Czy Margareta nie chciałaby z nią dzielić pokoju u sióstr zakonnych? I spędzić Wigilii z Ciocią Ellen w szpitalu?

W ostatnim tygodniu adwentu zastawiła w lombardzie pierścionek z białymi kamieniami i - po pewnym wahaniu - przedostatnią złotą bransoletkę. Pierścionek był cenniejszy, niż myślała. Włożyła pieniądze do kieszeni króliczego futra, które Margot kupiła jej zeszłej zimy, i przez kilka godzin chodziła po Aveny, zanim znalazła odpowiednie prezenty gwiazdkowe. Dla Cioci Ellen ręcznie tkany szal, dla Christiny rękawice na kożuszkę, a dla Birgitty różowy sweter z mięciutkiej jagnięcej wełny.

Dopiero kiedy siedziała w pociągu, uświadomiła sobie, że Birgitta nie będzie obchodziła z nimi świąt.

Mimo to Boże Narodzenie było świętem pojednania. Na dworcu przywitała ją nie ta sama Christina, z którą się rozstała kilka lat temu w Norrköpingu. Nadal blada i chuda, nie wyglądała chorobliwie, tylko tak jakoś - Margareta szukała słowa - nobliwie. Świetnie by pasowała do dworku Margot. Może Margareta powinna im zaproponować wymianę adresów. Latem Christina mogłaby urzędować jako panienka znad Braviken, siedziałaby nad haftami przy francuskim oknie i sprawiała wrażenie uduchowionej.

Ich pokój u sióstr jako żywo przypominał celę klasztorną: rzucająca blade światło lampa na suficie, dwa wąskie łóżka z rozchybotanymi sprężynami i krucyfiks na ścianie. Mimo wczesnego popołudnia za oknem był mrok, w świetle samotnej latarni na Strandpromenaden wirowały płatki śniegu, a w tle majaczyła czarna toń Yattern. Margarecie zebrało się nagle na płacz. Przytuliła czoło do szyby i mrugała powiekami, usiłując powstrzymać łzy. Bez powodzenia. Stała tak dłuższą chwilę, dyskretnie przesunęła palcem po policzku i odwróciła się. Christina nic nie zauważyła. Była pochłonięta wiesz-

niem ubrać Margarety. Jak mama. Albo autentyczna starsza siostra.

- Myślałam, że zabierzemy ją do domu - powiedziała, wygładzając białą bluzkę. - Że spędzimy Boże Narodzenie w Motali, tak jak dawniej. Mogłaby dostać przepustkę na kilka dni, nie ma w tym nic nadzwyczajnego... Ale Stig Szczupaczy Pysk wynajął dom i kazał zmagazynować meble. Jest jej syn-
dykiem.

- A jeśli wyzdrowieje, to gdzie będzie mieszkać?

Christina odwróciła się i popatrzyła na nią.

- Ciocia Ellen nie wyzdrowieje. Nie rozumiesz tego?

Margareta wykrzywiła się.

- Cuda się zdarzają...

- Nie - powiedziała Christina. - Nigdy nie zdarzył się żaden cud.

Christina zaplanowała wszystko w najdrobniejszych szczegółach. Od kierowniczkę szpitala, z którą rozmawiała odpowiednio wcześniej, uzyskała obietnicę, że w pokoju Cioci Ellen będą mogły zjeść własnoręcznie przyrządzoną wigilijną kolację, a zakonnice zgodziły się, żeby mogła urzędować w ich kuchni do późnego wieczora. W przeddzień Wigilii Christina położyła się o czwartej nad ranem, a mimo to następnego dnia nie wydawała się zmęczona, kiedy otworzywszy drzwi lodówki, pochwaliła się swoimi dokonaniem: pokusa Janssona i śledzie, szynka i klopsiki, czerwona kapusta i żeberka, nóżki w galarecie, ciasteczka migdałowe i herbatniki z cynamonem. Plus rzeczy gotowe: żółty ser, paszтет z kurzej wątróbki, serdelki, żytni chleb. Wszystko zapakowane w papier śniadaniowy, w małych porcjach.

- Ach - powiedziała ze śmiechem Margareta. - Wigilijny stół Cioci Ellen w miniaturze...

Christina też się roześmiała.

- Właśnie. Pomyślałam sobie, że w tym roku urządzimy Wigilię dla lalek.

Nawet Ciocia Ellen uśmiechnęła się na ich widok i tak jak dawniej uszczypnęła Margarete w policzek i nazwała głuptasem, a Christinie, marszcząc czoło, kazała jeść porządnie, żeby nabrała trochę ciała. Salowe pomogły świątecznie przybrać pokój. Na stole, w stożkowym wazonie, własności wojewódzkiego samorządu terytorialnego, stało kilka przyozdobionych bombkami gałązek świerczyny, a na parapecie płonął trójramienny świecznik. Kiedy przyszła pora na prezenty, Ciocia Ellen wyraźnie się spieszyła.

- Gdybym tylko miała taki sam pożytek z moich rąk jak dawniej - wymamrotała, widząc, jak Margareta rozwija swój pakiet. - Wtedy mogłabym ci zrobić coś ładnego...

Margareta popatrzyła na naszyjnik; kilka kulek i patyczków z jasnego drewna tworzyło symetryczny wzór.

- Ale to jest ładne! - powiedziała, wkładając naszyjnik. - Bardzo ładne!

Christina skinęła głową, ściskając swój prezent.

- Świetnie pasuje do tej sukienki. A z czarnym będzie doskonały.

Rozwinęła papier: para zrobionych szydełkiem łapek do naczyn.

- Nauczyłam się szydełkować jesienią - powiedziała Ciocia Ellen, uśmiechając się krzywym uśmiechem. - Mogę to robić tylko jedną ręką. W przyszłym roku będzie narzuta...

Margareta roześmiała się.

- Ja chcę żółtą!

Coś błysnęło w oczach Christiny.

- A ja różową!

Ciocia Ellen trzymała się świetnie, ale przed dziesiątą była wyraźnie zmęczona. Bez protestów pozwoliła, by Christina i Margareta zdjęły z niej odświętną sukienkę i włożyły nocną koszulę. I chyba jej się podobało, że później usiadły przy jej łóżku. Kiedy zasnęła, cicho odsunęły krzesła i wyszły do kuchenki dla personelu. Christina odkręciła wodę, a Margareta znalazła ścierkę.

- Jak myślisz, co Birgitta dzisiaj robi? - zapytała. Christina wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Sądzę, że to samo co zwykle.

Margareta ostrożnie odłożyła pierwszy wytarty talerz.

- Ale chyba nie... w taki wieczór?

Głos Christiny, choć stłumiony, zabrzmiał ostro:

- A bo to wiadomo, co takie typki robią w Boże Narodzenie? I co w ogóle robią? Nie chcę o tym mówić. To obrzydliwe!

Kiedy wyszły, ciągle sypał śnieg, mróz szczypał Margaretę w przesmyk między króliczym futrem i botkami. Christina, rzecz jasna, ubrała się lepiej, jej palto sięgało kolan, poza tym przed wyjściem włożyła grube wełniane spodnie. Margareta wahała się przez chwilę, zanim odważyła się zadać pytanie, które od godziny nie dawało jej spokoju.

- Pójdziemy na pasterkę?

Christina popatrzyła na nią zaskoczona. Wkładala nowe rękawiczki. Pasowały doskonale, odpowiedni kolor, właściwy rozmiar.

- Nie - odparła. - Po co?

Ano po to, że tego mi trzeba, pomyślała Margareta chwilę później, kiedy leżała na rozchybotanym łóżku w klasztorze. Dlatego że moje oczy chciałyby spocząć na świętych obrazach i świecach, dlatego że czuję się wydrążona i chcę, żeby mnie wypełniły dźwięki organów i psalmów, dlatego że chciałabym wybaczyć i uzyskać przebaczenie...

Zamknęła oczy. O wszystkim zapomni, wszystko wymaże z pamięci i kiedy kilka lat później pomyśli o tej jesieni, przywoła jedynie obraz studiów i sympatycznej właścicielki mieszkania. Nawet gdyby się bardzo starała, nie przypomni sobie niemal paraliżującego wstydu, jaki czuła, kiedy pojawiła się na uniwersytecie. Hałaśliwa, roześmiana i flirtująca Margareta ledwie miała odwagę odezwać się do kolegów i zamiast chodzić na imprezy i składkowe zabawy, włóczyła się samotnie po ulicach, przyciskając pięść do przepony, i patrzyła w oczy zagadującym ją mężczyznom. A trzy razy poszła z nimi i zrobiła to, czego od niej oczekiwali.

Czy miała szeptać o tym w ciemnościach Christinie? Czy mogłaby jej powiedzieć, jak stała na podwórzu z opuszczonymi majtkami i przytulała się do obcego mężczyzny? Że rozsuwała nogi w kinie, żeby poczuć w sobie dwa grube palce? Że poszła z nieznanym do brudnego pokoju na godzinę? I że w trakcie czuła coś w rodzaju ulgi, a potem dygotała z lęku, biła się po twarzy za utracony spokój, za karę, że nikt nie chciał jej na dłużej, tylko na chwilę.

Tego nie mogłaby powiedzieć. Nie Christinie. Może Birgitcie.

Tonę, pomyślała. Niech mi ktoś pomoże!

Christina musiała wracać do Lundu w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia, na początku semestru miała egzamin. Margareta odprowadziła ją na dworzec, pożegnały się pospiesznym objęciem i obiecały sobie, że będą w stałym kontakcie.

Potem poszła do szpitala, śnieg już nie padał i Ciocia Ellen energicznie pokiwała głową, zgadzając się na spacer. Przez najbliższe dni często wychodziły, Ciocia Ellen tęskniła za świeżym powietrzem i nie zwracała uwagi na mżawkę ani na przejmujący wiatr. Zaczęła przypominać dawną Ciocię Ellen. Po południu zapraszała ją do kawiarni przy rynku i kiedy gawędziła z ekspedientkami, wpytując o składniki wszystkich wypieków, Margareta musiała stać za wózkiem w milczeniu. W przeddzień wigilii Nowego Roku zamówiła ogromny tort i mimo że w wigilię Nowego Roku lało jak z cebra, nalegała, by go osobiście odebrać. I to szybko! O czwartej po południu personel miał przerwę na kawę i o tej porze tort musiał być w szpitalu. Kuląc się i dygocząc z zimna, upominała Margaretę, żeby ostrożnie ją wiozła po kocich łbach, bo inaczej tort się rozpaćka. Margareta śmiała się. Palce jej zeszywniały, królicze futro zmierzwiło się na deszczu, ale rozgrzewało ją swojskie zrzędenie Cioci Ellen.

W końcu nadszedł dzień powszedni i musiała wracać. Ciocia Ellen pogłaskała ją na pożegnanie po policzku. Margareta przytuliła policzek do jej dłoni.

- Czy nie mogłabyś do mnie napisać?

- Ale kiedy piszę, krzywo mi to wychodzi - odpowiedziała Ciocia Ellen i pokręciła głową. - Nie rozczytasz mnie...

_ Rozczytam. Tylko napisz. Napisz, proszę.

Ciocia Ellen odgarnęła jej grzywkę z czoła.

- Dobrze - zgodziła się na koniec. - Spróbuję. Jeśli to dla ciebie takie ważne...

Stojąc na peronie, uświadomiła sobie, że wcale nie czeka na pociąg do Mjólby, gdzie miała się

przebrać i kontynuować podróż do Göteborga. Najpierw pojedzie w innym kierunku. Prezent gwiazdkowy ciągle leżał nierozpakowany w torbie.

W Motali też lało. Stała przez chwilę w poczekalni dworcowej i patrzyła na park w nadziei, że przestanie padać, po czym wtuliła brodę w zmierzwiony kołnierz futra i pchnęła drzwi.

W kieszeni miała pomiętą kartkę z adresem, który udało jej się wycygnąć od Stiga, zanim została wysłana do Norrkópingu. Mała uliczka na starym mieście. Domu nie kojarzyła. Nie miało to jednak większego znaczenia, wszystkie domy w tej części miasta były do siebie podobne; krzywe, rozpadające się. Usuwano jednak w Motali relikty przeszłości. Widziała to, przemierzając ulice. W miejscu zapuszczonych drewnianych ruder wznosiły się kamienice czynszowe z cegły i betonu. Nadchodziła przyszłość, krytyczna jak teściowa. Wszędzie oczekiwała schludności i porządku.

Ale na ulicę Birgitty jeszcze nie zawitała, wysłała jedynie zapowiedź w postaci stacji benzynowej usytuowanej na starym placu rozbiórki. Poza tym wszystko było po staremu: walące się płoty, łuszczące się fasady drewnianych domów.

Margareta pchnęła drzwi na klatkę schodową i rozejrzała się. Ściany pokrywała brązowa boazeria, a posadzkę - zniszczone linoleum. Nie było żadnych unowocześnień, nie zauważyła nawet spisu lokatorów. Ale na ścianie wisiały cztery starej daty skrzynki na listy, może któraś jest Birgitty. Nie. Nie znalazła nazwiska Fredriksson. W ogóle nie było nazwisk.

- Odpierdol się! Kurwo!

Na piętrze otworzyły się drzwi, zadudnił męski głos, sekundę później na schodach rozległy się ciężkie kroki. Margareta przywarła do ściany. Przechodzący obok mężczyzna musnął ją w twarz kurtką, którą właśnie wkładał. Chyba jej w ogóle nie zauważył. Kopniakiem otworzył drzwi i zniknął. Zdążyła tylko zobaczyć jego plecy, na czarnej skórze widniał duży wizerunek tygrysa.

Dziecko, pomyślała. Birgitta żyje z małym chłopcem.

Teraz wiedziała, że dobrze trafiła. To był Doggen. Grubszy i bardziej zniszczony niż kilka lat temu, kiedy uchodził za największego szpanera w bandzie raggare, ale bez wątpienia on. A tam gdzie był Doggen, tam najprawdopodobniej była Birgitta.

Gdzieś krzyczało niemowlę. Nutka rezygnacji w jego płaczu przyprawiła Margaretę o drżenie. Weszła po schodach na piętro i przystanęła. Za którymi drzwiami można się spodziewać Birgitty? Wybrała na chybił-trafił te po prawej.

Na dźwięk dzwonka dziecko zamilkło, ale w sekundę później znów zaczęło krzyczeć. Ktoś podszedł do drzwi.

- Tak - powiedziała Birgitta i otworzyła. - Czego?

Mieszkanie było chłodne i bez wygód, bez centralnego ogrzewania i ciepłej wody. W kuchni jarzył się na podłodze samotny grzejnik, na żelaznym piecyku stała jedna fajerka. Rozgrzewała się potwornie długo. Zanim kawa była gotowa, Birgitta zdążyła wypalić trzy papierosy Margarety. Gdzieś w domu ciągle płakało niemowlę, ale nieco ciszej i mniej rozpaczliwie.

Birgitta zachowała urodę. Miała olśniewająco białe włosy, skórę gładką jak aksamit, łagodnie wygiętą linię warg. Opuszki palców tak jak dawniej były opuchnięte, paznokcie maksymalnie ogryzione. Na grzywce widniały ślady grzebień. Powinna umyć włosy. Cała powinna się umyć. Jej szyję znaczyła szara smuga brudu, jak w dzieciństwie.

Birgitta odpowiedziała na jej krytyczne oględziny równie krytycznym spojrzeniem.

- Wyglądasz jak utopiony kot - stwierdziła, nalewając kawę i podsuwając w stronę Margarety miskę z sucharkami. - Coś ty robiła? Przypląnąłaś tu, czy jak?

- Pada deszcz - odparła Margareta, częstując się sucharkami. - Szłam ze stacji pieszo.

Birgitta popatrzyła w okno, jakby dopiero teraz zauważyła zimową szarugę. Nie zrobiło to na niej wrażenia. Odwróciła się plecami do okna, wyprostowała nogi i przyglądała się swoim łydkom w czarnych nylonowych pończochach. Dziecko nabierało powietrza, by po chwili znowu krzyknąć, tym razem słabiej, łagodniej. Birgitta wydawała się nic nie słyszeć.

- Co teraz robisz? - zapytała, opuszczając nogi.

- Uczę się. W Göteborgu. Napisałam ci o tym w liście. Nie dostałaś?

Birgitta wzruszyła ramionami i zapaliła następnego papierosa.

- Jak się przeniosłaś do Góteborga, to co robisz w Motali?

Margareta wyjęła pakiet i usiłowała wykrzesać z siebie uśmiech.

- Przyniosłam ci prezent gwiazdkowy.

Wpatrując się w pakunek, Birgitta wrzuciła wypaloną zapalną do popielniczki.

- Proszę - powiedziała Margareta. - To dla ciebie!

Birgitta z wahaniem wzięła pakiet i, z papierosem w kąciку ust, zdjęła wstążkę, po czym jednym ruchem zerwała taśmę klejącą.

- O rany! - powiedziała, wydmuchując chmurę dymu i podnosząc różowy sweter.

Miał dekolt w serek, był niemodny, ba, nawet śmieszny, ale Margareta czuła, że Birgitta w dalszym ciągu lubi się ubierać jak wamp: obcisła spódnica i obcisły sweter z takim właśnie wycięciem.

Birgitta położyła prezent na kolanach, wyjęła papierosa z ust i wydmuchała kolejną chmurę dymu.

- Przyjechałaś aż z Góteborga tylko po to, żeby dać mi sweter? - spytała podejrzliwie. Margareta podniosła filiżankę.

- Nie - powiedziała lekko speszona. - Byłam na święta w Yadstanie. U Cioci Ellen.

Birgitta zmarszczyła czoło.

- To babsztyl się przeniosł? Mieszka w Yadstanie?

Margareta pociągnęła łyk kawy.

- Jest w szpitalu w Yadstanie.

Birgitta zdziwiła się.

- Bez przerwy jest chora?

Margareta skinęła głową i spojrzała na stół. Popękana cerata, tu i tam powychodziły nitki.

- Ma sparaliżowaną połowę ciała. Nigdy nie wyzdrowieje.

Birgitta zaciągnęła się głęboko i odwróciła wzrok.

- To nie była moja wina - rzuciła ostrym tonem.

Margareta spuściła głowę, nie wiedziała, co powiedzieć. Milczała. Deszcz muskał szybę, w tle kwiliło dziecko. Margareta zajrzała do filiżanki, nagle poczuła się bardzo zmęczona. To beznadziejne. Nawet Birgittie nie była w stanie opowiedzieć o tym, co się wydarzyło jesienią, zresztą nawet gdyby była, Birgitta nie miałaby dla niej słów pociechy. Zbyt głęboko ugrzęzła we własnym życiu. Dziecko wstrzymało oddech, sekundę później jego płacz przerodził się w krzyk rozpaczny.

- Cholemy bachor!

Birgitta odsunęła filiżankę, wstała i wybiegła.

- Zamknij się! - wrzasnęła z sąsiedniego pokoju. - Jak się nie zamkniesz, to cię zabiję!

Margareta podniosła się tak gwałtownie, że przewróciła krzesło. Dopiero teraz do niej dotarło, że dziecko jest w mieszkaniu Birgitty. Trzema krokami przemierzyła kuchnię, pośliznęła się na szmaciaku w przedpokoju i chwyciła się futryny.

Birgitta stała w ciemnym pokoiku. To chyba była sypialnia. Opuszczona roleta, pod ścianą nieposłane łóżko, na materacu na podłodze kilka skołtunionych koców, pośrodku łóżeczko dziecinne. Mieszkały się z sobą dwa zapachy: kupy i czegoś słodkawego.

Birgitta stała przy łóżeczku w przedziwnej pozycji. Jak na baczność. Plecy wyprostowane, ręce przyciśnięte do ciała. Patrzyła w sufit.

- Milcz! - krzyknęła. - Milcz, gówniarzu, bo zaraz zrobię ci coś, czego potem będę żałować!

Z łóżeczka dobiegł przeraźliwy wrzask i wysunęła się malutka rączka. Margareta z wahaniem weszła do pokoju.

- Birgitta? - powiedziała. - Ty masz dziecko?

Birgitta odwróciła się i wpatrywała w nią.

- A jak ci się, kurde, zdaje?

Udało jej się zamienić wszystko w zabawę. Grała małą siostrzyczkę, która prosi żeby jej pozwolono się pobawić śliczną lalką starszej siostry. Chłopczyk miał zaledwie trzy miesiące, wydawało się, że nic nie waży. Kiedy go podniosła i położyła na łóżku, dostrzegła w jego spojrzeniu autentyczny lęk. Miał ciemnoczerwone, niemal fioletowe pośladki. Zobaczyła to, wycierając kupę śpioszkami. I tak

były nie do użytku - zawartość pieluchy dawno się z niej wydostała i spływała po nóżkach.

Pospieszyła do kuchni i przepłukała śpioszki, by je wykorzystać w charakterze myjki i ręcznika. W pokoju znalazła paczkę ligniny, zmięła kilka warstw, tak jak to kiedyś robiła z pieluszkami swoich lalek, i włożyła do plastikowych majtek Plastik zeszytniał ze starości, w szwach widniały brązowe ślady po poprzednich kupach. Owinęła małego w kocyk, leżał w jej ramionach jak gołąbek. Płakał, ale dużo ciszej. Zamknął oczy. Wypukłe czoło było mokre od potu.

Margareta stanęła w drzwiach kuchni i przekrzywiła głowę. Birgitta usiadła przy kuchennym stole i zapaliła papierosa.

- Może jest głodny?

Birgitta odęła górną wargę i strzepnęła popiół.

- Nie jest głodny. Drażni się ze mną.

- Proszę... Nigdy nie karmiłam dziecka butelką. Czy mogłabym to zrobić?

Birgitta skinęła głową i odwróciła wzrok.

Margareta znalazła paczkę kleiku, nalała wody do garnka, znalazła trzepaczkę i umyła zapaćką butelkę. Z nie najlepszym skutkiem. Miała do dyspozycji tylko zimną wodę i jedną rękę. Wolą go nie kłaść. Ciągle popłakiwał. Birgitta zatkała sobie uszy i Bóg wie, co by jej wpadło do głowy, gdyby chłopczyk leżał na podłodze. Z trudem mieszała kleik z malcem na rękę. Skawalał się.

W końcu usiadła przy stole i wsunęła mu smoczek do ust. Na sekundę otworzył oczy, popatrzył na nią pustym spojrzeniem i zaczął ssać. Natychmiast zapadła cisza. Birgitta ciągle zatykała uszy.

- Jak mu na imię? - spytała ostrożnie Margareta.

Birgitta opuściła dłonie i wzruszyła ramionami. Przesunęła palcami po ceracie, sięgnęła po paczkę papierosów i od razu ją puściła.

- Słuchaj no - powiedziała. - Nie posiedziałyś przy nim przez godzinę? Muszę zrobić zakupy. I wpaść do socjalu. Potrzebuję pieniędzy na lekarza.

Margareta wahała się. Spojrzała na zegarek. Birgitta wyraźnie się ożywiła.

- Nie mam wózka, rozumiesz... I jak nie mam do niego opiekunki, to nigdzie nie mogę się ruszyć. A w domu nie ma nic do jedzenia. No i muszę pójść do lekarza, bo cholernie mnie boli!

Margareta skinęła głową. Szkoda jej było Birgitty. I chłopca. Potrzebowali pomocy.

- Ale musisz wrócić przed piątą. Mam pociąg.

Birgitta już była na nogach. Przeczesała włosy dłonią.

- Nie ma sprawy, będę za parę godzin. Jesteś równiacha, Margareta. Zawsze byłaś!

Margareta opuściła wzrok. Równiacha? Tak. Jest równa. Fakt.

Birgitta zdjęła czarny sweter i rzuciła go ką, włożyła różowy i wyszła do przedpokoju. Kiedy wróciła do kuchni, miała jasnoczerwone wargi i podkreślone czarną kątówką oczy.

- Tylko parę godzin! - powiedziała z uśmiechem. - Fajowo!

O ósmej wieczorem Margareta rozplakała się. O dziesiątej przestała płakać i zaczęła kłać, jeden krok, jedno przekleństwo. O drugiej w nocy zasnęła z chłopcem na rękę. O wpół do siódmej rano obudzilo ją szarpanie za ramię.

- Przesuń się, do cholery - wymamrotała Birgitta. - To moje łóżko. Jestem kurewsko zmęczona.

- PRZESTAŃ SIĘ BOCZYĆ - mówi Birgitta i napełnia szklanę. - To tylko piwo.

Margareta odwraca wzrok; znowu żałuje, zawsze żałuje. Następnym razem, kiedy jej się zbierze na świadczenie siostrom uprzejmości, wyjdzie z siebie i kopnie się w tyłek. Ku przestrodze.

- Nie boczę się - odpowiada, ale głos ją zawodzi. - Myślałam, że z tym skończyłaś. Tak mi powiedziałaś, kiedy dzwoniłam do ciebie w zeszłym roku.

Birgitta podnosi szklanę i patrzy na bursztynowy płyn.

- Nie piję - mówi. - To tylko piwo. Nie histeryzuj.

Ona histeryzuje? Prycha i otwiera menu.

- Co chcesz? Pizzę? Czy coś innego?

Birgitta zamknęła oczy i popija piwo dużymi łykami. Z przyjemnością.

- W każdym razie ja wezmę łososia - postanawia Margareta i odkłada menu. - Łososia z rusztu.

Birgitta opuszcza szklanke i zlizuje pianę z górnej wargi.

- Łososia? Bo ja wiem, właściwie nie jestem głodna...

Jeśli nie zje, to się upije, a jak się upije, będzie uciążliwa. Margareta już to widzi. Wlece po Drottningatan wrzeszczącą i zataczającą się Birgittę. Ani myśli wystawiać się na taki wstyd. Kładzie rękę na stole, pochyla się.

- Masz coś zjeść! - Cedzi słowa. - Jeśli nie zjesz, nie zawiozę cię do Motali i nic mnie nie obchodzi, jak wrócisz do domu!

Birgitta wydaje się zdumiona, ale tylko przez chwilę.

- Po cholere te nerwy. Jasne, że zjem. Ja po prostu nie lubię łososia. To chyba nie jest zabronione?

Sący piwo i przegląda menu.

- Kotlet wołowy? - dziwi się. - Czy to to samo co befszytk?

Margareta zapala papierosa, jej dłoń drży lekko.

- Nie, to sprasowane odpadki rzeźnicze.

Ciąg dalszy dopowiada w myślach: w sam raz dla kogoś takiego jak ty, zrobione przez ludzi, którzy gardzą takimi jak ty. Birgitta i tak jej nie słucha.

- Z frytkami i bearnaise... Tak, wezmę to.

Podnosi szklanke i uśmiecha się znad jej krawędzi.

- Równiacha z ciebie, Maggan. Zawsze można na ciebie liczyć!

Na chwilę zapada cisza. Margareta patrzy w okno, czuje, jak rozluźniają się mięśnie ramion. Drottningatan majaczy w cieniu. Wszystko jest do siebie podobne. Gdyby nie inne ubrania i kolory tramwajów, mogłyby to być lata sześćdziesiąte. A ona - siedemnastoletnią gimnazjalistką. Przynajmniej w głębi duszy.

- Kiedy mieszkałam w Norrköpingu, żyłam z nauczycielem - mówi i nalewa sobie piwa.

Jest zdumiona, nigdy dotąd nikomu nie opowiadała o swoim związku z Andre. Birgitta chyba nie słucha, rozczarowana patrzy na szklanke, którą Margareta podnosi do ust. Może liczyła na to, że i to piwo będzie jej.

- Wieczorami jeździliśmy jego samochodem i szukaliśmy odpowiedniego miejsca, za każdym razem innego, żeby nikt nas nie rozpoznał. A potem się kochaliśmy na tylnym siedzeniu.

Birgitta wyraźnie się ożywia i szczerzy zęby w uśmiechu.

- A niech to szlag, nie spodziewałam się tego po tobie. Dobry był?

- Dobry?

- No. Czy dobrze posuwał?

Margareta unosi górną wargę. Rany boskie.

- Chyba tak. Ale nie to było najważniejsze. Byłam sama, potrzebowałam kogoś...

Milknie, młody kelner stawia przed nią talerz. Apatycznie wpatruje się w łososia. Birgitta sięga po sól i soli frytki zamaszystymi ruchami. Margareta nabiera powietrza.

- To było takie straszne - kontynuuje. - To, co się stało z Ciocią Ellen... Przez cały rok byłam w jakimś szoku.

Birgitta nieruchomieje, jej oczy zwięzają się.

- To nie moja wina!

W Margarecie wzbiera gniew. Dlaczego ona nie potrafi słuchać?

- Czy ja coś takiego powiedziałam?!

Birgitta odstawia solniczkę, wyłuskuje papierosa, odrywa usta i pstryka zapalniczką.

- Zawsze mnie obwiniałyście! Zawsze!

Margareta nadziewa kartofla na widelec, nagle chce być złośliwa.

- Widzieliśmy cię kiedyś wieczorem. Nauczyciel i ja.

Birgitta błądzi spojrzeniem, kładzie zapalniczkę i szuka czegoś w kieszeni dzinsów.

- Zobacz - mówi. - Christina nie jest całkiem normalna, prześladowuje mnie. Sama zobacz, jaki parszywy list...

Rzuca na stół żółtą kartkę i rozkłada ją drżącymi dłońmi. Margareta obserwuje ją z krzywym

uśmiechem. Nie da się w nic wrobić. Już dosyć tych manipulacji. Nie jest żadną równiacką. Nie boi się.

- No więc - kontynuuje - widzieliśmy cię pewnego wieczoru. W Saltangen.

Birgitta wpatruje się w nią przez sekundę, po czym gasi papierosa w mięsie i zgarnia ze stołu żółtą kartkę. Wstaje i zdejmuje kurtkę z oparcia krzesła.

- Ty gnido - syczy przez ramię. - Ty fałszywa snobko! Razem to uknułyście, co? Ty i Christina!

Margareta patrzy na nią chłodno. A niech sobie idzie, przynajmniej wcześniej będzie w Sztokholmie. Ale jeszcze nie skończyła, musi głębiej zanurzyć w niej zęby i odgryźć solidny kęs. Wspiera brodę na rękę.

- Czy Doggen był twoim alfonssem? - pyta swoim najsłodszy glosem. - I chłopakiem? Miał etacik?

Birgitta narzuca kurtkę na ramiona i rusza do drzwi. Poły powiewają, kłapią za duże buty, niemal spadają z nóg.

Margareta ma, rzecz jasna, wyrzuty sumienia, ale dopiero po skonsumowaniu łososia. Podczas posiłku mocno bije jej tętno, żuje, przetyka, z każdym kęsem czuje się coraz cięższa i coraz pewniejsza siebie. Łosoś jest smaczny, smaczniejszy, niż się spodziewała, zwłaszcza kiedy poprosiła kelnera o wodę mineralną. Nigdy nie lubiła piwa. Jest paskudne, a jeszcze paskudniejsi są ludzie, którzy nim zalatują.

Dopiero pijąc kawę, czuje narastający lęk. Pochyla się nad filiżanką, wspiera czoło na dłoni i truchleje. Co ją napadło? Jak mogła coś podobnego powiedzieć? Co ona właściwie wie o Birgittie, skąd wie, czy i ona nie przyciskała ręki do przepony, czując, że się wykrwawia? Może i ona znajdowała jedyną pociechę w spotkaniach z obcymi ludźmi. Może tak jak Margareta szukała potwierdzenia, że naprawdę istnieje?

Margareta przesuwa dłonią po twarzy i prostuje plecy. Nie. Między nią a Birgitta nie ma żadnych podobieństw. Raz na zawsze musi sobie wybaczyć stan bliski samozatrącenia na początku jej pobytu w Göteborgu. W semestrze wiosennym wszystko się odmieniło. Co tydzień przychodziła pocztówka z Yadsteny. Niepewne litery układały się w krótkie, niemal telegraficzne przekazy. „Wiosna już w drodze! Dbaj o siebie!”. Pocztówki ją obudziły, zmusiły do mrugania powiekami i spojrzenia wokół siebie, jak po długim śnie. Nie była w końcu brzydsza od swoich koleżanek z roku, też mogła się wybrać na jakąś studencką imprezę albo składkową prywatkę. Jej układy pozamałżeńskie przyjęły formę bardziej akceptowaną społecznie, nauczyła się tłumić lęk również przy pomocy chłopców w jej wieku. Chodziła z nimi do kina i na zebrania FWN, po pewnym czasie z jednym z nich się związała. Żyli ze sobą blisko rok w starym gmachu urzędu wojewódzkiego na Majornie, po czym pewnego ranka opuściła go w taki sam sposób, w jaki później opuściła czterech innych. Wstała wcześniej rano, cicho się spakowała i zostawiła go śpiącego w przedmałżeńskim łóżu. Wynajęła pokój i szybko wdała się w romans ze świeżo upieczonym docentem. W odróżnieniu od Birgitty zawsze była odpowiedzialna, nawet w największym dołku pamiętała o pigułkach antykoncepcyjnych.

Nie ma jednak żadnego prawa, żeby zadzierać nosa i osądzać Birgittę. Nie wie, co by się z nią stało, gdyby ta nieznana kobieta nie porzuciła jej w pralni, tylko położyła się cieniem na jej dzieciństwie. Powinna się cieszyć i dziękować Bogu - czy komu tam - za to, że trafiła do domu Cioci Ellen i że nie spotkał jej los Birgitty i Christiny.

W jednej kwestii Birgitta miała rację. Rzeczywiście zawsze ją obwiniały. Margareta, pełna poczucia winy z powodu pokazania Christinie nagryzmołonej w budce telefonicznej rymowanki, podświadomie oskarżała kogo innego. Birgittę! Gdyby tak ochoczo nie wyskakiwała z majtek w jednym samochodzie po drugim. Gdyby się idiotycznie nie chełpiła tym, co inni uważali za wstyd. Gdyby do niej dotarło, że zamiana flejtuchowatej matki na Ciocię Ellen była prawdziwym szczęściem. I rzecz najważniejsza: gdyby nie powiedziała i nie zrobiła tego czegoś, co przypравиło Ciocię Ellen o przyspieszone bicie serca, skok ciśnienia i wylew - to ich życie - ich czterech - wyglądałoby zupełnie inaczej!

Ale z niej cholerna kretyńska!

Margareta odgarnia grzywkę z czoła i ujmuje filiżankę drżącą dłonią. Jasne, że jest zła na Birgittę! Od trzydziestu lat jest na nią wściekła, od chwili kiedy weszła do domu Cioci Ellen i usłyszała to

piskliwe skomlenie:

- Nie moja wina, nie moja wina, nie moja wina!

Jeszcze zanim zamknęła za sobą drzwi, zanim przeszła kilka kroków, zanim zobaczyła Ciocię Ellen na podłodze w dużym pokoju, wiedziała, że już nigdy nie będzie tak jak dawniej.

Leżała na brązowym dywanie. Margaretę uderzył charakterystyczny odór amoniaku, gdy przy niej klęknęła i wzięła za rękę.

- Ciociu Ellen! Co się stało?

Ciocia Ellen uniosła jedną brew i poruszyła ustami, górna warga była czerwona od krwi, w lewym kąciek pieniła się ślina. Nie mogła mówić. Margareta spojrzała na Birgittę. Stała pod ścianą w pełnym rynsztunku: tapir na głowie, lakier, wąska spódniczka i obcisły sweterek. W Margarecie wszystko się zagotowało. Kurwiszon! Przełknęła ślinę.

- Co się stało?

Birgitta podniosła rękę do ust i zaskomlała przez palce:

- To nie była moja wina!

Margareta zniżyła głos do szeptu.

- Uderzyłaś ją? Rzuciłaś się na Ciocię Ellen, ty pieprzona...

Birgitta jeszcze mocniej przywarła do ściany.

- Nie! - powiedziała z ręką na ustach. - Nawet jej nie dotknęłam, przysięgam... Pokłóciłyśmy się, ona krzyknęła na mnie i potem upadła. To nie była moja wina!

Margareta wykrzywiła się i opuściła głowę, nie było na co patrzeć. Wzięła z kanapy poduszkę, przyozdobioną zielonym i czerwonym haftem krzyżykowym, najładniejszym ze wszystkich, i ostrożnie wsunęła ją Cioci Ellen pod głowę.

- Tak, mamusi - powiedziała, głaszcząc ją po rękę - wszystko będzie dobrze.

Wtedy w drzwiach pokoju stanęła Christina.

- Co się stało? - spytała ledwie słyszalnym szeptem. Margareta spojrzała na siostrę i rozplakała się.

Birgitta zasłużyła sobie na dożywotnią karę.

Margareta szuka papierosów, po chwili uświadamia sobie, że wzięła je Birgitta. Nie była aż tak wzburzona, żeby ich nie przywłaszczyć. To bez znaczenia. Margareta już wie, co ma robić. Znajdzie kwaciarnię, kupi różę i znicz i pojedzie do Motali. Sama. Pójdzie na grób Cioci Ellen, chwilę tam posiedzi, porozmawia z nią o listach, które przychodzą nie wiadomo skąd, o tym, co jest i co mogło być. Opowie Cioci Ellen o Andre i swojej pierwszej jesieni w Göteborgu, o podróży do Ameryki Łacińskiej z mężczyzną, którego zostawiła na trzeci dzień, o samotnych wędrówkach po Limie i o tej chwili, kiedy wróciła do domu dziecka i zastała puste łóżko.

- Gdzie jest mój chłopiec? - spytała, wpatrując się w czarne oczy kierowniczk.

- O seniorita - odparła kobieta z krzywym uśmiechem. - To nie był pani chłopiec. Po południu przyszedł tutaj jego matka z adwokatem. Dostała za chłopca pięćset dolarów. Czy mogła pani dać więcej?

Tak. Mogła. Dużo dostała, dlatego dużo może dać. Spadek, jaki miała do przekazania nieskończonej liczbie sierot, wystarczyłby na przeliczowanie każdego sypiącego dolarami amerykańskiego małżeństwa. Ale chłopca już nie było, kierowniczka nie chciała ujawnić nazwiska adwokata i tym sposobem Ciocia Ellen nigdy nie będzie pramatką wszystkich sierot, tak jak Margareta Johansson nie będzie miała potomków. Jest przypadkowym zlepkiem cząstek, który się rozpadnie, zamieni w tysiące innych, równie przypadkowych zlepków, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Wybiera słoneczną stronę ulicy. Zwraca twarz ku niebu i pozwala wiatrowi bawić się jej włosami. Łagodne powietrze pachnie, Margareta próbuje określić rodzaj molekuł muskających śluzówkę nosa i uśmiecha się. Ależ tak, w powietrzu czuć wiosnę. Es ist unsere in die Luft und die Lowen und die Bären springen aus... Oczywiście, Jutro jest wiosenne zrównanie dnia z nocą. Wigilia zrównania to dobry dzień, by odwiedzić Ciocię Ellen.

Po drugiej stronie ulicy dostrzega kwaciarnię i spieszy do pasów. Kiedy stawia stopę na jezdni, ktoś chwyta ją za ramię. Odwraca się i widzi szarą twarz Birgitty, jej trzęsące się podbródki.

- To nie była moja wina - belkoce Birgitta. - Musisz mi uwierzyć, ktoś kiedyś musi mi uwierzyć!

Margareta nie odpowiada, uwalnia się i wbiega na jezdnię. Ledwie zrobiła kilka kroków, zapala się czerwone światło, warczy na nią groźnie jakiś autobus. Dopiero na chodniku docierają do niej słowa Birgitty:

- Ona kłamała! To był straszny babsztyl! Nie wiesz, co ona zrobiła!

To przesądza sprawę. Nic jej nie obchodzi, jak się Birgitta dostanie do Motali.

Na szali

A ty, urodziwa cudowna naturo,

Czym jesteś, jeśli nie umajonym trollem,

Co zabija i pożera własne plody

Zwiedzione twoją okrutną pieszczotą?

Ty, co jesteś ich grobem i nagrobkiem,

Strzeżesz bram wieczności, Sfinksie

O obliczu dziewicy i lwich łapach,

Trwasz w ciszy z uśmiezkim śmierci...

Dobrze więc! Uderz: ale niech się potem dowiem,

Dlaczego byłem i co mój świat znaczy!

Per Daniel Amadeus Atterbom

NIE MOGĘ PRZEŁYKAĆ. Nigdy już nie będę mogła przełykać.

Co to znaczy? Dokąd mnie to zaprowadzi? Odpowiedź jest prosta: donikąd.

Kerstin Pierwsza wyfrunęła z pokoju, żeby zadzwonić po Hubertssona. Mogłabym jej powiedzieć, że to próżny trud, bo Hubertsson wyszedł z przychodni, ale odsunęła komputer i nie mogłam dosięgnąć ustnika.

Ulrika została. Jest zmieszana, zgasł jej służbowy uśmiech. Właściwie już skończyła, zmieniła mi koszulę nocną i pościel, przemyła twarz letnią wodą pachnącą mydłem, ułożyła książki na szafce według wielkości, żeby się nie zwaliły na podłogę, a mimo to nie odchodzi. W milczeniu wygładza pościel, poprawia prześcieradło, choć to całkiem zbyteczne, i niezwykle starannie składa koc.

Ona się boi. Nagle wydaje się bardzo młoda i tak strasznie się boi, że chciałabym ją pocieszyć. Ale ustnik jest za daleko.

Mnie nie wolno się bać. Wiem, co mnie czeka, i właśnie dlatego nie wolno mi się bać. Po utracie zdolności przełykania są trzy wyjścia. Pierwsze - nic nie robić. Wtedy, wskutek braku płynów, śmierć następuje na trzeci dzień. Drugie to kroplówki. Organizm jest zaopatrywany w płyny, cukier i sole, nie otrzymuje jednak prawdziwego pożywienia i po kilku miesiącach umiera się z głodu. Trzecie wyjście to wprowadzenie przez nos i przełyk rurki do żołądka i podawanie co trzy godziny płynnego pokarmu. Wtedy można żyć wiecznie. Amen.

Praise the Looord I've seen the Light...

Do pokoju Marii docierają radosne głosy. Przez sekundę wydaje mi się, że niebo nad szpitalem się otwiera i słyszę nęcącą pieśń archaniołów, serafinów i cherubów. Przypominam sobie jednak, że niebo zawsze jest otwarte, a dzisiaj miał przyjechać do szpitala chór. Ich radość napawa mnie spokojem. Patrzę na anioły Marii. Tęsknicie za mną? Czekacie na mnie? Przyjdę. Niedługo.

Ale jeszcze nie teraz.

Wiem, że stworzony przeze mnie obraz Wielkiego Dowcipnisia jest naiwny i nie całkiem comme il faut. W końcu spotkałam w szpitalu niejednego księdza. Wyobrażam go sobie jako baśniowego króla przestworzy, Jupitera z białą brodą i w gwiazdzistym diademie, olbrzyma, którego galaktyczny tron unosi się w próżni po drugiej stronie Drogi Mlecznej i którego błękitny płaszcz bogato zdobią białe gwiazdy i supergwiazdy nowe, lśniące obłoki antycyżstek i połyskująca ciemna materia. Jest on ponoć bardziej tajemniczy; to immanentna tajemnica bytu.

Taki niesamowicie abstrakcyjny bóg musi być zapewne uwięziony we własnej tajemnicy, głuchy i niemy, ślepy i niesprawny ruchowo. Nie rozumiem, jak można z takim bogiem rozmawiać. Ja

chcę rozmawiać z Wielkim Dowcipnisiem. Bo z kim mam się kłócić, od kogo mam żądać wyjaśnień? Ale nie wierzę. Nie widzę ku temu żadnych powodów. Fizyka jest bliska znalezienia odpowiedzi na ostatnie pytanie wszystkich religii: Jak może istnieć świat bez stwórcy? Jak coś może powstać z niczego?

Materia może powstać z próżni, jeśli ciśnienie będzie dostatecznie duże. To zostało już udowodnione. Coś - na przykład wszechświat - może zatem powstać z niczego. Choć z drugiej strony ciśnienie należałoby uznać za coś. Próżnię chyba też. Czy próżnia jest czymś? Nieistnieniem? Kto stworzył Wielkiego Dowcipnisia? Kto stworzył tego, który stworzył Wielkiego Dowcipnisia?

Tak można by w nieskończoność. Jeśli ma się czas. I jeśli nie myśli się o tym, co już wiemy: że coś może się stać niczym. Na przykład świadomość, Myśl. Istnienie.

Zamykam oczy i zanurzam się w stesolidzie. To przedziwne zmęczenie, nie cięży jak ołów i nie dławi jak zmęczenie Birgitty, która stoi przy pasach w Norrkópingu, nie boli ani się nie czai jak zmęczenie Christiny, która zamyka oczy w gabinecie, nie przyprawia mnie o ziewanie i senność jak zmęczenie Margarety, która czeka na swoją kolej w kwaciarni. Moje zmęczenie jest zwiewne, przejrzyste i paraliżujące. Jakbym leżała na rozkołysanej pajęczynie, niezdolna się uwolnić, niezdolna nawet do chęci uwolnienia się.

Nie, jednak nie. Chciałabym się uwolnić, gdybym tylko mogła mieć nadzieję. Ten stan, który przed kilkoma godzinami z pogardą odrzuciłam, teraz wydaje mi się rajski. Siedzieć na łóżku i jeść śniadanie. Drżącą ręką podnosić do ust łyżkę owsianki z mussem jabłkowym. Czuć język na podniebieniu i rozkoszować się wyłaniającymi się obrazami. Późnego lata.

Rozkołysanego owsa, pachnących jabłek, panoramy Östgötaslatten.

Czyli widokówkami.

Chór intonuje w świetlicy nową frazę i rozbrzmiewają srebrzyste głosy.

Search me, Lord,

shine a light from heaven on my soul

Search me, Lord,

I wanna be right, I wanna be saved

I wanna be whole...

Dziękuję, postoję. Nie muszę być zbawiona i przeniesiona na bezpieczną stronę, nie pragnę takiej wersji życia wiecznego. Nie miałabym jednak nic przeciwko temu, gdybym po śmierci stanęła przed obliczem Wielkiego Dowcipnisia. Chciałabym, żeby siedział na galaktycznym tronie, z wagą w rękę, i żeby mnie zmusił do wyznania grzechów. Natychmiast otworzyłabym dłoń, na której leżałyby trzy czarne kule: zazdrości, goryczy i zmarnowanego talentu.

- Posłuchaj! - zaczęłabym, kładąc na szali kulę zazdrości. - Jestem winna. Codziennie pożałowałam tego, co mieli inni. Tygrysięj Marii zazdrościłam listów od matki, Agnecie uroku i ciepłych uczuć ze strony innych, Elsegerd samodzielnie poruszania się. Zazdrościłam im tego, że opuściły Zakład dla Ułomnych, każda na swój sposób. Kiedy i ja wiele lat później zostałam przeniesiona, nie cieszyłam się. W Linkópingu, gdzie byłam królikiem doświadczalnym w rękach neurochirurgów, zazdrościłam innym pacjentom powrotu do zdrowia. Neurochirurdzy otwierali im głowy, grzebali w nich, a potem wszystko było dobrze. Widziałam, jak wstają z łóżka i stawiają pierwsze niepewne kroki, podczas gdy ja ciągle leżałam, przyglądając się im zmrużonymi oczami. Też chciałam chodzić! - Cofnęłabym się o krok i lekko zadarła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy.

- Dlaczego nie zawiść uczyniłeś grzechem, tylko zazdrość? Powinno być odwrotnie. Większym grzechem jest powiedzenie: „Ona nie będzie miała!”, „Ja też chcę mieć!” Dlaczego ktoś, kogo pozbawiono wszystkiego, nie może nawet niczego pragnąć? - Potem położyłabym na jego szali drugą kulę. - To gorycz. Też jestem winna. W tej kwestii nie mam zastrzeżeń, gorycz jest i pozostanie grzechem. Pozwól mi tylko wyjaśnić, pozwól, żebym ci wykazała, czym ona jest naprawdę. - Teraz mówiłabym ciszej, niemal szeptem. - Gorycz to powikłanie pochorobowe. Dotyka tych, którzy nie mogą się wypląkać do końca. Przyszło mi żyć w czasach nieuznających smutku, w czasach poszukujących problemów. Z problemami jest łatwiej, można im zaradzić. Smutki trzeba przeżyć, poza tym udzielają się innym i budzą lęk, dlatego ludzie gotowi są na wszystko, byle tylko je w innych uśmierzać. Kłamią. Moralizu-

ją. Zagłuszają krzykiem i donośnym śmiechem. Ja miałam wiele powodów do smutku i to ich wystraszyło i rozeźliło. Byli na mnie źli, ponieważ znalazłam się w beznadziejnej sytuacji. Dlatego miałam być wdzięczna za to, że dostaję jedzenie i ubrania, miałam zaakceptować swój los i być realistką, a z czasem traktować swoje kalectwo jak coś mało praktycznego, ale przecież nietragicznego. Tymczasem to była tragedia! Tragedią jest nie chodzić i nie mówić, to znacznie więcej niż mało praktyczny stan. Każdy powinien mieć prawo wznieść pięści ku niebu na oczach całego świata, złorzeczyć i przeklinać, krzyczeć i miotać się, wierzgać i walić rękami w ziemię, i płakać, dopóki oczy nie pozbędą się wszystkich łez. Dopiero wtedy można zobaczyć świat, można śledzić wzrokiem mrówkę dźwigającą źdźbło trawy, można się pogodzić z tym, że choć więcej od życia nie dostaniemy, i tak to, co mamy, to też dużo. Dopiero wtedy można zrozumieć, że samo istnienie jest szczęściem.

Znowu spojrziałabym na Wielkiego Dowcipnisia. Bawiąc się swoją brodą, popatrzyłby na mnie i przyzwalająco skinął głową. Mówiłabym więc dalej, nic nie byłoby w stanie mnie powstrzymać.

- Stałam się zgorzkniała nie tylko dlatego, że nie mogłam się wypłakać do końca. Było coś jeszcze. Nigdy dla nikogo nie byłam najważniejsza. Nawet wtedy, kiedy się urodziłam, moje życie było dla Ellen mniej ważne niż śmierć Hugona. Potem do nikogo nie mogłam sobie rościć żadnych praw, nie było powodu, dla którego miałabym coś znaczyć w życiu innych. To całkiem logiczne. Jeśli ktoś nie jest najważniejszy dla swojej matki, nigdy nie będzie się naprawdę liczył dla innych. Nawet dla siebie.

Głos Wielkiego Dowcipnisia zagrzmiałby w przestworzach.

- A Hubertsson?

Spojrziałabym na niego ostro; władcę wszechświata dotknąłby gniew mikroba.

- Zamilcz! Choć raz mnie wysłuchaj. Dojdę do Hubertssona. Później. Teraz kładę na szalę trzecią kulę: zmarnowanego talentu.

Wyprostowałam się, splotła dłonie na plecach, lekko odchrząknęła i mówiła dalej.

- Nie wszystkiego mnie pozbawiłeś. Dostałam bystre oczy i sprawny umysł. Dlaczego więc nie urządziłam sobie jakiegoś życia? Dlaczego nie zostałam światowej sławy naukowcem, drugim Stephenem Hawkingiem? Albo przynajmniej przeciętnie zdolną studentką? Dlaczego zamiast kontynuować naukę, leżałam w łóżku i czułam się okradziona przez moje siostry?

Pokiwałby głową. No, właśnie. Dlaczego? - Wróćmy do Linkópingu, do tych lat, kiedy byłam królikiem doświadczalnym w rękach chirurgów i zdolną idiotką. Ojoj, ale ja byłam zdolna! Ale mi się to podobało! Na każdą pochwałę rozjaśniałam się jak słońce. Spójrzcie no tylko na Desiree. Siedzi na wózku na oddziale dla przewlekle chorych ze świadectwem ukończenia kursu. Jest taka zdolna! Zdała egzamin z angielskiego! Napisała pracę o Thomsonie i elektronach! Teraz musi jednak zapomnieć o książkach, bo zabieramy ją do neurologa i znów rozwiernimy kości czaszki. - W tym miejscu popatrzyłabym na niego. - Czy wiesz, Wszechwiedzący Wielki Dowcipnisiu, ile razy mnie operowali? Bo ja nie wiem. Myślałam, że te niezliczone operacje mają na celu znalezienie cudownego zakończenia nerwowego, źródła wszelkiego zła, i uleczenia go za pomocą wprawnych palców i precyzyjnych narzędzi. A potem będę mogła robić to, o czym wcześniej nawet nie śmiałam marzyć. Śpiewać. Tańczyć. Biegać. Przygotowywałam się do nowego życia, dlatego właśnie w kilka dni po każdej operacji pochylałam swoją wygoloną głowę nad podręcznikami, dlatego nigdy nie narzekałam, kiedy znowu zabierali mnie na neurologię na kolejną operację, mimo że ledwie zdążyły się wygoić rany po poprzednich zabiegach. Przecież czekało mnie nowe życie. - Nabrałabym powietrza, żeby mój głos brzmiał pewnie. - I nadszedł ten dzień, kiedy zdałam maturę. Przedstawiciel Instytutu Korespondencyjnego Hermoda osobiście stawił się w szpitalu, by mi wręczyć świadectwo i białą czapkę maturzystki, pacjenci kupili mi kwiaty, personel zatroszczył się o tort, zjawił się także dziennikarz z „Óstgöta-Correspondenten”. Siedziałam na wózku, z kwiatami na kolanach, fotograf zrobił mi zdjęcie, a dziennikarz stał z boku i życzliwie się uśmiechał... Byłam szczęśliwa. Po raz pierwszy ktoś mnie zauważył, po raz pierwszy byłam naprawdę szczęśliwa. Kilka godzin później przyszedł Lundberg. - Tutaj bym przypuszczalnie przełknęła ślinę, żeby w ogóle móc kontynuować. - Pewnie znasz doktora Lundberga. Ordynatora. Oczywiście, że znasz, przecież jesteś wszytkowiedzący. Więc wiesz, co powiedział, kiedy z obowiązku przyniósł mi książkę w prezencie maturalnym. Powiedział, że zamierza przepołowić mi mózg. Przecięć skalpe-

lem most, rozdzielić półkule. Żeby epilepsja nie poczyniła większych szkód. Tylko tyle mogli dla mnie zrobić, miał jednak nadzieję, że to rozumiem, że mnie nie wyleczą, zapobiegną jednak dalszym spustoszeniom. Rozszczepianie mózgu było co prawda czymś nietypowym, ale tę wypróbowaną metodę z powodzeniem stosuje się od lat czterdziestych w USA. - Jeszcze bardziej ściszyłabym głos. - I zwiędł. Tak to jest, kiedy znika nadzieja. Więdnie się. I ja to czułam. Jakby w ciągu kilku minut moje kości opróżniły się ze szpiku, jakby straciła resztki sił, które mi zostały. Lundberg chciał mi rozszcześcić mózg! Oddzielić uczucie od rozumu, litery od cyfr, świadomość od nieświadomości. Chciał mnie pozbawić osobowości, żebym nie poniosła dalszych szkód. Odłożyłam prezent i popatrzyłam na niego. Nagle dotarło do mnie, że przecież on mi nigdy niczego nie obiecywał, że oszukiwałam samą siebie. Czego ja się właściwie spodziewałam? Że będę śpiewać? Tańczyć? Biegać? Przy odrobinie szczęścia mogłabym pracować jako archiwistka. Cztery, sześć albo osiem godzin dziennie na wózku inwalidzkim na zapleczu zakurzonej biblioteki. A gdyby szczęście mi nie dopisało, do końca życia byłabym skazana na bezrobocie. Na szczęście liczyć raczej nie mogłam. Pozbierałam resztki szpiku i resztki sił, żeby powiedzieć jedno słowo: „Nie”. Nie zgadzam się na rozszczepienie mózgu. - Znowu spojrziałabym w oczy Wielkiemu Dowcipnisiowi. - Byłam gotowa na wszystko. Na śmierć. Przeszłam mówić i czytać, nie chciałam jeść ani pić, krzyczałam na widok neurochirurga. W ten sposób stałam się bezużyteczna i wojewódzki samorząd terytorialny przeniósł mnie do Yadsteny, gdzie opieka była tańsza i prostsza. I tak w moim życiu pojawił się zakręt: spotkałam Hubertssona i odkryłam, że jestem czymś więcej, niż myślałam. Mojej duszy urosły skrzydła. Wybacz tę tanią metaforę...

Wielki Dowcipniś chrząknąłby, zniecierpliwiony. Do rzeczy!

- To wszystko. Żeby być blisko niego, musiałam zostać jego pacjentką. Nocami wyfruwałam w świat, w ciągu dnia leżałam spokojnie w łóżku. Uznałam, że to mi wystarczy. Dlatego już się nie uczyłam, dlatego nie zostałam drugim Stephenem Hawkingiem.

Teraz bym się uśmiechnęła i pokazała mu moją czarodziejską sztuczkę. Z fałdy całunu wyjęłabym czwartą kulę, połyskującą złociście, większą od trzech poprzednich.

- Spójrz - powiedziałałabym. - Pochyl się i zajrzyj do niej! Kładę ją na drugiej szali. Czy zrównoważy moje grzechy?

Kula sturlałaby się z mojej dłoni na szalę, lśniąc i migocąc. Nie ulegałoby wątpliwości, że jest cięższa niż wszystkie gwiazdy Wielkiego Dowcipnisia.

- Widzisz? Widzisz, jak szala opada pod ciężarem mojej kuli? Jak się pod nim załamuje?

Wielki Dowcipniś pochyliłby się i położył przede mną swoją potężną dłoń. Postąpiłabym krok naprzód, z drzeniem i bojaźnią, ale stanowczo. Powoli pokonywałabym niebiosa, Bóg podniósłby mnie przed swoje oblicze. I poznałabym odpowiedź.

- Ja wiem - powiedziałałby. - Ty kochałaś.

Kerstin Pierwsza i Ulrika są w moim pokoju, widzę je zza przymkniętych powiek. Nigdy tak nie wyglądały. Kerstin Pierwsza ma fryzurę w nieładzie, oczy Ulriki błyszczą, jest zdenerwowana. Podnoszą mi zagłówek, wygładzają na plecach koszulę nocną. To miłe. Zagniecienia przysparzają bólu, kiedy się na nich leży godzinami.

- Desiree - odzywa się Kerstin Pierwsza dziwnie głębokim głosem. - Desiree! Czy mnie słyszysz?

Otwieram oczy i patrzę na nią.

- Nie mogę znaleźć Hubertssona. Dzwoniłam do przychodni i do niego do domu, ale go nie ma. Czy chcesz, żebym wezwała doktor Wulf?

Nie. Nie chcę. Mam wobec niej inne plany. Zamykam oczy i lekko kręcę głową. Po raz pierwszy Kerstin Pierwsza widzi jeden z moich niespastycznych ruchów.

- Chcesz czekać na Hubertssona? Dobrze. Obiecuję, że będę do niego dzwonić. Jeśli go nie złapię przed końcem zmiany, poproszę Kerstin Drugą, żeby się tym zajęła. Dobrze?

Dobrze. Bardzo dobrze.

Nie wiem, co powiem Hubertssonowi, kiedy przyjdzie. Decyzje należy podejmować. Obietnic należy dotrzymywać.

Rozmawialiśmy, rzecz jasna, o pomocy w umieraniu zwłaszcza w ostatnich latach, odkąd euta-

nazja nie jest kojarzona wyłącznie z nazizmem i obozami śmierci, ale także z nowymi rozwiązaniami współczesności. Nie tylko w Holandii szuka się innych możliwości. W Australii na przykład wymyślono dla osób niepełnosprawnych komputer śmierci. Podwozi się do niego człowieka na wózku inwalidzkim, napełnia strzykawkę trucizną i wkłada igłę zabezpieczonej kaniuli w ramię. Na monitorze co trzydzieści sekund pojawia się to samo pytanie:

- Czy na pewno chcesz umrzeć?

- Czy na pewno chcesz umrzeć?

- Czy na pewno chcesz umrzeć?

Za każdym razem trzeba nacisnąć „enter” i w trzydzieści sekund później kaniula się odbezpiecza i trucizna przenika do krwi. Proste i higieniczne. Nie ma kata, jest tylko ofiara. I trochę zaoszczędzonych pieniędzy podatników.

Chór w świetlicy zbliża się do finału. Ciepłe, rozgrzane głosy. Głośne klaskanie w rytm. Z trudem rozróżniam słowa: No one else can calm my fear...

Zazdroszczę im. Też chciałabym śpiewać. Właśnie tę piosenkę chciałabym zaśpiewać Hubertssonowi.

Wiem o Hubertssonie więcej, niż mu się zdaje. Znam smak jego skóry na szyi, wiem, jakie to uczucie błądzić palcami po włosach na jego piersiach i patrzeć, jak w chwili orgazmu zamyka oczy i otwiera usta. Wspomnienie jest delikatne i kruche, rzadko do niego wracałam, żeby starczyło na długo, chroniłam przed zużyciem. Ale teraz nie ma to już znaczenia. Niewiele przede mną przyszłości.

Jeden jedyny raz towarzyszyłam Hubertssonowi w jego wyprawie do „Standard Hotell” w Norrköpingu. To było w czwartek, w styczniu. Krzywa na wykresie mojego życia zaczęła się załamywać, coraz częściej pojawiały się ataki; dźwięki i chrząknięcia, jakie wydawałam, coraz mniej przypominały słowa. Często irytowałam się na moich asystentów, uważałam, że się ze mnie nabijają, udając, że rozumieją, co mówię, i gorliwie podsuwając mi pod nos tabliczkę z literami, żebym pokazywała literę za literą. Z pokazywaniem miałam takie same trudności jak z mówieniem. Ręce skakały po tabliczce, sama nic nie rozumiałam. Wkładanie pałeczki do ust też nie przyniosło pożądanych rezultatów.

Tak więc zamilkłam. Zanurzyłam się w sobie. Niemal całe dni spędzałam w łóżku. Spałam albo udawałam, że śpię, i prychałam na jakiegokolwiek próby wyciągnięcia mnie z domu. Na ulicach leżał śnieg, było zimno, co miałabym tam robić?

Po pewnym czasie asystenci przywykli do tej sytuacji, siedzieli w moim salonie i czytali książki albo gazety, czasami uchylali drzwi sypialni, żeby zobaczyć, czy nie mam skurczów. Przestali się do mnie odzywać. Tak jak chciałam. Gdyby się do mnie z czymś zwracali, nie mogłabym się nigdzie wypuścić.

Wypatrzyłam fantastycznego nosiciela, podstarzałą wronę, która tak jakoś pod koniec listopada wybrała sobie na dom sosnę przed oknem mojej sypialni. Odpowiadało mi jej usposobienie. Uparta i nieco rozjuszona, była niezwykle przytomnym stworzeniem. Kiedy odkryła moją obecność, nie wpadła w panikę jak inne wrony, tylko dokonała szybkiej kalkulacji. Byłam wprawdzie od niej silniejsza, ale najwyraźniej jej potrzebowałam. Czyli fifty-fifty. Zburzyłam to jej przekonanie, dając do zrozumienia, że jeśli będzie mi posłuszna, zachowa życie i na wiosnę zostawię ją w spokoju. Ją i jej jajka.

Początkowo byłam ostrożna. Kilka razy dziennie pozwalałam jej krążyć nad Yadstena, nigdy jej nie zmuszałam do latania nad Yattern - bała się czarnej wody połyskującej między płatami kry - wystarczało mi oglądanie jeziora z zamkowej wieży i z wierzchołków drzew w parku. Później mogła siadać na drzewie przed przychodnią, skąd obserwowałam Hubertssona i Christinę, kiedy przyjmowali pacjentów. Z czasem się rozzuchwalałam. Opuszczałam wronę i odpoczywałam na gałęzi w kropli wody, podczas gdy ona mogła się przenieść na inne drzewo. Nigdy nie odlatywała daleko i zjawiała się na każde moje przywołanie jej myślą. Mimo to nadal się przygotowywałam wyciągałam wronę na coraz dłuższe wycieczki, zataczałyśmy coraz większe koła nad Östergötaslatten, zatrzymywałyśmy się w lasach i zagajnikach, przesiadałam się na lisa lub zajaca, wnikałam w śpiącego jeża i śniłam razem z nim. Wrona zawsze do mnie wracała, przylatywała natychmiast, o każdej porze dnia i nocy. Była moja. Oswojona i gotowa do akcji.

W czwartki budziłam się zawsze z niepokojem. Dzisiaj Hubertsson szybko wypije kawę i wyj-

dzie, a jutro będzie bardzo późno, jeśli w ogóle będzie. W czwartkowe poranki mówił mało, jakby już myślał o zbliżającej się nocy. Nie podobało mi się to. Niewiele wiedziałam o jego czwartkowo-piątkowych nocach, nie miałam pojęcia, czy spotyka się z tą samą kobietą, czy za każdym razem wybiera inną. Nie zamierzałam go o nic pytać, byłoby to pogwałcenie wszystkich paragrafów naszej umowy. Nie satysfakcjonowało mnie obserwowanie go na odległość, zza przymkniętych powiek, tak jak zwykłam obserwować moje siostry. Nie chciałam patrzeć oczami Hubertssona, chciałam, by to on patrzył na mnie.

W końcu nadszedł oczekiwany czwartkowy poranek. Hubertsson, nieobecny myślami, pomachał mi teczką na pożegnanie i wyszedł. Patrząc za nim, postanowiłam zaryzykować. W ciągu dnia byłam miła i posłuszna. Żeby uśpić czujność asystentki, pozwoliłam się nawet wyprowadzić na spacer, a o piątej zaczęłam ziewać, dając jej skutecznie do zrozumienia, że chciałabym się położyć. O szóstej przyszedł następny asystent - młody, energiczny artysta - uchylił drzwi sypialni i z zadowoleniem skostatował, że spokojnie śpię. Otworzył potem swój szkicownik i chwycił ołówek. Tego wieczoru dużo zdąży zrobić.

Skierowałam wronę na północny wschód. Chyba się połapała, że sytuacja jest wyjątkowa. Wzbiła się wysoko pod czarne niebo i krakała. Zaśmiałam się w odpowiedzi i skłoniłam ją do szybszego lotu. Mimo to dopiero po kilku godzinach wylądowałyśmy na latarni przed „Standard Hotell”. Wrona była wyczerpana, kręciła głową, chciała ją wsunąć pod skrzydło. Nie zgodziłam się, potrzebowałam jej oczu, żeby wypatrzeć innego nosiciela. Przed wejściem było pusto, czekałam blisko dwadzieścia minut, zanim pojawił się jakiś samotny maruder. Mężczyzna w średnim wieku. Nie zorientował się, kiedy się w nim znalazłam, przystanął tylko w pół kroku, lekko się zachwiał, jakby miał nagły zawrót głowy, i wszedł do szatni. Tam zderzył się z kobietą idącą do damskiej toalety. Ledwie ją zobaczyłam, natychmiast się przeniosłam.

Miała przyjemne ciało, lekkie i miękkie. Jej płuca były jasnoróżowe, wyrostki rzęskowe kołysały się jak wodorosty na dnie morza, ślina w ustach przypominała rosę. Zdecydowałam się od razu. Zostaję.

Trochę wypiła. Zauważyła mnie, siedząc na sedesie. Oderwała wzrok od białych bawełnianych majtek i wpatrywała się w ścianę. W głowie załęgło się pytanie. Czy ktoś tam jest?

- Chcę tańczyć - szepnęłam. Zaśmiała się i powtórzyła moje słowa.

- Chcę tańczyć.

Kiedy wychodziłyśmy z toalety, zdążyłam zobaczyć jej odbicie w lustrze. Miała ładne kolory: złote blond włosy i zielone oczy. Młoda, nie do końca dojrzała twarz, gładkie policzki, okrągłe pytające oczy. Może jest za młoda dla Hubertssona.

Ale chcę być lekka pod jego ciężarem, pomyślałam.

Uśmiechnęła się do swojego odbicia i przekrzywiła głowę.

- Lekka pod jego ciężarem...

W sekundę później zasłoniła usta dłonią i patrzyła na siebie. Co mnie napadło? - pomyślała.

- Jak się nazywasz? - spytałam.

Zdjęła dłoń z ust i szepnęła:

- Kim jesteś?

- Snem i baśnią. Jak się nazywasz?

- Kim jesteś? - zapytała z paniką w głosie.

Otworzyły się drzwi sąsiedniej kabiny i wyszła jakaś rozchichotana dziewczyna.

- Co ci jest, Camilla? Mówisz do siebie?

Camilla wybuchnęła śmiechem, czystym, jasnym, roziskrzonym. Spodoba się Hubertssonowi.

- Dziwnie się czuję. Jakbym nie była sama w swoim ciele...

Dziewczyna zachichotała.

- Bo chyba nie jesteś...

Wulgarny typ. Dobrze, że jej nie wybrałam.

Zatrzymałam Camillę na moment w drzwiach restauracji, żeby móc się rozejrzeć. Żyrandole i przyciemnione światło, czerwone aksamitne zasłony i parkiet taneczny. Na estradzie umiarkowanie

elektryczny kwartet w czarnych marynarkach. Tego się mniej więcej spodziewałam.

Hubertsson był przy stoliku pod oknem. Miał poważną twarz, ale siedział dosyć nonszalancko: noga na nodze, prawe ramię na oparciu sąsiedniego krzesła. Sprawiał wrażenie, jakby nie chciał tu być, jakby nic wokół siebie nie widział ani nie słyszał.

Przyjaciółka Camilli doszła do połowy restauracji, odwróciła się i zrobiła przywołujący gest, Camilla ruszyła ku niej, ale czym prędzej ją powstrzymałam.

- Tam - szepnęłam. - Ten samotny mężczyzna.

Jej mózg przeszła pogarda. Stary dziad! Syknęłam, powiększyłam się, jej „ja” lekko się wycofało, i poszła tam, gdzie chciałam. Wpiłam zielone oczy w Hubertssona, przesunęłam palcami po obrusie jego stolika i mijając go, uśmiechnęłam się półgębkiem.

Udało się. Ledwie usiadłam, poczułam jego dłoń na ramieniu. Położyłam wizytową torebkę Camilli na stole i wstałam. Wziął mnie pod ramię i poprowadził na parkiet.

Ach!

Nareszcie dotykać policzkiem policzka Hubertssona, uśmiechać się, kiedy system nerwowy przenika rozkoszny dreszcz, zanurzyć mlecznobiałe, sprężyste ciało w jego objęciach, niby przypadkiem wsunąć udo między jego uda.

Dobrze tańczył, pozostawało mi się tylko rozluźnić i pozwalać mu prowadzić. Nic nie mówiłam, on też nie, tańczyliśmy taniec za tańcem, w zupełnym milczeniu. Przyjaciółka Camilli podnosiła pytająco brwi, zamykałam wtedy oczy Camilli, żeby ją wyrzucić ze świadomości. Camilli prawie nie było. Szeroko otwierała oczy w jakimś zakamarku ciała i wmawiała sobie, że śni.

Przyszłam późno, zbliżał się ostatni taniec. Hubertsson położył mi rękę na plecach i przycisnął do siebie. Odpowiedziałam mu krótkim śmiechem.

- Tak - szepnęłam ja i mój głos, taki jaki by był, gdyby wszystko potoczyło się inaczej. - Tak. Tak. Tak.

Hubertsson roześmiał się i pogłaskał mnie po plecach.

- Tak - powiedział. - Stanowczo tak.

Aranżacja jego pokoju hotelowego świadczyła o pewnej rutynie. Na stole paliła się lampka, dzięki czemu nie musiał psuć nastroju włączaniem górnego światła, zasłony były zaciągnięte, a łóżko posłane. Na poduszkach leżały czekoladki. Wziął jedną i nonszalancko mi rzucił. Zgrabnie ją złapałam i roześmiałam się. Camilla miała niezłe wycucie.

Na stole stały dwa kieliszki i butelka wina. Zaskoczyła mnie jego dbałość o szczegół. Nie były to bowiem szklanki do mycia zębów, tylko najprawdziwsze kieliszki do wina.

Stałam na bacność, kiedy otwierał wino. Nagle poczułam zdenerwowanie. Czy wystarczy mi wiedzy, jaką mam z książek i telewizji?

- No - powiedział Hubertsson, podając mi kieliszek. - Kim jest Camilla?

Podniosłam kieliszek i odpowiedziałam zgodnie z prawdą:

- Nie wiem. A ty kim jesteś?

Odstawił kieliszek i zdjął marynarkę. Oczy mu rozbłyły. Spodobała mu się ta gra.

- Nieznajomy. Czy przestaniemy na tym?

- Tak. Co ode mnie chcesz, nieznajomy?

- Wszystko - powiedział Hubertsson. - I nic.

Zdziwiła mnie jego uległość. Znieruchomiał w fotelu, kiedy usiadłam na nim okrakiem i rozpięłam mu koszulę. Odchylił głowę i zamknął oczy, kiedy palcami Camilli pieściłam jego włosy na piersi, a potem położyłam głowę, żeby posłuchać bicia jego serca. Zbudziło się we mnie zwierzę, wygłodzony drapieżnik, który chce lizać i gryźć, chwycić zębami pachnącą migdałami skórę jego szyi. Kiedy zajęczał, ześliznęłam się z niego, uklękłam i zaczęłam majstrować przy haftce od spodni. Czulałam, jak się lekko podnosi, nie chciałam się jednak zanadto spieszyć, odczekałam kilka sekund, zanim ostrożnie odsunęłam suwak i uwolniłam to, co się kryło pod białym bawełnianym trykotem.

- Och! - wymamrotał Hubertsson, kiedy się nad nim pochylałam. - Och! Kim jesteś?

Kiedy leżałam pod nim na podłodze jak ukrzyżowana, kiedy się tarzaliśmy na łóżku jak jedno stworzenie, kiedy stałam na czworakach jak wilczyca i wyłam, cały czas, przez całą noc byłam bezi-

mienna. Powietrze w pokoju zgęstniało od naszych zapachów, włosy Camilli zmierzwiły się i zwilgotniały od potu, patrzyłam przez posklejane kosmyki w twarz Hubertssona - mokre wargi, rozszerzone nozdrza, półprzymknięte oczy - i obnażałam zęby drapieźnika. Wszystko! Daj mi wszystko i nic!

Nie zorientował się, kiedy wyszłam. Spał jak zabity. Zebrałam porozrzucane rzeczy: wizytową torebkę, majtki, biustonosz i pogniecioną sukienkę. Camilla zaczęła być uciążliwa, piszczała i skomlała, próbowała się uwolnić. Musiała jeszcze trochę poczekać. Narzuciłam prześcieradło na nagie ramiona Hubertssona, pochyliłam się nad nim, po raz ostatni pocałowałam w brodę, zgasiłam lampkę i cicho zamknęłam za sobą drzwi.

Wolałam, żeby Camilla nie oglądała kwaśnego uśmiechu szatniarza, dlatego zachowałam nad nią kontrolę i odebrałam jej palto. Ocknęła się dopiero na chodniku. Wtedy wezwałam wronę. Siedziała na drzewie w przydworcowym parku. Natychmiast mnie usłyszała i przyfrunęła. Opuściłam Camillę i wzbiłam się ku niebu, wypełniając wronę okrzykami radości i wesela. Odpowiedziała ochryplym śmiechem.

Camilla stała przed „Standard Hotell” w Norrköpingu i obejmowała się ramionami.

Kilka godzin później Hubertsson zadzwonił do moich drzwi. Wystraszył asystentkę.

- Gdzie ona jest? - spytał.

- Kto?

- Desiree, rzecz jasna.

- W łóżku. A co myślałeś?

Ruszył do sypialni, asystentka człapała za nim w grubych skarpetach.

- Śpi. Nie spodziewaliśmy się ciebie. W piątki nigdy nie przychodzisz tak wcześnie... - Wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać. - Zostaw ją, wczoraj była bardzo zmęczona.

Odepchnął asystentkę, otworzył drzwi i zajrzał do sypialni.

- Ona ma skurcze! A ty jesteś ślepa i głucha!

Drogo zapłaciłam za tę noc miłości z Hubertssonem: cztery dni szalejących huraganów, kiedy cały świat walił się na moich oczach. Z największym wysiłkiem wynurzałam się na powierzchnię rzeczywistości, żeby zaczerpnąć powietrza, i znowu opadałam na dno.

Obudziłam się piątego dnia. Leżałam w obcym łóżku w obcym pokoju. Dopiero po dłuższej chwili zdałam sobie sprawę, że znów jestem w szpitalu dla przewlekle chorych, gdzie po raz pierwszy spotkałam Hubertssona. Zjawił się po kilku godzinach. Powłóczył nogami, wydawał się dużo starszy niż parę dni temu.

- Status epilepticus - powiedział, stając przy moim łóżku. - Mało brakowało. Wiesz, gdzie jesteś?

Zamiast odpowiedzi wydobyłam jakiś jęk.

- Słucham?

Z wysiłkiem ulepiłam w głowie jedno słowo, przeturlałam je przez zwoje mózgowe, odbiłam od wiązań głosowych i otworzyłam usta. Wyszło chrząknięcie. Hubertsson wziął z szafki tabliczkę z literami i wetknął mi pióro w usta. Rozboliła mnie głowa. Wreszcie ułożyłam krótkie „tak”.

- Trudno ci mówić?

Mimo palącego ciężaru na czole i zamykających się oczu pokazałam jeszcze siedem liter. „Nie mogę”.

- Nie mogę? W ogóle nie możesz mówić?

Zamknęłam oczy, szukałam jego ręki, dwa razy ją ścisnęłam i puściłam. Tak, nie mogę mówić. Długą chwilę stał nieruchomo przy moim łóżku, potem usłyszałam szelest materiału i zrozumiałam, że wsadził ręce do kieszeni.

- Zostaniesz tutaj przez kilka dni - powiedział. - Wrócisz do domu. Ustalimy tylko kurację.

Nie otworzyłam oczu, nie chwyciłam jego ręki, nie miałam nic do dodania, bolała mnie głowa. Jego podeszwy zaszurały, szedł do drzwi, otworzył je, ale nie zamknął. Minęły sekundy, zanim się odezwał, i w jego głosie pojawił się wysoce niestosowny chichot.

- Śniłem o tobie w czwartek. Całą noc.

Uśmiechnęłam się za zamkniętymi powiekami. To było warte tej ceny.

Wtedy wypuścili mnie ze szpitala po tygodniu. Tym razem to mało prawdopodobne. Hubertsson unika tego tematu, ilekroć go o to zahaczam.

Z przyjemnością jeszcze raz wróciłabym do mojego mieszkania. Usiadłabym w słonecznym salonie - w pobliżu, ale nie w polu widzenia, byłby milczący asystent, może ten artysta, bo miło patrzeć na jego skupienie, kiedy szkicuje - i słuchałabym Griega. Lubię Griega. Nie ma w nim wahania ani wstydu, zna swoje miejsce, jak to mężczyźni mają w zwyczaju, a jednocześnie jest na tyle niezwykły, że potrafi się pośmiać z samego siebie. Jak Hubertsson.

Mój salon jest ładny, o niebo ładniejszy od pokoi moich sióstr. Nawet jasnoniebieski raj Christiny nie równa się z moim. W letnie poranki rozjaśnia go oślepiające słońce, zimą roziskrzzone błyski. Może przez te wszystkie lata właśnie to światło przyciągało Hubertssona jak magnes, zachęcało do składania mi porannych wizyt. Bo na pewno nie moje śliczne zasłonki.

Po kolejnej wizycie w Muzeum Techniki namówiłam go, żebyśmy zajrzeli do Svenskt Tenn. Klóciliśmy się potem jeszcze przez pół roku. Czuł się oszukany. Czy rzekoma chęć ponownego zobaczenia komory kondensacyjnej nie była pretekstem, żeby niby przy okazji wstąpić do sklepu dla nadzianych bab z Óstermalmu? Co? Zasłonki za pięć tysięcy koron! To odrażające. Są na świecie ludzie, którzy nie mają co jeść. Czy ja o tym nie wiem? Prychnęłam tylko w odpowiedzi. Marzyły mi się zasłonki Josefa Franka. Odkąd się wprowadziłam do tego mieszkania, tysiące razy wyobrażałam sobie, jak pięknie będą wyglądały kwiatowe wzory w oknie, i przez kilka lat na nie oszczędzałam. Co to Hubertssona obchodzi, ile kosztują moje zasłonki? Co? Czy ja i Josef Frank zabieramy komuś jedzenie?

Tęsknię za domem. Za zasłonkami i wszystkim innym. Ostatni raz chciałabym usiąść w moim salonie wcześniej rano i czuć zapach kawy rozchodzący się po całym mieszkaniu, jeszcze raz chciałabym poprosić asystenta o włączenie mikrofalówki w tym samym momencie, w którym Hubertsson zadzwoniłby do drzwi, żeby bułeczki były w miarę ciepłe.

Hubertsson i ja. Nasze zasłonkowe kłótnie. Nasze poranki przy mocnej kawie i ciepłych bułeczkach. Nasze długie chwile milczenia i skąpe rozmowy. Nasze wycieczki do Muzeum Techniki. Nasz wspólny sylwester, kiedy drżącą ręką podniosłam kieliszek z oranżadą, stuknęłam o jego kieliszek z szampanem i wypłam za Nowy Rok.

Może mimo wszystko miałam jakieś życie.

Chcę, żeby Hubertsson już przyszedł, teraz, kiedy popołudniowe światło zaczyna przybierać niebieskie barwy zmierzchu, chcę, żeby mnie wziął w ramiona i zaniósł ulicami Yadsteny do mojego mieszkania. Położyłby mnie na czerwonej kanapie, przykrył białym pledem, żeby nie było widać dryfującego drewna, rozsunął zasłonki Josefa Franka i wpuścił zmierzch. A potem wzięlibyśmy się za ręce i tak siedzieli przez trzy dni. Sami. Ale razem.

Jutro jest wiosenne zrównanie dnia z nocą, ale benandanti mogą się obejść beze mnie. Chcę zostać w swoim ciele, chcę odpoczywać z dłonią w dłoni Hubertssona i dać mu to, co obiecałam: dokończoną opowieść.

Żadna z moich sióstr nie ukradła życia, które było przeznaczone dla mnie. Żyłam swoim życiem. A mimo to jeszcze nie mogę ich opuścić, jeszcze nie mogę pozwolić, by każda poszła w swoją stronę.

Hubertsson zadał mi pytanie. Zanim będzie po wszystkim, otrzyma odpowiedź.

Mean Woman Blues

Sometimes, being a bitch is the only thing a woman has to bold on to.

Stephen King

PRZEJEŹDZAJĄCY AUTOBUS zasłania Margaretę, kiedy przejechał, już jej nie ma. No tak, cała Margareta. Raz jest, raz jej nie ma. Potrafi zniknąć. Zwłaszcza teraz, kiedy Birgitta chce wszystko wyjaśnić, kiedy się wkurzyła do tego stopnia, że jest gotowa wygrzebać z pamięci to, co się wtedy stało. I Margareta daje nogę, ucieka jak płochliwy królik. Najpierw wyskakuje z docinkami i aluzjami, a potem - kiedy przychodzi co do czego - boi się tego, co usłyszy.

Ależ ją boli!

Birgitta przyciska ręką przepoń i opiera się o słup sygnalizacji świetlnej. Jasna cholera. Zbiera

jej się na mdłości, wyraźnie czuje, jak z żołądka unosi się małe pęcherzyki, który zawsze poprzedza wymioty, powiększa się w przełyku i zmusza do otwarcia ust. Rozstawia nogi i pochyła się. Nagle przelatuje jej przez głowę zupełnie trzeźwe zdumienie. Skąd się, kurde, wzięły te czółenka? Gdzie są jej buty?

Margareta myśli, że kompletnie ją zaćmiło, widziała to w jej oczach. Ale Birgitta kilka rzeczy pamięta. Na przykład to, że kilka godzin leżała na materacu, ciężka jak ołów i zamroczone, że nie mogła się podnieść ani zasnąć, że Roger leżał na podłodze i chrapał. Po południu o coś się pokłócili... no tak, wpienił się, że nie chciała mu dać więcej piwa. Tak, tak było. Nareszcie miała satysfakcję. Wypchnęła padalca do przedpokoju, otworzyła drzwi i wywaliła na klatkę. Miała rewelacyjny humor. Superrewelo. To go powinno nauczyć, że Birgitta nie da sobą pomiatać, że nigdy się nikomu nie podporządkuje. Kiedyś napisali o niej w gazecie, że jest motalską królową ćpunów, i to była prawda, przynajmniej wtedy. Nigdy nie była jakąś tam trusiową panienką dilerki, która za jedną działkę rozkłada nogi przed byle kim. Sama była dilerką, sama kierowała swoim losem. I w takim humorze wyruszyła do miasta. Spotkała Karę, starego handlarza, który szukał rohypnolu. Przemierzali razem ulicę za ulicą, aż się natknęli na jakiegoś asfalta z bryką i całą paczką - Karę, Sessan, ona i Kjalle Rod - pojechali na imprezę. Do Norrkópingu. To musiało być w Norrkópingu, bo tam się dzisiaj rano obudziła i jest do tej pory. Pewnie w nocy jakaś kopia Myszkę Minnie rąbnęła jej tenisówki i wyszła. W jednej podeszwie miała dziurę, co zdzira powinna była zauważyć. A żeby sobie odmroziła palce, żeby jej poodpadały jak sople lodu.

A niech to szlag! Teraz przychodzi wymioty. Birgitta pociąga nosem i rzyga, wymiociny rozbryzgują się na chodniku, oczy jej łzawią. Kobieta, która czeka na zielone światło, odskakuje jak oparzona. Cholerna snobka!

Dużo tego nie ma, w końcu wypija tylko jedno nędzne piwo. Podnosi głowę, opiera się o słup, na sekundę zamyka oczy i uzmysławia sobie, że praktycznie jest trzeźwa. Wypija tylko jedno piwo i rzyga dlatego, że jest zmęczona i że boli ją brzuch. Cholera. Gdyby tak była w domu, gdyby tak mogła się położyć na materacu z baterią piwa w zasięgu ręki. Leżałaby godzinami, nie ruszając ani ręką, ani nogą, leżałaby bez ruchu i gapiała się w sufit.

Musi wrócić do domu! I ta cholerna zdrajca, Margareta, ją tam zawiezie. Obiecała, więc niech się, do diabła, wywiązuje z obietnic!

Birgitta jeszcze raz lustruje drugą stronę ulicy, która faluje i kołysze się jak podłoga w Beczce Śmiechu, ale ona się tym nie przejmuje. Zawsze ma zawroty głowy po rzyganiu. Przechodzi po paru minutach. Przytrzymując się słupa, udaje zwyczajną panią Svensson, którą chwyciły lekkie mdłości, a mimo to jest na tyle dobrze wychowana, żeby poczekać na zielone światło.

Kogo ona właściwie próbuje oszukać? Samą siebie. Nikt by jej nie wziął za zwyczaj na panią Svensson. Przy pasach stoi małe stadko Svenssonów: trzy kobiety i dwóch mężczyzn. Stłoczyli się w zwartą grupkę, jak najdalej od niej. Pilnują się, żeby na nią nie patrzeć, niecierpliwie czekają na zmianę światła. To tylko kwestia czasu, kiedy cała banda zacznie pogwizdywać, ostentacyjnie podkreślając, że jej nie widzi i nie słyszy.

- Obeszczane szczury! - mruczy Birgitta i wybucha śmiechem, widząc, że grupę przeszywa dreszcz.

Boją się. Wszyscy rezolutnie patrzą na jezdnię, kobiety mocniej przyciskają do siebie torebki, mężczyźni głębiej wsuwają ręce do kieszeni.

Birgitta prychnęła i szuka papierosów. Co ona niby im zrobi? Zje ich, czy jak?

W czasach kiedy dystans Svenssonów sprawiał jej niekłamaną przyjemność, była z siebie dumna i niebywale odważna. Na przykład w ten pamiętny wieczór świętojański. Jechali z Motali do Mantorpu w karawanie samochodów, z chryslerem Doggena na czele. Siedziała obok niego w nowych białych dzinsach, pod różową bluzką miała kraciatą bardotkę. Wyglądała wystrzałowo! Jak tylko zamknęła za sobą furtkę, nałożyła na wytapirowane włosy różową chustę, a już poza zasięgiem wzroku Babsztyla Ellen wyjęła bluzkę z dzinsów i zawiązała ją w tali. Kiedy się przeciągała, odsłaniał się pępek, dlatego na widok Doggena wysoko podniosła rękę na powitanie. Czekał na nią kilka ulic dalej w swoim chryslerze. Nie mógł się nie uśmiechnąć. Choć zazwyczaj trzymał ją krótko. Zwłaszcza na po-

czątku.

Nakładając drogi, pojechali przez Mjólby, osiem dużych samochodów skierowało się na rynek. Początkowo nikt ich nie zauważył, w upalne niedzielne przedpołudnie wszędzie panowała cisza i spokój, nie wzniesiono jeszcze żadnych drzewek majowych. Miasteczko wyglądało niesamowicie schludnie, jakby Ellen i Christina w szale sprzątanania przetrwały wszystko szmatami i wyczyściły do połysku ściereczkami, jakby Christina uczesała trawniki i przycięła je nożyczkami do paznokci, a babsztyl wyszorował fasady domów i wypucował srebrną polerką każdy listek brzozy.

Im bliżej centrum, tym więcej było ludzi, sklepy jeszcze pracowały. Doggen trzymał lewą rękę na kierownicy, prawą - swobodnie i pewnie - na oparciu fotela Birgitty. Nie obejmował jej, podkreślał jedynie, że dziewczyna o urodzie Marilyn Monroe, jest jego własnością. Birgitta odchyliła się do tyłu, jej szyja ocierała się o jego ramię. To jest życie, tak powinno być zawsze. Jeśli istnieje królestwo niebieskie, to panuje tam wieczne przedpołudnie w dniu świętojańskim. Lśniący kabriolet sunie przez dziurę zabita dechami, z tyłu na podłodze brzęczą butelki i zapowiada się niesamowity ubaw.

Czegoś jednak brakowało. Doggen, rzecz jasna, uświadomił sobie, co to takiego, i wsunął płytę do gramofonu, który Birgitta kupiła mu w Luxorze, korzystając ze służbowego rabatu. Kiedy karawana jechała przez most nad Svartan, nad wodą unosił się dobrze znany głos:

Well, since my baby left me,
I found a new place to dwell.
Its down at the end of Lonely Street
At Heartbreak Hotel.

Wydawało się, że pod wpływem tego głosu całe Mjólby zamieniło się w słuch i znieruchomiło. Chłopi na rynku podnosili głowy znad owoców i warzyw, dyskretnie przysuwali się bliżej swoich kasetek z pieniędzmi, mężczyźni w nowych koszulach z Algota, pochrząkując i marszcząc czoła, patrzyli na ulicę, a ich pedantyczne żony - z trwałą, w beżowych popelinowych płaszczkach - stały jak wmurowane z pierwszymi tego lata kartonami truskawek w rękach, nagle niezdolne włożyć je do plastikowych torebek.

Birgitta i Doggen siedzieli w samochodzie z kamiennymi twarzami, zgodnie z ich rangą, towarzysstwo w samochodach za nimi zaczęło otwierać butelki; wychyleni przez opuszczone szyby, wrzeszczeli i śpiewali, wyli i ryczeli ze śmiechu. Doggen zerknął we wsteczne lusterko. Kiedy zobaczył, że cała karawana przejechała przez most, zahamował i zatrzymał się przy rynku.

Birgitta i Doggen wysiedli pierwsi. Doggen podrzucił kluczyki w powietrze i eleganckim ruchem je złapał. Birgitta zdjęła chustę i przeciągnęła dłonią po tapirze.

- Mogę dostać loda? - spytała, przywierając do Doggena i wsuwając mu rękę pod ramię.

Doggen też wyglądał wystrzałowo. Miał finezyjnie ufryzowaną brylantyną grzywkę i czarną kurtkę z błyszczącej satyny. Zamówił ją w sztokholmskiej firmie wysyłkowej „Hollywood” i przez wiele tygodni niecierpliwie na nią czekał, by się wreszcie doczekać w przeddzień nocy świętojańskiej. Na plecach był wymalowany orzeł. Żaden raggare w całej Östergötlandii nie miał kurtki z orłem na plecach.

- Pewno, że możesz - odparł Doggen i wyłuskał portfel. Birgitta wspięła się na palce przed budką z lodami. W tle dały się słyszeć podniesione głosy ich kompanów i trzask drzwiczek samochodów, ale Birgitta wiedziała, że wszystkie Svenssony gapią się tylko na nią. Na nią i Doggena.

Doggen też to wiedział, świadczyła o tym jego postawa kiedy się nachylił, rzucił koronę i powiedział:

- Jeden Top Hat!

Birgitta położyła mu rękę na plecach.

- A ty nie chcesz?

Doggen prychnął.

- Nie, kurde. Taka paciają jest dobra dla bab... Fundnąć ci truskawki?

Truskawki? Dlaczego truskawki? A, jasne, Doggen lubił mieć gest. Byli ze sobą zaledwie miesiąc, ale zdążyła już poznać jego napady hojności. Kilka dni temu, żeby go zadowolić, musiała w siebie wpakować trzy kielbaski z puree ziemniaczanym. Kiedy się potem kochali, czuła podchodzące do gar-

dła potworne ilości ogórków, majonezu i keczupu. Przemogła mdłości i robiła dobrą minę do złej gry. Łatwo było przewidzieć reakcję Doggena na widok wymiocin na tylnym siedzeniu jego chryslera. Na razie jeszcze jej porządnie nie przyłożył, raz tylko klepnął ją w policzek wierzchem dłoni, bo za dużo mówiła. Choć poczuła wtedy płomyczek pożądania, nie była tak głupia, żeby się narażać na ciosy jego ogromnych pięści.

Mieszkańcy Mjólby usuwali się na bok, kiedy Doggen szedł do straganu, trzymając portfel w ręku. Ona dreptała za nim - w rzemykowych sandałkach na wysokim obcasie można było tylko dreptać - i starannie wylizywała tekturową tutkę. Gapili się na nią wszyscy faceci w miasteczku, dlatego maksymalnie wysuwała język i namiętnie zlizywała resztki czekolady i konfitur.

Przed straganem stała spora grupa Svenssonów, która się bez szemrania rozstała, żeby przepuścić Doggena. Birgitta przeciskała się za nim, liżąc tutkę.

- Truskawki! - warknął Doggen.

Chłop za ladą szybko podał karton truskawek. Birgitta przyglądała się apatycznie najbliższemu stojącemu Svenssonom. Zaczynali się odprężyć, rozmawiali półgłosem i coraz bardziej się zacieśniali. Obok Birgitty stała kobieta bardzo podobna do Babsztyla Ellen: porządnie zapięty popelinowy płaszcz, pod spodem szara, kwiecista sukienka, siatka na włosach i skręcone loki na czole. Włożyła do torby na zakupy brązową torebkę i podała ją mężczyźnie stojącemu obok Birgitty. Wyciągnął rękę i szybko capnął torbę.

- Do jasnej cholery! - krzyknęła Birgitta. - Co za obleśny dziad!

Doggen odwrócił się.

- Złapał mnie za piersi!

Birgitta wskazała palcem na mężczyznę z torbą. Przekonała samą siebie, że tak właśnie było. Pewnie, że dotknął! Bo dlaczego miałyby taki przeraźliwy głos, dlaczego drżałyby z oburzenia?

- Który to? - zapytał Doggen i podciągnął rękawy kurtki. W mankietach była gumka, dzięki czemu mógł obnażyć swoje owłosione przedramiona, nie gniotąc satyny.

- Ten tam! Ten w cyklistówce!

Na szyi kobiety zapłonęły czerwone plamy. Przeszła obok Birgitty i stanęła przed mężczyzną.

- Nie bądź śmieszna - prychnęła. - Egon nigdy nikogo nie łapał za piersi...

- A co ty o tym wiesz?! Ty, z twoim wyglądem! - krzyknął Sigge Osa.

Reszta ich grupy już doszła, chłopcy okrążyli Svenssonów pierścieniem. Pośrodku, w skórzanej kamizelce, stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi Sigge Osa. Szczupły i piaskowy jak jaszczurka. Za nim trajkotały oburzone dziewczyny. Obleśny staruch obmacuje Birgittę! Niech to szlag! Jak tak można!

- Usuń się, stara - basem powiedział Doggen i odepchnął kobietę.

Jak w filmie, pomyślała Birgitta. Z Doggenem wszystko jest tak jak w filmie. A ponieważ to był film, szykowała się do zagrania swojej roli. Chwyciła Doggena za ramię, wsparła się na nim i zamrugła powiekami, jakby chciała powstrzymać cisnące się łzy.

- Chodźmy, kochanie! Zostaw obleśnego dziada w spokoju!

- Za cholerę! - krzyknął Doggen, podsunął rękawy kurtki o centymetr, precyzyjnie wycelował i zadał cios.

- Aaaach! - zawyła jego żona i osunęła się na ziemię.

Birgitta krzywi się na to wspomnienie, wolno przechodząc przez jezdnię i grzebiąc w kieszeni dzinsów w poszukiwaniu zapalniczki. Svenssony pognały przodem i rozbiegły się na wszystkie strony. Nie może więc nikogo poprosić o ogień, choćby dla samej przyjemności oglądania dygotu tych spanikowanych kur. Ale jakoś sobie poradzi. Dotyka palcami tego, czego szukała. Staje w rozkroku pośrodku jezdni, przesłania ogień ręką i zaciąga się. Kiedy z lewej strony groźnie warczy na nią samochód, wydmuchuje pióropusz dymu i obrzuca kierowcę złym spojrzeniem. Co to za jazgot? Przecież ciągle jest zielone światło!

W Mjólby zadebiutowała jako rozrabiara, chociaż na dobrą sprawę nic nie zrobiła. Ale właśnie wtedy po raz pierwszy zobaczyła areszt od środka. Doggen krzyknął do swoich ludzi, żeby się zmywali do Mantorpu, kiedy gliniarze prowadzili go w kajdankach przez rynek. Nie miał jednak nic przeciwko

temu, żeby ją przesłuchali. To jej pochlebiało. Co prawda trochę się bała, że to wyjdzie na jaw, że Babsztyl Ellen o wszystkim się dowie, ale - gdyby co - zrobi awanturę. Nawet się nie zawaha. Bo chociaż w ostatnich latach babsztyl co nieco zmadrała - na przykład w milczeniu pokiwała głową, kiedy Birgitta oświadczyła, że nie zamierza uczestniczyć w przyjęciu rodzinnym w wieczór świętojański i że nie wróci na noc do domu - to na pewno dostałby wylewu, gdyby usłyszał, że którąś z jej dziewczynek zgarnęła policja.

Wylewu dostała i tak. W wiele miesięcy później, po rozprawie sądowej przeciwko Doggenowi. Ale już w tamten dzień świętojański było tak, jakby zaczęła się jesień i jakby już wtedy nie ulegało wątpliwości, że będzie koszmarnie.

Zaczęło się jednak nieźle. Wypuścili ich pod wieczór. Na schodach przed komisariatem Doggen wziął ją za rękę, ścisnął i roześmiał się, a potem jak zwykle chwycił ją za nadgarstek. W różowym zmierzchu miasteczko wylegiwało się jak śpiący kot. Doggen nie pragnął jednak ani pastelowych kolorów, ani spokoju, chciał mieć action. Musieli natychmiast jechać do Mantorpu i rozruszać towarzystwo.

Powitano ich jak bohaterów. Kiedy godzinę później wjechali na camping, puszczając Elvisa na maksa, motalska banda wydała z siebie wrzask radości. Doggen przesunął na czoło słoneczne okulary i uśmiechnął się krzywo, a Birgitta głośno się roześmiała, gotowa udzielić dziewczynom, lekkim i nonszalanckim tonem, wyczerpujących odpowiedzi na pytania, jak było i co mówili gliniarze.

Ale już po paru godzinach nastrój się zmienił. Sigge Osa jak zwykle nie mógł trzymać jadaczki na kłódkę. Zataczając się, podszedł do Doggena, objął go ramieniem i wybełkotał obślinionymi wargami:

- Kurna, Doggen! To było supercool, nie myślałem, że potrafisz powalić babę jednym ciosem...

Doggen się naturalnie wkurzył i zdjął kurtkę. Sigge Osa klęknął przed nim i złożył dłonie jak do modlitwy.

- Nie bij mnie, dobry panie! Zamiast mnie uderz moją dziewczynę!

W sekundę później był na nogach, żwawo jak małpa czmychnął za Anitę i udawał, że się chowa.

- Ją uderz! Ona jest cholernie silna. Albo jutro pojedziemy do Skanninge i rozejrzemy się za jakimś dziadkiem. Przyrzekam, że jednym kopem wytrączę mu laskę, żebyś mógł mu przywalić, jak będzie leciał na pysk!

Doggen zbladł, tak się zapienił, że prawie wytrzeźwiał, zacisnął wargi i oddychał przez nos jak rozjuszony byk, otwierał i zamykał dłonie, w końcu zacisnął je w pięści i ruszył do ataku. Błyskawicznie odepchnął Anitę i rzucił się na Sigge, chwycił go za koszulę, podniósł - Sigge Osa bezsilnie młócił nogami powietrze - po chwili puścił i przywalił pięścią. Sigge runął na plecy i leżał bez ruchu, wpatrując się w niebieskoszare niebo. Nie od razu się zorientował, że leci mu krew z nosa. Wolno przesunął po niej palcami i obejrzał, potem włożył palec w usta i poruszał lekko przedni ząb. W końcu wsparł się na łokciu i splunął w trawę. W płwocinie była krew.

- Cholera - powiedział i opadł na ziemię. - Nie wiedziałem, Doggen, że tak to odbierzesz...

Doggen stał przed nim, pięści miał zaciśnięte, sapał jak byk. Jeden cios nie rozładował jego wściekłości, a nie mógł przecież bić leżącego, zwłaszcza nie po tym, co się stało na rynku w Mjólby. Sigge wiedział, jak wykorzystać przewagę, znowu się spokojnie położył i z udawanym smutkiem pokiwał głową, aż strumyczek krwi pod jego nosem zadrżał i zmienił kierunek.

- Tak - powiedział. - Nie miałem pojęcia, że tak to odbierzesz. Taki gość jak ty, z najładniejszym chryslerem w całej Motali i z najlepszą dupą w mieście... My ci przecież zazdrościmy, nie kapujesz?! Miałeś fart. Gdyby nie ty, każdy zaliczyłby Birgittę, a tak zdążyła przelecieć tylko połowę, boś zamknął sklepik. Musisz nas, kurde, zrozumieć, niejeden do niej wzdycha.

Splowiałe światło nocy świętojańskiej przytłumiło kolory, wszystko nagle zszarzało: trawa, samochody, różowa bluzka Birgitty. Wokół nich zaległa cisza, jakby na motalską paczkę opadł szklany kloz, zmuszając ich do ustawienia się w zwartym kole, i wytłumił wszystkie inne dźwięki na campingu.

Ktoś się zaśmiał. Birgitta zerknęła w bok. To Mały Lars, któremu zawtórowała chichotem jego

nowa dziewczyna. Krąg się zacieśnił, nagle Birgitta zauważyła, że nie jest już częścią paczki, że znalazła się w środku, tak jak Doggen i Sigge Osa. Reszta cofnęła się o krok, połączyła się za jej plecami.

Doggen tkwił nieruchomo, już nie zaciskał warg ani pięści, opuścił ręce. Sigge Osa założył nogę na nogę, jakby się wylegiwał na plaży. Jeszcze raz przeciągnął palcami pod nosem, przez chwilę patrzył na krew, potem zdjął drugą rękę z czoła i zaczął klaskać.

- Och, gdyby...

Niby szeptał, ale na tyle głośno, że inni go usłyszeli i zrozumieli. W jednej chwili szklany klosz wypełniło klaskanie, wszystkie dłonie uderzały w tym samym rytmie, wszyscy szeptali jednym głosem, który w kilka sekund przybrał na sile, słaby wiatr przeszedł w umiarkowany:

„...się Birgittą było skórą cipę by się wyłożyło
i jeździło wzdłuż i wszerz i pieprzyło, ile chcesz...”

Kątem oka zobaczyła, że Sigge Osa siada i nie przestając klaskać, wstaje, wolno się okręca i zaczyna od początku, na zgiętych nogach chodzi wkoło, wyszczerza się i zachęca innych, żeby mówili coraz głośniej. W końcu szklany klosz pękł, obsypując ich tysiącami ostrych odłamków. Nie było już koła, jeden głos rozpadł się na wiele głosów, jasne błyszczące oczy zaszyły mgłą, jak przed opadnięciem klosza. Sigge Osa podniósł rękę w geście zwycięstwa, zakrwawioną dłonią chwycił butelkę, wrzasnął „na zdrowie!” i wypił.

Tylko Doggen i Birgitta nie ruszyli się z miejsca i patrzyli na siebie.

Po raz pierwszy ze sobą zerwali. Kilka razy jesienią widzieli się na odległość, i to wszystko. Birgitta zeznawała jednak na jego korzyść, kiedy w końcu doszło do rozprawy w związku z tą aferą w Mjólby. Powiedziała, że winna była tamta kobieta, bo się nie wiadomo po co nadstawiła, kiedy Doggen ot, tak sobie machał rękami. Wróciła do domu sama, Doggena odstawiono do więzienia. Nagle postanowili mu czym prędzej wymierzyć karę, mimo że przez pół roku chodził sobie wolno po Motali. Może to i dobrze. Byłoby gorzej, gdyby go puścili, a on nie chciałby jej odwiedzić do domu, gdyby spojrzął na nią obojętnie, takim samym pustym wzrokiem jak wtedy, kiedy opuszczała miejsce dla świadków.

Tego samego wieczoru, w Motali, zachowywała się bardzo dziwnie, jakby była na hajcu, chociaż nie miała jeszcze zielonego pojęcia ani o haszu, ani o amfie. Najpierw pojechała do starego mieszkania Gertrud. Nie wiedzieć czemu zapomniała, że Gertrud nie żyje, i pewnie by sobie tego nie przypomniała, gdyby w odpowiedzi na jej szarpanie za klamkę nie otworzył drzwi kompletnie obcy człowiek. Szybko zbiegła ze schodów, na pobliskim przystanku wsiadła w autobus i pojechała do domu Babsztylla Ellen. Dopiero stojąc z ręką na furtce, uświadomiła sobie, że tutaj też wszystko się zmieniło. Paliło się tylko na piętrze, u Hubertssona, który ciągle tu mieszkał. Ellen leżała w Linkópingu, niema jak ryba. Birgitta miała przecież swoją chałupę, zimną norę na starym mieście. Kiedy tam dotarła, nie była w stanie się położyć, całą noc przesiedziała w kuchni przy stole, gapiąc się na gorący kaloryfer i paląc jednego papierosa za drugim.

Następnego dnia nie poszła do pracy, a ponieważ to już po raz szósty tej jesieni nie załatwiła sobie zwolnienia lekarskiego, została wyrzucona. Cholerna niesprawiedliwość. Niby jak mogła załatwić zwolnienie? Przecież nie miała telefonu, żeby zadzwonić do kasy chorych.

Birgitta zatrzymuje się na chodniku po drugiej stronie ulicy i rozgląda się. Ulica już się nie kołysze, ale wydaje się tak wąska, że można się udusić. Jest zimno, bo leży w cieniu wieżowców. Co innego w Motali: wszędzie światło i otwarta przestrzeń. Poza tym w Motali nie jeżdżą tramwaje. Birgitta nie lubi tramwajów, boi się ich. Dużo łatwiej może sobie wyobrazić, że ląduje pod tramwajem, a nie pod autobusem, wie nawet, jaki dźwięk wydałyby metalowe koła tramwaju, przecinając jej ciało. Ciap, ciap, ciap. Lepki, cholernie krwawy ciap. Ale to, co sobie wyobraża, nigdy się nie stanie, nie przejedzie jej tramwaj. A jeśli jest w tym coś z magii? Jeśli nie wierzymy, że coś może się nam przytrafić, to właśnie się przytrafi, może się... E tam! Lepiej o tym nie myśleć.

Gdzie się podziała Margareta? Przecież się nie rozplynęła. Pewnie się chowa w jakiejś bramie albo w sklepie. To byłoby do niej podobne.

Poza tym ni cholery nie można się połapać, co ona kombinuje. Albo jest fałszywa, albo kompletnie szurnięta. Co innego Christina, zawsze ta sama, złośliwa snobka. Margareta potrafi być przemiała, najlepszy kumpel na świecie, chichocze, śmieje się i słodko gaworzy, by po chwili ujadać i gryźć

jak jakiś pieprzony rottweiler. Sto razy wyraźnie dawała Birgittie do zrozumienia, że jej pomoże, że chce być w porządku wobec starszej siostry, a potem - trzask! - waliła na odlew i ulatniała się w siną dal z zadartym nosem. Spryciara. Cholernie szybko się zapomina, co to za jedna, kiedy lekko przekrzywiając głowę, robi za równiachę.

Co jej do tego, że Birgitta bywała swego czasu w Saltangen? Co ona ma z tym wspólnego? I dlaczego ją samą tak to wkurzyło? Zamierzchłe dzieje, spokojnie można o tym zapomnieć. Birgitta przeczytała albo usłyszała, że cały organizm odnawia się co siedem lat. Czyli z tej dziewczyny, która pokazywała się na Saltangen, nie zostało ani paznokcia, ani jednego włoska, ani jednej plamki na ciele. Birgitta jest wściekła. Otóż to! Dzisiaj jest zupełnie innym człowiekiem, snobki nie mogą obwiniać obecnej Birgitty za coś, co się przytrafiło Ellen wieki temu. Czy bez względu na okoliczności babsztyl żyłby dzisiaj? A może myślały, że gdyby nie Birgitta, będzie nieśmiertelny? Albo że Ellen nie miała w tym żadnego udziału? Ba! Teraz Margareta usłyszy całą prawdę, nareszcie będzie musiała jej wysłuchać i przyznać rację. To nie była jej wina!

Zatrzymuje się przed witryną. Wypatruje. Może Margareta weszła do tego szykownego sklepu i przyciąła się w przymierzalni? Dla snobki w sam raz. Na wystawie leży bluzka za tysiąc dwieście koron. Już widzi reakcję Ulli z socjału, gdyby wparadowała do niej w takiej bluzce. Ale dla Margarety to chleb powszedni, pewnie rozrzuca na prawo i lewo banknoty tysiąckoronowe, jakby to były drobne. A co dopiero Christina. W sądzie, kiedy świadczyła przeciwko niej, miała na sobie pańciowatą i dosyć brzydką garsonkę, która aż krzyczała „pieniądze!” Na rękę połyskiwały trzy złote bransoletki. Birgitta nie spuszczała z nich oczu, gapiała się i próbowała przeliczyć ich wartość na działki.

Popycha drzwi i wchodzi do sklepu. Nikogo nie ma, nawet ekspedientki. Gdzie są przymierzalnie?

W głębi kołysze się kotara i po chwili pojawia się szczupła dziewczyna. Coś przeżuwa. Typowa sklepowa niewolnica, która podjada w przerwach, kiedy nie ma klientów. Ale zrobiła sobie pasemka jak panienka z wyższych sfer i jest tak cholernie wyprostowana, że niewiele brakuje, żeby się przewróciła na plecy.

- Słucham? - pyta, unosząc brwi.

To oczywiste, że nie traktuje Birgitty jak potencjalnej klientki, bo mówi z jedzeniem w ustach. Nie wydaje się przestraszona. Jej uniesione brwi, centymetr poniżej nasady włosów, wyglądają jak przyklejone. W tym momencie Birgitta widzi swoje odbicie w lustrze. Włosy w strąkach, szara twarz, uda proste i grube jak pnie.

- Tu nie wolno palić - mówi dziewczyna, nie opuszczając brwi. - I nie zwykliśmy realizować zamówień z socjału.

Birgitta otwiera usta, ale nie wydostają się z nich żadne słowa. Cholera! Co ona tu robi? Margarety tu nie ma. Odwraca się i gwałtownie otwiera drzwi, dzwoni dzwoneczek, wydaje jej się, że słyszy głos ekspedientki: „Zapraszamy ponownie”.

Znowu czuje wzbierającą w niej falę, ulica podnosi się i opada. Musi się oprzeć o ścianę, żeby nie upaść. Jakby ją nagle opuściły wszystkie siły. Kolana chcą się ugiąć, nie ma nic przeciwko temu, najchętniej by się poddała, położyła na rozkołysanej ulicy i zasnęła.

Żeby tylko tak nie bolało!

Przyciska rękę do przepony i idzie dalej. To dobrze, że boli, ból nie pozwala jej zasnąć. O tej porze roku spanie na dworze nie byłoby bezpieczne, można zamarznąć. Nikt nie przykryje jej kocem ani nie włoży poduszki pod głowę. Svenssony będą ją omijać i udawać, że nic nie widzą. Może polegać tylko na sobie. Opiera się plecami o witrynę. Przez chwilę tak postoi, odpocznie, zbierze siły i ruszy na poszukiwanie Margarety.

Ktoś wychodzi ze sklepu tuż obok. Birgitta nie jest w stanie otworzyć oczu, ale kiedy się orientuje, że ten ktoś nie rusza się z miejsca, otwiera je na milimetr. Przed nią stoi Margareta i wkłada rękawice. Na przedramieniu wisi papierowa torba. Kupiła kwiaty.

- Oddaj mi papierosy - mówi. - I nie rób takiej żalostnej miny. Wcale mi ciebie nie żal.

ŻAL?

Czy Birgitta kiedykolwiek żądała, żeby jej żalować? Nigdy.

Ani przez moment.

Mimo to przez całe swoje życie była traktowana jak wadliwy egzemplarz, jakby była kulawa albo garbata, głucha albo niema. Właściwie tylko Ellen i Christina jej nie żałowały. I oczywiście babcia. Zawsze wściekła, nikomu nie współczuła, z rehotliwym śmiechem powtarzała, że życie jest mimo wszystko dosyć sprawiedliwe. Ludzie na ogół dostają to, na co sobie zasłużyli. Zwłaszcza w ostatnim okresie.

Czasami Birgitta budzi się w nocy i wydaje jej się, że słyszy ten śmiech, ale to oczywiście tylko przywidzenie. Babcia od lat nie żyje, Birgitta nie podejrzewa jej o to, by mogła straszyć. Pamięta, jak prychała z pogardą, kiedy Gertrud opowiadała historie o duchach. Po śmierci na pewno nie zmieniła zdania. Siedzi na jakiejś chmurce z zasznurowanymi ustami i z rękami skrzyżowanymi na piersi. Skoro powiedziała, że nie ma duchów, to znaczy, że ich nie ma, i nie będzie nikogo straszyć tylko dlatego, że ktoś jej każe.

Jak na ponuraka, babcia śmiała się dosyć często. Na przykład stojąc rano przed lustrem i rozczesując włosy.

- Ach, dzień dobry! - mówiła do swojego odbicia i śmiała się. - Jaka ty dzisiaj jesteś młoda i ładna!

Birgitta siadała na kanapie w kuchni i obserwowała ją. Kiedy była mała, dziwiło ją, że babcia uważa się za młodą i ładną. Nie widziała nic ładnego w jej nieforemnym ciele i białej ciastowatej twarzy. Nawet włosy, którymi się tak zachwycała, nie były ładne. Uwolnione z warkocza, spływały po plecach matowe i martwe. Nie miały koloru, to były jedyne włosy pozbawione koloru. Wiele lat później w jakimś zakładzie Birgitta przypadkiem usłyszała w telewizji wypowiedź amerykańskiego astronauty o tym, że powierzchnia Księżyca jest bezbarwna. I pomyślała o babci. Miała włosy o księżycowym odcieniu.

Babcia nigdy nie poświęcała im dużo czasu, szybko je rozczesywała i zwijała na karku w małą, twardą kielbasę, po czym wkładała stare boty i wychodziła popatrzeć na trasę.

Dziadek był dróżnikiem, mieszkali tuż przy torach, w małym czerwonym domku na Óstgotaslätten, kilometr od szosy, pięć kilometrów od najbliższej chłopskiej zagrody, a dokładniej: dworku. Pola, które do niego należały, ciągnęły się do dziadkowego płotu. Babcia mówiła, że w tym dużym białym domu są dzieci, ale żeby Birgitta nie miała żadnych złudzeń, bo takim dzieciom nie wolno się bawić z dziećmi dróżnika. W ogrodzie też się nie mogła bawić, to było zbyt niebezpieczne, w każdej chwili mogła wybiec na tory. Raz jej się to zdarzyło. Kiedy babcia ją znalazła, leżała z nosem przytkniętym do pachnącego dziegciem podkładu. Tory śpiewały, babcia zabrała ją stamtąd w ostatniej chwili. Gdyby nie ona, Birgitta stałaby się jagniątkiem ofiarnym.

Kiedy potem wróciły do domu, Birgitta wypowiedziała pierwsze słowa w swoim życiu. Tak mówiła babcia. Najpierw dostała lanie, tyle, na ile sobie zasłużyła, potem zrobiła kilka kroków, przystanęła i zakwiliła donośnie: - Gitta niegłupia!

Według babci była dziwnym dzieckiem. Większość dzieci zaczynała od „ma-ma” i „ta-ta” i dopiero po kilku latach można było usłyszeć coś sensownego. Tymczasem Birgitta milczała do czwartego roku życia, a potem od razu zaczęła mówić. Tak samo było z chodzeniem. Bez przerwy trzymała się babcinego fartuszka, ale pewnego dnia babcia miała jej dosyć i odwiązała fartuszek. Birgitta w ogóle tego nie zauważyła, kolebiąc się, podreptała dalej, nie upadła, o nic się nie uderzyła. Dopiero kiedy babcia zabrała jej fartuszek, pacnęła na pupę i rozplakała się. Jakby myślała, że bez skrawka materiału w rękę nie może chodzić.

Poza tym Birgitta nie pamięta zbyt wiele z tamtego okresu. Jakby całe sześć lat przesiedziała na kuchennej kanapie, nic nie robiąc. Dziadka prawie nie widywała. Wstawał późno, potem pracował i przychodził dopiero na kolację. Birgitta myślała, że całymi dniami jeździ tam i z powrotem swoją drezyną. Chętnie by mu towarzyszyła, ale nic z tego, to nie było zajęcie dla małych dzieci. Dziadek miał trzy zakrzywione palce u jednej dłoni, nie mógł ich wyprostować. Kiedyś wziął Birgittę na kolana, chwycił go mocno za serdeczny palec i próbowała odgiąć, ale bez powodzenia. Palce zeszywniały dawno temu, ręka upodobniła się do szponu. Gertrud powiedziała jej, że stało się to z winy samego dziadka, bo raz po pijanemu przeciął sobie żyły w palcach. Przewrócił kuchenny stół, cała podłoga była

usiana odłamkami szkła i porcelany, i skaleczył się w rękę, waląc się na ten bajzel. Babcia go nie podnosiła, bo miał to, na co zasłużył. Birgitta lubiła odwiedziny Gertrud. Ledwie stawała w drzwiach, wydawało się, że zmieniają się kolory, jakby jej blond włosy wszystko rozjaśniały. Raz przyszła w białej garsonce, żakiet opinał jej wąską talię, długa spódnica falowała jak u księżniczki. Pod żakietem miała niebieską bluzkę, a na głowie kapelusik z fiołkami. Birgitta miała wrażenie, że pachną jak prawdziwe kwiaty, kiedy Gertrud się nad nią pochylała i uściskała. Babci nie spodobała się garsonka, obrzuciła ją przelotnym spojrzeniem i odwróciła się do pieca.

- Jeśli masz choć trochę oleju w głowie, to się przebierz, zanim ojciec wróci - powiedziała. - Nie jest taki głupi, żeby się nie domyślić, skąd wzięłaś na to pieniądze...

Birgitta zsunęła się z kanapy i poszła za Gertrud na poddasze. Gertrud zawsze spała w pokoju na poddaszu, mimo że zimą był tam straszliwy ziąb.

- Chętnie pomarznę - mówiła do Birgitty z zabawnym grymasem - byleby tylko nie wysłuchiwać tej gderaniny.

Ale teraz było lato, pokój tak się nagrzał, że pachniały drewniane ściany. Gertrud otworzyła okno, usiadła na łóżku i zapaliła papierosa.

- Mój Boże - westchnęła, mimowolnie przekrzywiając kapelusik. - Wracamy do średniowiecza...

Birgitta nie bardzo wiedziała, co ma na myśli. Czyżby tutaj były inne czasy niż w Motali, gdzie Gertrud mieszkała i pracowała? Ale gorliwie kiwała głową i siedząc na krześle koło łóżka, wsunęła dłonie między kolana. Gertrud uśmiechnęła się i uszczypnęła ją w nos.

- Przychodzę tu tylko dla ciebie - powiedziała. - Bo jesteś moim aniołkiem...

Włożyła papierosa do ust i otworzyła ramiona.

- Chodź tutaj! Będę cię całować, całować, całować!

Birgitta myślała, że Gertrud zgasi papierosa, zanim zacznie ją całować, ale tego nie zrobiła, zapomniała go nawet wyjąć z ust. Birgitta jęknęła i zasłoniła policzek dłonią.

- O rany! - Gertrud zaśmiała się. - Sparzyłam cię?

- Tylko trochę...

Miała nadzieję, że teraz Gertrud zgasi papierosa i będzie ją całować, tymczasem wstała i zaczęła rozpinać żakiet.

- Przebiorę się - powiedziała, zdejmując wieszak z haczyka na ścianie. - Żeby stary nie dostał szału... Zobacz, czy nie idzie!

Birgitta klęknęła na krześle i wychyliła się przez okno. Ogród wydawał się o wiele ładniejszy z góry niż z kuchni. Kiście bzu ciągle były świeże, nie miały brązowych plam. W powietrzu unosiły się jak motylki płatki kwiatów wiśni, co wyglądało pięknie, wcale nie hałaj na bałaj, jak mówiła babcia. Na nasypie kolejowym zakwitły trybule. Kiedy Birgitta zmrużyła oczy, upodobniały się do koronki. Lubiła trybule, ale nie wolno jej było ich zrywać. To chwasty. Kwiaty osypywały się na stół jak mąka, babcia miała wystarczająco dużo pracy, sprząając po dziadku i po niej, i naprawdę nie zamierzała trzymać w domu chwastów.

Słońce rozgrzało podkłady, tory pachniały dziegiem. Birgitta wdychała ten zapach, niemal go przetykała, żeby zatrzymać jak najdłużej, mimo że zawsze bolała ją od tego głowa.

- Nie widzę go - powiedziała, odwróciła się i usiadła na krześle.

Gertrud czesała się przed małym ściennym lustrem. Była tylko w halce. Garsonka wisiała na wieszaku, spódnica falowała. Przypominała kielich kwiatu, była jak rozwinięty tulipan, którego białe płatki niedługo opadną i rozsypią się.

- W porządku - stwierdziła Gertrud, przyglądając się swojej twarzy i układając loki na czole. - Podobają ci się moje szóstki?

- Ja jeszcze nie umiem liczyć.

Gertrud roześmiała się.

- Mówię o lokach. Nie widzisz? Mam na czole dwie szóstki. To jest teraz modne.

Birgitta spieszyła się. Ale z niej głuptas. Gertrud znowu popatrzyła w lustro, zatrzepotała rzesami i ostatni raz musnęła szóstki.

- W każdym razie Lennartowi się podobają.

Birgitta spojrziała w górę.

- Kto to jest?

Gertrud uniosła ramiona i zagruchała.

- Mój chłopak. Jest cholernie przystojny. I bardzo miły.

Usiadła obok Birgitty i wzięła ją za rękę.

- Czy potrafisz dochować tajemnicy? Birgitta poważnie pokiwała głową.

- To tajemnica, nie wolno ci jej zdradzić tym zrzędom - szepnęła Gertrud. - Jesienią Lennart i ja bierzemy ślub.

Birgitta wstrzymała oddech. Gertrud pochyliła się, była tak blisko, że jej oddech owiewał policzek Birgitty.

- Już mu o tobie mówiłam. Powiedział, że jak podrośniesz, będziesz mogła z nami mieszkać. On lubi dzieci.

Umilkła i nasłuchiwała, jakby usłyszała kroki na schodach, po czym jeszcze bardziej ściszyła głos.

- On się rozwiedzie, do końca separacji zostało mu tylko kilka miesięcy. I zatrzyma mieszkanie, fantastyczne mieszkanie, cztery pokoje z kuchnią i prawdziwa łazienka. Ma też lodówkę.

Birgitta pokiwała głową. Widziała lodówkę na zdjęciach w „Allers”, wiedziała, co to jest.

- Ja zajmę się prowadzeniem domu. Lennart mówi, że tak będzie najlepiej. Chce, żeby stale ktoś o niego dbał. Będzie wspaniale. Dostaniesz swój pokój, taki malutki, za kuchnią, idealny...

Puściła rękę Birgitty. Zapaliła papierosa, zgasiła zapalniczkę i nagle odezwała się normalnym tonem:

- Ale to tajemnica. Jeśli piśniesz słówko tym zrzędom, zostaniesz tutaj na zawsze. Rozumiesz?

Birgitta skinęła głową i zacisnęła usta. Zrozumiała.

Przez całą jesień Birgitta siedziała z nosem przyciśniętym do szyby i czekała. Wiedziała, jak to będzie. Pewnego dnia Gertrud i Lennart nadejdą ścieżką od strony szosy. Gertrud będzie miała na sobie ślubną suknię i tiulowy welon, a Lennart - frak. Będzie wysoki i przystojny i będzie miał w klapie biały goździk...

Któregoś dnia postanowiła narysować ślub Gertrud. Babcia mruknęła coś pod nosem, kiedy poprosiła ją o papier, ale w końcu wytarła ręce w fartuszek i wyjęła ołówek i papier listowy. Birgitta, z rezydentną miną, usiadła przy kuchennym stole. Dobrze wiedziała, co ma rysować. Naogłądała się w „Allers” zdjęć panien młodych i panów młodych.

Ale jej rysunek tych zdjęć nie przypominał. Gertrud była za duża, a Lennart wyszedł dziwnie, bo żeby wyeksponować połę fraka, narysowała go w rozkroku i wyglądało to tak, jakby między nogami miał worek, Birgitta cisnęła ołówek na podłogę i schowała twarz w dłoniach. Chciało jej się płakać.

- Jak ci nie wstyd, dzieciaku! - krzyknęła babcia i wzięła się pod boki. - Natychmiast podnieś ołówek!

Gertrud przyszła na Boże Narodzenie, ale nie w sukni panny młodej. Nie miała nawet na sobie białej garsonki, tylko brązowe palto i niebieską chustkę. Może to z powodu chustki kolory się tym razem nie zmieniły. W kuchni było równie ponuro jak zwykle.

Birgitta poszła za nią do pokoju na poddaszu, ale Gertrud ledwie zwróciła na nią uwagę. Wsunęła zziębnięte dłonie w rękawy swetra i usiadła na łóżku.

- Czy mogę zobaczyć obrączkę? - po chwili wahania wyszeptła Birgitta. Gertrud skuliła się i popatrzyła na nią pytająco.

- Jaką obrączkę?

- Ślubną.

Gertrud skrzywiła się, odgarnęła włosy z czoła, szóstki się wyprostowały.

- A... Nic z tego nie wyszło. Wrócił do żony. Oni zawsze tak robią.

Mimo to Birgitta przeniosła się do Motali. Miała rozpocząć naukę i, jak powiedziała babcia, nie mogła dłużej mieszkać w domu dróżnika. Do najbliższej szkoły było kilkadziesiąt kilometrów i nie jeździł tutaj żaden szkolny autobus.

- Poza tym zrobiłam już swoje, nawet więcej - oświadczyła, wręczając Gertrud walizkę Birgitty.

- Teraz twoja kolej.

Gertrud nie wzięła walizki od razu, babcia trzymała ją przez dłuższą chwilę.

- Ale u mnie jest tak ciasno - westchnęła Gertrud. - I co najmniej trzy razy w tygodniu pracuję wieczorami.

- No to zmienisz pracę - stwierdził dziadek. Nabił fajkę, wolno zamknął torebkę z tytoniem i rozglądał się za zapalkami.

- O rany! - jęknęła z irytacją Gertrud, kiedy szły na przystanek autobusowy poboczem szosy. - Stary ciągle żyje w dziewiętnastym wieku...

Birgitta przyspieszyła kroku. Jedna skarpetka miała za luźną gumkę, zaczęła się zwijać i wsuwać pod piętę. Wolała jej nie podciągnąć, bo zostałyby w tyle i musiałyby wrócić do babci. A bardzo chciała jechać z Gertrud do Motali, mimo że nie będzie tam miała swojego pokoju. Gertrud powiedziała, że mieszka w kawalerce z wnęką kuchenną. Birgitta nie rozumiała, co to właściwie znaczy, ale była gotowa spać nawet w szafce na nocnik, byle tylko mogła być z Gertrud.

- Wiesz, co mi powiedział wczoraj? - Gertrud postawiła walizki na ziemi. - Powiedział, że kelnerka nie jest lepsza od panienki roznoszącej cygara. A jak go spytałam, co to za jedna, to mi powiedział, że to ktoś w rodzaju kurwy i że były takie w Norrköpingu w latach jego młodości. Dobrze, co?!

Birgitta dogoniła Gertrud i poszły dalej. Buty Gertrud były szare od kurzu, wysokie obcasy zapadały się w żwir pobocza.

- Panienki od cygar! Boże, to pewnie tylko kwestia czasu, kiedy zażąda, żebym nosiła gorset i buty zapinane na guziki.

- Dziadyga - szepnęła na próbę Birgitta.

- Otóż to - podchwyciła Gertrud. - Dziadyga.

Kiedy mieszkała u babci, nie mogła wychodzić na dwór, a w Motali nie mogła siedzieć w mieszkaniu.

- Mogłabyś wyjść na chwilę? - zapytała Gertrud, kiedy następnego dnia wróciła z pracy i zrzuciła buty z nóg.

- Wyjść? - zdziwiła się Birgitta.

Nie przyszło jej do głowy, że mogłaby wyjść sama w takim dużym mieście. Pod nieobecność Gertrud obejrzała dokładnie całe mieszkanie. Wysuwała szufladę za szufladą, grzebała w bieliznie i chustkach, nylonowych pończochach i koralach. Pootwierała wszystkie szafki we wnęce kuchennej, zjadła kilka rodzynek z czerwonego kartonika i dwie kostki cukru. Potem zachciało jej się siusiu i blisko godzinę spędziła w toalecie. Bawiło ją spuszczenie wody, trochę przypominało czary. Tylko dwa razy w życiu była w WC, ale to babcia podnosiła czarną gałkę, więc Birgitta nie widziała dokładnie, co i jak. Teraz wrzucała do muszli kawałeczki papieru toaletowego, patrzyła, jak wirują i tańczą, jak je wsysa i jak znikają.

Gertrud położyła się na łóżku, zajęczały sprężyny.

- Idź się pobawić, tak jak inne dzieci...

Birgitta rozdziawiła usta.

- Ale gdzie mam iść?

Gertrud wykrzywiła się.

- O rany! Na podwórko. Albo do kiosku, albo gdzie chcesz...

Z kieszeni białego zakietu wyłowiła koronówkę.

- Masz! Kup sobie słodycze! No, uciekaj!

Birgitta nigdy nie kupowała słodyczy, ale wiedziała, co to jest. Kilka razy dziadek przyniósł jej kandyz, a babcia trzymała na samej górze w spizarce miseczkę z twardymi cukierkami. Ale gdzie jest kiosk? Niepewnie rozglądała się po podwórku. Tutaj żadnego kiosku nie było, stały tylko kosze na śmieci, a na linach suszyły się białe prześcieradła. Koło bramy bawiło się kilkoro dzieci; wisały na jakimś stojaku z matowoszarego metalu. Chłopiec pociągał za dźwignię, podnosząc i opuszczając górny drążek, dziewczynka wdrapywała się na coś w rodzaju kraty.

Nagle otworzyło się okno i jakaś kobieta wychyliła głowę.

- Odejdźcie od trzepaka, dzieciaki! - krzyknęła. - To nie jest do zabawy.

Trochę później znowu tam siedzieli. Trzymali się w stosownej odległości od Birgitty. Żadne z nich nigdy nie dostało całej korony na słodycze. Dziesięć óre dziennie to było wszystko. Za dziesięć óre można było kupić dwa piastry, dziesięć żelek albo pudełeczko salmiaku. Kiedy całą gromadką maszerowali do kiosku, jedna z dziewczynek dosyć malowniczo wyjaśniła Birgittcie, że salmiak starcza najdłużej. Wsypuje się do ust małe czarne bryłki, rozkłada na języku, przyciska język do podniebienia i ssie. Po chwili z kącików ust wydobywa się czarna ślina. Nie jest jej dużo, wygląda to jak cień. Trzeba ją przełknąć i kiedy słony smak spłynie przełykiem, można już żuć. Lukrecja jest miękka i lepkawa.

Ale Birgitta nie kupiła salmiaku, tylko pańskie skórki, żelki w kształcie myszy, irysy i pastylki czekoladowe. Zamknęła torebkę i mocno zacisnęła na niej palce. Był przyjemny ciepły zmierzch, na głosy dzieci nakładał się dobiegający z ulicy dźwięk silnika samochodu. Przeszył ją dreszcz szczęścia. Jest wieczorem na dworze, siedzi na trzepaku w środku Motali z torebką słodyczy na kolanach.

Zdziwiła się, kiedy zaczęły się otwierać okna od podwórza i od ulicy, wychylały się z nich kobiety i wołały dzieci na kolację. Roześmiała się. Pomyślała o kukułce dziadkowego zegara. Jakby te kobiety były kukułkami o pomalowanych dziobach. Dzieci schodziły z trzepaka, tylko jeden chłopiec został trochę dłużej, żeby wyżebrać od niej coś słodkiego.

Kiedy i on odszedł, Birgitta siedziała przez chwilę sama, machając nogami. Może Gertrud też otworzy okno i krzyknie, że jedzenie gotowe. Nic nie szkodzi, że z tym zwleka. Nie jest głodna.

Gertrud nie było stać na kupno łóżka, dlatego Birgitta spała na fotelach. Wieczorem i rano przemeblowywały pokój. W ciągu dnia fotele stały przy stoliku z metalowym blatem - jak wyjaśniła Gertrud, był to prawdziwy turecki stolik z przyborami do palenia tytoniu - a wieczorem jeden fotel przesuwano się naprzeciwko drugiego. Birgitta nie mogła spać z wyprostowanymi nogami, ale nie miało to znaczenia, w domu Gertrud wszystko jej się podobało.

Czasami jej współczuła. Wracła z pracy z obolałymi nogami, smutna. A to jacyś rozkapryszeni klienci byli dla niej niemili, a to ktoś narzekał na jedzenie, zadzierał nosa albo szyderczo się do niej uśmiechał. Trzeba Birgittcie wiedzieć, że najgorsze są kobiety, złośliwe, nadęte baby. Mimo że nie miały żadnego powodu tak się nabzdyczać; większość była brzydka jak noc. A ich mężowie zachowywali się tak samo jak wszyscy inni mężczyźni. Ledwie żony się odwróciły, szczypali Gertrud w tyłek i łapali za piersi.

Kiedy Gertrud o tym opowiadała, Birgitta mogła leżeć przy niej na łóżku. Lubiała te chwile, Gertrud pachniała perfumami i tytoniem, czasami w jej oddechu pojawiała się nutka likieru. Jeśli Gertrud chciała strzepnąć popiół, Birgitta biegła do tureckiego stolika po popielniczkę, a w razie potrzeby wyrzucała pety do wiadra pod zlewem. Gertrud mówiła jej, że jest grzeczna, że Birgitta to najmilszy człowiek, jakiego zna, no, może z wyjątkiem Lennarta, ale Lennart nie był do końca miły, bo nie dotrzymał obietnicy małżeństwa i wrócił do żony. Gertrud uważała, że i tak ma go w garści, ile razy przychodzi z kolegami na lunch do „Stadshotellet”, wodzi za nią oczami...

Leżały godzinami, dopóki Gertrud nie przypominała sobie, że niedługo musi iść do pracy. Birgitta pomagała jej, nalewała do garnka wodę na kawę i robiła kanapki. W tym czasie Gertrud szukała pończoch i dwudziestopięćórówki, której używała zamiast guzika w zniszczonym pasie, wkładała biały kelnerski żakiet i czarną, kelnerską spódnicę. Śmiała się z grubych i krzywych kromek chleba, wypijała filiżankę kawy i już jej nie było. Birgitta zostawała sama i mogła robić, co jej się podoba, pod warunkiem że nie posprasa do mieszkania żadnych smarkaczy, którzy tylko nabałaganią.

Rzadko gotowały, Gertrud jadła w pracy, czasami coś Birgittcie przynosiła. Ponieważ nie miały lodówki, Birgitta musiała zjadać wszystko od razu, nie można tego było przechować. Kiedy Gertrud pracowała w nocy, Birgitta jadła kolację na śniadanie.

Dziwnie się czuła, siedząc w koszuli nocnej przy tureckim stoliku i wcinając udziec wołowy.

W przeddzień rozpoczęcia roku szkolnego Gertrud wróciła do domu o trzeciej w nocy. Birgitta domyśliła się, że musiała być bardzo zmęczona, bo zasnęła w ubraniu i zapomniała nastawić budzika. Przez czysty przypadek Birgitta wstała za kwadrans ósma. W szkole miała być o ósmej. Próbowała obudzić Gertrud, ale bez skutku, Gertrud odwróciła się do niej plecami, zasłoniła głowę ramieniem i zaczęła chrapać.

Na szczęście Birgitta miała na sobie najładniejszą koszulę nocną, tę z kory, która wyglądała

prawie jak sukienka. Babcia uszyła ją z resztek materiału, dlatego sięgała do kolan, a nie do samej ziemi jak inne koszule nocne. Włożyła sweter, buty i skarpetki i już jej nie było. Tak jak Gertrud.

Wiedziała, gdzie jest szkoła. Trzeba było pójść w dół ulicy i skręcić w prawo. Bosse jej pokazał. Mieli chodzić do tej samej klasy. To chyba on szedł przed nią, trzymając mamę za rękę, ale nie była do końca pewna. Włosy Bosse układały się z tyłu w ptasi kuper, a ten chłopiec był wygolony, pod szczeciną prześwitywała biała skóra.

- Bosse! - zawołała mimo braku pewności, bo kiedy doszła do parkanu okalającego szkolny dziedziniec, poczuła się trochę nieswojo.

Na asfaltowym dziedzińcu, gdzie jeszcze kilka dni temu było pusto, roiło się od ludzi. Birgitta nigdy nie widziała tylu osób naraz, chociaż już blisko miesiąc mieszkała w Motali.

Tuż przed furką chłopiec się odwrócił i spojrzał na nią.

- Bosse! - zawołała po raz drugi i pomachała mu ręką.

Teraz była pewna, że to on, mimo nowej fryzury, białej koszuli i krawata. Jego mama, w kapeluszu i płaszczu, mocno przyciskała torebkę, jakby się bała, że ktoś ją ukradnie. Popatrzyła na Birgittę.

- O, Boże! Biedne dziecko! - powiedziała.

Tak się to zaczęło. Mama Bosse miała w tym wszystkim największy udział. Szeptala coś do innych matek, kręciła głową, potem, kiedy nauczycielka wywołała Birgittę, została w klasie i wkładając białe bawełniane rękawiczki, o czymś rozmawiała z nauczycielką. Miała paskudny płaszcz, duży jak namiot, w kolorze żurawiny z mlekiem. Birgitta co wieczór jadła żurawinę z mlekiem u babci i zawsze zamykała oczy, żeby ją w ogóle przełknąć. Na sam widok tego koloru zbierało jej się na mdłości. Na sam widok mamy Bossego zbierało jej się na mdłości.

Trzy dni później Gertrud po raz pierwszy stała się kukułką; tak jak inne mamy wychyliła się z okna i zawołała ją. Trochę to było dziwne, bo niedawno wróciła z pracy i kazała jej wyjść na podwórko. Tak strasznie jest zmęczona i tak bardzo boli ją głowa, że musi mieć spokój i chce się zdrzemnąć. Ale kiedy Birgitta otworzyła drzwi do mieszkania, Gertrud była w butach. Zwykle chodziła boso, bo po pracy miała obolałe i spuchnięte stopy. Obrzuciła Birgittę złym spojrzeniem, skinęła rozczochraną głową w stronę pokoju i położyła palec na ustach. Birgitta ma być cicho. Dobrze, ale dlaczego Gertrud jest taka zła?

Birgitta oparła się o futrynę i zajrzała do pokoju. W fotelu siedziała jakaś kobieta w niebieskiej garsonce i w białej, zapiętej pod szyję bluzce. Długa i szeroka spódnica niemal dotykała podłogi. Nie widziała Birgitty, szukała czegoś w brązowej skórzanej teczce, którą miała na kolanach. Wyjęła z niej etui, z etui wyjęła okulary, wolno i starannie je wyczyściła i włożyła na nos.

- Dzień dobry - powiedziała. - Czy to ty jesteś Birgitta? Mam na imię Marianne. Jestem z komisji do spraw opieki nad dziećmi.

Gertrud wielokrotnie powtarzała, że to była wina Birgitty. Gdyby nie poleciała do szkoły w koszuli nocnej, Marianne nigdy nie zaczęłaby ich nachodzić. A tak przyłąziła prawie co tydzień, po pewnym czasie zaczęła nawet myszkować w komodzie, żeby obejrzyć bieliznę Birgitty, i w łazience, żeby sprawdzić, czy Birgitta ma szczoteczkę do zębów. Nie miała. Gertrud zapewniła, że to chwilowe, że stara szczoteczka się zużyła i właśnie zamierzała kupić nową. Ale to nie była prawda. Odkąd Birgitta zamieszkała w Motali, ani razu nie myła zębów. Marianne chyba się tego domyśliła. Zajrzała Birgittcie w usta, wykrzywiła się i powiedziała, że jak najszybciej załatwi jej wizytę u szkolnego dentysty.

Dentysta kazał się jej uspokoić, kiedy się złękła zastrzyku, potem wyrwał trzy zęby trzonowe, włożył jej coś białego do środka i odesłał do domu. Po chwili to białe zrobiło się gąbczaste i Birgitta wypluła to na chodnik. Było czerwone od krwi. Czowała w ustach zbierającą się krew, pochyliła się i wypluła, ale to nie pomogło, krew leciała i leciała. Żeby nie pluć krwią w nieskończoność, musiałyby ją połykać. Sama ta myśl sprawiła, że chodnik pod jej nogami zakotłował się, pociągnęła nosem, podniosła zakrwawiony tampon i włożyła do ust. Było na nim trochę piasku, ale co tam. Najważniejsze, że zatałmował krew. Wieczorem nie chciała wyjść na podwórko, znieczulenie przestało działać i wszystko ją bolało. Gertrud ofuknęła ją, zmieszała grog z wódką i lemoniadą i powiedziała, że sama sobie jest winna.

Chyba jednak rozumiała, że Birgitta naprawdę cierpi. Wcześniej tego wieczoru zsunęła fotele,

pozwoiliła się Birgittcie położyć i sama wyniosła puste butelki. Pilnowała się teraz, żeby je wyrzucić, chociaż można było dostać za nie parę groszy. Wolala, żeby nie zalegały w szafce pod zlewem, żeby Marianne znowu ich nie liczyła. Już zaczęła coś przebąkiwać o komisji do spraw trzeźwości.

Kiedy Gertrud wróciła ze śmietnika, Birgitta wyjęła kciuk z ust, zamknęła oczy i udawała, że śpi. Podjęła decyzję. Jutro puści Bosse krew z nosa.

Bo to była jego wina. Jego i jego brzydkiej matki.

BIRGITTA MRUGA POWIEKAMI, jakby się przed chwilą obudziła.

- Jakie papierosy? - pyta.

- Moje papierosy - mówi Margareta, marszcząc czoło. - Te, które mi zabrałaś.

Margareta poprawia pasek torebki i wyciąga rękę. Mimo skwaszonej miny jest niemal ładna, wygląda na swój sposób przyzwoicie. Jak wyciosana z jednego kawałka drewna. Dziwne. Margareta nie była w młodości lalkowata - płaska jak deska, o puciołowatej twarzy - więc dlaczego miałyby być ładniejsza teraz, kiedy stuknęło jej czterdzieści pięć lat. To pewnie kwestia pieniędzy. Stać ją na kupno cudownych kremów i ciuchów. Wszystko, co ma na sobie, wygląda na nowe, na białym kołnierzu baraniej kurtki nie ma ani jednej plamki, dzinsy są ciągle sztywnawe. Birgitta lubi nowe dzinsy, ale co z tego? Jest skazana na wytarte i workowate.

Pojawia się wspomnienie. Odbicie w lustrze. W lustrze snobistycznego sklepu zobaczyła margines społeczny.

Dziesięć lat temu nie było tego widać. Nie tylko dlatego, że robiła za dilerkę, też chodziła do socjału. Ale wtedy wystarczyło, żeby kurtka lekko się przetarła na mankietach, i dostawało się nową. Teraz chodzi się w starych ubraniach, dopóki nie zostaną z nich szmaty. Pewnie dlatego, żeby było widać bogactwo takich jak Christina i Margareta i ubóstwo innych. Wyświechtane pikowane kurtki dla motłochu, skórzane kurtki i skórzane torebki dla snobów.

Birgitta nie jest snobem, nie włożyłaby pańciowatej garsonki ani baraniej kurtki, nawet gdyby miała mnóstwo pieniędzy. Kupiłaby sobie kurtkę z czarnej skóry od tego asfalta, który w soboty handluje na rynku w Motali. Ma cholernie szykowne i tanie ciuchy. Ale Ulla z socjału w ogóle nie chciała o tym słyszeć. Niech Birgitta naprawi swoją kurtkę. I niech ją wypierze.

Wielki szef poinformował Ullę, że najwyższy czas zakreć kurki, a ta trusia zawsze robiła, co jej każą. Dlatego Birgitta ostatnio cienko przędzie. Niewiele jej trzeba, żeby się najeść. Może to coś w rodzaju cichego błogosławieństwa, o jakim mówiła Gertrud? Bo już na samą myśl o jedzeniu zbiera jej się na wymioty. Nie miałyby natomiast nic przeciwko temu, żeby dostać trochę szmalu na kalorie w płynie. W tej chwili za jedno piwo oddałyby prawą rękę.

- No?! - przynagła Margareta.

Birgitta mruga powiekami. Co, no? O co jej chodzi? I dlaczego jest taka naburmuszona? Margareta niecierpliwi się, pochyla się ku niej.

- Czy zechciałabyś mi oddać papierosy? - mówi, wymawiając każde słowo bardzo wyraźnie, jakby z Birgitta było coś nie tak, jakby nie słyszała i nie rozumiała.

- Jakie papierosy? - pyta Birgitta, opierając się o witrynę i zamykając oczy.

Jest zmęczona. Bardzo zmęczona.

- Tylko bez numerów! - syczy Margareta. - Zabrałaś z restauracji paczkę żółtych blendów. Moich blendów. Oddaj je!

Jasne. Teraz sobie przypomina. Pewnie, że damulka dostanie swoje papierosy, nie przeżyłaby przecież tak poważnego uszczerbku finansowego. A nawet gdyby przeżyła, przez następne trzydzieści lat nie dałaby jej spokoju, prześladowałaby ją donosami na policję i anonimami, wystawiałaby wieczorem pod jej domem i wrzeszczała na cały głos: „To była twoja wina, to była twoja wina!” Jasne, że dostanie swoje papierosy!

Z zamkniętymi oczyma Birgitta grzebie w kieszeni kurtki. Jest dziurawa, ale paczka papierosów przez nią nie wyleci. Po omacku podaje ją Margarecie, bo ciągle nie ma siły otworzyć oczu. A raczej nie chce ich otwierać, żeby nie patrzeć na tę nadętą snobkę. Na pewno każe jej zapłacić za te nędzne szlugi, które zdążyła wypalić. Zaproponuje jej spłatę w ratach. Rzadko ją stać na papierosy. Tacy jak

ona muszą się zadowolić skrętami, jeśli są na tyle bezczelni, żeby w ogóle palić.

Margareta chwyta paczkę, Birgitta słyszy chrzęst suwaka, i wrzuca ją do torebki. Teraz powinna odejść z zadartym nosem, żeby Birgitta wreszcie mogła otworzyć oczy. Ale nie odchodzi. Ciągłe słychać jej oddech.

- Dasz sobie radę? - pyta Margareta.

W jej głosie pobrzmiewa lekkie wahanie, nie ma w nim poprzedniej ostrości. Birgitta kiwa głową. Świetnie da sobie radę, wielkie dzięki, byleby tylko Margareta zechciała być tak kurewsko uprzejma i błyskawicznie stąd spłynęła, zabierając tę swoją baranią kurteczkę, papierosy i całą resztę. Ale Margareta nic nie rozumie, kładzie jej rękę na ramieniu i lekko potrząsa.

- Słuchaj - mówi - jak ty się czujesz? Nie możesz spać na ulicy...

Gówno cię to obchodzi, myśli Birgitta, ale się nie odzywa, stoi z zamkniętymi oczami, oparta o witrynę. Czuje przez kurtkę chłód szyby, dygoce i zmienia pozycję. Wsuwa ręce pod pachy. Palce kompletnie zeszytniały. Zimno jej w nogi.

- No dobrze - mówi Margareta i wzdycha. - Zawiozę cię do Motali. Tylko nie życzę sobie żadnych awantur.

Birgitta otwiera oczy. Awantur? Czy ktoś tutaj zamierza się awanturować? W każdym razie nie Birgitta Fredriksson.

No way. Never.

Margareta gna po Drottninggatan, Birgitta nie bardzo za nią nadaża, człapiąc w za luźnych butach. Odległość między nimi rośnie. Prawdopodobnie robi to świadomie, bo nie chce iść tuż obok starej kurwy. Birgitta prycha. Myślałby kto, że jest dużo lepsza. Jeśli jeszcze w szkole pieprzyła się z nauczycielem, to pewnie niejednego od tamtej pory zaliczyła. Z biegiem lat Birgitta to i owo zrozumiała. Ile razy Margareta do niej dzwoniła i opowiadała o facetach, zawsze był na tapecie jakiś nowy. Zmieniała ich mniej więcej co pół roku.

Margareta doszła do mostu, dopiero teraz się orientuje, że Birgitta została w tyle. Zatrzymuje się, ogląda i leci dalej. Dlaczego tak się spieszy? Czy nie widzi, że Birgitta telepie się w tych czółenkach Myszki Minnie jak jakaś pieprzona Bambi? Gdyby rzeczywiście była tak kolosalnie życzliwa ludziom, za jaką chce uchodzić, zostawiłaby Birgittę na ławce w parku i poszła po samochód.

Nareszcie stoi przy przejściu dla pieszych. Birgitta próbuje podbiec, ale nic z tego, starcza jej siły tylko na kilka szybszych kroków. Cholera. Nie jest w formie. To pewnie ta przeklęta wątroba. Albo płuca. Albo nerki. Albo serce. Kiedy ją parę tygodni temu wypisywali z zakładu, doktor uznał za cud, że ona w ogóle trzyma się na nogach.

- Bo jestem silna - skłamała Birgitta.

Gdyby powiedziała, co naprawdę myśli, natychmiast by ją wpakowali do czubków.

Doktor zaśmiał się i odwrócił do komputera, nacisnął jakiś klawisz i na monitorze pojawiła się jej karta choroby.

- Może byłaś - stwierdził, kręcąc głową. - Ale teraz najwyższy czas trochę zwolnić. Jeśli chciałabyś jeszcze trochę pożyć.

To był klawy gość, prawie tej klasy co Hubertsson, ale kapował równie mało jak cała reszta. Birgitta nie zamierzała ani umierać, ani się starzeć, nawet nie wiedziała, co się robi, żeby być starym.

Gertrud nie dożyła trzydziestu pięciu lat. Ale Gertrud nigdy nie była silna. To się dało zauważyć. Niesamowicie chuda i przezroczysta, przypominała porcelanową baletnicę z sekretarzystką babci. Babcia bardzo się o nią bała. Raz zobaczyła, jak Birgitta weszła na krzesło, żeby jej dotknąć, i uderzyła ją w twarz. Słyszała ten policzek przez kilka godzin. To nie była zabawka!

Birgitta miała w nosie wyjaśnienie, że nie jest taka głupia, żeby się bawić baletnicą, po prostu chciała obejrzeć z bliska porcelanowy tiul i poczuć go pod palcami. Miała też ochotę go ugryźć, ale nie zdążyła. Potem mogła już tylko wzdychać, całkowicie przekonana, że porcelanowy tiul smakuje tak słodko jak kandyz.

Kiedyś postanowiła skosztować Gertrud. To było tuż przed przenosinami do Babsztyla Ellen, czyli chodziła wtedy do czwartej klasy. Gertrud nie pracowała, wyrzucili ją ze „Stadshotellet”, a w Motali nie było dla kelnerki innych sensownych zajęć. Gertrud ani myślała zbierać naczynia w jakimś

barze, do czego ją namawiała Marianne i urzędniczki z socjału, bo miała zawód i była z niego dumna. Poza tym wkrótce zamierzała wyjść za mąż za Osvalda i przenieść się do trzypokojowego mieszkania, jakie już dla nich wybrał. I jak tylko włoży obrączkę na palec, poprosi Marianne i całą tę bandę, żeby się wynieśli do wszystkich diabłów.

Birgitta cieszyła się na ślub, chociaż nie lubiła Osvalda. Był duży i niezdamy, a kiedy przychodził, dla niej nie było już miejsca. Na dokładkę miał dziwne zwyczaje. W ogóle się nie witał, ledwie zamknął za sobą drzwi, zdejmował buty i przepocone skarpety, rzucał je przez ramię i na bosaka wchodził do pokoju. Tam siadał w fotelu i przez cały wieczór nie wstawał. Ale co nabałaganiał, to jego. Bardzo szybko wszystkie kieliszki były zapaćkane, wszystkie popielniczki pełne, a po podłodze turlało się mnóstwo pustych butelek. Birgitta nie miała wprawdzie obsesji na punkcie sprzątanania, ale Oswald był wyjątkową świnią. Poza tym głośno bekał, spluwał na podłogę i puszczał tak cuchnące bąki, że musiała otwierać okno. Nigdy nie wiedział, kiedy wyjść, tkwił w fotelu w nieskończoność. Birgitta kładła trochę ubrań na podłodze w przedpokoju i próbowała spać. Budził ją, wychodząc, wyszarpywał spod niej ubrania i klął, że się położyła na jego kurtce.

Po jego wyjściu Gertrud zaczynała pociągać nosem i płakać, obejmowała Birgittę i nazywała swoim aniołkiem i jedynym przyjacielem. Wszyscy chcieli je rozdzielić, ten złość Oswald też, ale Gertrud się nie podda. Jest przecież matką, on musi się z tym pogodzić, dla dobrej matki miłość do dziecka jest zawsze na pierwszym miejscu, przed miłością do mężczyzny. Jeśli Oswald chce z nią być, to musi również przyjąć Birgittę, bo Gertrud nie poradzi sobie bez swojego aniołka, a Birgitta nie chciałaby się chyba rozdzielać ze swoją mamcią. A może by chciała? Tak, na pewno by chciała, na pewno pragnęła jej śmierci, wtedy mogłaby zamieszkać u jednej z tych porządných rodzin, o których mówi Marianne, gdzie miałyby własne łóżko, własny pokój, wszystko. Wtedy na pewno by zapomniała o swojej biednej mamusi i...

W takich chwilach Birgitta nie mogła powstrzymać łez, ledwie zamruwała powiekami, spływały po policzkach, klękała przy łóżku Gertrud, brała ją za rękę i przysięgała, że nie chce iść do żadnego zasranego domu zastępczego, nie chce mieć własnego pokoju i łóżka. Wszyscy są głupi: Oswald i Marianne, mama Bosse i nauczyciel. Nikt nie rozumie, że Birgittie jest dobrze, że ma najmiłszą mamę na świecie... Trzęsa się od szloch, mówiła z przerwami, na ustach pojawiały się i pękały bańki śliny, ale wydawało się, że Gertrud jej nie słyszy. Ciągle płakała i krzyczała, zabierała rękę i zakrywała nią twarz, jej drobnym ciałem miotały spazmy.

- Taaak! - wrzeszczała, kopiąc materac i rzucając głową. - Taaak! Chcesz, żebym umarła! Wiem o tym! Wszyscy mnie nienawidzą! Wiem o tym! Ale ja wam pokażę! Jutro, jak będziesz w szkole, odbiorę sobie życie. Przysięgam! Przebiję się nożem...

Birgitta wchodziła na łóżko i obejmowała Gertrud za szyję, jakby ją chciała przytrzymać, jakby chciała ją zmusić do pozostania wśród żywych.

- Mamo! - krzyczała. - Mamo, mammo, mammo... Nie możesz umrzeć! Nie możesz umrzeć, mamusiu, nie umieraj!

Gertrud zazwyczaj się uspokajała, czując na twarzy wilgotny od łez policzek Birgitty i słysząc jej głośny płacz. Przystawała wierzgać i rzucać głową, cicho pociągała nosem, a w końcu zapadała w sen. Wtedy Birgitta nie mogła chlipać, musiała przetykać łyzy, dopóki nie zamieniały się w gardle w twardy supeł. Nie chciała, żeby Gertrud się obudziła i zaczęła wszystko od nowa.

Leżała bez ruchu, uwalniała się z objęć Gertrud dopiero wtedy, kiedy nie słyszała jej oddechu. Miała trochę pracy, jeszcze nie mogła sobie pozwolić na sen. Musiała pokroić chleb na śniadanie i pochować wszystkie noże. Miały tylko trzy, byłoby to całkiem proste, gdyby się tak nie trzęsa. Jeden wkładała za rurę w szafce pod zlewem, drugi do rezerwuaru w łazience, co było uciążliwe, ponieważ musiała odkręcić plastikową gałkę i zdjąć pokrywę, a trzeci wieszala pod lustrem w przedpokoju. W domu Babsztyla Ellen zrobiło jej się słabo, kiedy pewnego dnia wysunęła szufladę w kuchni, zobaczyła jedenaście ostrych noży - policzyła je w sekundę - i pomyślała, że musi znaleźć jedenaście schowków. W tamtym domu nie było to jednak potrzebne. Za to u Gertrud stało się z czasem nawykiem. Sama Gertrud wydawała się nie zauważać znikających i pojawiających się noży.

Po ich ukryciu Birgitta zbierała do szmacianej torby wszystkie butelki i stawiała w przedpokoju

pod wieszakiem. Rano, wychodząc do szkoły, opróżniała torbę w śmietniku, zwijała ją i wkładała do tornistra. Gapiące się na nią zza szyb sąsiadki pewnie sądziły, że je wyrzuca, ona tymczasem chowała je tylko za pojemnikami na śmieci. Butelki można było sprzedać i Birgitta nie zamierzała rezygnować z szansy zarobienia pieniędzy. Gertrud, choć miła, niewiele mogła teraz zaoferować, a Birgitta bez przerwy myślała o słodyczach. Zupełnie jakby miała w brzuchu cukierkową mysz, złośliwą, z długim ogonem, która groziła i straszyla, że jeśli Birgitta jej nie nakarmi, zanurzy swoje żółte zęby w jej kiszkach i rozszarpie je na strzępy.

Może to cukierkowa mysz zmusiła ją do skosztowania Gertrud. Już pochowała noże, zebrała wszystkie butelki i stojąc przy tureckim stoliku, nagradzała się kostkami cukru.

Gertrud spała spokojnie, skulona pod ścianą, białe ramię leżało na biodrze. Birgitta patrzyła na nią. Kostki cukru stały się porowate i powoli rozpuszczały się w ustach. Cukierkowa mysz syczała porytowana, chciała czegoś innego, najchętniej czekoladę, tabliczkę mlecznej czekolady Marabou, lepkiej i miękkiej od leżenia na słońcu w witrynie kiosku. Albo lody, tak, mogłyby być waniliowe, cała paczka mile łaskoczących podniebienie lodów waniliowych z truskawkowymi pasemkami...

Na dworze zaczynało świtać, pokój pomału się rozjaśniał. Można już było rozróżnić kontury mebli i sprzętów. Birgitta straciła kontrolę nad swoim ciałem. Język prześlizgiwał się po zębach w poszukiwaniu ostatnich kryształków cukru, ręce otarły smarki pod nosem i stopy ruszyły. Jakby szła w morzu, wokół niej było światło i woda, szepczące fale popychały ją do łóżka.

Gertrud spała głęboko. Nie poczuła, kiedy Birgitta podniosła jej rękę i pogłaskała palcem jasne włoski na przedramieniu. Cukierkowa mysz w jej brzuchu drgnęła. Każdy włoszek wydawał się ulepiony z cukru. Przypomniała sobie cukrową watę, którą kiedyś jadła w wesołym miasteczku, i usta wypełniły się śliną, w gardle łaskotało i ssało...

Zamknęła oczy i starannie wylizała całe przedramię Gertrud, od nadgarstka po łokieć. Potem ostrożnie położyła jej rękę na biodro, wyprostowała się i nie otwierając oczu, czekała na smakową sensację, która wkrótce powinna eksplodować na podniebieniu.

Ale Gertrud nie smakowała jak czekolada albo wanilia. Była słona. Jak salmiak.

Birgitta dogania Margaretę, kiedy ta stawia stopę na jezdni.

- Poczekaj - mówi zadyszana, ale Margareta jest już pośrodku ulicy.

Jasna cholera! Birgitta wbiega na jezdnię - pieprzone buty! - i wytrwale za nią pędzi. Margareta świadomie tak się spieszy, chce od niej odbiec jak najdalej. Bo jeśli Birgitty nie będzie w pobliżu, kiedy dojdzie do samochodu, to z czystym sumieniem docisnie gaz do dechy i odjedzie. No jasne, już widzi złośliwy uśmiezek Margarety, która w minutę później przemknie obok zrozpaczonej Birgitty, udając, że jej nie dostrzega. A jak się spotkają następnym razem, cała jej twarz zmarszczy się w grymasie zdumienia. Co takiego? Margareta nie wycofała się z obietnicy. Nie uciekła! Czekala i czekała, ale Birgitta nie przyszła, więc odjechała. Niestety, Niestety.

Margareta jest już w przydworcowym parku, a Birgitta ciągle drepcze chodnikiem. Mocno bije jej serce, jakby miało rozsadzić klatkę piersiową. Musi się jednak spieszyć. Taki wysiłek może ją zabić, malutka grudka krwi rozszerzy naczynie krwionośne i w zawrotnym tempie dotrze do serca albo do mózgu.

Tak, tak to jest. Wie, co się stanie, widzi to. Birgitta Fredriksson chwyta się za serce, zatrzymuje w pół kroku, okręca na jednej nodze - druga unosi się jak do tańca - patrzy przez moment w niebieskie marcowe niebo, po czym powoli osuwa się na ziemię. Zewsząd zbiegają się ludzie, zaniepokojeni, wykręcają dłonie. Czy ona nie żyje? Ach, nie pozwólcie jej umrzeć! To przecież Birgitta Fredriksson! Kiedyś była taka piękna! Gdyby dzisiaj była młoda, na pewno zostałaby słynną fotomodelką, szwedzką wersją Anny Nicole Smith! Ach, gdyby tylko życie nie było wobec niej takie okrutne!

Bawi się w myślach. Tak naprawdę Birgitta nie wierzy w śmierć. Ani przez moment.

Co prawda wyobrażała ją sobie tysiące razy, łącznie ze smutkiem, poczuciem winy i lamentami, jakie wywołałoby jej odejście wśród snobek i innych ludzi, ale nie wierzy, że któregoś dnia umrze, przestanie istnieć. Inni - tak, ale nie ona. Birgitta Fredriksson będzie żyła wiecznie, nic innego nie wchodzi w grę.

W dzieciństwie próbowała wyjaśnić to dorosłym, ale nikt nie traktował jej poważnie.

- Wezmę z sobą do trumny łopatę - powiedziała babci. - I jak wszyscy wrócą z pogrzebu do domu, to się odkopię...

Babcia roześmiała się swoim pustynnym śmiechem.

- Nic z tego. Kiedy się nie żyje, to się nie żyje, i nie można się odkopać...

- Ja mogę.

Babcia odchyliła głowę i zaśmiała się tak głośno, że prawie popękały szyby. Najwyraźniej od lat nie słyszała czegoś równie śmiesznego.

- Zobaczysz! - zagadkała. - Zobaczysz!

Gertrud się rozzłościła. Był wczesny wieczór, jeszcze się porządnie nie upiła. Leżąc na łóżku, podniosła się na łokciu i wyszczała:

- Zwariowałaś? A co jest w tobie takiego szczególnego, że akurat ty miałabyś się wywinąć?

Birgitta milczała. Jakby miała w sobie mały guzik „to-się-nie-dzieje-naprawdę”, który wciskała, ilekroć Gertrud była zła.

Jak teraz.

- Choleeera! - warknęła i opadła na poduszkę. - Co ja takiego zrobiłam? Co?! Siedzę w zasnanej norze w zasnym miasteczku, nie mam pieniędzy nawet na najpotrzebniejsze rzeczy i jakby tego było mało, mój dzieciak to idiota! Ostrzegam cię, że jeśli będziesz wszędzie wygadywać takie brednie, to Marianne od razu cię wyśle do czubków. Żebyś wiedziała!

Ellen nie śmiała się ani nie krzyczała, spoglądała tylko znad swojej poduszki do koronek i przez chwilę patrzyła na Birgittę.

- Aha - powiedziała na koniec, spuściła wzrok i przesunęła dwa klocki w tak zawrotnym tempie, że Birgitta nie była w stanie śledzić jej ruchów. - A więc jesteś nieśmiertelna... Coś podobnego.

Birgitta obserwowała ją zmrużonymi oczami i czekała na ciąg dalszy. Ale ten nie nastąpił. Ellen wsunęła szpilkę w usta i pochyliła się nad poduszką.

- Jedno oko będę miała otwarte - powiedziała Birgitta. - Żeby widzieć, co się dzieje.

Ellen spoglądała na nią i uśmiechnęła się. Birgitta odchrząknęła, zniecierpliwiona. Pieprzony babsztyl! Powiedz coś! Skrzywiła się, uniosła ręce i powyginała palce.

- Jak mnie spróbują zakopać, to będę wyła jak upiór...

Ellen wyjęła szpilkę z ust i zarechotała.

- Jestem tego pewna - stwierdziła. - Ale ponieważ jeszcze nie umarłaś, idź się umyć. Masz brudne ręce.

Dzisiaj Birgitta tak samo myśli o śmierci. Jak o widowisku, w którym jest i główną postacią, i publicznością. Będzie leżała w trumnie ze zmrużonymi oczami, żeby się przyglądać żałobnikom, a kiedy sobie pójdą, podniesie wieko i usiądzie. Jak Dracula. Oznajmiła Ulli z socjalu, że nie chce być skremowana, ale nie robi sobie wielkich nadziei, że uszanują jej życzenie. Jeśli szef każe Ulli stosować się do zaleceń gminy, która nakazuje palenie wszystkich śmieci, to Ulla na pewno dopilnuje, żeby Birgittę spalili. Dlatego na wewnętrznej stronie drzwi szafy Birgitta przykleiła kartkę: „Pod żadnym pozorem nie chcę być skremowana. Birgitta Fredriksson”. Ma nadzieję, że w ostatniej chwili pojawią się snobki. Już to widzi, jak czytają, kartkę, patrzą na siebie zażawionymi oczami - nareszcie zdały sobie sprawę, jak źle ją traktowały! - i biegną do krematorium, i zatrzymują trumnę tuż przed wsunięciem jej do pieca...

Chociaż raczej tak nie będzie, siostrom Birgitty nie można ufać. Bo kiedy za chwilę będzie leżeć jak ukrzyżowana w przydworcowym parku i zaczną się wokół niej gromadzić ludzie, jednej osoby nie będzie. Margarety. Na pewno poleci dalej. Pieprzona zmora!

Birgitta przygotowuje się, koncentruje swoje głosowe możliwości i wrzeszczy:

- ZACZEEEKAJ!

Od lat tak głośno nie krzyczała, ale nie wyszła z wprawy. Wydaje się, że tym wrzaskiem sparaliżowała cały Norrköping, jakby nagle przestały warczeć samochody i umilkły wszystkie rozmowy, kiedy jej głos rozbrzmiewa między „Standard Hotell” i Domem Ludowym. Birgitta pochyliła się i kładzie ręce na udach, jak sprinter, który właśnie dobiegł do mety, i patrzy na sztywną jak sople lodu,

znieruchomiła Margaretę. Birgitta ciężko oddycha, ba, rzezi, mocno bije jej serce, tak mocno, że wszędzie czuje puls: w głowie, w palcach, w żyłkach pod kolanami. Nawet w płatkach uszu. Jest zmęczona. Zmęczony człowiek ma prawo do chwili wypoczynku.

Słyszy kroki Margaretę, pod jej butami chrzęści żwir i topniejący śnieg, kiedy w swoim snobistycznym stylu drepcze do Birgitty.

- Co jest? - pyta półgłosem, jakby myślała, że po fakcie uda jej się przytłumić wrzask Birgitty. - Czemu się wydzierasz?

Birgitta ciągle stoi z rękami na udach. Podnosi głowę i wykrzywia się.

- Chciałaś biec do Motali czy jak?!

Margareta kołysze się lekko na obcasach i patrzy w bok.

- Może by ci to dobrze zrobiło. Potrzebujesz trochę ruchu...

Co jej jest? Czy nie może dzisiaj otworzyć ust, nie rzucając złośliwości? Nie była taka wredna od dnia, w którym Birgitta opuściła elegancką willę Stiga. Kiedy mieszkały w bawialni, Margareta i Christina nie zamieniły z nią słowa, a potem nie zareagowały na jej „do widzenia”, tylko się na nią tępo gapily. Dlatego kilka lat później bardzo ją zdziwił list od Margaretę. Myślała, że są wrogami na całe życie, tymczasem Margareta była innego zdania i w skrzynce Birgitty zaczęły lądować coraz dłuższe peany. I czy w trzy miesiące po tym, jak urodziła syna, Margareta nie zjawiała się u niej osobiście? Tak. Teraz pamięta, wyraźnie widzi, jak Margareta siedzi przy stole w kuchni i karmi dzieciaka butelką...

No tak! To dlatego jest taka wredna. Kiedy siedziały w restauracji, pewnie pomyślała o chłopcu. Jasne, nagle sobie pomyślała, że Birgitta miała w życiu wszystko to, czego ona nigdy nie miała. Matki, męża i dziecka. Margareta nigdy nikogo nie miała. Nikt jej nie chciał, kiedy się urodziła, i nikt nie chce jej teraz. To wcale nie takie dziwne, bo jest potwornie złośliwą, klimakteryczną wiedźmą. Margareta jest po prostu zazdrosna. Ale w życiu się do tego nie przyzna, nawet pod groźbą pistoletu. W dzieciństwie nigdy nie chciała mówić o swojej tajemniczej mamie i zawsze odchodziła, ilekroć Birgitta napomykała o Gertrud. Margareta była i jest zazdrosna. Ot, co.

Powinna jednak zrozumieć, że Birgitta czuje się urażona, że złośliwe napaści Margaretę sprawiają ją o lzy i drzenie warg.

- Do diabła - mówi, prostując plecy. - Nie jestem najzdrowsza, brakuje mi sił, żeby tak biegać jak ty. Widzisz, mam cirros wątroby... Dwa tygodnie temu wyszłam ze szpitala.

Twarz Margaretę łagodnieje, ale nie na tyle, żeby Birgitta poczuła się pewniej. Może Margareta nie wie, co to jest cirros wątroby - Birgitta nie zamierza jej w tym względzie oświecać - i dlatego nie rozumie powagi sytuacji. Trzeba wzmocnić fundamenty.

- To oczywiście moja wina - mówi i powłócząc nogami, człapie do parkowej ławki. - Ludzie z półświatka nie dożywają późnej starości. Doktor powiedział, że zostało mi pół roku. Jeśli dobrze pójdzie...

Siada na ławce i zerka na Margaretę. Margareta otwiera usta, patrzy na Birgittę błyszczącymi oczami.

- Przecież mnie znasz. - Birgitta śmieje się z goryczą. - Nie umiem o sobie dbać. Nawet gdybym chciała...

Margareta zamyka usta.

- Czy to prawda?

Jasne, że prawda. Co ona sobie właściwie wyobraża? Że Birgitta kłamie? Doktor wyraźnie powiedział, że jak nie przestanie pić, to umrze w ciągu pół roku albo roku!

- Pewnie, że prawda - mówi i spuszcza wzrok, żeby ukryć kłamstwo.

Bo przecież kłamie. Birgitta Fredriksson nie umrze. Ona nie może umrzeć.

Wolno wychodzą z parku w stronę dworca, Margareta trzyma Birgittę pod ramię, wspiera ją jak staruszkę.

- Posiedzisz na ławce przed dworcem, a ja pójdę po samochód - mówi Margareta. - To nie potrwa długo, zaparkowałam za komisariatem...

Birgitta zamyka oczy i kiwa głową, pozwala się przeprowadzić przez ulicę. Trochę kuleje, ale po chwili z tego rezygnuje. Bez przesady, nie kuleje się z powodu marskości wątroby. Powinna o tym

wiedzieć, w końcu od półtora roku jeździ do szpitala w związku z tą parszywą wątrobą i na razie chodzi normalnie. Nie da się ukryć, że myśli o swojej wątrobie tylko wtedy, kiedy wymiotuje. I jeśli zauważy krew, wie, że musi jechać do szpitala. A tego nie lubi. Birgitta nie lubi szpitala. Po prostu się go boi.

- Oj, mokro - mówi Margareta, kiedy podeszły do ławki, wilgotnej od topniejącego śniegu. - Poczekaj, skoczę do kiosku po gazetę, żebyś mogła usiąść...

Po chwili wraca, rozkłada na ławce grubą gazetę, z wieloma dodatkami, i wyjmuje jakąś puszkę.

- Proszę. Masz tu coś do picia, kiedy mnie nie będzie. Ale to nie potrwa długo. Za parę minut jestem z powrotem...

Birgitta dławi grymas. Coca-cola light. Typowe. To, czego potrzebuje, to piwo. Ale jeśli o tym wspomni, Margareta znowu zacznie ujadać jak rottweiler.

- Poradzisz sobie? - pyta Margareta.

Birgitta kiwa głową i zamyka oczy, ale po chwili je otwiera.

- Słuchaj - mówi z błagalnym uśmiechem - czy nie mogłabyś mnie poczęstować papierosem?

JEST PIĘKNA POGODA, że też o tym wcześniej nie pomyślała. Birgitta chowa papierosy do kieszeni i odwraca twarz do słońca. Nieźle, siedzi sobie i popala w wiosennym słońcu. Birgitta lubi być poza domem, przez całe życie chętniej przebywała na dworze niż w mieszkaniu, bez względu na pogodę, grad czy deszcz. W innych okolicznościach może stałaby się prawdziwym miłośnikiem przyrody. Prycha na samą myśl. Już się widzi w roli puciołowatego amatora grzybów, który z koszem na ramieniu i słońcem w oczach łązi po lesie. Jezu Chryste! Na szczęście nie poszło aż tak źle.

Nigdy zresztą nie istniało takie ryzyko. Babcia traktowała naturę nieufnie, mimo że całe życie mieszkała w chlorofilu, a Gertrud była zdeklarowanym asfaltowym kwiatem. Birgitta tylko raz wybrała się na wycieczkę do lasu, chociaż wcale o niej nie marzyła. Ellen zabrała je na grzyby. Stig Szczupaczy Pysk kończył czterdzieści lat i Ellen obiecała pomóc w przygotowaniu przyjęcia. Na przystawkę miały być paszteciki z kurkami. Kurki kosztowały majątek, a Ellen była skąpa, dlatego trzeba się było wypuścić do lasu i nazbierać ich za darmo. Tak jej się wydawało. W praktyce nie znalazły ani jednego grzybka.

Ale jak musiały wyglądać, maszerując gęsiego poboczem szosy! Birgitta świetnie to pamięta. Na czele szła Ellen w kaloszach, fartuchu i kaftanie. Tuż za nią truchtała Christina w podobnym stroju, lękliwa i rozedrgana, jakby się bała, że droga rozstąpi się pod jej stopami i ją pochłonie. Potem kolebała się Margareta. Nie mogła iść prosto, bo przemyciła książkę i natychmiast zaczęła ją czytać. Miała fioła na punkcie książek, czytała bez przerwy, nie przejmując się tym, że Ellen, Christina i Birgitta wznosiły oczy do nieba i mówiły, że to nienormalne. Ciągle miała w rękę coraz to inne książki. Tym razem oparła się o Birgittę, żeby nie wlecieć do rowu. Birgitta nie protestowała, tego dnia była radosna i roześmiana. Wypchała kieszenie papierowymi torebkami, bo grzybów, które znajdzie, ani myślała oddawać na przyjęcie z okazji stulecia urodzin jakiegoś zgreda, tylko drogo sprzedać i kupić sobie słodycze. Poza tym w przerwie śniadaniowej wymknęła się do Gertrud i Gertrud, która była prawie trzeźwa, obiecała się przyssać do Marianne jak pijawka i wymóc powrót Birgitty do domu. Birgitta była u Ellen dziewięć miesięcy i dwanaście dni. Nikt nie wiedział, że od pierwszego dnia pobytu u Ellen jak więzień dokładnie liczy dni, godziny i minuty.

Do Ellen zaprowadziła ją Marianne. Któregoś piątku przysłała do szkoły, zapukała do klasy na ostatniej tego dnia lekcji i poprosiła Stenberga o chwilę rozmowy. Nauczyciel pogroził im pałeczką, kazał siedzieć cicho i wyszedł na korytarz. Nikt z uczniów nie poznał Marianne, nawet Bosse, który mieszkał na tym samym podwórku co Birgitta i tak jak inne dzieciaki wybałuszał gały, ilekroć pojawiała się kobieta z komisji do spraw opieki nad dziećmi. Gapił się nie z lęku przed komisją do spraw opieki nad dziećmi, ale z powodu jej wyglądu. Otóż miała берет i teczkę. Żadna inna kobieta w całej Motali nie nosiła ani beretu, ani teczki, to był przywilej mężczyzn. Ale tego dnia Marianne włożyła kapelusik i pewnie dlatego Bosse jej nie poznał.

Birgitta otworzyła właśnie podręcznik do przyrody i po kryjomu przerzucała kartki, żeby od

jeży dotrzeć do znacznie ciekawszego rozdziału o rozmnażaniu. Było to wprawdzie dosyć tajemnicze i niezrozumiałe, ale nie aż tak, żeby ktoś taki jak ona - młoda osóbką z oczami i uszami nie od parady - nie mógł wyciągnąć wniosków dotyczących zachowania ludzi na podstawie tego, co pisali o ssakach. Birgitta była niemal pewna, że ludzie to ssaki. Choć nie do końca mogła to sobie wyobrazić, wszystkie dzieci wychodziły podobno z brzucha mamy. Brzuch Gertrud był całkiem płaski, to niby jak miałyby się tam zmieścić? Gertrud pękłaby jak nic, a jej brzuch ani trochę nie wyglądał na pęknięty. Może natura wykombinowała ekstra-skorę, może berbecę leżał na maminy brzuchu pod skórą podobną do nylonowej pończochy? Tak, tak to musiało być. Nylonowe pończochy są przezroczyste, dzięki czemu mama widzi dziecko i wie, że będzie je miała. Gdyby leżało w jej wnętrzościach, nie miałyby pojęcia o jego istnieniu...

Cholera! Nie była w stanie dłużej czekać, nie potrafiła myśleć o niczym innym, zamknęła pod ręcznik i wstała. Zaskrzybiało krzesło, umilkły pogawędki i szepty, wszyscy na nią patrzyli, każdy w klasie patrzył na Birgittę, zaciekawiony, co też ona zrobi. Ale co ona mogła? Jak sparaliżowana stała koło ławki, niezdolna zrobić kroku, niezdolna podejść do drzwi i zażądać informacji, dlaczego Marianne przysłała do szkoły.

No tak! To jasne! Zapomniała pochować noże, spała jak głupi kloc! Gertrud nie żyje, przebiła się dużym kuchennym nożem.

Czas stanął. Niedługo rozpadnie się Ziemia.

- Ona nie umarła - chwilę później powiedziała Marianne. - Skąd ci to przyszło do głowy? Zaraz ją zobaczysz i pożegnasz się.

Wlekła Birgittę przez szkolny dziedziniec, mocno trzymała za ramię i ciągnęła za sobą. Birgitta przesuwiała stopy tylko wtedy, kiedy to było absolutnie konieczne, żeby nie upaść. Przed sekundą próbowała ugryźć Marianne w rękę, zaciskając się na jej nadgarstku jak kajdanki, ale bez powodzenia. Marianne była silniejsza i zorientowawszy się, co się święci, lekko ją przesunęła. I tak nie miało to znaczenia, bo była w grubych rękawicach, żeby Birgitty nigdy by ich nie przegryzły. Ale mogła ją kopać w piszczele.

- Przestań się opierać! - krzyknęła Marianne, ciągnąc Birgittę z taką siłą, że ta się potknęła i niemal straciła równowagę. Przeklęta baba! Kapelusz zsunął się jej na czoło, wyglądała kretyńsko!

Dziedziniec był pusty. Najwcześniej za dziesięć minut zabrzmi dzwonek, bo wyszły przed końcem lekcji. Następnego dnia była sobota i normalne zajęcia w szkole, ale nauczyciel powiedział, że Birgitta nie musi przychodzić, może mieć dzień wolny, żeby się zaaklimatyzować w nowym domu. Czeka na nią w poniedziałek, z powodu przeprowadzki nie musi zmieniać szkoły, mimo że w pobliżu będzie miała inną. Dyrektor i ta sympatyczna pani z komisji do spraw opieki nad dziećmi optowali za tym, żeby została ze swoimi kolegami i nauczycielem.

Jakby ją to obchodziło. Jakby myślała o kimkolwiek prócz Gertrud!

W mieszkaniu cuchnęło rzygowinami. Kiedy Marianne otworzyła drzwi, kwaskowaty odór był tak odurzający, że Birgittie zrobiło się niedobrze. To jeszcze można było wytrzymać, bo zazwyczaj to ona sprzątała po Gertrud, ale tym razem wszystko wyglądało inaczej.

Stanęła na progu pokoju i patrzyła. Niesamowite! Rano, kiedy wychodziła do szkoły, mieszkanie wyglądało normalnie, no, może był nieco większy bałagan niż zwykle, bo dzień wcześniej Oswald przyprowadził kilku kumpli i jedną strasznie hałaśliwą kobietę. Ale bez przesady. Birgitta obudziła się późno, Oswald i jego goście wyszli, najwyraźniej mając w nosie swoje ubrania, więc ciągle leżała w przedpokoju na stercie kurtek i płaszczy. Zorientowała się, że jest późno, bo kiedy weszła do pokoju, Gertrud spała. Birgitta zaczęła się kręcić w poszukiwaniu ubrania. Trochę ją zaniepokoił głęboki sen Gertrud, ale zapinając podwiązki pochyliła się nad nią i stwierdziła, że oddycha. Wszystko w porządku. Złapała tornister, włożyła do kieszeni kilka kostek cukru i wybiegła. Nie zdążyła pozbierać butelek, pomyślała jednak, że nie ma to większego znaczenia, bo Marianne była u nich poprzedniego dnia, a nigdy nie przychodziła dzień w dzień.

Ale najwyraźniej przysłała. I najwyraźniej przemeblowała mieszkanie. Nic nie wyglądało jak dawniej. Roleta podniesiona, odsunięte zasłonki, do pokoju wpadało siwe światło. Birgitta marzła. Marianne ustawiła wszystkie butelki na podłodze koło komody. Jakby czekały na napełnienie, na kolejną

impresę. Może z tańcami. Pod ścianą leżał zrolowany dywan. Jakby się wstydził. Przy drzwiach było coś jeszcze, Birgitta pochyliła się, żeby się temu przyjrzeć. Narzuta. Nie poznała jej od razu, bo była mokra. Dlaczego Mariannę namoczyła narzutę? I dlaczego obok stoi reklamówka z ubraniami Birgitty?

Gertrud spała, miała dziwną twarz, szarą i czerwoną jak stojące przy łóżku wiadro na śmieci. To samo, które się obijało o nogi Birgitty, kiedy taszczyła je do śmietnika. Dlaczego Marianne postawiła je w pokoju? Jego miejsce jest w szafce pod zlewem! Nie rozumie tego? Głupia jest, czy co? Marianne położyła jej rękę na głowie. - Mama jest chora, Birgitta - szepnęła. - Poprosiła nas, żebyśmy się tobą zaopiekowali. Musi wypocząć.

Co za cholerne kłamstwo. Natychmiast trzeba coś z tym zrobić. Marianne tym razem nie miała rękawic, które chroniłyby jej dłonie. Birgitta wybrała prawą. Działała błyskawicznie i na całego. Ucieszył ją wrzask Marianne.

Dziwne miała uczucie w szkole w poniedziałek, wszystko było do siebie podobne, a mimo to inne, domy, ulica, koledzy. Nawet sala lekcyjna zmieniła się w czasie weekendu, nie bardzo wiedziała, jak, ale miało to coś wspólnego z kolorem i rozmiarem. Jakby wszystko stało się większe, okna też, i ciemniejsze. Może Stenberg pomalował ściany, żeby podkreślić wielkie przeobrażenia, jakie się dokonały na świecie, ale jeśli rzeczywiście to zrobił, nie był dobrym malarzem. Nie zniknęła ani rysa pod sufitem, ani jasne plamy po zeszłorocznych rysunkach.

Na przerwie podeszło do niej kilkoro dzieci z podwórka. Co się stało? Gdzie ona zniknęła? Czy wie, że kiedy poszła z Marianne, przyjechała karetka i wynieśli Gertrud na noszach?

Jasne, że wiedziała. Birgitta energicznie pokiwała głową. Gdyby miała długie włosy, na pewno by się zakotyła. Może z powodu nieuwagi nie zorientowała się, kto wyszeptał jedno słowo, które nagle przecięło powietrze niczym zatruta strzała i dotarło do jej ucha. „Moczymorda!” Ukarła osobę pierwszą z brzegu, chwyciła za czuprynę i szarpnęła, nie widząc, kogo trzyma. Dopiero po krzyku rozpoznała trusiową Britt-Marie.

W normalnej sytuacji poleciliby do pokoju nauczycielskiego i zaalarmowali Stenberga. Zanim zdążyłaby puścić swoją ofiarę, dostałaby burę, może nawet oberwałaby po łapach linijką. Ale nie dzisiaj. Gunilla, szef trusi i królowa lizusów, objęła płaczącą Britt-Marie i poprosiła wszystkich, żeby nie donosili na Birgittę. Przecież ona nigdy nie miała taty, a teraz straciła mamę! Birgitta zastanawiała się, czyby nie narzygać Gunilli na głowę albo jej nie oskalpować, kiedy rozległ się dzwonek i w sekundę wszyscy się rozproszyli. Lizusy runęły do drzwi, żeby przypadkiem się nie spóźnić. Trudno, poczeka do następnej przerwy.

Ale na następnej przerwie, kiedy z innymi tłoczyła się przy drzwiach, Stenberg poprosił ją, by podeszła do katedry. Zabrzmiało to tak, jakby miała jakiś wybór. Zwykle wyszcze kiwał jej imię rozkazującym tonem. „Bir-git-ta! Siedz spokojnie! Bądź cicho! Wytrzym smarki! Umyj ręce!” Raz przy całej klasie nazwał ją brudasem.

Ale teraz nie była już byle kim, tylko dziewczynką z dobrego domu, której mimo wszystko trochę szkoda. Stenberg po kobiecemu przekrzywił głowę i przemówił sztucznym głosem, jakim się zwykle zwracał wyłącznie do milusińskich pokroju Gunilli i Britt-Marie. Przyjemnie popatrzeć, jaka Birgitta jest dzisiaj czysta i elegancka. Ma nowe ubranie? Znakomicie. Sama zobaczy, że wszystko ułoży się jak najlepiej, teraz na pewno znajdzie czas i siły na naukę. Bo on, Stenberg, wie, że Birgitta wcale nie jest głu ptasem. Przeciwnie. Mogłaby być bardzo dobrą uczennicą, gdyby tylko się przyłożyła. I chyba się przyłoży, prawda, teraz, kiedy ma wokół siebie trochę ładu i porządku? Prawda? Prawda? Prawda?

Birgitta dygnęła, miała dosyć oleju w głowie, żeby nie pyskować Stenbergowi. Raz to zrobiła i po tej nauce ledwie mogła siedzieć. Gertrud obejrzała sine pręgi na jej pupie i obiecała złożyć doniesienie do Naczelnego Zarządu Szkolnictwa, Zarządu Lekarskiego i Kapituły, ale potem o tym zapomniała. Kiedy Birgitta jej przypomniała, była pijana i powiedziała ze złością, że Birgitta sama sobie jest winna.

Na przerwie śniadaniowej nie wolno im było wychodzić poza teren szkoły, nikt jednak nie sprawdzał, czy ten zakaz jest przestrzegany. Nauczyciele siedzieli w pokoju nauczycielskim i wcinali tort, podobno codziennie dostawali tort z kremem i kanapki z żółtym serem. Nie mogli tego stwierdzić na pewno, bo do pokoju nauczycielskiego był wstęp wzbroniony. Jeśli czegoś chcieli, czekali w szatni,

skąd tylko przelotnie mogli zajrzeć do tych luksusów. Birgitta na własne oczy widziała duże brązowe fotele i brązowe stoliki, na których stały filiżanki kawy. Wyglądało więc na to, że pogłoski były prawdziwe, że nauczyciele opychali się kanapkami i tortem, podczas gdy uczniowie jedli w stołówce chrupki chleb i wieprzową wątrobę.

Ale dzisiaj Birgitta nie zazdrościła nauczycielom ani tortu, ani miękkich foteli. Niech sobie żyją w luksusie, byle tylko trzymali się z daleka od dziedzińca szkoły. Zwinnie jak wiewiórka wymknęła się za furtkę i pobiegła do swojego prawdziwego domu.

Na moment zatrzymała się w bramie, żeby się upewnić, czy jakieś wścibskie baby nie trzepią na podwórku dywanów i czy komisja do spraw opieki nad dziećmi nie postawiła strażników, żeby nie dopuszczali dzieci do swoich mam. Na szczęście było pusto i cicho, jakby kamienica w oficynie i ta od ulicy wyludniły się z chwilą wyprowadzenia Birgitty z mieszkania. Ale Gertrud na pewno jest w domu, na pewno w czasie weekendu ją zoperowali w szpitalu i wyzdrowiała. Chodzi teraz po pokoju w swoim kimonie i szuka pończoch, musi przecież mieć pończochy, kiedy pójdzie do Marianne i zażąda oddania Birgitty. Ale się ucieszy na jej widok, otworzy ramiona tak jak wtedy, kiedy odwiedzała ją u babci, i zawoła, że chce dać Birgittcie buzi.

Buzi, buzi, buzi!

Birgitta nie mogła dłużej czekać, co sił w nogach przebiegła przez podwórze, nie chciała, żeby ją zobaczyła jastrzębioka matka Bosse, i wpadła na klatkę. Przewróciła się na schodach, ale - mimo dotkliwego bólu w kolanie - szybko wstała.

Zadzwoiła, nikt nie odpowiedział. Ciągle jednak miała klucz. Wisiał na szyi, na białej wstążce. Jadąc taksówką do domu zastępczego, zdjęła go i ukradkiem wsunęła do kieszeni. Marianne nic nie zauważyła, myślała tylko o swojej prawej dłoni, rozcierała palcem sine odciski zębów Birgitty i wzdychała. Nikt nie przeszukał kieszeni jej kurtki, nawet ten babsztyl, do którego trafiła. Ellen położyła ubrania Birgitty na kuchennym stole, podnosiła je pod światło, wtykała palce w każda dziurę, jakby chciała je powiększyć, ale o kurtce zapomniała. Wisiała nietknięta w przedpokoju. Dlatego Birgitta była dosyć spokojna, dlatego nie roztrzaskała tam wszystkiego w drobny mak. Miała klucz, więc wróci do domu.

Włożyła klucz do zamka, ale nie mogła go przekręcić. Nadzieja, którą żyła od piątku, stuliła płatki jak kwiat o zmierzchu. Oparła głowę o drzwi i wstrzymała oddech. Może usłyszy Gertrud, jak tam chodzi i nucąc, szuka pończoch. Za drzwiami panowała cisza. Przez głowę Birgitty przeleciała niespokojna myśl: A jeśli Gertrud nie ma, jeśli nigdy nie wróci...

Wyszarpnęła klucz z zamka i zbiegła ze schodów. Czuła furkot stóp, jakby nie dotykała nimi stopni. Goniły ją duchy i upiory, musi uciekać jak najdalej stąd, jak najszybciej...

Birgitta w życiu nie widziała kogoś równie strachliwego i tchórzliwego jak Christina. Żałosne. Ta pieprzona glista bała się nawet głośno mówić, stać ją było wyłącznie na szept. Najczęściej jednak w ogóle się nie odzywała, gapiała się tylko na ludzi wybałuszonymi szarymi oczami. Można było zwariować.

Zasłużyła sobie na piąchę w nos. Albo dwie. W poniedziałek po południu oberwała kuksańca w plecy, wywaliła się i zrobiła sobie dziurę w pończosze.

Tak to już bywa. Jak się jest cykorem z natury.

W domu Babsztyla Ellen dziewczynki wstawaly za kwadrans siódma. Birgitta musiała włożyć cholerny szlafrok i kaptcie - nigdy dotąd nie były jej do niczego potrzebne, bo i po co - i iść do kuchni. Babsztyl sterczał tam jak zawsze, jakby przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nie robił nic innego, tylko mieszał w garnkach. Nalewając Birgittce na talerz flegmistą owsiankę, oznajmił, że w tym domu nie odchodzi się od stołu, dopóki się wszystkiego nie zje. Birgitta spojrzała na Ellen spod grzywki i nie protestowała. Zrozumiała, że kryje się za tym coś szczególnego, że można się awanturować o ubrania, pranie i kąpiele, ale nigdy o jedzenie. Baba jak nic powaliłaby ją na podłogę jednym uderzeniem chochli. Tak więc Birgitta przełknęła flegmę, ale dopiero po posypaniu jej górą cukru. W trzecim dniu pobytu u Babsztyla Ellen wygłodzona i zdziczała mysz zaczęła szaleć w jej brzuchu. Birgitta nie bardzo wiedziała, skąd zdobyć pieniądze na słodycze. Przepatrzyła komórkę i szafkę pod zlewem, ale nie znalazła ani jednej butelki. Będzie musiała wymyślić coś innego.

Christina i Margareta wcinały owsiankę, jakby była smaczna. Ellen siedziała obok Margarety, którą wyraźnie faworyzowała, Christina siedziała naprzeciwko i nerwowo przebierała palcami jednej ręki po obrusie, a drugą ręką jadła. Ellen przysunęła do niej koszyk z chlebem. Uśmiechnęły się do siebie. To był dziwny uśmiech, dorosły, jakby Christina nie miała dziesięciu lat i nie była takim samym gówniarzem jak Birgitta. A słuchała się jak dziecko. Położyła łyżkę na talerzu i wzięła bułeczkę.

- Świeżo upieczone? - wyszeptała z bladym uśmiechem na bladej twarzy.

- Mmm - przytaknęła Ellen. - Czy są jeszcze ciepłe?

Christina skinęła głową. Ellen objęła Margarete i przytuliła do siebie.

- Zjesz grahamkę? Jeszcze ciepłe.

Margareta z pełnymi ustami skinęła głową i sięgnęła po bułeczkę. Kiedy masło zaczęło się na niej rozpuszczać, wysunęła język, zlizwała grubą warstwę i znowu posmarowała. Ellen roześmiała się i uszczypnęła ją w policzek.

- Głuptas!

Aha. A więc to tak trzeba się tutaj zachowywać. Albo łasić się jak kociak, albo udawać dorosłego. I, rzecz jasna, obżerać się, ile wlezie.

Te dziewczynki to zdrajczynie. Ellen nie była ich matką, na pewno miały gdzieś swoje prawdziwe mamy, ale nie poświęcały im ani jednej myśli.

Tylko Birgitta nie zdradziła. Nigdy nie zdradzi.

Ellen nie lubiła Birgitty, nie chciała jej w swoim domu. Dało się to zauważyć już pierwszego dnia, kiedy zaciągnęła Birgittę do pokoju kąpielowego w piwnicy i szorowała z całych sił, niemal obdzierając ze skóry. Nie uśmiechała się, marszczyła czoło i wydawała krótkie polecenia: odwróć się plecami, wyciągnij ręce i tak dalej. Birgitta zapewniała, że zawsze myje się sama i nie potrzebuje pomocy jak małe dzieci, na co babsztyl tylko prychnął i mruknął, że wygląda tak, jakby się od lat nie kąpała. To było cholerne kłamstwo, oczywiście, że się kąpała. Raz w lecie sama pojechała do Yaramo i zamoczyła się w Yatterm. Tak czy inaczej, babsztyl nie miał prawa trzeć jej do żywego ostrą szczotką.

Ellen była pamiętliwa, nie potrafiła Birgittie wybaczyć tego, co się stało pierwszego dnia, kiedy to odmówiła wypicia żółtego soku i nazwała go szczynami. Od tamtej pory naskakiwała na nią i ochrzaniała za wszystko. Że niechcący zrzuciła porcelanową figurkę w pokoju jadalnym, że za głośno krzyczała i za szybko biegała podczas zabawy, że chodziła w brudnych ubraniach i nie myła codziennie zębów. W dodatku dwa razy dziennie. Czasami kisa ze złości i leciała jej krew z nosa. Dziewczynki zawsze się wtedy niesamowicie denerwowały, jakby ziemia się miała zapaść albo coś w tym rodzaju. Christina biegła do kuchni po miseczkę z wodą i zwilżała Ellen czoło, Margareta przynosiła watek, żeby baba miała co wetknąć do nosa, a potem włożyła jej na kolana. Obie świdrowały Birgittę wzrokiem, jakby to była jej wina, jakby to ona puściła babsztylowi krew z nosa.

Poza tym Margareta była w porządku. Może trochę lękliwa, ale nie tak jak cykorowata i przymilna Christina. Lubiała się bawić, tylko kiedy dopadła jakąś książkę, robiła się niemożliwa. Siadała na łóżku w pustym pokoju i dłubiąc w nosie, pogrążała się w lekturze. Czytała dosyć szybko, więc zaraz po zamknięciu książki ganiała po całym domu w poszukiwaniu Birgitty. Zawsze chciała się bawić w to, o czym właśnie przeczytała, zwłaszcza w książkach Enid Blython. Birgitta zgadzała się tylko pod warunkiem, że będzie George'em. Inny wariant nie wchodził w grę. Margareta, nawet gdyby chciała, nie mogłaby nim być.

Dopiero późnym latem Ellen zaczęła ją traktować jak człowieka. W samą porę. Nagle niesamowicie jej zaimponowała tym, że wdrapuje się na sam wierzchołek wiśni. Birgitta nie zamierzała się zwierzać, że włożyła dużo wyżej, kiedy jesienią chodziła z chłopakami do Yaramo, żeby ponapychać kieszenie owocami z ogrodów przy domkach letniskowych. Takie to zrobiło na Ellen wrażenie, że pstryknęła Birgittie zdjęcie. Margareta i Christina też na nim były. Potem Ellen dała je do powiększenia i pokolorowania, i postawiła na szafce w swoim pokoju oprawione w błyszcząca ramkę.

Birgittie się podobało, że tam stoi. Kiedy nikt nie widział, zakradała się do pokoju Ellen i patrzyła na siebie. W różowej sukience, z białymi włosami była naprawdę śliczna.

Teraz Ellen szyla jej ubrania, na co Birgitta nie mogła narzekać. Dziewczynki mogły same wybierać kolory i fasony. Tylko kiedy wymyślało się autentyczne głupoty, na przykład zimowe szorty

albo letnie szaliki, rechotała i odmawiała. Na ogół dostawały to, czego chciały. Dlatego na rozdaniu świadectw w czwartej klasie Birgitta miała najładniejszą sukienkę w szkole. Białą, z różowymi pączkami róż i z falbanką u dołu. Ani jedna lizuska nie miała róż ani falbanek.

Oberwały za swoje. Nareszcie.

A jednak ta sukienka nie przyniosła jej szczęścia.

Któregoś dnia pod koniec maja Bosse powiedział, że Gertrud wróciła. Jego jastrzębioka matka zobaczyła ją dzień wcześniej, jak szła z walizką przez podwórze.

Dobrze, że jej o tym powiedział na przerwie śniadaniowej, kiedy schodzili do stołówki, inaczej musiałyby się urwać z lekcji. Dyskretnie odłączyła się od grupy, niezauważalnie prześliznęła do furki i w nogi.

Nie miała przy sobie klucza, z odwilżą zakopała go pod krzakiem w ogrodzie Ellen. Nieważne. Gertrud jest w domu i jej otworzy. Życie było piękne.

Przez ostatnie tygodnie semestru wiosennego ani razu nie zajrzała do stołówki. Równy z dzwonkiem na przerwę śniadaniową przecinała dziedziniec i wypadała na ulicę. Po kilku dniach przestała się z tym kryć, w razie czego uciekłyby dyrektorowi i Stenbergowi. Musi przecież pójść do domu, do Gertrud.

Gertrud leżała na łóżku, tak jak dawniej, ale nie wyglądała tak jak dawniej. Twarz, choć teraz zaokrąglona, poszarzała. Jakby wszystko w niej oklapło, włosy, rysy twarzy, dyndające pod kimonem piersi. Ucieszyła się na widok Birgitty i uśmiechnęła, i od razu posłała ją do kiosku po fajki, słodycze, tygodniki i lemoniadę. Kiedy Birgitta jadła cukierki, Gertrud nawet nie zajrzała do czasopism i nie zrobiła sobie drinka. Leżąc na łóżku, paliła i opowiadała.

Nie było jej lekko przez ostatnie miesiące. Pierwsze tygodnie przeleżała w szpitalu, potem wysłali ją do jakiegoś cholernego zakładu, okropnego miejsca, które prowadziła banda wyjątkowo złośliwych i świętoszkowatych żołnierzy Armii Zbawienia. W zakładzie musiała obcować z tabunem starych pijaczek. Wszystkiemu była winna Marianne, kompletnie szumięta, której pojawienie się w życiu Gertrud stanowiło prawdziwe nieszczęście. Tylko ona jedna, ta chodząca moralność, mogła wpaść na obłąkany pomysł umieszczenia Gertrud w zakładzie...

Słuchając opowieści o Marianne w życiu Gertrud, Birgitta siedziała na dłoniach. Zerknęła na budzik. Niedługo musi iść.

- Przepraszam - powiedziała i wstała z krzesła. - Stenberg mnie zbije, jak się spóźnię...

Dolna warga Gertrud zadrzała, zamknęła oczy.

- Idź. Wysłuchiwanie mamusinych lamentów na pewno nie jest dla ciebie niczym zabawnym...

Birgitta stała obok łóżka, nie miała odwagi objąć Gertrud, wyciągnęła tylko rękę i dotknęła jej ramienia.

- Kiedy wrócę do domu? - Głos ją zawiódł, musiała przełknąć ślinę. - Rozmawiałas z Marianne?

Gertrud machnęła ręką i syknęła:

- Niedługo! Powiedziałam, że niedługo!

Rano w dniu rozdania świadectw Babsztyl Ellen jęczył, że niestety nie może być w dwóch szkołach jednocześnie, że niestety nie zdąży pobiec ze szkoły Christiny i Margarety do szkoły Birgitty. Jakby myślał, że Birgitta będzie z tego powodu rozpaczać! Przeciwnie. Tylko ciamajdy przychodziły na rozdanie świadectw z dorosłymi, a Birgitta nie była żadną ciamajdą

Poza tym gdyby miała Ellen na głowie, nie mogłaby później wpaść do Gertrud.

Prawie się przyzwyczaiła do dzwonienia do drzwi. Całe popołudnie spędziła na kopaniu w ogrodzie, nie znalazła klucza, w końcu pojawiła się Ellen we własnej osobie i oświadczyła, że już wystarczy tej zabawy w kreta. Gertrud obiecała jej nowy klucz, ale na razie nie miała na to pieniędzy. Birgitta wolała nie marudzić. Gertrud i bez tego miała dosyć kłopotów.

Nikt nie otwierał, choć słyszała głosy za drzwiami. Gertrud była w domu, ale nie sama. Birgitta łudziła się, że to któraś ze starych przyjaciółek przyszła z wizytą, wtedy aż dwie osoby mogłyby podziwiać jej sukienkę. Poprawiła ją i znowu zadzwoniła. Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, nacisnęła klamkę.

To nie była przyjaciółka. To był Oswald.

Jak zawsze siedział w fotelu, ale tym razem z Gertrud na kolanach. Oboje mieli zmętniałe oczy, jedna pończocha Gertrud wisiała jak welon poniżej kolana, pomadka rozmazała się na twarzy. Wydawała się nie zauważać, że Oswald wsunął jej swoją dużą łapę pod spódnicę. Zamrugali powiekami i odwrócili się do niej, przez moment siedzieli bez ruchu i patrzyli na nią. Na widok sukienki odjęło im mowę.

- Przyszłaś? - powiedziała Gertrud, sięgając po papierosy. Oswald cofnął rękę i szukał kieliszka.

- Mmm - wymruczała Birgitta.

- Odstawiona jak cholera... - Gertrud zmrużyła oczy i wydmuchała dym. - Skąd masz ten ciuch?

- Od Cioci Ellen.

- Ellen? Co to za pieprzona Ciocia Ellen?

- Ta, u której mieszkam.

Gertrud wykrzywiła się, wstała z kolan Oswalda i usiadła na łóżku. Jak zwykle zajęczały sprężyny. Wszystko było jak zwykle. Absolutnie. Nic się nie zmieniło.

- Więc stać ją na kupowanie ci eleganckich kiecek - stwierdziła Gertrud, podnosząc górną wargę.

Birgitta nie wiedziała, co powiedzieć, nie miało to jednak znaczenia, bo Gertrud mówiła dalej. Strzepnęła popiół na dłoń i roześmiała się.

- No pewno, kurde, że ją stać... Przecież dostaje szmal za opiekę nad cudzymi dziećmi. Co, Oswald? Jak myślisz?

Oswald mruknął potakująco. Gertrud wsadziła papierosa w zęby i jeszcze raz przyjrzała się Birgittcie.

- Aleś ty szykowna! Prawdziwa Shirley Temple... No to chyba jesteś zadowolona, co? Pewnie chcesz zostać u tej Ellen? Żeby codziennie chodzić w jedwabkach.

Birgitta zacisnęła wargi i pokręciła głową. Nie! Tysiąc razy powtarzała, że chce być z Gertrud! Ale może mówiła za cicho? Może Gertrud tego nie słyszała? Zapragnęła, żeby sukienka popękała w szwach i zsunęła się z niej w strzępach, żeby odzyskała swobodę ruchów i mowę. Nic z tego. Była na swoim miejscu, a Birgitta nie mogła się ani ruszać, ani mówić.

- Co to w ogóle za baba? - zapytała Gertrud, opierając się na łokciu.

Zapomniała, że przed chwilą strzepnęła popiół na rękę, i na narzucie zrobiła się plamka. Birgitta nie musiała się jednak martwić, w popiele nie było żaru i jak tylko odzyska władzę w nogach, w sekundę to wyczyści.

- Wiesz coś, Oswald? Wiesz, u kogo właściwie Birgitta mieszka?

Oswald przełknął grog i beknął.

- Jasne - powiedział po chwili. - To Ellen Johansson. Przygarnia dzieciaki, ma chyba ze trzy, cztery sztuki.

Gertrud zmarszczyła czoło.

- Ellen Johansson?

- Wdowa po Hugonie. No, wiesz, tym waśniaku, co zmarł jakieś dziesięć lat temu... - Oswald zarechotał, napił się i podrapał po piersiach. - Cholernie cwana baba. Co najmniej dwadzieścia lat młodsza od niego. Byli małżeństwem niecały rok, jak gość wykitował, i została z jego domem i z jego pieniędzmi... A on nie był golcem.

Gertrud usiadła na łóżku.

- Czy to był rak? Umarł na raka?

Oswald wzruszył ramionami. Nie miał pojęcia. Zresztą co to za różnica. Gertrud nareszcie coś sobie przypomniała.

- No jasne! Już wiem, co to za jedna. Taka mała i kanciasta... Ha! - Głęboko się zaciągnęła i popatrzyła na Birgittę zmrużonymi oczami. - Pozdrów ją ode mnie. Powiedz, że pamiętam i ją, i jej potworka. Leżałyśmy razem na porodówce.

- FAJNA GABLOTA - MÓWI BIRGITTA, kiedy w końcu zapięła pas.

Margareta śmieje się, jakby usłyszała coś zabawnego.

- Znośna. Zaczyna się rozsypywać. Wczoraj wysiadł układ wydechowy, dlatego musiałam go oddać do warsztatu...

Samochód był w warsztacie? I Birgitta ma o tym wiedzieć? Tak to przynajmniej brzmi w ustach Margarety. Zauważyła, że ludzie często tak robią. Widocznie w powszechnym odczuciu innych Birgitta Fredriksson czyta w myślach. Nie zamierza zaprzeczać i na wszelki wypadek zmienia temat.

- Przyjechałaś aż z lapońskiego piekła?

Margareta kręci głową. Z wysuniętym językiem, jakby to nim prowadziła, próbuje się włączyć do ruchu na rondzie przed komisariatem.

- Nie, najpierw poleciałam z Kiruny do Sztokholmu. To nie jest mój samochód, pożyczyłam go. Birgitta szuka papierosów w kieszeni.

- Od kogo?

Margareta uśmiecha się.

- Od znajomego. Ma na imię Claes.

Wyjmując blenda z paczki, Birgitta unosi brwi. Zostało niewiele papierosów.

- To równy gość?

- Całkiem, całkiem. Tak, bardzo równy gość.

- Pobierzecie się?

Margareta śmieje się. Ale się nagle zrobiła wesoła.

- Wątpię. Nie jesteśmy the marryingkind...

Co jej, do cholery, odbiło? Nie umie mówić po szwedzku? Birgitta zapomniała swój szkolny angielski, nie zrozumiała Margarety. Nie myśli się jednak z tym zdradzać tylko dlatego, że siostrunia sili się na oryginalność. W milczeniu zapala papierosa.

- Ja też chce - mówi Margareta i wyciąga rękę, nie odrywając wzroku od jezdni.

Birgitta zagląda do paczki.

- Mało mi zostało.

Sekundę później uświadamia sobie, że źle to ujęła. Obudziła rottweilera.

- To są moje papierosy! - syczy Margareta i zabiera paczkę.

Miło siedzieć w samochodzie, nawet jeśli kierowca jest lekko rozeźlony. Birgitta przeciąga się i ziewa. Kiedy wreszcie będzie w domu, strzeli sobie kilka piw i uderzy w kimono. A jutro o wszystkim zapomni, o anonimach, o snobkach, o wszystkim.

- Jesteś zmęczona?

W głosie Margarety wyczuwa ostrość, pewnie ciągle jest wściekła, mimo że ma te swoje szluki pod ręką, nie mówiąc o tym, że trzyma jednego w zębach i zamiast się boczyć, powinna być zadowolona. Birgitta nie ma zamiaru odpowiadać, odchyła się w fotelu i zamyka oczy. Margareta wyraźnie nie kojarzy, że ona chce spać.

- Ja też jestem zmęczona - mówi dalej. - Nie wiem, czy dam radę dojechać do Sztokholmu. Boję się, że zasnę za kierownicą.

Aha. Fascynujące. Niesamowicie interesujące. Birgitta chce spać, ma pod dostatkiem własnych problemów i nie będzie wysłuchiwać cudzych. Poza tym która z nich jest mniej lub bardziej umierająca? Która zasługuje na pewne względy? Co? Tak tylko się zastanawia. Nie zamierza się jednak tym dzielić, bo natychmiast padnie ofiarą rozjuszonego rottweilera.

Tymczasem Margareta nie przestaje mówić.

- Tak. Miałyśmy długą noc. Nie zmrużyłyśmy oka. Pewnie wiesz coś o tym.

Co? Birgitta otwiera oczy.

- O czym?

Margareta siedzi lekko pochylona, nie odrywa wzroku od szosy. Birgitta musiała się chyba zdrzemnąć, bo są na autostradzie, gdzieś w połowie drogi do Linkópingu.

- Nie zgrywaj się - mówi Margareta. - Wiesz, o co mi chodzi.

Birgitta podsuwa się wyżej na fotelu.

- O czym ty, do cholery, bredzisz?

Margareta docisnęła pedał gazu, wskazówka prędkościomierza drży w okolicach stu trzydziestu. W głowie Birgitty pojawia się obraz Wielkiego Wypadku Samochodowego, szybko go jednak wymazuje. Nie ma teraz czasu na filmy krótkometrażowe.

- O co ci chodzi? - mówi. - O czym ty bredzisz?

Ze wzrokiem utkwionym w szosę Margareta starannie gasi papierosa w popielniczce i natychmiast zapala następnego.

- Mówię o twoich wczorajszych gierkach.

Jakich gierkach? Birgitta nie przypomina sobie żadnych gier, ma jedynie mętne przebiegi z jakiejś imprezy. W Norrköpingu. Tak, to było w Norrköpingu.

- Mówię o telefonie do Christiny o wpół do dwunastej w nocy - wyjaśnia Margareta.

- O telefonie? I co dalej?

Margareta wydaje się jej nie słuchać.

- Ktoś twierdził, że zostałam pobita, że umierasz w szpitalu w Motali i że chcesz się z nami pożegnać. Więc pojechaliśmy tam z Christiną. Takie jesteśmy łatwowierne. A kiedy się okazało, że cię nie ma w szpitalu, całą noc szukałyśmy cię po całej Motali.

Zaciąga się głęboko i zamyka usta, jakby chciała połknąć dym. Nic z tego, wylatuje nosem. Po chwili odzywa się nieco łagodniej, jakby mówiła do siebie.

- Jeszcze kilka godzin temu myślałam, że to Christinie kompletnie odbiło, ale jak wyskoczyłaś z tą śpiewką o chorobie, żeby się pobyczyć w słońcu na ławce, rozjaśniło mi się w głowie. Załapałam. Powinnaś różnicować swoje metody. Jednego dnia jesteś prawie zakatowana na śmierć, a następnego umierasz na marskość wątroby. Christina i ja nie mamy kapuścianych głów. - Odwraca się i rzuca spojrzenie na Birgittę. - Boże! Pijesz i ćpasz. Kłamiesz, kradniesz, handlujesz narkotykami. Podrzuciłaś Christinie na biurko torebkę z kupą. Jakby ona kiedykolwiek zrobiła ci coś złego. A teraz bawisz się w anonimy i lipne telefony. Nigdy nie myślałaś o tym, żeby wydorosnąć? - Milknie, kilka razy szybko się zaciąga i gasi papierosa w popielniczce. - Zawiozę cię do Motali, i tak tam jadę na grób Cioci Ellen. Potraktuj to jako ostatnią przysługę. Bo kiedy wyjdiesz z samochodu, nie chcę cię więcej widzieć. Czuję do ciebie wstręt.

Birgitta zamyka oczy. Jest w innym czasie, słyszy inny głos.

- Gdybyś się zachowywała jak dorosła, byłabyś traktowana jak dorosła - powiedziała Marianne, kładąc białą dłoń na kuchennym stole.

Birgitta krzyczała, po policzkach płynęły prawdziwe łzy.

- Ale to nie była moja wina! Za co mam być ukarana? To Doggen uderzył, nie ja!

Marianne pochylała się i postukała palcem w stół.

- O ile wiem, Doggen uderzył ciebie, nie chłopca. I czeka go wyrok, za to i masę innych spraw. Kiedy ciebie zabrała karetka, a Doggena radiowóz, nie mogliśmy przecież zostawić chłopca samego. Chyba rozumiesz, że musieliśmy się nim zaopiekować.

Birgitta zabębniła pięściami w stół.

- Ale ja go chcę z powrotem! - krzyknęła. - To mój dzieciak!

Marianne odchyliła się na krześle i pokręciła głową.

- Uspokój się, Birgitta. To nic nie da. Zastanów się. Chłopiec ma osiem miesięcy, a waży tyle co czteromiesięczne niemowlę. Trafił do rodziny zastępczej z siniakami na udach i ropiejącymi wrzodami na pupie. Był odwodniony. To się nazywa zaniedbanie. Jeśli nie najzwyczajniejsze znęcanie się. Moja mama, która jest pielęgniarką, uznała, że istnieje ryzyko trwałych uszkodzeń, i od razu zabrała go do szpitala. Ciągle tam leży, codziennie go odwiedzają jego zastępczy rodzice, mama siedzi przy nim bez przerwy...

Birgitta chwyciła się za włosy.

- Ona nie jest jego mamą! - wrzasnęła skrzekliwie jak wiedźma. - Zrozum to wreszcie, ty pieprzone ścierwo! To ja jestem jego mamą! Ja! Nikt inny!

Marianne była bliska łez. Birgitta zauważyła to mimo wściekłości. Po raz pierwszy Marianne z komisji do spraw opieki nad dziećmi nie mędrkowała i nie prawila jej morałów. Wyjęła z torebki chusteczkę i okręciła ją na palcu jak jakaś zafajdana hrabina!

- To dobrzy ludzie, Birgitta. Kochają go. Ty i Doggen nawet nie daliście mu imienia. Oni to zrobili. Nazywa się Benjamin.

Benjamin! Co za idiotyczne imię! Powinien się nazywać Steve. Albo Dick. Albo Ronny. Tak ustalili z Doggenem, kiedy była w ciąży. Co Marianne do tego, że się na razie do końca nie zdecydowali?!

- Birgitto - powiedziała Marianne, przesuując chusteczką pod nosem - rozumiem, że ci przykro, że jesteś zdenerwowana, ale masz dopiero dziewiętnaście lat. Całe życie przed tobą. Za jakiś czas to zrozumiesz. Małe dziecko nie powinno dorastać wśród krzyków i nieustannych awantur, a ty i Doggen nie najlepiej się w ostatnim roku zgadzaliście. Poza tym... - ściszyła głos, pochyliła się i lekko zastukała w stół - poza tym bywasz w Norrkópingu, w Saltangen. W pewnym sensie poszłaś w ślady swojej matki. Wiem, że to nie jest nielegalne, nasza komisja niewiele może w tej sprawie zdziałać, ale zostawianie malutkiego dziecka na przeszło dwadzieścia cztery godziny jest bardzo poważnym zaniedbaniem. Zdaniem sąsiadów tak właśnie było, ilekroć wyjeżdżałaś do Norrkópingu. Musieliśmy interweniować. Dla dobra chłopca.

Wyprostowała się i schowała chusteczkę do torebki. Numer z płaczem już wykonała i popatrzyła na Birgittę suchymi oczami.

- Niech zostanie tam, gdzie jest - powiedziała. - Będzie mu dobrze. Chyba nie chcesz, żeby miał takie życie jak ty?

Birgitta sądziła, że odstawią ją do aresztu, tymczasem wylądowała u czubków w Yadstenie. W tamtych czasach kobiety dopuszczające się przemocy uchodziły za wariatki. Jeśli kogoś pobiły, to znaczy, że nie mogły być przy zdrowych zmysłach. A Birgitta parę razy porządnie przywaliła Marianne, przewróciła ją, biła po twarzy i pluła. Podobno po tej nauczce Marianne przeszła na wcześniejszą emeryturę i wyprowadziła się z miasta. Może to była prawda. W każdym razie Birgitta nigdy już jej nie zobaczyła. Cudowne uczucie. Z taką samą przyjemnością pożegna się z tą obłudną Margaretą. Jej też się dostanie, ale inaczej. Nie będzie przecież przywalać kierowcy na autostradzie. Nie jest kretynką. Ale stracone złudzenia bywają równie bolesne jak stracony ząb. Spytajcie Birgittę. Ona to wie. Posmakowała jednego i drugiego.

- Z czego rzysz? - pyta Margaretą. - Wydaje ci się, że to śmieszne?

Birgitta bębni palcami po desce rozdzielczej i nuci pod nosem. Papierosy są po lewej stronie Margarety, może by sięgnęła, gdyby nie pas...

- Co ty wyprawiasz? - mówi Margareta z niepokojem.

Birgitta nie odpowiada, odpina pas, spokojnie wyciąga rękę i chwytą żółtą paczkę. Margareta gwałtownie hamuje, samochód wpada w poślizg.

- Oszalałaś?! - krzyczy.

Birgitta milczy i starannie zapina pas.

- Oszalałaś?! Mogłyśmy wylądować w rowie!

O rany. Gada jak potłuczona histeryczka.

Został ostatni papieros, Birgitta zaciąga się łapczywie, po czym zgniata paczkę i rzuca na podłogę. Niech Margareta wie, że się skończyły, i niech sobie powzdycha...

- Tak - Birgitta przeciąga się. - A co do tych anonimów... to i mnie spotkał ten zaszczyt. Chnstina też mi wysłała. Było na nim jej nazwisko...

- To nie jest anonim, do jasnej cholery - syczy Margareta. - Anonim cechuje się tym, że nadawca jest nieznaną.

Ojej ojej. Damulka zaczęła kłąć. Gdyby Birgitta miała sadzę i komin, natychmiast by to zapisała. Szybko przeciąga palcem po białym plastiku podsufitki. Margareta mc nie widzi prawie leży na kierownicy i dociska pedał gazu. Na liczniku ponad sto trzydzieści. Jak ją namierzą gliny, to może się pożegnać z prawem jazdy. Po raz pierwszy w życiu Birgitta postawiłaby jedno piwo albo dwa, żeby tylko pojawił się w pobliżu radiowóz.

- Oczywiście, że w anonimach mogą być nazwiska - mówi niemal z takim samym opanowaniem i rzeczowością jak w sądzie..

Życie sporo ją jednak nauczyło. Zachowując spokój, w niektórych sytuacjach trafia się celniej.

- Christina się nie podpisała. Ale nabazgrała ten liścik na swojej recepcie. Głupia krowa! Cholera! Musi wziąć się w garść. Zamyka oczy, bierze oddech i kilka razy uderza pięścią w szybę.

- I? - pyta Margareta.

Co „i”? Birgitta prycha, głęboko się zaciąga i wydmuchuje dym na Margarete. Dobra nasza. Margarecie łzawią oczy i macha ręką. Ach, jaka wrażliwa.

- Bardzo się starasz, żebyśmy wylądowały w rowie - syczy Margareta.

- Zamknij się. Od tego twojego ujadania rozboleł mnie brzuch...

To prawda. Coś rozrywa jej wnętrzności. Może to ta stara cukierkowa mysz postanowiła rozszarpać jej kiszki. Chociaż przez ostatnie trzydzieści lat nie chodziło jej o słodycze. Jej upodobania zmieniały się wraz z upodobaniami Birgitty...

- Że też ci się chce - mówi Margareta. - Już mnie nie nabierzesz na te swoje numery, rozumiesz?

Birgitta nie odpowiada. Nachyla się, rozstawia nogi i wymiotuje.

Kiedy Birgitta podnosi głowę, samochód stoi. Margareta zatrzymała się na stacji benzynowej. Wrywa jej spod nóg gumowy dywanik.

- Może byś przynajmniej podniosła nogi, co?! - syczy.

Birgitta podnosi i natychmiast opuszcza. Cholera. Ani razu nie czuła takiego zmęczenia. Nawet wtedy, kiedy leżała pod kroplówką, dostawała zastrzyki i tak dalej.

Margareta splukuje dywanik pod kranem. Drzwi są otwarte. Birgitta opiera się o deskę rozdzielczą, przekręca o dziewięćdziesiąt stopni, wysuwa nogi i dźwiga się do pozycji stojącej. Stoi przy samochodzie, czeka, aż miną zawroty głowy. - A ty dokąd? - woła Margareta za jej plecami. Birgitta zbywa ją gestem i wlecze się na stację. Nie może nawet pójść do klopa, czy jak?

W środku nie ma ani jednego klienta. Za ladą stoi młody ekspedient i rozmawia przez telefon. Obrzuca Birgittę przelotnym spojrzeniem. Birgitta wypręża się, prostuje plecy, zamyka usta. Z daleka wygląda jak każdy.

Toalety są w głębi. A po drodze prawdziwy raj: piramidka piwa Pripps Blå. Birgitta zerka na ekspedienta. Tak, Bóg istnieje! Chłopak odwraca się ze słuchawką przy uchu do okna i wygląda. Nie widzi jej. Niemożliwe, żeby widział, jak Birgitta bierze karton z sześcioma puszkami i powoli idzie do toalety.

Kiedy wychodzi, Margareta, która za coś płaci przy kasie, odwraca się do niej i mówi niemal przyjaźnie:

- A tu jesteś. Już ci lepiej?

Pytanie nie pada z myślą o odpowiedzi, Margareta zadaje je tylko po to, żeby uchodzić za równiaczkę w oczach ekspedienta. Birgitta kiwa głową i powstrzymuje beknięcie. Tak, czuje się dużo lepiej. Wprawdzie to piwo to szczyzny, ale o niebo lepsze od coca-coli, którą Margareta w nią wmusiła w Norrköpmgu.

- Chcesz coś do picia?

Na pewno nie ma na myśli piwa, tylko malinową wodę sodową albo lemoniadę. Nie musi się tak cholernie wysilać, chłopak na pewno już zrozumiał, że jest niesamowicie szlachetna. Birgitta kręci głową i wychodzi. Ani za szybko, ani za wolno idzie do samochodu. Całkiem normalnym krokiem.

Kiedy Margareta wraca do samochodu, Birgitta zapięła pas i bardzo grzecznie siedzi na swoim miejscu. Margareta wydaje się zadowolona, rzuca jej na kolana paczkę żółtych blendów.

- Proszę - mówi ze śmiechem. - Ja mam swoją.

Aha. I co teraz? Ma wydać okrzyk radości i śpiewać pieśni pochwalne? A może z czystej wdzięczności wytarzać się w topniejącym śniegu przemieszanym z olejem? Pewnie, że Birgittę można było kupić. Nie raz i nie dwa. Ale nie kupi się jej przebaczenia za nędną paczkę blendów. Taka tania to ona znowu nie jest.

„Odrażająca”! Już ona dobrze wie, kto jest odrażający. I kto najlepiej i najczęściej okłamuje siebie i innych.

Wyjmuje puszkę z kieszeni dopiero za Linkópingiem. Wypiła w kłocie cztery piwa, więc nie

jest w nagłej potrzebie. Teraz może się spokojnie delektować, poczuć smak na podniebieniu, zlizywać pianę z warg.

Kiedy syczy otwierana puszka, samochód nagle zarzuca. Margareta sztywnieje, nie patrzy na szosę, jej ręce idą za wzrokiem. Przez kilka sekund jadą w kierunku rowu. Są na lewym pasie i mają niesamowity fart, że na prawym akurat nikogo niema.

- Uważaj - głucho ostrzega Birgitta.

Margareta odbija w lewo, zwalnia i przesuwając dłoń po czole.

- Skąd masz piwo? - pyta z takim drżeniem w głosie, że można by pomyśleć, że była świadkiem jakiejś ogólnoswiatowej katastrofy.

Birgitta pokazuje na drogę.

- Skręć tutaj. Nie widziałaś drogowskazu? A może już nie jedziesz do Motali?

Margareta patrzy w lusterko i włącza migacz. Na górnej wardze lśni pot. Klimakteryczna wiedźma. Na nic szykowne ciuchy i cudowne kremy. Birgitta uśmiecha się i podnosi puszkę do ust. Ach, ten zapach! Można niemal uwierzyć, że to prawdziwe piwo, a nie siki. Ale jeśli cukierkowa mysz się tym zadowoli, to Birgitta nie ma nic przeciwko temu. Z braku chleba trzeba jeść suchary, jak ma-wiał Babsztyl Ellen.

Margareta wyhamowuje przed zjazdem na motalską szosę. Jest pusto, ani jednego samochodu, ale nie jadą dalej. Silnik gaśnie, Margareta nawet nie przekręca kluczyka, tylko kładzie się na kierownicy i jęczy:

- Ukradłaś! Weszłaś na stację i ukradłaś piwo! - Podnosi wzrok, jej twarz płonie. - Chyba rozumiesz, że muszę wrócić i zapłacić za ciebie? Prawda? Muszę tam wejść i powiedzieć, że po raz nie wiadomo który dałam się nabrać starej ćpuncie! - Wolno kręci głową. - Nigdy w życiu nie byłam w równie upokarzającej sytuacji. Nigdy w życiu!

Birgitta w milczeniu czeka, aż Margareta włączy silnik.

O upokorzeniu akurat coś wie.

Mogłaby na przykład powiedzieć, co to za uczucie, jak człowieka nazywają kurwą. I jaka to różnica, kiedy ma się czternaście lat i jest się dziewczyną, a kiedy ma się siedemnaście lat i rzeczywiście jest się kurwą. Mogłaby powiedzieć, jak się czuje stara kurwa, tak brzydka, że trzeba jej zasłaniać twarz, żeby kutas nie zwiotczał.

Co jest gorsze?

No cóż, to naturalnie drobiazg, ale zdaniem Birgitty gorzej jest być prawdziwą kurwą. Bo jak się nią jest tylko z nazwy, można wysoko trzymać głowę i wmawiać sobie, że szeptki za plecami to nic innego jak tylko efekt zatęchłego pożądania starych zgredów, którzy się brandzlują na jej widok, kiedy przechodzi przez hale fabryczne. Przecież ona wie, kim jest. Ma czternaście lat, pełne piersi i liliowobiałą cerę. Jest jak niewinny kwiat, o którego zerwaniu marzą wszyscy mężczyźni, i dzięki temu ona ma nad nimi władzę.

Kilka lat później, kiedy naprawdę jest kurwą, wszystko wygląda inaczej. W portfelu przybywa pieniędzy, majtki są lepkie od rzeźączki. Przyjmuje penicylinę i bez przerwy się myje, ale nigdy nie jest dostatecznie czysta, żeby być kochaną i zyskać przebaczenie tego, kogo kocha. Nie wolno mówić, że chciałaby tylko położyć głowę na jego piersi i słuchać uderzeń serca. Ciągłe trzeba prowokować, kołysać nagimi piersiami, chwytać za rękę i wsuwać między swoje uda, żeby poczuł, że pod obcisłą spódniczką nie ma majtek. I dlatego on czasami wyje z rozpacz i z bezsilnej żądzy, zaciska pięść i bije ją w twarz, kiedy zdążyła się poczuć bezpiecznie i prawie zapomniała, kim jest. Ale przecież nigdy nie zapomni. I on nie zapomni. Kochają się więc i nienawidzą, krzyczą i biją, dzień za dniem, rok za rokiem, aż pewnego dnia on przedawkuje i zostawi ją z poczuciem winy. To jej wina, to ona przyczyniła się do jego śmierci, bo jest tym, kim jest. Kurwą.

A kiedy jest się starą kurwą, tak brzydka, że... No cóż. Od czasu do czasu rzuca się na cały świat, opluwa policjantów, wywała z domu jakiegoś żłoba, który się wylegiwał ciut za długo, i przypieprza każdemu, kto chce ją doprowadzić do łez. A potem pije piwo, bo najlepiej pomaga na upokorzenie. I jest smaczne.

Birgitta ściera pianę z wargi i zerka z ukosa na Margaretę. Włączyła silnik, już tak nie pędzi.

Ciekawe, czy nie odpadłyby jej różane uszka, gdyby Birgitta powiedziała, czym jest prawdziwe upokorzenie.

Pewnie tak. Birgitta stawia puszkę między kolanami i próbuje zerwać celofan z papierosów. Nagle pojawiają się w niej słowa, których nie może zatrzymać, po prostu wylewają się z gardła:

- Bachor. Bękart. Gówniarz. Pomiot szatana. Zasraniec. Brudas. Fleja. Szczur kloaczny. Kupa gówna. Nocnik. Szczyl. Trudne dziecko. Dzieciak pijaczki...

Margareta odwraca głowę.

- Co to ma być?

Birgitta nie umie odpowiedzieć, są w niej tylko te słowa, które rok po roku wpychano jej do gardła i teraz same wychodzą. Jakby nimi wymiotowała i nie miała na to żadnego wpływu.

- Zdzira. Kurwa. Śmierdząca cipa. Zasrana cipa. Cipa za pięć groszy. Flegmista pizda. Flegmista numererek. Pieprzona dupa. Pieprzona cipa. Ćpunowata kurwa. Kurwa na haju. Kurwa dilerka. Hajowa narzeczona. Cipa na spidzie. Cipcipa. Cip-cip - cip-cipa.

- Cicho - syczy Margareta. - Zamknij się!

Birgitta nie jest w stanie przestać. Słowa rozpychają się w jej ustach, muszą wyjść. Bezradnie manipuluje paczką papierosów, szarpie celofan. Nic z tego, jakby była zabezpieczona przed włamaniem. No tak, już nawet nie potrafi otworzyć paczki papierosów. Zbyt mocno drżą jej dłonie. Usta nie chcą milczeć.

- Wiedźma. Żmija. Mineta. Świnia. Ohyda. Pijaczka. Żłób. Brzydota. Zdrajca.. Szachraj. Margines. Żebraczka. Kurwison. Oszustka. Złodziejka. Zabójczyni. Morderczyni. Kłamczucha! Kłamczucha! Kłamczucha!

- Cicho! - krzyczy Margareta. - Nie możesz się zamknąć?!

Birgitta milknie, opiera się o zagłówek i przemyka oczy. Słowa już wyszły, dłonie przestały drżeć. Nareszcie zbliżyła się do prawdy.

TEGO JESIENNEGO PORANKA w domu było niezwykle cicho. Ellen, Christina i Margareta siedziały przy kuchennym stole jak gromadka nastroszonych, zmarzniętych wróbli, kiedy Birgitta wsunęła głowę i powiedziała „cześć”. Tylko Ellen coś odmruknęła, a Christina i Margareta skinęły głowami. Oczywiście były zmęczone, chociaż tylko chodziły do szkoły, nie musiały się zrywać o świcie, jak Birgitta.

Mżyło, powietrze było rześkie i przejrzyste. Cuchnący podmuch autobusu owiał jej twarz. Z obrzydzeniem odwróciła głowę. Tak jak inni na przystanku. Byli tam ci, co zwykle: stary Nilsson, stara Bladh i jeszcze kilka osób. Wszyscy pracowali w Luxorze, ludzie z drugiego zakładu zabrali się wczesniejszym autobusem. Nilsson, jeśli tylko miał okazję, siadał obok Birgitty i czytając poranną gazetę, niby to bezwiednie dotykał jej udem. Birgitta najczęściej nie protestowała, mimo że był obleśny, miał wilgotne wargi i żółte od tytoniu zęby. W końcu to brygadzysta, pan godzin i minut, to on decydował o ewentualnych potrąceniach z pensji.

Zarechotał, widząc, że siada przy oknie, a obok jest puste miejsce.

- ...dobry - powiedział i usiadł.

Rozłożył na kolanach „Motała Tidning” i - co było do przewidzenia - przycisnął się do niej. Birgitta się nie odsunęła, rzuciła okiem na gazetę i odwróciła twarz. Przez chwilę wpatrywała się w mżawkę i jesienną szarugę, po czym uświadomiła sobie, co takiego zobaczyła w gazecie. Pochyliła się nad nią. Nilsson wstrzymał oddech, miała rozpiętą kurtkę, wyraźnie widział jej rowek między piersiami. Tak. Nie pomyliła się. Był piąty października. Trzecia rocznica śmierci Gertrud.

- Posłuchaj - odezwała się półgłosem, po czym dyskretnie wsunęła dłoń pod gazetę i położyła na jego udzie.

Zamrugał i wbił wzrok w „Motała Tidning”, jakby nagle odkrył niesamowicie interesujący artykuł, który może odmienić całe jego życie. Birgitta zacisnęła dłoń.

- Czy mogłabym dzisiaj wyjść trochę wcześniej? Tak, żeby nikt tego nie widział?

Nilsson chrząknął i przewrócił stronę. Nie patrzył na Birgittę, ale oczy prawie mu wyszły z orbit. Delikatnie popieściła jego udo i cofnęła rękę.

- Dziękuję - szepnęła. - Bardzo fajnie. Nie zapomnę ci tego.

Nareszcie mogła pójść na cmentarz wczesnym popołudniem, kiedy jeszcze jest widno. W zeszłym roku mogła to zrobić dopiero po pracy. Wybiegła z fabryki jak szalona i pognęła do kwiaciarni. Nie potrafiła się zdecydować, jakie kupić róże - czerwone czy białe - długo się wahała, ze zdenerwowania miała łzy w oczach. Kiedy w końcu wyszła z kwiaciarni, paliły się już latarnie i było ciemno. Za plecami usłyszała odgłos przekręcanego w drzwiach klucza. Właściciel zamykał kwiaciarnię. Zamykało wszystkie inne sklepy.

Im bliżej była cmentarza, tym było ciemniej. Ulice Motali pustoszały, jej kroki niosły się echem między ścianami domów, jej cień w świetle latarni rósł i kurczył się na przemian. Serce waliło, brakowało jej oddechu.

Bała się wejść na cmentarz. Nie był oświetlony. Długo stała przy bramie, przyciskając kwiaty do piersi. Nagle wydało jej się, że słyszy w ciemnościach perlisty kobiecy śmiech. Jakby ktoś się z niej śmiał, jakby ją wabił, ukrywając w całunie nóż.

Przerzuciła kwiaty przez bramę i uciekła. Zachowała się jak kompletna idiotka. Ale w tym roku będzie inaczej.

Nilsson kiwnął głową i odwrócił się plecami, żeby mogła się ulotnić. Potem odbije jej kartę i któregoś dnia zażąda zapłaty w toalecie. Ale to było tego warte. W końcu chodziło mu tylko o jej ciało.

Pobiegła przez rynek do kwiaciarni. W tym roku nie będzie się wahać, już postanowiła. Czerwone róże. To oczywiste, że Gertrud dostanie czerwone róże.

Choć nie żyła od trzech lat, Birgittie wydawało się, że widzi ją codziennie. Była w szyi kobiety w autobusie, w geście przechodnia, w czymś uśmiechu. Raz po raz budziła się w niej nadzieja, odwracała głowę i spotykał ją zawód. Gertrud nie żyje. Nie wróci.

Zatrzymała się przed bramą cmentarza i wzięła głęboki oddech. Było szare, mgliste popołudnie. Drzewa przypominały cienie. Jakby się za chwilę miały rozproszyć, zniknąć.

Nieważne. Jeśli chcą, niech rozproszą Birgittę. Pójdzie do Gertrud, położy czerwone róże w żółtej jesiennej trawie, postoi tam z opuszczoną głową i będzie wspominać.

Ellen zdziwiła się na jej widok. Siedziała w dużym pokoju i jak zwykle haftowała. Kiedy Birgitta pojawiła się w drzwiach, spojrzała znad okularów i odłożyła tamborek.

- Już jesteś?

Birgitta skinęła głową, rozwiązała chustkę i zaczęła rozpinać kurtkę.

- Tak. Wzięłam sobie kilka godzin wolnego.

Ellen zmarszczyła czoło.

- Dostałaś pozwolenie?

Birgitta zdjęła kurtkę, powiesiła ją na palcu i wyszła do hallu. Kuchenne zapachy wskazywały na to, że na obiad będą gołąbki. Wróciła do dużego pokoju, poprawiła włosy i usiadła na kanapie.

- Wszystko w porządku. Nikt nic nie powiedział.

Ellen pochyliła się nad tamborkiem, po każdym ściegu rozciągała nitkę w czerwoną kreskę.

- Potracą ci z pensji?

Birgitta pokręciła głową. Nie. To się załatwi. Ellen nie spuszczała z niej oczu, dłonie haftowały same. Świdrujące spojrzenie znad okularów. Czy to nie tak Margareta określała ten rodzaj patrzenia, kiedy opowiadała o tym, co przeczytała w swoich książkach?

- Dlaczego wzięłaś wolne?

Birgitta zerknęła na dłonie i nagle sobie uświadomiła, że siedzi na brzeжку kanapy jak gość, który właśnie zbiera się do wyjścia.

- Żeby pójść na cmentarz. Dzisiaj minęły trzy lata. Rok temu poszłam tam po pracy, ale było bardzo ciemno. W tym roku chciałam zdążyć przed zmierzchem.

Ellen pokiwała głową.

- Kupiłaś kwiatki? - zapytała.

Birgitta przytaknęła.

- Jakie?

A co jej do tego? To sprawa między nią a Gertrud. Ale nie ma wyjścia, w tym domu zawsze

trzeba odpowiadać. Usiadła na dłoniach.

- Róże. Trzy czerwone róże.

Ellen skinęła głową. To był dobry wybór. Przyjęty bez zastrzeżeń.

Przez chwilę w pokoju było cicho. Birgitta usiadła wygodniej i rozejrzała się. Odkąd zjawiała się w tym domu, nic się tu nie zmieniło. Wszystko było po staremu, te same kwiaty, te same meble, te same ozdoby. Zegar tykał w tym samym rytmie mimo że czas się zatrzymał, deszcz uderzał o szybę tak samo jak zwykle.

Ellen poprawiła okulary i sięgnęła po nożyczki, obcięła nitkę i przyglądała się robótce. Wspomniała. Jak zwykle.

Nagle Birgittie zachciało się palić. W torebce leżała prawie cała paczka prince'ów, ale nie miała odwagi po nią pójść. Choć nie usłyszała żadnego wyraźnego zakazu, nie paliła w domu Ellen. Może zapali sobie w ogrodzie? Położyła dłonie na kanapie i wstała.

- Gdzie idziesz?

- Nigdzie. Do pustego pokoju.

Ellen odłożyła tamborek i nożyczki i zdjęła okulary.

- Zostań - powiedziała, rozcierając palcami odciski od okularów. - Chciałabym z tobą porozmawiać.

Birgitta wyprostowała się i wsunęła dłonie pod uda.

- Porozmawiać ze mną? O czym?

- O twoim zachowaniu. Usłyszałam niezbyt miłe rzeczy. Co na przykład robiłaś w sobotę?

Birgitta zagryzła wargi. Zabolalo.

- No? - przynagliła Ellen.

Birgitta zakołysała się na dłoniach.

- Nic szczególnego. Czy Margareta i Christina znowu na mnie nagadały? Cholera, zawsze się mnie czepiają i wygadują bóg wie co. Nie rozumiem, dlaczego to robią...

- Uspokój się, Birgitta - przerwała jej Ellen. - Nikt nic nie wygadawał. Usłyszałam o czymś od dziewczynek i od innych osób i chciałam się dowiedzieć, czy to prawda.

Birgitta pochyliła się.

- Co słyszałaś? - szepnęła.

Ellen odchrząknęła, potarła palcami nasadę nosa.

- Rozmawiałam z Marianne z komisji do spraw opieki nad dziećmi. Mówiła mi, że stałaś się bohaterką piosenki, którą śpiewa całe miasto. To podobno jakaś rymowanka. Christina i Margareta też ją słyszały, ale nie chciały zaśpiewać... - Położyła rękę na kolanie, wzięła głęboki oddech i spuściła wzrok. - Dzisiaj zadzwonił wujek Stig. Znał ją na pamięć. Powiedział, że w sobotę spałaś z trzema chłopcami. Widziała to jakaś dziewczynka, która jest pod opieką komisji. Stig podwoził ją do domu dla dziewcząt i mówiła mu o tobie najróżniejsze rzeczy. Zwłaszcza o tym, co się stało w sobotę. Że byłaś pijana. Że leżałaś na trawie i wcale się nie broniłaś, kiedy jeden po drugim...

Głos uwiązał jej w gardle, położyła rękę na szyi, niezdolna wykrztusić słowa.

Birgitta napięła wszystkie mięśnie i szykowała się do ataku. Ale na razie się nie ruszyła, jeszcze nic nie powiedziała, gdzieś z głębi zaczął się wydobywać syk.

Marianne! Stig Szczupaczy Pysk! Christina i Margareta! Jakaś pieprzona gęś o niewyparzonej jadaczce! Kiedy się od nich uwolni? Kiedy się uwolni od tych wszystkich parszywców, którzy postanowili zniszczyć jej życie, tak jak kiedyś inne ścierwa zniszczyły życie Gertrud?! Chcieli ją zamordować, rozerwać na strzępy, jak rozerwali na strzępy Gertrud swoimi oszczerstwami, decyzjami komisji trzeźwości i komisji opieki nad dziećmi! Dlaczego nie zostawili ich w spokoju? Dlaczego nie pozwolili im normalnie żyć, dlaczego musieli je rozdzielić, mimo że Birgitta nie chciała być z nikim innym, tylko z nią? To dlatego Gertrud umarła. Gdyby Birgitta była przy niej, gdyby nie zaciągnęli jej siłą do Babsztyla Ellen, żyłaby do dzisiaj. Bo kiedy Gertrud była chora i źle się czuła, Birgitta przewracała ją na brzuch, już jako mała dziewczynka wiedziała, że Gertrud nie może leżeć na plecach, kiedy sobie troszkę wypija. Ale Birgitty wtedy tam nie było. Zabili Gertrud, odbierając jej Birgittę! A teraz przyszła kolej na nią, teraz to ona miała być rozerwana na strzępy!

Nareszcie znalazła słowa. Czowała, jak kłębią się w gardle, ochryple, urywane; wyskakiwały z ust jedno po drugim.

- Wy! Ją! Zabiliście!

Ellen wzdrygnęła się.

- Kogo? Kto umarł?

Birgitta wyszczerzyła zęby, grudka w gardle zniknęła, słowa popłynęły bez przeszkód.

- Nie udawaj! Gertrud! Zabiliście Gertrud, ty i twoja zgraja. Ty! Marianne! I Szczupaczy Pysk!

Ellen zamrugowała.

- O co ci chodzi? Zabiliśmy? Szczupaczy Pysk?

Birgitta wstała. Rosła. Miała uczucie, że za chwilę sięgnie sufitu, przebije go, przebije mieszkanie Hubertssona, zmiecie dach z tego przeklętego domu!

Wyszła na środek pokoju, rozstawiła nogi tak szeroko, jak tylko jej na to pozwalała wąska spódnica, i wycelowała palec w fotel. Jej głos oscylował między basem i falsetem, jakby przechodziła mutację.

- Zamknij się, pieprzona babo! Mam po dziurki w nosie ciebie i tej twojej zgrai, Stiga i Marianne. Gdybyście nie wtykali nosa, tam gdzie nie trzeba, Gertrud ciągle by żyła. Gdybym mogła z nią mieszkać, być przy niej i opiekować się nią, na pewno by nie umarła! Już moja w tym głowa!

Ellen mieniła się na twarzy, bledła i czerwieniała na przemian, w końcu podniosła się z wysiłkiem i wyciągnęła rękę.

- Moje drogie dziecko! Ja nie wiedziałam...

Birgitta zamachała rękami, nie chciała, żeby dotykały jej te dłonie. Wszystko, tylko nie to. Birgitta w życiu nie pozwoli się jej dotknąć! Wszyscy inni, proszę bardzo, niech robią z nią, co im się podoba, ale nie Ellen! Nie ona! Nigdy!

Babsztyl się rozbeczał, po policzkach płynęły łzy. Ciągle stał z wyciągniętymi rękami.

- Biedactwo - wyszeptał. - Biedna Birgitka! Oczywiście, że mogłaś wrócić do domu, ale twoja mama nie chciała. Powiedziała, że nie ma siły.

To kłamstwo! Ta cholerna baba kłamie jej prosto w twarz! Kłamstwo przybrało postać ognistej kuli. Próbowwała odegnąć je rękami, ale bez skutku, ogień ją oślepił i spalił oczy na popiół, zwęgliła się skóra. Co za ból!

Birgitta przycisnęła rękę do brzucha, zgięła się w pół i wyła. Wszystko w niej pękło. Teraz wiedziała, co to znaczy rozerwać się na strzępy, zaraz martwa padnie na podłogę... Uciec! Uciec!

Uciec!

Ale nie umarła. Ból odpłynął, umilkł krzyk. Wyprostowała się i popatrzyła na Ellen. Stała z opuszczonymi rękami, po policzkach płynęły łzy, z nosa ciekła krew.

- Tak ją oplakujesz - powiedziała i pokiwała głową. - Nie miałam pojęcia, że ciągle ją oplakujesz...

Zrobiła krok naprzód, Birgitta przesunęła się bliżej ściany, obronnie podniosła rękę.

- Nie dotykaj mnie - syknęła. - Słyszysz! Nie dotykaj! Dobrze wiem, coś ty za jedna! Obludny babsztyl!

Ellen zachwiała się, w jej oczach pojawiły się czujne błyski.

- O co ci chodzi? - powiedziała, ocierając łzy. - O co ci chodzi, Birgitta?

Birgitta cofnęła się jeszcze o krok i splunęła na podłogę.

- Wiem, co mówię!

Strużka krwi pod nosem Ellen zgęstniała, twarz tężała coraz bardziej, im więcej wkładała wysiłku w udawanie obojętności i zdziwienia.

- Uspokój się, Birgitta. Co ty takiego wiesz?

Birgitta przeciągnęła ręką pod nosem.

- Potworek! Wiem wszystko o twoim potworze!

Ellen zbladła, zachwiała się. Birgitta wybuchnęła śmiechem.

- Gertrud leżała obok ciebie, ty głupia krowo! Od początku wiedziała, coś ty za jedna, wiedziała, że pozbyłaś się potworka, bo trzymanie czegoś takiego w domu to za duży kłopot! Byłaś leniwa. I

skapa. Woliałaś zdrowe dzieci. Takie, za które mogłaś brać pieniądze!

Ellen stała bez ruchu. Birgitta znowu się cofnęła, choć ręce Ellen już się ku niej nie wyciągały, i oparła o ścianę. Zaśmiała się, głośno i czysto, śmiech zamienił się w hałaśliwy, krzykliwy rechot, po chwili aż ją rozbolał brzuch, a w oczach zalśniły łzy. Żeby móc mówić dalej, musiała nabrać powietrza i wytrzeć oczy.

- Przez te wszystkie lata udawałaś świętą! Margareta i Christina płaszczyły się przed tobą, całowały twoje stopy i lizaly ci tyłek. Bo jesteś taka cholernie doskonała, w niczym nie przypominasz ich parszywych matek. Ale ja wiedziałam... Cały czas wiedziałam, że niczym się od nich nie różnisz!

Birgitta znowu zarechotała, nie mogła powstrzymać śmiechu, mocno zacisnęła nogi, żeby się nie posikać, pękała ze śmiechu, kolana zaczęły odmawiać posłuszeństwa, mocniej oparła się o ścianę, żeby nie upaść, i zamknęła oczy.

- Wiedziałam cały czas! - wydyszała z wysiłkiem i przeciągnęła ręką pod nosem. - Wiedziałam, jaka z ciebie szmata... że się nie cofniesz przed niczym!

Otworzyła oczy i spojrzała na Ellen. Miała pełno krwi pod nosem, którą w dodatku rozmazała.

- Tak - szepnęła - ale nie rozumiesz...

Więcej nie zdążyła powiedzieć, znieruchomiała i jęknęła. Wyciągniętą ręką macała powietrze, szukała oparcia, ale nie znalazła, zgięła się i runęła na podłogę.

Jak długo Birgitta stała pod ścianą, wpatrując się w Ellen? Kilka minut? Kilka godzin? Kilka lat?

Nie wie. Wie tylko tyle, że właśnie wtedy każdą komórkę jej ciała wypełniło przeświadczenie, że nie ma już żadnej nadziei, że zapadł wyrok ostateczny. Szeptaly o tym ściany i sufit, na głosy niewidzialnych sędziów nakładało się tykanie zegara i uderzenia deszczu o szybę. „Winna, winna, winna”! Na próżno usiłowała się bronić, na próżno podnosiła ramiona i przywierając do ściany, jęczała piskliwie:

- Nie moja wina! Nie moja wina! To nie była moja wina!

- KŁAMIESZ - MÓWI MARGARETA i redukuje bieg.

Birgitta nie odpowiada, wzdycha tylko i otwiera drugie piwo. Jasne, że kłamie. Oczywiście. Nigdy nie robiła nic innego. Wyjęła z torebki żmiję i tak przestraszyła Ciocię Ellen, że biedaczka dostała wylewu. Pewnie. Nauczyła się na kursie Ogólnego Plugastwa, gdzie zgłębiała tajniki skurwysyństwa, żeby zawsze mieć przy sobie kłębowisko żmij, gdyby na przykład miała ochotę z kimś się podreżczyć. Normalka. Chyba że przez duży pokój Ellen przemaszerowała nagle Biała Dama i dała jej do wiwatu. A może stara niechcący zahaczyła o frędzlę dywanu, potknęła się i walnęła głową o podłogę. Tak, z pewnością. Każde wytłumaczenie jest dobre. Bo niby dlaczego trzeba się trzymać prawdy?

Szosa zwięza się. Robi się ciemniej, po obu stronach jest las. Kiedy wyjadą na otwartą przestrzeń, będą prawie na miejscu. W Motali. Birgitta spokojnie może dopić to niby-piwo, bo niedługo uraczy się prawdziwym trunkiem, który na pewno gdzieś zamelinowała.

- Ellen miałyby urodzić dziecko - mówi Margareta i potrząsa głową. - To niemożliwe. Nie powiedziała o tym słowa... Ani ona, ani nikt inny...

- To się zdarza. - Birgitta patrzy na las; pod drzewami ciągle leży śnieg. - W każdym razie miała dziecko. I zostawiła je.

Margareta przygryza usta i kręci głową. Kiedy po chwili je otwiera, dolna warga lekko krwawi.

- Mogło umrzeć - mówi, zlizując krew. - Jeśli było tak ciężko upośledzone.

- Nie umarło. Hugo zmarł, ale nie dziecko.

Margareta patrzy na nią pobłażliwie i przyspiesza.

- I ty to wiesz?

Birgitta kiwa głową i wyciera usta. Tak. Wie.

- Wiem nawet, jak ma na imię.

Ale Margareta nie jest tego ciekawa, wyjmuje papierosa i szuka zapalniczki. Ciągłe przyspiesza. Wygląda to cholernie niebezpiecznie i w trosce o siebie Birgitta przypala jej papierosa. Teraz, kiedy jest już tak blisko domu, wołałaby się nie rozbryzgiwać na jakiejś sośnie. Niedługo zwinie się w

kłębek na materacu i będzie się rozkoszować ciemnościami. Zasłoni okno kocem, który Roger zerwał w trakcie ich wczorajszej kłótni. Co prawda zaczyna się ściemniać, więc zaśnie i tak, ale Birgitta nie zamierza wstawać bladym świtem. Pośni sobie przez kilka dni.

Cieszy ją, że robi się jaśniej, że wyjeżdżają z lasu. Odchyła się na fotelu. Jest zmęczona. W każdej chwili mogłaby zasnąć...

Kiedy otwiera oczy, mijają stary Dom Ludowy. Sięga po puszkę i lekko nią potrząsa. Tak, coś jeszcze zostało. Więcej, niż myślała. Obiecujący dźwięk.

- Skręć w lewo - mówi i wyciera usta. - Ale jeszcze nie teraz. Jak dojedziesz do Charlottenborgsvagen. Mieszkam na Charlottenborgu.

Margareta nie odpowiada. Kiedy Birgitta spała, panienska zatopiła się we wspomnieniach, siedzi teraz z zadartym nosem i kamienną twarzą. Czemu by się nie zabawić, zanim się rozstaną na wieki wieków amen...

- Twoje zdrowie, siora! - Birgitta podnosi puszkę. - Nareszcie nie będę cię musiała oglądać. Nigdy więcej. Skręcaj!

Ale Margareta nie skręca, jedzie prosto. Cholera! Birgitta wali pięścią w deskę rozdzielczą. Nie chce awantur, nie teraz, kiedy jest tak blisko celu.

- Zapomniałaś skręcić, głupia krowo!

Margareta odwraca się do niej.

- Nie, nie zapomniałam.

- Charlottenborg jest po lewej. Co ty, kurde, wyprawiasz?

Margareta uśmiecha się przyjaźnie.

- Nie jedziemy do ciebie. Jedziemy do Yadsteny. Pomyślałam, że Christina też powinna to usłyszeć. Z twoich ust. Przynajmniej raz weźmiesz odpowiedzialność za swoje słowa.

Przecież to jest porwanie!

Kiedy Margareta staje na czerwonym świetle, Birgitta szarpie za klamkę. Nic z tego. Margareta niecierpliwie przyciska pedał gazu, silnik warczy.

- Nie szarp - mówi, nie patrząc na Birgittę - bo popsujesz. Zamknęłam na zamek centralny, nie wyjdiesz.

Zmienia się światło, ruszają, Margareta bez wahania skręca w lewo, pamięta tę drogę. W końcu jeździła tędy do szkoły. Niedaleko jest dom Ellen. Kiedy go mijają, odwraca głowę, jakby myślała, że przy takiej prędkości zobaczy coś więcej prócz białej smugi. Prowadzi jak złodziej samochodów, krótkowzroczny, pieprzony złodziej. Birgitta powinna się cieszyć, jeśli dotrze do Yadsteny żywa. Za nic w świecie nie chce tam jechać, nie chce żadnej konfrontacji z tą drugą lodowatą snobką.

- To jest porwanie - mówi i dopija piwo. - Jutro złożę na ciebie doniesienie.

Margareta wybuchła śmiechem.

- Bardzo proszę, składaj. Ciekawe, komu uwierzą.

Powiedziały sobie chyba wszystko. W samochodzie zapada cisza.

Szybko się ściemnia, jakby noc nagle podniosła się z ziemi. Pola i zagajniki są czarne, tylko niebo jeszcze jaśniej, ma kolor zwiędłych kiści bzu. Birgitta uśmiecha się lekko. Bzy przed domem babci, zanim zwiędły, zawsze bledły, były niemal białe.

Rysy twarzy Margarety rozmyły się. Birgitta nie widzi jej oczu, głowa jest tylko cieniem. Ścisła pustą puszkę i patrzy w ciemność. Tak jak nigdy dotąd nie przejmowała się swoimi kłamstwami, tak teraz po raz pierwszy żałuje, że powiedziała prawdę. Nie z powodu tego idiotycznego porwania, to jakoś zniesie, w końcu przejażdżka do Yadsteny niczym jej nie grozi, ale dlatego, że znowu życie dało jej prztyczka w nos. Przez moment - kiedy zaczęła opowiadać - wmówiła sobie, że Margareta jej uwierzy i że prawda cokolwiek zmieni. Tymczasem wszystko już powiedziała - i nic. Wyrok pozostał w mocy. Ułaskawienia nie będzie.

Birgitta prychnęła i zapala papierosa. Jakby potrzebowała ich łaski! Tych zasranych snobek.

W Yadstenie Margareta zatrzymała się przed jakimś starym domem, pewnie Christiny. Zadzwoiła do furtki, a potem weszła do ogrodu. Że też jej się chce. Każdy głupi widzi, że nikogo nie ma, w oknach ciemno.

Birgitta siedzi wygodnie w fotelu. Nagle czuje przedziwne ciepło, rozchodzi się po ciele, jakby była kwiatem, który rozchyła płatki o wschodzie słońca. Ramiona opadają, otwierają się zaciśnięte dłonie, coraz wolniej bije serce. To chyba zasługa ciszy. Cicho jest w Yadstenu. Żadnych dźwięków, żadnych samochodów, żadnych ludzi, żadnych ptaków.

Bardzo dawno temu było tak cicho na świecie.

Zapała się lampka, Margareta wsiada, wrzuca torebkę. Już otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale patrzy na Birgittę i powstrzymuje się. Przekręca kluczyk w stacyjce. Zanim ruszy, odwraca się i głaszcze siostrę po policzku.

Procesja Umarłych

Gdy tylko poblednie twarz, całuj mokrymi ustami.

Mewy kredą piszą, patrz, wiersz nad nocy chmurami.

Stig Dagerman

KIEDY CIEMNOŚCI PODNOSZĄ SIĘ Z ZIEMI, ulicami Yadstenu idzie mały dobośz. Jest skupiony, oczy ma przymknięte, język wysunięty, usta lekko się wykrzywają w takt uderzeń w bęben. Świetnie sobie radzi, mimo że ma nie więcej niż dziesięć lat. Pewnie, jak dorosły, trzyma pałeczki w pulchnych palcach, uderza raźnie i dziarsko. Idąc, szepce wyliczankę, prostą i krótką, która pomaga mu utrzymać rytm:

Życ. Życ. Życie. Życ. Życ. Życie. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życie.

Nauczył się grać w gminnej szkole muzycznej, wyliczankę poznał gdzie indziej. To benandante, ale o tym nie wie. Wie tylko, że wczesnym popołudniem usiadł matce na kolanach, choć zwykle tego nie robi, i mimo że ma czarną koszulkę z rysunkiem „Iron Maiden”, przytulił się do niej. Czuł się bardzo dziwnie. Myślał tylko o spaniu. Matka pocałowała go w czoło, powiedziała, że jest ciepłe, że może się przeziębili i powinien się położyć. Przez chwilę siedziała na krawędzi jego łóżka i trzymając go za rękę, z lekkim uśmiechem patrzyła na zdjęcia, które powiesił na ścianie. Marzenia o męskości. „Kiss”. „Iron Maiden”. „AC/DC”. Skórzane stroje. Ćwieki. Grymasy. Spojrzała na jego pulchną dłoń w swojej, pogłaskała miękką skórę i pomyślała o kryjącej się tam dłoni mężczyzny. Jakim mężczyzną będzie jej syn? Wiedziała, że wyrośnie na dobrego człowieka, bo ma dobre serce. On i jego młodszy brat urodzili się by żyć muzyką i literaturą, piosenkami i obrazami. Wstała, pogładziła go po czole i białych lokach i uśmiechnęła się. Pocił się, kiedy spał, pocił się, odkąd sięgała pamięcią.

Od początku wiedziała, że wszystko będzie dobrze, bo urodził się w czepku.

A teraz chłopiec, który jeszcze nie wie, że jest benandante idzie ulicami Yadstenu ze swoim bębniem. Myśli, że to sen że leży w łóżku i śpi pod czujnymi spojrzeniami gwiazd hard rocka, że mającące pod przymkniętymi powiekami postaci to cienie z jego snu. Nie wie, dlaczego bębni. Nie rozumie, że takie jest jego zadanie, że ma wzywać na procesję benandanti i przedwcześnie zmarłych. Jutro będzie wiosenne zrównanie dnia z nocą. Tej nocy zmarli będą opiewać życie.

Słyszę go wyraźnie, choć nadal jestem w swoim ciele. Akurat nie ma wiatru, czasami wstrząsają mną spazmy, ale poza tym leżę zupełnie rozluźniona, słucham uderzeń bębna i oglądam świat.

Maria wróciła do pokoju i jest szczęśliwa. Siedzi przy stole w snopie światła lampy, nuci i wycina anielskie skrzydło z zapomnianego kartonu, własności wojewódzkiego samorządu terytorialnego. Mrok otula jej ramiona i plecy jak szal. Anioły patrzą na nią, przekrzywiają głowy, uśmiechają się i powoli zanurzają w ciemnościach.

Ale to jeszcze nie noc. Niebo za oknem ma ciągle odcień zwiędłych kiści bzu. Zawsze tak jest. Ostatni dzień zimy gaśnie powoli. Dzięki temu, leżąc na łóżku, mogę oglądać parking i przychodnię. Na trawniku budzi się klon, wyciąga ku niebu czarne gałęzie.

Powietrze musi być cudownie rześkie. Po skończonej pracy Kerstin Pierwsza i Ulrika zatrzymały się na parkingu i przez chwilę głęboko oddychały - w milczeniu i bez uśmiechu - po czym podniosły dłonie w geście pożegnania i poszły każda w swoją stronę.

Kilka razy zajrzała do pokoju Kerstin Druga, żeby sprawdzić, jak się czujemy, czy którejs z nas nie targają nowe burze. Niedawno przyniosła Marii kawę, a mnie jej zapach. Postawiła filiżankę na stole, podeszła do mnie, podniosła zagłówek i przetała myjką plecy. Bardzo to miłe. Byłam spocona.

- Bez przerwy dzwonimy do Hubertssona - powiedziała stłumionym głosem. - Na razie bez skutku, ale na pewno się odezwie. I przyjdzie do ciebie.

Skinęłam głową. Przyjdzie. Jasne, że Hubertsson przyjdzie.

Chcę odpoczywać w swoim cieple, nie mam siły łapać mewy albo wrony i latać nad Yadsteną w poszukiwaniu Hubertssona. Poza tym na pewno zaczyna brakować mew i wron, bo w całej Yadstanie urodzeni w czepku mężczyźni i kobiety stoją w oknach i cicho wabią nosicieli. Ich ptaki siedzą na gałęziach i parapetach, czyszczą piórka i czekają nocy, żeby przewieźć swoich państwa na rynek. Wiedzą z doświadczenia, że to łatwe zadanie. Na rynku benandanti ich opuszczają i stają się swoimi cieniami. Tylko jeden ptak jest nosicielem przez całą noc, tylko jeden ptak unosi się nad Procesją Umarłych. Mój. Ale dzisiaj mnie tam nie będzie. Po raz pierwszy od lat benandanti i przedwcześnie zmarli pomaszerują ulicami bez mnie, nad ich głowami nie będzie czarnego ptaka krzyczącego o czasach głodu. Nieważne. Tak ich zachwyci mały dobosz, że nawet nie zauważą mojej nieobecności. Od dawna nie mieli dobosza.

Zdumiewało mnie, że Hubertsson nie jest benandante, chociaż urodził się w czepku. Nigdy nie zauważyłam jego cienia w procesji. Ilekroć go widziałam, na własne lub cudze oczy, zawsze miał stałe kontury. Na pewno byłby świetnym kapitanem benandanti. Wyobrażam go sobie na rynku, jak porządkuje szeregi i wydaje rozkazy podwładnym, jak kładzie rękę na ramieniu przedwcześnie zmarłych i pociesza ich, jakby byli jego pacjentami.

Okaleczone ofiary wypadków drogowych, bladzi samobójcy, niegdysiejsi chorzy na raka i dotknięci wylewami są zwykle bardzo zagubieni, rozglądają się szeroko otwartymi oczami i nic nie rozumieją. Ponieważ rzadko się dzisiaj zdarza, że ludzie nie dożywają swoich dni, mało kto wie, że czas mierzy się inaczej. Umarły nie może opuścić świata przed upływem czasu, jaki jest mu pisany.

Ellen przyjęła to dosyć dobrze, nie bała się. Popatrzyła z lekkim zdziwieniem, potem się uśmiechnęła i dotknęła swojego byłego ramienia. Spoważniała dopiero wtedy, kiedy czarny ptak zaczął krzyczeć nad jej głową o latach głodu.

Nie dowiedziała się, kim jestem. A teraz opuściła świat.

Maria chyba słyszy małego dobosza, bo zaczęła nucić: „Życ. Życ. Życie. Życ. Życ. Życie...” Odkąd wróciła ze świetlicy, nie powiedziała ani słowa, teraz obdarza mnie uśmiechem i pokazuje swojego najnowszego anioła. Kiwam głową i podnoszę rękę. Tak, jest ładny. Lśni szary karton wojewódzkiego samorządu terytorialnego.

Christina jest jeszcze w przychodni, wiem o tym, mimo że nie opuściłam swojego ciała, odkąd zostawiłam siostry przed Postindustrialnym Rajem. Nie muszę zamykać oczu, żeby ją widzieć. W jej oknie pali się światło. Pali się we wszystkich oknach przychodni, nawet u Hubertssona, którego tam nie ma. Przynajmniej zgodnie z zapewnieniami Heleny. Może Helena weszła na chwilę do jego pokoju, zapaliła światło i uporządkowała papiery. Bo Helena na pewno jeszcze jest. Widziałam ją przed chwilą, kiedy zamykała drzwi. Przychodnia jest już nieczynna, ale Helenie nie spieszy się do domu. Nikt na nią nie czeka.

Rozpoznaję dźwięk silnika. Wiem, że nadjeżdża Margareta i Birgitta. Zajęło im to więcej czasu, niż myślałam. Może błędziły, chociaż Birgitta powinna pamiętać, jak dotrzeć do gabinetu Christiny i jej biurka, a Margareta powinna pamiętać drogę do szpitala, w którym umarła Ciocia Ellen.

Brudna zaspą śniegu na obrzeżu parkingu ożywa i połyskuje w świetle reflektorów. Margareta dosyć niedbale ustawia samochód, jakby się jej nagle zaczęło spieszyć, i otwiera drzwi, zanim odpięła pas. Birgitta spokojnie siedzi na fotelu, ale tym razem nie zamierza czekać, aż Margareta znajdzie Christinę. Uwalnia się z pasa, otwiera drzwi i z wysiłkiem wysiada. Potem kładzie ręce na dachu samochodu i opuszcza głowę.

Daleko stąd mały dobosz uderza w bęben. Maria nuci w tym samym rytmie.

- Pomóc ci? - pyta Margareta. Birgitta podnosi wzrok.

- Nie. Lekko mi się zakręciło w głowie.

- Już lepiej?

Tak. Lepiej. Birgitta przytakuje i zamyka drzwi.

- Myślisz, że o tej porze jest otwarte? - pyta. W głosie Birgitty pobrzmiwa wahanie. Coś się z

nią stało. O Birgicie można powiedzieć niejedno i niejedno o niej powiedziano, ale nie to, że brak jej pewności. Kiedy się boi, rzuca się na wroga z jeszcze większą zjadłością.

- Nie, ale Christina jeszcze tu jest - mówi Margareta. - Teraz, kiedy Erika nie ma w domu, nic jej nie goni...

Margareta stoi z rękami w kieszeniach w kwadracie żółtego światła. To oświetlone okno Hubertssona. Jest zmęczona. Wszystko zaczęło się przeszło dobiegtemu i nie widać końca.

Birgitta nie rusza się, kiedy Margareta podchodzi do drzwi przychodni. Uświadamia sobie, że stoi w świetle okna, i wycofuje się w ciemność.

Drzwi są zamknięte. Margareta kilka razy naciska klamkę, wreszcie stuka w szybę. Nikt jej chyba nie słyszy, zaczyna pukać głośniej. Wali. Oświetlony korytarz jest pusty.

- Halo! - woła Margareta. - Halo!

W końcu ktoś przychodzi.

Helena uchyla drzwi, ma zaczerwienione oczy i plamy na twarzy. Może się przeziębiła, może złapała wirusa od jednego z pacjentów.

- Zamknięte - mówi niewyraźnie. - Jeśli to nagły wypadek, możecie pojechać do Motali.

Margareta uśmiecha się swoim najmilszym uśmiechem.

- Przepraszam, że przeszkadzamy. Nie jesteśmy pacjentkami, jesteśmy siostrami Christiny. Nie było jej w domu, więc pomyślałyśmy, że jeszcze pracuje.

Helena patrzy na nią podejrzliwie, jakby myślała, że Margareta kłamie.

- Christiny tu nie ma - mówi i pociąga nosem. Margareta krzywi się.

- Widocznie się minęłyśmy. Spróbujemy złapać ją w domu.

Dziękuję.

Odwraca się i stawia stopę na pierwszym stopniu schodów.

- Christiny nie ma w domu - mówi Helena. - Nie pojechała do domu.

Margareta odwraca się, zdziwiona.

- To gdzie ona jest?

Helena wybucha płaczem i otwiera drzwi na oścież.

- W parku. Zadzwonili z policji i powiedzieli, że znaleźli Hubertssona w parku. I że on nie żyje!

Margareta zbiega ze schodów i pędzi przez parking. Birgitta wyłania się z ciemności i idzie za nią. Ciszę przerywa lament Heleny.

- Nie żyje! Powiedzieli, że Hubertsson nie żyje!

Nie!

To nie tak miało być! Hubertsson nie może umrzeć. Nie teraz! Powinien siedzieć przy mnie aż do końca, przez trzy dni i trzy noce, i z uśmiechem słuchać opowieści o moich siostrach.

On nie może umrzeć! Nie może mnie opuścić! Jak ja przeżyję jeszcze trzy dni bez Hubertssona?

Nad Óstgotaslatten nadciąga z północy ostatnia zimowa nawałnica. Tam, gdzie się pojawi, na moment zamarza ziemia, więdnie i umiera kielkująca pod zeszlórocznymi liśćmi zieleń, kulą się gałęzie i gną krzaki. Lodowaty wiatr ze śmiechem je kładzie, podrywa i potrząsa nimi, zostawia po sobie połamane gałązki jak niespełnione obietnice. Drzewa kłaniają się nisko, proszą, by je oszczędził, ale on nie oszczędza niczego, szarpie nimi i tarmosi, pochyla i przewraca, dopóki nie pękną i nie obnażą białego wnętrza. Wtedy pluje na nie, ciska na rany ziemię i piasek, i pajęczyny zeszlórocznych liści, by po chwili niczym roześlony olbrzym ruszyć do sosnowego lasu.

Sosny prężą się jak żołnierze, nie będą żebrać o łaskę. Wiatr śmieje się z ich dumy, drwi i szydzi, wywraca jedną po drugiej, wyrывa z korzeniami, odsłania tysiące malutkich istnień. Wszystkie giną zmiażdżone palcami mrozu, a nawałnica pędzi dalej, mknie równiną do miasta i do szpitala.

Tam na moment zamiera, bierze oddech i z nowymi siłami wali się na żółty budynek. Grzechoczą dachówki, jęczą ściany, wyginają się szyby w oknach...

Maria płacze. Stoi przy mnie i szuka mojej dłoni. Płacze, bo nie może jej pochwycić, bo coś wstrząsa moim ciałem. Maria wie, czym jest burza, co to znaczy być zerwanym z gałęzi jak zwiędły liść, podrzucanym w powietrzu i ciskanym o ziemię. - Kerstin! - woła. - Kerstin! Chodź!

I Kerstin przychodzi.

Lubię Kerstin Drugą. Lubię ją, bo jest krzepka i bez polotu, bo rzadko się uśmiecha, ale często się śmieje, jakby gołąbek uwił sobie w niej gniazdo, bo czasami patrzy na mnie, mrużąc oczy znad okularów.

Ale teraz się nie śmieje, gołąbek nie grucha w jej gardle. Obejmuje mnie i mocno przytula. Przeżywa męki. Nie może mi dać więcej stesolidu i nie ma pod ręką żadnego lekarza, który zaordynowałby kroplówkę. Christina wyszła już z przychodni, a Hubertsson jest gdzie indziej.

W milisekundzie dzielącej skurcze staje czas, uspokaja się nawałnica i moje ciało przestaje drżeć. Leżąc w tej dziurze czasu z głową na fartuchu Kerstin Drugiej, słyszę nagle bicie jej serca. Milczą wszystkie zegary świata, znieruchomiały wszystkie elektrony, ale Kerstin Drugiej to nie dotyczy. Jej serce ciągle pika. Uświadamiam sobie, że nie muszę już dłużej zwlekać, mogę natychmiast opuścić szpital i udać się dokądkolwiek. Na mój rachunek będą biły inne serca. Zawsze są serca, które biją. Zamykam oczy i puszczam się. Nawałnica minęła.

Nie czeka na mnie mewa o śnieżnobiałych piórach ani lśniący czarny kruk o złotym spojrzeniu, ani nawet wrona o stalowoszarych tęczęwkach. Na klonie siedzi tylko nastroszony lękliwy wróbelek.

Ale jak on lata! Unosi mnie wysoko nad ulicami Yadsteny, wyżej, niż fruwałam do tej pory. Wiezie mnie radosny, zatacza duże koła, wzbija się pod chmury, które są teraz bielsze od nieba. Hen, na zachodzie, jak srebrzyste fajerwerki migoce kometa Hale'a-Boppa. Tej nocy jest uczta, w ostatnią zimową noc zawsze jest uczta. Ciemności po raz ostatni próbują swoich sił, ale na próżno. Otacza mnie światło. Nade mną skrzy się gwiazdziste niebo, pode mną połyskują światełka miasteczek rozrzuconych nad Yattem.

Przez moment wiszę między niebem a ziemią, przez moment mogę wybierać.

Wybieram ziemię. Zawsze wybiorę ziemię.

Mały dobosz już doszedł. Stoi wyprężony na rynku i uderza w bęben, wokół gęstnieją cienie i tysiące głosów szepce w tym samym rytmie:

„Życ. Życ. Życie. Życ. Życ. Życie. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życ. Życie”.

Nikt mnie nie widzi, kiedy frunę nad rynkiem. Jestem wróbelkiem, a nie dużym czarnym ptakiem. Już nie krzyczę o latach głodu.

Moje siostry są w parku. W ciemnościach. Ani światło latarni, ani pulsujące światło karetki nie sięga pod drzewa.

Stoją obok siebie i patrzą, jak pielęgniarze kładą Hubertssona na noszach. Nie płaczą, nic nie mówią. Margareta nagle się pochyła i otula go kocem, jakby myślała, że mu zimno. Kiedy się prostuje, Christina chwyta ją za rękę i lekko ściska. Margareta patrzy na nią, a po chwili bierze za rękę Birgittę. Na moment łączy je jedna myśl.

- On był ostatni - odzywa się Christina. - Nie została już ani jedna dorosła osoba z czasów naszego dzieciństwa.

- Nikt prócz nas, kto pamiętałby Ciocię Ellen - dodaje Margareta.

- On pewnie wiedział więcej, niż nam się zdawało - mruczy Birgitta.

Margareta chce cofnąć dłoń, ale Birgitta nie puszcza. Christina nie widzi ich zmagania.

- Chciałabym ją spotkać - mówi. - Chciałabym ją poznać jako dorosłą... Czasami marzę, że siedzimy razem w kawiarni. Ale zawsze mówię tylko ja, ona milczy.

Margareta już się nie szarpie z Birgittą.

- Był pusty pokój - myśli głośno. - Było coś, o czym nie wiedziałyśmy.

Twarz Christiny rozjaśnia uśmiech.

- My wypełniłyśmy ten pokój!

Birgitta lekko się pochyła i spluwa.

- Niektórych pustych pokoi się nie wypełni - mówi. - Nigdy, choćby się nie wiem jak chciało.

Milkną, kiedy pielęgniarze zabierają Hubertssona i zegnają się z nimi skinieniem głowy. Birgitta puszcza dłoń Margarety, Margareta puszcza dłoń Christiny. Nie patrzą na siebie.

- To co, pojedziemy chyba do Postindustrialnego Raju na kolację - proponuje Christina, odgarnia grzywkę z czoła i rusza w kierunku ulicy. - Żebyście nie jechały o pustych żołądkach.

Margareta śmieje się. Zrozumiała aluzję.

- Dziękuję, chętnie - mówi do pleców Christiny. - Jeśli to nie kłopot.

Birgitta po chwili się do nich przyłącza. Z irytacją kopie żwir, kłapią czółenka Myszki Minnie. Kolacja! Lurowata herbata i kanapki! Jej trzeba piwa.

Hubertsson jest na ławce w parku. Ma poważną twarz, ale siedzi nonszalancko, z wyciągniętymi, skrzyżowanymi nogami, prawa ręka na oparciu ławki. Zatrzymuję się w ciemnościach, waham się. Jeszcze mnie nie widzi. Nie widzi mnie takiej, jaką bym była, gdyby wszystko potoczyło się inaczej.

Na rynku chłopiec uderza w bęben. Dźwięk jest donośny, dudni na ulicach i w zaułkach, odbija się echem od dachu klasztoru i ścian kościoła, szumi nad Yattern jak wiosenny wiatr.

Ale Hubertsson nie reaguje, nie podnosi się i nie idzie na rynek. Spokojnie siedzi na ławce i czeka, aż się wyłonię z ciemności.

Fale i cząstki

Dryfujące drewno

Gdzie indziej

Ekspedycje karne

Bliźniak pasożyt

Uśmiech upośledzony umysłowo

Wiśniowa księżniczka

Na szali

Mean Woman Blues

Procesja Umarłych